

Poul Anderson

Najdłuższa podróż

Zawartość:

- Najdłuższa podróż - Hugo 1961**
- Nie będzie rozejmu z władcami - Hugo 1964**
- Pod postacią ciała - Hugo 1969**
- Królowa powietrza i mroku - Hugo, Nebula, Locus 1972**
- Pieśń pasterza - Hugo, Nebula 1973**
- Księżyc łowcy - Hugo 1979**
- Psychodrama - Hugo, Nebula 1982**

Najdłuższa podróż

Po raz pierwszy usłyszeliśmy o Statku Nieba kiedy byliśmy na wyspie o trudnej do powtórzenia, barbarzyńskiej nazwie Yarik. Minął już prawie rok, od kiedy Złoty Skoczek wypłynął z Lawre i przypuszczaliśmy że jesteśmy w połowie drogi dookoła świata. Nasza biedna karawela tak była oblepiona wodorostami i muszlami, że przy pełnych żaglach ledwie wlokła się przez morze. Reszta słodkiej wody w beczkach pozieleniała i stęchła suchary roiły się od robaków i u niektórych członków załogi wystąpiły pierwsze objawy szkorbutu.

– Nie ma rady – zdecydował kapitan Rovic – musimy dopłynąć do jakiegoś lądu.
– W jego oczach pojawił się znajomy błysk. Pogładził rudą brodę i mruknął: – Poza tym, dawno już nie pytaliśmy o Złote Miasta. Może tym razem uda nam się czegoś dowiedzieć...

Podążaliśmy w kierunku tej potwornej planety, wznoszącej się coraz wyżej w miarę jak posuwaliśmy się na zachód. Otaczała nas tak bezmierna pustka, że załoga znów zaczęła się buntować. W głębi duszy nie miałem do nich żalu. Wyobraźcie sobie tylko. Dzień po dniu nie widzieliśmy nic prócz bezmiaru wód i pianistych fal, obłoków na tropikalnym niebie, słyszeliśmy tylko wiatr, szum fal, skrzypienie drewna i czasem w nocy dziwne odgłosy wydawane przez morskie potwory. Już samo to było wystarczająco przerażające dla zwykłych żeglarzy, nieoświeconych ludzi, którzy nadal wierzyli, że Ziemia jest płaska. A tu jeszcze Tambur wisiał nieustannie nad bukszprytem tak, że wszyscy wiedzieliśmy, iż w końcu będziemy musieli przepłynąć pod tym posępnym stworem... A co go trzymało w powietrzu – załoga szemrała w kajutach. – Czy rozszoszczony Bóg nie spuści go nam na głowy?

Tak więc wysłali delegację do kapitana Rovica. Ci krzepcy, nieokrzesani mężczyźni stanęli przed nim onieśmieleni i pełni szacunku, prosząc by zawrócił z drogi. Ale reszta zebrała się na pokładzie – muskularne, spalone słońcem postacie w zniszczonych kitlach, ze sztyletami i kołkami w rękach.

Prawda, że my, oficerowie, mieliśmy szable i pistolety. Ale było nas zaledwie sześciu, licząc przerażonego chłopca, czyli mnie i sędziwego Froada – astrologa, któremu szata i biała broda nadawały wielce czcigodny wygląd, ale który nie na wiele zdałby się w walce.

Po wysłuchaniu żądania Rovic stał długą chwilę w milczeniu. Ciszę zakłócał jedynie głuchy gwizd wiatru. Wspaniale wyglądał nasz kapitan, bo spodziewając się przybycia delegacji włożył czerwone pończochy, buty z dzwoneczkami, hełm

i zbroję wypolerowaną jak lustro. Nad oślepiającym stalowym chełmem powiewały pióra, a brylanty na placach rzucały błyski na ozdabiające rękojeść szpady rubiny. Jednak kiedy wreszcie przemówił, nie były to słowa rycerza Królowej, ale prosty andyjski dialekt, którym posługiwał się w dzieciństwie.

– Wiec chcecie do domu, chłopaki? Jak jużemy przepłynęli połowę drogi przy dobrym wietrze? Jacy wy inni niż wasi ojcowie! Czyście zapomnieli, że – jak osi legenda – ongiś wszystkie rzeczy robiły to co człowiek kazał i właśnie przez lenistwo pewnego Andyjczyka teraz ludzie muszą sami odwalać robotę? Mało mu było, że siekiera ścięła dla niego drzewo, chciał żeby drwa same poszły do domu, ale i tego było za mało i kiedy powiedział, żeby go zanosły, Bóg się zgniewał i zabrał mu jego władzę. Ale żeby go zanadto nie ukrzywdzić, obdarzył wszystkich Andyjczyków powodzeniem na morzu, w grze w kości i w miłości. Czego więcej byście chcieli, chłopcy?

Zakłopotany taką odpowiedzią, przedstawiciel załogi zaczerwienił się, spuścił oczy i jękając się mówił, że wszyscy zginiemy marnie... z głodu, pragnienia, potoniemy, albo nas zmiażdży ten straszny księżyc, albo dopłyniemy do krawędzi świata i spadniemy... Złoty Skoczek dotarł dalej niż jakikolwiek inny statek od czasu Upadku Człowieka i jeśli wrócimy to i tak okryjemy się sławą...

– A czy sława da się zjeść, E1ien? – zapytał Rovic, nadal sepokojny i uśmiechnięty. – Biliśmy się i przeszliśmy burze i pohulaliśmy wesoło, aleśmy nie widzieli ani śladu Złotego Miasta, a głowę daje, że gdzieś tu musi być, pełne skarbów dla pierwszego kto przybędzie je zagarnąć. Coś taki strachliwy? Niełatwy rejs? A co by ludzie powiedzieli? Ale by się pyszałki z Sathaynu i te brudasy z Woodland śmiały – nie tylko z nas, ale z całego Montaliru – gdybyśmy wrócili !

Tak oto ich uspokoił. Tylko raz dotknął szabli, na wpół ją wyciągając, jakby w roztargnieniu, kiedy wspominał o walce z huraganem w Xingu. A wszyscy pamiętali o buncie, który potem wybuchł i o tym jak ta szabla przebiła trzech uzbrojonych marynarzy, którzy go zaatakowali Zrozumieli, że nie będzie przypominał tego co było, jeśli i oni nie będą do tego wracali. Obietnica nowych zabaw i rozkoszy wśród lubieżnych, prymitywnych plemion, opowieści o legendarnych skarbach i odwołanie się do ich dumy jako marynarzy i Montaliriaficzyków rozwiały ich strach. A kiedy zobaczył, że zmiękłi postąpił krok do przodu. Ponad jego głową łopotała wyblakła flaga Montaliru, a on przemówił tonem rycerza Królowej.

– Rozumiecie teraz, że zamierzam wrócić dopiero, gdy okrążymy całą kulę ziemską i przywieziemy jej Królewskiej Wysokości podarunek, zaszczyt wręczenia

którego przypadł nam w udziale. Nie będzie to złoto ani niewolnicy, ani nawet wiedza odległych miejsc. Nie tego pragnie ona i jej Spółka Wypraw Handlowych. Tego dnia, gdy znów staniemy w doku Lavre, złożymy jej w hołdzie nasze osiągnięcie: czyn, na który nikt w świecie do tej pory się nie odważył.

Stali jeszcze chwile w ciszy zakłócanej jedynie szumem morza. Potem powiedział cicho: – Rozejść się. – Odwrócił się i odszedł do swojej kajuty.

Tak więc płynęliśmy dalej. Załoga była cicha, ale pogodna, a oficerowie starali się ukrywać swoje wątpliwości. Ja bytem zajęty nie tyle obowiązkami duchownego, za co mi płacono, czy też kształceniem się na przyszłego kapitana, ile pomaganiem astrologowi Froadowi. Przy tak wspaniałej pogodzie często pracował na pokładzie. Jemu było obojętne czy utoniemy, czy będziemy płynąć, przeżył już tak wiele i liczyła się dla niego tylko wiedza o niebie, którą tutaj mógł pogłębiać. W nocy, kiedy stał na dziobie statku z kwadrantem, astrolabium i teleskopem, oblany srebrną, poświatą, przypominał świętego z witraży kościoła w Provien.

– Spójrz tam, Zhean. – Wąską dłonią wskazał na Tambur, zawieszony na purpurowym niebie w otoczeniu kilku gwiazd, które odważyły się mu towarzyszyć. O północy ukazywał się w całej pełni, ogromna lazurowa tarcza, po której przesuwaly się smugi złej czerni. Mały świetlik – księżyc, który nazwalismy Siett, migotał tuż przy mglistej krawędzi giganta.

– Zobacz – stwierdził Froad – nie ma wątpliwości, widać jak obraca się wokół swojej osi, jak burze szaleją w atmosferze. Tambur przestał być najbardziej tajemniczą ze strasznych legend i przerażającą zjawą, która pojawiła się przed nami na nieznanym wodach, on istnieje naprawdę. To świat taki jak nasz. O wiele większy, to pewne, ale po prostu sferoida w przestrzeni, wokół której porusza się nasza planeta, zwracając zawsze tę samą półkulę w stronę swego władcy. Przypuszczenia starożytnych zostały potwierdzone. Nasz świat nie tylko jest okrągły, ba, to dla każdego jest oczywiste... ale w dodatku okrąży większe centrum, które z kolei odbywa roczną podróż dookoła słońca. Ale, w takim razie, jak duże jest to słońce?

– Siett i Balant to wewnętrzne satelity Tambura – starałem się uporządkować swoje wiadomości. – Vieng, Darou i inne księżyce, które często widać u nas w kraju, poruszają się po szlakach leżących na zewnątrz naszego świata. No tak! Ale jak to wszystko się trzyma?

– Tego nie wiem. Może kryształowa kula, zawierająca gwiazdy wywiera na nie nacisk. Ten sam nacisk spowodował to, że znaleźliśmy się tutaj, w czasie Upadku z Nieba.

Noc była ciepła, ale zadrzałem jak z zimna. – W takim razie szepnąłem – ludzie mogą być również ... na Sietcie, Balansie, Viengu... nawet na Tamburze?

– Kto wie? Wiele lat upłynie zanim się dowiemy. I jakie to będą lata! Dziękuj Bogu, Zhean, że urodziłeś się w zaraniu nadchodzącego wieku.

I Froad ponownie zajął się obliczeniami. Pozostali oficerowie uważali to za nudne zajęcie, ale ja już poznałem matematykę na tyle, by zrozumieć, że dzięki tym niekończącym się tabelom można dowiedzieć się, jakie są prawdziwe rozmiary ziemi, Tambura, słońca, księżyców i gwiazd, jakie są ich drogi w przestrzeni i gdzie leży Raj. Tak więc prości marynarze, którzy przechodząc obok naszych instrumentów czynili znaki i mruczyli zaklęcia, byli bliżsi prawdy niż dżentelmeni Rovica: bo Froad doprawdy miał do czynienia z potężną siłą.

Już z daleka dostrzegliśmy pływające po powierzchni wodorosty, ptaki, skłębione masy chmur – wszystkie oznaki lądu. Trzy dni później dobiliśmy do wyspy. Jej zieleń przy tak spokojnym niebie wydawała się bardzo intensywna. Gwałtowniejsze niż na naszej półkuli fale przybrzeżne rozbijały się o wysokie skały i spienione wracały z rykiem. Płynęliśmy ostrożnie wzdłuż brzegu, wypatrując odpowiedniego podejścia, a kanonierzy stali przy działach z zapalonymi zapalnikami. Niebezpieczeństwo stanowiły nie tylko nieznane prądy i mielizny – mieliśmy już kilka potyczek z pływającymi czólnami kanibalami. Najbardziej baliśmy się zaćmienia. Możecie sobie wyobrazić, jak na tamtej półkuli słońce codziennie zachodzi za Tambur. Na tamtej szerokości geograficznej działo się to około południa i trwało prawie dziesięć minut. Był to budzący grozę widok: główna planeta – bo tak nazywał ją Froad – pokrewna Diellowi i Cointowi, stawała się otoczonym czerwoną poświatą czarnym krążkiem na nagle pełnym gwiazd niebie. Wiał zimny wiatr i nawet fale przybrzeżne zdawały się uspakajać.

A jednak ludzka dusza jest tak zuchwała, że nasze czynności przerywaliśmy tylko na modlitwę w chwili, gdy zniknęło słońce i myśleliśmy więcej o niebezpieczeństwie rozbicia statku w ciemnościach, niż o Majestacie Boga.

Tambur jest tak jasny, że płynęliśmy okrążając wyspę nawet w nocy. Od wschodu od zachodu słońca, przez dwanaście straszliwych godzin Złoty Skoczek posuwał się wolno naprzód. Kiedy zbliżało się drugie już południe, wytrwałość kapitana Rovica została nagrodzona. Między skałami ukazał się długi fiord. Wiatr wiał od brzegu, więc zwinęliśmy żagle i wzięliśmy się za wiosła. Był to niebezpieczny moment, zwłaszcza, że dostrzegliśmy wioskę nad fiordem.

– Czy nie powinniśmy zostać tutaj poczekać aż oni pierwsi do nas podpłyną, kapitanie? – ośmieliłem się zapytać.

Rovic splunął za burzę.

– Przekonałem się, że nigdy nie należy okazywać wahania – odparł. – Jeśli ci z czołna nas zaatakują, pokażemy im jak smakują nasze kule. Ale sędzę, że jeśli od razu spostrzegą, iż się ich nie boimy, to nie będą skłonni do przygotowania później jakiejś zdradzieckiej zasadzki.

Okazało się, że miał rację.

Później dowiedzieliśmy się, że natrafiliśmy na wschodnią krawędź wielkiego archipelagu. Mieszkańcy byli znakomitymi marynarzami, mimo że mieli jedynie łodzie z wydrążonych pni. Jednak długość tych łodzi często sięgała czterech metrów i z czterdziestoma wiosłami lub trzema żaglami taki statek mógł niemal dorównać prędkością naszemu, a przy tym łatwiej było nim manewrować. Jednak niewiele miejsca na ładunek ograniczało ich zasięg.

Tubylcy mieszkali w drewnianych, krytych słomą chatach i używali jedynie kamiennych narzędzi, ale byli cywilizowanymi ludźmi. Uprawiali ziemię i łowili ryby, a ich księża mieli swój alfabet. Wysocy i silni, trochę ciemniejsi i mniej owłosieni niż my, wyglądali imponująco, zarówno nago, jak i w pełnej gali ubrań, piór i ozdób z muszli. Tworzyli luźne imperium, obejmujące cały archipelag, handlowali a także najeżdżali leżące dalej na północ wyspy. Całe państwo nazywali Hisagazi, a wyspę, na którą trafiliśmy – Yarik.

Wszystkiego tego dowiedzieliśmy się stopniowo, w miarę jak opanowywaliśmy ich język. A spędziliśmy tam kilka tygodni. Księżę wyspy, Guzan, przyjął nas dobrze, dostarczając nam pożywienia, schronienia i potrzebnych pomocników. My, z kolei, dawaliśmy im wyroby ze szkła, bele wondyjskiego materiału i inne podobne towary. Mimo to napotkaliśmy na wiele trudności. Zbyt błotniste brzegi uniemożliwiały wyciągnięcie statku na ląd, więc aby oczyścić statek, musieliśmy zbudować suchy dok. Wielu z nas zapadło na jakąś nieznaną chorobę i chociaż wszyscy wyzdrowieli, to jednak opóźniło to nasze prace.

– Nie ma teko złego, co by na dobre nie wyszło – powiedział mi pewnego wieczoru Rovic. Przekonawszy się o mojej dyskrecji, zwierzał się czasem ze swoich myśli. Kapitan jest zawsze samotny, a Rovicowi, synowi rybaka, korsarzowi, samoukowi, zwycięzcy nad Wielką Flotą Sathyanu, któremu sama Królowa nadała szlachectwo, trudniej było zachować konieczną powściągliwość niż urodzonemu dżentelmenowi.

Czekałem w milczeniu, tam, w trzcinowej chatce, którą mu podarowano. Migotała lampka, coś szeleściło w trzcinach. Za chatą podmokły teren obniżał się stopniowo, aż do fiordu lśniącego w świetle Tambura. W drzwiach między

zbudowanymi na palach domami, szemrał wiatr. Szałem stłumiony głos bębnów, monotony śpiew i tupot stóp wokół jakiegoś rytualnego ognia. Chłodne wzgórza Montaliru wydawały się tak daleko.

Rovic wyciągnął swe muskularne ciało, w tym upale odziane jedynie w prosty marynarski kilt. Kazał sobie przynieść ze statku normalne krzesło.

– Bo widzisz, przyjacielu – mówił dalej – gdybyśmy mieli mniej czasu, moglibyśmy najwyżej wypytać się o złoto. Może nawet udałoby się nam zdobyć jakieś wskazówki. Ale usłyszelibyśmy znowu to samo: "Tak, zamorski panie, jest naprawdę królestwo, w którym ulice wyłożone są złotem... sto mil na zachód", a wszystko byle pozbyć się nas jak najprędzej. A dzięki temu, że nasz pobyt się przedłużył wypytałem księcia i bałwochwalczych kapłanów trochę dokładniej. Udzieliłem im tak skąpych informacji na temat tego skąd przybywamy i co już wiemy, że powiedzieli mi wiele nowych rzeczy.

– Złote Miasta? – krzyknąłem.

– Cicho! Nie chce, żeby załogę ogarnęło podniecenie. Jeszcze nie.

Jego spalona słońcem i wiatrem twarz była dziwnie zamyślona. – Zawsze sądziłem, że opowieści o tych miastach to tylko czeże gadanie powiedział. Musiał zauważyć moje zaskoczenie, bo uśmiechnął się i mówił dalej. – Chociaż pożyteczne – bo ciągnie nas dookoła świata jak magnes. – Rozbawienie minęło i znów przybrał ten wyraz twarzy, który niewiele różnił się od wyrazu twarzy Froada spoglądającego na gwiazdy. – Tak, oczywiście ja też chcę złota. Ale jeśli w czasie tej podróży nie znajdziemy go, to nic. Po prostu przechwycę kilka statków z Eralii albo Sathyanu, kiedy już będziemy na swoich wodach i koszt podróży mi się zwróci. Mówiłem tedy na pokładzie szczerą prawdę. Zhean – ta podróż jest celem samym w sobie.

Otrząsnął się z zamyślenia i powiedział rześkim głosem:

– Dając mu do zrozumienia, że wiem już prawie wszystko na ten temat, wyciągnąłem z księcia Guzana potwierdzenie pogłosek, że na głównej wyspie Hisagazi jest coś, o czym ledwie ośmielam się myśleć. Statek bogów, jak dowiedział, i prawdziwy żywy bóg, który przybył do nich z gwiazd. Tego możesz się dowiedzieć od pierwszego lepszego tubylca. Tajemnica, którą znają tylko wyższe klasy to to, że historia ta nie jest jedynie legendą, ale autentycznym faktem. Tak przynajmniej twierdzi Guzan. Sam nie wiem co o tym myśleć. A jednak... Zabrał mnie do świętej jaskini i pokazał przedmiot z tego statku. Sądzę, że to jakiś zegarowy mechanizm. Ale co, nie wiem. Z lśniącego srebrzystego metalu, jakiego nigdy nie widziałem. Kapłan powiedział, żebym spróbował to rozbić. Nie był ciężki, więc metal musiał

być cienki, ale stąpił moją szpadę, skała, którą w niego uderzyłem roztrysnęła się, a mój brylantowy pierścień nie zostawił na nim żadnej rysy.

Wyszeptałem chroniące przed złym zaklęciem. Przeszedł mnie dreszcz. Bębny mamrotały w ciemnościach, a nad wodą jak żywe srebro wisiał Tambur, każdego popołudnia zjadający słońce.

Kiedy Złoty Skoczek znów nadawał się do żeglugi, Rovic bez problemu uzyskał pozwolenie na złożenie wizyty monarsze Hisagazi na głównej wyspie. Właściwie trudno by mu było tego uniknąć. Wieść o nas dotarła już do najdalszych zakątków królestwa i możni panowie z niecierpliwością oczekiwali widoku błękitnookich przybyszów. Doprowadzeni do ład i znów zadowoleni, uwolniliśmy się od uścisków śniadych dziewcząt i wróciliśmy na statek. W górę kotwica, w górę żagle! Żegnani śpiewem, którego echo płoszyło krążące nad błotami ptaki, wyszliśmy w morze. Tym razem mieliśmy eskortę. Sam Guzan wskazywał nam drogę. Był to potężny mężczyzna w średnim wieku, przystojny mimo siniego tatuażu na twarzy i ciele. Kilku jego synów rozłożyło sobie materace na naszym pokładzie, a rój wojowników w czółnach wiosłował przy burtach.

Rovic wezwał bosmana Etiena do swej kajuty.

– Jesteś roztropnym człowiekiem – powiedział. – Powierzam a pilnowanie, by załoga była czujna, z bronią w pogotowiu, ale to ma się odbywać dyskretnie.

– Dlaczego, kapitanie? – Na pokrytej bliznami twarzy pojawiło się przerażenie.

– Czy podejrzewasz, że tubylcy coś knują?

– Któż to może wiedzieć? – odparł Rovic. – Ale nic nie mów załodze! Nie potrafią ukrywać swoich uczuć. Gdyby ogarnęła ich chęć walki albo strach tubylcy od razu by to wyczuli i stali się niespokojni – co z kolei pogorszyłoby nastroje wśród naszych ludzi i tylko Boża Córka wie, co mogłoby się w końcu zdarzyć. Zwróć tylko uwagę na to, żeby broń zawsze była pod ręką, a nasi ludzie trzymali się razem.

Etien uklonił się i wyszedł. Ośmieliłem się zapytać, co Rovic miał na myśli.

– Nic konkretnego – powiedział. – Ale w tej oto dłoni trzymałem mechanizm, którego nawet Wielki Pan z Ciariu nie mógłby sobie wyobrazić i opowiadano mi niestworzone historie o Statku, który spłynął z nieba przynosząc boga czy też proroka. Guzan wierzy, że wiem więcej, niż wiem naprawdę, i liczy na to, że będziemy nowym elementem, zakłócającym ustalony porządek, dzięki czemu ma nadzieję zaspokoić swoje ambicje. Nie bez powodu zabrał ze sobą tych wszystkich wojowników. A jeśli chodzi o mnie... mam zamiar dowiedzieć się czegoś więcej.

Siedział przy stole, przyglądając się jak promień słońca przesuwają się w górę i w dół po boazerii w rytm kołysania się statku. Wreszcie odezwał się znowu:

– Pismo Święte mówi, że przed upadkiem człowiek mieszkał za gwiazdami. Astrologowie z zeszłego wieku mówili, że planety są ciałami materialnymi, tak jak ta ziemia. Przybysz z Raju...

Kiedy stamtąd wyszedłem, szumiało mi w głowie.

Bez trudu posuwaliśmy się między wyspami. Po kilku dniach dotarliśmy do wyspy centralnej, Ulas – Erkila. Miała ona około stu mil długości i czterdzieści mil w najszerszym miejscu. Zielone pola wznosiły się stromo ku łańcuchowi górskiemu z wulkanicznym stożkiem. Hisagazi czczą dwa rodzaje bogów – wody i ognia – i myślę, że góra Ulas jest siedliskiem tych ostatnich. Kiedy zobaczyłem śnieżny szczyt, unoszący się nad szmaragdowymi stokami i plamę dymu na błękitnym niebie, zrozumiałem co czują poganie. Najświętszy czyn, jakiego może według nich dokonać człowiek, to rzucenie się do płonącego krateru Ulas i wielu postarzałych wojowników wnoszą na górę, żeby mogli to zrobić. Kobiety nie mają wstępu na zbocza:

Nikum, królewska siedziba, leży nad fiordem jak wioska, w której mieszkaliśmy przedtem. Ale Nikum jest bogate i wielkie jak Roann. Większość domów zbudowana jest z drewna, nie z trzciny. Jest tam też bazaltowa świątynia na skale nad miastem, a za nią ogrody, dżungla i dalej góry. Mając pod dostatkiem wielkich drzew, zamiast bardziej prymitywnych miejsc do cumowania, jakimi zadowala się większość portów na świecie, Hixagazi zbudowali cały zespół doków takich jak w Lavre. Zaproponowano nam honorowe miejsce w centralnej części nabrzeża, ale Rovic, tłumacząc, że trudno manewrować naszym okrętem, polecił przycumować go w dalszym końcu.

– W środku mielibyśmy wieże strażniczą tuż nad nami – szepnął do mnie. – A oni może jeszcze nie wynaleźli łuku, ale ich oszczepnicy są świetni. Poza tym byłby łatwy dostęp do naszego statku i chmara czółen oddzielałaby nas od wyjścia z zatoki. A stąd w każdej chwili możemy szybko odpłynąć.

– Ale czy mamy się czego obawiać, kapitanie? – zapytałem. Przygryzł wąsy. – Nie wiem. Wiele zależy od tego, co oni naprawdę sądzą na temat tego ich boskiego statku... i czym on jest rzeczywiście. Niech się dzieje co chce, niech piekło i śmierć szaleje, a my nie wrócimy bez prawdziwych wiadomości dla Królowej Odeli.

Gdy nasi oficerowie schodzili na ląd, terkotały bębny i skakali ustrojeni piórami włócznicy. Zbudowano dla nas wspinały pomost. (Tubylcy przepływali prosto od domu do domu w czasie przypływu, a towary przewozili małymi łódkami. Wśród malowniczych winorośli i trzciny stał pałac, długi budynek z drewnianych bali, o fantastycznych rzeźbach bogów na dachu.

Iskilip, Kapłan – Imperator Hisagazi, był stary i otyły. Wysoki pióropusz, ozdobione piórami szaty, drewniane berło zakończone ludzką czaszką, tatuaż na twarzy, bezruch, wszystko to sprawiało, że nie wyglądał na istotę ludzką. Siedział na podwyższeniu wśród słodko pachnących pochodni. Synowie siedzieli u jego stóp, a dworzanie po obu bokach. Wzdłuż ścian stały strażę. Nie mieli naszego zwyczaju stania na baczność. Ubrojeni w krzemienne topory i włócznie, zabijające równie łatwo jak żelazo, z tarczami z łuskowatej skóry jakiegoś morskiego potwora, ci młodzi, prężni ludzie o ogolonych głowach wyglądali naprawdę groźnie.

Iskilip powitał nas uprzejmie, polecił podać poczęstunek i wskazał nam ławę niewiele niższą od jego podium. Zadał nam wiele bystrych pytań. Hisagazi wiedzieli o istnieniu wysp leżących daleko od ich archipelagu. Potrafili nawet wskazać kierunek i określić w przybliżeniu odległość, dzielącą ich od krainy o wielu zamkach, którą zwali Yuradadak, chociaż żaden z nich nigdy tak daleko nie zawędrował. Sądząc z ich opisów cóż to mogło być innego niż Giair, do którego podróżnik z Wondii, Hanas Tolasson dotarł drogą lądową? Zatopiwszy się w entuzjastycznych rozmyślaniach o tym, że naprawdę okrążamy świat, dopiero po chwili zacząłem ponownie przysłuchiwać się rozmowie.

– Jak już powiedziałem Guzanowi – mówił Rovic – następna rzecz, która przywiodła nas tutaj to wieść o tym, że zostaliście wyróżnieni przybyciem statku z nieba. I on pokazał mi, że to prawda.

Szept przebiegł przez sale. Książęta zeszywnieli, dworzanie przybrali dziwny wyraz twarzy i nawet wartownicy poruszyli się i coś szemrali. W oddali słychać było huk zbliżającego się przyływu. Iskilip przemówił ostrym tonem:

– Czyżbyś zapominał, że tych rzeczy nie wolno oglądać niewtajemniczonym, Guzanie?

– Nie, Wasza Świątobliwość – odparł księżę. Pot spływał po jego twarzy, ale nie był to pot strachu. – Ten kapitan wiedział. Jego ludzie również... o ile zdołałem się zorientować... on ma trudności z mówieniem w naszym języku... ale zrozumiałem, że jego ludzie też są wtajemniczeni. Jego żądanie brzmi rozsądnie, Wasza Świątobliwość. Prosię spojrzeć na cuda, które przywiózł. Twardy, lśniący kamień – nie – kamień, taki jak w nożu, który mi podarował, czyż nie przypomina tego, z czego zbudowany jest Statek? Rurki, które sprawiają, że odległe rzeczy widać jak na dłoni, takie jaką ty otrzymałeś, Panie, czyż nie przypominają przyrządu, który ma Posłaniec?

Iskilip pochylił się w stronę Rovica. Dzierżąca berło ręka drżała tak mocno, że szczęki czaszki zaklekotały. – Czy Ludzie Gwiazd nauczyli was jak robić te

przedmioty? – krzyknął. – Nigdy nie przypuszczałem... Posłaniec nigdy nie mówił o innych...

Rovic uniósł dłonie do góry. – Nie tak szybko, Wasza Świątobliwość, bardzo proszę – powiedział. – Słabo władamy waszym językiem. Nie zrozumiałem ani słowa.

To było kłamstwo. Wszystkim oficerom polecono udawać, że znają hisagazi gorzej niż to było w istocie (wprawiliśmy się w tym języku przez ćwiczenia ze sobą w tajemnicy). W ten sposób miał wspaniałą wymówkę dla wymijających odpowiedzi.

– Najlepiej będzie, jeśli pomówimy o tym na osobności; Wasza Świątobliwość – zaproponował Guzan, spoglądając na dworzan. Odwzajemnili mu się pełnym zazdrości spojrzeniem.

Iskilip siedział zgarbiony w swoim okazałym królewskim stroju. Jego słowa były stanowcze, ale wypowiedział je głosem starego, zmęczonego człowieka.

– Nie wiem. Jeśli ci przybysze są już wtajemniczeni, z pewnością możemy pokazać im co mamy. Ale jeśli nie – gdyby pogańskie uszy mały usłyszeć opowieść naszego Posłańca...

Guzan wznosił władcą rękę. Zuchwały i ambitny, od dawna duszący się w swej mało ważnej prowincji, tego dnia był w swoim żywiole. – Wasza Świątobliwość – powiedział – czemu ta historia była przez wszystkie te lata otoczona tajemnicą? Częściowo po to, by utrzymać naród w posłuszeństwie. Ale czy oprócz tego Wy i Wasi doradcy nie. obawialiście się, że żądny wiedzy świat przybywszy tu zaleje nas i zniszczy? Cóż, jeśli pozwolimy, by błękitnoocy ludzie nie zaspokoiwszy ciekawości odjechali, z pewnością wrócą tu z posiłkami. Więc nic nie tracimy wyjawiając im prawdę. Jeśli nie mają swego Posłańca i na nic nam się nie przydadzą, to i tak będzie czas, by ich zgładzić. Ale jeśli naprawdę i do nich przybył Posłaniec, czegoż nie będziemy mogli razem działać!

Powiedział to szybko i cicho, żebyśmy my, Montaliriańczycy, nie mogli go zrozumieć. I rzeczywiście nasi oficerowie nie zrozumieli, ale moje młode uszy uchwyciły sens jego wypowiedzi, a Rovic uśmiechał się tak bezmyślnie, że domyśliłem się, iż rozumie każde słowo.

W końcu zdecydowali zaprowadzić naszego przywódcę – i moją skromną osobę, bo żaden hisagaziański szlachcic nie rusza się nigdzie bez osoby towarzyszącej – na górę do świątyni. Iskilip osobiście prowadził, a za nim szedł Guzan i dwaj krzepy księżęta. Dwunastu włóczników zamykało pochód. Pomyślałem, że szpada Rovica nie na wiele by się zdała w razie jakichś problemów, ale zacisnąłem usta i zmusiłem

się do podążenia za nim. Wyglądał tak ooczno, jak dzieciak w Dzień Dziękczynienia. Zęby błyszcząły w uśmiechu, a pióra beretu fantazyjnie opadały na czoło. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

Wyruszyliśmy o zachodzie słońca – na tamtej półkuli mniej zwraca się uwagę na odróżnianie pór dnia. Widząc, że Siett i Balant znajdują się w położeniu oznaczającym wysoki przyływ, nie byłem zadowolony, że Nikum niemalże zniknęło pod wodą. A jednak kiedy wspinaliśmy się kamienistą ścieżką do świątyni, widok roztaczający się przed moimi oczyma był najdziwniejszym, jaki kiedykolwiek widziałem.

Pod nami leżała tafla wody, nad którą unosiły się dachy miasta, u wejścia do zatoki fale pienily się na skałach. Wzgórza nad nami były całkiem czarne, a ognisty zachód słońca krwawo barwił wody. Zza chmur wyzierał blady sierp Tambura. Po obu stronach ścieżki rosła sucha trawa. Na wschodzie, na purpurowym niebie zaczęły się pojawiać pierwsze gwiazdy. Tym razem gwiazdy nie przyniosły mi uspokojenia. Szliśmy w milczeniu. Bose stopy tubylców stapały bezgłośnie. Dzwoneczki przy butach Rovica brzęczały cichutko.

Świątynia była zbudowana z rozmachem. Wewnątrz tworzących czworobok bazaltowych murów znajdowało się kilka budynków z tego samego materiału. Dachy pokryte były świeżo ściętymi liśćmi. Z Iskilipem na czele mineliśmy zakonników i kapłanów i weszliśmy do drewnianej chaty za sanktuarium. Dwóch wartowników stało w drzwiach, ale na widok Iskilipa uklękli. Monarcha zastukał swoim dziwnym berłem. Zaschło mi w ustach, a serce waliło jak młotem. Spodziewałem się ujrzeć jakąś istotę szkaradną lub cudowną. Kiedy drzwi się otworzyły, zaskoczony byłem widokiem zwykłego mężczyzny, w dodatku mizernej postury. W świetle lampy przyjrzałem się jego siedzibie – był to pokój czysty, skromny, ale wygodny, taki jak przeciętne mieszkanie hisagaziańskie. On sam odziany był w spódnicę z trzciny, spod której wychodziły cienkie i krzywe nogi starego człowieka. Był chudy, ale trzymał się prosto z dumnie uniesioną głową. Jego skóra była nieco ciemniejsza od naszej, a jaśniejsza od skóry Hisagaziańczyków, oczy brązowe, a broda rzadka. Nos, usta i zarys szczęki różniły rysy jego twarzy od innych ras. Ale był to człowiek, nic więcej.

Weszliśmy do chaty, zostawiając włóczników na zewnątrz. Iskilip przedstawił nas na wpół rytualnie. Guzan i książęta stali niespokojnie, lecz wcale nie przerażeni. Od dawna przywykli do tego rodzaju ceremonii. Z twarzy Rovica nie sposób było wyczytać co myśli. Ukłonił się Val Nirowi, Posłańcowi Niebios i w kilku słowach wyjaśnił skąd i po co przybyliśmy. Ale kiedy mówił ich oczy spotkały się

i widziałem, że ocenia człowieka z gwiazd.

– Oto mój dom – powiedział Val Nira. Powtarzał te słowa zapewne już wiele razy. Nie zauważył jeszcze naszych metalowych przedmiotów, albo nie pojął jakie mają dla niego znaczenie. Od... czterdziestu trzech lat, nie myje się, Iskilip? Traktowano mnie bardzo dobrze. I jeśli czasem miałem ochotę płakać w samotności, to cóż, taki jest los proroka.

Monarcha poruszył się, zakłopotany. – Jego demon opuścił go wyjaśnił. – Teraz jest zwykłym człowiekiem. To jest właśnie nasza tajemnica. Nie zawsze tak było. Pamiętam chwilę, kiedy przybył. Przepowiadał niezwykle rzeczy, a wszyscy ludzie padali przed nim na twarz. Ale od czasu, kiedy jego demon wrócił do gwiazd stracił swoją siłę. Ludzie nie uwierzyliby w to, więc nadal udajemy, że nic się nie zmieniło, by uniknąć niepokoju.

– Który naruszyłby wasze przywileje – wtrącił Val Nira z ironią. Wtedy Iskilip był młody – dodał patrząc na Rovica – i istniały wątpliwości co do – dziedziczenia tronu. Użyczyłem mu swego wpływu. Obiecał, że w zamian zrobi coś dla mnie.

– Próbowałem – powiedział król. – Zapytaj wszystkich mężczyzn, którzy utonęli, jeśli nie wierzysz. Ale inna była wola bogów.

– Najwidoczniej tak – wzruszył ramionami Val Nira.

– Na tych wyspach jest niewiele rud i nikt nie potrafi rozpoznać tych, które mi są potrzebne. Do stałego łądu za daleko jest dla czołen Hisagazi. Ale nie przeczę, że próbowałeś, Iskilip. Po raz pierwszy obcy zostali obdarzeni królewskim zaufaniem, przyjaciele. Czy jesteście pewni, że zdołacie powrócić żywi?

– Ależ, co też, są naszymi gośćmi! – wybuchnęli Iskilip i Guzan niemal równocześnie.

– Poza tym – uśmiechnął się Rovic – znałem już prawie całą tajemnicę. Mój kraj ma również swoje tajemnice. Tak, myślę, że możemy coś wspólnie zdziałać, Wasza Świątobliwość.

Król zadrżał. Jego głos zabrzmiał jak skrzek. – Czy rzeczywiście wy też macie Posłańca?

– Co? – Val Nira wlepił w nas zdziwiony wzrok. Czerwieniał się i bladł na przemian. Potem usiadł na ławce i zaszlochał.

– No, niezupełnie. – Rovic położył rękę na drżących ramionach starca. – Przyznaję, że żaden Statek Nieba nie zawitał do Montaliru. Ale mamy inne tajemnice, może równie cenne.

Tylko ja, który znałem go dobrze, mogłem wyczuć jaki jest napięty. Patrzył na Guzana tak długo, aż ten spuścił oczy. A równocześnie, z matczyną łagodnością,

mówił do Val Nira.

– Rozumiem, przyjacielu, że twój statek uległ katastrofie na tym wybrzeżu i nie może być zreperowany, dopóki nie zdobędziesz potrzebnych materiałów?

– Tak... tak... posłuchaj... – ożywiony myślą, że uda mu się zobaczyć rodzinne strony, zanim umrze, Val Nira jękając się próbował wyjaśnić na czym polega jego problem.

– Teoretyczne założenia, które przedstawił są tak zdumiewające, a nawet niebezpieczne, że jestem pewien, iż panowie woleliby żebym nie powtarzał wszystkiego. Jednakże nie sądzę, aby były błędne. Jeśli gwiazdy są słońcami takimi jak nasze, a każdej towarzyszą planety takie jak nasza – to znaczy, że teoria kryształowej kuli jest fałszywa. Ale Froad, kiedy mu to potem powtórzyłem, uznał, że to nie ma znaczenia dla prawdziwej religii. Pismo Święte nie wspomina o tym, że Raj leży dokładnie nad miejscem urodzenia Bożej Córki. Tak po prostu sądzono w czasie wieków, kiedy wierzono, że świat jest płaski. Dlaczego Raj nie miałby być jedną z tych należących do innego słońca planet, tam gdzie ludzie żyją w chwale i przenoszą się z gwiazdy na gwiazdę tak łatwo jak my z Lavre do West Alaun?

Val Nira uważał, że nasi przodkowie rozbili się na naszej planecie kilka tysięcy lat temu. Prawdopodobnie uciekali, by uniknąć konsekwencji jakiegoś przestępstwa albo herezji i zabrnęli aż tak daleko. Ich statek uległ jakiemuś uszkodzeniu, ci którzy ocaleli stali się na powrót dzikimi ludźmi, a ich potomkowie stopniowo zdobywali wiedzę na nowo. Moim zdaniem takie wyjaśnienie nie przeczy dogmatom o Upadku, a raczej je potwierdza. Upadek obejmował nie całą ludzkość, ale niewielką grupę – o nieczystej jak nasza krwi – a reszta została w dostatku i radości w niebie. Do dzisiaj nasz świat leży z dala od handlowych szlaków mieszkańców Raju. Mało kto z nich interesuje się odkrywaniem nowych światów jednym z takich podróżników był Val Nira. Wędrował kilka miesięcy, zanim trafił na naszą ziemię. A wtedy i jego dosięgło przekleństwo. Coś się zepsuło, wylądował na Ulas – Erkila i Statek nie mógł już lecieć dalej.

– Wiem, co się zepsuło – mówił gorączkowo. – Nie zapomniałem. Przez wszystkie te lata nie było dnia, żebym nie powtarzał sobie, co mam zrobić. Do jednego delikatnego silnika Statku potrzebna jest rtęć. – Minęło trochę czasu zanim Rovicowi udało się ustalić, że słowo, którego starzec używa oznacza właśnie rtęć. – Kiedy silnik wysiadł, wylądowałem tak ostro, że zbiorniki wybuchły. Cała rtęć się wylała. Tyle, że w tej zamkniętej przestrzeni mógłbym ulec zatruciu. Uciekłem na zewnątrz i zapomniałem zamknąć drzwi. Rtęć spłynęła po pochyłym pokładzie za mną. Zanim ochłoniąłem z przerażenia, tropikalny deszcz zmył płynny

metal. I tak oto zostałem skazany na dożywotnie wygnanie. Naprawdę byłoby lepiej, gdybym zginął od razu!

Schwycił Rovica za rękę. – Czy naprawdę możesz zdobyć rtęć? zapytał błagalnym głosem. – Potrzebuję nie więcej niż mogłaby pomieścić ludzka głowa. Tylko tyle i kilka drobnych napraw, do których wystarczą narzędzia ze Statku. Kiedy powstał ten kult musiałem rozdać niektóre moje rzeczy, by każda świątynia miała relikwie. Ale zawsze pamiętałem, żeby nie oddać niczego potrzebnego. Wszystko czego potrzebuje jest tam. Trochę rtęci i... och, Boże, może moja żona jeszcze żyje, na Ziemi!

Guzan w końcu zaczął pojmować, co się dzieje. Dał znak książętom, którzy ścisnęli mocniej swoje topory i przysunęli się bliżej. Wartownicy byli za drzwiami, ale jeden krzyk wystarczyłby, żeby wpadli do chaty ze swoimi włócznie. Rovic przeniósł wzrok z Val Niry na Guzana, którego twarz zbrzydła z wściekłości. Mój kapitan położył dłoń na rękojeści szpady. Była to jedyna oznaka napięcia.

– Rozumiem, panie – powiedział pogodnie – że życzyłby pan sobie, by Niebieski Statek mógł znowu latać.

Guzan był zupełnie zbity z tropu. Nie spodziewał się tego. – Cóż, oczywiście – krzyknął. – Dlaczego nie?

– Wasz oswojony bóg opuści was. Co wtedy stanie się z waszą władzą w Htsagazi?

– Ja...ja nie zastanawiałem się nad tym – wyjąkał Iskiljp. Spojrzenie Val Nira wedrowało między nimi, jakby przyglądał się grze w piłkę. Jego drobne ciało zadrżało.

– Nie – zapiszczał – Nie możecie. Nie możecie mnie zatrzymać! Guzan kiwnął głową. – Za kilka lat – powiedział całkiem uprzejmie – i tak odejdiesz w czólnie śmierci. Gdybyśmy teraz chcieli cię zatrzymać wbrew twojej woli, mógłbyś nie chcieć wygłaszać pomyślnych dla nas prorocत्व. Nie, możesz być spokojny, zdobędziemy ci twój płynny kamień. – I dodał przesywając Rovica zabójczym spojrzeniem: – Kto go przywiezie

– Moi ludzie – odparł rycerz. – Nasz statek może z łatwością dotrzeć do Giairu, gdzie na pewno mają rtęć. Nie trwałoby to dłużej niż rok.

– I wrócilibyście z posiłkami, by zdobyć święty statek? – wypalił Guzan bez ogródek.

Rovic oparł się nonszalancko o słup podtrzymujący dach: Wyglądał jak wielki, pewny siebie, drapieżny kot.

– Tylko Val Nira potrafi uruchomić ten statek – powiedział cedząc słowa. – Czy

to ma znaczenie kto pomoże mu go zreperować? Z pewnością nie sądzisz by któryś z naszych krajów mógł podbić Raj?

– Bardzo łatwo kierować tym statkiem – zaszcebiotał Val Nira. Każdy może to zrobić. Wielu szlachcom pokazałem, których dźwigni należy użyć. Najtrudniej sterować między gwiazdami. Nikomu z tego świata nie udało się dotrzeć samodzielnie do moich rodaków – nie mówiąc już o pokonaniu ich w walce – ale czemu mówicie o walce? Tysiąc razy ci powtarzałem, Iskilip, że Mieszkańcy Mlecznej Drogi nie są dla nikogo niebezpieczni, że są gotowi każdemu pomóc. Mają takie bogactwa, że sami nie wiedzą co z nimi robić. Z radością nie szczędziliby wydatków, by pomóc wam w powrocie do cywilizacji. – Znów spojrział na Rovica z przepelnionym pragnieniem, niemal histerycznym wyrazem oczu. – Nauczymy was wszystkiego. Damy wam silniki, automaty, małe człowieczki, które będą za was wykonywać ciężką pracę, fruujące w powietrzu łódki i statki, przewożące pasażerów między gwiazdami...

– Obiecujesz to od czterdziestu lat – wtrącił Iskilip. – Ale mamy tylko twoje słowo.

– I wreszcie okazję, by je potwierdzić – nie wytrzymałem i musiałem się wtrącić.

– Nie jest to taka prosta sprawa – powiedział Guzan z teatralną stanowczością. – Obserwuję tych ludzi od tygodni, Wasza świętobliwość. Nawet kiedy starają się zachowywać jak najprzykładniej, są zapalczywi i zachłanni. Nie mam do nich za grosz zaufania. Także tej nocy przekonałem się, jak nas oszukują. Znają nasz język lepiej niż utrzymywali. I wprowadzili nas w błąd dając do zrozumienia, że mają Posłańca. Gdyby Statek rzeczywiście miał znów unieść się w powietrze i mieliby go w swoich rękach, to kto wie co by zrobili?

– Co proponujesz, Guzan? – głos Rovica zabrzmiał jeszcze przyjaźniej.

– Możemy to omówić innym razem.

Zobaczyłem jak pięści zaciskają się na kamiennych toporach. Przez chwile słysząc było tylko nerwowy oddech Val Niry. Guzan stał sztywno w świetle lampy, pocierając brodę w zamyśleniu. W końcu powiedział szorstko:

– Może załoga, złożona głównie z Hisagazianczyków mogłaby popłynąć twoim statkiem po płynny kamień. Kilku twoich ludzi, Rovic, popłynęłoby z nimi jako doradcy. Reszta zostałaby tutaj w roli zakładników.

Mój kapitan nie odpowiedział. – Nic nie rozumiecie – jęknął Val Nira. – Sprzeczacie się nie wiadomo o co! Kiedy moi ludzie tu przybędą, nie będzie już więcej wojen, ucisku, wyleczą was ze wszystkich chorób. Nauczą przyjaźni

i równości. Błagam was... – Wystarczy – przerwał mu Iskilip. – Wrócimy do tego jutro, a teraz pójdziemy spać. Jeśli ktokolwiek będzie mógł zasnąć po tylu dziwnych słowach.

Rovic spojrział na Guzana, omijając wzrokiem króla. – Zanim podejmiemy decyzje – zacisnął palce na rękojeści szpady tak mocno, że paznokcie zrobiły się białe, ale głos nawet mu nie zadrżał – najpierw chce zobaczyć ten Statek. Czy możemy udać się tam jutro?

Iskilip był królem, ale skulił się w swojej szacie z piór. Guzan kiwnął głową na znak, że się zgadza.

Życzyliśmy sobie dobrej nocy i wyszliśmy. Zbliżała się pełnia Tambura i dziedziniec zalany był zimną poświatą, ale chata stała w cieniu świątyni. W oświetlonych światłem lampy drzwiach widniała wątła sylwetka Val Nira z gwiazd. Patrzył w ślad za nami aż nie zniknęliśmy w oddali.

W drodze powrotnej Guzan i Rovic targowali się ostro. Statek znajdował się o dwa dni marszu w głąb lądu, na stokach góry Ulas. Mieliśmy go obejrzeć, ale tylko dwunastu Montaliriaficzyków mogło wziąć udział w wyprawie. A potem mieliśmy ustalić dalsze przedsięwzięcia.

Latarnie na rufie naszej karaweli rzucały żółte światło. Dziękując Iskilipowi za gościnę, Rovic i ja wróciliśmy tam na nocleg. Wartownik przy schodni zapytał czego się dowiedziałem.

– Zapytaj mnie jutro – odparłem wymijająco. – Dziś już mi się kreci w głowie.

– Wstąp do mnie na kielich wina zanim pójdziemy odpocząć zaprosił mnie kapitan.

Bóg jeden wie, jak tego potrzebowałem. Weszliśmy do niskiego pokoiku, zatłoczonego żeglarskimi przyrządami, książkami i mapami. Rovic usiadł za stołem i wskazał mi krzesło. Napelnił dwa kielichy z ouaynijskiego kryształu. Czulem, że myśli o doniosłych sprawach – o wiele ważniejszych niż ocalenie naszego życia. Przez chwilę sączyliśmy wino w milczeniu. Drobne fale pluskały, wartownicy stąpali na pokładzie, cisza. W końcu Rovic wyprostował się, patrząc na rubinowe wino na stole.

– No i jak, chłopcze – powiedział – co o tym myślisz? – Sam nie wiem co mam myśleć, kapitanie.

– Ty i Froad jesteście trochę przygotowani do wieści, że gwiazdy są słońcami. Jesteście wykształceni. Jeśli chodzi o mnie, to tyle już dziwnych rzeczy przeżyłem... Ale reszta naszych ludzi...

– Co za ironia losu, że barbarzyńcy tacy jak Guzan od dawna o tym wiedzą – od

czterdziestu lat mają tego starca z nieba – czy on naprawdę jest prorokiem, kapitanie?

– Zaprzecza temu. Gra rolę proroka, bo musi, ale to oczywiste, że wszyscy książęta i panowie w tym królestwie wiedzą, że jest to tylko sztuczka. Iskilip jest już stary i prawie całkiem nawrócony na tę sztuczną wiarę. Gadał coś o prorocत्वach, które Val Nira wygłaszał dawno temu, prawdziwych prorocत्वach. Ba! Zawodna pamięć i pobożne życzenia. Val Nira jest tak samo zwykłym i omylnym człowiekiem jak ja. My Montaliriańczycy jesteśmy takimi samymi ludźmi jak Hisagazi, chociaż nauczyliśmy się stosować metal wcześniej od nich. Ludzie Val Niry z kolei wiedzą więcej niż my, ale też są tylko śmiertelnikami, na Niebie. Muszę pamiętać, że tak właśnie jest. – Guzan pamięta.

– Brawo, chłopcze! – Rovic uśmiechnął się. – On jest sprytny i śmiały. Zrozumiał, że ma szansę osiągnąć coś więcej niż zarządzanie mało znaczącą wyspą. Nie pozwoli tej szansie umknąć bez walki. Jak każdy obłudnik, nas posądza o knucie tego, co sam zamierza zrobić.

– Ale co!

– Przypuszczam, że chce mieć Statek dla siebie. Val Nita powiedział, że łatwo nim latać. Podróż między gwiazdami byłaby niemożliwa dla każdego oprócz niego i żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie próbowałby zostać piratem na Mlecznej Drodze. Jednakże... gdyby Statek został tutaj, ten, do kogo by należał, mógłby podbić więcej narodów niż sam Lame Darveth.

Oślupiałem. – Czy uważasz, że Guzan nie próbowałby nawet szukać Raju?

Rovic w zamyśleniu patrzył na swój kielich. Zrozumiałem, że chce być sam. Wymknąłem się cicho do mojej koi na rufie. Kapitan wstał przed świtem. Popędzał załogę i najwyraźniej podjął już jakąś decyzję, niezbyt przyjemną. Ale kiedy już raz coś postanowił, nigdy nie zmieniał zdania. Długo rozmawiał z Etienem, który wyszedł z kajuty przestraszony. Dla dodania sobie odwagi bosman ostrzej dyrygował ludźmi.

Na wyprawę mieli pójść Rovic, Froad, ja, Etien i ośmiu marynarzy. Wszyscy zaopatrzeni zostali w hełmy, muszkiety i ostrą broń. Ponieważ Guzan powiedział nam, że do statku prowadzi ubita ścieżka, przygotowaliśmy wóz do przewożenia zapasów. Etien nadzorował jego załadowanie. Zdumiałem się widząc, że prawie cały, aż jęknęły osie, założony był beczkami z prochem. Ale przecież nie zabieramy armaty! – zaprotestowałem.

– Rozkaz szypra – warknął Etien. Odwrócił się do mnie plecami. Jedno spojrzenie na twarz Rovica wystarczyło, by powstrzymać nas od pytania o powód.

Przypomniałem sobie, że będziemy wędrować na szczyt góry. Wóz pełen prochu i zapalony lont wystarczy pchnąć go w dół na wrogą armię, by wygrać bitwę. Ale czy Rovic spodziewał się otwartej walki tak szybko?

Z całą pewnością rozkazy, które wydał pozostającym na statku marynarzom i oficerom wskazywały na to, że właśnie tak było. Mieli zostać na pokładzie Złotego Skoczka, gotowi do natychmiastowej walki lub ucieczki.

O wschodzie słońca odmówiliśmy modlitwę do Bożej Córki i wymaszerowaliśmy z portu. Lekka mgiełka była rozpostarta nad zatoką, błądy sierp Tambura wisiał nad cichym Nikum.

Guzana spotkaliśmy przy świątyni. Dowodził nimi syn Iskilipa, ale księżę ignorował młodzieńca podobnie jak i my. Mieli ze sobą stu ludzi w łuskowatych zbrojach, o ogolonych głowach, pokrytych na całym ciele wizerunkami smoków i burz. Pierwsze promienie słońca lśniły na obsydianowych ostrzach włóczy. Obserwowano nasze nadejście w milczeniu. Ale kiedy zbliżyliśmy się do tej bezładnej chmary, Guzan podszedł do nas. On też cały był okryty skórą i trzymał miecz, który dostał od Rovica na Yarik. Rosa migotała na piórach jego płaszcza.

– Co macie na tym wozie? – zapytał. – Żywność – odparł Rovic.

– Na cztery dni?

– Odeślij do domu wszystkich z wyjątkiem dziesięciu twoich ludzi – powiedział chłodno Rovic – a ja odeślę ten wóz.

Zmierzyli się wzrokiem, aż wreszcie Guzan odwrócił się i dał rozkaz wymarszu. Ruszyliśmy – grupka Montaliriańczyków, otoczona pogańskimi wojownikami. Przed nami rozciągała się dżungla, morze zieleni, wznoszące się do połowy stoku Ulas. Wyżej były już tylko nagie czarne skały, uwieńczone czapą śniegu wokół dymiącego krateru.

Val Nira szedł między Rovicem a Guzanem. Dziwne, pomyślałem, że wygnaniec Boga był taki skurczony. Powinien iść potężny i wyniosły, z gwiazdą nad czołem. Przez cały dzień, w nocy, gdy rozbiliśmy obóz i znów następnego dnia Rovic i Froad wypytywali go o jego rodzinne strony. Nie słyszałem wszystkiego, bo musiałem, kiedy przypadła moja kolej, ciągnąć wóz wąską, pnącą się w górę, piekielną ścieżyną. Hisagazi nie mają zwierząt pociągowych, więc nie używają kół i nie mają dobrych dróg. Ale to, co usłyszałem wystarczyło, bym długo nie mógł zasnąć.

Cuda, o jakich nie śniło się poetom! Całe miasta mieszczące się w jednej wieży, ponad pół kilometra wysokiej. Światła na niebie, tak że nigdy nie jest naprawdę ciemno, nawet po zachodzie słońca. Pożywienie nie uprawiane w ziemi, ale robione w alchemicznych pracowniach. Najbiedniejszy mieszkaniec ma kilka maszyn, które

służą mu lepiej i pokorniej niż tysiąc niewolników, ma powietrzny wóz, w którym może przez jeden dzień oblecieć cały swój świat, kryształowe okno, w którym pojawiają się obrazy jak w teatrze, by urozmaicić mu wolny czas. Statki krążą między słońcami, wylądowane bogactwem tysiąca planet, a każdy z nich bez broni i straży, bo nie ma tam piratów, a królestwo od dawna jest w tak dobrych stosunkach z innymi państwami gwiazd, że ustały wszystkie wojny. Te inne kraje mają bardziej nadprzyrodzony charakter niż kraj Val Nita, bo narody, które je tworzą nie są ludzkie, chociaż potrafią mówić i myśleć). W tym szczególnym państwie niewiele jest przestępstw. A jeśli coś złego się wydarzy, przestępca zostaje schwytany, ale go nie wieszają ani nie zamykają. Jego umysł zostaje wyleczony z pragnienia łamania prawa i wraca do domu jako szczególnie poważany obywatel, bo wszyscy wiedzą, że już można mu całkowicie ufać. Jeśli chodzi o rząd – ale tego właśnie nie zdołałem usłyszeć. Sądzę, że jest to republika, rządzą wybrani pełni poświęcenia ludzie, dbający o dobrobyt wszystkich. Doprawdy, myślałem, to jest Raj!

Nasi marynarze słuchali z rozdziawionymi ustami. Rovic przyjmował to z rezerwą, ale wciąż przygryzał wąsy. Guzan, który słyszał to już wiele razy, niecierpliwiał się. Wyraźnie nie podobała mu się nasza zażyłość z Val Nirą i łatwość z jaką pojmowaliśmy jego słowa.

Ale w końcu pochodziliśmy z kraju, w którym od dawna popierano rozwój filozofii i wszystkich sztuk mechanicznych. Ja sam, w moim krótkim życiu, byłem świadkiem zastąpienia koła wodnego w rejonach o niewielkiej ilości strumieni przez nowocześniejszy wiatrak. Zegar wahadłowy wynaleziono rok przed moim urodzeniem. Przeczytałem wiele powieści o latających maszynach, które wielu próbowało zbudować. Przyzwyczajeni do tak zawrotnego tempa rozwoju, my, Montaliriańczycy, gotowi byliśmy do zaakceptowania jeszcze śmielszych pomysłów.

W nocy, kiedy siedzieliśmy z Froadem i Etinem przy ognisku, zagadnąłem uczonego co o tym myśli.

– Tak – powiedział – dzisiaj objawiono mi Prawdę. Czy słyszałeś, co mówił człowiek z gwiazd? O trzech prawach ruchu planet wokół słońca i głównym prawie przyciągania, który ten ruch tłumaczy? Na Wszystkich Świętych, to prawo można ująć w jednym krótkim zdaniu, ale trzysta lat minęłoby zanim uczeni doszliby do tego!

Patrzył gdzieś poza płomienie, ogniska, ciemną plamą dżungli i gniewny wulkaniczny blask w górze. Zacząłem go wypytywać. Zostaw go, chłopcze – uciszył

mnie Etien.

Przysunąłem się bliżej masywnej, budzącej zaufanie postaci bosmana. – Co sądzisz o tym wszystkim? – zapytałem cicho. W dżungli coś szemrało i rechotało.

– Ja już jakiś czas temu przestałem myśleć – powiedział. – Po tym dniu na pokładzie, kiedy szyper namówił nas na żeglowanie dalej, choćbyśmy mieli dotrzeć na krawędź świata i spaść z pianą między te gwiazdy... cóż, jestem tylko biednym marynarzem i moja jedyna szansa powrotu do domu to trzymanie się kapitana.

– Nawet jeśli polecą w niebo?

– Może to mniej ryzykowne niż płynięcie dookoła świata. Ten mały staruszek przysięgał, że jego pojazd jest bezpieczny i że wśród słońce nie ma burz.

– Czy wierzysz w to co mówi?

– O tak. Nawet taki prosty stary człowiek jak ja, jeśli poznał w życiu wielu ludzi potrafi wyczuć, że ktoś jest zbyt nieśmiały i pełen entuzjazmu, by kłamać. Nie boję się ludzi w Raju i szyper też się ich nie boi. Tylko w pewien sposób... – Etien potarł dłonią broda, marszcząc brwi. – Chociaż w jakiś sposób, którego nie potrafię zrozumieć, napawają Rovica obawą. Nie obawia się, że przybędą tu zniszczyć nas ogniem i mieczem, ale jest w nich coś, co go niepokoi.

Poczułem jak ziemia zadrżała leciutko. To Ulas. – Zdaje się, że narażamy się na gniew Boga...

– Nie to trapi kapitana. Nigdy nie był przesadnie pobożny. Etien podrapał się, ziewnął i wstał. – Cieszę się, że nigdy nie będę kapitanem. On musi myśleć, co należy zrobić, czas żebyśmy poszli spać.

Ale niewiele spałem tej nocy.

Rovic chyba dobrze wypoczął. Jednak następnego dnia wyglądał mizernie. Zastanawiałem się dlaczego. Czy podejrzewał, że Hisagazi zaatakują nas? Jeśli tak, to dlaczego w ogóle zgodził się iść? W miarę jak zbocze stawało się coraz bardziej strome, coraz trudniej było pchać wózek i moje obawy rozwiały się, bo skupiłem się na łapaniu oddechu.

Jednak kiedy dotarliśmy do Statku, przed wieczorem, zapomniałem o zmęczeniu. Po chóralnych okrzykach zdziwienia, nasi marynarze starali w milczeniu, wsparci na dzidach. Hisagazi ze strachu popadali plackiem na ziemię. Tylko Guzan stał sztywno. Zauważyłem wyraz jego oczu kiedy patrzył na cudowne zjawisko. Wyzierało z nich pożądanie.

Dzikię było to miejsce. Wyszliśmy ponad linię lasu i teren pod nami wyglądał jak zielone morze, zakończone srebrną obwódką oceanu. Dookoła nas leżały w nieładzie czarne głązy, a pod stopami mieliśmy popiół i pył wulkaniczny. Wyżej

urwiska strome ściany skalne, aż do śniegu i dymu wznoszącego się w niebo, były blade i zimne. A tu stał Statek.

Statek był samym pięknem.

Pamiętam. Długością, a raczej wysokością, bo stał na ogonie, równy był naszej karaweli, w kształcie przypominający zakończenie iglicy, jego biel nie straciła połysku po czterdziestu latach: To wszystko. Ale jakże marne są słowa. Jak mogą oddać czystość linii, blask opalizującego metalu, obraz dumnej i pięknej rzeczy, która samym swoim kształtem zdawała się rwać do lotu? Jak można wyczarować nimi urok otaczający statek, którego kil ciął światło gwiazd?

Stałem tam długo. Zaszklily mi się oczy. Wytarłem je, zły, że aż tak byłem poruszony, ale zobaczyłem łzę lśniąca na policzku Rovica. I tylko twarz miał spokojną, a kiedy się odezwał, powiedział jedynie rzeczowym tonem: – Chodźcie, trzeba rozbić obóz.

Wojownicy Hisagazi nie odważyli się podejść bliżej niż kilkadziesiąt metrów do Statku, tak potężnym był dla nich bożkiem. Nasi marynarze również trzymali się z daleka. Ale kiedy zapadła noc i wszystko już było zrobione, Val Nira zaprowadził Rovica, Froada, Guzana i mnie do niezwykłego pojazdu.

Kiedy się zbliżyliśmy, podwójne drzwi z boku otworzyły się bezgłośnie i wysunął się z nich metalowy pomost. Zalany światłem Tambura i odbijający czerwony blask łuny wulkanu, Statek był dla mnie wystarczająco dziwny. Kiedy więc sam otworzył się dla nas, jakby pilnował go jakiś duch, krzyknąłem i uciekłem. Żwir chrząścił pod moimi butami, poczułem zapach siarki.

Ale kiedy dotarłem do krańców obozu, oprzytomniałem na tyle, by się obejrzeć. Statek stał samotny i dostojny. Wróciłem. Jasne, zimne w dotyku płytki oświetlały wnętrze. Val Nira wyjaśnił, że wielki silnik, który wprowadzi Statek w ruch jak skrzat z bajki, zaprzęgnięty do kierata – był nieuszkodzony i mógł dostarczyć mocy, jeśli przesunęłoby się dźwignię. O ile zdołałem zrozumieć to, co powiedział, działało się to przez zamianę metaliczne cząstki soli w światło... właściwie i tak tego nie rozumiem. Rtęć potrzebna była do części sterowniczej, przenoszącej siłę silnika do innego mechanizmu, który unosił statek w góra. Obejrzelismy uszkodzony zbiornik. Doprawdy potężne musiało być uderzenie przy lądowaniu by zgiąć i skręcić tak gruby stop. A jednak Val Nire chroniły niewidzialne siły i reszta Statku niewiele ucierpiała. Val Nira wyciągnął jakieś narzędzia, które strzelały płomieniami, buczały i wirowały i na naszych oczach usunął kilka uszkodzeń. Z pewnością bez trudu mógłby uporać się z reperacją – a wtedy wystarczyłoby wlać rtęć i Statek znów by ożył.

Pokazał nam jeszcze wiele różnych rzeczy. Nie opowiem o tym, bo nawet nie pamiętam dokładnie tych dziwów, me mówiąc już o znalezieniu odpowiednich słów. Siedzieliśmy tam ładnych kilka godzin.

Guzan nie odstępował nas na krok. Chociaż był tam już raz w czasie ceremonii wtajemniczenia, nigdy przedtem nie kazano mu aż tak wiele. A jednak kiedy na niego patrzyłem, wiałem w nim więcej zachłanności niż podziwu.

Bez wątpienia Rovic też to zauważył. Niewiele mogło umknąć jego uwadze. Kiedy wyszliśmy ze Statku nie był tak oszołomiony jak Froad czy ja. Wtedy myślałem, że niepokoił się co wymyślił Guzan. Teraz, wracając do tej chwili, wydaje mi się, że był smutny.

Wszyscy położyliśmy się spać, a on długo jeszcze stał wpatrując się w Statek.

O świcie obudził mnie Etien.

– Wstawaj, chłopcze, mamy robotę. Naładuj pistolety i weź sztylet.

– Co? Co się dzieje?, – wyplątywałem się z oszronionego koca.

– Szyper nic nie mówił, ale najwidoczniej, spodziewa się walki. Idź do wozu i pomóż przesunąć go pod latającą wieżę. – Eden przykucnął przy mnie i powoli powiedział. – Wydaje mi się, że Guzan wpadł na pomysł wymordowania nas wszystkich tutaj na tej górze. Potem może zmusić jednego oficera i kilku marynarzy ze Złotego Skoczka, żeby zawieźli go do Giairu i z powrotem. Reszcie poderzną gardła i po kłopotcie.

Czołgałem się, szczękając zębami. Zabrałem broń i trochę jedzenia ze wspólnego składu. Hisagazi wzięli w podróż suszoną, rybę i rodzaj chleba ze sproszkowanego ziela. Dotarłem do wozu ostatni. Tubylcy posepnie, zbliżali się do nas, niepewni co zamierzamy zrobić.

– Ruszamy, chłopcy – powiedział Rovic. Wydał rozkazy. Czterech mężczyzn zaczęło ciągnąć wóz w stronę lśniącego wśród mgieł Statku. Reszta została z bronią w ręku. Guzan przybiegł do nas od razu z rozespanym Val Nirą. Twarz pociemniała mu z gniewu. Co robicie? – warknął.

Rovic spojrzał na niego spokojnie. – Cóż, panie, ponieważ spędzimy tutaj trochę czasu oglądając Statek...

– Co? – przerwał Guzan. – Jak to? Czy nie zobaczyłaś wystarczająco dużo, jak na pierwszy raz? Musimy wracać do domu i przygotować się do wyprawy po płynny kamień.

– Idź, jeśli chcesz – odparł Rovic. – Ja tu jeszcze trochę zabawię. A ponieważ nie masz do mnie zaufania i ja tobie nie ufam, moi ludzie będą w Statku, gdzie łatwo się w razie potrzeby bronić. Guzan wściekał się i wrzeszczał, ale Rovic przestał zwracać

na niego uwagę. Nasi ludzie nadal pchali wózek po nierównej ziemi. Guzan dał znak swoim włócznikom, którzy zbliżyli się bezładną, ale gotową do walki chmarą. Etien wydał rozkaz. Staraliśmy w szeregu. Pochyliliśmy piki i wycelowaliśmy muszkiety.

Guzan cofnął się. Na jego własnej wyspie pokazaliśmy mu jak działa broń palna. Bez wątpienia mógłby nas pokonać, gdyż było ich więcej, ale poniosłby zbyt duże straty.

– Nie ma o co walczyć, prawda? – powiedział Rovic. – Robię tylko to, co nakazuje rozsądek i ostrożność. Statek jest bardzo cenny. Mógłby dla wszystkich otworzyć wrota Raju... albo dać jednemu panowanie na tej ziemi. Są tacy, którzy woleliby to drugie. Nie pokazuję nikogo palcem, jednak roztropniej będzie jeśli zatrzymam Statek jako zastaw i fortece, dopóki będzie mi się podobało siedzieć tutaj.

Myślę, że wtedy właśnie przekonałem się, jakie były prawdziwe zamiary Guzana. Gdyby szczerze chciał dotrzeć do gwiazd, troszczyłby się jedynie o bezpieczeństwo statku. Nie schwyciłby wątlego Val Niry w swoje potężne łapy i nie ciągnął jak tarczy przed naszymi pociskami. Wściekłość wykrzywiła jego wymalowaną twarz. Wrzasnął do nas: – W takim razie ja też wezmę zakładnika! I nic wam nie pomoże wasze schronienie!

Hisagazi dreptali w pobliżu, mamrocząc i potrząsając włócznikami i toporami, ale nie ruszyli na nas. Szliśmy wśród czarnych skał. Słońce świeciło ostro. Froad tarposił brodę. – Ojej, kapitanie – powiedział – czy sądzisz, że przystąpią do oblężenia?

– Nie radziłbym nikomu oddalać się od grupy – odparł sucho Rovic.

– Ale bez Val Niry i jego wyjaśnień cóż przyjdzie nam z siedzenia w Statku? Najlepiej wracajmy. Muszę zajrzeć do matematycznych ksiąg – ciągle kołacze mi się w głowie to prawo o obrocie planet – muszę zapytać tego człowieka z gwiazd co wie

..

Rovic przerwał mu, opryskliwie wydając rozkaz trzem ludziom, by pomogli podnieść koło, które utknęło między kamieniami. Był w złym humorze. Przyznaję, że jego postępowanie wydawało mi się szalone. Gdyby Guzan coś knuł, niewiele zyskalibyśmy zamykając się w Statku, gdzie czekałby nas głód. Lepiej było walczyć na otwartej przestrzeni, gdzie mielibyśmy szansę się przebić! Z drugiej strony, gdyby Guzan nie miał zamiaru na nas napaść, prowokowanie go nie miało żadnego sensu. Ale nie odważyłem się pytać.

Kiedy przyciągnęliśmy wózek do Statku, znowu wysunął się dla nas pomost.

Marynarze zatrzymali się, wykrzykując przekleństwa.

– Spokojnie, chłopcy – uciszał ich Rovic. – Ja już bytem w środku. Tam nie ma nic złego. Teraz trzeba przenieść tam proch i rozmieścić go tak jak ustaliłem.

Nie należałem do najsilniejszych, więc nie wyznaczono mnie do noszenia ciężkich beczek, ale postawiono na warcie przy pomoście. Byliśmy zbyt daleko od Hisagazi, żebym mógł odróżnić słowa, ale widziałem jak Guzan wszedł na skałę i przemawiał do nich. Potrząsali bronią i krzyczeli. Jednak nie odważyli się zaatakować. Próbowałem zrozumieć co się dzieje. Jeśli Rovic przewidział, że będą oblegać Statek, to wyjaśniałoby dlaczego zabrał tyle prochu... nie, to nie to, bo prochu było więcej niż dwunastu ludzi mogło zużyć w ciągu tygodnia nieustannego strzelania... i nie mieliśmy prawie wcale jedzenia! Spojrzałem na trujące chmury nad wulkanem, na Tambura, na którym szalały straszliwe burze i zastanawiałem się jakie demony przybyły stamtąd by opętać ludzi.

Oprzytomniałem słysząc ze środka czyjś oburzony krzyk. Froad! Już chciałem tam pobiec, ale przypomniałem sobie o powierzonym mi zadaniu. Słyszałem jak Rovic huknął na niego i kazał ludziom robić coś dalej. Froad i Rovic poszli chyba do kabiny pilota i gadali przez ponad godzinę. Kiedy starzec wyszedł, już nie protestował. Ale schodząc z pomostu płakał.

Za nim wyszedł Rovic i nigdy nie widziałem, żeby ktoś miał bardziej ponurą twarz niż on wtedy. Za nim wysypali się z wnętrza marynarze, niektórzy przerażeni, niektórzy wzdychali z ulgą. To byli prości marynarze. Statek nie znaczył dla nich wiele, było to tylko coś obcego i niepokojącego. Ostatni wyłonił się Etien. Rozwijał po drodze długi sznurek.

– Utworzyć czworobok – wrzasnął Rovic. Ludzie zajęli swoje miejsca. – Froad i Zhean – dowiedział kapitan – lepiej stańcie w środku. Nadajecie się bardziej do niesienia amunicji niż do walki. – Sam stanął na czele.

Pociągnąłem Froada za rękaw. – Proszę mi powiedzieć co się dzieje? – Ale był tak zapłakany, że nie mógł mówić.

Etien kucnął z krzemieniem w rękę. Usłyszał mnie, bo wszyscy stali w grobowym milczeniu. Powiedział twardo: – Rozłożyliśmy proch i lont w całym statku.

Nie byłem w stanie mówić, myśleć, takie to było potworne. Jakby z daleka usłyszałem trzask stali o kamień, słyszałem jak Etien dmucha na iskrę i mówi: – Myślę, że to dobry pomysł. Powiedziałem, że pójdę za kapitanem nie bacząc na gniew Boga – ale lepiej nie drażnić Go za bardzo.

– Naprzód marsz! – Rovic wyciągnął szpadę.

Szliśmy szybko, a nasze buty skrzypiały głośno i strasznie. Nie oglądałem się za siebie. Nie mogłem. Nadal czułem się jak w koszmarnym śnie. Guzan i tak me pozwolilby nam przejść, więc ruszyliśmy prosto na nich. Wyszedł naprzód, kiedy zatrzymaliśmy się przed obozem. Usłyszałem niewyraźnie jego słowa:

– No co, Rovic, co teraz? Gotowy jesteś do powrotu? – Tak – powiedział kapitan.
– Wracamy do domu.

Guzan zmrużył oczy, coś przeczuwając. – Dlaczego zostawiliście wasz wózek? Co w nim jest?

– Zapasy. Idziemy.

Val Nira nie odrywał wzroku od naszych złowrogich pik. Z trudem wydobył z siebie głos – O czym wy mówicie? Po co zostawiać tutaj jedzenie? Będzie się psuło aż...aż... – Urwał spojrzawszy Rovicowi prosto w oczy. Zbladł.

– Coś zrobił? – szepnął.

Nagle Rovic zakrył twarz dłonią. – To co musiałem – powiedział stłumionym głosem. – Córko Boga, wybacz mi.

Człowiek z gwiazd patrzył na nas przez chwile. Potem odwrócił się i zaczął biec. Obok zaskoczonych wojowników, po zapyłonym stoku, do Statku.

– Wracaj ! – ryknął Rovic. – Ty idioto, nigdy...

Spoglądał na małą, samotną postać i opuścił ręce. – Może tak będzie najlepiej – powiedział.

Guzan uniósł szpadę. W łuskowatym płaszczu z powiewającymi piórami wyglądał równie imponująco jak zakuty w stal Rovic. Powiedz mi co zrobiłeś – warknął – albo w jednej chwili zetnę ci głowę!

Nie zwracał uwagi na nasze muszkiety. On też miał swoje marzenie.

On też zobaczył, że już się nie spełnią, kiedy Statek eksplodował.

Nawet ten nieugięty pojazd nie mógł być silniejszy niż kilka beczek starannie rozłokowaneo prochu. Rozległ się huk, który zwałił mnie na kolana i kadłub pękł na pół. Białe kawały metalu rozprysły się po stoku. Widziałem jak jeden z nich uderzył w wielki głaz i rozbił go na części. Val Nira zniknął, zginął zanim zobaczył co się stało; więc w końcu Bóg ulitował się nad nim. Przez płomienie i dym , i piekielny hałas dostrzegłem jak Statek pada. Toczył się w dół, rozsypując swoje własne poszarpane wnętrzości. Góra zagrzmiała, poruszyła się i pochowała Statek w swym wnętrzu. Pył wzbił się w niebo.

To wszystko co miałem odwagę zapamiętać.

Hisagazi wrzeszcząc uciekli. Pewnie myśleli, że to koniec świata. Guzan stał w miejscu. Kiedy pył okrył nas i grób Statku i biały krater wulkanu, skoczył na

Rovica. Muszkieter uniósł swą bron. Etien powstrzymał go. Staliśmy przyglądając się walce dwóch mężczyzn i wiedzieliśmy, że muszą to rozegrać sami. Szczękały ostrza i leciały iskry. Wreszcie zwyciężyła wprawa Rovica. Trafił Guzana w gardło.

Pochowaliśmy Guzana i ruszyliśmy przez dżungłę.

Tej nocy wojownicy pozbiali się na tyle, by nas zaatakować. Musieliśmy bronić się szpadami i pikami. Przerąbaliśmy sobie przez nich drogę w stronę morza.

Zrezygnowali z dalszej walki i pośpieszyli uprzedzić mieszkańców miasta. Kiedy dotarliśmy do Nikum, wszystkie siły Iskilipa otaczały Złotego Skoczka czekając na nas. Znowu utworzyliśmy czworobok. Straciliśmy sześciu dobrych ludzi na poczerwieniałych ulicach. Kiedy nasi na statku zorientowali się, że Rovic wraca, zbombardowali miasto. To zapaliło dachy domów i odwróciło uwagę na tyle; że pomoc ze statku mogła do nas dołączyć. Przedarliśmy się do mola i weszliśmy na pokład.

Rozwścieczeni i odważni Hisagazi płynęli czołnami. Wspinali się jeden na drugiego i sporej grupie udało się wdrzeć na statek. Dopiero po zacieklej walce oczyściliśmy z nich , pokład. Wtedy właśnie uszkodziłem sobie kręgi szyi, które do dzisiaj dają mi się we znaki.

Wreszcie wyszliśmy z zatoki. Wiał wschodni wiatr. Rozwinęliśmy wszystkie żagle i umknęliśmy pogoni. Policzyliśmy zabitych, opatrzyliśmy rany i poszliśmy spać.

O świcie, zbudzony bólem ramienia i o wiele gorszym bólem w środku, wdrapałem się do nadbudówki. Niebo było zachmurzone. Wiatr się wzmagał. Zimne i spienione, zielone morze ciągnęło się aż po chmurnie szary horyzont. Maszty skrzypiały, liny piszczwały. Stałem tak godzina na chłodnym wietrze, uśmierającym ból.

Usłyszałem za sobą kroki. Nie odwróciłem się. Wiedziałem, że to Rovic. Stał przez chwilę w milczeniu. Zauważyłem, że zaczyna siwieć.

W końcu nie patrząc na mnie, powiedział: – Rozmawiałem z Froadem, tego dnia. Zasmucił się, ale przyznał mi rację. Czy mówił ci coś o tym?

– Nie.

– Żaden z nas nigdy nie będzie miał ochoty o tym opowiadać. Po jakimś czasie odezwał się znowu: – Nie bałem się, że Guzan czy ktoś inny zagarnie Statek i spróbuje podbić świat. My Montaliriańczycy poradzilibyśmy sobie z takim łajdakiem. Nie bałem się też mieszkańców Raju. Ten nieszczęsny staruszek nie mógł kłamać. Nigdy nie zrobiliby nam krzywdy... rozmyślnie. Przywieźliby cenne

podarki, nauczyli nas wiele i pozwolili zwiedzić ich gwiazdy.

– Wiec dlaczego?

– Któregoś dnia następcy Froada rozwiążą zagadki wszechświata – powiedział.

– Kiedyś nasi potomkowie zbudują swój własny statek i wyruszą tam gdzie zapragną.

Spieniona woda odbijała się od burty. Mgiełka kropel zmoczyła nam włosy. Czulem smak soli na wargach.

– Zanim to nastąpi – ciągnął Rovic – przepłyniemy morza tej ziemi wzdłuż i wszerz, wejdziemy na góry, oswoimy tę ziemię, poznamy i zrozumiemy. Pojmujesz, Zhean? To właśnie odebrałby nam Statek.

Wtedy ja też mogłem zapłakać. Położył raka na moim zdrowym ramieniu i staliśmy tak razem, a Żółty Skoczek pod pełnymi żaglami sunął na zachód.

Tłumaczyła: Anna Miklińska

Nie będzie rozejmu z Władcami

- Piosenka, Charlie! Zaśpiewaj nam coś!

- Jasne, Charlie!

Wszyscy w mesie byli pijani, a młodszy oficerowie zajmujący dalsze miejsca przy stole zachowywali się tylko odrobinę głośniejsze niż ich przełożeni siedzący blisko pułkownika. Dywany i kotary w niewielkim tylko stopniu tłumili harmider, ciężkie odgłosy kroków, uderzenia pięści o dębowe stoły i brzęk unoszonych kielichów, które echem odbijały się od jednej kamiennej ściany do drugiej. W górze, wśród cieni, co skrywały krokwie stropu, sztandary pułkowe trzepotały lekko poruszane przeciągiem, jak gdyby one też chciały przyłączyć się do ogólnego zamieszania. W dole przymocowane do ścian latarnie i trzaskający kominek słały migotliwe światło na trofea i broń.

Jesień wcześniej przychodzi na Górę Echa; nastał już czas burz, z których jedna szalała właśnie świszcząc wiatrem między wieżami strażniczymi, siekąc ulewą podwórka, jęcząc głucho wśród budynków i korytarzy, jakby to była prawda, że zmarli, którzy kiedyś służyli w Trzeciej Dywizji, wychodzą z cmentarzy każdego 19 września, by przyłączyć się do świętowania, ale zapomnieli już, jak to się robi. Nikt się tym nie przejmował, zarówno tutaj, jak i w koszarach szeregowych, może poza majorem czarowników. Trzecia Dywizja, czyli Pantery, znana była jako najbardziej rozbrykany oddział w armii Pacyficznych Stanów Ameryki, a spośród jej pułków Włóczykije, którzy trzymali Fort Nakamura, należeli do najdzikszych.

- No, jazda, chłopcze! Zaczynaj! Jeśli ktoś tutaj, w tej przeklętej Sierra, ma jakiś taki głos, to ty - wołał pułkownik Mackenzie. Poluzował kołnierzyk swej czarnej kurtki mundurowej, wyciągnął nogi i rozparł się na krześle trzymając w jednej ręce fajkę, a w drugiej szklankę whisky. Był to mocno zbudowany mężczyzna o niebieskich oczach w siateczce zmarszczek na pokierszowanej twarzy; krótko przystrzyżone włosy przyprószyła już siwizna, ale wąsy nadal były wyzywająco rude.

- „Charlie to mój kochaś, mój kochaś, mój kochaś” - zanucił kapitan Hulse. Przerwał, gdy gwar ucichł nieco. Młody porucznik Amadeo podniósł się, uśmiechnął i zaintonował inną piosenkę, którą wszyscy dobrze znali.

*... Jestem Pantera pod granicznym słupem,
Na każdym patrolu mróz mnie szczypie w...*

- Bardzo przepraszam, panie pułkowniku...

Mackenzie obrócił się i napotkał wzrok sierżanta Irwina. Doznał wstrząsu na widok twarzy tamtego.

- Słucham, sierżancie?

... Pierś ma w orderach cholerny bohater:

Szkarłatna strzała i wiązka granatów!

- Właśnie otrzymaliśmy wiadomość. Major Speyer prosi, by pan natychmiast przyszedł.

Speyer, który nie lubił się upijać, sam zgłosił się do dzisiejszej służby; poza tym wyjątkiem służbę w święta rozdzielano drogą losowania. Na wspomnienie ostatnich informacji z San Francisco Mackenzie poczuł, jak przejmuje go dreszcz.

Cała mesa ryczała refren, nie zwracając uwagi, że pułkownik zgasił fajkę i wstał z miejsca.

... Działa bum! Hej, bum, bum i bum!

Rakiety trach! Pocisków szum.

Ciasno nam tu, bo kulek tłum,

Chcę do mamy cieplej wracać, źle mi tu!

(I tru tu, tu, tu!)

Wszystkie prawowierne Pantery nie miały wątpliwości, że w działaniach potrafią się sprawić lepiej, nawet gdyby woda przelewała im się uszami, niż dowolny inny oddział na trzeźwo. Mackenzie ignorował świerzbienie w tętnicach; zapomniał o nim. Równym krokiem poszedł w kierunku drzwi, automatycznie zdejmując broń boczną ze stojaka, gdy go mijał. Piosenka ścigała go aż na korytarz.

... Wciąż robaki fasujemy, rzadko ich brak,

Wgryzasz się w kanapkę, a ona ciebie chap?

Nasza kawa prima sort: „Sacramento zlew”,

Ale ketchup dobry w boju, całkiem jak krew.

(Chór:)

Werbel gra, trata tata ta,

Trąbka wola jak capstrzyk archaniola.

Korytarz oświetlały z rzadka rozmieszczone lampy. Portrety poprzednich dowódców obserwowały pułkownika i sierżanta oczyma, które skrywała groteskowa ciemność. Tutaj nawet odgłos kroków był zbyt głośny.

*... W zadku strzałę masz,
w tył zwrot, wycofać się, biegiem marsz!
(I trata tata ta!)*

Mackenzie wszedł pomiędzy dwa działa stojące u wejścia na klatkę schodową, zdobyte pod Rock Springs podczas Wojny o Wyoming jeszcze za życia poprzedniego pokolenia. Ruszył schodami w górę. W tej twierdzy było wszędzie za daleko jak na jego stare nogi. Ale twierdza liczyła sobie wiele dziesiątków lat, podczas których rozbudowywano ją stopniowo; a musiała być potężna, wykuta i wybudowana z granitu Sierry, skoro broniła dojścia do całego kraju. Niejedna armia połamała sobie zęby na jej murach, dopóki nie spacyfikowano kresów Nevady; Mackenzie wolał też nie myśleć, ilu młodych ludzi wyszło z tej bazy, by zginąć od gniewu obcych.

Ale nigdy dotąd nie atakowano jej z zachodu. Boże, kimkolwiek jesteś, przecież mógłbyś jej tego oszczędzić, prawda?

O tej godzinie biuro dowodzenia świeciło pustką. Pokój, w którym stało biurko sierżanta Irwina, aż raził ciszą: nie było ani urzędników skrobiących piórami, ani przychodzących i wychodzących łączników, ani żon ubarwiających swymi sukienkami otoczenie, jak wtedy, gdy w wiosce czekały na pułkownika w jakiejś sprawie. Kiedy jednak Mackenzie otworzył drzwi do gabinetu, usłyszał wycie wichru uderzającego o róg budynku. O czarną szybę siekł deszcz, a potem spływał po niej strumieniami, którym lampy nadawały wygląd roztopionego metalu.

- Panie majorze, przyszedł pan pułkownik - powiedział Irwin chrapliwym głosem. Przełknął ślinę i zamknął drzwi za Mackenzie.

Speyer stał obok biurka dowódcy. Był to poharatany stary mebel, na którym stało niewiele przedmiotów: kałamarz, koszyk na korespondencję, interfon, fotografia Nory, która zdążyła już wyblaknąć przez te kilkanaście lat od jej śmierci. Major był wysoki i szczupły: nos miał zakrzywiony, a na czubku głowy łysinę. Jakimś sposobem jego mundur zawsze wyglądał tak, jakby domagał się prasowania. Ale miał najbystrzejszy umysł ze wszystkich Panter, pomyślał Mackenzie, a poza tym, Chryste, który człowiek potrafiłby przeczytać tyle książek, ile zaliczył Phil! Oficjalnie był adiutantem pułkownika, w praktyce zaś jego

głównym doradcą.

- No, więc? - odezwał się Mackenzie. Nie czuł żadnej otepiałości spowodowanej alkoholem; więcej nawet: alkohol skierował jego percepcję na gorącą woń lamp, (kiedy nareszcie dostaną taki generator, by założyć światło elektryczne), na twardą podłogę pod stopami, na pęknięcie przebiegające przez tynk na całej północnej ścianie, na to, że piecyk niewiele pomaga na panujący w pomieszczeniu chłód. Zmusił się do agresywności, zatknął kciuki za pas i zaczął balansować na obcasach.

- No, Phil, co cię teraz trapi?

- Depesza z Frisco - odparł Speyer. Cały czas składał i rozkładał kartkę papieru, którą teraz wręczył pułkownikowi.

- Co takiego? Dlaczego nie przez radio?

- Telegram trudniej przechwycić. A depesza jest poza tym szyfrowana. Irwin mi ją odczytał.

- Cóż to u diabła za idiotyzm.

- Sam popatrz, Jimbo, to się dowiesz. I tak adresowana jest do ciebie. Prosto z kwatery głównej.

Mackenzie skupił wzrok na słowach napisanych ręką Irwina. Na początku zwykły wstęp, potem zaś: Niniejszym informuje się, że Senat Stanów Pacyficznych przegłosował ustawę o pozbawieniu funkcji Owena Brodsky'ego, byłego sędziego Stanów Pacyficznych Ameryki, i usunął go ze stanowiska. Od godziny 20.00 dnia dzisiejszego, zgodnie z ustawą o sukcesji poprzedni wice sędzia Fallon jest sędzią SPA. Wystąpienie elementów dysydenckich, stanowiących zagrożenie dla porządku publicznego, zmusiło sędziego Fallona do wprowadzenia stanu wojennego na terenie całego kraju, poczynając od godziny 21.00 dnia dzisiejszego. W związku z tym przekazuje się następujące instrukcje:

1. Powyższe informacje są całkowicie poufne do chwili ogłoszenia oficjalnego komunikatu. Nikt, kto je uzyskał podczas ich przekazywania, nie ma prawa ich rozpowszechniać. Winni pogwałcenia tego rozkazu oraz ci, którzy w ten sposób wymienione informacje otrzymali, mają zostać odizolowani i oczekiwać sądu wojennego.

2. Należy zmagazynować wydaną broń, z wyjątkiem dziesięciu procent stanu, i trzymać ją pod wzmocnioną strażą.

3. Należy zatrzymać wszystkich ludzi w Forcie Nakamura do chwili przyjazdu nowego dowódcy. Nowym dowódcą mianowany został pułkownik Simon Hollis, który wyruszy jutro rano z San Francisco z jednym batalionem wojska. Powinni dotrzeć do Fortu Nakamura w ciągu pięciu dni; wówczas przekaże mu pan

dowództwo. Pułkownik Hollis wskaże tych oficerów i żołnierzy, których zastąpią ludzie z jego batalionu; ma on być włączony do pułku. Ludzi, którzy zostali zwolnieni, doprowadzi pan do San Francisco i zamelduje się pan z nimi u generała brygady Mendozy w Nowym Forcie Baker. Aby uniknąć prowokacji, ludzie ci mają być bez broni poza boczną bronią oficerów.

4. Do pańskiej prywatnej informacji: kapitan Thomas Danielis został wyznaczony głównym doradcą pułkownika Hollisa.

5. Jeszcze raz przypomina się, że Stany Pacyficzne Ameryki znajdują się w stanie wojennym ze względu na zagrożenie państwa. Wszystkie buntownicze rozmowy muszą być surowo karane. Ktokolwiek udzieli jakiegokolwiek pomocy czy poparcia frakcji Brodsky'ego, zostanie uznany winnym zdrady stanu i odpowiednio potraktowany.

gen. Gerald O'Donnell

Głównodowodzący sił zbrojnych PSA

Po górach przetoczył się grzmot niczym łoskot dział. Minęła dłuższa chwila, nim Mackenzie poruszył się, a i to tylko w tym celu, by odłożyć kartkę na biurko. Czucie wracało doń powoli, wypełniając pustkę, którą miał pod skórą.

- Odważyli się jednak - rzekł beznamiętnie Speyer. - I rzeczywiście to zrobili.

- Co takiego? - Mackenzie przeniósł wzrok na twarz majora. Ale Speyer nie patrzył na niego; uwagę skupił na dłoniach skręcających papierosa. Słowa jednak wylatywały mu z ust, ostro i szybko:

- Mogę się domyślić, jak to było. Jastrzębie krzyczały, żeby go usunąć, od kiedy zawarł ten kompromis graniczny z Kanadą Zachodnią. A Fallon, o tak, ten ma własne ambicje. Ale jego bojówkarze są w mniejszości i on dobrze o tym wie. Jego wybór na wice trochę uspokoił jastrzębie, ale w normalny sposób nigdy by nie został sędzią, bo Brodsky śmiało przeżyje Fallona, a zresztą ponad połowa senatu to rozsądni, zadowoleni z życia szefowie, którym ani w głowie myśl, że to Stanom Pacyficznym niebiosy wyznaczyły misję zjednoczenia kontynentu. Nie wyobrażam sobie, aby wniosek o pozbawienie urzędu mógł przejść przez ucziwie zwołany senat. Prędzej by wyrzucili Fallona.

- Ale senat jednak został zwołany - rzekł Mackenzie. Słowa dochodziły jego uszu, jakby wypowiadał je ktoś inny. - O tym było w wiadomościach.

- Jasne. Zwołano go na wczoraj, aby „omówić ratyfikację traktatu z Kanadą Zachodnią”. Ale szefowie są rozrzućeni po całym kraju, każdy w swej stacji. Muszą

się jakoś dostać do San Francisco. Wystarczy zmontować kilka spóźnień... do cholery, przecież gdyby most na linii kolejowej Boise wyleciał przypadkiem w powietrze, równy tuzin najgorętszych obrońców Brodsky'ego nie zdążyłby na czas. I wtedy senat ma kworum, a jakże, tylko, że wśród obecnych są wszyscy zwolennicy Fallona, a tak wielu spośród pozostałych brakuje, że jastrzębie są w wyraźnej większości. No i spotkanie odbywa się w święto, kiedy żaden mieszczuch na nic nie zwraca uwagi. I wtedy - pstryk! - i mamy pozbawienie urzędu i nowego sędziego! - Speyer skończył skręcać papierosa, po czym wetknął go między zęby szukając zapalek. Widać było drgające mięśnie jego szczęki.

- Jesteś pewien? - wymamrotał Mackenzie. Jak przez mgłę przypominał sobie podobny wieczór, kiedy wizytował Puget City, a Kurator zaprosił go na swój jacht. Wówczas otoczyła go mgła; było ciemno i zimno, ale nic uchwytnego.

- Oczywiście, że nie jestem pewien! - warknął Speyer. - Nikt nie może mieć jeszcze pewności... a potem będzie już za późno. - Zapalka zadrzęła mu w palcach.

- Jak widzę, mają już i nowego wodza.

- Aha. Chcą zastąpić wszystkich, którym nie ufają, i to najprędzej, jak można. De Barros był mianowany przez Brodsky'ego. - Zapalka zapłonęła z piekielnym trzaskiem. Speyer zaciągnął się, aż policzki mu się zapadły. - To, oczywiście, i nas dotyczy. Pułk ma być prawie bez broni, aby nikomu nie wpadło do głowy stawiać oporu, kiedy pojawi się nowy pułkownik. Zwróć uwagę, że i tak maszeruje z całym batalionem deptającym mu po piętach, na wszelki wypadek. Przecież sam mógłby tu przybyć samolotem.

- A czemu nie pociągiem? - Mackenzie pochwycił woń dymu i zaczął szukać fajki. Leżała w kieszeni kurtki; cybuch był jeszcze rozgrzany.

- Cały tabor kolejowy został pewnie skierowany na północ, z wojskiem, które ma zapobiec rewolcie tamtejszych szefów. W dolinach jest stosunkowo bezpiecznie: sami pokojowo nastawieni ranczerzy i kolonie Esperów. Żaden z nich nie wystrzelił do żołnierzy Fallona maszerujących, by obsadzić placówki na Echu i Donnerze. - W słowach Speyera słychać było przerażającą pogardę.

- Co teraz zrobimy?

- Zakładam, że przejście władzy przez Fallona nastąpiło w majestacie prawa; że kworum się zebrało - odrzekł Speyer. - Nikt już potem nie dojdzie, czy odbyło się to w zgodzie z konstytucją... Czytam tę cholerną depeszę raz po raz, od chwili, gdy Irwin ją odszyfrował. Można się z niej wiele dowiedzieć między wierszami. Myślę, na przykład, że Brodsky jest na wolności. Gdyby został aresztowany, byłoby to jasno stwierdzone, a poza tym mniej by się obawiano buntu. Może jakieś wierne

mu oddziały ukryły go w porę. Oczywiście będą go ścigać do upadłego.

Mackenzie wyjął fajkę, lecz od razu o tym zapomniał. - Tom przybywa z tymi, którzy mają nas zmienić - rzekł cicho.

- Właśnie. Twój zięć. Ładna zagrywka, nie? W pewnym sensie zakładnik, który ma zagwarantować twoje posłuszeństwo, ale też i ukryte przyrzeczenie, że ty i twoja rodzina nie doznacie krzywdy, jeśli zameldujesz się zgodnie z rozkazem. Tom to dobry chłopak, lojalny wobec swoich.

- To jest również jego pułk - powiedział Mackenzie. Wyprostował ramiona. - Jasne, on chciał wojny z Kanadą Zachodnią. Jest młody i... a wielu Pacyfikańczyków zginęło w Enklawie Idaho podczas zamieszek. Także kobiety i dzieci.

- Hmmm - mruknął Speyer - jesteś dowódcą, Jimbo. Co mamy robić?

- Jezu, a skąd mam wiedzieć? Jestem tylko żołnierzem. - Ustnik fajki trzasnął w uścisku palców pułkownika. - Ale w każdym razie nie jesteśmy tu po to, aby bronić osobistych interesów jakiegoś szefa. Przysięgaliśmy bronić konstytucji.

- Nie wydaje mi się, aby ustępstwa Brodsky'ego w sprawie Idaho stanowiły wystarczający powód do pozbawienia go urzędu. Myślę, że miał wtedy słuszość.

- Nooo...

- Zamach stanu w każdej formie byłby równie śmierzącą sprawą. Może nie zaprzętałeś sobie głowy ostatnimi wydarzeniami, Jimbo, ale wiesz tak samo dobrze jak ja, co oznacza postawienie Fallona w roli sędziego. Wojna z Kanadą Zachodnią to jeszcze najmniejsze. Fallon jest również zwolennikiem silnej władzy centralnej. Znajdzie sposób okiełznania starych rodzin szefowskich. Wielu spośród ich przywódców i potomków zginie w pierwszych szeregach na froncie; ten chwyt sięga jeszcze czasów Dawida i Uriasza. Innych oskarży się o spiskowanie ze zwolennikami Brodsky'ego - co niezupełnie będzie niezgodne z prawdą - i zrujnuje karami pieniężnymi. Osady Esperów otrzymają nowe ładne przydziały ziemi, tak, aby w konkurencji gospodarczej mogły doprowadzić do bankructwa inne majątki. Później wojny odwrócą uwagę poszczególnych szefów na wiele lat i nie będą oni mogli zajmować się własnymi sprawami, które w ten sposób szlag trafi. I tak to rozpoczniemy marsz wielkimi krokami ku zjednoczeniu.

- Skoro Centrala Esperów go popiera, to, co możemy zrobić? Wiele słyszałem o uderzeniach psychotronicznych. Nie mogę zmuszać moich ludzi, by się na nie narażali.

- Możesz nawet kazać im stawić czoła bombie atomowej, Jimbo, i oni to zrobią. Przez ostatnie pięćdziesiąt lat zawsze jakiś Mackenzie dowodził Włóczykijami.

- Tak. Myślałem, że może kiedyś Tom...

- Od jakiegoś czasu było widać, na co się zanosí. Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy w zeszłym tygodniu?

- Mhm.

- Mógłbym również ci przypomnieć, że w konstytucji zapisane jest wyraźnie „potwierdzenie odwiecznych swobód poszczególnych regionów”.

- Odczep się! - wykrzyknął Mackenzie. - Mówię ci, że sam już nie wiem, co jest słuszne, a co nie. Daj mi spokój!

Speyer zamilkł patrząc na niego spoza zasłony gryzącego dymu. Mackenzie przechadzał się jakiś czas po pokoju waląc butami w podłogę jak w bęben. W końcu cisnął fajkę, która roztrzaskała się o przeciwległą ścianę.

- No, dobrze. - Słowa jego jak taran przebijały się przez ściśnięte gardło. - Irwin to porządny facet, który umie trzymać język za zębami. Poślij go, aby przeciął przewody telegraficzne kilka kilometrów od twierdzy. Niech tak to zrobi, żeby wyglądało na burzę. Bóg jeden wie, że druty często pękają. A więc oficjalnie - depesza z Kwatery Głównej nigdy do nas nie dotarła. To daje nam parę dni na skontaktowanie się z dowództwem Sierry. Nie wystąpię przeciwko generałowi Cruikshankowi... ale dobrze wiem, za kim stanie, jeśli zobaczy taką możliwość. Jutro przygotujemy się do akcji. Nietrudno będzie przegonić batalion Hollisa, a poważniejsze siły zdolają wysłać przeciw nam dopiero za jakiś czas. Do tej pory pojawi się pierwszy śnieg i zostaniemy na zimę odcięci od reszty kraju. Tylko my potrafimy używać nart i rakiet śnieżnych i będziemy mogli utrzymywać ze sobą kontakty, coś zorganizować. A na wiosnę... zobaczymy, co będzie.

- Dziękuję ci, Jimbo. - Wiatr nieomal zagłuszył słowa Speyera.

- Pójdę... pójdę powiedzieć Laurze.

- Taak. - Speyer uściśnął ramię pułkownika. W oczach majora widać było łzy.

Mackenzie wyszedł krokiem defiladowym nie zwracając uwagi na Irwina; szedł korytarzem, potem schodami na niższe piętro, obok drzwi pod strażą, która oddała mu honory. Odwzajemnił je machinalnie i wkrótce znalazł się we własnej kwaterze w południowym skrzydle.

Jego córka już spała. Zdjął z haka wiszącą w salonie lampę i wszedł do pokoju Laury. Przebywała już jakiś czas w twierdzy zostawiwszy męża w San Francisco.

Przez moment Mackenzie usiłował sobie przypomnieć, po co właściwie posłał tam Toma. Przesunął dłonią po sterczącym jeżu na głowie, jakby chciał coś z tej głowy wycisnąć... a, tak: oficjalnie chodziło o załatwienie nowej dostawy umundurowania, a w rzeczywistości o usunięcie chłopaka z drogi, póki kryzys

polityczny się nie przesili. Tom był tak uczciwy, że rzadko mu to wychodziło na dobre; podziwiał Fallona i ruch Esperów. Nigdy nie owijał w bawełnę, toteż często miał konflikty z innymi oficerami, którzy pochodzili głównie z rodzin szefowskich czy też protegowanych i istniejący porządek społeczny im odpowiadał. Ale Tom Danielis zaczynał życie jako rybak w ubogiej wiosce na wybrzeżu, Mendocino. W wolnych chwilach miejscowy Esper nauczył go czytać, pisać i rachować. Z tymi umiejętnościami Tom wstąpił do wojska i awansował na oficera dzięki wytrwałości i rozumowi. Nigdy nie zapomniał, że Esperzy pomagają biednym, a Fallon obiecał pomóc Esperom... Poza tym wojaczka, chwała, zjednoczenie, demokracja federalna to zawsze podniecające marzenia, kiedy się jest młodym.

Pokój Laury niewiele się zmienił, od kiedy opuściła go w zeszłym roku, by poślubić Toma. A miała wtedy ledwie siedemnaście lat. Przetrwały tu przedmioty, które należały do małej dziewczynki z kucykami i w fartuszkach: miś, który od nadmiaru miłości stracił swój pierwotny kształt, domek dla lalek zbudowany przez ojca, portret matki narysowany przez kaprala, który stanął na drodze kuli w Salt Lake. Boże, jaka stała się podobna do matki.

Na złotej od światła lampy poduszce leżały czarne włosy Laury. Mackenzie potrząsnął ją najłagodniej, jak potrafił. Obudziła się natychmiast; dojrzał w jej oczach przerażenie.

- Tato! Coś z Tomem.

- Nic się nie stało. - Mackenzie postawił lampę na podłodze, a sam usiadł na skraju łóżka. Poczłł chłód jej palców, gdy uchwycił jego dłoń.

- Nieprawda - odrzekła. - Znam cię zbyt dobrze.

- Jeszcze mu się nic nie stało. I mam nadzieję, że się nie stanie.

Mackenzie zebrał się w sobie. Ponieważ mówił do córki żołnierza, powiedział jej prawdę w niewielu słowach. Nie czuł się jednak na siłach spojrzeć jej przez ten cały czas w oczy. Gdy skończył, siedział w tępy milczeniu słuchając deszczu.

- Chcesz się zbuntować - szepnęła.

- Skonsultuję się z dowództwem Sierry i będę wykonywał rozkazy mego dowódcy - rzekł Mackenzie.

- Dobrze wiesz, jakie będą... skoro się dowie, że go poprzesz.

Mackenzie wzruszył ramionami. Zaczęła go boleć głowa. Czyżby już kac? O, będzie potrzebował znacznie więcej alkoholu, nim zdoła dziś zasnąć. Nie, nie ma czasu na sen... owszem, będzie. Jutro wystarczy zebrać pułk na apelu i przemówić do żołnierzy z siodła na Czarnej Chefsibie, jak zawsze, gdy Mackenzie z

Włóczykijów przemawia do swych ludzi, i... Nagle stwierdził, że nie wiadomo, czemu przypomniał sobie ten dzień, gdy wraz z Norą i tą małą wybrał się na przejażdżkę łodzią po jeziorze Tahoe. Woda miała kolor oczu Nory, zielononiebieski, a na jej powierzchni skrzyły się odblaski słońca; była jednak tak przejrzysta, że widziało się kamienie na dnie jeziora. A kiedy Laura zanurzała ręce w wodzie, jej mały tyłeczek sterczał prosto w niebo.

Teraz zaś siedziała myśląc przez chwilę, zanim się znowu odezwała:

- Sądzę, że nie da ci się tego wyperswadować.

Potrząsnął głową.

- Czy w takim razie mogę jutro rano wyjechać.

- Tak. Dam ci powóz.

- D-d-do cholery z powozem, trzymam się w siodle lepiej od ciebie.

- No dobrze. Ale dam ci paru ludzi z eskorty. - Mackenzie nabrał głęboko powietrza w płuca. - Może uda ci się przekonać Toma...

- Nie. Nie mogę. Proszę cię, tato, nie wymagaj tego ode mnie.

Dał jej wtedy ostatni dar, którym dysponował:

- Ani przez chwilę nie myślałem o tym, żeby cię tu zatrzymywać. Zmuszałbym cię w ten sposób do zaniedbania obowiązku. Powiedz Tomowi, że nadal uważam go za odpowiedniego męża dla ciebie. Dobranoc, kaczuszek. - Powiedział to zbyt szybko, ale nie odważył się zwlekać. Kiedy zaczęła płakać, musiał zdjąć jej ramiona ze swej szyi i wyjść z pokoju.

- Jednak nie spodziewałem się tylu zabitych!

- Ja też nie... na tym etapie. Obawiam się, że będzie jeszcze więcej, zanim bezpośredni cel zostanie osiągnięty.

- *Mówiłeś mi...*

- *Wyrażałem nasze nadzieje, Mwyr. Sam dobrze wiesz, że Wielka Nauka jest dokładna tylko w najszerszej skali historii. Poszczególne zdarzenia podlegają fluktuacji statystycznej.*

- *Bardzo łatwo w ten sposób, nieprawdaż, opisywać śmierć istot rozumnych w błocie?*

- *Jesteś tu nowy. Teoria to jedna sprawa, a dostosowanie jej do wymagań praktycznych - inna. Czy myślisz, że nie boli mnie oglądanie tego, co sam pomagałem zaplanować?..*

- *Och, wiem, wiem. Co wcale mi nie pomaga żyć z moim poczuciem winy.*

- Chcesz chyba powiedzieć: żyć ze świadomością swej odpowiedzialności.

- To twoje określenie.

- Nie, to nie tylko wybieg semantyczny. Rozróżnienie jest wyraźne. Czytałeś sprawozdania i oglądałeś filmy, ale ja przybyłem z pierwszą wyprawą. A jestem tu od ponad dwóch stuleci. Ich cierpienie to nie abstrakcja dla mnie.

- Ale kiedy ich odkryliśmy, wszystko było zupełnie inaczej. Pokłosie ich wojen jądrowych wciąż było obecne w swoich najstraszliwszych przejawach. To wtedy nas potrzebowali, ci biedni, wygłodzeni anarchowie... a my, my potrafilismy tylko się przyglądać.

- Już wpadasz w histerię. Czyż mogliśmy wejść tu na ślepo, nie wiedząc o nich wszystkiego, i spodziewać się odegrania ważniejszej roli niż tylko rola kolejnego elementu niszczącego? Elementu, którego wpływu my sami nie moglibyśmy przewidzieć. Byłoby to postępowanie zbrodnicze, jak operacja dokonana przez chirurga, który zabrał się do niej od razu po zobaczeniu pacjenta, nie przeczytawszy nawet historii jego choroby. Musieliśmy pozwolić im pójść wiosną drogą, podczas gdy sami badaliśmy ich w tajemnicy. Nie masz pojęcia, jak ciężko pracowaliśmy, by zdobyć informacje i zrozumieć wszystko. I to jeszcze nie koniec. Dopiero siedemdziesiąt lat temu poczuliśmy się na tyle pewni, żeby wprowadzić nowy czynnik do tej wybranej społeczności. Gdy poznamy więcej, plan zostanie odpowiednio dostosowany. Nasza misja może potrwać i tysiąc lat.

- Ale tymczasem udało im się wygrzebać z tej ruiny. Znajdują wiosnę odpowiedni na swe problemy. Jakie mamy prawo...

- Zaczynam się zastanawiać, Mwyr, jakie ty masz prawo do tytułu choćby praktykanta psychodynamika. Zastanów się, co to są właściwie te ich odpowiedzi. Większa część planety jest nadal w stadium barbarzyństwa. Ten kontynent poszedł najdalej naprzód na drodze do odrodzenia ze względu na największy potencjał myśli i sprzętu technicznego przed zniszczeniem. Ale jakąż powstała z tego struktura społeczna? Mnóstwo skłóconych państweczek dziedzicznych. Feudalizm, w którym równowaga siły politycznej, wojskowej i gospodarczej zależy - co za anachronizm! - ni mniej, ni więcej tylko od możnowładztwa ziemskiego. Rozwija się zupełnie niezależnie ze dwadzieścia różnych języków i subkultur. Powstał ślepy kult techniki odziedziczony po dawnym społeczeństwie, który, jeśli się go nie opanuje, doprowadzi ich w końcu z powrotem do cywilizacji mechanistycznej, takiej jak ta, która zniszczyła siebie samą trzy wieki temu. Czy trapi cię to, że zginęło kilkaset osób, bo zaaranżowana przez naszych agentów rewolucja nie przebiegła tak sprawnie, jak się

spodziewaliśmy? No, więc sama Wielka Nauka daje ci słowo, że bez naszej pomocy cierpienie tej rasy w ciągu następnych pięciu tysięcy lat, brane w całości, przeważyłyby o trzy rzędy wielkości ten ból, który zmuszeni jesteśmy teraz zadawać.

- Tak. Oczywiście. Zdaję sobie sprawę, że ponoszą mnie emocje. Chyba trudno na początku się od nich od razu uwolnić.

- Powinieneś się cieszyć, że na początek zetknąłeś się z łagodniejszymi aspektami twardych wymogów planu. Najgorsze jeszcze przed nami.

- Tak mi też powiedziano.

- W kategoriach abstrakcyjnych. Zważ jednak na rzeczywistość. Władze, które mają ambicje przywrócenia starego porządku, będą postępować agresywnie wikłając się tym samym w długotrwałe wojny z potężnymi sąsiadami. Arystokracja i wolni posiadacze wyginą w tych wojnach zarówno bezpośrednio, jak i pośrednio, w wyniku działania czynników gospodarczych, których ze względu na swą naiwność nie będą potrafili oceniać. Obecny system zostanie zastąpiony przez demokrację, najpierw zdominowaną przez skorumpowany kapitalizm, a potem po prostu przez tych, którzy będą dzierżyć władzę centralną. Nie stworzy to jednak miejsca dla wysiedlonego proletariatu, byłych właścicieli ziemskich oraz mniejszości narodowych wcielonych do organizmu państwowego w wyniku podbojów. Będą oni żyzną glebą dla ziarna demagogii. Imperium to będzie przechodzić przez nie kończące się kryzysy, okresy niezadowolenia społecznego, despotyzmu, upadku i najazdów z zewnątrz. Och, za wiele rzeczy będziemy ponosić odpowiedzialność, gdy się to wszystko skończy!

- Czy sądzisz... gdy zobaczymy ostateczny wynik... czy zmażę to z nas przelaną krew?

- Nie. My zapłacimy najwyższą cenę.

Wiosna w górnej Sierra jest zimna i mokra; śnieg topnieje z podszycia leśnego i gigantycznych głazów, rzeki wzbierają, aż dźwięczą ich łożyska, wietrzyk marszczy kałuże na drodze. Pierwsze tchnienie zieleni na osikach zdaje się nieskończenie delikatne wobec sosen i świerków, ciemniejących na przejrzystym niebie. Nisko opada kruk - kra, kra - uwaga na tego piekielnego drapieżnika! Potem jednak przekracza granicę lasu i świat staje się spletaną masą błękitów i szarości, gdzie słońce świeci na resztki śniegu, a wiatr dudni ci w uszach.

Kapitan Thomas Danielis z artylerii polowej Lojalistycznej Armii Stanów

Pacyficznych skierował konia w bok. Był to młody mężczyzna o czarnych włosach, zadartym nosie i szczupłej sylwetce. Jego żołnierze ślizgali się na rozmokłej ziemi i kleli upaprani błotem od stóp do hełmów usiłując wyciągnąć uwięzione w nim działo samobieżne. Spirytusowy silnik działał zbyt słabo, by zdobyć się na coś więcej poza jałowym obracaniem kół. Obok chlupocząc maszerowali piechurzy, z opuszczonymi ramionami, wyczerpani wysokością, biwakowaniem w wilgoci oraz kilogramami błočka na każdym bucie. Maszerowali wijącym się szeregiem od podnóża spiczastej turni, po krętej drodze, a potem przez grzbiet górski w przedzie. Powiew wiatru przyniósł zapach potu do nozdry Danielisa.

To dobre chłopaki, pomyślał. Brudni, zawzięci, dawali z siebie wszystko, choćby z przekleństwem na ustach. Przynajmniej jego kompania dostanie dziś gorący posiłek, nawet gdyby trzeba było w tym celu ugotować kwatermistrza.

Podkowy końskie uderzały w blok starożytnego betonu wylaniający się spod błota. Gdyby wróciły dawne czasy... ale pobożnych życzeń nie da się przerobić na pociski. Za tą partią gór leżały głównie tereny pustynne, do których pretensje rościli Święci. Nie stanowili już zagrożenia, ale wciąż jeszcze wymiana handlowa z nimi była niewielka. Dlatego też nikt nie uznał za celowe naprawienia nawierzchni dróg w górach, a linia kolejowa kończyła się w Hangtown. Dlatego również siły ekspedycyjne kierowane w rejon Tahoe musiały przebijać się przez bezludne lasy i pokryte lodem wyżyny. Oby Bóg miał tych biedaków w opiece.

Oby Bóg miał w opiece i tych z Nakamury, pomyślał Danielis. Usta mu się zacisnęły, zwarł z kłaśnięciem dłonie i spał konia ostrogami z niepotrzebną gwałtownością. Spod podków posypały się iskry, gdy zwierzę pogalopowało poza drogę, ku najwyższemu miejscu grani. Szabla tłukła się kapitanowi o nogę.

Ściągnąwszy wodze wziął do ręki lornetkę polową. Stąd mógł sięgnąć wzrokiem poza szeroką, skotłowaną górzystą panoramę, gdzie cienie chmur płynęły ponad skałami i głazami, w głąb mrocznego kanionu i dalej, na drugą stronę. Spod kamieni sterczały nieliczne kępki trawy, brunatne jak mumia, a gdzieś w labiryncie skał rozlegał się gwizd świstaka za wcześniej przebudzonego z zimowego snu. Zamku nie było jeszcze widać. Nie spodziewał się go zresztą. Znał tę okolicę... och, jak dobrze ją znał!

Ale za to mogły się pojawić pierwsze oznaki działań wroga. Dziwnie było dojść tak daleko bez śladów jego obecności, zresztą w ogóle czyjejkolwiek obecności; wysłać patrole w poszukiwaniu buntowniczych oddziałów, których nie dawało się odnaleźć; jechać na koniu napinając mięśnie grzbietu w oczekiwaniu strzały snajpera, której nigdy nie było. Stary Jimbo Mackenzie znany był z tego, że nie

czekał beczynn timerami, a i Włóczykije nie na darmo nosili swe przezwisko.

O ile Jimbo jeszcze żyje. Skąd mogę mieć pewność? Ten krążący w górze myszolów może być tym, który wydziobał mu oczy.

Danielis przygryzł wargi i zmusił się do uważnego spojrzenia przez lornetkę. Nie myśl o Mackenziem - o tym, że przewyższał cię w hałaśliwości, pijaństwie i dowcipie, a tobie to nigdy nie wadziło; jak siedział marszcząc brwi nad szachownicą, przy której mogłeś z nim wygrać dziesięć razy na dziesięć, a jemu nie zależało; jaki dumny i szczęśliwy był podczas wesela... Nie myśl też o Laurze, która starała się, byś nie wiedział, jak często płacze w nocy; która nosi teraz pod sercem jego wnuka i samotnie budzi się w nocy ze złych snów brzemienności. Każdy z tych wojaków brnących W kierunku twierdzy, która uśmierciła wszystkie wysłane przeciwko niej armie - każdy z nich ma kogoś w domu, a piekło raduje się na myśl o tym, ilu ma krewnych po stronie buntowników. Lepiej szukać śladów wroga i dać sobie spokój.

Zaraz! Danielis zeszywniał. Jakiś jeździec... Wyostrzył obraz w lornetce. Jeden z naszych. Armia Fallona uzupełniła dotychczasowy mundur niebieską opaską. Powracający zwiadowca. Mrówki przebiegły mu po plecach. Postanowił sam pierwszy wysłuchać raportu. Żołnierz jednak miał wciąż do pokonania ponad kilometr, z konieczności powoli poruszając się po nierównym terenie. Nie trzeba było się śpieszyć z wychodzeniem mu naprzeciw. Danielis kontynuował obserwację terenu.

Pojawił się samolot zwiadowczy, niezgrabna ważka odbijająca światło słoneczne kręgiem śmigła. Jego warkot odbijał się echem od ścian skalnych, tam i z powrotem. Z pewnością wspomagał zwiadowców posługując się dwustronną łącznością radiową. Później otrzyma zadania samolotu naprowadzającego dla artylerii. Nie było sensu wykorzystywać go w charakterze bombowca; Fort Nakamura nie obawiał się niczego, co mogło zrzucić dzisiejsze mizerne lotnictwo, a był w stanie bez większych trudności - zestrzelić samolot.

Z tyłu za Danielisem rozległo się skrzywienie butów. Człowiek i koń obrócili się jednocześnie. W ręku kapitana pojawił się pistolet. Opuścił go natychmiast.

- Och. Proszę mi wybaczyć, Filozofie.

Człowiek w błękitnej szacie skinał głową. Uśmiech złagodził surowe rysy jego twarzy. Musiał już mieć z sześćdziesiąt lat, o czym świadczyły siwe włosy i pokryta zmarszczkami skóra, ale po tych wyniosłościach skakał jak kozica. Na jego piersi płonął złocisty symbol Jin i Jang.

- Niepotrzebnie trwasz w takim napięciu, synu - rzekł. Lekki akcent teksański

rozcigał jego słowa. Esperzy przestrzegali praw krajów, które zamieszkiwali, ale sami nie uznawali żadnego z nich za ojczyznę; może odpowiadało im pokrewieństwo z ludzkością w całości, zapewne też w końcu ze wszystkimi istotami żywymi w czasoprzestrzennym uniwersum. Tym niemniej Stany Pacyficzne zyskały niewymownie na znaczeniu, gdy swą niedostępną Centralę Bractwo ustanowiło w San Francisco po całkowitym odbudowaniu miasta. Nikt się nie sprzeciwił - wręcz przeciwnie - życzeniu Wielkiego Poszukiwacza, by Filozof Woodworth towarzyszył siłom ekspedycyjnym w roli obserwatora. Nie sprzeciwili się nawet kapelani; współczesne kościoły pojęły w końcu, że nauki Esperów są neutralne wobec religii.

Danielis zdobył się na uśmiech.

- Czy można mnie winić?

- Nie winić. Ale doradzać. Twoja postawa nie przynosi pożytku. Tylko cię wyczerpuje. Walczysz w tej bitwie już od wielu tygodni, nim się jeszcze zaczęła.

Danielis przypomniał sobie tego apostoła, który odwiedził go w domu w San Francisco - na jego zaproszenie, w nadziei, że da Laurze trochę spokoju. Nauki tamtego były jeszcze bardziej swojskie: „Należy myć tylko jeden talerz naraz”. Na to wspomnienie zapiekło Danielisa w oczach, więc rzucił szorstko:

- Może bym się odprężył, gdybyś zechciał użyć swej mocy i powiedział mi, co nas czeka.

- Nie jestem adeptem, synu. Niestety, za często bywam w świecie materialnym. Ktoś musi wykonywać praktyczne prace dla Bractwa; pewnego dnia uzyskam możliwość spoczynku i zbadania granic tego, co we mnie. Ale trzeba zacząć wcześniej i trzymać się tego przez całe życie, aby rozwinąć wszystkie swe możliwości. - Woodworth powiódł wzrokiem ponad szczytami; wyglądało, jakby się stapał z ich samotnością.

Danielis zamilkł, nie chcąc przerywać tej medytacji. Zastanawiał się, jakim praktycznym celom ma służyć obecność Filozofa podczas tej wyprawy. Ma złożyć sprawozdanie, dokładniejsze, niż byłyby w stanie przygotować nie wyszkolone zmysły i niezdyscyplinowane uczucia? Tak, to musi być to. Esperzy mogli jeszcze zdecydować się przyłączyć do tej wojny. Choć z niechęcią, Centrala pozwalała czasem na wyzwolenie budzących grozę sił psychotronicznych, gdy coś poważnego groziło Bractwu; a sędzia Fallon bardziej był przyjazny Esperom, niż bywało to za czasów Brodsky'ego czy poprzedniego Senatu Szefów lub Izby Delegatów Narodowych.

Koń zadreptał w miejscu i parsknął. Woodworth ponownie spojrzął na jeźdźca.

- Skoro mnie pytasz - rzekł - to ci powiem, że tu pewnie nie będzie za wiele do

roboty. Sam byłem kiedyś zwiadowcą, zanim ujrzałem Drogę. W tej okolicy czuje się pustkę.

- Gdybyśmy tylko mogli mieć pewność! - wybuchną Danielis. - Mieli całą zimę, podczas której mogli zrobić w tych górach, co tylko chcieli, zwłaszcza, że nas powstrzymywał śnieg. Każdy ze zwiadowców, których zdołaliśmy tam wysłać, opowiadał, że w Forcie praca wre jak w ulu... jeszcze nawet dwa tygodnie temu. Co oni wymyślili?

Woodworth nic nie odpowiedział.

Słowa płynęły z ust Danielisa; nie mógł się powstrzymać, musiał przesłonić jakoś wspomnienie Laury żegnającej go, gdy wyruszał na drugą wyprawę przeciwko jej własnemu ojcu, sześć miesięcy po tym, jak z pierwszej powróciły jedynie niedobitki:

- Gdybyśmy tylko mieli środki! Parę nędznych pociągów i samochodów, garstka samolotów, większość dostaw na wozach zaprzężonych w muły... co to za szybkość? A najbardziej mnie wścieka... to, że wiemy, jak robić to wszystko, co mieli ludzie w dawnych czasach. Mamy książki, informacje. Może więcej nawet niż nasi przodkowie. Sam widziałem, jak elektromechanik w Forcie Nakamura wytwarzał nadajniki tranzystorowe mające tak szerokie pasmo, że mogły przekazywać obraz telewizyjny - a nie były większe od mojej pięści. Widziałem czasopisma naukowe, laboratoria badawcze, biologię, chemię, astronomię, matematykę. I wszystko bezużytecznie!

- Niezupełnie - odrzekł łagodnie Woodworth. - Tak jak w przypadku mojego Bractwa, społeczność uczonych staje się ponadnarodowa. Drukarnie, radiotelefony, telepisy...

- Powtarzam: bezużyteczne. Bezużyteczne, bo nie mogą zapobiec zabijaniu człowieka przez człowieka, bo nie ma władzy tak silnej, by zmusić ich do posłuszeństwa. Bezużyteczne, bo nie potrafią zdjąć dłoni rolnika z zaprzęgniętego w konie pługa, by położyć je na kierownicy traktora. Mamy wiedzę, lecz nie potrafimy jej stosować.

- Stosuje się ją, synu, tam gdzie nie wymaga to wielkiej ilości energii i urządzeń mechanicznych. Pamiętaj, że świat jest o wiele uboższy w zasoby naturalne niż przed bombami. Sam widziałem Czarne Krainy, tam gdzie burza ogniowa przeszła nad polami naftowymi Teksasu. - Pogoda ducha Woodswortha przygasła nieco. Znowu objął wzrokiem góry.

- Ropa jest gdzie indziej - nie ustępował Danielis. - A także węgiel, żelazo, uran, wszystko, czego nam trzeba. Ale świat nie zorganizował się w stopniu

pozwalającym na wykorzystanie tych złóż. W żadnych ilościach. I zasiewamy Dolinę Centralną zbożami dającymi alkohol, aby można było puścić w ruch parę motorów; importujemy też drobne ilości innych towarów poprzez niewiarygodnie niesprawny łańcuch pośredników; a większość z tego, co dostaniemy, zjada nam wojsko. - Szarpnął głową w górę, wskazując tę część nieba, przez którą przeleciał po amatorsku wykonany samolot. - To jeden powód, dla którego musimy osiągnąć zjednoczenie. Abyśmy mogli zacząć odbudowę.

- A drugi? - spytał cicho Woodsworth.

- Demokracja... prawo głosu dla wszystkich... - Danielis przełknął ślinę. - I żeby ojcowie nie musieli znowu walczyć przeciwko synom.

- To są lepsze powody - rzekł Woodsworth. - Wystarczające, by uzyskać poparcie Esperów. Ale co do tych maszyn, których tak pożądasz... - Potrząsnął głową. - Nie, tu nie masz racji. To nie jest życie dla człowieka.

- Może i nie - powiedział Danielis. - Choć mój własny ojciec nie zostałby kaleką z przepracowania, gdyby miał jakieś maszyny do pomocy... Och, nie wiem. Najpierw rzeczy najważniejsze. Skończmy tę wojnę, a kłóćmy się później. - Przypomniał sobie o zwiadowcy, który znikł mu już z pola widzenia. - Wybacz mi, Filozofie, mam coś do zrobienia.

Esper uniósł dłoń w geście pokoju. Danielis odjechał cwałem.

Jechał obok drogi, rozpryskując wodę, gdy zobaczył człowieka, o którego mu chodziło, zatrzymanego przez majora Jacobsena. Major, który z pewnością wysłał zwiadowcę, siedział na koniu w pobliżu szeregu piechurów. Zwiadowca był Indianinem z plemienia Klamath; w spodniach ze skóry koźłej zdawał się przysadzisty. Przez plecy miał przewieszony łuk. Wielu ludzi z północnych regionów wolało strzały niż broń palną: tańsze niż kule, bezszelestne, mniejszy zasięg, lecz taka sama skuteczność jak w przypadku broni odtylcowej. W dawnych złych czasach, zanim jeszcze Stany Pacyficzne zawarły swoją unię, łucznicy rozmieszczeni wśród ścieżek leśnych uratowali wiele miasteczek od podboju; a teraz wciąż jeszcze dbali o to, by unia nie była zbyt ścisła.

- A, kapitan Danielis - powitał go Jacobsen. - Jest pan w samą porę. Porucznik Smith miał właśnie złożyć raport o tym, co stwierdził jego pododdział.

- I samolot - rzekł Smith niewzruszony. - To, co pilot zobaczył z powietrza, dodało nam odwagi, by tam pójść i sprawdzić samemu.

- I co?

- Nie ma nikogo.

- Co takiego?

- Fort został ewakuowany. Podobnie jak osada. Nie ma żywej duszy.

- Ale... ale... - Jacobsen wziął się w garść. - Proszę mówić dalej.

- Obejrzelśmy ślady najlepiej, jak potrafiliśmy. Wygląda na to, że ludność cywilna opuściła osadę jakiś czas temu. Chyba na nartach i saniach; może udali się na północ, do jakiejś warowni. Sądzę, że wojsko jednocześnie przeniosło swój sprzęt, stopniowo, a to, czego nie dało się nieść w rękę, na końcu. Dlatego że pułk, jego oddziały wspierające, nawet artyleria polowa wycofały się ledwie trzy-cztery dni temu. Ziemia jest cała zryta. Poszli w dół, gdzieś na zachodni północny zachód, na ile można sądzić z tego, cośmy zobaczyli.

Jacobsen zakrztusił się.

- Dokąd idą?

Silny podmuch powietrza uderzył Danielisa w twarz i zwichrzył końskie grzywy. Kapitan słyszał za plecami powolny chłupot butów, stękanie kół, szum silników, klekotanie drewna i metalu, okrzyki i trzaski biczów poganiaczy mułów. Ale zdawało mu się, że dźwięki te dochodzą gdzieś z dala. Przed oczyma ujrzał mapę, zasłaniającą mu cały świat.

Armia Lojalistyczna ciężko walczyła przez całą zimę, od Trinity Alps do Puget Sound - bowiem Brodsky'emu udało się dotrzeć do zamku Mount Rainier, którego władca dostarczył mu urządzeń radionadawczych, a Rainier był zbyt dobrze ufortyfikowany, by zdobyć go od razu. Szefostwa i plemiona autonomiczne uzbroiły się, przekonane, że oto uzurpator zagraża ich cholernym drobnym przywilejom lokalnym. Wraz z nimi walczyli ich protegowani, choćby tylko, dlatego, że żaden wieśniak nie nauczył się wyższej lojalności jak tylko wobec swego pana. Kanada Zachodnia, obawiająca się tego, co mógłby zrobić Fallon, gdy zyska po temu okazję, udzielała buntownikom pomocy, która z rzadka nawet była skryta. Mimo to siły narodowe były potężniejsze: więcej sprzętu, lepsza organizacja, a przede wszystkim ideał dla przyszłości. Głównodowodzący O'Donnell nakreślił strategię: skoncentrować lojalne wojska w kilku punktach, przewyciężyć opór, przywrócić porządek i ustanowić bazy w tym regionie, po czym udać się w inne miejsce. Strategia okazała się skuteczna. Rząd miał już władzę nad całym wybrzeżem, a jego jednostki morskie pilnowały Kanadyjczyków w Vancouver i strzegły ważnych szlaków handlowych na Hawaje; opanował także północną część stanu Waszyngton prawie do granicy z Idaho, dolinę Kolumbii, środkową Kalifornię aż do Redding. Pozostałe jeszcze zbuntowane Stacje i miasta były rozrzucone w górach, lasach, pustyniach. Jedno szefostwo za drugim padało pod naporem lojalistów, którzy rozbijali wroga w puch i odcinali go od zaplecza i nadziei. Jedynym prawdziwym

zmartwieniem była Armia Sierry Cruikshanka, regularna armia, a nie jakaś zbieranina kmotków i mieszcuchów, liczna, groźna i fachowo dowodzona. Ta wyprawa przeciwko Fortowi Nakamura była jedynie niewielką częścią tego, co zapowiadało się na trudną kampanię.

Ale teraz Włóczykije wycofali się. Bez żadnej walki. Co oznaczało, że ich bracia, Pantery, również się ewakuowali. Nie podcina się gałęzi, na której się siedzi. A więc co?

- Zeszli w dolinę - powiedział Danielis; w uszach nie wiadomo czemu zabrzmiała mu piosenka, którą kiedyś śpiewała Laura: „Tam gdzieś w dolinie, głębokiej dolinie...”

- Do diabła! - wykrzyknął major. Nawet Indianin stęknął, jakby dostał cios w żołądek. - Nie, to niemożliwe. Wiedzielibyśmy o tym.

„Unieś głowę, posłuchaj wiatru”. Wiatr świstał ponad zmarzniętymi skałami.

- Jest mnóstwo ścieżek w lesie - rzekł Danielis. - Piechota i kawaleria mogą je wykorzystać, jeśli żołnierze są przyzwyczajeni do takiej okolicy. A Pantery są. Pojazdy, wozy, działa są wolniejsze i trudniej im się przedostać. Ale wystarczy tylko, że nas obejdą, po czym wrócą na Czterdziestą i Pięćdziesiątą i rozniosą nas na strzępy, jeśli spróbujemy ich ścigać. Boję się, że nas usadzili.

- Wschodni stok... - odezwał się Jacobsen bez przekonania.

- Po co? Chce pan okupować kupę chwastów? Nie, jesteśmy tu w pułapce, dopóki nie rozmieszczą się na równinie. - Danielis zacisnął dłoń na siodle, aż pobielały mu kłykcie. - Założyłbym się, że to pomysł pułkownika Mackenzie. To w jego stylu.

- Ale w takim razie są między nami i Frisco! A gdy prawie wszystkie nasze siły są na północy...

Między mną i Laurą, pomyślał Danielis.

- Proponuję, majorze - powiedział na głos - natychmiast odszukać dowódcę. A potem złapać się za radio. - Gdzieś znalazł jeszcze tyle siły, by unieść głowę. Wiatr siekł go po oczach. - To niekoniecznie jest klęska. Właściwie łatwiej będzie ich pobić w otwartym polu, jak dojdzie, co, do czego.

Na górze róże, na dole fiołki...

Deszcze, które stanowią zimę na nizinach Kalifornii, zbliżały się do końca. Na północ, po szosie, której nawierzchnia klaskała pod podkowami, Mackenzie jechał wśród wszechobecnej zieloności. Eukaliptusy i dęby stojące wzdłuż drogi wybuchały nowym listowiem. Za nimi po obu stronach rozciągały się szachownice

pól i winnic o mieniających się odcieniach, sięgające aż do ścian dalekich wzgórz na prawo i bliższych, wyższych - na lewo. Domy wolnych rolników, które jeszcze kilka kilometrów wcześniej rozrzucone były wśród pól, teraz znikły zupełnie. Ten kraniec doliny Napa należał do wspólnoty Esperów z St. Helena. Nad zachodnim skrajem zgromadziły się chmury niczym pokryte bielą wzgórze. Wietrzyk przynosił do nozdrzy Mackenziego zapach rozwijającej się roślinności i zaoranej ziemi.

Z tyłu dudniło od ludzi. Włóczykije byli w marszu. Właściwy pułk trzymał się drogi, a trzy tysiące butów waliło w nawierzchnię jednocześnie z hałasem jakby trzęsienia ziemi; nie mniej hałasu sprawiały wozy i działa. Bezpośredniej groźby ataku nie było, ale należący do pułku kawalerzyści musieli jechać w szyku rozpostartym. Słońce błyskało na ich hełmach i ostrzach lanc.

Mackenzie skupił uwagę na drodze przed sobą. Między śliwami, których korony wyglądały jak spienione fale białych i różowych kwiatów, prześwitywały złotawe ściany i czerwone dachówki. Wspólnota była duża; obejmowała kilka tysięcy osób. Poczul ucisk w żołądku.

- Myślisz, że można im ufać? - zapytał nie po raz pierwszy. - Mamy tylko ich nadaną przez radio zgodę na rozmowy.

Speyer, który jechał obok niego, skinął głową.

- Sądzę, że zachowają się uczciwie. Szczególnie, gdy nasi chłopcy zaczekają tuż przy murach. A zresztą Esperzy nie uznają przemocy.

- Tak, ale gdyby doszło do walki... wiem, że na razie nie mają zbyt wielu adeptów. Na to Bractwo istnieje zbyt krótko. Ale w takim zbiorowisku Esperów znajdzie się paru, którzy osiągnęli coś w tej ich cholernej psychotronice. Nie życzę sobie, aby moi ludzie otrzymywali uderzenia psychiczne albo żeby ich unoszono do góry i upuszczano, czy inna cholera.

Speyer spojrzał na pułkownika spod oka.

- Boisz się ich, Jimbo? - mruknął.

- Nie, do diabła! - Mackenzie zastanawiał się, czy w tym momencie skłamał, czy też nie. - Ale ich nie lubię.

- Robią wiele dobrego. Szczególnie wśród biednych.

- Jasne, jasne. Choć każdy porządny szef zawsze troszczy się o swych protegowanych, a mamy też takie instytucje jak kościoły i przytulki. Nie widzę powodu, dla którego sama działalność charytatywna - a mogą sobie na nią pozwolić przy tych dochodach z majątków - nie widzę powodu, żeby dawało im to prawo do wychowywania sierot i biednych dzieci, które przyjmują, w taki sposób, jak to właśnie oni robią; że potem ci biedni malcy nie potrafią żyć nigdzie indziej.

- Jak sam dobrze wiesz, celem tego wychowania jest zorientowanie ich ku tak zwanej granicy wewnętrznej. Która specjalnie nie interesuje amerykańskiej cywilizacji jako całości. Szczerze mówiąc, często zazdroszczę Esperom, nawet nie biorąc pod uwagę niezwykłych mocy, jakie rozwinęli w sobie niektórzy z nich.

- Ty, Phil? - Mackenzie wybałuszył oczy na przyjaciela.

Zmarszczki na twarzy Speyera pogłębiły się.

- Tej zimy pomogłem zabić wielu moich rodaków - odrzekł cicho. - Moja matka, żona i dzieci siedzą stłoczone wraz z resztą wioski w forcie Mount Lassen, a gdy żegnałem się z nimi, wiedziałem, że może to na zawsze. A w przeszłości pomagałem zabijać wielu innych ludzi, którzy mnie osobiście nic złego nie zrobili. - Westchnął.
- Często zastanawiałem się, jak to jest: doświadczyć pokoju zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz.

Mackenzie odsunął Laurę i Toma w niepamięć.

- Oczywiście - podjął Speyer - głównym powodem, dla którego ty... i ja, jeśli o to chodzi, nie ufamy Esperom, jest to, że stanowią oni czynnik dla nas obcy. Coś, co może ostatecznie zdławić całą koncepcję życia, w której się wychowywaliśmy. Wiesz, co? Parę tygodni temu, gdy byłem w Sacramento, wpadłem do jednego z laboratoriów badawczych na uniwersytecie, aby zobaczyć, co tam robią. Nie do wiary! Przeciętny żołnierz przysięgłby, że to czarna magia. Z pewnością było to bardziej niesamowite niż... czytanie w myślach czy też poruszanie przedmiotów siłą umysłu. Ale dla ciebie czy dla mnie to tylko następne świecące cacko. Będziemy ich mieli w bród. A czemu tak? Bo laboratorium para się nauką. Ci ludzie zajmują się substancjami chemicznymi, elektroniką, cząstkami subwirusowymi. To pasuje do światopoglądu wykształconego Amerykanina. Ale mistyczna jedność stworzenia... Nie, to nie nasze podwórko. Można tylko w jeden sposób osiągnąć jedność; odrzucając wszystko, w co dotychczas wierzyliśmy. W moim wieku czy twoim, Jimbo, człowiek rzadko jest gotów zniszczyć całe swe dotychczasowe życie i zacząć od nowa.

- Może i tak - Mackenzie stracił zainteresowanie. Osada była już bardzo blisko.

Obrócił się do kapitana Hulse'a, który jechał o kilka kroków z tyłu.

- Idziemy - powiedział. - Proszę wyrazić uszanowanie podpułkownikowi Yamaguchi i powiedzieć mu, że przekazuję mu dowództwo na czas do mego powrotu. Gdyby stwierdził coś podejrzanego, ma działać według swego uznania.

- Tak jest. - Hulse zasalutował i zręcznie zawrócił konia. Nie było praktycznej potrzeby, aby Mackenzie powtarzał to wszystko, co dawno już uzgodniono, ale pułkownik znał wartość rytuału. Spiał lekko swego gniadego wałacha, który

przeszedł w trucht. Za plecami usłyszał trąbki przekazujące rozkazy oraz okrzyki sierżantów poganiających swe plutony...

Speyer dotrzymywał mu kroku. Mackenzie domagał się, by w rozmowach brał udział jeszcze jeden człowiek z jego strony. Sam nie mógł zapewne dorównać Esperowi wysokiej rangi, ale Phil może i da radę.

Nie należy się jednak spodziewać żadnej dyplomacji czy czegoś podobnego. Liczę na to. - Aby uspokoić myśli, skupił je na tym, co realne i najbliższe: na stukaniu kopyt końskich, unoszeniu się i opadaniu siodła, na końskich mięśniach napinających się pod jego udami, na skrzypieniu i dzwonieniu pasa przytrzymującego szablę, na czystej woni zwierzęcia... i nagle przypomniał sobie, że takie właśnie ćwiczenie zalecają Esperzy.

Żadne z ich osiedli nie było otoczone murem, jak większość miast i każda stacja szefów. Obaj oficerowie skręcili z drogi i wjechali na ulicę między domami o arkadowych portykach. W obie strony odbiegały przecznice. Osada nie zajmowała jednak dużej połaci ziemi, składała się, bowiem ze wspólnie zamieszkujących grup, sodalicji czy superrodzin - czy też jak się, komu podobało je nazwać. Był to powód pewnej wrogości wobec Bractwa oraz powstania ogromnej ilości nieprzyzwoitych dowcipów. Speyer jednak, który wiedział, co mówi, twierdził, że wśród Esperów zmiany partnerów seksualnych następują wcale nie częściej niż poza Bractwem. Chodziło po prostu o to, by uwolnić się od zaborczości; „to moje, a to twoje” - i aby wychować dzieci raczej jako część większej całości niż wyizolowanego klanu.

Dzieci stały pod osłoną portyków wytrzeszczając szeroko oczy. Były ich setki; wyglądały na zdrowe i szczęśliwe mimo naturalnej obawy przed przybyłymi. Mackenzie pomyślał jednak, że wyglądają poważnie i uroczyście, a wszystkie odziane były w te same błękitne szaty. Pośród nich stali dorośli; twarze mieli bez wyrazu. Kiedy pułk się zbliżał, wszyscy wrócili z pól. Cisza broniła miasta niczym barykada. Mackenzie poczuł, jak pot spływa mu po żebrach. Kiedy dotarł do głównego placu odetchnął głęboko.

Pośrodku placu tryskała fontanna, której basen miał kształt lotosu. Otaczały ją kwitnące drzewa. Z trzech stron plac okalały masywne budynki, z pewnością magazyny. Z czwartej zaś strony wznosiła się mniejsza budowla, jakby świątynia, ze zgrabną kopułą; była to z pewnością siedziba rady i miejsce spotkań. Na najniższym stopniu prowadzących do wejścia schodów stało sześciu mężczyzn w błękitnych szatach. Pięciu krzepkich młodzieńców otaczało szóstego, w średnim wieku, z symbolem Jin i Jang na piersiach. Jego twarz, sama w sobie pospolita, nosiła wyraz niewzruszonego spokoju.

Mackenzie i Speyer ściągnęli cugle. Pułkownik uniósł dłoń w pozdrowieniu.

- Filozof Gaines? - spytał. - Nazywam się Mackenzie, a oto major Speyer. - Zaklął na siebie w duchu, że tak niezgrabnie mu to wyszło, i zastanawiał się, co ma zrobić z rękami. Postawę pięciu młodych rozumiał mniej więcej: obserwowali go z ledwie skrywaną wrogością. Miał jednak problem ze spojrzeniem w oczy Gainesowi.

Przywódca osady pochylił głowę.

- Witajcie, panowie. Nie zechcecie wejść?

Mackenzie zsiadł z konia, przywiązał go do słupka i zdjął hełm. W tym otoczeniu jego znoszony czerwonobrunatny mundur zdawał mu się jeszcze bardziej obszarpany.

- Dziękuję. Hm... nie mamy zbyt wiele czasu,

- Oczywiście. Proszę za mną.

- Krocząc sztywno młodzi ludzie ruszyli za starszymi, przez przedsionek, a potem krótkim korytarzem. Speyer podziwiał zdobiącą go mozaikę.

- To cudowne - mruknął.

- Dziękuję panu - odrzekł Gaines. - Oto mój gabinet. - Otworzył drzwi wykonane z najwyższej jakości orzecha i gestem zaprosił przybyłych do środka. Kiedy zaniknął drzwi za sobą, akolici pozostali na zewnątrz.

Pokój był urządzony skromnie; pobielone ściany zawierały niewiele ponad biurko, półkę z książkami i kilka taboretów. Otwarte okno wychodziło na ogród. Gaines usiadł. Mackenzie i Speyer poszli w jego ślady; było im niewygodnie na tego rodzaju meblach.

- Przejdźmy od razu do rzeczy - wyrzucił z siebie pułkownik.

Gaines nie odezwał się. W końcu Mackenzie musiał brnąć dalej:

- Sytuacja jest taka: nasze siły rozlokowane po obu stronach wzgórz mają zająć Calistogę. W ten sposób będziemy mieli pod kontrolą zarówno dolinę Napa, jak i Księżycową... przynajmniej od północnej strony. Najlepsze miejsce dla skrzydła wschodniego jest tutaj. Planujemy wybudować umocniony obóz na tamtym polu. Przykro mi z powodu zniszczeń, jakim ulegną plony, ale otrzymacie odszkodowanie, kiedy tylko zostanie przywrócona prawowita władza. Potrzebujemy też żywności i lekarstw... rozumie pan, że musimy rekwirować takie rzeczy, ale nie dopuścimy, by ktoś z tego powodu nadmiernie ucierpiał, i będziemy wydawać pokwitowania. I, hm, w ramach środków ostrożności musimy umieścić kilku ludzi w tej osadzie, aby, że tak powiem, mieli na wszystko oko. Będą się starali jak najmniej przeszkadzać. W porządku?

- Statut naszego Bractwa gwarantuje nam wyłączenie z obowiązków wobec

wojska - oświadczył spokojnym głosem Gaines. - Mówiąc szczerze, żaden uzbrojony człowiek nie ma prawa przekroczyć granicy ziemi należącej do którejkolwiek z osad Esperów. Nie mogę przyczynić się do łamania prawa, pułkownik.

- Jeśli mamy już dzielić ów prawny włos na czworo, Filozofie - odezwał się Speyer - chciałem przypomnieć, że zarówno Fallon, jak i sędzia Brodsky ogłosili stan wojenny. Tym samym normalne prawa zostały zawieszane.

Gaines uśmiechnął się.

- Ponieważ tylko jeden rząd może być legalny - powiedział - proklamacje drugiego są z konieczności bezprawne i nie obowiązują. Postronnemu obserwatorowi mogłoby się wydawać, że uprawnienia sędziego Fallona są silniejsze, szczególnie, że jego strona ma pod kontrolą raczej większy jednolity obszar niż kilka pojedynczych szefostw.

- Już nie - warknął Mackenzie.

Speyer powstrzymał go gestem.

- Zapewne nie śledził pan uważnie wydarzeń ostatnich paru tygodni, Filozofie - rzekł. - Niech pan pozwoli, że zrekapituluję. Dowództwo Sierry wyprzedziło Fallonitów i sprowadziło wojsko z gór. W środkowej Kalifornii nie napotkano prawie żadnego oporu, toteż szybko ją zajęliśmy. Mając Sacramento opanowaliśmy szlaki wodne i kolejowe. Nasze bazy sięgają na południe poza Bakersfield, zaś leżące nieopodal Yosemite i King's Canyon stanowią niezwykle silne punkty. Kiedy umocnimy ten północny kraniec zajętych przez nas terenów, siły Fallonitów znajdują się w pułapce między nami a potężnymi szefami, którzy nadal trzymają się w rejonie Trinity, Shasta i Lassen. Samo już to, że znaleźliśmy się tutaj, zmusiło wroga do ewakuacji Doliny Kolumbii, aby można było bronić San Francisco. Można mieć poważne wątpliwości, co do tego, która strona obecnie przeważa pod względem rozległości zajętych terenów.

- A co z tą armią, która wyruszyła do Sierry przeciwko wam? - zagadnął bystrze Gaines. - Powstrzymaliście ją?

Mackenzie zmarszczył brwi.

- Nie. To nie żadna tajemnica. Przedostali się przez okolice Mother Lode i ominęli nas. Teraz są w San Diego i Los Angeles.

- To potężne siły. Czy macie zamiar bez końca ich unikać?

- W każdym razie spróbujemy - odrzekł Mackenzie. - Tu, gdzie się znajdujemy, mamy przewagę w łączności wewnętrznej. A i wielu wolnych rolników chętnie szepnie nam słówko o tym, co zaobserwują. Możemy skoncentrować siły w dowolnym punkcie, który wróg zaatakuje.

- Szkoda, że taki bogaty kraj jest również rozdzierany wojną.

- Taak... to prawda.

- Nasz cel strategiczny jest oczywisty - rzekł Speyer. - Przerwaliśmy trasy komunikacyjne wroga pośrodku, pozostała im jedynie droga morską, która nie jest zbyt przydatna dla jednostek działających wewnątrz lądu. Odcięliśmy mu dostęp do znacznej części jego zasobów żywności i sprzętu, a szczególnie do większości spirytusu napędowego. Szkielet naszej strony stanowią szefostwa, które są prawie samowystarczalnymi jednostkami gospodarczymi i społecznymi. Wkrótce będzie im się powodzić lepiej niż pozbawionej zaplecza armii, której mają stawić czoło. Myślę, że sędzia Brodsky wróci do San Francisco przed jesienią.

- O ile wasze plany się powiodą - rzekł Gaines.

- To nasze zmartwienie. - Mackenzie pochylił się opierając zwinętą w kulak dłoń na kolanie. - No, dobrze, Filozofie. Wiem, że wolałby pan widzieć Fallona u steru, ale sądzę, że ma pan dość rozsądku na to, by nie upierać się przy przegranej sprawie. Możemy liczyć na waszą współpracę?

- Bractwo nie uczestniczy w sprawach politycznych, pułkownik, chyba, że zagrożone jest jego własne istnienie.

- A, daj pan spokój. Przez „współpracę” rozumiem jedynie to, byście się nie plątali nam pod nogami.

- Obawiam się, że to również trzeba zakwalifikować jako współpracę. Nie możemy tolerować żadnych urzędzeń wojskowych na naszych terenach.

Mackenzie uważnie przyjrzał się twarzy Gainesa, która pozostała niewzruszona, jakby była wykuta z granitu, i zadał sobie pytanie, czy aby dobrze słyszał. - To znaczy, że nas wyrzucacie? - zapytał obcym głosem.

- Tak - odrzekł Filozof.

- Kiedy nasze działa są wycelowane w waszą osadę?

- Czy naprawdę strzelałby pan do kobiet i dzieci, pułkownik?

Och, Noro...

- Nie musimy. Nasi ludzie mogą tu w jednej chwili wmaszerować.

- Przeciwko uderzeniom psychicznym? Błagam pana, by nie wysyłał pan tych chłopców na zagładę.

Gaines zamilkł na chwilę, po czym podjął: - Mógłbym także dodać, że tracąc swój pułk naraża pan całą waszą sprawę. Pozwalamy wam obejść nasze tereny i skierować się do Calistogi.

Pozostawiając za sobą gniazdo Fallonitów, dokładnie na przecięciu mojej linii komunikacyjnej w kierunku południowym. - Zęby zgrzytnęły w ustach pułkownika.

Gaines wstał.

- Rozmowa jest skończona, panowie - rzekł. - Macie godzinę na opuszczenie naszych terytoriów.

Mackenzie i Speyer podnieśli się również.

- Jeszcze nie skończyliśmy - rzekł major. Krople potu pokryły mu czoło i długi nos. - Chciałem jeszcze coś wyjaśnić.

Gaines przeszedł przez pokój i otworzył drzwi.

- Pokażcie panom drogę - rzekł do pięciu akolitów.

- Nie, na Boga! - krzyknął Mackenzie. Sięgnął do broni u boku.

- Powiedzcie adeptom - rzekł Gaines.

Jeden z młodych ludzi obrócił się. Mackenzie usłyszał kłapanie sandałów biegnących przez korytarz. Gaines skinął głową.

- Lepiej będzie, jak odejdziecie - powiedział.

Speyer zeszywniał. Powieki mu odpadły. Następnie szybko się otworzyły.

- Powiedzcie adeptom? - odezwał się nieomal niesłyszalnie.

Mackenzie dostrzegł, jak sztywność znika z twarzy Gainesa. Nie było czasu na zdziwienie dłuższe niż sekunda. Ciało pułkownika zadziało za niego. Pistolet wyskoczył z kabury niemal równocześnie z bronią Speyera.

- Łap posłańca, Jimbo - rzucił major. - Ja się zajmę tymi ptaszkami.

Rzucając się w pościg Mackenzie stwierdził, że martwi się o honor pułku. Czy słuszne było podejmowanie wrogich działań podczas rozmów? Ale Gaines sam je zerwał...

- Zatrzymać go! - wrzasnął Gaines.

Pozostali czterej akolici ożywili się. Dwaj zatarasowali drzwi, dwaj pozostali zbliżyli się z obu stron.

- Stać, bo strzelałem! - ryknął Speyer, ale zignorowano go.

Mackenzie nie mógł się zdobyć na to, by strzelać do nie uzbrojonych ludzi. Sunącego nań osiłka uderzył lufą w zęby. Esper zachwiał się i padł z zakrwawioną twarzą. Mackenzie unieszkodliwił jedno ramię tego, który zachodził go z lewej. Trzeci próbował zastawić drzwi wejściowe. Pułkownik wsunął mu stopę za nogi poniżej kostek i pchnął go. Gdy tamten padł, Mackenzie kopnął go w skroń, na tyle mocno, że go ogłuszył, po czym przeskoczył nad leżącym.

Czwarty siedział mu na karku. Mackenzie wykręcał się, by stanąć z nim twarzą w twarz. Ramiona, które go ścisnęły przytrzymując broń, były silne jak łapy niedźwiedzia. Mackenzie wcisnął nasadę lewej dłoni pod nos tamtego i pchnął. Esper musiał puścić. Pułkownik uderzył go kolaniem w żołądek, obrócił się i

pobiegł.

Nie słyszał za sobą żadnej szamotaniny; Phil musiał, więc opanować sytuację.

Mackenzie pomknął korytarzem do przedsionka. Gdzie się podział ten cholerny posłaniec? Wyrzwał przez drzwi na plac. Światło słoneczne zapiekło go w oczy. Oddychał z bólem, w boku go kłuło, o tak, był już stary.

W bocznej uliczce pojawiły się błękitne szaty. Mackenzie rozpoznał posłańca. Młodzieniec pokazywał na ten budynek. Potok jego słów mieszał się z dudnieniem tętna pułkownika. Obok niego szło siedmiu czy ośmiu mężczyzn - starszych od niego, i ważniejszych, choć szaty na to nie wskazywały, ale Mackenzie nie potrzebował żadnych wskazówek, by rozpoznać wyższego oficera. Akolita został odesłany, zaś ci, których wezwał, ruszyli długimi krokami przez plac.

Groza przeszła pułkownika na wskroś. Stłumił ją: nikt z Panter nie ulega panice nawet z powodu kogoś, kto mógłby samym wzrokiem wywrócić cię trzewiami na zewnątrz. Jednak nie potrafił zapobiec ponurym myślom, które go naszły. - Jeśli mnie załatwią, to i lepiej. Nie będę przeżywał bezsennych nocy myśląc o tym, co się dzieje z Laurą.

Adepci doszli już prawie do schodów. Mackenzie wyszedł przed bramę. Zakreślił łuk lufą rewolweru.

- Stać! - krzyknął. Jego głos zabrzmiał mizernie w ciszy, jaka panowała w osadzie.

Zatrzymali się i stali w zwartej grupce. Zauważył, że przybierają pozę kociej leniwości, a twarze ich straciły wszelki wyraz. Nikt się nie odezwał. W końcu Mackenzie nie mógł już dłużej milczeć.

- To miejsce jest od tej chwili pod okupacją zgodnie z prawem stanu wojennego - oświadczył. - Proszę wracać do swoich domów.

- Co zrobiliście z naszym przywódcą? - spytał jeden z nich, wysoki mężczyzna. Głos miał spokojny, o głębokim brzmieniu.

- Przeczytajcie to w moich myślach - zakpił Mackenzie. Zachowujesz się dziecinnie. - Nic mu nie jest, póki będzie się zachowywał jak należy. Wy też. Zmykajcie stąd.

- Nie chcielibyśmy używać psychotroniki do przemocy - rzekł wysoki. - Proszę nas nie zmuszać.

- Wasz wódz posłał po was, nim cokolwiek zrobiliśmy - odparował Mackenzie. - Wygląda na to, że chodziło mu właśnie o przemoc. No już, rozejść się!

Esperzy wymienili spojrzenia. Wysoki mężczyzna skinął głową. Jego towarzysze powoli odeszli.

- Chciałbym zobaczyć się z Filozofem Gainesem - powiedział.

- Zobaczysz go, i to szybko.

- Czy mam rozumieć, że został uwięziony?

- Możesz sobie rozumieć, co zechcesz. - Pozostali Esperzy okrążyli róg budynku.

- Nie chcę strzelać. Proszę odejść, żebym nie musiał użyć broni.

- Swoisty impas - powiedział wysoki. - Żaden z nas nie chce zranić drugiego, którego uważa za bezbronnego. Proszę mi pozwolić odprowadzić się z tego miejsca. Mackenzie zwilżył wargi, wysuszone od wiatru i gorąca.

- Jak chcesz rzucać na mnie urok, to proszę - odezwał się wyzywająco. - A jak nie, to jazda stąd.

- Nie będę panu utrudniał dostania się do pańskich ludzi. Wydaje mi się to najłatwiejszym sposobem skłonienia pana do odejścia. Chciałbym jednak jak najuroczyściej ostrzec, że wszelkie siły zbrojne, które tu wejdą, zostaną zniszczone.

Chyba jednak lepiej pojedę po chłopców. Phil nie może za długo trzymać tamtych pod strażą. Wysoki mężczyzna podszedł do słupka.

- Który z tych koni należy do pana? - spytał uprzejmie.

Coś za bardzo chce się mnie pozbyć... O jasny gwint! Tu muszą być tylne drzwi!

Mackenzie obrócił się na pięcie. Esper krzyknął. Pułkownik runął pędem z powrotem przez przedsionek. Jego buty wywoływały echo w korytarzu. Nie, nie na lewo, tam jest tylko gabinet. Na prawo... za tym rogiem...

Przed nim rozciągał się długi korytarz. Pośrodku wila się spirala schodów. Pozostali Esperzy już na nich byli.

- Stać! - krzyknął Mackenzie. - Stój, bo strzelam!

Dwaj znajdujący się na przedzie pomknęli przed siebie. Pozostali obrócili się i pobiegli w dół, ku niemu.

Strzelił uważnie, starając się raczej obezwładniać, a nie zabijać. Korytarz zawibrował od detonacji. Esperzy padli jeden po drugim z kulą w nodze, biodrze czy ramieniu. Wybierając tak niewielkie cele Mackenzie spudłował kilkakrotnie. Kiedy więc wysoki mężczyzna, jako ostatni, dopadł go z tyłu, iglica rewolweru szczęknęła w pustej komorze.

Mackenzie dobył szabli i uderzył wysokiego płazem ostrza w głowę. Esper zachwiał się. Mackenzie minął go i wbiegł po schodach. Wiły się jak w jakimś koszmarze. Miał wrażenie, że serce mu pęka na kawałki.

U szczytu schodów był podest z żelaznymi drzwiami. Jeden człowiek majstrował przy zamku; drugi zaatakował pułkownika.

Mackenzie wcisnął ostrze szabli Esperowi między nogi. Gdy jego przeciwnik

potknął się, pułkownik walnął go lewym sierpowym w szczękę. Esper osunął się po ścianie. Mackenzie schwycił pozostałego za szatę i cisnął nim o podłogę.

- Wynoście się stąd - warknął. Pozbierali się i obrzucili pułkownika nienawistnym spojrzeniem. Mackenzie świsnął szablą w powietrzu. - Od tej chwili nie będę nikogo oszczędzał - oświadczył.

- Idź po pomoc, Dave - powiedział ten, który otwierał drzwi. - Ja będę na niego uważał. - Drugi Esper chwiejąc się zszedł na dół, zaś pierwszy starał się utrzymać poza zasięgiem szabli. - Czy mam cię zniszczyć? - spytał.

Mackenzie przekręcił gałkę drzwi za swoimi plecami, ale bez skutku.

- Nie wierzę, żebyś to mógł zrobić - powiedział. - W każdym razie bez tego, co jest za tymi drzwiami.

Esper starał się opanować. Płynęły nieznośnie długie minuty. W końcu z dołu dał się słyszeć hałas. Esper wskazał na drzwi.

- Tam są jedynie narzędzia rolnicze - rzekł - ale ty masz tylko to ostrze. Poddasz się?

Mackenzie splunął na podłogę. Esper zszedł na dół.

Wkrótce w polu widzenia pojawili się napastnicy. Sądząc po zamieszanym mogło ich być ze stu, ale z powodu spiralnego układu schodów Mackenzie widział tylko dziesięciu czy piętnastu - barczystych parobków z zakasnymi szatami i uniesionymi ostrymi narzędziami. Podest był zbyt szeroki dla skutecznej obrony. Pułkownik zbliżył się do schodów, gdzie miał do czynienia tylko z dwoma atakującymi naraz.

Na czele szli dwaj uzbrojeni w sierpy. Mackenzie odparował jeden cios i ciął szablą. Ostrze weszło w ciało i sięgnęło kości. Trysnęła krew, niewiarygodnie czerwona, nawet w przyćmionym świetle na schodach. Ranny upadł na ziemię z wrzaskiem. Mackenzie uchylił się przed ciosem jego towarzysza. Metal zgrzytnął o metal, ostrza się zwarły. Pułkownik poczuł, jak tamten przegina mu ramię. Spojrzał prosto w szeroką, ogorzałą twarz. Kantem dłoni uderzył młokosa w krtań. Esper padł pociągając za sobą tego, który stał za nim. Rozwikłanie powstałej plątaniny i wznowienie ataku trwało jakiś czas.

Pułkownik dostrzegł, jak kolejny Esper zamierza się widłami na jego brzuch. Udało mu się schwycić je lewą ręką za trzonek, odchylić w bok zęby i sięgnąć trzymające widły palce. Jakaś kosa rozorała mu prawy bok. Zobaczył własną krew, ale nie czuł bólu. Powierzchnowa rana, nic więcej. Śmigał szablą w przód i w tył. Czoło atakujących odsunęło się od świszczącej śmierci. Ale na Boga, kolana mam jak z gumy, nie wytrzymam dłużej niż pięć minut.

Rozległ się dźwięk trąbki, potem odgłosy strzałów. Tłum na schodach zamarł w bezruchu. Ktoś krzyknął.

Kopyta zadudniły o podłogę na dole. Jakiś głos zawołał:

- Hej, wy tam! Przestańcie natychmiast! Rzućcie tę broń i schodźcie pojedynczo. Pierwszy, który spróbuje jakichś sztuczek, dostanie kulę w łeb.

Mackenzie oparł się na szabli i usiłował złapać oddech. Ledwie zauważył, że Esperów ubywa.

Kiedy poczuł się nieco lepiej, podszedł do jednego z okienek i wyjrzał na dwór. Na placu dostrzegł kawalerzystów. Piechoty jeszcze nie było widać, ale usłyszał odgłos ich kroków.

Zjawił się Speyer wraz z sierżantem saperów i kilkoma szeregowcami. Major pośpieszył ku pułkownikowi.

- Jak się czujesz, Jimbo? Jesteś ranny!

- Draśnięcie - odrzekł Mackenzie. Odzyskiwał już siły, choć nie towarzyszyła temu radość ze zwycięstwa, ale raczej świadomość samotności. Rana zaczęła piec. - Nie ma sobie, czym głowy zawracać. Popatrz zresztą.

- Tak, od tego się nie umiera. No dobrze, chłopcy, otwórzcie te drzwi. Saperzy ujęli narzędzia i zaatakowali zamek z animuszem częściowo zapewne wywołanym przerażeniem.

- Jak to się stało, że zjawiliście się tak szybko? - spytał Mackenzie.

- Domyślałem się, że będą kłopoty - powiedział Speyer - więc jak usłyszałem strzelaninę, wyskoczyłem przez okno i pognałem do koni. Było to na moment przed atakiem tych osiłków; odjeżdżając widziałem, jak się gromadzą. Nasza kawaleria nadjechała prawie natychmiast, a piechota nie pozostała daleko w tyle.

- Napotkano jakiś opór?

- Żadnego, po tym jak wystrzeliliśmy parę razy w powietrze. - Speyer rozejrzał się. - Teraz już panujemy nad sytuacją.

Mackenzie popatrzył na drzwi.

- Hm - odezwał się - teraz już nie żałuję, że wyciągnęliśmy broń tam w gabinecie. Wygląda na to, że adepci faktycznie polegają na zwykłej, dawnej broni, co? A podobno w osadach Esperów nie ma broni; tak twierdzą ich statuty... Świetnie to odgadłeś, Phil. Jak ci się udało?

- Zastanowiło mnie trochę, czemuż to wódz musi wysyłać gońca po ludzi, którzy podobno są telepatami. No, już otwarte!

Zamek ustąpił ze szczękiem. Sierżant otworzył drzwi. Mackenzie i Speyer weszli do wielkiego pomieszczenia bezpośrednio pod kopułą.

Chodzili po nim przez dłuższy czas, bez słowa, pośród przedmiotów wykonanych z metalu i trudniejszych do zidentyfikowania substancji. Nic tu nie było znajome. Mackenzie zatrzymał się w końcu przed helisą wystającą z przezroczystego sześcianu. Wewnątrz niego tworzyła się bezkształtna ciemność, przetykana jakby drobnymi gwiazdkami.

- Chodziło mi po głowie, że może Esperzy znaleźli skrytkę z czymś starym, sprzed wojny - rzekł stłumionym głosem. - Jakaś cudowną broń, której nie udało się użyć. Ale to mi na to nie wygląda, jak myślisz?

- Nie - odparł Speyer. - To mi w ogóle nie wygląda na przedmioty wykonane ludzką ręką.

- Ale czy nie rozumiesz? Zajęli osadę! To stanowi dowód dla świata, że Esperzy nie są niezwyciężeni. A na dodatek w ich ręce dostał się arsenał.

- Nie miej obaw w związku z tym. Żadna nie wyszkolona osoba nie zdoła uruchomić tych przyrządów. Obwody są zablokowane do chwili pojawienia się w okolicy osoby emanującej określone promieniowanie mózgowe, które uzyskuje się w wyniku uwarunkowania. To samo uwarunkowanie sprawia, że tak zwani adepci nie mogą ujawnić nawet części swej wiedzy tym, którzy nie dostąpili wtajemniczenia, niezależnie od wywieranej na nich presji.

- Tak, wiem. Ale nie to miałem na myśli. Przeraza mnie fakt, że owo odkrycie stanie się powszechnie znane. Wszyscy się dowiedzą, że adepci Esperów jednak nie zgłębiają niepojętych tajników psychiki, tylko mają dostęp do zaawansowanych nauk ścisłych. Nie tylko doda to ducha buntownikom, ale co gorsza spowoduje, że wielu, a może większość, członków rozczaruje się do Bractwa.

- Nie od razu. W obecnych warunkach wieści wędrują powoli. A poza tym, Mwyer, nie doceniasz zdolności umysłu ludzkiego do pomijania danych, które stoją w sprzeczności z tym, co człowiek raz przyjął za swoje.

- Ale...

- No to załóżmy najgorsze. Przypuśćmy, że wiara ginie i Bractwo się rozpada.

Byłby to poważny cios dla planu, ale nie śmiertelny. Psychotronika to po prostu małe element ziemskiej kultury, który, jak wykryliśmy, jest na tyle potężny, by posłużyć za motywację nowej orientacji ku życiu. Są też inne - na przykład powszechna wiara w czary wśród klas mniej wykształconych. Możemy znowu zacząć na innej podstawie, jeśli będzie trzeba. Konkretna postać tej wiary nie jest ważna. Będzie ona jedynie szkieletem dla właściwej struktury: dla

tworzącej wspólnotę, niematerialistycznej grupy społecznej, ku której będzie się zwracać coraz więcej ludzi tylko z braku czegoś innego, kiedy rozpadnie się powstające imperium. Ostatecznie nowa kultura będzie w stanie odrzucić i odrzuci te wszystkie przesady, które dały jej impuls wstępnny.

- Cofnęliśmy się przynajmniej o sto lat.

- To prawda. Będzie znacznie trudniej wprowadzić zasadniczo obcy element teraz, gdy autochtoniczne społeczeństwo wytworzyło własne silne instytucje, niż w przeszłości. Chciałbym jedynie zapewnić cię, że nie jest to niewykonalne. Nie proponuję jednak, by aż tak bardzo wypuścić wszystko spod naszej kontroli. Esperów można uratować.

- Jak?

- Trzeba interweniować bezpośrednio.

- Czy zostało to wyliczone jako nie do uniknięcia?

- Tak. Matryca daje odpowiedzi jednoznaczne. Mnie to się również nie podoba. Jednak działanie bezpośrednie zdarza się częściej, niż mówimy to naszym uczniom w szkołach. Najzgrabniej byłoby oczywiście ustanowić takie warunki wstępne w społeczeństwie, żeby jego ewolucja w pożądanym kierunku następowała automatycznie. Co więcej, pozwoliłoby to nam uwolnić się od przykrego poczucia winy z powodu rozlewu krwi. Niestety, Wielka Nauka nie rozpatruje codziennych szczegółów praktycznych.

W tym przypadku pomożemy pokonać reakcjonistów. Następnie władze podejmą tak ostre kroki przeciwko pokonanym przeciwnikom, że wielu spośród tych, którzy uwierzą w to, co znaleziono w St. Helena, zginie, zanim zdoła przekazać tę wieść dalej. A reszta... tych zdyskredytuje ich porażka. Z pewnością historię tę będzie się jeszcze tu i tam opowiadać szeptem przez wiele pokoleń. Ale co z tego? Ci, którzy wierzą w Drogę, doznają w większości wzmocnienia swej wiary poprzez sam proces zaprzeczania tym paskudnym osądzeniom. Im więcej osób, zarówno zwykłych obywateli, jak i Esperów będzie odrzucało materializm, tym bardziej owa legenda będzie się wydawać fantastyczna. Okaże się oczywiste, że pewni starożytni wymyślili tę historię, by tłumaczyła fakt, którego w swej ignorancji nie potrafili pojąć.

- Rozumiem...

- Nie jesteś tu szczęśliwy, prawda, Mwyr?

- Nie potrafię powiedzieć. Wszystko jest tak zniekształcone...

Ciesz się, że nie wysłano cię na jedną z naprawdę obcych planet.

- Może i byłoby lepiej. Myśli zajęte byłyby wrogim środowiskiem. Zapomniałoby

się, jak daleko jest do domu.

- *Trzy lata w podróży.*

- *Mówisz to tak zwyczajnie. Jak gdyby te trzy lata spędzone na pokładzie nie równały się pięćdziesięciu w czasie kosmicznym. Jak gdyby można się było spodziewać statku z nową zmianą personelu codziennie, a nie raz na sto lat. I... jak gdyby region zbadany przez nasze statki stanowił jakąś poważniejszą część tej galaktyki!*

- *Ów region powiększy się z czasem, by w końcu ogarnąć całą galaktykę.*

- *Tak, tak, tak. Wiem. Jak ci się wydaje, dlaczego postanowiłem zostać psychodynamikiem? Dlaczego tu jestem i uczę się wtrącać w przyszłość świata, do którego nie należę? „Tworzyć unię istot rozumnych, w której każda rasa członkowska będzie krokiem w kierunku opanowania wszechświata przez życie”. Szczytne hasło! W praktyce jednak wydaje się, że tylko kilka wybranych ras będzie się cieszyć tą swobodą owego wszechświata.*

- *Wcale nie, Mwyr. Zastanów się nad tymi, do których spraw wtrącamy się, jak mówisz. Zwróć uwagę, do jakich celów wykorzystali energię jądrową, gdy ją mieli. Przy obecnym tempie rozwoju odzyskają ją za jedno czy dwa stulecia. Wkrótce potem zaczną budować statki kosmiczne. Nawet biorąc pod uwagę, że zwłoka łagodzi skutki kontaktu międzygwiazdowego, owe skutki kumulują się. Chciałbyś, więc, aby taka drapieżna banda rozprzestrzeniła się po galaktyce?*

Nie, lepiej będzie, jeśli najpierw staną się cywilizowani od środka; potem zobaczymy, czy można im ufać. Jeśli nie, to przynajmniej będą szczęśliwi na swej własnej planecie, wedle stylu życia opracowanego dla nich przez Wielką Naukę. Pamiętaj, że od niepamiętnych czasów dążą do powszechnego pokoju, ale nie uda im się go osiągnąć samodzielnie. Nie uważam siebie za kogoś wyjątkowo dobrego, Mwyr, ale dzieło, którego dokonujemy, sprawia, że nie czuję się w kosmosie całkowicie bezużyteczny.

Tego roku awansowano szybko, bowiem straty były wysokie. Kapitan Thomas Danielis doczekał się stopnia majora za wybitne zasługi w zdławieniu buntu mieszkańców miasta Los Angeles. Wkrótce potem doszło do bitwy pod Maricopą, podczas której lojaliści ponieśli krwawą klęskę próbując przełamać żelazny uścisk buntowników z Sierry obejmujący dolinę San Joaquin; po tym wszystkim Danielis został podpułkownikiem. Armii nakazano marsz na północ, więc poruszała się ostrożnie pod nadmorskimi łańcuchami wzgórz, na w pół oczekując ataku ze wschodu. Jednak wyglądało na to, że zwolennicy Brodsky'ego umacniają się na

ostatnio zdobytych terenach. Kłopot sprawiali jedynie partyzanci i opór dowodzonych przez szefów stacji. Po jednym szczególnie przykrym starciu wojsko lojalistów zatrzymało się w pobliżu Pinnacles na krótki odpoczynek.

Danielis szedł przez obozowisko, w którym namioty stały w ciasnych szeregach między działami, zaś ludzie rozłożyli się dookoła drzemiąc, rozmawiając, grając, gapiąc się w czyste, błękitne niebo. Powietrze było gorące, przesiąknięte dymem ogniska, zapachem koni, mułów, gnoju, potu, oliwy do natłuszczania butów; pokrywająca wzgórza zieleń, falująca ze wszystkich stron obozu, zaczęła już przechodzić w letnią brązowość. Danielis nie miał nic do roboty do czasu konferencji zwołanej przez generała, ale niepokój nie dawał mu spocząć. Zostałem już ojcem, pomyślał, a nie widziałem jeszcze mego dziecka.

Nie można jednak powiedzieć, żebym nie miał szczęścia, upomniał siebie samego. Zachowałem życie i zdrowie. Przypomniawszy sobie, jak Jacobsen umierał w jego ramionach pod Maricopą. Nikt by nie pomyślał, że ciało człowieka pomieści w sobie tyle krwi. Choć może przestaje się być człowiekiem, gdy ból jest tak wielki, że nie można nic zrobić, tylko wrzeszczeć, póki nie nadejdzie ostateczna ciemność.

A mnie się wydawało, że wojna jest wspaniała. Głód, pragnienie, wyczerpanie, strach, okaleczenia, śmierć i cały czas ta monotonia, nuda zmieniająca cię w wołu... Przeszedłem i przez to. Po wojnie zajmę się interesami. Integracja gospodarcza, gdy rozpadnie się system szefostw; o, tak, będzie wiele dróg, którymi człowiek pójdzie naprzód, ale uczciwie, bez broni w ręku - Danielis złapał się na tym, że powtarza myśli, które chodziły mu po głowie już wiele miesięcy temu. Ale o czym jeszcze mógł myśleć, do cholery?

Nie opodal stał wielki namiot, w którym przesłuchiwano jeńców. Dwóch szeregowych wprowadzało właśnie do środka jakiegoś mężczyznę. Człowiek ten miał jasne włosy, był silnie zbudowany i ponury. Na rękawie miał naszywki sierżanta, ale poza nimi za cały mundur służyła mu jedynie odznaka Strażnika Echevarry'ego, szefa w tej części nadmorskich wzgórz. W czasach pokojowych człowiek ten był drwalem, Danielis odgadł to z jego wyglądu; kiedy zaś interesy Echevarry'ego były zagrożone, drwal stawał się żołnierzem w prywatnej armii szefa. Został schwytyany podczas wczorajszego starcia.

Powodowany impulsem Danielis podążył za eskortą. Wszedł do namiotu właśnie w chwili, gdy kapitan Lambert, pucołowaty oficer siedzący za przenośnym biurkiem, skończył pytania wstępne i zamrugał oczyma z powodu chwilowej ciemności.

- Ach, to pan. - Lambert zaczął wstawać. - Słucham pana?

- Spocznij - rzekł Danielis. - Chciałem tylko posłuchać.

- No, to załatwimy panu niezłe widowisko. - Lambert ponownie się usadowił i spojrzął na jeńca, który stał między konwojentami, z opuszczonymi ramionami i na rozstawionych szeroko nogach.

- A teraz, sierżancie, powie nam pan kilka rzeczy.

- Nie muszę niczego mówić, poza nazwiskiem, stopniem i miastem, z którego pochodzę - burknął mężczyzna. - To już zostało zapisane.

- Mmmm... nie jestem taki pewien, czy pan nie musi. Nie jest pan żołnierzem obcej narodowości, ale buntownikiem przeciwko rządowi własnego kraju.

- Nieprawda! Jestem żołnierzem Echevarry'ego.

- No to, co?

- To, że dla mnie sędzią jest ten, kogo wskaże Echevarry. A on mówi: Brodsky. Czyli że to pan jest buntownikiem.

- Prawo się zmieniło.

- Wasz zasrany Fallon nie ma prawa nic zmieniać. Zwłaszcza konstytucji. Nie jestem zwykłym pastuchem, kapitanie. Trochę chodziłem do szkół. A nasz strażnik, co roku czyta swym ludziom konstytucję.

- Czasy się zmieniły od tamtej pory, kiedy ją sformułowano - rzekł Lambert. Ton jego głosu się zaostrzył. - Ale nie będę się tu z tobą przekomarzał. Ilu twoja kompania liczy sobie strzelców i łuczników?

Cisza.

- Możemy ci to znacznie ułatwić - powiedział Lambert. - Nie namawiam cię do jakiegokolwiek zdrady. Potwierdzisz mi tylko pewne informacje, które i tak mam.

Mężczyzna gniewnie potrząsnął głową.

Lambert skinął ręką. Jeden z szeregowców stanął za jeńcem, wziął go za ramię i lekko wykręcił.

- Echevarry by mi tego nie zrobił - wycedził jeniec przez pobielale wargi.

- Oczywiście, że nie - odrzekł Lambert. - Jesteś jego żołnierzem.

- A co, miałbym być tylko numerkiem na jakiejś liście we Frisco? No jasne, że jestem jego żołnierzem!

Lambert skinął znowu. Strażnik mocniej wykręcił ramię jeńcowi.

- Wstrzymajcie się! - warknął Danielis. - Natychmiast przestać.

Szeregowiec puścił jeńca; twarz jego wyrażała zdziwienie. Mężczyzna odetchnął głęboko, prawie z jękiem.

- Dziwię się panu, kapitanie Lambert - rzekł Danielis. Czuł, jak twarz mu czerwienieje. - Jeśli tak pan zwykle postępuje, to czeka pana sąd wojenny.

- Nie, panie pułkowniku - odrzekł Lambert cicho. - Słowo honoru. Tylko, że... oni nie chcą mówić. Prawie żaden. Co ja mam robić?

- Postępować zgodnie z prawem wojennym.

- Z buntownikami?

- Odprowadzić jeńca - polecił Danielis. Strażnicy pośpiesznie zastosowali się do rozkazu.

- Przepraszam, panie pułkowniku - mruknął Lambert. - To, dlatego... chyba dlatego, że straciłem tylu kumpli w tej wojnie. A nie chciałbym stracić więcej tylko z powodu niedostatecznych informacji.

- Ja też nie. - W Danielisie odezwało się współczucie. Usiadł na skraju stołu i zaczął skręcać papierosa. - Ale widzi pan, to nie jest zwykła wojna. I dlatego, w wyniku osobliwego paradoksu, musimy ściślej niż kiedykolwiek przedtem przestrzegać konwencji.

- Niezupełnie rozumiem, panie pułkowniku.

Danielis skończył skręcać papierosa i podał go Lambertowi: gałązka oliwna czy coś w tym rodzaju. Zaczął robić następnego dla siebie.

- Buntownicy nie są we własnych oczach buntownikami - odrzekł. - Są lojalni wobec tradycji, którą my próbujemy przełamać, a w końcu zniszczyć. Spójrzmy prawdzie w oczy: przeciętny szef to zupełnie dobry przywódca. Może i jest potomkiem jakiegoś opryszka, który silną ręką zdobył władzę jeszcze podczas chaosu, ale obecnie jego rodzina zintegrowała się z regionem, którym on rządzi. Zna go na wylot, podobnie jak zamieszkujących go ludzi. Jest tu we własnej osobie symbolem społeczności i jej osiągnięć, obyczajów i niezależności. Jeśli masz kłopoty, nie przebijas się przez mur bezosobowej biurokracji, tylko idziesz prosto do szefa. Jego obowiązki są równie jasno określone jak twoje własne, a odpowiedzialność o wiele większa, równoważąca jego przywileje. Prowadzi cię do boju oraz przewodzi w obrzędach, które nadają życiu barwę i znaczenie. Twój i jego przodkowie pracowali i bawili się razem przez dwieście czy trzysta lat. Ziemia żyje wspomnieniami o nich. Ty i on należycie tu. No, więc trzeba to odrzucić, aby można było wznieść się na wyższy poziom. Ale nie osiągniemy tego poziomu zrażając siebie wszystkich. Nie jesteśmy armią zdobywców; nasza rola jest podobna do roli gwardii pałacowej uśmierzającej rozruchy w jakimś mieście. Opozycja jest integralną częścią naszego własnego społeczeństwa.

Lambert zapalił mu zapalną. Danielis zaciągnął się i mówił dalej:

- Biorąc zaś pod uwagę aspekt praktyczny, mógłbym panu również przypomnieć, kapitanie, że federalne siły zbrojne, zarówno wierne Fallonowi, jak i

Brodsky'emu, nie są zbyt liczne. Właściwie sama kadra. Jesteśmy zbieraniną młodszych synów rodzin, rolników, którym się nie powiodło, ubogich mieszczan, poszukiwaczy przygód, ludzi, którzy szukają w swoim pułku poczucia spełnienia, którego oczekiwali od dzieciństwa, a w życiu cywilnym go nie zaznali....

- Mówi pan zbyt mądrze jak dla mnie - rzekł Lambert.

- Nieważne - westchnął Danielis. - Proszę tylko mieć na uwadze, że znaczna większość biorących udział w walce znajduje się poza przeciwnymi sobie armiami, a nie w nich. Gdyby szefom udało się ustanowić wspólne dowództwo, byłby to koniec rządów Fallona. Na szczęście duże znaczenie odgrywa tu дума lokalna i wielkie odległości, nie dojdzie, więc do tego... chyba, że rozgniewamy ich tak, że nie będą mogli tego dłużej znosić. My zaś chcemy, aby zwykły wolny rolnik, a nawet zwykły szef pomyślał tak: Ci popierający Fallona nie są jeszcze tacy źli. Jak się będę ich trzymał, nie stracę zbyt wiele, a mogę jeszcze zyskać kosztem ich wrogów. Rozumie pan?

- T-tak. Myślę, że tak.

- Pan nie jest głupi, Lambert. Nie musi pan zmuszać jeńców biciem do mówienia. Niech pan użyje podstępów.

- Spróbuję, panie pułkowniku.

- Dobrze. - Danielis spojrział na zegarek, który zgodnie z tradycją otrzymał razem z bronią boczną podczas promocji. (Dla zwykłych ludzi zegarki były o wiele za drogie. W epoce produkcji masowej tak nie było; a może i w nadchodzącej epoce...) - Muszę już iść. Do zobaczenia.

Wyszedł z namiotu w trochę lepszym nastroju niż poprzednio. Nie ma wątpliwości, że jestem domorosłym kaznodzieją, przyznał przed samym sobą. Nigdy mi zbyt nie odpowiadały głupie żarty przy jedzeniu, z których wielu zresztą w ogóle nie rozumiałem... ale jeśli mogę podsunąć kilka myśli tam, gdzie znajdują podatny grunt, to wystarczająca dla mnie przyjemność.

Doleciały go dźwięki muzyki, jakieś banjo i kilka męskich głosów, i złapał się na tym, że pogwizduje. Dobrze, że pozostało, choć tyle z morale po Maricopie i marszu na północ, którego celu nie zdradzono przed nikim.

Namiet konferencyjny był na tyle obszerny, że zwano go pawilonem. U wejścia stało dwóch strażników. Danielis był jednym z ostatnich, którzy przyszedli, i znalazł się na końcu stołu, naprzeciwko generała Pereza. Powietrze zasnuwał dym i słychać było stłumione szmery rozmów, ale twarze wszystkich były napięte.

Kiedy u wejścia pojawiła się odziana na błękitno postać z symbolem Jang i Jin na piersiach, cisza zapadła jak zasłona. Danielis ze zdumieniem rozpoznał w

przybyłym Filozofa Woodwortha. Ostatnio widział go w Los Angeles i sądził, że Esper pozostanie w miejscowym ośrodku. Pewnie dostał się tu jakimś specjalnym środkiem transportu, skierowany specjalnymi rozkazami...

Perez przedstawił przybyłego. Obaj stali nadal, pod obstrzałem spojrzeń oficerów.

- Mam dla panów ważne informacje - rzekł bardzo cicho Perez. - Mogą panowie poczytywać sobie za zaszczyt, że zostaliście tu zaproszeni. Oznacza to, że moim zdaniem można panom zaufać, że, po pierwsze, zachowacie całkowite milczenie, co do tego, co za chwilę usłyszycie, a po drugie przeprowadzicie ważną operację o wysokim stopniu trudności. - Danielis ze wstrząsem uświadomił sobie, że wśród obecnych nie ma kilku oficerów, których ranga wskazywałaby, że powinni tu być.

- Powtarzam - mówił Perez - jakiegokolwiek naruszenie tajności zniweczy cały plan. W takim wypadku wojna będzie się jeszcze ciągnąć przez wiele miesięcy czy lat. Wiecie, panowie, w jak złej sytuacji się znajdujemy. Wiecie również, że będzie się ona pogarszać w miarę zużywania zapasów, których uzupełnienie uniemożliwia nam wróg. Możemy nawet zostać pokonani. Mówiąc to nie jestem defetystą, tylko realistą. Możemy przegrać tę wojnę.

Z drugiej strony, jeśli ten nowy plan wypali, możemy złamać kark wrogowi jeszcze w tym miesiącu.

Zamilkł na chwilę, by jego słowa zapadły w myśli słuchaczy.

- Plan ten - mówił po chwili dalej - został opracowany kilka tygodni temu przez Sztab Generalny przy współpracy Centrali Esperów w San Francisco... - Odczekał, aż ucichną okrzyki zdumienia, które przeszły duszne powietrze. - Tak, wiecie, panowie, że Bractwo Esperów nie bierze udziału w sporach politycznych. Wiecie jednak również, że broni się, kiedy zostanie zaatakowane. I wiecie też zapewne, że buntownicy dokonali takiego ataku. Zdobyli osadę w dolinie Napa i od tej pory rozpuszczają złośliwe pogłoski na temat Bractwa. Czy chciałby pan coś powiedzieć na ten temat, Filozofie Woodworth?

Człowiek w niebieskich szatach skinął głową.

- Mamy własne sposoby - odezwał się chłodno - dowiadywania się o różnych sprawach... taki nasz, można powiedzieć, wywiad. Mogę, więc podać wam informację o tym, co się naprawdę stało. St. Helena została zaatakowana, kiedy adepci, w większości ją opuścili pomagając w zakładaniu nowej osady w Montanie. - Jak się tak szybko tam przenieśli, zastanawiał się Danielis. Drogą teleportacji czy co? - Nie potrafię stwierdzić, czy wróg wiedział o tym, czy też po prostu miał szczęście. W każdym razie, kiedy dwaj czy trzej pozostali w osadzie adepci wyszli

buntownikom naprzeciw, wybuchła walka i zabito ich, nim zdolali coś przedsięwziąć. - Esper uśmiechnął się. - Nie twierdzimy, że jesteśmy nieśmiertelni, chyba, że w takim sensie, w jakim każda żywa istota jest nieśmiertelna. Nie jesteśmy też nieomylni. Tak, więc obecnie St. Helena jest pod okupacją. Nie planujemy żadnego bezpośredniego działania przeciwko okupantom, ponieważ ucierpieć mogłaby na tym ludność osady.

A co do tych bajek rozgłaszanych przez dowództwo wroga, to ja bym chyba tak samo zrobił, gdyby mi się trafiła podobna okazja. Każdy wie, że adept potrafi takie rzeczy, do jakich nikt poza nim nie jest zdolny. Żołnierze, którzy zrozumieli, że skrzywdzili Bractwo, będą się teraz obawiać nadprzyrodzonej zemsty. Wy tu jesteście ludźmi wykształconymi i wiecie, że nie ma w tym nic nadprzyrodzonego, że jest to tylko sposób używania sił, jakie drzemią w nas wszystkich bez mała. Wiecie również, że Bractwo nie uznaje zemsty. Ale zwykły piechur nie myśli tak jak wy. Jego oficerowie muszą jakoś dodać mu ducha. Toteż sklecili lipne urządzenia i powiedzieli mu, że adepci tego właśnie używają: rozwiniętej techniki, oczywiście, ale tylko maszyn, które można zniszczyć, jeśli ma się odwagę, podobnie jak wszystkie inne maszyny. To się właśnie stało. Jednak jest to zagrożenie dla Bractwa, a poza tym nie możemy pozwolić, aby atak na naszych ludzi nie spotkał się z karą. Toteż Centrala Esperów postanowiła udzielić waszej stronie pomocy. Im prędzej skończy się ta wojna, tym lepiej dla wszystkich.

Ponad stołem przeleciał odgłos westchnienia; zerwało się kilka radosnych przekleństw. Danielis poczuł, jak włosy mu się unoszą na karku. Generał Perez dał znak dłonią.

- Nie za szybko, proszę - powiedział. - Nie będzie tak, że adepci rozejdą się, by zabijać za was wrogów. Dla nich była to i tak cholernie trudna decyzja, by pomóc nam tyle, ile postanowili. Ja, hm, zdaję sobie sprawę, że, hm, osobisty rozwój każdego Espera dozna regresu o wiele lat z powodu tak wielkiej przemocy. Ich ofiara jest ogromna.

Zgodnie ze swym statutem mogą używać psychotroniki w celu obrony przed atakiem. Dobrze, więc... atak na San Francisco zostanie uznany za atak na Centralę, ich światowe kierownictwo.

Uświadomienie sobie tego, co miało nastąpić, oślepiło Danielisa. Ledwie słyszał wypowiedziane suchym głosem dalsze słowa Pereza:

- Zajmijmy się przegładem sytuacji strategicznej. Obecnie wróg kontroluje ponad połowę Kalifornii, cały Oregon i Idaho oraz znaczną część stanu Waszyngton. My, nasza armia, dochodzimy do San Francisco ostatnią drogą

lądowną, jaka nam pozostała. Wróg nie próbował jej jeszcze przeciąć, ponieważ oddziały ściągnięte z północy - te, które w chwili obecnej nie są w boju - tworzą silny garnizon miejski, który potrafiłby się przebić. Wróg zbiera zbyt wiele łupów w innych miastach, by tu wdać się w ryzykowne starcie.

Nie może też liczyć na to, że oblegając miasto weźmie je głodem. Wciąż mamy Puget Sound i porty południowej Kalifornii. Nasze statki dowożą wystarczająco dużo żywności i amunicji. Jego własne siły morskie ustępują naszym: składają się głównie ze szkunerów ofiarowanych przez szefów osad nadbrzeżnych. Ich bazą wypadową jest Portland. Może potrafiłby czasem zniszczyć jakiś konwój, ale nie robi tego, bo mu się to nie opłaca; nadłyną inne konwoje, pod silniejszą eskortą. I, oczywiście, nie może przedostać się do Zatoki, skoro obu stron Golden Gate bronią stanowiska artylerii i rakiet. Nie, jedyne, na co się może zdobyć, to utrzymywanie niewielkiej komunikacji wodnej z Hawajami i Alaską.

Mimo to jednak ostatecznym celem wroga jest San Francisco. Musi być - jest to wszak siedziba rządu i przemysłu, serce kraju. Oto, więc nasz plan. Nasza armia znów zwiąże w walce dowództwo Sierry i wspomagające ją oddziały ochotnicze, uderzając od strony San Jose. To całkowicie logiczny manewr. Jeśli się powiedzie, rozdzieli siły wroga w Kalifornii na dwie części. Mówiąc prawdę, wiemy, że już koncentruje swe wojska oczekując właśnie takiego posunięcia.

Nie odniesiemy sukcesu. Stoczmy z wrogiem twardy bój i zostaniemy odparci. To najtrudniejsza część planu: symulowanie poważnej porażki, które przekonałoby nawet naszych własnych żołnierzy, a jednocześnie zachowanie porządku. Tu mamy wiele szczegółów do dopracowania. Wycofamy się na północ, wzdłuż półwyspu, w kierunku Frisco. Wróg z pewnością będzie nas ścigał. Uzna to za zesłaną przez niebiosą okazję zniszczenia nas i podejścia pod mury miasta.

Kiedy już znajdzie się głęboko wewnątrz półwyspu, mając po lewej stronie ocean, zaś po prawej zatokę, okrążymy go i zaatakujemy z tyłu. Będą tam adepci, którzy nam pomogą. Wróg znajdzie się w pułapce między nami i obroną cywilną miasta. Czego nie uda się zniszczyć Esperom, tym zajmiemy się my. Z dowództwa Sierry pozostanie zaledwie kilka garnizonów. Reszta wojny będzie tylko operacją oczyszczającą. To znakomite dzieło strategii. I jak wszystkie jemu podobne, cholernie trudne do przeprowadzenia. Jesteście gotowi, by to zrobić?

Danielis nie wznosił okrzyku wraz z innymi. Zbyt usilnie myślał o Laurze.

Walki trwały na północy i na prawej flance. Co jakiś czas odzywały się działa albo stukot karabinów; dym wystrzałów słał się cienką warstwą na trawie i na pokreconych przez wiatr dębach, które porastały tutejsze wzgórza. Ale dalej,

wzdłuż wybrzeża, był tylko przybój, wiatr, świst piasku na wydmach.

Mackenzie jechał plażą, gdzie koń stapał najłatwiej, a i widok był najlepszy. Większość jego pułku znajdowała się w głębi lądu. Tutaj jednak ląd to było pustkowie: zryta ziemia, lasy, szczątki starożytnych domów sprawiały, że jechało się powoli i z trudem. Kiedyś mieszkało tu wiele ludzi, ale burza ogniowa po Bombie wyludniła te tereny, a ci nieliczni, którzy tu pozostali, nie mogli dać sobie rady z jałową ziemią. Nawet nie było widać żadnych wrogich żołnierzy w pobliżu tego lewego skrzydła armii.

Ale nie, dlatego przydzielono je Włóczykijom. Mogli wziąć na siebie ciężar natarcia środkiem równie dobrze jak te oddziały, które tam właśnie były, gnając wroga przed sobą w kierunku San Francisco. Włóczykije nieraz wachali proch w tej wojnie, kiedy działali z bazy w Calistodze pomagając wygonić zwolenników Fallona z północnej Kalifornii. Tak doskonale im się to udało, że teraz wystarczyło pozostawić tam niewielki garnizon. Prawie całe dowództwo Sierry zebrало się w Modesto i wyszło na spotkanie posuwającej się na północ armii przeciwnika, która uderzyła na nich z San Jose zmuszając do ucieczki. Jeszcze dzień czy dwa i białe miasto powinno się ukazać ich oczom.

A tam przeciwnik z pewnością stawi silny opór, pomyślał Mackenzie, mając wsparcie w garnizonie miejskim. I trzeba będzie ostrzeliwać jego pozycje, a może nawet brać to miasto ulica po ulicy. Lauro, dziecko, czy zastanę cię żywą, gdy się to skończy?

Oczywiście, może wcale tak nie będzie. Może mój plan się powiedzie i łatwo wygramy... Cóż to za straszne słowo - „może”! Zwarł dłonie z trzaskiem przypominającym wystrzał z pistoletu.

Speyer rzucił mu spojrzenie. Rodzina majora była bezpieczna; udało mu się nawet odwiedzić ją w Mount Lassen po zakończeniu kampanii północnej.

- Ciężko - powiedział.

- Każdemu ciężko - odrzekł Mackenzie gniewnie. - To brudna wojna. Speyer wzruszył ramionami.

- Nie różni się od innych, chyba tylko tym, że nasi obywatele są zarówno wśród zwycięzców jak i pokonanych.

- Dobrze wiesz, że nigdy i nigdzie nie lubiłem tej roboty.

- A który człowiek przy zdrowych zmysłach lubi?

- Kiedy będę miał ochotę na kazanie, to cię poproszę.

- Przepraszam - powiedział Speyer szczerze.

- Ja też przepraszam - rzekł pułkownik, nagle pełen skruchy. - Nerwy wysiadają.

Cholera jasna! Niemal chce mi się jakiejś akcji.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby ci się to życzenie spełniło. Coś mi się w tym wszystkim nie podoba.

Mackenzie rozejrzał się naokoło. Z prawej strony na horyzoncie widać było pagórki, za którymi wznosiły się niskie, lecz masywne góry San Bruno. Tu i tam dostrzegał własnego żołnierza, pieszo lub na koniu. Nad jego głową krztusił się warkotem samolot. W razie, czego jednak było tu wiele miejsca, by utworzyć stanowisko obronne. Pień mógło rozpętać się w każdej chwili... choć z konieczności pień o ograniczonym zakresie, które można było szybko stłumić ostrzałem artyleryjskim czy atakiem na bagnety przy niewielkich stratach własnych (Ha! Owe „niewielkie straty własne” oznaczały śmierć ludzi, których będą oplakiwać kobiety i dzieci, czy też kalekę spoglądającego na kikut ręki albo innego, który postradał twarz i oczy w wybuchu... a w ogóle, cóż to za myśli nie przystojące żołnierzowi?).

Szukając spokoju ducha Mackenzie spojrzał na lewo. Ocean falował szarością i zielenią, połyskiwał daleko w głąb, bliżej brzegu unosząc się i opadając w huku białych grzywaczy. Pułkownik czuł zapach soli i wodorostów. Nad lśniącymi oślepiająco piaskami przelatywały z krzykiem mewy. Na morzu ani śladu żagla czy dymu - jedynie pustka. Konwoje z Puget Sound do San Francisco i smukłe, śmigłe statki szefów przybrzeżnych kryły się o wiele mil stąd, za krzywizną kuli ziemskiej.

I tak powinno być. Może wszystko szło dobrze na głębokim oceanie. Można było tylko próbować i wierzyć w powodzenie. I... wszak była to jego sugestia, Jamesa Mackenzie, który przemawiał na konferencji zwołanej przez generała Cruikshanka między bitwami pod Mariposą i San Jose; tego samego Jamesa Mackenzie, który najpierw zaproponował, aby dowództwo Sierry zeszło z gór, a następnie obnażył gigantyczne łgarstwo Esperów i z powodzeniem wyciszył krążące wśród jego ludzi informacje, że za tym łgarstwem kryła się tajemnica, o której mało kto odważył się nawet, myśleć. O tym pułkowniku wspominać będą kroniki i ballady przez pół tysiąca lat.

Tylko, że Mackenzie nie odczuwał tego w ten sposób. Wiedział, że nawet w najlepszych warunkach można go było uznać tylko za przeciętnie bystrego, a teraz umysł miał otepiał od zmęczenia i przejęty troską o los córki. Zaś, co do swoich spraw, bał się rany, która mogłaby uczynić go kaleką. Często zasypiał dopiero po paru kieliszkach. Zawsze był ogolony, bo oficer musi zachowywać pozory, ale dobrze zdawał sobie sprawę, że gdyby nie robił tego za niego ordynans, to wkrótce zarósłby jak pierwszy lepszy szeregowiec. Jego mundur spłowiał i był pocerowany,

ciało swędziało go i cuchnęło, usta domagały się tytoniu, ale w zaopatrzeniu były jakieś kłopoty i mieli szczęście, że w ogóle dostali coś do jedzenia. Osiągnięcia, które mógł sobie zaliczyć, ograniczały się do partaniny wykonywanej w najgorszym bałaganie lub też do takiej jak obecnie młócki i wypowiedanych w duchu próśb, aby się to nareszcie skończyło. Pewnego dnia, czy będzie on zwycięski, czy też nie, jego ciało go zawiedzie: już czuł, jak cała maszyna rozpada się na kawałki, miał bóle artretyczne, zadyszkę, zdarzało mu się zapadać w drzemkę w biały dzień - a sam zgon będzie równie, samotny i niegodny, jak śmierć każdego innego odłamka masy ludzkiej. Bohater? Cóż za pośmiewisko po wsze czasy!

Zwrócił myśli ku sprawom aktualnym. Z tyłu, obok artylerii, szły po plaży siły główne pułku - tysiąc żołnierzy z działami samojezdnymi, jaszczami, wozami zaprzężonymi w muły, z kilkoma ciężarówkami i jedynym cennym transporterem opancerzonym. Była to jedna brunatna masa u góry przetykana hełmami, idąca w szyku dowolnym, z bronią w rękach. Piasek tłumiał odgłos ich kroków, tak, że dało się słyszeć jedynie przybój i wiatr. Kiedy jednak wiatr cichł, Mackenzie chwycił dźwięki melodii oddziału czarowników - kilkunastu wysuszonych starców, głównie Indian, którzy nieśli różdżki czarodziejskie i wygwizdywali Pieśń Przeciwko Czarownicom. Mackenzie sam nie parał się czarami, ale kiedy ten dźwięk docierał do jego uszu, czuł, jak ciarki przechodzą mu po plecach.

Wszystko jest w najlepszym porządku, zapewniał sam siebie. Idzie nam znakomicie.

Potem zaś:, ale Phil ma rację. Tu coś nie gra. Wróg powinien wycofywać się w walce do południowych linii oporu, a nie dać się tak zamknąć.

Nadjechał galopem kapitan Hulse. Gdy zatrzymał konia, spod kopyt trysnął piach.

- Wrócił patrol, panie majorze.

- No? - Mackenzie zdał sobie sprawę, że nieomal krzyknął. - Proszę mówić.

- Około pięciu mil stąd na południowy wschód zaobserwowano znaczną aktywność wroga. Wygląda na to, że jakiś oddział posuwa się w naszym kierunku.

Mackenzie zeszywniał.

- Nie ma jakichś dokładniejszych informacji?

- Jeszcze nie; teren jest trudny.

- Wyślijcie samolot na rozpoznanie, na Boga!

- Tak jest, panie pułkowniku. Wyślę też więcej zwiadowców.

- Zastąp mnie tu, Phil. - Mackenzie ruszył w stronę ciężarówki z radiostacją. Miał oczywiście w jukach minikomunikator, ale San Francisco nieustannie

zagłuszało wszystkie zakresy i potrzebny był silny nadajnik, by wysłać sygnał choćby na parę kilometrów. Patrole musiały utrzymywać łączność poprzez posłańców.

Zwrócił uwagę, że strzelanina wewnątrz lądu ucichła nieco. W głębi Półwyspu znajdowały się porządne drogi dalej na północy, gdzie nastąpiło pewne ponowne zasiedlenie tych terenów. Wróg, który nadal zajmował tamte tereny, mógł skorzystać z tych dróg do szybkiego przemieszczania swych sił.

Jeśli wycofają się w środku i zaatakują nas na flankach, gdzie jesteśmy najslabsi...

Jakiś głos w sztabie głównym, ledwie słyszalny poprzez piski i brzęczenie, przyjął jego raport i poinformował o tym, co zaobserwowano w innych miejscach. Znaczne ruchy wojsk na prawo i lewo, owszem, wyglądało na to, że wojska Fallona chcą się przedrzeć. Może też być to manewr dla odwrócenia uwagi. Główne siły Sierry muszą pozostać na miejscu, dopóki sytuacja się nie wyjaśni. Włóczykije muszą przez jakiś czas sami się utrzymać na swych pozycjach.

- Zrozumiałem. - Mackenzie powrócił na czoło swej kolumny. Speyer ponurym skinieniem głowy skwitował wieści.

- Lepiej się przygotujmy, nie?

- Mhm. - Mackenzie zgubił się w powodzi własnych komend, gdy oficerowie podjeżdżali do niego, jeden po drugim. Należało wycofać wysunięte pododdziały. Należało bronić plaży wraz z sąsiadującymi z nią bezpośrednio wyższymi terenami.

Ludzie rozbiegli się, konie rżały, działa dudniły. Powrócił samolot rozpoznawczy; leciał tak nisko, by można było przekazać przez radio meldunek: tak jest, bez wątpienia rozwija się natarcie wroga; z powodu tej cholernej osłony drzew i mnóstwa rozpadlin trudno określić liczebność atakujących, ale może być nawet i brygada.

Mackenzie, w otoczeniu swego sztabu i łączników, zajął stanowisko na szczycie wzgórza. Przed nim, w poprzek plaży, rozciągały się linie artylerii. Za działami czekała konnica z błyszczącymi lancami, mając wsparcie w kompanii piechoty. Poza nią piechurzy wtopili się w krajobraz. Morze grzmiało własną kanonadą, a mewy zaczęły się gromadzić, jakby domyślały się, że niedługo będzie żer.

- Myślisz, że ich zatrzymamy? - spytał Speyer.

- Oczywiście - odrzekł Mackenzie. - Jeśli nadejdą plażą, ostrzelamy ich z flank, podobnie zresztą jak i od frontu. Gdyby nadeszli od wzgórz, to mamy tu typowy przykład terenu nadającego się do obrony. Oczywiście, jeśli jakiś inny oddział przedrze się przez nasze linie dalej w głębi lądu, zostaniemy odcięci, ale to na razie

nie nasze zmartwienie.

- Chcą chyba obejść nasze wojska i zaatakować z tyłu.

- Chyba tak. Nie za sprytne to jednak. Możemy dojść do Frisco równie łatwo walcząc z wrogiem od tyłu, jak i od przodu.

- Chyba, że garnizon wyśle wojsko na zewnątrz miasta.

- Nawet wtedy. Ogólna liczba żołnierzy jest mniej więcej taka sama, ale my mamy więcej amunicji i... Oraz dużo wspomagających nas żołnierzy szefów, którzy są przyzwyczajeni do nieregularnej wojny na terenach górzystych.

- Jeśli damy im w skórę... - Speyer zacisnęła wargi.

- Mów dalej - rzekł Mackenzie.

- Nic takiego.

- Gówno prawda. Chciałeś przypomnieć mi o następnym kroku: jak weźmiemy miasto, unikając wysokich strat po obu stronach? No, więc przypadkiem wiem, że mamy ukrytego asa, który może pomóc, jeśli go zgramy.

Speyer odwrócił pełen współczucia wzrok od pułkownika. Na szczycie wzgórza zapanowała cisza.

Minęło nieprawdopodobnie wiele czasu, nim pojawili się żołnierze wroga: najpierw kilku szperaczy na stokach wydm, potem zaś główne siły wylewające się z rozpadlin, zza krawędzi wzgórz i z lasów. Obok pułkownika przelatywały meldunki: silne zgrupowanie, prawie dwukrotnie liczniejsze od naszego, ale z nieliczną artylerią; ponieważ w chwili obecnej odczuwają ogromny brak paliwa, muszą znacznie częściej niż my korzystać z siły pociągowej zwierząt. Wyraźnie zmierzali do szarży, by poświęcając wielu żołnierzy doprowadzić szable i bagnety między działa Włóczykijów. Mackenzie wydał odpowiednie rozkazy.

Wrogie wojska uformowały szyk w odległości jakichś dwóch kilometrów. Mackenzie rozpoznał je przez lornetkę: czerwone chusty Madera Horse, zielono-złote proporce Dagów, powiewające w przesyconym jodem wietrze. W przeszłości walczył z obydwoma oddziałami ramię w ramię. Zdradą wydało mu się pamiętanie i wykorzystanie faktu, że Ives uwielbiał szyk w kształcie stępionego klina... W słońcu błyszczał złowrogo jeden transporter opancerzony wroga i kilka lekkich dział polowych zaprzężonych w konie.

Rozległ się ostry głos trąbek. Kawaleria Fallona złożyła lance w pozycji na spocznij i ruszyła truchtem. Nabierali szybkości do kłusa, galopu, aż ziemia drżała pod kopytami. Potem ruszyła piechota osłaniana z boków przez działa. Transporter jechał między pierwszą i drugą linią piechurów. Dziwacznie wyglądał bez wyrzutni raketowej na szczycie i karabinów maszynowych wysuniętych przez otwory

strzelnicze. Dobrzy żołnierze, pomyślał Mackenzie. Idą w szyku zwartym, rytmicznym, który wskazywał, że nie są to nowicjusze. Zgroza go przejęła na myśl o tym, co ma nastąpić.

Jego obrona czekała nieruchomo na piasku. Strzały padły ze wzgórz, gdzie przycupnęli strzelcy i obsługa moździerzy. Upadł jeden z jeźdźców; jakiś piechur złapał się za brzuch i opadł na kolana, ale zaraz ich towarzysze przesunęli się naprzód ponownie zwierając szyk. Mackenzie obejrzał się na swe haubice. Obsługa czekała przy celownikach i spustach. Niech wróg znajdzie się w zasięgu... Już! Yamaguchi, siedzący na koniu tuż za artylerzystami, dobył szabli i skierował ostrze ku ziemi. Ryknęły działa. Ogień trysnął poprzez dym, wzniosły się tumany piasku, odłamki sieknęły po nacierających. Działonowi od razu wpadli w rytm ładowania, celowania, strzału stale trzy razy na minutę, kiedy to i lufy się nie niszczą, i natarcie wroga się załamuje. Ryczały konie zaplątane we własne krwawe wnętrzości. Niewiele jednak padło. Kawaleria Madery nie przerywała galopu. Czoło szarży było już tak, blisko, że lornetka pułkownika pokazała mu twarz jeźdźca, czerwoną, piegowatą, twarz parobka, z którego zrobiono żołnierza. Usta miał wykrzywione w okrzyku.

Lucznicy stojący za działami obrony zwolnili cięciwy. Strzały świsnęły w niebo, salwa za salwą, zatoczyły łuk nad mewami i opadły. Płomienie i dym objęły wysuszoną trawę na stoku wzgórz, dokąd przedostały się z dębowego zagajnika. Ludzie padali na ziemię; niektórzy wciąż się obrzydliwie poruszali niczym owad, na którego ktoś nastąpił. Armatki na lewym skrzydle nieprzyjaciela zatrzymały się, przesunęły lufy i plunęły ogniem. Na próżno... ale mój Boże, ich dowódca miał odwagę! Mackenzie zobaczył, że szeregi nacierających chwieją się. Atak jego własnej piechoty i kawalerii sunący plażą powinien ich zmiażdżyć.

- Przygotować się - rzucił do minikomunikatora. Ujrzał, jak jego ludzie zamierają w napięciu. Działa ponownie rzygnęły ogniem.

Nadjeżdżający transporter zatrzymał się. Coś wewnątrz zaterkotało wystarczająco głośno, by się przebić poprzez wybuchy.

Po najbliższym wzgórzu przebiegła ściana białoniebieskiego ognia. Mackenzie zamknął oczy, na wpół oślepiony. Gdy je znowu otworzył, dostrzegł płonąca trawę poprzez błyski latające mu wściekle przed oczami. Zza zasłony wybiegł jeden z Włóczykijów, wyjąc nieludzko. Odzież na nim płonęła. Żołnierz upadł na ziemię i przetoczył się. Piasek w tym miejscu uniósł się w jednej potwornej grzebieniastej fali, wysokiej na kilkanaście metrów, i uderzył o stok góry. Płonący żołnierz zniknął w lawinie, która pogrzebała jego towarzyszy.

- Esperzy! - rozległ się czyjś krzyk, piskliwy i straszny, przebijający się przez chaos i dudnienie ziemi. - Uderzenie psycho...

Trudno było w to uwierzyć, ale nagle rozległy się trąbki i kawaleria Sierry ruszyła do ataku. Minęła własne działa i pognąła ku uciekającemu w popłochu wrogowi... gdy nagle konie i jeźdźcy unieśli się w monstrualnej niewidocznej karuzeli i z trzaskiem łamanych kości runęli znowu na ziemię. Drugi szereg kawalerzystów załamał się. Konie cofnęły się waląc przednimi kopytami w powietrze, zawróciły i pomknęły we wszystkich kierunkach.

Powietrze wypełniło straszliwe basowe brzęczenie. Mackenzie widział wszystko wokół siebie jak przez mgłę, jak gdyby mózg jego odbijał się o ściany czaszki. Po wzgórzach przebiegła kolejna ściana ognia, wyżej tym razem, żywcem paląc żołnierzy.

- Rozniosą nas - zawołał Speyer; jego słaby głos unosił się i opadał na falach powietrza. - Gdy nasi będą uciekać, oni wyrównają szyki...

- Nie! - krzyknął Mackenzie. - Adepti muszą być w transporterze. Szybko!

Większość jazdy wycofała się ku własnej artylerii; teraz była to już jedna tratująca się, jęcząca płatanina ciał. Piechota stała na miejscu, ale niewiele brakowało, by rzuciła się do ucieczki. Spojrzenie w prawo pozwoliło pułkownikowi stwierdzić, że wróg też był w rozsypce, że ostatnie wydarzenia musiały być dla niego również straszliwym zaskoczeniem, ale jak tylko pierwszy szok minie, ruszą do ataku i nic ich nie powstrzyma... Uderzył konia ostrogami, ale nie czuł tego; zupełnie tak, jakby zrobił to inny człowiek. Zwierzę walczyło, całe w pianie z przerażenia. Walnął je kilkakrotnie w łeb, brutalnie, i wbił z całej siły ostrogę. Koń pomknął w dół, ku artylerii.

Mackenzie potrzebował całej swej siły, by powstrzymać wałacha przy wylotach dział. Przy jednym z nich leżał martwy żołnierz, choć nie było na nim śladu rany. Mackenzie zeskoczył na ziemię. Koń pogalopował przed siebie.

Nie miał czasu martwić się o to. Gdzie pomoc?

- Chodźcie tu! - krzyk jego utonął w zamieszaniu. Ale nagle okazało się, że jest już ktoś obok niego; Speyer, który schwycił nabój i wsunął z trzaskiem do komory. Mackenzie wyteżył wzrok patrząc przez celownik, mierząc właściwie na wycucie. Widział transporter Esperów rozkraczony pomiędzy ciałami zabitych i rannych. Z tej odległości wydawał się tak niewielki, że nie chciało się wierzyć, iż był w stanie spalić takie połacie ziemi.

Speyer pomógł mu załadować haubicę. Mackenzie pociągnął za spust. Działo ryknęło i podskoczyło. Pocisk eksplodował kilka metrów przed celem; trysnął

piasek i zaświstały metalowe odłamki.

Speyer zdążył już załadować następną haubicę. Mackenzie wycelował i strzelił. Tym razem przeniosło, ale niewiele. Transporter zakolysał się. Wstrząs mógł poranić znajdujących się wewnątrz Esperów; w każdym razie uderzenia psychotroniczne ustały. Trzeba jednak było atakować, nim wróg zdoła się pozbierać.

Pobiegł w kierunku własnego transportera pułkowego. Drzwi były otwarte, załoga uciekła. Rzucił się na siedzenie kierowcy. Speyer zatrzasnął drzwi i wcisnął twarz w kaptur peryskopu wyrzutni raketowej. Mackenzie uruchomił silnik. Załopotał porporzec na wieżycze wozu.

Speyer ustawił wyrzutnię i nacisnął guzik spustu. Pocisk ziejąc ogniem pokonał odległość dzielącą oba transportery i eksplodował. Pojazd wroga podskoczył na kołach. W jego boku pojawiła się wyrwa.

Jeśli chłopcy zbiorą się i ruszą do natarcia... Jeśli nie, to i tak już po mnie. Mackenzie z piskiem zahamował, z trzaskiem otworzył właz i wyskoczył. Wejście do wrogiego transportera wiodło poprzez okopcone strzepy metalu. Pułkownik przecisnął się między nimi do środka, w mrok i smród.

Leżało tam dwóch Esperów. Kierowca nie żył; pierś miał przeszytą stalowym odłamkiem. Drugi z nich, adept, jęczał otoczony swymi nieludzkimi przyrządami. Nie było mu widać twarzy spod krwi. Mackenzie odsunął zwłoki kierowcy na bok i ściągnął z nich błękitną szatę. Schwycił zakrzywioną metalową rurkę i wygramolił się z wozu.

Speyer nadal siedział w nie uszkodzonym transporterze, strzelając z broni maszynowej do tych żołnierzy wroga, którzy podeszli zbyt blisko. Mackenzie skoczył na drabinkę zniszczonego wozu, wspiał się na wieżyczkę i stanął wyprostowany. Zaczął wymachiwać rękami trzymając w jednej szatę, w drugiej broń, której nie rozumiał.

- Chodźcie tu, sukinsyny! - wołał; głos jego ginał w wyciu morskiego wiatru. - Tych już załatwiliśmy! Wy też chcecie do piekła?

Jedna jedyna kula świsnęła mu koło ucha. Nic więcej. Żołnierze wroga, piesi i konni, w większości zamarli. W tej przeogromnej ciszy nie umiał powiedzieć, czy dźwięki, które słyszy, to przybój, czy krew tętniąca mu w żyłach.

A potem zagrała trąbka, za nią inne. Rozległy się triumfalne gwizdki oddziału czarowników; zadudniły ich tam-tamy. Poszarpana linia jego własnej piechoty zbliżyła się do niego. Nadchodziły następne. Dołączyła kawaleria, jeździec za jeźdźcem, oddział za oddziałem, na skrzydłach piechoty. Z dymiących stoków

wzgórz zbiegali strzelcy.

Mackenzie znowu zeskoczył na piasek i wsiadł do swego transportera.

- Wracamy - powiedział do Speyera. - Mamy bitwę do zakończenia.

- Zamknij się! - warknął Tom Danielis.

Filozof Woodworth wytrzeszczył na niego oczy. Las spowijały kłęby mgły skrywając teren i rozlokowaną na nim brygadę: kłęby szarej nicości, poprzez którą przedostawały się stłumione głosy ludzkie, rżenie koni, skrzypienie kół tworzące razem dźwięk oderwany i pełen niebywałego znużenia. Powietrze było chłodne, a odzież ciążyła na skórze.

- Ależ, panie pułkowniku - zaprotestował major Lescarbault. W jego wychudłej twarzy widać było szeroko otwarte, zaszokowane oczy.

- Chodzi o to, że mam czelność powiedzieć wysokiemu Esperowi, by przestał się wymądrzać w sprawie, o której nie ma zielonego pojęcia? - odparł Danielis. - Już najwyższy czas, by ktoś to zrobił.

Woodworth odzyskał równowagę.

- Powiedziałem tylko, synu, że powinniśmy zgromadzić naszych adeptów i uderzyć na główne zgrupowanie Brodsky'ego - rzekł tonem przygany. - Co w tym złego?

Danielis zacisnął pięści.

- Nic - odrzekł - poza tym, że doprowadzi to do jeszcze gorszej klęski niż ta, którą do tej pory spowodowałeś.

- Jedna przegrana bitwa czy dwie - spierał się Lescarbault. - Rozgromili nas na zachodzie, ale tu, przy Zatoce, odepchnęliśmy ich skrzydło.

- A ostatecznym rezultatem tego był ich manewr oskrzydający, po którym zaatakowali i przecięli nasze wojska na dwie części - warknął Danielis. - Od tamtej pory Esperzy na niewiele się zdali... skoro wiadomo już, że muszą mieć transportery do przewozu broni i że nie są nieśmiertelni. Artyleria koncentruje ogień na transporterach Esperów albo zabijają ich partyzanci, albo też wróg po prostu omija każdy punkt, w którym się znajdują. Nie starcza nam adeptów!

- Dlatego też zaproponowałem, żeby zebrać ich w jedną grupę, zbyt silną, by jej się oprzeć - powiedział Woodworth.

- I zbyt nieruchawą, aby mogła się na coś przydać - odparł Danielis. Czuł rozgoryczenie teraz, kiedy wiedział, że Bractwo oszukiwało go przez całe życie. Tak, pomyślał, to było to prawdziwe rozczarowanie; nie fakt, że adepci nie potrafili pokonać buntowników - głównie, dlatego, że nie udało im się złamać ich ducha - ale to, że adepci byli jedynie czymś narzędziem, a każda szczerą, łagodną duszą we

wszystkich społecznościach Esperów była jedynie czyjąś marionetką.

Nagle wściekle zachciało mu się wrócić do Laury - nie miał dotąd okazji się z nią zobaczyć - do Laury i dziecka, ostatniej uczciwej rzeczywistości, jaką ten mglisty świat mu pozostawił. Opanował się i dalej mówił z większym spokojem:

- Adepci, którzy przeżyją, przydadzą się przy obronie San Francisco. Armia mogąca poruszać się w polu potrafi ich pokonać w taki czy inny sposób, ale gdy dojdzie do ataku na mury miasta, wasza... wasza broń zdoła odeprzeć atak. Tam, więc mam zamiar ich zabrać.

To pewnie najlepsze, co może zrobić. Żadne wiadomości nie docierały od północnego odłamu armii lojalistów. Z pewnością wycofali się do stolicy ponosząc po drodze ciężkie straty. Trwało zagłuszanie fal radiowych utrudniające łączność zarówno własną, jak i wroga. Musi przedsięwziąć jakąś akcję; albo też przedrzeć się do miasta. To drugie posunięcie zdawało się rozsądniejsze. Nie był przekonany, że Laura wpłynęła na jego decyzję.

- Sam nie jestem adeptem - rzekł Woodworth. - Nie potrafię kontaktować się z nimi umysłem.

- Chcesz raczej powiedzieć, że nie masz tego, co u nich zastępuje radio - rzucił brutalnie Danielis. - Ale masz adepta wśród tych, którzy ci towarzyszą. Niech on przekaże im wiadomość.

Woodworth drgnął.

- Mam nadzieję - powiedział - mam nadzieję, że rozumiesz, iż dla mnie to też zaskoczenie.

- Och, oczywiście, Filozofie - wtrącił się Lescarbault nie proszony. Woodworth przełknął ślinę.

- Wciąż szanuję i Droge, i Bractwo - rzekł twardo. - Nic więcej nie mogę zrobić. A kto może? Wielki Poszukiwacz obiecał pełne wyjaśnienie, kiedy to się wszystko skończy. - Potrząsnął głową. - Dobrze, synu, zrobię, co będę mógł.

Kiedy błękitna szata zniknęła we mgle, Danielis poczuł w sercu pewne współczucie. Tym ostrzej zaczął ciskać rozkazy.

Wkrótce jego oddział ruszył. Była tu II Brygada; resztę buntownicy porzucali po całym półwyspie. Miał nadzieję, że podobnie rozrzućeni adepci, dołączający do niego podczas marszu przez łańcuch San Bruno, doprowadzą do niego niektórych z nich. Większość jednak, która zdemoralizowana wałęsała się po okolicy, z pewnością podda się pierwszemu napotkanemu buntownikom.

Jechał blisko czoła, błotnistą drogą, która wila się wśród wzgórz. Hełm ciążył mu niesamowicie. Koń pod nim potykał się, wyczerpany dniami - ile to już ich było?

- Marszu, wycofywania się, walki, zamieszania, skromnego wyżywienia lub wręcz głodu, gorąca, zimna i strachu na pustej ziemi. Biedne zwierzę; postara się zadbać o nie, gdy dotrą do miasta. Zadba i o te wszystkie inne biedne zwierzęta idące za nim, po wędrówce, walce i znów wędrówce, aż oczy zachodziły im mgłą od zmęczenia.

W San Francisco będzie dość czasu na odpoczynek. Tam jesteśmy niezwycięzeni dzięki murom i armatom oraz maszynom Esperów, które zasłonią nas od lądu, od tyłu zaś będzie morze, które nas żywi. Możemy odzyskać siły, - przegrupować oddziały, sprowadzić wodą posiłki z północy i z południa. Los wojny nie jest jeszcze przesądzony... w Bogu nadzieja.

Czy w ogóle będzie kiedyś przesądzony?

Czy Jimbo Mackenzie przyjdzie do nas jak zwyciężymy, usiądzie przy ognisku, żebyśmy sobie poopowiadali, co robiliśmy? Albo o czymś innym, o czymkolwiek? Jeśli nie, będzie to zbyt wysoka cena za to zwycięstwo.

Może jednak nie zbyt wysoka cena za tę naukę. Obcy na naszej planecie... ktoś inny mógłby zbudować taką broń? Adepti będą mówić, nawet gdybym osobiście musiał ich w tym celu torturować.

Danielis przypomniał sobie jednak opowieści szeptane w chatach rybaków, gdy był mały - po zmroku, kiedy myśli starszych ludzi kręciły się wokół duchów. Przed wojną opowiadano legendy o gwiazdach i legendy przetrwały. Zastanawiał się, czy będzie mógł jeszcze spojrzeć w niebo nocą bez dreszczu.

Ta cholerna mgła.

Zadudniły kopyta. Danielis wyciągnął pistolet do połowy. Jeźdźcem jednak okazał się jego własny zwiadowca, który uniósł w pozdrowieniu przemoczony rękaw.

- Panie pułkowniku, siły nieprzyjaciela około dziesięciu mil przed nami wzdłuż drogi. Duże zgrupowanie.

A więc trzeba będzie walczyć.

- Wiedzą o nas?

- Nie, panie pułkowniku. Posuwają się grzbietem górskim na wschód.

- Pewnie chcą zająć ruiny Candlestick Park - mruknął Danielis. Był zbyt zmęczony, by odczuć podniecenie. - To dobra twierdza. Dziękuję, kapralu. - Obrócił się w stronę Lescarbaulta i zaczął wydawać polecenia.

W bezkształtnym mroku brygada zaczęła nabierać kształtów. Wyruszyły patrole. Zaczęły napływać informacje i Danielis naszkicował plan, który powinien się powieść. Nie chciał uciekać się do ostatecznej konfrontacji, a jedynie odepchnąć

wroga na stronę i zniechęcić go do pościgu. Ludzi należy oszczędzać, zachować tyłu, ilu się da, przy życiu, do obrony miasta i późniejszej kontrofensywy.

Wrócił Lescarbault.

- Panie pułkowniku! Przerwano zagłuszanie!

- Co takiego? - Danielis zamrugał oczami, jeszcze nie całkiem rozumiejąc.

- Tak, panie pułkowniku. Nadawałem na minikomunikatorze - Lescarbault uniósł rękę, z niewielkim nadajnikiem na przegubie - na niewielką odległość: przekazywałem rozkazy dowódcom batalionów. Zakłócenia ustały parę minut temu. Wszystko słyhać doskonale.

Danielis przyciągnął przegub majora do swych ust.

- Halo, radiowóz, tu mówi dowódca. Słyszycie mnie?

- Tak jest, panie pułkowniku - odrzekł głos łącznościowca.

- Z jakiegoś powodu wyłączono w mieście zagłuszanie. Dajcie mi otwarty kanał wojskowy.

- Tak jest. - Chwila milczenia, podczas której słyhać było mamrotanie ludzi i szum wody płynącej w rozpadlinach. Widmo śmierci przeleciało Danielisowi przed oczyma. Krople deszczu ściekały mu po hełmie za kołnierz. Grzywa konia zwieszała się, nasiąknięta deszczem.

I nagle, jak pisk owada:

- ...tu natychmiast! Wszystkie jednostki w polu natychmiast do San Francisco! Znajdujemy się pod atakiem od strony morza!

Danielis puścił ramię Lescarbaulta. Patrzył w pustkę, a głos zawodził przez cały czas.

- ...bombarduje Potrero Point. Pokłady zatłoczone wojskiem. Chyba chcą tam wylądować...

Myśli Danielisa wyprzedzały słowa. Jak gdyby psychotronika nie była kłamstwem, jak gdyby oglądał ukochane miasto własnymi oczami i czuł jego rany własnym ciałem. Wejścia do Zatoki nie zasłaniała zapewne mgła, bo inaczej nie podaliby tak dokładnego opisu. Może kilka jej pasemek snuło się między zardzewiałymi szczątkami mostu, odbijając się niczym zwały śniegu na tle niebieskozielonej wody i jasnego nieba. Ale większość Zatoki stała otwarta dla słońca. Na przeciwległym brzegu wznosiły się wzgórza Zatoki Wschodniej, zielonej od ogrodów i lśniącej willami. Kraina Marin zaś wyciągała ramiona pod niebiosa po drugiej stronie cieśniny, spoglądając na dachy, ściany i wzniesienia, które składały się na San Francisco. Konwój przedostał się przez obronę nadbrzeżną, która mogła go zniszczyć; był to niezwykle liczny konwój i nie o wyznaczonym

czasie, ale wszak składał się z tych samych jednostek o pękatych kadłubach, białych żaglach, czasem dymiących kominach. To te statki żywiły miasto. Przyjęto, więc jakieś wytłumaczenia - że powodem spóźnienia były kłopoty z morskimi napastnikami - i wpuszczono flotę do Zatoki, od strony, której miasto nie miało murów. A potem statki odsłoniły działa, zaś ich pokłady wypełniły się zbrojnymi.

Tak, musieli przechwycić konwój, ci piraci na szkunerach. Włączyli własne zagłuszanie; razem z naszym stłumiło ono jakiegokolwiek wołania ostrzegawcze. Nasze zapasy wyrzucili za burtę i załadowali wojska szefów. Jakiś szpieg czy zdrajca przekazał im nasze sygnały rozpoznawcze. I teraz stolica leży przed nimi otworem, garnizon jest pusty, nie ma prawie żadnego adepta w Centrali Esperów, wojska Sierry walą w bramy miasta, a tam Laura jest beze mnie.

- Nadchodzimy! - ryknął Danielis. Za nim brygada z jękiem nabierała szybkości. Uderzyli z desperacką wściekłością, która zaniósła ich głęboko w pozycje wroga, a następnie rozdzieliła na niewielkie grupy. We mgle wrzała walka na noże i szable. Ale Danielis, który poprowadził szarżę, leżał już wtedy z piersią rozerwaną granatem.



Walki trwały jeszcze na wschodzie i południu, w okolicy portu u ruin murów Półwyspu. Jadąc w górę Mackenzie widział, jak kontury tych części miasta zacierał dym, rozwiewany czasem przez wiatr ukazujący gruzy, które kiedyś były domami. Wiatr przynosił odgłosy strzałów. Jednak poza tamtymi rejonami miasto było nietknięte; połyskiwało dachami i bielą ścian w pajęczynie ulic. W niebo mierzyły, niczym maszty, wieże kościołów, Urząd Federalny na Nib Hill oraz Wieża Obserwacyjna na Telegraph Hill. Takimi je zapamiętał z dzieciństwa. Piękna aż do bezczelności Zatoka lśniła w świetle słońca.

Nie miał jednak czasu na podziwianie widoków ani na zastanawianie się, gdzie szukać Laury. Atak na Twin Peaks musi być szybki, bowiem Centrala Esperów z pewnością będzie się bronić.

Aleją wiodącą do tych podwójnych pagórków z przeciwnej strony Speyer prowadził połowę Włóczykijów (Yamaguchi leżał martwy na zrytej plaży). Sam Mackenzie podchodził z tej strony. Konie stukały podkowami po Portoli, między dwoma rzędami domów, ślepych za pozamykanymi okiennicami; działa toczyły się skrzypiąc, buty stukały o chodnik, mokasyny sunęły, broń szczekała, ludzie ciężko oddychali, a oddział czarowników starał się gwizdem odpędzić nieznane demony.

Cisza jednak pochłaniała te dźwięki, echa chwytaly je i pozwalały im ścichnąć. Mackenzie przypomniał sobie koszmary nocne, w których uciekał korytarzem bez końca. Nawet, jeśli nie zaatakują nas, pomyślał niewesoło, będziemy musieli szybko zdobyć to miejsce, nim wysiądą nam nerwy.

W bok od Portoli odchodził bulwar Twin Peaks i stromo skręcał w prawo. Domy się skończyły; jedynie dzikie trawy pokrywały owe niby-święte góry aż do szczytów, gdzie stały budynki, do których wstęp był wzbroniony wszystkim prócz adeptów. Owe dwa niebotyczne, jarzące się blaskiem wieżowce o kształcie fontann zbudowano nocą w ciągu zaledwie kilku tygodni. Coś jakby jęk rozległo się za plecami pułkownika.

- Trębacz, grajcie sygnał do natarcia. Przyspieszyć kroku!

Jak gwizd dziecka tony sygnału uleciały w niebo i zginęły. Pot szczypał pułkownika w oczy. Jeśli zawiedzie i zginie, nie będzie to miało zbyt wielkiego znaczenia... po tym wszystkim, co się wydarzyło... ale pułk, pułk...

Przez ulicę przebiegł płomień barwy piekła. Uszu nacierających doleciał syk i grzmot. Ulica przed nimi leżała przeryta w pół, stopiona, dymiąca i cuchnąca. Mackenzie zmusił konia do zatrzymania. Tylko ostrzeżenie. Ale gdyby mieli dość adeptów, by nas pokonać, czy zadawaliby sobie trud odstraszenia nas?

- Artyleria, ognia!

Armaty polowe ryknęły jednym głosem, nie tylko haubice, ale i samojezdne siedemdziesiątki piątki zabrane ze stanowisk obrony wejścia do Zatoki. Nad głowami przeleciały pociski z gwizdem jakby lokomotywy. Rozbiły się na murach w górze, a huk dotarł w dół na skrzydłach wiatru.

Mackenzie przygotował się na uderzenie Esperów, ale uderzenie nie nadeszło. Czyżby już pierwszą salwą zlikwidowali ostatnie stanowiska obronne? Dymy na szczytach rozwiały się i pułkownik zobaczył, że barwy, które przedtem igrały na murach, były martwe, a w cudownych kształtach ziały głębokie rany ukazujące niezwykle słabą konstrukcję. Wyglądała ona jak szkielet kobiety zamordowanej jego własną ręką.

Szybko, mimo wszystko! Rzucił kilka rozkazów i poprowadził naprzód piechotę i konnicę. Bateria pozostała na poprzednim miejscu, strzelając bez przerwy z historyczną furią. Sucha, zbrązowiała trawa zaczęła się palić od rozżarzonych do czerwoności odłamków opadających na stok. Poprzez grzyby eksplozji Mackenzie dostrzegł, że budynek się rozpada. Całe arkusze oblicowania pękały i opadały na ziemię. Szkielet zawibrował, otrzymał bezpośrednie trafienie, zaśpiewał łabędzią pieśń metalu, zapadł się i skręcił, po czym runął na ziemię.

A cóż to takiego kryło się pod nim?

Żadnych pojedynczych pomieszczeń, pięt, nic tylko dźwigary, tajemnicze maszyny, tu i tam kula rozjarzona jak miniaturowe słońce. Konstrukcja kryła we wnętrzu coś prawie tak wysokiego, jak ona sama, błyszczącą kolumnę z płetwami, prawie taką jak pocisk rakietowy, ale niezwykle wysoki i jasny.

To ich statek kosmiczny, pomyślał Mackenzie wśród hałasu. Tak, oczywiście, starożytni zaczęli budować statki kosmiczne, podobnie jak my uważaliśmy, że kiedyś i do tego wrócimy. Ale to...!

Łucznicy wzniesli okrzyk plemienny. Podjęli go strzelcy i kawalerzyści, okrzyk szalony, triumfalny, niczym wycie drapieżnej bestii. Na szatana, dołożyliśmy samym gwiazdom! Gdy żołnierze wpadli na grzbiet wzgórza, ostrzał ustał i okrzyki radości zagłuszyły wiatr. W nozdrzach atakujących dym wiercił kwaśno, niczym zapach krwi.

W rumowisku widać było kilku zabitych w błękitnych szatach. Paru, którzy przeżyli, pędziło w kierunku statku. Jeden z łuczników wystrzelił. Strzała odbiła się od silników ładownika, ale zmusiła Esperów do zatrzymania. Żołnierze wbiegli w ruiny, by ich zatrzymać.

Mackenzie ściągnął wodze. Koło jednej z maszyn leżały zmiażdżone zwłoki... nie człowieka. Jego krew miała barwę głębokiego fioletu. Kiedy ludzie to zobaczą, będzie to koniec Bractwa. Nie odczuwał triumfu. W St. Helena przekonał się, jak dobrzy byli ci, którzy zaufali Esperom.

Nie czas jednak na żale ani rozmyślanie o tym, jak ciężka będzie przyszłość, gdy ludzkość uwolni się całkowicie z uwięzi. Budynek na drugim szczycie był wciąż nietknięty. Musi tu umocnić swe pozycje, potem zaś pomóc Philowi, jeśli będzie trzeba.

Jednakże zanim dokończył swego zdania, odezwał się minikomunikator:

- Chodź tu do nas, Jimbo. Już po bałaganie. - Gdy Mackenzie jechał samotnie w kierunku stanowiska Speyera, zobaczył, że na maszcie drugiego wieżowca pojawiła się flaga Stanów Pacyficznych.

U wejścia stali nerwowi, przejęci wartownicy. Mackenzie zsiadł z konia i wszedł do budynku. Przedsiónek był jedną wielką, iskrzącą się fantazją barw i luków, wśród których, jakby trolle, poruszali się żołnierze. Ten budynek wyraźnie mieścił mieszkania, biura, magazyny i inne sale o mniej zrozumiałym przeznaczeniu... Oto pokój, którego drzwi wysadzono dynamitem. Płynne, abstrakcyjne freski były teraz nieruchome, porysowane i brudne. Czterej obszarpani żołnierze trzymali pod bronią dwie istoty, które przesłuchiwał Speyer.

Jedna z nich na wpół leżała na czymś, co mogło uchodzić za biurko. Ptasia twarz była ukryta w siedmiopalczastych dłoniach, a szczątkowe skrzydła drżały jakby od szlochu. A więc umieją płakać? - pomyślał zdumiony Mackenzie i nagle zdjęło go pragnienie, by wziąć tę istotę w ramiona i pocieszyć na tyle, na ile potrafił.

Drugi nieziemiec stał w szacie z metalowej plecionki. Wielkie, topazowe oczy patrzyły na Speyera z ponad dwumetrowej wysokości, a głos przemieniał wypowiedane z obcym akcentem angielskie słowa w muzykę.

- ...gwiazda typu G około pięćdziesięciu lat świetlnych stąd. Ledwie ją widać gołym okiem, choć nie na tej półkuli.

Koścista, nie ogolona twarz majora poruszyła się w przód, jakby chciała sięgnąć czegoś ustami.

- Kiedy spodziewacie się posiłków?

- Statek przyleci dopiero za niespełna sto lat, a przywiezie tylko obsługę. Jesteśmy tu odizolowani przez czas i przestrzeń; niewielu może tu przybywać, aby budować most umysłów poprzez tę otchłań...

- Jasne - Speyer przytaknął prozaicznie. - Granica szybkości światła. Tak myślałem. O ile mówicie prawdę.

Istota zadygotała.

- Nic nam nie pozostało, jedynie mówić prawdę i ufać, że zrozumiecie nas i pomożecie. Odwet, podbój, jakakolwiek postać masowej przemocy jest niemożliwa, kiedy dzieli tyle czasu i przestrzeni. Nasza praca trwała w sercach i umysłach. Nie jest za późno, nawet teraz. Najistotniejsze fakty można jeszcze ukryć... och, wysłuchajcie mnie, przez wzgląd na waszych nie narodzonych!

Speyer skinął głową do pułkownika.

- Wszystko w porządku? - zapytał. - Mamy tu całą bandę. Gdzieś dwudziestu zostało przy życiu, a ten tutaj, to szef. Chyba to jedyni na Ziemi.

- Domyślaliśmy się, że nie może ich być wielu - rzekł Mackenzie. Jego uczucia i głos były równie zszarzałe. - Wtedy, kiedy omawialiśmy to razem, we dwóch, i próbowaliśmy się domyślić, co oznaczają te wszystkie ślady. Musiało ich być niewielu, bo działałoby bardziej otwarcie.

- Słuchajcie, słuchajcie - błagała istota. - Przybyliśmy tu z miłością. Naszym marzeniem było doprowadzenie was... sprawienie, byście sami doszli do pokoju, spełnienia... O, tak, my również mielibyśmy z tego zysk: powstałaby jeszcze jedna rasa, z którą z czasem moglibyśmy obcować jak z braćmi. Ale we wszechświecie jest wiele ras. To tylko z powodu waszych męczarni chcieliśmy pokierować waszą przyszłością.

- Ten pomysł manipulowania nie jest znów taki oryginalny - mruknął Speyer. - Co jakiś czas wpadamy na niego na Ziemi. Ostatnim razem doprowadził do wojny atomowej. Nie, dziękujemy bardzo!

- Ale my wiemy! Wielka Nauka przepowiada z absolutną pewnością!

- Przepowiedziała i to? - Speyer zatoczył ręką krąg po okopconym pomieszczeniu.

- Występują perturbacje. Za mało nas - jest, by kontrolować wszystkich dzikich w każdym szczególe. Ale czy wy nie chcecie końca wojny, końca wszystkich waszych starodawnych cierpień? Ofiaruję to wam za waszą dzisiejszą pomoc.

- Wam samym udało się rozpętać całkiem paskudną wojnę - rzekł Speyer.

Istota splotła palce.

- To był błąd. Plan pozostaje w mocy; jest to jedyny sposób, by doprowadzić wasze narody do pokoju. Ja, który przyleciałem z gwiazd, upadnę teraz przed wami i będę błagał...

- Spokój! - rzucił Speyer. - Gdybyście przybyli otwarcie, jak uczciwość nakazuje, może ktoś by was posłuchał. Może i tyłu, żeby się wam udało. Ale nie, wasza filantropia musi być subtelna i fachowa. Wy wiecie lepiej, co dla nas dobre. My tu nie mamy nic do powiedzenia. Jak mi Bóg miły, nigdy jeszcze nie słyszałem czegoś tak bezczelnego!

Istota uniosła głowę.

- A czy wy mówicie prawdę waszym dzieciom?

- Tyle, ile potrafią zrozumieć.

- Wasza dziecięca kultura nie potrafi pojąć tej prawdy.

- A kto was upoważnił, poza wami samymi, by nas nazywać dziećmi?

- Skąd możecie wiedzieć, że jesteście dorośli?

- Próbując dorosłych zająć i sprawdzając, czy damy sobie z nimi radę. Jasne, robimy paskudne błędy, my, ludzie. Ale to nasze błędy. I uczymy się na nich. To wy nie umiecie się niczego nauczyć, wy i te wasze cholerne nauki psychologiczne, o których tyle gadacie, a które chcą wtłoczyć każdy żywy umysł w ciasną ramę.

Chcieliście na nowo ustanowić państwo scentralizowane, prawda? A nie pomyśleliście, choć przez chwilę, że może to feudalizm jest właśnie odpowiedni dla ludzkości? Że oznacza on miejsce, które nazywa się własnym, do którego się należy, którego jest się częścią; społeczeństwo z tradycjami i honorem; szansę dla każdego do podejmowania decyzji, które się liczą; ostoję wolności wbrew władcom centralnym, którzy zawsze chcą coraz więcej władzy; tysiąc różnych dróg życia. Tu na Ziemi zawsze tworzyliśmy superpaństwa i zawsze je rozbijaliśmy. Myślę, że

chyba ta cała koncepcja jest błędna. I może tym razem spróbujemy czegoś innego. Czemuż by nie świata złożonego z małych państweczek, zbyt dobrze zakorzenionych, by stopić się w jeden naród, zbyt małych, by komukolwiek zaszkodzić - powoli wznoszących się ponad zawiści i waśnie, ale utrzymujących swą tożsamość: tysiąc odrębnych interpretacji naszych problemów. Może wtedy uda się nam kilka z nich rozwiązać... dla siebie samych!

- Nigdy się to wam nie uda - powiedziała istota. - Sami się zniszczycie.

- To wam się tak wydaje. Ja myślę inaczej. Ale ktokolwiek ma rację - a założę się, że ten wszechświat jest zbyt wielki dla obu naszych ras, by mogły cokolwiek tu prorokować - będziemy mieli na Ziemi wolny wybór. Zawsze wolę być martwy niż tresowany.

Ludzie dowiedzą się o was, kiedy tylko sędzia Brodsky wróci do władzy. Nie, jeszcze prędzej. Pułk usłyszy dziś, miasto jutro, aby mieć pewność, że nikomu znowu nie wpadnie do głowy tłumienie prawdy. Kiedy przyleci wasz statek, będziemy gotowi na jego przyjęcie: w nasz własny sposób, obojętne jaki będzie.

Istota okryła głowę fałdą szaty. Speyer obrócił się do pułkownika. Twarz jego była mokra od potu.

- Chciałeś... coś powiedzieć, Jimbo?

- Nie - mruknął Mackenzie. - Nic mi nie przychodzi do głowy. Zajmijmy się rozlokowaniem naszych wojsk. Chociaż nie sądzę, byśmy musieli jeszcze walczyć. Wydaje się, że tam w dole jest już po wszystkim.

- Jasne - Speyer wciągnął z trudem powietrze w płuca. - Oddziały nieprzyjaciela muszą wszędzie skapitulować. Nie mają już, o co walczyć. Wkrótce będziemy mogli zająć się odbudową.

Był to dom z wewnętrznym dziedzińcem, którego ściany pokrywały róże. Ulica, przy której stał, nie powróciła jeszcze do życia, tak, że na zewnątrz, w żółtym świetle zachodu, panowała cisza. Pokojówka wprowadziła pułkownika Mackenzie przez tylne drzwi i odeszła. Mackenzie podszedł do Laury, która siedziała na ławce pod wierzbą. Widziała go z dala, ale nie wstała. Jedną jej ręką spoczywała na kołysce.

Zatrzymał się i nie wiedział, jak zacząć. Jakże była wychudzona.

Po chwili odezwała się, tak cicho, że ledwie dosłyszał:

- Tom nie żyje.

- Och, nie. - Przed oczami przemknęła mu ciemność.

- Dowiedziałam się przedwczoraj, gdy kilku z jego ludzi dowlokło się do miasta.

Zginał w bitwie pod San Bruno.

Mackenzie nie miał odwagi usiąść koło niej, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Przykucnął na płytach chodnika i patrzył na osobliwe wzory, w jakie je ułożono. Nie wiedział, gdzie jeszcze mógłby obrócić wzrok.

Jej głos płynął nad nim, bez wyrazu:

- Czy warto było? Nie tylko Tom, ale tylu innych, zabitych dla kwestii politycznej?

- Gra szła o coś więcej - powiedział.

- Tak, słyszałam przez radio. Ale wciąż jeszcze nie rozumiem, dlaczego miało to być warte tych ofiar. Próbowałam, ale nie mogę pojąć.

Nie miał już sił, by się bronić.

- Może masz rację, kaczuszek. Ja nie wiem.

- Siebie mi nie żal - powiedziała. - Mam przecież Jimmy'ego. Ale Tom został oszukany.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, że jest dziecko i że powinien przytulić do siebie swego wnuka i myśleć o życiu, które przyniesie przyszłość. Ale czuł zbyt wielką pustkę.

- Tom chciał, żebym dała mu twoje imię - powiedziała.

A ty, Lauro? - zastanawiał się. A na głos:

- Co będziesz teraz robić?

Zmusił się, by spojrzeć na nią. Zachód słońca płonął na liściach wierzby i na jej twarzy, teraz zwróconej ku dziecku, którego nie widział.

- Wróć do Nakamury - rzekł.

- Nie. Wszędzie, tylko nie tam.

- Zawsze kochałaś góry - próbował na ślepo. - Może...

- Nie. - Spojrzała mu w oczy. - To nie o ciebie chodzi, tato. Nigdy. Ale Jimmy nie zostanie żołnierzem. - Zawahała się. - Jestem pewna, że jacyś Esperzy będą wciąż działać, na nowych zasadach, ale z tymi samymi celami. Myślę, że powinniśmy pójść do nich. Jimmy powinien wierzyć w coś innego niż to, co zabiło jego ojca, i starać się, by stało się to rzeczywistością. Nie mam racji?

Mackenzie wstał mocując się z twardym przyciąganiem Ziemi.

- Nie wiem - odrzekł. - Nigdy za dużo nie myślałem... Mogę go zobaczyć?

- Och, tato...

Podszedł do kołyski i schylił się nad maleńką śpiącą istotką.

- Jeśli kiedyś znowu wyjdiesz za mąż - powiedział do Laury - i będziesz miała córkę, dasz jej imię jej matki? - Zobaczył, jak głowa Laury pochyla się w dół, a jej

pięści się zaciskają. Szybko zakończył: - Pójdę już. Chciałbym odwiedzić cię jeszcze, jutro czy kiedyś, jeśli mnie przyjmiesz.

I wtedy padła mu w ramiona i zapłakała. Gładził ją po włosach i szeptał, tak jak wtedy, gdy była dzieckiem.

- Przecież chcesz wrócić w góry, prawda? To twój kraj, twoi rodacy; tam jest twoje miejsce.

- D-dobrze wiesz, jak bardzo chcę.

- To, czemu nie wrócisz?! - wykrzyknął.

Jego córka wyprostowała się.

- Nie mogę - powiedziała. - Twoja wojna się skończyła. Moja dopiero się zaczęła. Ponieważ sam wyćwiczył w niej tę wolę, mógł tylko powiedzieć:

- Ufam, że zwyciężysz w niej.

- Może za tysiąc lat... - nie mogła dokończyć.

Noc już zapadła, gdy wyszedł od Laury. Elektryczność w mieście wciąż nie działała, toteż lampy uliczne były ciemne i tylko gwiazdy stały wysoko nad dachami. Oddział, który oczekiwał swego pułkownika, by odprowadzić go do koszar, wyglądał w świetle latarni jak stado wilków. Zasalutowali mu i jechali z tyłu trzymając broń w pogotowiu, ale jedynym dźwiękiem, jaki zmałił tę ciszę, był stalowy stuk podków końskich.

Tłumaczył: Wiktor Bukato

Pod postacią ciała

Moru wiedział, co to broń. W każdym razie rośli przybysze wielokrotnie demonstrowali swoim przewodnikom, czego też owe przedmioty noszone przez nich u pasa potrafią dokonać przy akompaniamencie błysku i wybuchu płomieni. Nie zdawał sobie jednak sprawy, iż małe aparaty pojawiające się w dłoniach przybyszów, gdy mówili własnym językiem, to nadajniki. Zapewne myślał, że są to fetysze.

Stąd też, gdy Moru zabił Doniego Sairna, stało się to na oczach żony Doniego.

Był to przypadek. Z wyjątkiem umówionych okresów nadawania rano i wieczorem dwudziestoosmiodzinnego dnia planety biolog Sairn, podobnie jak jego towarzysze, łączył się tylko ze swym komputerem. Ponieważ jednak ożenił się niedawno i młoda para była beznadziejnie szczęśliwa, Evalyth nastawiała odbiornik na falę męża, kiedy tylko mogła oderwać się od własnych zajęć.

I nie był to jakiś wyjątkowy zbieg okoliczności, że w krytycznym momencie również go „podsluchiwała”: własne obowiązki nie absorbowaly jej zanadto. Jako militech wyprawy – a funkcję tę powierzono jej, ponieważ pochodziła z na wpół barbarzyńskich regionów planety Kraken, gdzie przedstawiciele obu płci mają równe szansę wyuczenia się sztuk wojennych przydatnych w prymitywnych środowiskach – nadzorowała budowę osiedla, potem zaś zorganizowała rygorystycznie przestrzegany system wart. Jednakże mieszkańcy Lokonu byli tak przyjaźnie nastawieni do przybyszów, jak im na to pozwalała sytuacja, w której każda ze stron niewiele wiedziała o drugiej. Instynkt i doświadczenie podpowiadały Evalyth, że rezerwa Lokończyków maskuje jedynie ich przestrach, podziw, a może i tęskne nadzieje na przyjaźń. Kapitan Jonafer zgadzał się z tą opinią. Skoro więc stanowisko Evalyth okazało się w ten sposób ciepłą posadką, starała się dowiedzieć jak najwięcej o pracy Doniego, by mu pomagać, kiedy wróci z nizin.

Poza tym niedawne badanie lekarskie potwierdziło, że jest w ciąży. Nie powie mu o tym, zdecydowała, jeszcze nie, przez te setki kilometrów, tylko dopiero wtedy, gdy będą znów razem. Tymczasem zaś świadomość, że razem poczęli nowe życie, sprawiła, iż Donli stał się dla niej gwiazdą przewodnią.

W to popołudnie, gdy miał zginać jej mąż, weszła do laboratorium biologicznego pogwizdując. Na zewnątrz ostre światło słoneczne rzucało złotawe błyski, odbijając się od pylistego gruntu, od ścian prefabrykatowych budynków skupionych wokół lądowiska wahadłowca, który przetransportował ludzi i sprzęt z orbity, po której krążył Nowy Świt, od stojących śmigaczy i grawisani używanych

do celów komunikacyjnych na wyspie – jedynej nadającej się do zamieszkania części tej planety – a także od mężczyzn i kobiet. Za palisadą zaś wierzchołki drzew owocowych, prześwitujące ściany lepianek, szmer głosów i szelest kroków, gorzki zapach palonego drewna – wszystko to zdradzało, że między bazą i jeziorem Zelo rozciągało się kilkutyśięczne miasto.

Laboratorium biologiczne zajmowało więcej niż połowę baraku, w którym mieszkali Sairnowie. Na wygody nie można było liczyć w sytuacji, gdy planety należące ongiś do imperium galaktycznego odwiedzały jedynie statki nielicznych ras walczących o powrót do cywilizacji. Evalyth jednak wystarczało, że był to ich własny dom. Gdy spotkała Doniego na Krakenie, ujął ją przede wszystkim tą wesołością, z jaką on, człowiek z Athei, o której powiadano, że zachowała lub odzyskała prawie wszystkie udogodnienia, jakimi w czasach świetności dysponowała Stara Ziemia, przystał na życie w jej ubogiej, smutnej ojczyźnie.

Siła ciężenia wynosiła tu 0,77 G, mniej niż dwie trzecie tego, do czego nawykła. Łatwo przeciskała się wśród kłębowiska aparatury i pojemników z okazami. Evalyth była przystojną, dobrze zbudowaną młodą kobietą, może o zbyt mocnej sylwetce jak na gusta większości mężczyzn spoza własnej rasy. Tak jak jej rodacy miała jasne włosy, a nogi i przedramiona pokryte zawiłym tatuażem; tak jak oni nosiła u pasa miotacz służący wielu już pokoleniom wojowników. Jednak poza tym odrzuciła tradycyjny strój Krakeńczyków na rzecz prostych kombinezonów stanowiących odzież członków wyprawy.

Jakże przyjemnie chłodne i ciemne było wewnątrz baraku! Westchnęła z rozkoszą, usiadła i włączyła odbiornik. Serce jej lekko drgnęło, gdy zaczął się formować trójwymiarowy obraz i rozległ się głos Doniego:

– ...wydaje się, że to potomek koniczyny.

W powietrzu widniał obraz rośliny z potrójnymi zielonymi liśćmi, gęsto rozsianej wśród miejscowej czerwonej pseudotrawy. Obraz powiększał się, w miarę jak Donli zbliżał nadajnik, aby komputer mógł zanotować wszystkie szczegóły do późniejszej analizy. Evalyth zmarszczyła czoło starając się przypomnieć sobie, co... A, tak. Koniczyna to kolejna forma życia, którą, zanim zapadła Długa Noc, człowiek przeniósł ze Starej Ziemi na więcej planet, niż ktokolwiek obecnie pamiętał. Często owe formy życia zmieniały się nie do poznania; przez tysiące lat ewolucja przystosowała je do obcych warunków albo też mutacje i znos genetyczny zadziały nieomal losowo na niewielkie populacje wstępne. Nikt na Krakenie nie wiedział, że tamtejsze sosny, mewy i rizobakterie to

zmutowani przybysze, dopóki na planetę nie przybyła ekspedycja Doniego i ich nie zidentyfikowała. Nie oznaczało to, że oraczy ktokolwiek z tej części galaktyki zdołał już dotrzeć z powrotem do Starej Ziemi. Ale banki danych na Athei wyładowane były informacjami, podobnie jak kochana kędzierzawa głowa Doniego...

W polu widzenia pojawiła się jego olbrzymia dłoń, zbierająca okazy. Evalyth poczuła nagle ochotę, by ją pocałować. Cierpliwości, cierpliwości, napominała młodą żonę służbista część jej osobowości. Mamy tu pracować. Odkryliśmy kolejną zaginioną kolonię, jak dotąd w najgorszym stanie, cofniętą do skrajnego prymitywizmu. Do nas należy doradzenie Komisji, czy warto tu wysłać misję cywilizacyjną, czy też szczupłe zasoby Zjednoczonych Planet przerzucić gdzie indziej, a tutejszych mieszkańców pozostawić w nędzy jeszcze przez dwieście, trzysta lat. Aby sporządzić uczciwy raport, musimy się im przyjrzeć, ich kulturze, ich planecie. Dlatego siedzę tu na barbarzyńskim pogórzu, a on wyruszył do dżungli, w której roi się od gotowych na wszystko dzikusów. Błagam cię, kochanie, kończ szybko i wracaj.

Usłyszała słowa Doniego wypowiedane w dialekcie nizinnym, który był zwyrodniałą postacią języka lokońskiego wywodzącego się z kolei od angielskiego. Należący do ekspedycji językoznawcy pracowali intensywnie przez kilka tygodni, by go rozwikłać, po czym cała załoga została poddana szkoleniu domóżgowemu. Niemniej jednak Evalyth z podziwem obserwowała, jak szybko jej mąż opanował odmianę, którą posługiwali się leśni biegacze – zaledwie po kilku dniach rozmów z nimi.

Czyż nie zbliżamy się do właściwego miejsca, Moru? Mówiłeś, że to jest w pobliżu naszego obozu.

Jesteśmy prawie na miejscu, przybyszu z chmur.

W głowie Evalyth zadźwięczał cichy sygnał alarmowy. O co tu chodziło? Chyba Donli nie wybrał się sam na przechadzkę z jednym z krajowców? Lokończyk Rogar ostrzegał przed zdradziecką naturą tubylców zamieszkujących tamte tereny. Ale, prawdę mówiąc, nie dalej jak wczoraj przewodnicy, ryzykując życie, uratowali Haimiego Fiella, gdy ten wpadł do szybko płynącej rzeki...

Obraz zakolysał się, gdy Donli poruszył dłonią, w której trzymał komunikator. Evalyth poczuła lekki zawrót głowy. Od czasu do czasu w polu widzenia pojawiał się szerszy widok: drzewa stłoczone wśród łowieckiego szlaku, rdzawe listowie, brunatne pnie i gałęzie, czające się za nimi cienie, sporadyczne okrzyki jakichś niewidocznych zwierząt. Nieomal czuła gorącą i ciężką od wilgoci atmosferę,

nieprzyjemny odór dżungli. Ta planeta – która zatraciła swą nazwę pozostając jedynie Światem, jej mieszkańcy bowiem zdążyli już zapomnieć, czym w rzeczywistości są gwiazdy – nie za bardzo nadawała się do kolonizacji. Zrodzone na niej organizmy często były szkodliwe dla człowieka, a zawsze zawierały zbyt mało składników dlań odżywczych. Z pomocą przywiezionych przez siebie roślin i zwierząt człowiekowi udało się tu przetrwać, choć z trudnością. Pierwsi osadnicy bez wątplenia zamierzali poprawić ten układ; nadszedł jednak kryzys – znaleziono liczne dowody na to, że osada została pociskami zrównana z ziemią, a większość jej mieszkańców zginęła – do odbudowy zaś zabrakło środków; cud prawdziwy, że w ogóle pozostali tu przy życiu jacyś ludzie.

– Tutaj, przybyszu z chmur.

Rozchwiany obraz uspokoił się. Szum ciszy nadajnik przekazywał z dżungli do kabiny.

– Nic nie wiążę – powiedział w końcu Donli.

– Chodź za mną. Pokażę.

Donli umieścił nadajnik w rozwidleniu drzewa. Obraz przedstawiał jego i Moru idących przez łąkę. Przewodnik wyglądał jak dziecko u boku kosmicznego podróżnika: sięgał mu ledwie do ramienia. To „dziecko” miało wszakże już wiele za sobą; ciało Moru pokryte było bliznami, a jakaś dawna rana sprawiła, że utykał na prawą nogę. Twarz kryła się pod grzywą włosów i krzaczastym zarostem. Moru, który nie mógł polować, i by utrzymać rodzinę, zastawiał jedynie pułapki i łowił ryby, żył w jeszcze większej nędzy niż jego współplemieńcy. Z pewnością uznał, że szczęście się doń uśmiechnęło, gdy w pobliżu wioski wylądował śmigacz, a ci, którzy nim przylecieli, zaoferowali Moru niesłychane bogactwa za to, by przez tydzień czy dwa oprowadzał ich po okolicy. Donli pokazywał już Evalyth słomianą chatę Moru: nędzny dobytek, kobietę zniszczoną ciężką pracą, pozostałych przy życiu synów, którzy w wieku siedmiu czy ośmiu lat miejscowych, czyli dwunastu-trzynastu standardowych, wyglądali jak zasuszone karły.

Rogar był zdania – na ile można było sądzić, nikt bowiem dotąd nie opanował języka lokońskiego w stopniu doskonałym – że mieszkańcy nizin nie byłiby tacy ubodzy, gdyby mniej w nich było okrucieństwa znajdującego wyraz w nieustannych walkach plemiennych. Evalyth pomyślała jednak, że w końcu jakież mogą oni stanowić zagrożenie?

Rynsztunek Moru składał się z przepaski na biodrach, z opasującego całe ciało sznura służącego do przygotowywania potrzasków, obsydianowego noża i worka

z tkaniny, tak jednak gęstej i przetłuszczonej, że w razie potrzeby mógł służyć ta bukłak. Innym mężczyznom z jego gromady, mogącym brać udział w łowach i uczestniczyć w podziale łupów po walce, powodziło się wyraźnie lepiej. Wyglądem jednak nie różnili się zbyt od Moru; ludność wyspy, nie mając dość miejsca do ekspansji, przeżywała wyraźny kryzys genetyczny.

Skarlały mężczyzna pochylił się rozsuwając dłońmi gałęzie krzewu.

– Tutaj – mruknął i ponownie się wyprostował.

Evalyth dobrze znała żądzę wiedzy gorejącą w sercu Doniego. A jednak jej mąż obrócił się, uśmiechnął prosto do obiektywu nadajnika i odezwał się w języku athejańskim:

– Kochanie, jeśli teraz odbierasz, chciałbym się tym podzielić z tobą. Może to gniazdo ptaka.

Przypomniała sobie dość niejasno, że fakt istnienia ptaków mógłby być ekologicznie ważną informacją. Ale w tej chwili liczyło się dla niej tylko to, co Doni do niej powiedział.

„O, tak, o, tak!” – chciała wykrzyknąć. Ale w tamtej ekipie były tylko dwa Odbiorniki i jej mąż nie miał ze sobą żadnego z nich.

Widziała, jak kłęka w wysokiej roślinności o dziwnym zabarwieniu. Widziała, jak sięga z tą swoją łagodnością, której już miała okazję doświadczać, do wnętrza krzaka i rozsuwa jego gałązki.

Widziała, jak Moru skoczył mu na kark. Dzikus opasał Doniego nogami. Lewą ręką chwycił go za włosy i zadarł mu głowę go góry. W prawej pojawił się nóż.

Krew buchnęła gdzieś spod szczęki Doniego. Nie mógł krzyknąć – nikt by nie mógł z poderżniętym gardłem. Bulgotał tylko i skrzeczał, a Moru wciąż poszerzał cięcie. Doni na oślep sięgnął po broń. Moru upuścił nóż i chwycił go za ramiona; obaj upadli spleceni w uścisku. Doni rzucał się i tarzał w kałużach własnej krwi. Moru nie zwalniał uchwytu. Krzew poruszył się i skrył obu, aż w końcu Moru wstał, cały czerwony od krwi, ociekający krwią, dyszący, a Evalyth zaczęła krzyczeć do znajdującego się obok niej nadajnika, na cały wszechświat, i wciąż jeszcze krzyczała i wyrывała się, gdy chcieli ją odciągnąć od widoku łąki, na której Moru kroił ciało Doniego, aż wreszcie coś ją ukłuło chłodem i stoczyła się na dno wszechświata, w którym wszystkie gwiazdy zgasły na zawsze.

„Nie, oczywiście, że nic nie wiedzieliśmy – wycedził Haimie Fiell przez zaciśnięte zęby – dopóki nas nie ostrzeżliście. Doni i tamten stwór oddalili się o wiele kilometrów od naszego obozu. Dlaczego nie kazaliście nam ruszyć natychmiast na

pomoc?

Ze względu na to, co pokazywał komunikator – odrzekł kapitan Jonafer. – Sairna nie można już było uratować. A wy mogliście wpaść w zasadzkę, mogli was z tyłu zaatakować strzałami i spychać coraz głębiej po tych wąskich ścieżkach. Najlepiej było zostać na miejscu i czekać na pojazd pilnując jeden drugiego.

Fiell spojrział gdzieś poza postać kapitana, potężnego, siwowłosego mężczyzny; wzrokiem powędrował za drzwi baraku dowództwa, ku palisadzie i widokowi bezlitosnego nocnego nieba.

Ale co ten mały potwór robił, kiedy... – zamilkł nagle.

Pozostali przewodnicy uciekli – równie pośpiesznie wtrącił Jonafer – gdy tylko wyczuli wasz gniew. Sam pan tak mówił. Otrzymałem właśnie raport od Kallamana; jego zespół poleciał śmigaczem do wioski. Mieszkańcy uciekli. Cała wieś jest opuszczona; z pewnością obawiają się naszej zemsty. Choć w ich przypadku przeprowadzka to nic wielkiego: cały dobytek bierze się na plecy, a nowy dom można upleść przez jeden dzień.

Evalyth pochylila się do przodu.

– Przestańcie unikać szczerych odpowiedzi – powiedziała. – Co takiego Moru zrobił z Donlim, czemu można byłoby zapobiec, gdybyście przybyli na czas?

Fiell w dalszym ciągu patrzył gdzieś poza nią. Kropelki potu wystąpiły mu na czoło.

Nic takiego – wymamrotał. – Nic ważnego... wobec samego morderstwa.

Miałem zapytać panią, poruczniku Sairn – odezwał się Jonafer – jaki życzy sobie pani obrządek pogrzebowy? Czy mamy prochy pochować tutaj, rozsypać w przestrzeni kosmicznej, czy zawieźć na waszą planetę?

Evalyth zwróciła twarz w jego kierunku.

Nigdy nie wyrażałam zgody na kremację – powoli cedziła słowa.

Nie, ale... Niech pani będzie rozsądna. Najpierw otrzymała pani środek nasenny, potem uspokajający, a my w tym czasie odnaleźliśmy zwłoki. Upłynął już pewien czas. Nie mamy żadnych przyrządów do, hm, zabiegów kosmetycznych, ani zbędnego miejsca w komorach chłodniczych, a w tej temperaturze...

Evalyth była jak otępiała od chwili, gdy wypuszczono ją z izby chorych. Jeszcze niezupełnie do niej dotarło, że Donliego już nie ma. Zdawało jej się, że za chwilę panie w drzwiach, opromieniony światłem słonecznym, i zawoła do niej ze śmiechem w głosie, i pocieszy po tym bezsensownym koszmarze, jaki niedawno przeżyła. Wiedziała, że stan ten wywołały środki psychotropowe, i przeklinała dobrą wolę lekarza.

Nieomal z rozkoszą powitała powolny przyływ gniewu. Oznaczało to, że lekarstwo przestawało działać. Wieczorem będzie już zdolna do płaczu.

– Kapitanie – rzekła. – Widziałam, jak zginął. Widziałam już w życiu wiele trupów, a niektóre z nich potwornie zmasakrowane. Na Krakenie nie ukrywamy prawdy. Podstępem wydarł mi pan moje prawo do ułożenia małżonka w trumnie i zamknięcia mu oczu. Ale nie oddam panu prawa do sprawiedliwości. Żądam, aby powiedział mi pan dokładnie, co się stało. Pięści Jonafera zacisnęły się na blacie biurka.

Nie wiem, czy będę w stanie to powiedzieć.

Ale pan powie, kapitanie.

– Dobrze! Dobrze! – wrzasnął Jonafer. Słowa padały mu z ust jak pociski. – Widzieliśmy wszystko, przekazane przez komunikator. Tamten rozebrał Doniego, zawiesił go za nogi na drzewie i wypuścił całą krew do tego swego worka. Wyciął mu genitalia i wrzucił do środka, do krwi. Otworzył ciało i wyciął serce, płuca, wątrobę, nerki, tarczycę, gruczoł krokowy, trzustkę i wszystko też wrzucił do worka, po czym uciekł do lasu. Dziwi się pani, że nie chcieliśmy pokazać pani tego, co zostało z ciała?

– Lokończycy ostrzegli nas przed mieszkańcami dżungli – powiedział Fiell martwym głosem. – Trzeba było ich słuchać. Ale były to takie żalodne karzełki. I wyciągnęły mnie z rzeki. Kiedy Donli mówił o ptakach – opisał je, wie pani, i zapytał, czy coś takiego się tu spotyka – Moru powiedział, że są, ale rzadkie i płochliwe; grupa ludzi by je na pewno spłoszyła, ale gdyby jeden z nim poszedł, to on, Moru, znalazłby gniazdo i może nawet zobaczyliby ptaka. Moru powiedział „dom”, ale Donli uznał, że chodziło o gniazdo. Tak nam przynajmniej mówił. Rozmawiał wtedy z Moru na uboczu, tak że widzieliśmy ich, ale nie słyszeli. Może to powinno było nas ostrzec, może trzeba było zapytać innych z tego plemienia. Ale nie widzieliśmy powodu... to znaczy, Donli był większy, silniejszy, uzbrojony w miotacz. Jaki dzikus odważyłby się go zaatakować? A zresztą przecież odnosili się do nas przyjaźnie, nawet z radością, kiedy przewyciężyli pierwszy strach. I okazali tyle samo ochoty do dalszych kontaktów, co wszyscy inni tu w Lokonie, i... – głos uwiązał mu w gardle.

– Czy zginęła broń lub narzędzia? – spytała Evalyth.

Nie – odparł Jonafer. – Mam tu wszystko, co pani mąż miał przy sobie. Może pani to od razu zabrać.

Nie sędzę – powiedział Fiell – by chodziło o akt nienawiści. Moru musiał się powodować jakimś zabobonem.

Jonafer skinął głową.

– Nie możemy przykładać do niego naszej miary.

– A więc jaką? – odparowała Evalyth. Mimo to, że wiedziała, iż znajduje się pod działaniem silnych środków uspokajających, dziwiła się swemu spokojnemu tonowi. – Niech pan pamięta, że pochodzę z Krakena. Nie pozwolę na to, by dziecko Doniego przyszło na świat i wzrastało wiedząc, że jego ojciec został zamordowany, a nikt nie próbował wymierzyć mordercy sprawiedliwości.

Nie może się pani mścić na całym plemienu – powiedział Jonafer.

Nie mam zamiaru. Ale, kapitanie, załoga naszej ekspedycji pochodzi z kilku różnych planet, na których istnieją odrębne systemy społeczne. Regulamin wyraźnie stwierdza, że będzie się respektować podstawowe zasady moralne obowiązujące każdego członka załogi. Proszę o zwolnienie z obowiązków do czasu, gdy pochwyć mordercę mojego męża i wymierzę mu sprawiedliwość.

Jonafer pochylił głowę.

– Muszę na to przystać – powiedział cicho. Evalyth podniosła się z miejsca.

– Dziękuję panom – powiedziała. – Proszę mi wybaczyć, ale chciałabym od razu przystąpić do poszukiwań.

... Póki jeszcze działa jak maszyna, póki jest pod wpływem środków medycznych.

Na suchszych, chłodniejszych wyżynach rolnictwo przetrwało upadek reszty cywilizacji. Pola i sady, pracowicie uprawiane za pomocą neolitycznych narzędzi, dostarczały środków do życia kilku wioskom rozrzuconym wokół stolicy – Lokonu.

Miejscowa ludność powierzchownością przypominała mieszkańców dżungli. Nic dziwnego; niewielu osadników przeżyło, by dać początek tutejszej populacji. Mieszkańcy pogórza byli jednak lepiej odżywieni, bardziej wyrośnięci, wyprostowani, nosili tuniki z różnobarwnej tkaniny i sandały. Bogatsi uzupełniali strój złotą i srebrną biżuterią. Włosy upinano, zarost golono. Ludzie stąpali śmiało, nie obawiając się, jak dzikus z lasu, ciągłych zasadzek. Gawędzili wesoło.

Co prawda dotyczyło to tylko ludzi wolnych. Choć antropologowie z Nowego Świtu ledwie zaczęli zgłębiać tajniki miejscowej kultury, od razu stało się oczywiste, że Lokończycy mają liczną klasę niewolników. Niektórzy usługiwali w domu, inni trudzili się w pocie i znoju na polach, w kamieniołomach i kopalniach, pod biczem nadzorców i strażą żołnierzy, których miecze i ostrza włóczni wykute były ze starożytnego metalu Imperium. Nie był to jednak dla przybyszów z Kosmosu żaden szczególny wstrząs; widziano już gorsze rzeczy niż

niewolnictwo. Banki danych wspominały o prehistorycznych państwach, jak Ateny, Indie Ameryka.

Evalyth kroczyła po krętych, pełnych kurzu uliczkach, między jaskrawo pomalowanymi ścianami sześciennych domów bez okien, zbudowanych z nie wypalanej cegły. Mijający ją ludzie z gminu pozdrawiali ją z szacunkiem. Choć nikt już się nie obawiał, że przybysze mają złe zamiary, to jednak Evalyth górowała nawet nad najwyższymi Lokończykami, włosy jej miały barwę metalu, a oczy nieba, u pasa nosiła błyskawice – a kto tam wiedział, jaką jeszcze nadprzyrodzona mocą rozporządzała.

Dziś jednak skłaniali się przed nią nawet dostojnicy i żołnierze, a niewolnicy padali na twarze. Gdzie stąpnęła, cichł rozgwar codziennego dnia; gdy mijala stragany na rynku, ustawał handel, a dzieci umykały do swych zabaw. Szła przed siebie w milczeniu współbrzmącym z milczeniem jej duszy. Groza zapanowała pod słońcem i śniegowym stożkiem góry Burus. Lokon wiedział już bowiem, że człowiek z gwiazd zginął z ręki dzikusa z nizin – ale co z tego wyniknie?

Wiadomość musiała już jednak dotrzeć do Rogara, który oczekiwał jej w swym domu przy jeziorze Zelo, nie opodal Świętego Miejsca. Rogar nie był ani królem, ani prezydentem, ani najwyższym kapłanem, ale wszystkim po trochu. To on głównie kontaktował się z przybyszami.

Jego domostwo było typowe; większe niż domy innych Lokończyków, ale skarłałe jakby wobec przyległych murów. Otaczały one pełen budynków teren, na który przybyszom wstęp był wzbroniony. U bramy stali zawsze strażnicy w szkarłatnych szatach i groteskowo rzeźbionych drewnianych hełmach. Dzisiaj było ich dwakroć więcej niż zwykle, a kilku następnych strzegło wejścia do domu Rogara. Od tafla jeziora, tak jak od polerowanej stali na plecach strażników, odbijało się światło słoneczne. Drzewa na brzegach stały równie sztywno jak oni.

Ochmistrz Rogara, gruby stary niewolnik, rozplaszczyl się w bramie, gdy zbliżyła się Evalyth.

– Jeśli niewiasta z niebios raczy podążyć za mną, marnym robakiem, Klev Rogar oczekuje... – Strażnicy pochylili przed nią ostrza włóczy. Ich oczy, szeroko otwarte, zdradzały przerażenie.

Tak jak inne domy, ten również zwrócony był do wewnątrz. Rogar siedział na podwyższeniu w sali otwierającej się na podwórze. Wchodzącemu z jasnego dworu zdawało się, że wewnątrz jest dwukrotnie ciemniej niż w rzeczywistości. Evalyth ledwie dostrzegła freski na ścianach czy wzór dywanu; zresztą artystycznie były

one prymitywne. Całą uwagę skupiła na Rogarze. Nie uniósł się z miejsca; tutaj nie okazywano w ten sposób szacunku. Zamiast tego skłonił posiwiałą głowę nad splecionymi dłońmi. Ochmistrz wskazał jej ławkę, a kucharz postawił obok niej czarę z herbatą ziołową. Potem obaj zniknęli.

Bądź pozdrowiony, Klev – Evalyth wypowiedziała formułę powitalną.

Bądź pozdrowiona, niewiasto z niebios.

Już tylko, we dwoje, osłonięci przed okrutnymi promieniami słońca, zachowali rytualny okres milczenia. Potem zaś:

– To straszne, co się wydarzyło, niewiasto z niebios – powiedział Rogar. – Może tego nie wiesz, ale moje białe szaty i nagie stopy to oznaka żałoby, jak po bliskim mi zmarłym.

– To dobrze – odparła Evalyth. – Zapamiętamy to. Dostojeństwo Rogara zniknęło gdzieś nagle.

Pojmujesz, że nikt z nas nie miał nic wspólnego z tą zbrodnią, nieprawdaż? Dzicy to również nasi wrogowie. To plugastwo. Nasi przodkowie pochycili kilku i zatrzymali jako niewolników, ale poza tym do niczego się oni nie nadają. Ostrzegalem twoich przyjaciół, by nie szli pośród tych, których nie poskromiliśmy.

Taka była ich wola – odparła Evalyth. – A teraz moją wolą jest zemsta za zabicie męża. – Nie wiedziała, czy w ich języku istnieje wyraz „sprawiedliwość”. Nieważne. W wyniku działania środków, które wzmagają logiczne myślenie, jednocześnie tłumiąc emocje, posługiwała się językiem lokońskim wystarczająco dobrze jak na swe potrzeby.

– Możemy wysłać żołnierzy i pomóc ci zabić tylu dzikusów, ilu zechcesz – zaproponował Rogar.

– Nie ma potrzeby. Z tą bronią, którą noszę u boku, sama potrafię zniszczyć większą ich liczbę niż cała wasza armia. Potrzebuję twej rady i pomocy w innej sprawie. Jak mogę znaleźć tego, który zabił mego męża?

Rogar zmarszczył czoło.

Dzicy potrafią zniknąć bez śladu w dżungli, niewiasto z niebios.

Czy jednak potrafią zniknąć przed oczami innych dzikich?

Ach! Sprytnie pomyślane, niewiasto z niebios. Owe plemiona nieustannie rzucają się sobie nawzajem do gardła. O ile uda się nam dotrzeć do któregoś, jego łowcy wkrótce dowiedzą się dla ciebie, dokąd umknęło plemię mordercy. – Mars na jego czole pogłębił się. – Ale on z pewnością odłączył się od nich, by się ukryć do czasu, gdy odejdziecie z naszym ziem. Odnalezienie jednego człowieka może okazać się niemożliwe. Ludzie z nizin umieją się z konieczności kryć.

Co to znaczy: z konieczności?

Rogar dał po sobie poznać, że dziwi go ignorancja Evalyth w sprawie, która jest dla niego oczywista.

Jak to? Wyobraź sobie człowieka, który wyszedł na łowy – powiedział. – Nie zawsze chodzi się polować w większej grupie; hałas i woń mogą odstraszyć zwierzynę, więc często człowiek udaje się sam do dżungli. A tam może zapaść się na niego ktoś z innego plemienia. Człowiek zabity w zasadzce to taka sama korzyść, jak człowiek zabity w otwartej walce.

Skąd te nieustanne wojny?

Rogar wyglądał na coraz bardziej zaskoczonego.

A skąd by wzięli ludzkie ciało?

Przecież go nie zjadają?

– Nie, oczywiście, że nie, chyba że w razie potrzeby. Ale, jak ci wiadomo, potrzeba taka często się pojawia. Wojny toczą głównie po to, by zabijać; łupy też się przydadzą, ale nie są głównym powodem walk. Zabójca staje się właścicielem zwłok i oczywiście rozdziela je wyłącznie między swych najbliższych. Nie każdy ma szczęście w boju. Dlatego ci, którym nie udało się zabić w bitwie, mogą chodzić na łowy osobno, po dwóch czy trzech, w nadziei, iż znajdą pojedynczego człowieka z innego plemienia. I dlatego mieszkańcy nizin nauczyli się dobrze chować.

Evalyth nie poruszyła się ani nie odezwała słowem. Rogar zaczerpnął głęboko powietrza i kontynuował wyjaśnienia.

– Niewiasto z niebios, kiedy usłyszałem złą nowinę, długo rozmawiałem z ludźmi od was. Powiedzieli mi o tym, co zobaczyli z daleka za pomocą tych cudownych urządzeń, które macie. Stąd też jest dla mnie jasne, co się wydarzyło. Ten przewodnik... jakże się on nazywa? Tak, Moru... no więc on jest kaleką. Nie może myśleć o zabiciu człowieka inaczej jak przez zdradę. Kiedy dostrzegł okazję, postanowił ją wykorzystać. – Pozwolił sobie na uśmiech. – To by się nigdy nie wydarzyło na pogórze – oświadczył. – Nie wywołujemy wojen; walczymy tylko wtedy, gdy zostaniemy zaatakowani. Nie polujemy też na ludzi jak na zwierzęta. Nasza rasa, podobnie jak wasza, jest cywilizowana. – Wargi jego rozchyliły się, ukazując olśniewająco białe zęby. – Ale, niewiasto z niebios, twój mąż został zabity. Proponuję, aby go pomścić nie tylko na zabójcy, jeśli go złapiemy, ale na całym jego plemieniu, które z pewnością możemy odnaleźć, tak jak mówiłaś. To nauczy wszystkich dzikusów, by odczuwali strach przed lepszymi od siebie. Potem możemy podzielić się ich ciałami: połowa dla waszych ludzi, a połowa dla moich. Evalyth była w stanie odczuwać tylko intelektualne zaskoczenie. A mimo to miała takie

wrażenie, jakby przed chwilą zrobiła krok w przepaść. Patrzyła przez cienie w surową twarz starca i po długiej chwili usłyszała własny szept:

Wy... tutaj... też... zjadacie... ludzi?

Niewolników – odrzekł Rogar. – Nie więcej, niż zachodzi konieczność. Jeden wystarczy dla czterech chłopców.

Dłoń Evalyth opadła na rękojeść broni. Rogar zerwał się na równe nogi przerażony.

– Niewiasto z niebios – wykrzyknął – wyjaśniałem ci, że jesteśmy cywilizowani! Nie musisz się obawiać ataku ze strony kogokolwiek z nas! My... my...

Wstała również, górując nad nim wzrostem. Czy odczytał wyrok w jej spojrzeniu? Czy odczuwał trwogę także w imieniu swych współplemieńców? Kulił się pod jej wzrokiem, pocił i dygotał.

– Niewiasto z niebios, uwierz mi, nie masz w Lokonie wrogów... nie, teraz pokażę ci, zabiorę cię do Świętego Miejsca, nawet jeśli nie zostałeś wtajemniczona... z pewnością bowiem jesteście równi bogom, z pewnością bogowie się nie rozgniewają... Chodź, pokażę ci, jak to jest, udowodnię, że nie mamy woli ani potrzeby być waszymi wrogami...

I oto brama, którą Rogar otworzył przed nią w potężnym murze. Oto spojrzenia zaszokowanych strażników i głośnie przyrzeczenia wielu ofiar w celu ułagodzenia gniewu Potęg. Oto rozciągający się za bramą kamienny chodnik, rozgrzany i dudniący głucho pod stopami. Oto wyszczerzone bożki stojące wzdłuż głównej świątyni. Oto dom akolitów dźwigających całe brzemię pracy, skulonych teraz w przerażeniu na widok ich pana wprowadzającego obcą osobę. Oto baraki niewolników.

– Spójrz, niewiasto z niebios, traktujemy ich dobrze, czyż nie? Musimy gruchotać im stopy i dłonie, gdy wybieramy ich w wieku dziecięcym do tej służby. Pomyśl, jakim zagrożeniem byłyby inaczej setki młodych chłopców i mężczyzn zgromadzonych w tym miejscu. Ale traktujemy ich po ludzku, dopóki są spokojni. Czyż nie porośli tłuszczem? Ich własny Święty Pokarm jest szczególnie godzien szacunku: ciała mężczyzn wszelakiego stanu, którzy polegli w kwiecie wieku. Uczymy ich, że nadal będą żyć w tych, dla których ich zabijamy. Większość z nich oswoiła się z tą myślą, wierz mi, niewiasto z niebios. Zapytaj ich sama... choć pamiętaj, że z czasem tępieją nic nie robiąc rok za rokiem. Zabijamy ich szybko, czysto, na początku każdego lata... nie więcej, niż potrzeba dla każdego rocznika chłopców wkraczających w wiek męski, nie więcej. A jest to piękny rytuał, po którym następuje wiele dni ucztowania i zabaw. Rozumiesz teraz, niewiasto

z niebios? Nie masz się czego obawiać z naszej strony. Nie jesteśmy dzikusami walczącymi, napadającymi i czyhającymi w zasadzkach po to, by zdobyć ciało ludzkie. Jesteśmy cywilizowani... nie bogom podobni, jak wy, nie, tego nie ośmieliłbym się powiedzieć, nie gniewaj się... ale cywilizowani – i z pewnością godni waszej przyjaźni, czyż nie tak? Czyż nie tak, niewiasto z niebios?

Chena Darnard, kierowniczka zespołu antropologii kulturalnej, poleciła swemu komputerowi sprawdzić bank danych. Tak jak inne, jej komputer był przenośny, zespoły pamięci bowiem pozostawały na pokładzie Nowego Świtu. W tej chwili statek znajdował się po drugiej stronie planety i przesyłanie informacji łąkami zabierało uchwytne przeciąg czasu.

Chena usadowiła się wygodnie w fotelu i spojrzała uważnie na siedzącą po drugiej stronie biurka Evalyth. Krakenka była tak spokojna, że aż nienaturalna, i mimo że z pewnością krążące w jej systemie krwionośnym medykamenty Szachowały jakąś siłą działania. Bez wątpienia Evalyth pochodziła z arystokracji tamtej wojowniczej społeczności. Poza tym na różnych planetach mogą istnieć dziedziczne różnice fizjologiczne i psychologiczne. Niewiele o tym wiadano poza przypadkami skrajnymi, jak Gwydion... i ta planeta? Ale i tak, pomyślała Chena, byłoby lepiej, gdyby Evalyth dała upust swemu wstrząsowi i smutkowi.

Kochanie, czy jesteś pewna tego, co ustaliłaś? – spytała, jak potrafiła najłagodniej. – Chcę przez to powiedzieć, że choć tylko ta wyspa nadaje się do zamieszkania, ma ona znaczne rozmiary, łączność jest prymitywna, a moja grupa ustaliła istnienie dziesiątków prymitywnych kultur.

Wypytywałam Rogara ponad godzinę – odparła Evalyth tym samym bezbarwnym głosem, patrząc tym samym bezbarwnym wzrokiem co poprzednio. – Znam różne techniki przesłuchania... a on był porządnie poruszony. Powiedział mi wszystko. Sami Lokończycy nie są tak zacofani jak ich technika. Od wieków już żyją mając pod bokiem zagrażające ich granicom dzikie plemiona. Zmusiło ich to do utworzenia porządnego systemu wywiadowczego. Rogar dokładnie mi opisał jego funkcjonowanie. Wiele to nie pomoże, ale sprawia, że Lokończycy nieźle wiedzą, co się wokół nich dzieje. Choć obyczajne plemienne znacznie się od siebie różnią, kanibalizm występuje powszechnie, i dlatego nikomu z nich nie przyszło do głowy, by nam o tym powiedzieć. Uznali, że my zdobywamy ludzkie mięso własnymi sposobami.

Występuje, hm, dowolność w tych metodach?

O, tak. W Lokonie tuczy się do tego celu niewolników. Ale większość

mieszkańców nizin jest na to zbyt biedna. Niektórzy uciekają się do wojen i mordów. U innych rozstrzyga się to wewnątrz plemienia przez zbrojne pojedynki. Albo... jakie to ma znaczenie? Ważne jest, że w całej zamieszkaney części planety, obojętnie w jaki sposób, chłopcy doznają inicjacji przez jedzenie ciała dorosłego mężczyzny.

Chena przygryzła wargi.

Cóż takiego, na Chaos, mogło być tego przyczyną? – Komputer! Sprawdziłeś?

Tak – odparł mechaniczny głos dochodzący z pudełka stojącego na biurku. – Dane o kanibalizmie ludzkim są stosunkowo nieliczne, ponieważ samo zjawisko jest rzadkością. Na wszystkich planetach dotąd nam znanych jest on zakazany i tak było w ciągu ich dziejów, choć czasem uznaje się go za wybaczalny jako środek nadzwyczajny w sytuacji, gdy nie ma innego sposobu przetrwania. Zdarzały się bardzo ograniczone formy czegoś, co można by nazwać kanibalizmem rytualnym, jak na przykład wzajemne wypijanie niewielkich ilości krwi podczas ślubowania braterstwa w klanie Falkenów z Lochlanny...

To możesz pominąć – rzekła Chena. Napięcie w gardle sprawiło, że głos jej nabrał niższych tonów. – Tylko że tutaj, jak się wydaje, degeneracja posunęła się tak szybko, że... A jeśli to nie degeneracja? Może nawrót? Jak to było na Starej Ziemi?

Informacje są fragmentaryczne. Poza tym, co zagięło podczas Długiej Nocy, wiedza o tamtym okresie ucierpiała jeszcze z tego względu, że ostatnie społeczeństwa prymitywne na Ziemi zniknęły przed początkami lotów międzygwiazdnych. Pozostały jednak pewne dane zebrane przez starożytnych historyków i uczonych.

Otóż kanibalizm występował czasami jako część ceremonii przewidującej ofiarę z człowieka. Zazwyczaj w takim przypadku ofiary nie jedzono. Jednak w nielicznych religiach ciała, czy też ich pewne fragmenty, zjadała czy to wybrana klasa osób, czy też cała społeczność. Powszechnie uznawano to za teofagię. I tak Aztekowie z Meksyku corocznie składali w ofierze swym bogom tysiące ludzi. Prowokowało to wybuchy wojen i buntów, dzięki czemu z kolei późniejsi europejscy najeźdźcy z łatwością znaleźli miejscowych sprzymierzeńców. Większość jeńców po prostu zabijano, a ich serca bezpośrednio składano w ofierze bogom. Ale przynajmniej w jednym kulcie ciała dzielono wśród wyznawców.

Kanibalizm mógł występować również pod postacią czarów. Zjadając jakiegos człowieka nabierało się jego cnót. Taki był główny motyw ludożerstwa w Afryce i Polinezji. Obserwatorzy z tamtych czasów stwierdzali, że ludzkie mięso stanowiło

smakołyk, ale to łatwo pojąć, szczególnie gdy dotyczyło to obszarów ubogich w białko.

Jedyny zarejestrowany przypadek systematycznego ludożerstwa nie związanego z obrzędami występował wśród Indian Carib. Jedli oni ludzi, bo ludzkie mięso bardziej im smakowało. Szczególnie odpowiadały im małe dzieci i często brali w niewolę kobiety używając ich do celów rozplodowych. Synów tych niewolnic kastrowano, by byli posłuszni i by ich mięso było lepsze. Głównie ze względu na odrazę do takich praktyk Europejczycy wybili Caribów do ostatniego.

Komputer zakończył przekazywanie danych. Chena skrzywiła się.

– Rozumiem tych Europejczyków – stwierdziła.

Evalyth sprzed kilku dni uniosłaby w tym momencie brwi w zdziwieniu; teraz jednak twarz jej pozostała tak martwa jak głos.

Czy nie powinnaś być obiektywną uczoną?

Tak. Z pewnością. Ale istnieje taka rzecz jak ocena wartości. A oni zabili Donliego.

Nie oni. Jeden z nich. Znajdę go.

On jest tylko wytworem swej kultury, kochanie, jest skażony jak jego rasa. – Chena zaczerpnęła tchu usiłując mówić spokojnie. – Bez wątpienia to skażenie stało się podstawą zachowań – powiedziała. – Jestem pewna, że powstało ono w Lokonie. Promieniowanie kulturalne zawsze emanuje od ludów bardziej rozwiniętych do zacofanych. A na pojedynczej wyspie po upływie wieków nikomu nie udało się ująć zarazie. Później Lokończycy zracjonalizowali te praktyki i nadali im wymyślną postać. Dzicy zaś pozostawili swe okrucieństwo w nagiej formie. Ale czy to człowiek z pogórza, czy z nizin, jego życie zawsze będzie oparte na tej formie judzkiej ofiary.

– Czy można ich tego oduczyć? – spytała Evalyth, nie okazując jednak głębszego zainteresowania tą sprawą.

– Owszem. Z czasem. W teorii. Ale, hm... wiem dosyć o tym, co zdarzyło się na Starej Ziemi i gdzie indziej, kiedy społeczeństwa rozwinięte chciały zreformować społeczeństwa prymitywne. Cała struktura uległa zagładzie. Tak musiało się stać. Pomyśl o tym, co będzie, gdy nakażemy tym ludziom zrzec się ich rytuału inicjacji. Nie usłuchają. Nie mogą. Muszą mieć wnuki. Wiedzą, że ich syn nie stanie się mężczyzną, dopóki nie zje ciała ludzkiego. Będziemy musieli siłą wyrzeć nacisk, większość z nich zabić, a z reszty uczynić posępnych niewolników. A gdy następny rocznik chłopców faktycznie dojrzeje bez magicznego pokarmu... co wtedy? Potrafisz sobie wyobrazić tę demoralizację, to poczucie kompletnej niższości, ten

żał po utracie tradycji, która stanowi jądro osobistej tożsamości wszystkich ludzi? Zaiste, bardziej humanitarne byłoby zbombardować wyspę i zniszczyć tu całe życie.

Chena potrząsnęła głową.

– Nie – głos jej stał się szorstki. – Jeśli chcielibyśmy to załatwić porządnie, należałoby działać stopniowo. Moglibyśmy wysłać misjonarzy. Posługując się ich nauką i przykładem może udałoby się gdzieś po dwóch czy trzech pokoleniach, skłonić tubylców do pierwszych prób zaniechania tego obyczaju... A na to nas nie stać. I długo nie będzie stać, skoro w galaktyce jest tyle planet o wiele bardziej godnych tej mizernej pomocy, którą możemy zaoferować. Mam zamiar zgłosić wniosek o pozostawienie mieszkańców tej planety samym sobie.

Evalyth przyglądała się jej w milczeniu. Dopiero po pewnej chwili spytała:

– Czy powodem tej decyzji nie są czasem twoje własne odruchy?

– Owszem – przyznała Chena. – Nie potrafię przezwyciężyć odrazy. A przecież, jak sama to podkreśliłaś, mam podobno otwarty umysł. Więc nawet jeśli Komisja postanowi zwerbować misjonarzy, wątpię, czy jej się to powiedzie. – Zawahała się. – I ty też, Evalyth...

Krakenka wstała z miejsca.

– Moje odczucia nie mają tu żadnego znaczenia – odparła. – Ważny jest mój obowiązek. Dziękuję ci za pomoc. – Obróciła się na pięcie i marszowym krokiem wyszła z domku.

Chemiczne zabezpieczenia zaczynały już pękać. Evalyth stała przez chwilę przed niewielkim budyneczkiem, który do niedawna był domem dla niej i Doniego; bała się wejść do środka. Słońce stało nisko, toteż w baraku pełno było cieni. Nad głową bezszelestnie krążył stwór o błoniastych skrzydłach i węzowym ciele. Zza palisady dochodziły odgłosy kroków, słowa wypowiedane w obcym języku, ła wodzenie piszczałek. W powietrzu pojawił się chłód. Zadrzała. W domu będzie zbyt pusto.

Ktoś nadchodził. Z daleka rozpoznała Alsabetę Mondain z planety Nuevamerica. Wysłuchiwanie jej głupich kondolencji składanych w jak najlepszych zamiarach byłoby jeszcze gorsze niż wejście do domu. Evalyth pokonała trzy ostatnie schodki i zasunęła za sobą drzwi.

Donli już tu nie przyjdzie. Nigdy.

Ale okazało się, że w środku go nie brakuje. Raczej było go za pełno: fotel, w którym lubił siadywać czytając ów wyświechtany tomik poezji, których nie potrafiła zrozumieć i drażniła się z nim z tego powodu, stół, przez który posyłał jej toasty i pocałunki, szafa, w której wisiało jego ubranie, para zdartych pantofli,

łóżko – wszystko krzyczało nim. Evalyth szybko przeszła do części laboratoryjnej i zasunęła kotarę oddzielając ją od części mieszkalnej. Hałas wywołany zasuwaniem zdawał się monstrualny w ciszy wieczoru.

Zacisnęła powieki i pięści i stała dysząc ciężko. Nie rozkleję się, przyrzekła sobie. Zawsze mówiłeś, że kochasz mnie za moją siłę – poza wielu innymi cechami wartymi grzechu, dodawałeś zawsze z tym swoim lekkim uśmieszkiem, ale tamto jeszcze pamiętam – i nie mam zamiaru pozbywać się czegokolwiek, za co mnie kochałeś.

Muszę się wziąć do roboty, zwróciła się teraz do dziecka Doniego. Dowództwo wyprawy z pewnością postąpi według rekomendacji Cheny i zwinie kramik. Nie ma za wiele czasu na pomszczenie twojego ojca.

Nagle otworzyła oczy. Co ja wyprawiam? – pomyślała oszołomiona. – Rozmawiam z trupem i płodem?

Włączyła świetlówkę i podeszła do komputera. Nie różnił się niczym od innych przenośnych systemów. Donli go używał. Nie potrafiła jednak oderwać oczu od charakterystycznych zadrapań i wygięć prostopadłościennej obudowy, podobnie zresztą jak i od mikroskopu Doniego, analizatorów chemicznych, wskaźnika chromosomów, okazów biologicznych... Usiadła. Nie odmówiłaby sobie szklaneczki czegoś mocniejszego, ale potrzebna jej była jasność umysłu.

– Włącz się! – rozkazała.

Zapłonął żółty wskaźnik zasilania. Evalyth pociągnęła się za podbródek szukając odpowiednich słów.

– Stawiam zadanie – powiedziała w końcu. – Chodzi o odnalezienie tubylca z nizin, który spożył kilka kilogramów ciała i krwi osobnika należącego do naszej grupy, po czym zniknął w dżungli. Zabójstwo miało miejsce przed około sześćdziesięcioma godzinami. Jak można go odnaleźć?

Odpowiedzią był ledwie słyszalny szum. Wyobraziła sobie kolejne połączenia: z maserem w wahadłowcu, następnie poza niebem – z najbliższym łączem orbitalnym, potem następnym i następnym wokół wzdętego brzucha planety, obok żarłocznego słońca i nieludzkich planet, aż w końcu impulsy dotrą do statku-bazy, gdzie trafią do sztucznego mózgu, który skieruje pytanie do odpowiedniego banku danych; następnie do skanerów, których energia rezonansowa przebiegała od jednej odkształconej cząstki do drugiej identyfikując więcej informacji, niż warto było liczyć, danych zebranych z setek czy tysięcy całych planet, danych zachowanych sprzed klęski Imperium i późniejszych mrocznych wieków, danych sięgających czasów Starej Ziemi, która może już nawet nie istniała. Odepchnęła od

siebie owe myśli i zatęskniła za drogim, surowym Krakenem. Polecimy tam, przyrzekła dziecku Donliego. Zamieszkasz tam, z dala od tych wszystkich maszyn, i dorośniesz tak, jak to sobie zamyślili bogowie.

– Pytanie – odezwał się mechaniczny głos. – Jakiego pochodzenia była ofiara zabójstwa? Evalyth musiała zwilżyć wargi, nim była w stanie odpowiedzieć:

– Był to mieszkaniec Athei, Donli Sairn, twój pan.

– W takim razie istnieje możliwość odnalezienia poszukiwanego tubylca. Nastąpią teraz obliczenia szansy. Czy mam tymczasem podać powody, dla których uznano, że istnieje taka możliwość?

– T-tak.

– Struktura biochemiczna Athei rozwijała się w sposób zbliżony do Ziemi – powiedział głos – i osadnicy wczesnego okresu nie mieli trudności z zaprowadzeniem tam ziemskich gatunków roślin i zwierząt. Z tego też powodu otaczało ich przyjazne środowisko, w którym ludność wkrótce osiągnęła liczbę wystarczająco wysoką, by nie obawiać się zmian rasowych poprzez mutacje lub znos genetyczny. Poza tym nie występowały żadne czynniki wymuszające dobór naturalny, który mógłby spowodować zmiany. Stąd też współczesny mieszkaniec Athei niewiele różni się od swego przodka – kolonisty z Ziemi; i dlatego dokładnie znamy jego cechy fizjologiczne i biochemiczne.

Taka sytuacja miała najczęściej miejsce na większości planet skolonizowanych, co do których zachowały się zapisy. Tam zaś, gdzie pojawiły się ludzkie mutacje, stało się tak głównie dlatego, że pierwsi osadnicy stanowili grupy ściśle dobrane. Dobór losowy oraz ewolucyjne przystosowanie do nowych warunków rzadko dawały radykalne zmiany biotypu. Na przykład krzepkość przeciętnego Krakeńczyka jest rezultatem działania stosunkowo wysokiej siły ciężenia; jego masywna budowa pomaga mu znosić chłód, natomiast jasna cera przydaje się w przypadku światła słonecznego tak ubogiego w promienie ultrafioletowe. Ale jego przodkowie mieli już cechy wrodzone przydatne do życia na takiej planecie. Odchylenia od tamtej normy nie są skrajne. Nie przesądzają one o zdolności do życia na innych podobnych do Ziemi planetach ani o możliwości płodzenia dzieci z ich mieszkańcami.

Czasem jednak pojawiały się większe odchylenia. Jak się wydaje, ich powodem były niewielkie rozmiary pierwszej grupy osadników, odmienne od ziemskich warunków na planecie albo też obie te przyczyny razem. Kolonia mogła być nieliczna, ponieważ większej liczby ludzi planeta nie byłaby w stanie wyżywić, albo też liczba osadników zmalała w wyniku akcji zbrojnych w okresie zagłady

Imperium. W pierwszym wypadku zwiększyła się możliwość występowania niepożądanych mutacji genetycznych; w drugim, powodem pojawienia się znacznej liczby mutantów wśród dzieci tych, którzy przeżyli, było promieniowanie. Zmiany dotyczą nie tyle podstaw anatomicznych, co drobnych cech związanych z przemianą endokrynologiczną i enzymatyczną, która ma wpływ na fizjologię i psychikę danej rasy. Jednym ze znanych przykładów może być reakcja mieszkańców Gwydiona na nikotynę i niektóre indole, a także zapotrzebowanie Ifrian na śladowe ilości ołowiu. Czasem takie różnice powodują, że mieszkańcy dwóch różnych planet nie mogą ze sobą począć potomstwa.

Mimo że tutejsza planeta została dotąd zbadana jedynie bardzo pobieżnie... – słowa te wyrwały Ewalyth z zadumy, w jaką wprowadził ją wykład komputera – ...niektóre fakty nie ulegają wątpliwości. Niewielu ziemskim gatunkom udało się tu zaaklimatyzować. Z pewnością na początku hodowano też i inne, które jednak wymarły, gdy utracono bazę techniczną potrzebną do ich utrzymania. Stąd też tutejszy człowiek musiał wykorzystywać miejscowe formy życia jako główne źródło pożywienia. Owo życie nie zawiera wielu składników ważnych dla człowieka. Na przykład wydaje się, że jedynym źródłem witaminy C są rośliny przywiezione z Ziemi; Sairn zaobserwował, że tubylcy spożywają wielkie ilości trawy i liści pochodzących z tych gatunków, a zdjęcia fluoroskopowe wykazały, że taki sposób odżywiania w poważnym stopniu zmienił wygląd ich przewodu pokarmowego. Nie udało się nikogo z nich skłonić do oddania próbek skóry, krwi, śliny i tym podobnych, nawet ze zwłok. – Boją się czarów, pomyślała ponuro Ewalyth, tak, i do tego już się cofnęli. Jednak intensywna analiza mięsa zwierząt spożywanych tu najczęściej wykazała niedostatek trzech podstawowych aminokwasów, przystosowanie się zaś człowieka do tej sytuacji musiało spowodować poważne zmiany na poziomie komórkowym i podkomórkowym. Prawdopodobny rodzaj i zasięg tych zmian da się obliczyć.

– Obliczenia są już gotowe. – W momencie gdy komputer ponownie przemówił, Ewalyth schwyciła oparcie fotela i wstrzymała oddech. – Istnieje dość wysokie prawdopodobieństwo powodzenia. Ciało mieszkańca Athei stanowi tu element obcy. Metabolizm sobie z nim poradzi, ale ciało spożywającego je tubylca będzie wydzielać pewne związki chemiczne, a te nadadzą charakterystyczny zapach jego skórze i oddechowi, podobnie jak moczowi i kałowi. Istnieje poważna szansa, że będzie go można odszukać za pomocą zmodyfikowanej metody Freeholdera w promieniu nawet kilku kilometrów jeszcze po upływie sześćdziesięciu czy

siedemdziesięciu godzin. Ponieważ jednak cząsteczki omawianych związków przez cały czas ulegają rozpadowi i rozproszeniu, zaleca się szybkie działanie.

Odnajdę mordercę Donliego. Wokół Evalyth rozszalała się ciemność.

– Czy zamówić dla ciebie organizmy i zadać im właściwy program poszukiwań?

– zapytał głos. – Możesz je otrzymać w ciągu około trzech godzin.

– Tak – wyjąkała. – Och, proszę... czy masz jeszcze jakieś rady?

– Ten człowiek nie powinien zostać zabity od razu, należy go tu sprowadzić na badania, choćby tylko po to, by udało się wykonać naukowe zadania wyprawy.

Oto przemawia maszyna, wykrzyknęła w myślach Evalyth. Zaprojektowano ją tak, by służyła badaniom. Nic poza tym. Ale należała do niego. A jej odpowiedź była tak podobna do tego, co powiedziałby Donli, że Evalyth nie potrafiła dłużej powstrzymać łez.

Jedyny wielki księżyc wzeszedł nieomal w pełni wkrótce po zachodzie słońca. Przyćmił blask większości gwiazd; dżungla w dole skąpana była w srebrnej poświacie przetykanej czernią. Na niewidocznym krańcu świata unosił się nierealny śnieżny stożek góry Burus. Przycupniętą na grawisaniach Evalyth opływał wiatr pełen woni wilgotnych i gryzących; zdawał się zimny, choć nie był, i chichotał za jej plecami. Co kilka minut rozlegało się jakieś skrzeczenie; coś krakało w odpowiedzi.

Popatrzyła spode łba na indykatory położenia świecące na tablicy sterowniczej. Niech to Chaos, Moru musi być w tym rejonie! Nie mógłby uciec pieszo z doliny w tym czasie, a sprawdziła już prawie całą dolinę. Jeśli skończą się jej żuczki, a nie znajdzie Moru, czy może założyć, że on nie żyje? Ale przecież i tak znalazłoby się jego ciało? Chyba że leży gdzieś głęboko zakopane. O, tu będzie dobrze. Unieruchomiła grawisanie, zdjęła ze stojaka kolejną fiolkę i wstała, by ją opróżnić.

Żuczki wyleciały w wielkiej masie, drobne jak dym unoszący się w świetle księżycy. Kolejne niepowodzenie?

Nie! Chwileczkę! Chyba skupiają się w ledwie widoczne pasmo i znikają w dole! Serce jej łomotało, gdy patrzyła na indykator. Jego neu rodetektorowa antena nie kołysała się już bez celu, ale wskazywała prosto na zachodni południowy zachód, odchylenie trzydzieści dwa stopnie poniżej poziomu. Tylko skupisko żuczków mogło spowodować takie jej zachowanie. A jedynie ta konkretna mieszanina cząstek, na jaką żuczki zostały uczulone, w koncentracji kilku na milion lub większej, zmusiłaby je do skupienia się na źródle emisji.

– Jaaaaa – nie zdołała powstrzymać tego jastrzębiego okrzyku. Potem jednak

zagryzła wargi, a po podbródku pociekł jej nie zauważony strumyczek krwi. Dalej prowadziła sanie w milczeniu.

Miała do pokonania ledwie kilka kilometrów. Zatrzymała się przed polaną. W porastającej ją wybujałej roślinności połyskiwały kałuże spienionej wody. Otaczające polanę drzewa wyglądały jak lity mur. Evalyth zsunęła z hełmu na oczy okulary noktowizyjne. Dostrzegła stojący na polanie szałas, pośpiesznie upleciony z pędów i gałęzi, oparty o dwa najwyższe drzewa, których gałęzie miały go chronić przed wykryciem z powietrza. Żuczki wlatywały do szałas.

Evalyth opuściła sanie na metr nad ziemią i ponownie wstała. W jej lewej dłoni znalazł się wyciągnięty z kabury ogłuszacz, prawa spoczywała na rękojeści miotacza.

Z szałas wygramolili się dwaj synowie Moru. Żuczki wirowały wokół nich jak mgła zamazująca ich sylwetki. Oczywiście, pojęła Evalyth, osiągając mimo to z powodu wstrząsu wyższy stopień nienawiści, mogłam się domyślić, że to oni będą pożerać. Chłopcy bardziej niż inni przypominali gnomy: wychudłe kończyny, wielkie głowy, wydęte brzuchy typowe dla niedożywienia. Krakeńscy chłopcy w ich wieku byłiby dwukrotnie więksi i znacznie bardziej zaawansowani w procesie dojrzewania. Te nagie ciała należały do dzieci, choć ich groteskowość miała w sobie coś ze starości.

Za chłopcami wyszli rodzice, zignorowani przez opętane obsesją żuczki. Matka zawodziła; Evalyth rozpoznała kilka słów.

– Co się stało, co to za paskudztwo... och, pomocy... – Ale wzrok Evalyth spoczywał tylko na Moru.

Kiedy kuśtykając wychodził z szałas, pochylony, by zmieścić się w otworze wejściowym, wydał się Evalyth jakimś ogromnym chrząszczem splezającym z kupy gnoju. Poznałaby jednak zawsze tę kudłatą głowę, choć teraz jej własny mózg rozpadał się na kawałki. Moru miał w ręku kamienny nóż, zapewne ten sam, którym pokroił Doniego. Zabiorę mu go, wraz z ręką, która go trzyma, łkała. Będzie żył, a ja rozczłonkuję go własnoręcznie, w chwilach przerwy zaś będzie patrzył, jak obdzieram ze skóry jego odrażający pomiot.

Przez jej myśli przebił się krzyk kobiety. Kobieta dostrzegła metalowy pojazd i stojącą na jego platformie olbrzymkę, której czaszka i oczy połyskiwały w księżycowym świetle.

– Przyszłam po ciebie, który zabiłeś mego męża – rzekła Evalyth. Matka ponownie krzyknęła i rzuciła się, zasłaniając chłopców. Ojciec usiłował zabiec jej drogę, ale chroma stopa zawinęła się pod nim i upadł w kałużę. Kiedy usiłował się

wygramolić z błota, Evalyth strzeliła z ogłuszacza do kobiety. Nie rozległ się żaden dźwięk; kobieta osunęła się i leżała bez ruchu.

– Uciekajcie! – krzyknął Moru. Rzucił się w kierunku sani. Evalyth przekreśliła drążek sterowniczy. Pojazd łukiem wzniosł się lecąc w stronę chłopców. Strzeliła do nich z góry, gdzie Moru nie mógł jej dosięgnąć.

Ukląkł przy najbliższym, wziął jego ciało w ramiona i spojrzał w górę. Księżyc bezlitośnie oświetlał jego twarz.

– I co jeszcze możesz mi uczynić? – zawołał Moru.

Evalyth ogłuszyła i jego, wylądowała, zeszła z platformy i skrepiowała całą czwórkę. Ładując ciała na sanie stwierdziła, że są lżejsze, niż się spodziewała.

Pot wystąpił jej na całym ciele, aż kombinezon przylgnął jej do skóry. Zaczęła dygotać, jakby w gorączce. Szumiało jej w uszach.

– Powinam była was zabić – rzekła. Zdawało jej się, że własny głos brzmi jakoś odległe, nieznanne. A jeszcze gdzieś dalej w jej umyśle powstało pytanie, po co w ogóle przemawia do nieprzytomnych, i to we własnym języku.

– Szkoda, że zachowaliście się właśnie w ten sposób. To sprawiło, że przypominałam sobie, co powiedział komputer: że przyjaciele Doniego potrzebują was do badań. To chyba zbyt wielka okazja, by ją przepuścić. Po tym, co zrobiliście, możemy, zgodnie z prawem Zjednoczonych Planet, uwięzić was i nikt się nie będzie rozczulał nad waszym losem.

Och, nie potraktują was po barbarzyńsku. Kilka próbek tkanek, wiele testów, pod znieczuleniem, jeśli będzie trzeba, nic bolesnego, nic poza badaniem klinicznym, tak szczegółowym, jak pozwoli na to wyposażenie. I na pewno dadzą wam lepiej jeść, niż dotąd jedliście, i na pewno medycy znajdą w was jakieś choroby, które będą mogli wyleczyć. A w końcu. Moru, wypuszczą twoją żonę i dzieci.

Spojrzała mu prosto w przerażającą twarz.

– Cieszę się – rzekła – że dla was, którzy nie pojmujecie, co się dzieje, będzie to nieprzyjemne przeżycie. A kiedy już skończą. Moru, zażądam, aby przynajmniej ciebie mi oddali. Tego nie mogą mi odmówić. Przecież wasze plemię faktycznie was wypędziło. Prawda? Obawiam się, że moi koledzy nie dopuszczą, bym zrobiła coś więcej poza zabiciem ciebie, ale z tego nie zrezygnuję.

Zwiększyła moc silnika i odleciała w kierunku Lokonu, jak mogła najszybciej, aby przybyć tam, póki jeszcze wystarczało jej tak niewiele.

* * *

I dni bez niego, i wciąż dni bez niego.

Nadejście nocy przyjmowała bez oporów. Jeśli nie zmęczyła się pracą do wyczerpania, zawsze mogła wziąć tabletkę. Donli rzadko powracał w jej snach. Ale musiała też przetrwać i dni, i wtedy nie mogła utopić ich w środkach nasennych.

Na szczęście przygotowania do drogi powrotnej wymagały znacznego nakładu pracy, ponieważ wyprawa nie była zbyt liczna, a do odjazdu pozostało niewiele czasu. Sprzęt trzeba było rozmontować, zapakować, przetransportować wahadłowcem na pokład statku, a tam złożyć w magazynach. Sam Nowy Świt wymagał wielu przygotowań, jego liczne systemy trzeba było włączyć na nowo i skontrolować. Wszkolenie militechniczne umożliwiło Evalyth wykonywanie funkcji mechanika, nawigatora wahadłowca czy szefa ekipy załadowczej. Poza tym wszystkim nadal pełniła obowiązki związane z ochroną terenu bazy.

Kapitan Jonafer robił jej z tego powodu delikatne wymówki.

– Po co to wszystko, poruczniku? Miejscowi boją się nas jak ognia. Słyszeli już o tym, co pani zrobiła – a te wszystkie przeloty po niebie, praca robotów i ciężkiego sprzętu, reflektory po zapadnięciu zmroku... Z trudnością udaje mi się wyperswadować im porzucenie własnego miasta!

– No to niech porzucają – warknęła. – Kogo to obchodzi?

– Nie przylecieliśmy tu po to, by im zaszkodzić, poruczniku.

– Nie. Jednak moim zdaniem, kapitanie, oni by nam z przyjemnością zaszkadzili, gdybyśmy dali im choć najmniejszą okazję. Proszę sobie wyobrazić, jak wspaniałe przymioty musi posiadać pańskie ciało.

Jonafer westchnął i ustąpił. Kiedy jednak odmówiła przyjęcia Rogara podczas następnego przylotu z orbity na planetę, zobowiązał ją do tego rozkazem i polecił zachowywać się przyzwoicie.

Klev wszedł do części mieszczącej laboratorium biologiczne – nie chciała wpuścić go do strefy mieszkalnej – trzymając w obu rękach dar: miecz wykuty z metalu Imperium. Wzruszyła ramionami; bez wątpienia jakieś muzeum z przyjemnością go weźmie.

– Połóż na podłodze – poleciła.

Ponieważ zajmowała jedyne w tym pomieszczeniu krzesło, Rogar stał. W swojej szacie wyglądał na małego i starego.

– Przyszedłem – wyszeptał – by powiedzieć, że mieszkańcy Lokonu radują się, iż niewiasta z niebios wykonała swą zemstę.

– Wykonuje ją – poprawiła.

Nie potrafił spojrzeć jej w oczy. Ponuro spoglądała na jego wyblakłe włosy.

– Skoro niewiasta z niebios... mogła... tak łatwo... znaleźć tych, których szukała... zatem zna prawdę mieszkającą w sercach Lokończyków: że nigdy nie zamierzaliśmy uczynić krzywdy jej ludowi.

Nie wyglądało na to, że Rogar czeka na odpowiedź.

Zacisnął splecione palce.

– Dlaczego tedy porzucacie nas – mówił dalej. – Kiedy przybyliście tu, kiedy poznaliśmy was, a wy zaczęliście mówić naszą mową, przyrzekliście tu pozostać przez wiele księżyców, a potem przysłać innych, by nauczyl nas i handlowali z nami. Nasze serca rozradowały się. Nie tylko z powodu tych towarów, które kiedyś zechcielibyście nam sprzedać, ani z powodu tego, że wasi mędrcy powiedzieliby nam, jak skończyć z głodem, chorobami, niebezpieczeństwami i cierpieniami. Nie, nasza radość i wdzięczność wynikała głównie z widoku tych cudów, jakie roztoczyliście przed nami. Nagle świat, który był tak mały, stał się tak rozległy. A teraz odchodzicie. Pytałem, gdy się odważyłem, a ci spośród waszych, którzy zechcieli odpowiedzieć, mówili, że nikt tu już nie powróci. Czymże was obraziliśmy, niewiasto z niebios, i jak możemy to naprawić?

– Możecie przestać traktować waszych współpracowników jak zwierzęta – wycodziła Evalyth.

– Dowiedziałem się... jakoś... że przybysze z gwiazd mówią, iż to, co dzieje się w Świętym Miejscu, jest złe. Ale my robimy to tylko raz w życiu, niewiasto z niebios, i tylko dlatego, że musimy!

– Nie ma takiej potrzeby. Rogar upadł przed nią na kolana.

– Może tak jest z przybyszami z gwiazd – rzekł błagalnie – ale my jesteśmy jedynie ludźmi. Jeśli nasi synowie nie zdobędą męskości, nie poczną własnych dzieci i wówczas ostatni z nas umrze na tym świecie śmierci, a nie będzie nikogo, kto by mu otworzył czaszkę i wypuścił duszę... – Odważył się unieść na nią wzrok. To, co zobaczył na jej twarzy, sprawiło, że zaskowyczał i wycofał się tyłem na czworakach pod pałac promienie słońca.

Później Chena Darnard odszukała Evalyth. Zrobiły sobie drinka i zaczęły rozmawiać najpierw unikając właściwego tematu, aż w końcu Chena powiedziała wprost:

– Trochę ostro potraktowałaś wodza, nieprawdaż?

– Skąd... ach, tak. – Krakenka przypomniała sobie, że rozmowa z Rogarem została nagrana do późniejszej analizy, jak robiono zawsze, kiedy było to możliwe.

– A co miałam zrobić, pocałować go w te ludożercze usta?

– Nie. – Chena skrzywiła się. – Chyba nie.

– Na oficjalnym zaleceniu, by dać sobie spokój z tą planetą, twój podpis jest na samej górze.

– Tak, ale... teraz już nie wiem. Wtedy poczułam odrazę. Teraz też czuję. Ale... widziałam, jak personel medyczny bierze w obroty tych twoich więźniów. A ty to widziałaś?

– Nie.

– Powinnaś. Jak się kulą ze strachu, wrzeszczą i wyciągają do siebie ramiona, kiedy przywiązują ich w laboratorium, a potem jak tulą się do siebie w celi.

– Przecież chyba nie czują bólu ani nie ponoszą żadnego uszczerbku, prawda?

– Oczywiście, że nie. Ale czy uwierzą tym, którzy ich pojмали? Nie można ich uśpić chemicznie do badań, jeśli wyniki mają być zgodne ze stanem faktycznym. Ich obawa przed czymś całkowicie nieznanym... W każdym razie, Evalyth, byłam zmuszona przerwać obserwacje. Dłużej już nie mogłam. – Chena długo patrzyła na drugą kobietę. – Ale ty mogłabyś pójść popatrzeć.

Evalyth potrząsnęła głową.

– Nie zamierzam napawać się widokiem cierpienia. Zastrzelę mordercę, bo wymaga tego mój honor rodowy. Reszta może sobie odejść wolno, nawet chłopcy. Nawet pomimo tego, co jedli. – Nalala sobie mocnego drinka i wychyliła jednym haustem. Alkohol zapiekł ją w przelyku.

– Szkoda, że chcesz tego – rzekła Chena. – Donliemu by się to nie podobało.

Często cytował pewne porzekadło, podobno bardzo stare – on mieszkał w moim mieście, nie zapominaj, i znam go... znałam go dłużej niż ty, kochanie. Słyszałam, jak mówił kiedyś, dwa, może trzy razy: Czy nie należy oszczędzać nieprzyjaciół, skoro dzięki temu mogą stać się przyjaciółmi?

– Pomyśl o jadowitych owadach – odparła Evalyth. – Z nimi nie zawiera się przyjaźni. Rozdeptuje się je.

– Ale człowiek robi to, co robi, bo taki jest, bo takim uczyniło go otoczenie. – Ton Cheny stał się natarczywy, pochyliła się, by pochwycić dłoń Evalyth, która nie odpowiedziała na ten gest. – Czymże jest człowiek, jedno życie, wobec tych wszystkich, którzy żyją i żyli przed nim? Kanibalizm nie byłby obecny na całej wyspie, wśród wszystkich poza tym całkowicie odmiennych grup, gdyby nie był najgłębiej zakorzenionym imperatywem kulturowym ze wszystkich, jakie cechują tę rasę.

Evalyth uśmiechnęła się poprzez narastający gniew.

– A cóż to jest za szczególna rasa – że go zaakceptowała? A może by tak przyznać i mnie przywilej działania zgodnie z moimi imperatywami kulturowymi? Wracam do domu, by wychować dziecko Doniego z dala od tej waszej cywilizacji bez charakteru. Nie będzie wyrastał w pohańbieniu, ponieważ jego matka była zbyt słaba, by dochodzić sprawiedliwości za śmierć jego ojca. A teraz wybac mi, ale muszę jutro wcześniej wstać, aby zabrać na statek kolejny ładunek.

Wykonanie tego zadania wymagało wielu godzin pracy; Evalyth wróciła na planetę dopiero pod wieczór. Czuła się nieco bardziej zmęczona niż zwykle, nieco spokojniejsza. Bolesna rana zadana tym, co się stało, goiła się. Przez głowę przemknęła jej myśl, oderwana, lecz nie szokująca, nie wiarolomna: Jestem jeszcze młoda. Któregoś dnia przyjdzie inny mężczyzna. Ale nie będę cię przez to mniej kochać, drogi mój.

Buty jej zanurzyły się w pyłe. Baza została już częściowo opróżniona ze sprzętu i odpowiedniej części załogi. Pod żółciejącej niebem cicho zapadał wieczór. Tylko kilka osób poruszało się wśród maszyn i pozostałych baraków. Lokon był pogrążony w ciszy – tak jak zwykle w ostatnich dniach. Z radością powitała odgłos swych kroków na schodach prowadzących do baraku Jonafera.

Siedział czekając na nią, potężny i nieruchomy za swym biurkiem.

– Zadanie wykonane bezawaryjnie – zaraportowała.

– Proszę usiąść – powiedział.

Usłuchała. Milczenie przeciągało się. W końcu przemówił; usta ledwie się poruszały w zeszywniałej twarzy:

– Zespół kliniczny zakończył badania więźniów.

Nie wiedzieć czemu, był to dla niej szok. Evalyth rozpaczliwie szukała właściwych słów.

– Czy to nie za szybko? To znaczy... no, nie mamy za wiele sprzętu i tylko paru ludzi, którzy potrafią dostrzec trudniejsze sprawy, a i bez Doniego, który jako specjalista od biologii ziemskiej... Czy dokładniejsze badanie, aż do poziomu chromosomów, jeśli nie dalej... coś, co przydałoby się antropofizjologom... czy nie powinno trwać dłużej?

– Słusznie – odparł Jonafer. – Nie znaleziono nic szczególnie ważnego. Może by i znaleziono, gdyby zespół Udena wiedział, czego szukać. W takim wypadku mogliby formułować hipotezy i sprawdzać je w kontekście całego organizmu, po czym uzyskać jakieś pojęcie o badanych jako o funkcjonujących istotach. Ma pani rację, Donli Sairn miał ową intuicję zawodową, która mogłaby wskazać im drogę.

Bez tego, a także bez jakichś wyraźnych wskazówek oraz bez pomocy tych nieświadomych, przerażonych dzikusów musieli błądzić i próbować prawie na ślepo. Istotnie, ustalili kilka osobliwości układu trawiennego, ale nic takiego, do czego nie można byłoby dojść na podstawie analizy ekologicznej otoczenia.

– To dlaczego zaniechali badań? Odlatujemy najwcześniej za tydzień.

– Zrobili to na moje polecenie, po tym, jak Uden pokazał mi, co się dzieje, i zapowiedział, że kończy badania, czy tego chcę, czy nie.

– Co...? Ach, tak. – Na twarzy Evalyth pojawił się wyraz pogardy. – Myśli pan o torturach psychicznych.

– Tak. Widziałem tę wychudzoną kobietę przypiętą pasami do stołu. Jej głowa, jej ciało pokryte były siecią przewodów prowadzących do zgromadzonych wokół niej liczników, które szczykały, szumiały i błyskały światłkami. Nie dostrzegła mnie; oślepił ją strach. Może wyobrażała sobie, że wypompowują z niej duszę. A może było to dla niej coś jeszcze gorszego, bo nie wiedziała, co się z nią dzieje? Widziałem w celi jej dzieci, jak trzymały się za ręce. Nic innego im nie pozostało, by mogły się uchwycić, w ich całym wszechświecie. Niedługo osiągną wiek dojrzały; jaki wpływ wywrze to wszystko na ich rozwój psychoseksualny? Widziałem, jak obok nich leżał ich ojciec, uśpiony lekami, bo chciał, pięściami wybić sobie dziurę w ścianie. Uden i jego pomocnicy mówili, że wiele razy chcieli się z nimi zaprzyjaźnić – ale bezskutecznie. Oczywiście więźniowie wiedzą, że znajdują się w mocy tych, którzy ich nienawidzą, a nienawiść ta sięga aż po grób.

Jonafer zamilkł na chwilę.

– Wszystko ma jakieś granice przyzwoitości, poruczniku – zakończył – nawet nauka i kara. Szczególnie kiedy okazuje się, że szansę na odkrycie czegoś niezwykle są niewielkie. Nakazałem przerwanie badań. Chłopcy i ich matka zostaną jutro odwiezieni w rodzinne okolice i uwolnieni.

– Dlaczego nie dzisiaj? – spytała Evalyth, przewidując, jaka będzie odpowiedź.

– Miałem nadzieję – powiedział Jonafer – że zgodzi się pani uwolnić również mężczyznę.

– Nie.

– W imię Boga...

– Pańskiego Boga. – Evalyth odwróciła wzrok. – Nie sprawi mi to przyjemności, kapitanie. Zaczynam żałować, że muszę to zrobić. Ale chodzi o to, że Donli nie zginął w uczciwej walce czy podczas kłótni, tylko że zarżnięto go jak prosiaka. To jest to zło w kanibalizmie: że człowiek staje się jedynie zwierzęciem dostarczającym mięsa. Nie przywrócę mu życia, ale jakoś wyrównam rachunek traktując ludożercę

jedynie jako niebezpieczne zwierzę, które należy zastrzelić.

– Rozumiem. – Jonafer również długo wyglądał przez okno. W blasku zachodzącego słońca jego twarz stała się wykutą z brązu maską. – No więc – rzekł chłodno na koniec – zgodnie z Kartą Przymierza oraz statutem naszej wyprawy nie mam wyboru. Ale nie pozwolę na żadne upiorne obrzędy, a poza tym wszystko musi pani przeprowadzić własnoręcznie. Więzień zostanie pani dostarczony do budynku po zachodzie słońca. Zlikwiduje go pani natychmiast i weźmie udział w kremacji zwłok.

Dłonie Evalyth spotniały.

– Nigdy jeszcze nie zabiłam bezbronного człowieka.

– Ale on to zrobił! – brzmiała odpowiedź.

– Zrozumiałam, kapitanie – odpowiedziała.

– Bardzo dobrze, poruczniku. Jeśli pani chce, proszę iść do stołówki na kolację. Nikomu ani słowa. Cała sprawa odbędzie się o... – spojrział na zegarek, dostosowany do długości miejscowej doby – o dwudziestej szóstej.

Evalyth na próżno starała się przełknąć tę suchość, którą miała w gardle.

– Czy nie zbyt późno? – spytała.

– To specjalnie – odrzekł. – Chcę, aby cały obóz spał. – Napotkał jej wzrok. – I chcę dać pani czas na zmianę decyzji.

– Nie! – Zerwała się na równe nogi i ruszyła do drzwi. Jego głos ścigał ją.

– Donli by też panią o to prosił.

Nadeszła noc i wypełniła pokój. Evalyth nie wstała, by zapalić światło. Wyglądało to tak, jakby krzesło, ongiś ulubione przez Doniego, nie chciało jej puścić.

W końcu przypomniała sobie o lekarstwach. Miała jeszcze kilka tabletek. Po zażyciu jednej z nich łatwo będzie wykonać egzekucję. Na pewno Jonafer poleci dać coś Moru na uspokojenie choć teraz, zanim go tu przyprowadzą. Dlaczego więc nie miałyby sobie pomóc w ten sposób?

Nie byłoby to słuszne.

Dlaczego nie?

Nie wiem. Nic już nie rozumiem.

A kto rozumie? Tylko jeden Moru. On wie, dlaczego zamordował i poćwiartował człowieka, który mu zaufał. Evalyth stwierdziła, że na jej ustach zagościł niewidoczny w ciemnościach zmęczony uśmiech. Niezawodnym przewodnikiem Moru były jego przesady. Teraz już zobaczył u swoich dzieci pierwsze oznaki

dojrzałości. Powinno go to choć trochę pocieszyć.

Dziwne, że ten przełom endokrynologiczny, związany z nadejściem dorosłości, pojawił się w warunkach przerażającego stresu. Raczej można by tu się spodziewać pewnego opóźnienia. Co prawda przez jakiś czas jeńców karmiono znacznie bardziej racjonalnie, a lekarze zapewne uwolnili ich od najróżniejszych chronicznych infekcji. Ale i tak wszystko to było dziwne. Poza tym nawet normalne dzieci w normalnych warunkach nie ujawnią nieomylnych oznak zewnętrznych w tak krótkim czasie. Donli na pewno by próbował to rozgryźć. Prawie widziała go, jak siedzi marszcząc brwi, pocierając czoło, uśmiechając się półgębkiem z powodu przyjemności, jakiej mu ten problem dostarczał.

Nieomal słyszała, jak mówiłby do Udena przy piwie i papierosie:

„Spróbuję sam nad tym pogłównkować. Może coś wykombinuję”.

„Jak? – zapytałby lekarz. – Jesteś specjalistą w biologii ogólnej. Nie mam nic do ciebie, ale szczegółowa fizjologia człowieka to nie twoja specjalność”.

„Mmmm... tak i nie. Do mnie należy badanie gatunków pochodzenia ziemskiego i to, jak się przystosowały do warunków na nowych planetach. Dziwnym trafem człowiek to jeden z takich gatunków”

Ale Doniego nie było, a nikt poza nim nie był dość kompetentny, by podjąć jego pracę... by go choć w części zastąpić – ale uciekała od tej myśli, podobnie jak od innej, dotyczącej tego, co ją czeka wkrótce. Wszystkie swe myśli skupiła na jednej kwestii: że nikt z zespołu Udena nie próbował wykorzystać wiedzy Doniego. Jak zauważył Jonafer, gdyby Donli żył, może podsunąłby jakiś pomysł, nieortodoksyjny a wnikliwy, który mógłby doprowadzić do odkrycia tego, co było do odkrycia, o ile w ogóle coś było. Uden i jego asystenci to rutyniarze; nawet im nie przyszło do głowy polecić komputerowi Doniego, by przeczesał swe banki danych w poszukiwaniu jakichś istotnych informacji. Dlaczego mieliby to robić, skoro problem ten rozpatrywali z czysto medycznego punktu widzenia. No i przecież nie byli okrutni. Cierpienia psychiczne, jakie zadawali badanym, powodowały, że unikali czegokolwiek, co mogłoby spowodować konieczność dalszych badań. Donli od samego początku zabrałby się do tego inaczej.

Nagle mrok zgęstniał. Eyalith z trudem oddychała. W pokoju było zbyt gorąco i cicho; czekanie też się zbyt przeciągało. Musi coś zrobić, bo inaczej siła woli też ją zawiedzie i nie będzie w stanie pociągnąć za spust.

Wstała z trudem i powlokła się do laboratorium. Światłówka oślepiła ją na moment. Podeszła do komputera.

– Włącz się! – poleciała.

Odpowiedziało jej jedynie światełko zasilania. Okna były nadal całkowicie czarne. Chmury na niebie bez reszty zasłaniały księżyc i gwiazdy.

– Jakie... – z gardła jej dobył się tylko dziwaczny skrzekot. Pomogła sobie, myśląc z rozrzewnieniem: weź się w garść, głupia bekso, albo nie jesteś odpowiednią matką dla dziecka, które w sobie nosisz, i mogła już zadać pytanie.

– Jakże może być biologiczne wytłumaczenie zachowania się ludzi na tej planecie?

– Te sprawy najłatwiej wyjaśnić w kategoriach psychologicznych i antropologii kulturalnej – odrzekł głos.

– M-może – powiedziała Evelyth. – A może nie. – Uszeregowała kilka myśli i ustawiła je niewzruszenie pośród innych, szalejących w jej głowie.

– Możliwe, że tubylcy ulegli jakiejś degeneracji i nie są już właściwie ludźmi. – Chciałabym, żeby Moru nie był człowiekiem. – Sprawdź wszystkie dane o nich, między innymi wyniki obserwacji klinicznych przeprowadzonych na czworgu z nich w ciągu ostatnich kilku dni. Porównaj z podstawowymi danymi dotyczącymi Ziemi: Podaj wszystkie hipotezy, które wydają się uzasadnione. – Zawahała się. – Poprawka. Podaj wszystkie hipotezy, które są możliwe; wszystko, co nie sprzeciwia się w sposób oczywisty ustalonym faktom. Uzasadnione hipotezy zostały już wykorzystane.

Maszyna zaszumiała. Evelyth zacisnęła oczy i uchwyciła się brzegu biurka. Pomóż mi, Donli, proszę cię.

Do jej uszu dobiegł głos, gdzieś z drugiego krańca wieczności:

– Jedynym elementem behawiorystycznym, którego, jak się wydaje, nie można łatwo wyjaśnić za pomocą domniemań dotyczących warunków środowiskowych oraz wydarzeń historycznych, jest kanibalistyczny rytuał dorosłości. Według opinii komputera antropologicznego mogło się to wywodzić z rytuału ofiarnego, podczas którego na ołtarzu składano człowieka. Lecz ten sam komputer notuje następujące nielogiczności w tej hipotezie:

Na Starej Ziemi religie ofiarne wiązały się normalnie ze społeczeństwami rolniczymi, które znacznie bardziej były uzależnione od trwałej urodzajności i pogody niż łowieckie. Ale nawet i dla nich ofiary z ludzi okazywały się w końcu niekorzystne, jak wyraźnie dowodzi przykład Azteków. Lokon w pewnym stopniu zracjonalizował praktyki ludożercze wiążąc je z systemem niewolniczym i w ten sposób minimalizując ich wpływ na ogólną sytuację. Jednak wśród mieszkańców nizin są one poważnym złem, źródłem nieustannego zagrożenia, powodem wydatkowania wysiłku i zasobów, które są konieczne do przetrwania. Nie wydaje

się możliwe, aby ów obyczaj, gdyby tylko został przyjęty za przykładem Lokonu, mógł się utrzymać w choć jednym z tych plemion. A jednak się utrzymuje. Stąd też musi mieć jakieś racjonalne uzasadnienie i problem polega na tym, by je odszukać.

Metody zdobywania ofiar są najróżniejsze, ale wymagania zawsze te same. Według Lokończyków potrzebne jest jedno ciało dorosłego człowieka, które wystarcza, by czterej chłopcy uzyskali dojrzałość. Zabójca Doniego Sairna nie mógł unieść całego ciała. To, co zabrał, daje wiele do myślenia.

Można zatem uznać, że na tej planecie pojawił się syndrom dipteroidalny. Gdzie indziej zjawisko to nie występuje wśród wyższych zwierząt, ale teoretycznie jest możliwe. Mogła je wywołać modyfikacja chromosomu Y. Łatwo jest przeprowadzić badanie na wykrycie owej modyfikacji, a tym samym potwierdzić tę hipotezę.

Głos zamilkł. Evalyth słyszała, jak krew dudni jej w żyłach.

– O czym ty mówisz?

– O zjawisku stwierdzonym na kilku planetach wśród niższych zwierząt – wyjaśnił komputer. Nie występuje ono często i dlatego nie jest szeroko znane. Jego nazwa pochodzi od terminu „diptera” – łacińskiej nazwy muchówek na Starej Ziemi.

Olśniło ją nagle jak błyskawicą.

– Muchówki – oczywiście! Komputer rozpoczął wyjaśnienia.

Jonafer osobiście przyprowadził Moru. Dzikus miał ręce związane za plecami, a kapitan wręcz przytłaczał go wzrostem. Mimo to jednak, a także mimo zadanych sobie obrażeń Moru szedł, choć kuśtykając, dość równo.

Chmury rozwiewały się; białym lodowym blaskiem zajaśniał księżyc. Z miejsca obok drzwi, gdzie stała, Evalyth sięgała wzrokiem do granic bazy – do zębatej jak pita palisady, nad którą, niczym szubienica, unosił się samotny dźwig. Robiło się zimno; wszak planeta zbliżała się do jesieni. Zerwał się słaby wiatr, który zawodził unosząc niewielkie tumany pyłu, tańczące jak małe diabelki. Odgłos kroków Jonafera słychać było z daleka.

Dostrzegł ją i zatrzymał się. Moru też stanął.

– I co stwierdzono? – zapytała. Kapitan skinął głową.

– Uden zabrał się do pracy zaraz po tym, jak się pani z nim połączyła – odrzekł.

– Badanie jest bardziej skomplikowane, niż twierdził pani komputer... ale on był przyzwyczajony do sprawności Doniego, a nie Udena. Uden sam nigdy by na to nie wpadł. Owszem, hipoteza jest prawdziwa.

– W jaki sposób?

Moru stał czekając, podczas gdy nad nim przelatywały słowa w języku, którego nie rozumiał.

– Nie jestem lekarzem. – Jonafer zachowywał obojętny ton głosu. – Ale z tego, co powiedział mi Uden, wynika, że uszkodzenie chromosomu powoduje, iż męskie gruczoły płciowe nie są w stanie samoistnie osiągnąć dojrzałości. Potrzeba im dodatkowych hormonów – Uden wymienił testosteron, androsteron i nie pamiętam co jeszcze – aby zapoczątkować serię zmian, które w efekcie przyniosą dojrzałość. Bez tego chłopcy skazani są na bezpłodność. Uden uważa, że po zbombardowaniu kolonii pozostało niewielu żyjących, w takim stopniu pozbawionych środków do życia, że uciekli się do kanibalizmu, by przetrwać przez pierwsze pokolenie czy dwa. W tych warunkach mutacja, która inaczej uległaby samoistnej eliminacji, umocniła się i przeszła na wszystkich potomków.

– Rozumiem – skinęła głową Evalyth.

– Chyba pojmuje pani, co to znaczy – rzekł Jonafer. – Nie będzie problemu z wykorzeniem tych praktyk. Po prostu powiemy im, że mamy nowy, lepszy, Święty Pokarm i udowodnimy to za pomocą kilku tabletek. Później można będzie zaprowadzić hodowlę zwierząt typu ziemskiego, które dostarczą, czego będzie trzeba. A na koniec nasi genetycy z pewnością naprawią ten uszkodzony chromosom Y.

Dłużej nie był w stanie się hamować. Jego usta otworzyły się, niczym rana przecinająca na wpół widoczną twarz. Rzucił chrapliwie:

– Powiniennem wysławiać panią pod niebiosą za to, że uratowała pani od zagłady cały lud. Nie potrafię. Niech już pani kończy, co pani miała zrobić, dobrze? Evalyth podeszła do Moru, który zadrżał, lecz wytrzymał jej wzrok.

– Nie dał mu pan nic na uspokojenie – stwierdziła zdumiona.

– Nie – powiedział Jonafer. – Nie będę pani ułatwiał. – Splunął.

– To dobrze. – Zwróciła się do Moru w jego języku: – Zabijeś mego męża. Czy będzie słuszne, jeśli ja zabiję ciebie?

– Będzie słuszne – odrzekł, prawie tak samo spokojnie jak ona. – Dziękuję ci, że pozwolono odejść mojej żonie i synom. – Milczał przez krótką chwilę. – Słyszałem, że wasz lud potrafi przechowywać ciało przez wiele lat, tak żeby się nie zepsuło. Będę rad, jeśli zachowasz moje dla swoich synów.

– Im ono nie będzie potrzebne – rzekła Evalyth. – Ani synom twoich synów. W słowach Moru pojawił się niepokój.

– Czy wiesz, czemu zabiłem twego męża? On był dla mnie dobry, był jak bóg. Ale jestem chromy. Nie widziałem innej drogi zdobycia tego, co musieli mieć moi

synowie, i to prędko; inaczej byłoby za późno i nigdy nie staliby się mężczyznami.

– On mnie nauczył – powiedziała – co to znaczy być mężczyzną. – Obróciła się w stronę Jonafera, który stał w napięciu, nie rozumiejąc, o co chodzi. – Dokonałam już zemsty – powiedziała w języku Doniego.

– Co takiego? – pytanie Jonafera zabrzmiało jak echo słów Evalyth.

– Kiedy dowiedziałam się o syndromie dipteroidalnym – rzekła – wystarczyłoby mi tylko zachować to w tajemnicy. Moru, jego dzieci, jego cała rasa pozostałaby zwierzyną łowną przez wieki, może na zawsze. Siedziałam chyba z pół godziny ciesząc się moją zemstą.

– A potem? – spytał kapitan.

– Doznałam satysfakcji i mogłam pomyśleć o sprawiedliwości – odparła Evalyth.

Wydobyła nóż. Moru wyprostował plecy. Stała za nim z tyłu i przecięła mu więzy.

– Wracaj do domu – powiedziała. – I pamiętaj o nim.

Tłumaczył: Wiktor Bukato

Królowa powietrza i mroku

Ostatnia poświata ostatniego zachodu słońca utrzyma się niemal do połowy zimy. Jednak dnia już nie będzie i radość ogarnęła łądy północy. Otworzyły się kielichy kwiatów; barwna jaskrawość na gałęziach cierniowca płomiennego; błękit stalowców, wyrosły z płaszcza broku i deszczorostów kryjącego wzgórze; w dolinach nieśmiała biel niepocałujek. Pomiedzy nimi, na mieniących się kolorami skrzydłach, śmigły trzepotki; jeleń królewski potrząsnął rogami i zaryczał. Niebo między horyzontami pociemniało od purpury do czerni. Księżycy stały już wysoko, oba niemal w pełni, mrozem połyskując na liściach i blaskiem rozpluwając się po wodach. Zrodzone dzięki nim cienie rozmazywały się w świetle zorzy - wielkiej kurtyny jasności, obejmującej połowę niebios.

Na Kurhanie Wolunda, tuż pod wieńczącym go dolmenem, siedzieli chłopiec i dziewczyna. Ich włosy, spływające do połowy pleców, wyblakłe od letniego słońca, jaśniały uderzająco wyraźnymi plamami. Ich ubrane tylko w girlandy ciała, ciągle jeszcze brązowe po lecie, zlewały się z ziemią, krzewami i skałami. On grał na kościanej fujarce, ona śpiewała. Niedawno zostali kochankami. Mieli po jakieś szesnaście lat, ale o tym nie wiedzieli. Uważali się za Zewnętrznych, a więc obojętnych na upływ czasu. Z tego, jak żyli kiedyś w krainach ludzi, nie pamiętali nic albo niewiele.

Nuty z jego fujarki oplatały się wokół jej głosu:

Uwij czar,

Zamknij w nim

Rosę i pył,

Noc i siebie.

Strumyk obok kurhanu, niosący księżycowy blask ku ukrytej wśród wzgórz rzece, odpowiadał im bystrzynami. Stado nietoperzy czarnym cieniem przemknęło pod zorzą.

Przez Obłoczne Błonia podskokami zbliżała się jakaś postać. Miała dwie ręce i dwie nogi, jednak jej stopy były chwytnie, a całe ciało, aż po koniec ogona i szerokich skrzydeł, pokrywały pióra. Jej twarz, na wpół ludzka, była niemal całkowicie wypełniona wielkimi oczyma. Gdyby Ayoch potrafił stanąć prosto, sięgałby chłopcu do ramienia. Dziewczyna wstała.

- Niesie jakiś ciężar - powiedziała. Jej wzrok nie był przystosowany do ciemności tak dobrze, jak wzrok istot urodzonych na północy, nauczyła się jednak korzystać ze wszystkich sygnałów, jakie otrzymywała od swych zmysłów. Pomijając nawet to, że normalnie puk by frunął, w jego śpiesznych ruchach widać było ociężałość.

- I idzie z południa. - Chłopca ogarnęło podniecenie, nagle jak zielony płomień, który przeszedł przez gwiazdozbiór Lyrth. Pognał w dół zboczem kurhanu.

- Ahoj, Ayoch! - zawołał. - Jestem tu. Pasterz Mgły!

- I ja. Cień Snu - dziewczyna zaśmiała się, biegnąc za nim.

Puk zatrzymał się. Jego oddech zagłuszał szmery w zaroślach wokół niego. Z miejsca, w którym stał, uniósł się zapach roztartej yerby.

- Szczęśliwe jest spotkanie u progu zimy - zaświstał. - Pomóżcie mi zanieść go do Carheddin.

Wyciągnął przed siebie to, co niósł. Jego oczy przypominały dwie żółte latarnie. Kształt w jego rękach poruszył się i zakwilił.

- O, dziecko - powiedział Pasterz Mgły.

- Takie samo jak ty kiedyś, synu, takie samo. Co to było za porwanie, ho, ho! - Ayoch nadał się, dumny. - Było ich ze dwudziestu w tym obozie koło Martwego Lasu, wszyscy uzbrojeni, i poza maszynami wartowniczymi mieli jeszcze wielkie, okropne psy, biegające wolno, kiedy spali. Ja jednak nadleciałem z góry - a szpiegowałem ich, aż do chwili kiedy się upewniłem, że garstka pyłu nasennego...

- Biedne maleństwo. - Cień Snu wzięła chłopca na ręce i przytuliła do swych małych piersi. - Wciąż taki zaspany, prawda? - Chłopiec na ślepo poszukał jej sutki. Uśmiechnęła się poprzez welon swych włosów. - Nie, jestem jeszcze zbyt młoda, a ty już za duży. Ale poczekaj, najesz się do syta, gdy się obudzisz w Carheddin pod górą.

- Yo-ah - powiedział Ayoch miękko i cicho. - Ona już wyszła. Słyszała i widziała. Nadchodzi.

Przykucnął, skulił się ze złożonymi skrzydłami. Po chwili ukląkł i Pasterz Mgły też ukląkł, a potem Cień Snu, nie wypuszczając jednak dziecka z rąk.

Wysoka sylwetka przesłoniła księżycę. Przez chwilę Królowa przyglądała się klęczącej trójce i ich łupowi. Dźwięki wzgórz i pól wycofały się z ich świadomości, aż zaczęło im się wydawać, że mogliby usłyszeć, jak syczą światła północy. W końcu Ayoch szepnęła:

- Czy dobrze zrobiłem. Matko Gwiazd?
- Jeżeli ukradłeś dziecko z obozu pełnego maszyn - odpowiedział piękny głos
- to ukradłeś je ludziom z dalekiego południa, którzy mogą nie puścić tego płazem
tak łatwo jak tutejsi.

- Ale co mogą na to poradzić, Sypiąca Śniegiem? - spytał puk. - Jak nas
wyśledzą?

Pasterz Mgły podniósł głowę i powiedział dumnie:

- Poza tym teraz oni również czują przed nami strach.

- To takie słodkie maleństwo - powiedziała Cień Snu. - A my potrzebujemy
więcej takich jak on, prawda, Gwiazdna Pani?

- Któregoś zmierrchu to musiało się zdarzyć - zgodziła się ta, która stała
ponad nimi. - Zabierzcie go i otoczcie opieką. Przez ten znak - zrobiła znak - należy
on do Mieszkańców.

Ich radość została uwolniona. Ayoch wywinął kozła i wylądował pod
trzęsoliściem. Wspiął się na jego pień, potem na gałąź, przysiadł, na wpół ukryty za
zasłoną bladych, niespokojnych liści, i radośnie zapiszczał. Chłopiec i dziewczyna
ponieśli dziecko ku Carheddin, biegnąc długimi, spokojnymi susami, które jemu
pozwalają grać, a jej śpiewać:

Wahali, wahali!

Wayala, lali!

Skrzydło na wietrze

W niebiosach wysoko,

krzycząc i piszcząc

gnaj włócznie deszczu,

we wrzawie się zanurz,

i płyn ku srebrem księżyców posiwiatym drzewom

i cieniom pod nimi, ciężkim od snów.

i zjednocz się, wkołysz w plusk fal na jeziorach,

w których gwiazd światło nurkuje i tonie.

Barbro Cullen weszła i mimo żalu i gniewu, które ją trawiły, zamarła
z osłupienia. W pokoju panował bałagan. Sterty gazet, taśm, szpul, kodeksów,
pudeł na fiszki, zabazgranych papierów piętrzyły się na każdym stole. Niemal

wszystkie półki i zakamarki pokryte były kurzem. Pod jedną ze ścian stał stół laboratoryjny z mikroskopem i sprzętem. Zauważyła; że ten sprzęt był sprawny, choć zaskakujący w biurze. Poza tym wydzieliał delikatny, ale wyraźnie wyczuwalny zapach chemikaliów. Dywan był poprzecierany, meble zniszczone.

Taka miała być jej ostatnia szansa?

Potem nadszedł Eryk Sherrinford.

- Dzień dobry, pani Cullen - powiedział. Jego głos był suchy, uścisk dłoni mocny i pewny. Miał na sobie wypłowiały kombinezon, ale to jej nie przeszkadzało. Nie zdradzała przesadnej dbałości nawet o swój własny wygląd, może poza jakimiś specjalnymi okazjami. (A czy kiedykolwiek będzie jeszcze jakąś miała, jeżeli nie odzyska Jimmiego?) Natomiast niczym kot przestrzegła czystości osobistej.

Z kurzych łapek w kącikach jego oczu promieniował uśmiech.

- Proszę wybaczyć mi kawalerski styl gospodarzenia. Na Beowulfie mamy, a w każdym razie mieliśmy, specjalne maszyny, więc nie zdołałem nabrać odpowiednich przyzwyczajęń. A nie chcę nikogo wynajmować, żeby mi przedstawiał sprzęt. Wygodniej pracować poza domem, niż dbać o oddzielne biuro. Nie usiądzie pani?

- Nie, dziękuję. Nie mogłabym - mruknęła.

- Rozumiem. Jednak jeśli pani pozwoli, ja najlepiej funkcjonuję w pozycji sprzyjającej relaksowi.

Opadł na fotel, zgiąwszy się jak scyzoryk. Jedną z długich nóg przerzucił przez kolano drugiej. Wyjął fajkę i nabił ją tytoniem z kapciucha. Barbro zdziwiła się, że Sherrinford pali tytoń w tak przestarzały sposób. Gdzie jak gdzie, ale na Beowulfie powinni mieć nowoczesne urządzenia, na jakie na Rolandzie jeszcze nie mogli sobie pozwolić. No cóż, stare zwyczaje mogły oczywiście przetrwać. Jak pamiętała z lektury, w koloniach było to nagminne. Ludzie ruszyli ku gwiazdom w nadziei zachowania tak niemodnych rzeczy jak ojczysty język, rządy konstytucyjne czy racjonalna cywilizacja techniczna...

Sherrinford wyrwał ją ze zmęczonego zmęczeniu, bezładnego zamyślenia.

- Musi mi pani przedstawić szczegóły swojej sprawy, pani Cullen. Powiedziała mi pani tylko tyle, że pani syn został porwany, a wasza miejscowa policja nie w tej sprawie nie zrobiła. Poza tym znam tylko kilka najbardziej oczywistych faktów, takich jak to, że jest pani wdową, a nie rozwódką, że jest pani córką pionierów z Ziemi Olgi Ivanoff, utrzymujących jednak ścisłą więź telekomunikacyjną z Przystanią Bożego Narodzenia, że otrzymała pani

wykształcenie w jednej z dyscyplin biologicznych i że miała pani kilkuletnią przerwę w podjętej ponownie dopiero ostatnio pracy w terenie.

Wpatrywała się ze zdumieniem w jego twarz, w wystające kości policzkowe, orli nos, szare oczy, czarne włosy. Zapalniczka zrobiła „skrrt” i rozbłysła płomieniem, który zdał się wypełniać cały pokój. Na tej wysokości ponad miastem panowała cisza, przez okna sączył się zimowy półmrok.

- Skąd, na kosmos, pan to wie? - usłyszała swoje pytanie.

Wzruszył ramionami.

- Moja praca - powiedział, przybierając pozę, z której był znany, pozę wykładowcy podczas odczytu - polega na dostrzeganiu i kojarzeniu szczegółów. W ciągu tych stu lat ludzie na Rolandzie, przy ich tendencji do łączenia się w grupy zgodnie z pochodzeniem i nawykami kulturowymi, wykształcili regionalne różnice akcentów. U pani słyhać ślady olgańskiej gardłowej wymowy spółgłoski „r”, ale samogłoski wymawia pani nosowo, w sposób charakterystyczny dla tutejszego regionu. Mimo że mieszka pani w Portolondonie. To sugeruje, że w dzieciństwie miała pani stałą styczność z wymową stołeczną. Wspomniała mi pani, że była członkiem ekspedycji Matsuyamy i że zabrała pani ze sobą swego synka. Zwykłemu technikowi nie pozwolono by na to, a więc pani musiała być na tyle cenna, że przymknięto oczy na dziecko. Ekspedycja prowadziła badania ekologiczne, stąd wniosek, że jest pani związana z naukami przyrodniczymi. Z tego samego wnoszę, że musiała pani mieć wcześniejsze doświadczenie w pracy w terenie. Jednak pani skóra jest jasna, nie nosi śladów ogorzałości, której się nabiera podczas długotrwałego przebywania w promieniach tego słońca. Musiała więc pani dość długi okres przed wyruszeniem na tę nieszczęsną wyprawę spędzić głównie pod dachem. A co do wdowieństwa - nie wspomniała pani ani razu o swym mężu, a przecież miała pani mężczyznę, którego do dzisiaj ceni pani na tyle, by nosić zarówno obrączkę, jak i pierścionek zaręczynowy.

Jej oczy zaszły mgłą i zapiekły. Ostatnie słowa znów przywołały obraz Tima - ogromnego, łagodnego, wiecznie uśmiechniętego. Musi odwrócić wzrok od tego człowieka, spojrzeć w okno.

- Tak, ma pan rację - zdołała powiedzieć.

Mieszkanie znajdowało się na szczycie wzgórza, wznoszącego się nad Przystanią Bożego Narodzenia. Poniżej opadało miasto, ścianami, dachami, archaicznymi kominami, jaśniejącymi światłem lamp ulicami, rozjarzonymi ślepiami pojazdów, coraz niżej, aż do portu, po łuk Zatoki Śmiałków i statki,

płynące do i z Wysp Podślonecznych oraz dalszych regionów błyszczącego jak rtęć w poświacie znad zachodniego horyzontu Oceanu Północnego. Stojący w pełni Olivier wznosił się szybko - cętkowana pomarańczowa tarcza. Blżej zenitu, którego nigdy nie osiągnie, będzie promieniował barwą lodu. Alde, z pozoru dwukrotnie większy niż w rzeczywistości, był cienkim sierpem, wiszącym tuż przy Syriuszu, który z kolei, jak pamiętała, znajdował się blisko Ziemi. Ale Ziemi nie można zobaczyć bez teleskopu...

- Tak - powiedziała poprzez dławiący gardło ból - mój mąż nie żyje już od czterech lat. Nosłam nasze pierwsze dziecko, gdy zabił go uciekający na oślepie monocerus. Wzięliśmy ślub trzy lata wcześniej. Spotkaliśmy się, gdy oboje przebywaliśmy na uniwersytecie - wie pan, transmisje z centrum szkolnego mogą zapewnić tylko elementarne wykształcenie... Stworzyliśmy własny zespół, przeprowadzający zleczone badania ekologiczne... określanie, czy jakiś obszar może zostać zasiedlony przy utrzymaniu równowagi środowiska naturalnego, jakie zboża się tam udadzą, jakie wiążą się z tym niebezpieczeństwa... tego typu zagadnienia. No i tak... Potem wykonywałam prace laboratoryjne dla spółdzielni rybackiej w Portolondonie, Ale ta monotonia, to zamknięcie... to mnie wykańczało. Profesor Matsuyama zaproponował mi miejsce w zespole organizowanym dla zbadania Ziemi Komisarza Hauncha. Myślałam, niech mi Bóg wybaczy, myślałam, że Jimmy... Gdy testy wykazały, że to będzie chłopiec, Tim zdecydował, że damy mu na imię James, po dziadku i dlatego, że „Timmy i Jimmy” to się rymuje... no więc myślałam, że Jimmy będzie bezpieczny, że mogę go spokojnie zabrać ze sobą. Nie mogłam znieść myśli, że miałabym zostawić go na kilka miesięcy, nie w jego wieku. Miałam pewność, że ani na chwilę nie wyjdzie z obozu. A co mogło mu się stać w obozie? Nigdy nie wierzyłam w te historie o Zewnętrznych, którzy kradną ludzkie dzieci. Uważałam, że rodzice starają się w ten sposób usprawiedliwić własną lekkomyślność, to, że pozwolili dziecku zgubić się w lesie lub że go nie uchronili przed atakiem sfory szatanów czy... no cóż, przekonałam się, że nie miałam racji, panie Sherrinford. Roboty wartownicze ominięto, psy zostały uspięte, a gdy się zbudziłam, Jimmiego już nie było.

Przyglądał jej się przez obłok dymu z fajki. Barbro Engdahl Cullen miała około trzydziestu lat (rolandyjskich, dodał w myślach, czyli dziewięćdziesiąt pięć procent analogicznej liczby lat ziemskich, nie to co lata na Beowulfie). Była dużą, postawną kobietą, szeroką w ramionach, długonogą, o pełnych piersiach. Poruszała się lekkim, sprężystym krokiem. Miała szeroką twarz o prostym nosie,

orzechowych, śmiało patrzących oczach i może zbyt wydatnych, ale ruchliwych i pełnych wyrazu ustach. Jej rudobrzazowe włosy przycięte były tuż poniżej uszu. Miała na sobie proste, codzienne ubranie. Chcąc uspokoić nerwowe ruchy jej palców spytał ironicznie:

- Ale teraz już pani wierzy w Zewnętrznych?

- Nie. Chociaż nie jestem tego tak pewna jak przedtem. - Odwróciła się, spoglądając na niego z ukosa. - Poza tym znaleźliśmy ślady.

- Okruchy skamielin - skinał głową. - Kilka znalezisk typu neolitycznego. Jednak wszystkie bardzo stare, jakby ich twórcy zmarli wieki temu. Nawet dokładne poszukiwania nie zdołały dostarczyć żadnego niepodważalnego dowodu na to, że przetrwali.

- Jak dokładne mogą być poszukiwania w tej latem sieczzonej burzami, a zimą ciemnej i ponurej dziczy wokół Bieguna Północnego? - spytała wyzywająco. - Gdy jest nas - ile? - milion ludzi na całej planecie, z czego połowa stłoczona w tym mieście?

- A reszta na jedynym zamieszkanym kontynencie - odpowiedział.

- Arktyka zajmuje pięć milionów kilometrów - rzuciła - z czego właściwa Strefa Arktyczna aż jedną czwartą. Nie mamy dostatecznej bazy przemysłowej, żeby umieścić tam satelity obserwacyjne, zbudować samoloty, na których można by w tamtych regionach polegać, przeprowadzić przez te przekłete pustkowia drogi i założyć stałe bazy. Żeby je poznać i ujarzmić. Boże, całe pokolenia samotnych pionierów opowiadały historie o Szarowłosym i aż do zeszłego roku nie widział tego zwierzęcia żaden naukowiec!

- Mimo tego pani ciągle nie wierzy w realność Zewnętrznych?

- A może to jakiś tajemny kult wśród ludzi, zrodzony z odosobnienia i ignorancji? Jego wyznawcy kryją się gdzieś w dziczy, gdzie mogą kraść dzieci dla jakichś... - przełknęła ślinę. Opuściła bezsilnie głowę. - Ale to pan jest uważany za eksperta.

- Z tego, co mi pani powiedziała przez wizjofon, wynikało, że policja portolondońska kwestionuje dokładność złożonego przez waszą grupę raportu. Uważa, że większość z was uległa hysterii, że po prostu nie zachowaliście odpowiednich środków ostrożności i dzieciak sobie gdzieś potupał tak, że nie mogliście go odnaleźć.

Beznamiętność tych słów uwolniła ją od przerażenia.

Jak dziecko pierwszego lepszego osadnika? - powiedziała gwałtownie, nagle zarumieniona. - Nie. Ja nie siadłam, żeby wyć z rozpaczyny. Skomunikowałam się z archiwum. Nieco za dużo tego typu wydarzeń jest zarejestrowanych, żeby nieszczęśliwy wypadek był w pełni zadowalającym wytłumaczeniem. A czy mamy zupełnie ignorować te pełne strachu opowieści o powrotach? Gdy jednak wróciłam na policję z faktami, po prostu mnie splawili. Podejrzewam, że zrobili tak nie tylko dlatego, że mają niedobory personelu. Myślę, że oni również się boją. Przecież rekrutują się głównie ze wsi, a Portolondon leży tuż przy skraju nieznanego. Uszła z niej cała energia.

- Roland nie ma żadnych centralnych sił policyjnych - zakończyła bezbarwnym głosem. - Pan jest moją ostatnią nadzieją.

Mężczyzna dmuchnął dymem w ciemność zmierzchu, potem, głosem już łagodniejszym, powiedział:

- Proszę za bardzo nie podsycać w sobie tej nadziei, pani Cullen. Jestem jedynym prywatnym detektywem na tej planecie, bez żadnego zaplecza i zasobów poza sobą samym i na dodatek przybyłem tu niedawno.

- To znaczy kiedy, jak długo pan tu jest?

- Dwanaście lat. Czas ledwo wystarczający na pobieżne zapoznanie się ze względnie cywilizowanym wybrzeżem. A interior Arktyki... Co wy - nawet wy - osadnicy sprzed wieku lub z jeszcze dawniejszych czasów o nim wiecie? - Westchnął. - Wezmę tę sprawę, licząc nie więcej, niż będę musiał, głównie ze względu na doświadczenie, jakie mi ona przyniesie. Ale pod warunkiem, że pani będzie moim przewodnikiem i asystentem. Bez względu na ból, jaki to może pani sprawić.

- Oczywiście! Nie znoszę bezczynnego oczekiwania. Ale dlaczego ja?

- Wynajęcie tutaj, na dziewiczej, dopiero zasiedlanej planecie, gdzie każda para rąk ma tysiąc pilnych zadań do wykonania, kogoś innego o równie wysokich kwalifikacjach, niepomrotnie podniosłoby koszty. Poza tym pani ma motywację. A ja jej potrzebuję. Jako ktoś urodzony w innym świecie, zupełnie różnym od tego tutaj, z kolei zupełnie różnego od Matki Ziemi, zbyt dobrze zdaję sobie sprawę, jak małe mamy szanse.

Nad Przystanią Bożego Narodzenia gęstniała noc. Powietrze ciągle było łagodne, jednak snujące się po ulicach macki mgły, podświetlane migotliwie, miały w sobie coś mroźnego, a jeszcze mroźniejsza była drżąca między księżycami zorza.

W ciemniejącym pokoju kobieta przysunęła się bliżej do mężczyzny, z pewnością nie zdając sobie z tego sprawy, aż do chwili, gdy on włączył światło. Dzielili tę samą wiedzę o samotności Rolanda.

Dla galaktyki, dla galaktycznych przestrzeni jeden rok świetlny to nie jest dużo. Można by go przejść na piechotę, w około 270 milionów lat, wyruszywszy wtedy, gdy dinozaury należały jeszcze do odległej przyszłości, gdzieś w środku Permu, i idąc aż po dzień dzisiejszy, gdy statki kosmiczne przemierzają nawet bardziej rozległe przestrzenie. Jednak w naszym sąsiedztwie gwiazdy oddalone są od siebie średnio o dziewięć lat świetlnych i zaledwie jeden procent z nich, lub nawet mniej, ma planety, na których mógłby zamieszkać człowiek. A prędkości statków są ograniczone, mniejsze od tych, z którymi poruszają się promienie. Pewną, niewielką pomocą służy relatywistyczne spowolnienie czasu oraz zawieszenie czynności życiowych podczas podróży. Sprawia to, że wydają się one krótkie, jednak poza statkiem historia nie wstrzymuje swego biegu.

Dlatego też wędrówki między gwiazdami zawsze będą należały do rzadkości. Kolonistami będą tylko ci, którzy mają naprawdę ważne, ostateczne przyczyny, by wyjechać. Będą zabierali ze sobą plazmę zarodkową dla egzogenicznych hodowli roślin i zwierząt domowych - a także ludzkich dzieci - by przez szybki przyrost populacji uniknąć wymierania kolonii wskutek zmian genetycznych. Przecież nie będą mogli liczyć na napływ nowych imigrantów. Dwa lub trzy razy w ciągu stulecia zjawi się statek z jakiejś innej kolonii. (Nie z Ziemi, Ziemia już dawno stała się obcym światem.) Przyleci z którejś z dawniej zasiedlonych planet. Nowe osady nie są w stanie budować i obsadzać załogą statków kosmicznych.

Samo przetrwanie tych osad jest wątpliwe, nie tylko ich ewentualny rozwój techniczny. We wszechświecie, niespecjalnie zaprojektowanym dla człowieka, założyciele kolonii muszą przyjmować to, co jest im dane.

Na przykład Roland. Jest to jedno z tych jakże rzadkich szczęśliwych znalezisk - planeta, na której ludzie mogą żyć, oddychać, jeść miejscową żywność, pić wodę, chodzić bez ubrania, jeśli taka ich wola, siać swoje zboża, wypasać zwierzęta, ryć kopalnie, wznosić domy, wychowywać dzieci i wnuki. Warto było przemierzyć trzy czwarte świetlnego stulecia, by zachować pewne drogie sercu wartości i zapaść nowe korzenie w glebę Rolanda.

Jednak Gwiazda Karola Wielkiego jest typu F9, czterdzieści procent jaśniejsza niż Sol - jeszcze intensywniej promieniuje w zdradzieckim ultrafiolecie i smaga jeszcze dzikszymi wiatrami naładowanych cząsteczek. Również orbita

planety jest ekscentryczna. W środku krótkiego, lecz prawdziwie okrutnego północnego lata, podczas przejścia przez periastron, suma nasłonecznienia dwukrotnie przewyższa tę, którą otrzymuje Ziemia. A w głębi długiej, północnej zimy jest niewiele niższa niż ziemską średnią.

Miejscowe życie płeni się wszędzie, bardzo obficie. Jednak człowiek, nie mając skomplikowanych urządzeń, ekonomicznie niezdolny do ich konstrukcji na skalę większą niż jednostkowa, może wytrzymać tylko w pasach o dużych szerokościach geograficznych. Dziesięciostopniowe nachylenie osi wraz z nietypową orbitą sprawiają, że północne części Arktyki przez połowę swego roku są całkowicie pozbawione światła słonecznego. Wokół południowego bieguna rozciąga się pusty ocean.

Na pierwszy rzut oka ważniejsze mogą się wydawać inne różnice między Rolandem a Ziemią. Roland ma dwa księżyce, niewielkie, ale bliskie, które wywołują ścierające się ze sobą pływy. Obraca się on wokół osi w ciągu trzydziestu dwóch godzin, co subtelnie, lecz bezustannie zakłóca funkcjonowanie organizmów wykształconych przez gigalata szybszego rytmu. Układy pogodowe są całkowicie nieterrańskie. Planeta ma zaledwie 9500 kilometrów średnicy, grawitacja na jej powierzchni wynosi 0.42×980 cm/s², ciśnienie na poziomie morza lekko przekracza jedną atmosferę. (Ziemia jest w rzeczywistości wybrykiem natury i człowiek istnieje tylko dzięki temu, że kosmiczna katastrofa zdmuchnęła z niej większość gazu, który powinien być zatrzymany przez ciało tej wielkości - tak jak w przypadku Wenus).

Homo może być szczerze nazwany sapiens tylko wtedy, gdy praktykuje swą specjalność bycia niewyspecjalizowanym. Jego ciągle ponawiane próby zamrożenia się we wszechobjaśniających wzorcach, kulturach, ideologiach, czy jakkolwiek to nazywał, powodowały ponawiające się katastrofy. Postawiony przed praktycznym, konkretnym zadaniem przeżycia, zwykle radzi sobie całkiem nieźle. Przystosowuje się, w pewnych granicach, dość zresztą szerokich.

Te granice są ustalone przez takie czynniki jak potrzeba światła słonecznego, jak to, że człowiek jest, nieodwołalnie i ostatecznie, częścią życia, które go otacza, i że jest istotą, która ma duszę.

Portolondon pchał się przystaniami, łodziami, maszynerią, składami do Zatoki Polaris. Z tyłu, za tym wszystkim, tłoczyły się domy jego 5000 stałych mieszkańców: betonowe mury, przeciwsztormowe okiennice, spiczaste, kryte

plytami dachy. Ich różnorakie barwy beznadziejnie ginęły w świetle lamp - to miasto leżało za Kręgiem Polarnym.

Mimo tego Sherrinford powiedział:

- Wesole miejsce, co? Właśnie czegoś takiego szukałem przyjeżdżając na Rolanda.

Barbro nie odpowiedziała. Te dni spędzone w Przystani Bożego Narodzenia, kiedy on prowadził swoje przygotowania, wyraźnie ją wyczerpały. Gapiała się przez kopułę taksówki, mknącej z nimi ku śródmieściu od strony drogi wodnej, która ich tu przywiodła. Przypuszczała, że Sherrinford miał na myśli bujność lasów i łąk wzdłuż szosy, jaskrawe barwy i fosforescencję kwiatów w ogrodach, trzepot skrzydeł nad głowami. W odróżnieniu od ziemskiej flory ze stref zimnych roślinność Arktyki spędzała każdą rozjaśnioną dniem godzinę na gwałtownym rozrastaniu się i gromadzeniu energii. Zakwitnie i zaowocuje dopiero wtedy, gdy letnia gorączka ustąpi miejsca łagodnej zimie, a przespiające lato zwierzęta wyjdą ze swych nor i wędrowne ptaki wrócą do domu.

Musiała przyznać, że widok był wspaniały: za drzewami rozległość wznosząca się ku dalekim wzgórzom, srebrnoszara w świetle księżyca, i zorza - rozproszone światło słońca, kryjącego się tuż poniżej horyzontu.

Wspaniale jak polujący szatan - pomyślała - i równie przerażające. Ta dziewczyna ukradła Jimmiego. Zastanawiała się, czy będzie jej dane odnaleźć przynajmniej kości, by zanieść je ojcu dziecka.

Nagle zdała sobie sprawę, że ona i Sherrinford dotarli do hotelu i że on mówił o mieście. Ponieważ było ono drugie pod względem wielkości po stolicy, już przedtem musiał często tu bywać. Ulice były hałaśliwe i pełne ludzi, neony migotały, muzyka buchała ze sklepów, barów, restauracji, centrów sportowych, sal tanecznych; stłoczone samochody płynęły wolno jak melasa; kilkupiętrowe biurowce płonęły światłami. Portolondon był ogniwem łączącym ogromne obszary w głębi kontynentu ze światem zewnętrznym. Rzeką Glorii spływały tratwy ze zgrubszą obrobionym drewnem; barki z rudą i z plonami farm, których właściciele powoli zmuszali rolandyjską przyrodę, by im służyła; z mięsem, kośćmi i futrami, zebranymi przez myśliwych w górach za Urwiskiem Trolli. Od strony morza napływały przybrzeżne frachtowce, rybackie floty, produkty z Wysp Podświetlnych, łupy z całych kontynentów, leżących dalej na południu, gdzie różni śmiałkowie szukali przygód. Przybywający z tym wszystkim ludzie chcieli się wyszumieć w Portolondonie, śmiali się, rozrabiali, zmawiali, rabowali, wygłaszali

kazania, chlali, puszczała pieniądze, harowali, marzyli, pożądała, budowali, niszczyli, umierali, rodziła się, byli szczęśliwi, gniewni, smutni, zachłanni, wulgarni, kochający, ambitni, ludzcy. Ani blask słońca gdzie indziej, ani półroczny zmierzch tutaj - głęboka noc w środku zimy - nie były w stanie ich powstrzymać.

Przynajmniej tak wszyscy twierdzili.

Wszyscy z wyjątkiem tych, którzy osiedli w strefie ciemności. Barbro przyjmowała za rzecz naturalną, że hołdują oni dziwnym obyczajom, tworzą legendy i ulegają przesądom - umrą one, gdy bezdroża zostaną całkowicie skartografowane i poskromione. Ostatnio jednak zaczynała w to wątpić. Być może przyczyniła się do tego wzmianki Sherrinforda o zmianie jego własnych poglądów, spowodowanej wynikami wstępnych badań.

A może po prostu potrzebowała tematu do rozmyślań. Innego niż ten, jak Jimmy, na dzień przed swym zniknięciem, gdy go spytała, czy woli kanapkę z żytniego czy z francuskiego chleba, z wielką powagą odpowiedział: „Zjem kromkę tego, co my, ludzie, nazywamy F-chlebem”; ostatnio zaczął interesować się alfabetem.

Prawie nie zauważyła momentu wyjścia z taksówki, meldowania się w hotelu i drogi do skąpo umeblowanego pokoju. Jednak gdy się rozpakowała, przypomniała sobie, że Sherrinford zaproponował poufną rozmowę. Przeszła przez korytarz i zapukała do jego drzwi. Jej palce stukały ciszej niż serce.

Otworzył drzwi i z palcem na ustach poprowadził ją w róg pokoju. Zjeżyła się wewnątrz, lecz po chwili na ekranie wizjofonu zobaczyła twarz komisarza Dawsona. Sherrinford najwyraźniej do niego dzwonił i miał zapewne powód, żeby trzymać ją poza zasięgiem kamery. Znalazła sobie krzesło i przyglądała się, wbijając paznokcie w kolana.

Długa postać detektywa ponownie zgięta się w fotelu.

- Przepraszam za tę przerwę - powiedział. - Jakichś facet pomylił numery. Pijany, sądząc po oznakach.

Dawson zachichotał.

- Mamy ich tu sporo.

Barbro przypomniała sobie, że komisarz jest zamilowanym gadułą. Poglądził brodę - był do niej tak przywiązany, jakby był pionierem, a nie mieszkańcem miasta.

- Zwykle są niegroźni, po prostu naładowani po tygodniach czy miesiącach spędzonych na pustkowiu, i muszą się rozładować.

- Stwierdziłem, że to otoczenie - Sherrinford ubił tytoń w fajce - różniące się milionem mniej czy bardziej ważnych szczegółów od tego, które stworzyło ludzi - że to otoczenie wyczynia dziwne rzeczy z ludzką osobowością. Oczywiście wie pan, że moja praca ogranicza się do miast i regionów podmiejskich. Odizolowane, odległe osady rzadko potrzebują prywatnych detektywów. Jednak teraz ta sytuacja wydaje się ulegać zmianie. Zadzwońłem do pana, by prosić o radę.

- Pomogę z przyjemnością - powiedział Dawson. - Nie zapomniałem, co pan dla nas zrobił w sprawie morderstwa de Tahoe. - I ostrożniej: - Jednak niech pan najpierw wyłoży swój problem.

Sherrinford zapalił fajkę. Zapach tytoniu przebił się przez aromaty zieleni, które - nawet tutaj, parę wyasfaltowanych kilometrów od najbliższego lasu - przepływały ponad ulicznym zgiełkiem i wdzierały się przez przyciemnione zmierzchem okno.

- To raczej misja naukowa niż poszukiwanie ukrywającego się dłużnika czy szpiega przemysłowego - powiedział przeciągając słowa. - Stoję w obliczu dwóch możliwości: albo od dawna działa, kradnąc niemowlęta, jakaś organizacja kryminalna, religijna czy jakakolwiek inna lub też, to druga możliwość. Zewnętrzni z ludowych opowieści to rzeczywistość.

- Co? - Barbro zauważyła, że na twarzy Dawsona maluje się w równym stopniu przerażenie co zaskoczenie. - Chyba nie mówi pan tego poważnie?

- Dlaczego? - Sherrinford uśmiechnął się. - Nie można odrzucać ot tak sobie doniesień gromadzonych przez kilka pokoleń. Tym bardziej że ich ilość i wzajemna zgodność wcale nie maleją z biegiem czasu, wręcz przeciwnie - rosną. Nie możemy także ignorować udokumentowanych zaginięć niemowląt i małych dzieci; liczba takich przypadków przewyższa sto, a nigdy nie odnaleziono najmniejszego śladu porwanych. Nie możemy lekceważyć znalezisk, które dowodzą, że Arktykę zamieszkiwały niegdyś inteligentne stworzenia, być może ciągle nawiedzające interior.

Dawson wychylił się, jakby chciał wyjść z ekranu.

- Kto pana wynajął? Ta kobieta, Cullen? Bardzo jej współczujemy, oczywiście, ale w tym, co mówiła, nie było zbyt wiele sensu. A kiedy zaczęła nas jawnie obrażać...

- Czy jej koledzy, poważani naukowcy, nie potwierdzili jej słów?

- Nie było co potwierdzać. Proszę pana, ich obóz był otoczony różnymi detektorami i urządzeniami alarmowymi, a poza tym trzymali dogi. To normalne

w okolicy, w której może się przyplątać jakiś głodny sauroid czy cokolwiek. Nic nie mogło się tam dostać niepostrzeżenie.

- To z ziemi. A co z zagrożeniem z powietrza?

- Człowiek z wirolotem na plecach postawiłby na nogi cały obóz.

- Coś, co ma własne skrzydła, mogło być cichsze.

- Latające stworzenie, które potrafiłoby unieść trzyletnie dziecko? Nic takiego nie istnieje.

- Ma pan na myśli, komisarzu, że nie zostało opisane w literaturze naukowej. Niech pan sobie przypomni Szarowłosego. Niech pan pamięta o tym, jak mało wiemy o Rolandzie, o planecie, o całym tym świecie. Na Beowulfie takie ptaki istnieją, i na Rustum, jak czytałem, też. Przeprowadziłem obliczenia, oparte na tutejszym stosunku gęstości powietrza do grawitacji i, tak, również tutaj jest to w pewnym stopniu możliwe. To stworzenie mogło nieść dziecko w powietrzu przez krótki czas, zanim mięśnie skrzydeł mu się zmęczyły i musiało wylądować.

Dawson prychnął.

- Najpierw wylądowało i weszło do namiotu, w którym spali chłopiec i jego matka. Potem uniosło dziecko, a kiedy już nie mogło lecieć, poszło na piechotę. Czy tak zachowują się dzikie ptaki? A ofiara nie krzyczała, psy nie szczekały?

- W gruncie rzeczy - powiedział Sherrinford - te nielogiczności są najbardziej interesującymi i przekonywającymi aspektami całej tej sprawy. Ma pan rację, trudno sobie wyobrazić, żeby mógł się tam niepostrzeżenie dostać kidnaper - człowiek, a z drugiej strony stworzenie typu orla nie działałoby w taki sposób. Jednak żadne z tych zastrzeżeń nie odnosi się do obdarzonej skrzydłami istoty inteligentnej. Chłopcu mógł zostać podany środek nasenny. A psy niewątpliwie wyglądały tak, jakby dostały coś podobnego.

- Psy wyglądały tak, jakby zasnęły. Nic im w tym nie przeszkodziło. Nie przeszkodziłby im właśnie wałęsający się chłopiec. Nie musimy tutaj snuć żadnych przypuszczeń, poza tymi, że po pierwsze chłopiec obudził się i zniecierpliwiał bezczynnością, a po drugie, że urządzenia alarmowe zostały zamontowane nieco bezmyślnie i pozwoliły mu przekroczyć granicę obozu. Świadczy to o tym, do jakiego stopnia nie oczekiwano niebezpieczeństwa od wewnątrz. Wreszcie po trzecie, chociaż naprawdę przykro mi to mówić, musimy założyć, że biedny brzdąc umarł z głodu lub został zabity.

Dawson chwilę milczał, potem dodał:

- Gdybyśmy mieli więcej ludzi, moglibyśmy poświęcić tej sprawie więcej czasu, i oczywiście zrobilibyśmy to. Dokonaliśmy zwiadu powietrznego, ryzykując życie naszych pilotów. Użyliśmy przy tym instrumentów, które wykryłyby dzieciaka w promieniu pięćdziesięciu kilometrów. Chyba że był martwy. Wie pan, jak czułe są analizatory termiczne. Rezultaty były zerowe. A mamy ważniejsze zadania niż poszukiwanie rozrzuconych szczątków jego ciała. Jeżeli to pani Cullen pana wynajęła - zakończył obcesowo - radzę panu znaleźć wymówkę, by się z tego wycofać. Tak będzie lepiej również i dla niej. Musi zacząć liczyć się z rzeczywistością.

Barbro zdusiła okrzyk, gryząc się w język.

- Ale to jedynie ostatnie z całej serii zniknięć - powiedział Sherrinford. Nie potrafiła zrozumieć, jak mógł mówić tak swobodnym tonem, podczas gdy Jimmy był nie wiadomo gdzie.

- Zostało dokładniej opisane niż wszystkie poprzednie - kontynuował - przez to bardziej działa na wyobraźnię. Zwykle rodzina pionierów składała pełne rozpacz, lecz mało dokładne doniesienie o swym zaginionym dziecku, które, jak utrzymywali, na pewno zostało porwane przez Dawny Lud. Czasami, w wiele lat później, opowiadali o tym, że je widzieli. Przysięgali, że to było ich zaginione dziecko, wyrosnięte, nie całkiem już ludzkie; przysięgali, że widzieli, jak przemyka w ciemnościach, zerka przez okno lub płata im psoty. Utrzymuje pan, że ani władze, ani naukowcy nie mają dostatecznego personelu czy środków, żeby przeprowadzić odpowiednie dochodzenie. Ja jednak twierdzę, że te sprawy są warte wyjaśnienia, i być może prywatna osoba, jak ja, może się do tego przyczynić.

- Niech pan posłucha, większość z nas, policjantów, wychowała się na bezdrożach. Jeździmy tam nie tylko na patrole i do wypadków, ale również na urlopy i święta rodzinne. Jeżeli gdzieś w okolicy byłaby... jakaś banda porywaczy ludzi, wiedzielibyśmy o tym.

- Zgoda. Ale wiem również, że wśród ludzi, z których się wywodzicie, utrzymuje się głęboko zakorzeniona i bardzo rozpowszechniona wiara w istnienie pozaludzkich istot o nadnaturalnych zdolnościach. Wielu odprawia rytualne modły i składa ofiary, żeby te istoty sobie zjednać.

- Wiem, do czego pan zmierza - powiedział Dawson drwiąco. - Słyszałem to niejednokrotnie, od stu różnych łowców sensacji. Aborygeni to Zewnętrzni. Miałem o panu lepsze mniemanie. Na pewno był pan w paru muzeach, na pewno naczytał

się pan literatury na temat światów, na których istnieją tubylcy - do diabła ciężkiego, czy nigdy nie posługiwał się pan tą swoją logiką?!

Wyciągnął oskarżający palec.

- Niech pan pomyśli - powiedział. - Co myśmy właściwie znaleźli? Kilka kawałków obrobionego kamienia; kilka megalitów, które ewentualnie mogą być sztuczne; zadrapania na skałach, które wydają się przedstawiać zwierzęta i rośliny, choć nie w ten sposób, w jaki przedstawiałyby je jakakolwiek istota ludzka; ślady ognisk i połamane kości; inne fragmenty kostne, które mogą być szczątkami istot myślących, być może pochodzącymi z chwytnych palców lub z czaszek chroniących duże mózgi. Jeśli nawet tak, to właściciele tych kości byli zupełnie niepodobni do człowieka. Lub do aniołów, jeśli już o to chodzi. Zupełnie! Najbardziej antropoidalna z oglądanych przeze mnie rekonstrukcji przedstawiała rodzaj dwunożnego krokodyla.

Chwileczkę, niech mi pan pozwoli skończyć. Kiedy byłem dzieckiem, wierzyłem w te historie o Zewnętrznych. Słyszałem ich całą masę. Opowieści mówiące o tym, że istnieją inne istoty, niektóre skrzydlate, inne nie, niektóre na wpół ludzkie, inne wyglądają zupełnie jak my, może są tylko zbyt przystojne na ludzi. To wciąż i od nowa to samo - kraina baśni ze starej Ziemi. Czyż nie? Kiedyś się tym zainteresowałem i pogrzebałem w mikrofilmach Biblioteki Dziedzictwa, i niech mnie wszyscy diabli, jeżeli nie znalazłem niemal identycznych bajdurzeń, powtarzanych przez chłopców całe wieki przed lotami kosmicznymi.

Nic z tego nie pasuje ani do tych nielicznych reliktyw, jakie mamy, jeżeli są to relikty, ani do prawdy głoszącej, że ład wielkości Arktiki nie może wydać na świat tuzina różnych inteligentnych gatunków, ani wreszcie... do diabła, człowieku, ani do zdrowego rozsądku, który podpowiada, jak powinni zachować się tubylcy, gdy nadlecieli tu ludzie!

Sherrinford skinął głową.

- Tak, oczywiście - powiedział. - Nie jestem jednak tak głęboko jak pan przekonany o tym, że zdrowy rozsądek istot niehumanoidalnych jest taki sam jak nasz. Widziałem zbyt wiele różnic nawet w ramach naszego gatunku. Ale, jasne, pańskie argumenty są bardzo mocne. Tych niewielu znajdujących się na Rolandzie naukowców ma pilniejsze zadania niż tropienie źródeł czegoś, co stanowi, jak pan to ujął, ożywienie średniowiecznych przesądów.

Wziął w obie dłonie główkę fajki i zajrzał do jej maleńkiego wnętrza.

- Być może najbardziej dla mnie interesujące - powiedział miękko - jest to, dlaczego poprzez otchłań wieków, poprzez barierę cywilizacji technicznej z jej zupełnie odmiennym spojrzeniem na świat i całkowitym odcięciem się od tradycji - dlaczego tutejsi twardogłowi, technicznie zorganizowani, dość dobrze wykształceni koloniści wskrzesili z grobu wiarę w Dawny Lud?

- Sądzę, że w końcu - jeżeli uniwersytet wreszcie powoła katedrę psychologii, o której tyle mówią - że ktoś w końcu zajmie się opracowaniem odpowiedzi na pańskie pytanie - powiedział Dawson nieco załamującym się głosem i przełknął głośno, gdy Sherrinford odpowiedział:

- Proponuję zacząć od razu. Na Ziemi Komisarza Hauncha, gdyż właśnie tam zdarzył się ostatni incydent. Gdzie mógłbym wynająć jakiś pojazd?

- Hmm, to może być dość trudne...

- Dobrze, dobrze... Być może jestem żółtodziobem w tym świecie, jednak swoje wiem. W społecznościach niezbyt zasobnych w dobra zwykle nieliczni mają ciężki ekwipunek. Ale ponieważ jest on niezbędny, zawsze można go wynająć. Potrzebny mi jest wóz kempingowy z silnikiem poduszkowym, dobry na każdy rodzaj terenu, i chcę również, aby zostało w nim zamontowane przywiezione przeze mnie wyposażenie. Górna część osłony ma być zastąpiona gniazdem działka, obsługiwanego z siedzenia kierowcy. Broń ja dostarczę. Poza moimi własnymi karabinkami i pistoletami udało mi się wypożyczyć trochę broni z arsenału policji w Przystani Bożego Narodzenia.

- Hej, widzę, że pan naprawdę przygotowuje się do wojny z... z mitem?

- Powiedzmy raczej, że w nie tak znów bardzo kosztowny sposób ubezpieczam się przeciwko pewnym niezbyt prawdopodobnym przypadkom. A jeszcze, poza poduszkowcem, czy dałoby się załatwić lekki, przewożony na dachu samolocik do zwiadów?

- Nie. - Tym razem głos Dawsona brzmiał bardziej pewnie niż dotychczas. - To jest szukanie guza. Możemy, gdy prognoza pogody będzie sprzyjająca, przewieźć pana do pańskiej bazy dużym samolotem. Jednak pilot będzie musiał natychmiast wracać, zanim pogoda znów się popsuje. Meteorologia nie jest zbyt rozwinięta na Rolandzie. Powietrze o tej porze roku jest wyjątkowo zdradliwe, a my nie mamy środków do wyprodukowania samolotu, który wytrzymałby każdą niespodziankę. - Odetchnął głęboko. - Nie ma pan, widzę, pojęcia, jak szybko potrafi uderzyć wir. Albo jaki grad może nagle runąć z czystego nieba czy też... Jak pan już tam dotrze, lepiej niech pan trzyma się ziemi. - Zawahał się. - To jedna z ważniejszych przyczyn,

dla których nasze wiadomości o bezdrożach są tak skąpe, a ich mieszkańcy tak izolowani.

Sherrinford roześmiał się ponuro.

- No cóż, sądzę, że jeśli tam wszystko wygląda, jak przypuszczam, to i tak przez całą drogę będę musiał się czołgać.

- Zmarnuje pan masę czasu - powiedział Dawson. - Nie wspominając o pieniądzech klienta. Proszę posłuchać, nie mogę panu zabronić uganiania się za cieniem, ale...

Dyskusja trwała jeszcze niemal godzinę. Gdy ekran wreszcie pociemniał, Sherrinford podniósł się, przeciągnął i podszedł do Barbro. Jeszcze raz zwróciła uwagę na jego szczególny chód. Przybył z planety, na której ciężenie było o jedną czwartą większe od ziemskiego, a tutaj nie przekraczało nawet jego połowy. Zadała sobie pytanie, czy Sherrinford miewa sny o lataniu.

- Przepraszam, że tak panią zaniedbałem - powiedział - ale nie oczekiwałem, że dodzwonię się do niego tak szybko. Wcale nie kłamał, mówiąc, jak bardzo jest zajęty. A gdy już się z nim połączyłem, wołałem mu o pani nie przypominać. Z moim projektem może się nie liczyć, może go spokojnie odrzucać jako czeze mrzonki, z których szybko zrezygnuję. Gdyby jednak, obserwując panią, przekonał się, jak bardzo jesteśmy zdecydowani, stałby się zupełnie nieprzystępny, a być może nawet robiłby nam jakieś przeszkody.

- A niby dlaczego miałby się tym przejmować? - spytała z goryczą.

- Strach przed konsekwencjami, tym większy, że się do niego nie przyznaje, tym bardziej przejmujący, że nie dadzą się one przewidzieć. - Wzrok Sherrinforda powędrował ku ekranowi, a stamtąd przez okno ku zorzy, pulsującej wysoko w górze lodowatym błękitem i bielą. - Zauważyła pani chyba, że rozmawiałem z człowiekiem przestraszonym. W głębi duszy pod pozorami szyderstw i konwenansów wierzy w Zewnętrznych. Tak, głęboko w nich wierzy.

Stopy Pasterza Mgły frunęły ponad yerbą, wyprzedzając niesione wiatrem chwastoloty. Obok niego piętrzył się Nagrim nikor, czarny i niekształtny. Jego wywołujące wstrząsy ziemi cielsko zostawiało za sobą pokos zmiażdżonych roślin. Z tyłu blask kwiatów cierniowca płomiennego przebijał przez mglistą, rozmazaną sylwetkę Morgarela upiora.

Obłoczne Błonia wznosiły się tutaj falą wzgórz i zarośli. Powietrze było spokojne, tylko od czasu do czasu przynosiło przytłumione odległością wycie jakiejś bestii. Było ciemniej niż zwykle na początku zimy, gdyż księżyc stały nisko, a zorza ledwie połyskiwała nad górami na północnym krańcu świata. Jednak dzięki temu gwiazdy, którymi usiane było niebo, lśniły ostro i wyraźnie, a Droga Duchów świeciła wśród nich jak spryskane kroplami rosy listowie głęboko w dole.

- Tam! - ryknął Nagrim. Wszystkie cztery ramiona wskazywały jeden punkt. Grupka weszła właśnie na szczyt wzgórza. Daleko przed nimi płonęła iskierka światła. - Hoah, hoah! Fdebczemy ich w ziemię od razu czy bofoli rozszarbiemy?

Nic takiego nie zrobimy, zakuty łbie - przemknęła przez ich głowy odpowiedź Morgarela. - Chyba że nas zaatakują. A nie zrobią tego, jeżeli nie zdradzimy swojej obecności. Według jej rozkazu mamy wysledzić ich zamiary.

- Gr-r-rum-m-m. Znam ich zamiary. Bościnać drzeza, fpić bługi w ziemię, zasiać sfe brzekłete ziarna. Brzebędzimy ich do gorzkich wód, bo inaczej szybko staną się dla nas za silni.

- Ale nie za silni dla Królowej! - z oburzeniem zaprotestował Pasterz Mgły.

Jednak mają nowe moce, jak się zdaje - przypomniał mu Morgarel. - Musimy ich ostrożnie wybadać.

- Fięc czy możemy na nich ostrożnie nadebnać? - spytał Nagrim.

Pytanie wywołało u Pasterza Mgły szeroki uśmiech. Klepnął pokryte łuską plecy.

- Ty lepiej nie mów - powiedział. - Bo mnie bolą uszy. Ani nie myśl, bo ciebie boli głowa. Dalej, biegniemy!

- Trochę spokojniej - zbeształ go Morgarel. - Masz w sobie zbyt wiele życia, synu ludzi.

Pasterz Mgły wykrzywił twarz w stronę upiora. Usłuchał jednak na tyle, żeby zwolnić i wybierać drogę tak osłoniętą, jak tylko było to możliwe.

Gnał przecież z misją od Najczystszej. Miał się dowiedzieć, co tu przywiodło tę parę śmiertelników.

Czyżby szukali tego chłopca, którego ukradł Ayoeh? (Ciągłe jeszcze płakał za matką, ale coraz mniej, w miarę jak przenikały go cuda Carheddin.) Być może. Statek ptak zostawił ich wraz z pojazdem w opuszczonym teraz obozie, z którego wyruszyli rozszerzającą się spiralą. Gdy jednak w rozsądnej odległości nie znaleźli żadnego śladu dziecka, nie wezwali nikogo, żeby ich odwiózł do domu. I to nie dlatego, że pogoda nie pozwalała przenosić się falom łączności. Nie. Zamiast tego

wyruszyli w stronę Gór Księżycowego Rogu. Kurs, jakim zdążali, powiedzie ich obok kilku odosobnionych gospodarstw najeźdźców i dalej, wprost na obszary nie odwiedzane dotychczas przez ich rasę.

A więc nie były to zwyczajne poszukiwania. A więc co to było?

Pasterz Mgły rozumiał teraz, dlaczego ta, która panowała, kazała swym adoptowanym śmiertelnym dzieciom poznawać czy też zachowywać język swych przodków. Nienawidził tych ćwiczeń, tak obcych obyczajom Mieszkańców, lecz oczywiście był jej posłuszny. I z czasem zrozumiał, jak była mądra...

Teraz pozostawił Nagrima za skałą - nikor byłby użyteczny tylko w walce - i poczołgał się od krzaka do krzaka, aż znalazł się przy ludziach, w odległości nie większej niż wzrost człowieka. Deszczorost, kładąc miękkie liście na jego nagiej skórze, odział go w ciemność. Morgarel poszybował ku koronie trzęsoliścia, w którego niespokojnej ruchliwości lepiej mógł ukryć swą nikłą sylwetkę. On również będzie niezbyt pomocny. I to właśnie było w tym wszystkim najbardziej niepokojące. Upiory należą do tych, którzy potrafią nie tylko czytać i wysyłać myśli, ale również tworzyć omamy. Morgarel powiedział, że tym razem jego moc zdaje się odbijać od zimnego, niewidzialnego muru, otaczającego samochód.

Kobieta i mężczyzna nie ustawili żadnych innych urządzeń strażniczych i nie mieli psów. Najpewniej sądzili, że nic takiego nie będzie potrzebne, gdyż spali w długim pojeździe, którym podróżowali. Ale takie lekceważenie potęgi Królowej nie może być tolerowane, nieprawdaż?

Metal połyskiwał delikatnie w świetle ich ogniska. Usiedli po obu stronach ognia, owinięci w palta dla ochrony przed chłodem, który nagiemu Pasterzowi Mgły wydawał się łagodny. Mężczyzna pił dym. Kobieta patrzyła nieruchomo w zmierzch, który jej oślepianym płomieniami oczom musiał się wydawać głęboką ciemnością. Tańcząca poświata wyraźnie wydobywała z mroku jej sylwetkę. Tak, sądząc z opowieści Ayocha, ona była matką tego nowego malca.

Ayoch również chciał z nimi pójść, ale Cudowna zabroniła. Puki są za mało wytrwale jak na potrzeby takich misji.

Mężczyzna pociągnął fajkę. Jego policzki cofnęły się przez to w cień, podczas gdy na czole i nosie migotało światło. Wyglądał niepokojąco podobnie do brzytwodzioba, który ma właśnie runąć na ofiarę.

- Nie, powtarzam ci jeszcze raz, Barbro, nie mam żadnych teorii - mówił. - Kiedy ilość faktów jest niewystarczająca, teoretyzowanie jest śmieszne w najlepszym przypadku, a sprowadzające na manowce w najgorszym.

- Jednak masz chyba jakiś plan, coś, czym się kierujesz - powiedziała. Było oczywiste, że już wcześniej niejednokrotnie to roztrząsali. Żaden Mieszkaniec nie byłby tak natarczywy jak ona ani tak cierpliwy jak on. - Te instrumenty, które zapakowałeś, ten generator, który ciągle utrzymujesz w ruchu...

- Mam jedną czy dwie hipotezy robocze i one mi podpowiedziały, jakie wyposażenie powinienem zabrać.

- Dlaczego mi nie powiesz, co to za hipotezy?

- Z nich samych wynika, że obecnie to by było niewskazane. Ciągle jeszcze szukam po omacku drogi w labiryncie. Ale nie miałem okazji poskładać wszystkiego w całość. W rzeczywistości naprawdę zabezpieczeni jesteśmy tylko przed tak zwanym wpływem telepatycznym...

- Co? - Niemal podskoczyła. - Chcesz powiedzieć... te legendy, że oni potrafią również czytać myśli... - Słowa zamarły jej na ustach, wzrok przeszukał ciemność poza jego ramionami.

Mężczyzna pochylił się do przodu. Ton jego głosu stał się miękki i przekonujący.

- Barbro, zamęczasz się, rozdierasz rany. To wcale nie pomoże Jimmiemu, jeśli żyje. Tym bardziej że możesz być jeszcze bardzo potrzebna, później. Mamy przed sobą długą wędrówkę, więc lepiej weź się w garść.

Skinęła szybko głową i zagryzła na moment wargę. Potem odpowiedziała:

- Próbuję.

Uśmiechnął się, nie wyjmując fajki z ust.

- Myślę, że ci się uda. Nie robisz na mnie wrażenia straceńca ani jęczyduszy czy też kogoś napawającego się swym nieszczęściem.

Jej dłoń opadła ku kolbie pistoletu przy pasie. Głos się zmienił, wydobywała go z gardła jak nóż z pochwy:

- Kiedy ich znajdziemy, dowiedzą się, jaka jestem. Jacy są ludzie.

- Gniew także powściągnij - nalegał mężczyzna. - Nie stać nas na emocje. Przecież Zewnętrzni, jeżeli rzeczywiście istnieją, jak to tymczasowo zakładam, walczą o swoje domy. - I po krótkiej przerwie dodał: - Chciałbym wierzyć, że gdyby pierwsi zwiadowcy znaleźli tu inteligentnych tubylców, kolonizacja Rolanda nie zostałaby podjęta. Ale teraz jest już za późno. Nie możemy tego cofnąć, nawet

gdybyśmy chcieli. To walka do końca, z wrogiem tak zręcznym, że udało mu się ukryć przed nami nawet fakt, że wypowiedział nam wojnę.

- A zrobił to? Przecież podkradanie się, przypadkowe porywanie dzieci...

- To część mojej hipotezy. Podejrzewam, że to wcale nie jest zwykłe nękanie nas, to część taktyki, stosowanej w zatrważająco subtelnej grze strategicznej.

Ogień trzaskał i sypał iskrami. Mężczyzna palił przez chwilę w zamyśleniu, a potem ciągnął dalej:

- Wtedy w Przystani Bożego Narodzenia, a potem w Portolondonie, gdy musiałś na mnie czekać, nie chciałem rozbudzać w tobie zbyt wielkiej nadziei ani też niepotrzebnie cię ekscytować. Później byliśmy zajęci upewnianiem się, że Jimmy został uprowadzony na większą odległość od obozu, niż zdołałby przejść o własnych siłach, więc dopiero teraz mogę ci powiedzieć, jak starannie przestudiowałem dostępne materiały na temat... Dawnego Ludu. Robiłem to przede wszystkim z myślą o weryfikacji i wyeliminowaniu każdej wyobrażalnej możliwości, bez względu na jej absurdalność. Nie oczekiwałem innego końcowego wyniku niż negatywny. Przejrzałem jednak wszystko: relikty, analizy, opowieści, dziennikarskie podsumowania, monografie. Rozmawiałem z będadymi akurat w mieście pionierami i z tą garstką naukowców, która interesowała się tym zagadnieniem. Ja się szybko uczę. Pochlebiam sobie, że stałem się ekspertem nie gorszym niż każdy inny - chociaż Bóg jeden wie, że nie ma tu właściwie od czego być ekspertem. Jestem stosunkowo obcy na Rolandzie i być może dzięki temu spojrziałem na ten problem świeżymi oczyma, i zauważyłem w nim pewne prawidłowości.

Jeżeli aborygeni wymarli, dlaczego tak niewiele po sobie zostawili? Arktyka nie jest znów taka ogromna i stanowi doskonałą kolebkę dla rolandyjskiego życia. Powinna była stać się podstawą istnienia populacji, której pozostałości gromadziły się przez tysiąclecia. Czytałem, że na Ziemi znaleziono, bardziej przypadkowo niż na skutek badań archeologicznych, dosłownie dziesiątki tysięcy paleolitycznych toporków.

No i właśnie - kontynuował. - Przypuśćmy, że relikty i skamieniałości zostały świadomie usunięte w czasie, który upłynął między wizytą ostatniej grupy zwiadowczej a przybyciem pierwszych osadników. Pewne potwierdzenie tej hipotezy znalazłem w dziennikach pierwszych badaczy Rolanda. Byli zbyt zajęci sprawdzaniem, czy planeta nadaje się do zamieszkania, by sporządzać katalogi pomników prymitywu. Jednakże pewne ich zapiski świadczą o tym, że widzieli

znacznie więcej niż grupy, które przybyły po nich. Przypuśćmy, że to, co jednak znaleźliśmy, owi zacieracze śladów po prostu przeoczyli bądź się do tego nie dobrali. Świadczy to o skomplikowanej umysłowości, o zdolności do myślenia w kategoriach długoterminowych, prawda? A to z kolei dowodzi, że Dawny Lud to nie byli zwykli myśliwi i neolityczni rolnicy.

- A jednak nikt nigdy nie widział budynków czy maszyn ani w ogóle niczego takiego - sprzeciwiła się Barbro.

- Nie. Najprawdopodobniej tubylcy nie przeszli przez nasz metalurgiczno-przemysłowy rodzaj ewolucji. Potrafię wyobrazić sobie inne, alternatywne drogi rozwoju. Ich w pełni dojrzała cywilizacja mogła wziąć początek od nauk i technologii biologicznych - rozpocząć od nich, a nie na nich kończyć. Mogła rozwijać potencjał tkwiący w systemie nerwowym, a u nich może być on większy niż u człowieka. Wiesz chyba, że również my w pewnym stopniu posiadamy te zdolności. Na przykład różdżkarz rzeczywiście wyczuwa zmiany lokalnego pola magnetycznego, spowodowane ciekami wodnymi. Jednak w nas te moce są szalenie rzadkie i niestałe. Skierowaliśmy więc swą uwagę w inną stronę. Komu potrzebna jest, powiedzmy, telepatia, jeżeli ma pod ręką wizjofon? Dawny Lud mógł to widzieć zupełnie inaczej. Wytwory ich cywilizacji mogły i dalej mogą być dla nas ludzi nierozpoznawalne.

- Jednak przecież nie musieli się przed nami ukrywać - powiedziała Barbro. - Dlaczego się nie ujawnili?

- Mogę sobie wyobrazić dowolną ilość powodów. Na przykład, już wcześniej w swej historii mieli złe doświadczenia z gośćmi z kosmosu. Nasza rasa nie jest jedyną, która ma statki międzygwiazdne. Jednakże, jak już powiedziałem, nie mam zwyczaju teoretyzować bez pokrycia w faktach. Wystarczy, że stwierdzimy, iż Dawny Lud, jeżeli istnieje, jest dla nas obcy.

- Jak na posiadacza tak logicznego umysłu, nici wniosków, które snujesz, są bardzo cieniutkie.

- Przyznałem przecież, że to wszystko prowizorka. - Mrużąc oczy popatrzył na nią poprzez zasłonę dymu z ogniska. - Przyszłaś do mnie, Barbro, utrzymując wbrew temu, co twierdziły czynniki oficjalne, że twój syn został porwany. Ale ta twoja historia o porywającej dzieci sekcje jest wręcz śmieszna. Dlaczego więc tak ciężko ci uznać, że niehumanoidy istnieją?

- I to mimo tego, że od ich istnienia zależy życie Jimmiego - westchnęła. - Wiem. - Wzruszyła ramionami. - Być może po prostu nie mam na to dość odwagi.

- Dotychczas nie powiedziałem niczego, co nie było już przedmiotem spekulacji w różnych publikacjach. Dyskredytujących spekulacji, to prawda. Przez sto lat nikomu nie udało się znaleźć niepodważalnego dowodu na to, że Zewnętrzni są czymś więcej niż tylko przesądem. Mimo to kilku ludzi odważyło się stwierdzić, że jest co najmniej prawdopodobne, iż na niezbadanych dotychczas obszarach żyją inteligentni tubylcy.

- Wiem - powtórzyła. - Nie wiem jednak, co spowodowało, że tak nagle zacząłeś brać te argumenty poważnie.

- No cóż, gdy zmusiłaś mnie do myślenia nad tym, zrozumiałem, że rolandyjscy pionierzy nie są całkowicie izolowanymi średniowiecznymi chłopami. Mają książki, łączność telekomunikacyjną, narzędzia elektryczne, pojazdy mechaniczne, a przede wszystkim dysponują nowoczesnym, opartym na solidnych naukowych podstawach wykształceniem. Dlaczego mieliby w takim razie ulegać przesądom? Musi być jakaś tego przyczyna. - Przerwał. - Lepiej będzie, jeśli już nic więcej nie powiem. W swoich teoriach posuwam się jeszcze dalej, ale jeśli są one słuszne, niebezpiecznie jest głośno je wypowiadać.

Mięśnie Pasterza Mgły stężały. W szablodziobej głowie czaiło się niebezpieczeństwo, to pewne. Nosząca Wieniec musi zostać ostrzeżona. Przez chwilę zastanawiał się nad tym, czy nie wezwać Nagrima, żeby zabił tych dwoje. Jeżeli nikor skoczyłby na nich dostatecznie szybko, ich broń palna nie na wiele by się zdała. Jednak nie. Mogli zostawić jakąś wiadomość w domu lub... Znowu nastawił uszu.

Rozmowa zesła na inne tematy. Barbro mruczała:

„...to dlaczego zostałeś na Rolandzie?”

Mężczyzna uśmiechnął się w swój ponury sposób.

- No cóż, życie na Beowulfie nie stanowiło już dla mnie wyzwania. Heorot jest lub był - przecież upłynęły już dziesięciolecia - gęsto zaludniony, sprawnie zorganizowany, zuniformizowany i śmiertelnie nudny. Stało się tak częściowo dlatego, że istniał zawór bezpieczeństwa - nizinne pogranicze, na które uciekali niezadowoleni. Ja jednak nie miałem dostatecznie dużej tolerancji na dwutlenek węgla, bym mógł tam w dole normalnie żyć. Przygotowywano ekspedycję mającą odwiedzić kilka skolonizowanych światów, szczególnie tych, które nie miały dostatecznego wyposażenia, żeby utrzymywać więź laserową. Przypominasz sobie

jej oficjalny cel, zadeklarowany po przybyciu tutaj - poszukiwanie nowych idei dla sztuki, nauk ścisłych, socjologii, filozofii. Wszystkiego, co może się przydać. Obawiam się, że na Rolandzie znaleźli niewiele rzeczy, które były przydatne dla Beowulfa. Ja jednak, który fuksem dostałem się na ten statek, dostrzegłem w tym świecie perspektywy dla siebie i postanowiłem tutaj założyć swój dom.

- Czy na Beowulfie też byłeś detektywem?

- Tak, w oficjalnej policji. To jest tradycyjne zajęcie w naszej rodzinie.

Być może wzięło się to z krwi Czirokezów, jeśli ta nazwa coś ci mówi, płynącej w naszych żyłach. Utrzymywaliśmy również, że jesteśmy potomkami jednego z pierwszych zarejestrowanych prywatnych detektywów, jeszcze z Ziemi, sprzed lotów kosmicznych. Bez względu na to, ile w tym było prawdy, stwierdziłem, że ten detektyw jest użytecznym modelem. Wiesz, archetypem... - Mężczyzna zamilkł. W jego rysach odbił się niepokój. - Lepiej chodźmy spać - powiedział. - Rano czeka nas długa droga.

Kobieta omiotła wzrokiem ciemność.

- Tutaj nie ma ranków.

Udali się na spoczynek.

Pasterz Mgły podniósł się i ostrożną gimnastyką przywrócił sprawność swym mięśniom. Przed powrotem do Siostry Lyrth zaryzykował spojrzenie przez szybę pojazdu. Koję były przygotowane, jedna przy drugiej, i ludzie w nich leżeli. Jednak mężczyzna nie dotykał kobiety, chociaż miała atrakcyjne ciało, nic też się między nimi nie zdarzyło, co by sugerowało, że ma zamiar to zrobić.

Okropność, ludzie. Zimni, podobni trupom, i oni mają opanować ten piękny, dziki świat? Pasterz Mgły splunął z niesmakiem. To się nie uda. Ta, która panuje, obiecała.

Ziemie Williama Ironsa były niezmiernie rozległe. Musiały być, gdyż chcąc utrzymać siebie, swoją rodzinę i zwierzęta przy pomocy lokalnych zbóż, których uprawa opanowana była jeszcze ciągle w niewielkim stopniu, potrzebował włości łąki magnackich. Latem, a także w cieplarni hodował również kilka gatunków ziemskich roślin. Ale to był luksus. Prawdziwy podbój Arktyki opierał się na sianie z yerby, drewnie bathyrhizy, na pericoupie i glycophyllonie. A gdy rynek rozrósł się wraz ze wzrostem populacji i przemysłu, także na chalcantemum dla miejskich kwiaciarzy i skórek bezdomników, hodowanych w klatkach, dla miejskich kuśnierzy.

Jednak ten podbój miał się ostatecznie dokonać w przyszłości, której Irons nie spodziewał się dożyć. Sherrinford zastanawiał się, czy według Ironsa ktokolwiek jej dożyje.

Pokój był jasny i ciepły. Na kominku trzaskała wesołość. Światło fluoropaneli odbijało się od powierzchni ręcznie rzeźbionych skrzyń, krzesel i stołów, od kolorowych draperii i ustawionych na półkach naczyń. Pionier siedział mocno w swym wysokim krześle, zgrzebnie ubrany, z brodą spływającą na piersi. Jego żona i córki przyniosły dla niego, dla gości i dla jego synów kawę, której aromat zmieszał się z zalegającymi w powietrzu zapachami pozostałymi po obfitym obiedzie.

Na zewnątrz hulał wicher, waliły pioruny, deszcz dudnił o dach i ściany i strugami spływał w dół, by więc się wśród bruku podwórza. Szopy i stodoły przykucnęły na tle ogromu ciemniejącego za nimi. Drzewa jęczały; czyżby to echo złośliwego śmiechu przebito się przez ryk strwożonej krowy? Fala gradu uderzyła w dachówki jak setki pukających palców.

Teraz czujesz wyraźnie, jak daleko są twoi sąsiedzi - pomyślał Sherrinford. - A mimo tego są to ludzie, których widzisz najczęściej - na ekranie wizjofonu, przy okazji załatwiania codziennych interesów (wtedy gdy burze słoneczne nie zmieniają ich głosów w bełkot, a ich twarzy w chaos), albo żywych, przy okazji przyjęć, plotek i intryg, na ślubach we własnym gronie, i w końcu to będą ludzie, którzy cię pochowają. Światła nadbrzeżnych miast leżą nieskończenie dalej.

William Irons był silnym człowiekiem. Jednak gdy teraz przemówił, w jego głosie pobrzmiwał strach.

- Wy naprawdę idziecie przez Urwisko Trolli?

- Ma pan na myśli Uskok Hansteina? - powiedział Sherrinford i było to bardziej wyzwanie niż pytanie.

- Żaden pionier nie nazywa tego inaczej niż Urwisko Trolli - powiedziała Barbro.

Jak mogła się odrodzić tego typu nazwa, lata świetlne i stulecia od ziemskich Wieków Ciemnoty?

- Myśliwi, traperzy, poszukiwacze kruszców - pogranicznicy, jak ich nazywacie - wyprawiają się w te góry - stwierdził Sherrinford.

- W pewne ich części - powiedział Irons. - Wolno to robić, według umowy zawartej kiedyś między Królową a człowiekiem, gdy człowiek pomógł Jasiowi-spod-wzgórza, którego zranił szatan. Gdzie rośnie plumablanca, tam ludzie mogą

chodzić, pod warunkiem, że zostawią swoje rzeczy na kamieniach-ołtarzach jako zapłatę za to, co stamtąd zabiorą. Gdzie indziej... - jedna z pięści zacisnęła się na oparciu fotela, potem znów rozluźniła - niemądrze jest chodzić.

- A jednak ludzie tam chodzili, prawda?

- O, tak. I niektórzy wrócili cało, przynajmniej tak się mówi, chociaż słyszałem, że potem już nigdy nie byli szczęśliwi. A inni nie wrócili, zniknęli. A niektórzy z tych, co wrócili, pletli o cudach i strachach i zostali półgłówkami do końca swych dni. Mało komu dane było długo popisywać się odwagą, łamać umowę i naruszać granice. - Irons spojrzał na Barbro niemal z groźbą w oczach. Jego kobieta i dzieci spojrzeli podobnie, nagle znieruchomiali. Wiatr gwizdał za ścianami i stukał osłonami przeciwburzowymi. - Wy też nie bądźcie głupi.

- Mam powody sądzić, że tam jest mój syn - odpowiedziała Barbro.

- Tak, tak, mówiła pani. Przykro mi. Może coś dałoby się zrobić. Nie wiem co, ale chętnie, och, złożyłbym tej zimy podwójną ofiarę na Kurhanie Unvara i modlitwę, wyciętą krzemiennym nożem w darni. Może go zwróca. - Irons westchnął. - Jednak jak pamięć sięga, nigdy tego nie zrobili. Ale chłopakowi mógł przypaść gorszy los w udziale. Czasem ich widywałem, jak gnali wśród zmierzchu na złamanie karku. Wydawali się szczęśliwsi niż my. Może to żadna przysługa zabierać chłopca z powrotem do domu.

- Jak w pieśni o Arvidzie - powiedziała jego żona.

Irons skinął głową.

- Aha. I w innych.

- Co to za pieśń? - spytał Sherrinford.

Dotkliwiej niż przedtem poczuł, że jest tu obcy. Był dzieckiem miast i techniki, a przede wszystkim dzieckiem sceptycznego umysłu. Ta rodzina wierzyła. Z niepokojem dostrzegł w powolnym skinieniu głowy Barbro coś więcej niż tylko cień ich wiary.

- Mamy taką samą balladę na Ziemi Olgi Ivanoff - powiedziała, a jej głos był mniej spokojny niż słowa. - To jedna z tradycyjnych pieśni, śpiewanych w czasie tańca w kole na łące. Nikt nie wie, kto je skomponował.

- Zauważyłam multilirę w pani bagażu, pani Cullen - powiedziała żona Ironsa. Najwyraźniej chciała zmienić temat, zakończyć groźącą wybuchem rozmowę o wyprawie, która stanowiła wyzwanie dla Dawnego Ludu. Pieśni mogły w tym pomóc. - Czy zechciałaby nam pani zaśpiewać?

Barbro, blada i niespokojna, potrząsnęła głową. Najstarszy z chłopców powiedział szybko:

- No cóż, to ja mogę, jeśli goście zechcą posłuchać.

- Z przyjemnością, dziękuję. - Sherrinford oparł się wygodnie i zaczął nabijać fajkę.

Jeśli nie wyniknęłoby to spontanicznie, sam doprowadziłby do podobnego zakończenia tej rozmowy.

W przeszłości nie miał motywacji do studiów nad folklorem bezdroży, i odkąd Barbro przyszła do niego ze swym kłopotem, udało mu się przeczytać zaledwie nieliczne wzmianki na ten temat. Jednak coraz bardziej nabierał przekonania, że musi dokładnie zrozumieć - nie przez studia etnograficzne, ale przez zrozumienie instynktowne, wczucie się - wzajemne stosunki między mieszkańcami rolandyjskich pograniczy a istotami, które ich nawiedzały.

Nastąpiła krzątania, przestawianie-krzesel, sadowienie się; filiżanki zostały znów napełnione kawą, zaproponowano brandy.

- Ostatnia linijka jest refrenem - wyjaśnił chłopak. - Wszyscy się włączają, dobrze?

On również wyraźnie miał nadzieję rozładować w ten sposób napięcie. Katharsis przez muzykę? - zastanowił się Sherrinford. - Nie, raczej egzorcyzm.

Jedna z dziewcząt uderzyła w struny gitary. Chłopiec śpiewał w takt melodii przebijającej się przez hałas burzy.

*Do domu wracał Arvid,
Wśród wzgórz szlak jego biegł,
Przez cienie trzęsoliści.
Wzdłuż brzegów rwących rzek.
Pod cierniowcem taniec się wije.*

*Wiatr nocy szeptał wokół,
Zapachy kwiatów niosąc.
Księżyc stał nad nim,
Wzgórza błyszczały rosą.
Pod cierniowcem taniec się wije.*

I marząc o kobiecie,

*Co w słońcu go czekała,
Stanął olśniony zorzą
I dusza w nim załkała.
Pod cierniowcem taniec się wije.*

*Bo przed nim, przy kurhanie.
Co w niebo wznosił ziemię
Blask złoty, kryształowy -
Zewnętrznych w tańcu plemię.
Pod cierniowcem taniec się wije.*

*Zewnętrznych tańczy plemię
Płomieniem, wiatrem, tęczą,
Przy mroźnych dźwiękach harfy.
I nigdy się nie zmęczą.
Pod cierniowcem taniec się wije.*

*Podeszła do Arvida
Ze światłem gwiazd we wzroku.
Tańczących zostawiając.
Pani Powietrza i Mroku.
Pod cierniowcem taniec się wije.*

*Z miłością, strachem, blaskiem
W jej nieśmiertelnym oku
Rzekła cicho do niego...*

- Nie - Barbro zerwała się z krzesła. Pięści miała zaciśnięte, po policzkach płynęły jej łzy. - Nie możecie... udawać, że oni są tacy... te stwory, które ukradły Jimmiego!

Uciekła z pokoju na górę, do gościnnej sypialni.

Jednak sama dokończyła tę pieśń. Było to niemal siedemdziesiąt godzin później, w obozie wśród urwisk, gdzie nawet pogranicznicy nie ośmielali się zapuszczać.

Niewiele już słów zamienili z rodziną Ironsów po tym, jak oboje odrzucili wielokrotnie powtarzane prośby o zostawienie zakazanej krainy w spokoju. Milczeli też przez pierwsze godziny swej podróży na północ. Jednak powoli udało mu się ją skłonić, by opowiedziała mu o swym życiu. Po chwili, pogrążona we wspomnieniach o rodzinnym domu, sąsiadach, niemal zapomniała o rozpaczy. Wreszcie spostrzegła, że on, pod swą profesjonalną maską, jest smakoszem, wielbicielem opery i że docenia jej kobiecość. Zauważyła, że i ona potrafi się jeszcze śmiać i odnajdować piękno w dzikim krajobrazie wokół nich. Niemał z poczuciem winy zdała sobie sprawę, że życie niesie więcej nadziei niż tylko ta na odzyskanie syna, którego dał jej Tim.

- Ostatecznie utwierdziłem się w przekonaniu, że on żyje - powiedział detektyw. Spoważniał. - Prawdę mówiąc zaczynam żałować, że zabrałem cię ze sobą. Myślałem, że ta wyprawa będzie zwykłym zbieraniem faktów, a chyba przeradza się w coś znacznie poważniejszego. Jeżeli to żywe istoty ukradły Jimmiego, spotkanie z nimi może się okazać naprawdę niebezpieczne. Powinienem chyba zawrócić ku najbliższemu gospodarstwu i wezwać samolot, aby cię stąd zabrał.

- Kaktus mi na dłoni wyrośnie, jak to zrobisz - odpowiedziała. - Potrzebny ci jest ktoś, kto zna panujące na bezdrożach warunki. A ja jestem w tej roli lepsza niż ktokolwiek inny.

- Hmm... Wiązałoby się to również ze znaczną stratą czasu, prawda? A poza tym nawiązanie łączności z jakimkolwiek lotniskiem możliwe będzie dopiero po uspokojeniu się obecnego wybuchu promieniowania.

Następnej „nocy” rozpakował i zamontował resztę swego sprzętu. Niektóre przedmioty, jak detektor termiczny, udało jej się rozpoznać. Inne, zmontowane pod jego nadzorem kopie nowoczesnych urządzeń z Beowulfa, były jej zupełnie nieznanne. Niewiele na ich temat powiedział.

- Wyjaśniłem ci już, że istoty, których szukamy, mogą posiadać zdolności telepatyczne - dodał tonem usprawiedliwienia. Jej oczy rozszerzyły się.

- Chcesz powiedzieć, że Królowa i jej poddani naprawdę mogą czytać myśli?

- To jeden z powodów przerażenia, jakie budzi legenda o nich, prawda? W rzeczywistości w tym zjawisku nie ma nic nadnaturalnego. Było ono badane i zupełnie nieźle opisane już wieki temu, na Ziemi. Przypuszczam, że te opisy znajdują się wśród naukowych mikrofilmów w Przystani Bożego Narodzenia. Wy,

rolandyjczycy, nie mieliście po prostu okazji ich odszukać, podobnie jak nie mieliście jeszcze okazji przestudiować zasad budowy przekaźników falowych czy statków kosmicznych.

- No więc jak ta telepatia działa?

Sherrinford zauważył, że pytanie zostało zadane w równym stopniu dla podniesienia się na duchu, co z ciekawości. Odpowiedział więc rozmyślnie sucho i konkretnie:

- Organizm generuje niezmiernie długofalowe promieniowanie, które teoretycznie może być modulowane przez system nerwowy. Niewielka moc tych sygnałów oraz ich niska zdolność do przenoszenia informacji powodują, że w praktyce są one ulotne, trudne do wychwycenia i poddania pomiarom. Nasi praludzy przodkowie oparli się na bardziej niezawodnych zmysłach, jak słuch i wzrok. Ta emanacja telepatyczna, którą w tej chwili wysyłamy, jest w najlepszym razie szczątkowa.

Ekspedycje badawcze natknęły się jednak na pozaziemskie gatunki, które lepiej przystosowały się do swych konkretnych środowisk właśnie poprzez rozwinięcie tych zdolności. Wśród tych gatunków znajdują się zapewne również takie, które stosunkowo rzadko poddają się bezpośredniemu napromieniowaniu słonecznemu - w rzeczywistości kryją się przed światłem dnia. Mogłyby one rozwinąć zdolności telepatyczne w takim stopniu, że byłyby w stanie wychwytywać z niewielkich odległości nawet tak słabą emisję jak ludzka i zmuszać nasz prymitywny aparat odbiorczy do reagowania, zgodnego z tym, co same przesyłają.

- To by wiele tłumaczyło, prawda? - powiedziała Barbro cicho.

- Oosłoniłem nasz samochód polem zagłuszającym - poinformował ją Sherrinford - jednak sięga ono tylko kilka metrów poza karoserię. Gdybyś znalazła się poza osłoną, a w pobliżu byłby jakiś ich zwiadowca, mógłby odczytać twoje myśli. A jeśli byś dokładnie wiedziała, co mam zamiar zrobić, mogliby zostać w ten sposób ostrzeżeni. Ja mam dobrze wytrenowaną podświadomość, która czuwa, bym myślał o tym po francusku, kiedy jestem na zewnątrz. Przesyłane myśli muszą mieć określoną strukturę, aby były zrozumiane, a struktura języka francuskiego wystarczająco się różni od struktury angielskiego. A ponieważ angielski jest jedynym językiem używanym tutaj przez ludzi. Dawny Lud na pewno nauczył się właśnie angielskiego.

Skinęła głową. Wyłożył jej swój ogólny plan, który był na tyle oczywisty, że i tak nie można go było ukryć. Główna trudność polegała na nawiązaniu kontaktu

z obcymi, oczywiście o ile oni istnieli. Dotychczas byli widywani tylko przez jednego lub najwyżej kilku traperów naraz, i to dość rzadko. Niewątpliwie pomagała im w tym zdolność wywoływania halucynacji. Trzymaliby się z daleka od każdej dużej, prawdopodobnie nie dającej się objąć kontrolą ekspedycji, jaka trafiłaby na ich terytorium. Jednak dwoje ludzi, którzy odważyli się naruszyć wszelkie zakazy, nie powinno wydać im się na tyle poważnym zagrożeniem, żeby ich mieli unikać. A... to będzie pierwsza grupa, która nie tylko działa z założeniem, że Zewnętrzni istnieją, ale również jest wyposażona w wytwory nowoczesnej, innoplanetarnej techniki policyjnej.

W tym obozowisku nic się nie zdarzyło. Sherrinford powiedział, że wcale nie oczekiwał, iż coś się zdarzy. Tutaj, tak blisko osad ludzkich. Dawny Lud wydawał się szczególnie ostrożny. W swej własnej krainie pewnie będą odważniejsi.

W ciągu następnej „nocy” ich pojazd wjechał dość głęboko w tę krainę. Na jakiejś łące Sherrinford wyłączył silniki i pojazd opadł na ziemię. Cisza napłynęła ku nim jak fala.

Wyszli na zewnątrz. Ona ugotowała na promienniku posiłek, podczas gdy on zbierał drewno na ognisko, przy którym później będą mogli się ogrzać. Od czasu do czasu spoglądał na przegub ręki - lecz nie na zegarek. Zamiast zegarka nosił na przegubie niewielki przyrząd, kontrolujący drogą radiową wszystko, co było zarejestrowane przez instrumenty w samochodzie.

Kto mógłby tutaj potrzebować zegarka?

Konstelacje powoli obracały się poza połyskującą zorzą. Księżyc Alde stał ponad ośnieżonym szczytem, zalewając go srebrem. Resztę gór krył tłoczący się wokół las. Drzewa w nim był to głównie trzęsoliść i pierzastoblada plumablanca, jak duch bielejąca wśród cieni. Kilka cierniowców płomiennych jarzyło się jak grona przyćmionych latarni. Poszycie było ciężkie i słodko pachniało. Poprzez błękitny półmrok widziało się zaskakująco daleko. Gdzieś w pobliżu zaszemrał strumyk i ptak zagwizdał głosem fletu.

- Pięknie tutaj - powiedział Sherrinford. Wstali już od kolacji, lecz jeszcze nie zdążyli rozpalić ogniska ani usiąść ponownie.

- Ale obco - równie cicho odpowiedziała Barbro. - Zastanawiam się, czy ten świat jest rzeczywiście dla nas. Czy możemy mieć nadzieję, że go posiadziemy.

Ustnikiem fajki wskazał gwiazdy.

- Człowiek dotarł do dziwniejszych miejsc niż to.

- Naprawdę? Ja... och, to pewnie ślady mego dzieciństwa na bezdrożach, ale wiesz, kiedy widzę nad sobą gwiazdy, świecące tak jasno, nie mogę o nich myśleć jak o kulach gazu, których energia została zmierzona i opisana, których planety deptały najzwyklejsze stopy. Nie, one są małe i zimne, i magiczne. Nasze życie jest z nimi związane. A gdy umieramy, szepczą do nas w naszych grobach. - Barbro spuściła wzrok. - Zdaję sobie sprawę, że to idiotyzm.

Widziała poprzez zmierzch jego tężejącą twarz.

- Wcale nie - powiedział. - Z punktu widzenia emocji większym idiotyzmem może być fizyka. W końcu, jak sądzę, po iluś pokoleniach myśl podąży za emocją. W głębi duszy człowiek wcale nie jest racjonalistą. Może przestać wierzyć w teorie naukowe, jeśli przestaną mu się one wydawać właściwe. - Zamilkł na chwilę. - Ta ballada, która nie została dokończona w domu Ironsów... - powiedział nie patrząc na nią. - Dlaczego ona tak na ciebie podziałała?

- Nie mogłam dłużej słuchać, jak się ich gloryfikuje. Tak to w każdym razie wyglądało. Przepraszam za zamieszanie.

- Przypuszczam, że ta pieśń jest typowym przykładem pewnego rodzaju ballad.

- No cóż, nigdy mi nie przyszło do głowy, żeby je klasyfikować. Etnografia jest czymś, na co nie mamy na Rolandzie czasu, a właściwie, co jest bliższe prawdy, nawet nie pomyśleliśmy, przy tym nawale innych zadań, aby się nią zająć. Jednak teraz, gdy o tym wspomniałeś, tak, to zaskakujące, jak wiele pieśni i przekazów zawiera motyw Arvida.

- Czy odważyłabyś się wyrecytować tę balladę do końca? Wysiłkiem woli zmusiła się do śmiechu.

- Mogę zrobić nawet więcej, jeśli tego chcesz. Przyniosę multirę i zaśpiewam.

Opuszczała jednak hipnotyczny refren, poza ostatnią zwrotką. Sherrinford patrzył na nią, jak stoi na tle księżyca i zorzy.

Rzekła cicho do niego

Pani Powietrza i Mroku:

„Odpocznij już, Arvidzie,

Przyjmie cię nasze plemię,

Nie musisz być człowiekiem,

Zbyt ciężkie jest to brzemię”.

***Odważył się powiedzieć:
„Uciekać od was muszę,
W moim domu czeka dziewczka,
Co mi oddała duszę.
Czekają też druhowie
I pracy moc została,
Bo kimże byłby Arvid
Nie trując swego ciała.
Więc użyj swojej magii.
Niech się kamieniem stanę.
Twój gniew mnie może zabić,
Lecz wolnym pozostanę”.***
***Stała, spowita w piękno
I strach, i blask północy,
Pani Powietrza i Mroku.
I musiał spuścić oczy.
A potem się zaśmiała
I wzgardą głos jej brzmiał.
„Nie muszę rzucać czarów,
Byś odtąd zawsze łkał.
Do domu wrócisz z niczym
Oprócz dręczących wspomnień
O wietrze i muzyce,
O nocy, mgle i o mnie.
Pójdą za tobą wszędzie,
Dzień każdy zaćmią cieniem
I leżeć z tobą będą,
Gdy zmorzy cię znużenie.
Ból nagły dźgnie cię w serce
I płakać będziesz w głos,
Gdy wspomnisz, jaki jest,
A jaki mógł być los.
Swą tępą, głupią żonę
Co noc w ramiona bierz.
Do domu wracaj, Arvid,***

*Człowiekiem bądź, jak chcesz!”
Ze śmiechem, migotaniem
Zewnętrznych taniec znikł,
Samotny został Arvid
I łkał po bladej świt.
Pod cierniowcem taniec się wije.*

Odłożyła lirę na bok. Liście zaszemrały, poruszone wiatrem. Po długim milczeniu Sherrinford zapytał:

- I takie opowieści są częścią życia każdego mieszkańca bezdroży?

- No cóż, chyba tak - odpowiedziała. - Jednak nie wszystkie są pełne istot nadprzyrodzonych. Niektóre opowiadają o bohaterstwie i miłości. Tradycyjne tematy.

- Sądzę, że wasz folklor nie narodził się tak po prostu, sam z siebie - powiedział poważnym głosem. - Wiele z waszych pieśni i opowieści, jak mi się zdaje, nie zostało ułożonych przez istoty ludzkie.

Zamknął gwałtownie usta i już nic więcej na ten temat nie powiedział. Wcześniej poszli spać.

Kilka godzin później poderwało ich buczenie alarmu.

Dźwięk nie był głośny, jednak natychmiast ich rozbudził. Na wszelki wypadek spali w ubraniach. Poświata nieba oświetliła ich przez przezroczysty dach. Sherrinford zerwał się z koi, wskoczył w buty i przypiął do pasa kaburę z pistoletem.

- Zostajesz tutaj - rozkazał.

- Co się dzieje? - Puls dudnił jej w skroniach. Rzucił okiem na wskaźniki przyrządów i porównał je z kontrolką na swym przegubie.

- Zwierzęta, trzy sztuki - policzył. - Jednak nie dzikie, które przypadkowo tędy przechodzą. Największe, ciepłokrwiste sądząc z podczerwieni, trzyma się trochę z tyłu. Następne... hmm, niska temperatura, rozproszona i niestała emisja, jakby było raczej jakimś... jakimś rojem komórek, koordynowanych... zapachowe...? unosi się w powietrzu, też w pewnej odległości. Ale trzecie jest praktycznie tuż przy nas, przemyka się przez krzaki, i jego charakterystyka wygląda na ludzką.

Widziała, jak drżał z niecierpliwości, już nie wyglądając jak profesor.

- Spróbuję go złapać - powiedział. - Gdy będziemy mieli kogo wypytać... - Bądź gotowa szybko mnie wypuścić z powrotem. Ale sama nie wychodź, cokolwiek się zdarzy, i trzymaj palec na spuście - podał jej naładowaną wielkokalibrową strzelbę.

Przystanął przy drzwiach, potem otworzył je gwałtownie. Powietrze z zewnątrz wdarło się do środka, zimne, wilgotne, pełne woni i szmerów. Oliver również już wszedł, dzieląc niebo z Aldo. Blask obu był nierealnie jaskrawy, a zorza sączyła się bielą i lodowatym błękitem.

Sherrinford znowu spojrzał na kontrolkę na przegubie. Musiała wskazywać kierunki, wiodące do tych, którzy stali wśród pstrokatych liści obserwując obóz. Nagle skoczył przed siebie. Przebiegł obok popiołów ogniska i zniknął pod drzewami. Ręka Barbri stężyła na kolbie broni.

Eksplozja hałasu. Dwie sylwetki, szczipione w walce, wypadły na łąkę. Sherrinford zamknął w uchwycie tego drugiego, niższego, człowieka. W spływającym z góry srebrze i w tęczowych pobłyskach Barbri widziała, że był to mężczyzna, nagi, długowłose, gibki i młody. Walczył z demoniczną zaciekłością, próbując używać zębów, stóp i długich, zakrzywionych paznokci. Co chwila wył jak szatan.

W nagłym błysku zrozumienia pojęła, kim on jest: odmieńcem, skradzionym w dzieciństwie i wychowanym przez Dawny Lud. Ten stwór jest istotą, w jaką zostałyby zamieniony Jimmy...

- Ha! - Sherrinfordowi udało się odwrócić przeciwnika i wbić usztywnione palce w jego splot słoneczny. Chłopak zachłysnął się powietrzem i zwiotczał. Detektyw powłókł go w stronę samochodu.

Spośród drzew wynurzył się olbrzym. Sam mógłby być drzewem, czarnym i pomarszczonym, z czterema sękatymi konarami. Ziemia drżała i huczała pod jego nogokorzeniami, ochryply ryk wypełnił niebiosa i czaszki.

Barbri wrzasnęła. Sherrinford błyskawicznie się odwrócił. Wyrwał pistolet z kabury, strzelił i jeszcze raz strzelił - stłumiony trzask bata w półmroku. Wolne ramię trzymało przeciwnika w mocnym uchwycie. Olbrzymi kształt zachwiał się pod ciosami kuł, odzyskał jednak równowagę i znów ruszył naprzód, wolniej, ostrożniej, okrążając Sherrinforda, żeby odciąć mu drogę do samochodu. Detektyw nie mógł poruszać się dostatecznie szybko, by tego uniknąć. Musiałby wypuścić swego więźnia - jedynego przewodnika do Jimmiego, na jakiego mogli liczyć...

Barbri wyskoczyła z samochodu.

- Nie! - krzyknął Sherrinford. - Na miłość boską, nie wychodź! Potwór zagrzmiął i wyciągnął łapy w jej stronę. Szarpnęła spust. Odrzut wbił jej kolbę w ramię. Kolos okręcił się i upadł. Zdołał jednak jakoś się dźwignąć i ciężko ruszył w jej stronę. Cofnęła się. Znowu strzeliła, i znowu. Zacharczał. Krew skapywała z jego cielska i błyszczała oleiście między kroplami rosy. Odwrócił się i odszedł, łamiąc gałęzie, w zalegającą poza drzewami ciemność.

- Schowaj się! - wrzeszczał Sherrinford. - Jesteś poza polem ochronnym!

Nad jej głową przepłynęła mglistość. Niemal w tej samej chwili zobaczyła na skraju polany nową postać.

- Jimmy! - wrzasnęła.

- Mamo! - Wyciągnął ku niej ręce. Światło księżyców skrzyło się w jego łzach. Odrzuciła broń i pobiegła ku niemu.

Sherrinford skoczył w pogoń. Jimmy cofnął się w krzaki. Barbro wpadła tam za nim, między szponiaste gałązki. Chwilę potem została schwytana i uniesiona w ciemność.

Stojąc nad swym więźniem Sherrinford wzmacniał natężenie fluoro-światła, aż las za oknem przestał być widoczny. Chłopak kręcił się niespokojnie pod tą kaskadą bezbarwnej jasności.

- Będiesz mówił - powiedział mężczyzna spokojnie, mimo surowości malującej się na jego twarzy.

Chłopiec spojrzał przez zaslonę splecionych włosów. Na jego szczęce purpurowiało stłuczenie. W czasie, w którym Sherrinford gonił i utracił kobietę, chłopak niemal odzyskał zdolność do ucieczki. Po powrocie detektyw z trudem go schwycił. Posiłki Zewnętrznych mogły nadejść w każdej chwili, nie było więc czasu bawić się w uprzejmości. Sherrinford uderzył go pięścią i zaciągnął do wnętrza pojazdu. Teraz chłopak siedział, przywiązany do obrotowego fotela.

Splunął.

- Mówił z tobą, błotniaku? - Jednak pot błyszczał mu na skórze i oczy skakały niespokojnie po metalu, który był jego więzieniem.

- Podaj jakieś imię, którym mógłbym cię nazywać.

- Żebyś rzucił na mnie czar?

- Moje brzmi Eryk. Jeśli nie zostawisz mi wyboru, będę musiał cię nazywać...
hmmm... Wilkołak.

- Jak? - Związany, mimo że wyglądał tak dziwnie, był podobny do każdego chłopca w jego wieku. - A więc Pasterz Mgły. - Śpiewny akcent w jego angielskim

podkreślał jeszcze zły humor chłopaka. - To tylko znaczenie mego imienia, ale ono nie brzmi w ten sposób. W każdym razie takie jest moje mówione imię, żadne inne.

- Aha, imię, które uważasz za prawdziwe, trzymasz w tajemnicy?

- Nie ja. Ona. Ja sam nie wiem, jakie ono jest. Ale Ona zna prawdziwe imiona wszystkich.

Sherrinford uniósł brwi.

- Ona?

- Ta, która panuje. Niech mi wybaczy, ale nie mogę wykonać gestu szacunku, gdy mam związane ręce. Niektórzy najeźdźcy nazywają ją Królową Powietrza i Mroku.

- Ach tak! - Sherrinford wydobył fajkę i tytoń. Cisza wzbierała, gdy ją zapalał. W końcu powiedział: - Muszę przyznać, że Dawni Ludzie mnie zaskoczyli. Nie spodziewałem się, że w twojej grupie jest istota tak potężna. To, czego się dotychczas dowiedziałem, wskazywało, że oni oddziałują na moją rasę - i twoją również, chłopcze - poprzez kradzieże, podstępny i omamy.

Pasterz Mgły skinął zaczepnie głową.

- Nasza Pani dopiero niedawno stworzyła pierwszych nikorów. Niech pan nie myśli, że ona ma w swym repertuarze tylko ogłupiające sztuczki.

- Nie myślę. Jednak porządna, obleczone w stal kulka też nieźle się sprawia, prawda?

Sherrinford mówił nadal, miękko, głównie do siebie:

- Ciągle jednak uważam, że, hmm... nikory - i w ogóle wszystkie wasze humanoidy - są po to, żeby je pokazywać, a nie żeby ich używać. Moc tworzenia miraży na pewno jest w dużym stopniu ograniczona, zarówno pod względem zasięgu, jak i ilości osobników, które ją mają. W przeciwnym razie ona nie musiałaby działać tak powoli i delikatnie. Nawet poza naszą tarczą ochronną Barbro, moja towarzyszka, mogła się oprzeć omamowi, mogła pozostać świadoma, że to, co zobaczyła, było nierzeczywiste... gdyby tak bardzo nie uległa emocjom i pragnieniu, gdyby była mniej wzburzona...

Sherrinford otoczył swą głowę obłokiem dymu.

- Nieważne, czego ja doświadczyłem - powiedział. - Nasze odczucia nie mogły być takie same. Myślę, że po prostu wydano nam rozkaz: „Zobaczcie, jak to, czego najbardziej pragniecie, ucieka przed wami w głąb lasu”. Oczywiście niedaleko zaszła, zanim nikor ją pochwycił, a ja nie mogłem przecież liczyć na to, że uda mi się ich wyśledzić, nie jestem arktykańskim traperem, a poza tym łatwo by im było

zastawić na mnie pułapkę. Wróciłem do ciebie. - I groźniej: - Jesteś nicią, która mnie zaprowadzi do twej pani.

- Myślisz, że cię zaprowadzę do Starhaven lub Carheddin, błotniaku? Spróbuj mnie zmusić!

- Chcę ubić z tobą interes.

- Podejrzewam, że chce pan czegoś więcej - w odpowiedzi Pasterza Mgły kryła się zaskakująca przenikliwość. - Co im pan powie po powrocie do domu?

- Taak, na tym właśnie polega cały problem, prawda? Barbro Cullen i ja nie jesteśmy zastraszonymi pionierami. Pochodzimy z miasta. Przywieźliśmy ze sobą sprzęt nagrywający. Będziemy pierwszymi ludźmi, którzy złożą sprawozdanie ze spotkania z Dawnym Ludem i będzie ono szczegółowe i wiarygodne. Wywoła wiele szumu, za którym pójną działania.

- Więc sam pan widzi, że nie boję się śmierci - oświadczył Pasterz Mgły, choć usta lekko mu drżały. - Jeżeli dopuszczę pana do mego ludu i pozwolę poddać go pańskim ludzkim praktykom, nie mam po co żyć.

- Nie bój się na zapas - powiedział Sherrinford. - Ty jesteś tylko przynętą.

Usiadł i przyglądał się chłopcu, pozornie chłodny i spokojny. (W środku wszystko w nim wyło: Barbro! Barbro!)

- Zastanów się. Twoja Królowa nie może pozwolić, bym spokojnie wrócił do miasta, przyprowadzając swego więźnia, i opowiadał o tych, których ona więzi. Będzie musiała jakoś temu zaradzić. Mógłbym próbować przedrzeć się siłą - ten pojazd jest lepiej uzbrojony, niż ci się wydaje - ale to nikogo by nie uwolniło, więc zostaję tutaj. Jej nowe oddziały dotrą tu najszybciej, jak zdołają. Zakładam, że nie rzucą się ślepo na karabin maszynowy, działko i miotacz promieni. Najpierw będą pertraktować, bez względu na to, czy mają uczciwe zamiary czy nie. I w ten sposób osiągnę swój cel - uda mi się nawiązać kontakt.

- Co pan zamierza zrobić? - w głosie chłopca kryła się udręka.

- Najpierw to, jako rodzaj zaproszenia - Sherrinford wyciągnął rękę, by pstryknąć wyłącznikiem. - O właśnie. Wyłączyłem pole chroniące przed czytaniem myśli i iluzjami. Przypuszczam, że przynajmniej przywódcy będą w stanie wyczuć, że już go nie ma. To powinno dać im pewność siebie.

- A teraz?

- Teraz będziemy czekać. Chciałbyś coś zjeść czy się napić?

Przez następne kilka godzin Sherrinford starał się zjednać sobie Pasterza Mgły, dowiedzieć się czegoś o jego życiu. Odpowiedzi, które otrzymywał, były lakoniczne. Przygasił światła w samochodzie i usiadł przy szybie wpatrując się w zmrok. To były naprawdę bardzo długie godziny.

Zakończyły się okrzykiem radości, niemal szlochem, który wyrwał się z piersi chłopca. Z lasu wyszła grupa Dawnych Ludzi.

Niektórzy z nich byli widoczni tak wyraźnie, że mogłoby się zdawać, iż księżyc i gwiazdy zwielokrotniły dla nich swój blask. Ten na czele jechał na białym jeleniu o rogach przybranych girlandami. Miał ludzkie kształty, był jednak nieziemsko piękny; srebrnoblond włosy spływały spod rogatego hełmu, otaczającego dumną, zimną twarz. Płaszcz poruszał się na jego ramionach jak żywe skrzydła. Śnieżnosrebrna zbroja dźwięczała, gdy się zbliżał.

Za nim, z jego lewej i prawej strony, jechali ci, co nieśli miecze, na których ostrzach tańczyły i chwiały się małe płomyki. Ponad nimi skrzydlate stada śmiały się i śpiewnie nawoływały, wywracając koziolki w podmuchach wiatru. Gdzieś z boku unosiła się półprzezroczysta mglistość. Innym, idącym między drzewami, trudniej się było przyjrzeć. Jednak poruszali się ze srebrnopłynną gracją, w rytm melodii granych na harfach i piszczalkach.

- Lord Luighaid - w głosie Pasterza Mgły brzmiała nabożna cześć. - Jej pan. Posiadający Wiedzę, we własnej osobie.

Sherrinford nigdy nie był w trudniejszej sytuacji niż teraz, kiedy siedział przy pulpicie kontrolnym, z palcem przy guziku uruchamiającym pole ochronne, którego nie uruchamiał. Opuścił część dachu, aby głosy miały dostęp do wnętrza. Podmuch wiatru uderzył go w twarz, przynosząc zapach róż z ogrodu jego matki. Z tyłu, w głównej części pojazdu. Pasterz Mgły napinał krępujące go więzy, by móc widzieć nadchodzącą grupę.

- Zawołaj do nich - powiedział Sherrinford. - Spytaj, czy będą ze mną rozmawiać. Nieznane, śpiewnosłodkie słowa przefrunęły tam i z powrotem.

- Tak - przetłumaczył chłopiec. - On będzie mówił. Lord Luighaid. Jednak chcę panu powiedzieć, że oni nigdy stąd pana nie puszczą. Niech pan z nimi nie walczy. Niech się pan ukorzy. Idzie z nimi. Nie będzie pan wiedział, co to znaczy żyć, dopóki nie zamieszka pan w Carheddin pod górą.

Zewnętrzni podeszli bardzo blisko.

Jimmy zamigotał i zniknął.

Barbro leżała w mocnych ramionach, opierając się o szeroką pierś, i czuła ruch konia pod sobą. To musiał być koń, mimo że hodowano ich już bardzo niewiele, do jakichś specjalnych celów lub po prostu z miłości. Czuła poruszanie się mięśni pod skórą, słyszała szelest rozgarnianego listowia i głuchoe stuki, gdy kopyta uderzały o kamienie. Otaczało ją napływając przez ciemność ciepło i zapach żywego stworzenia.

Ten, który ją niósł, powiedział łagodnie:

- Nie bój się, kochana. To był tylko miraż. Ale on na nas czeka i jedziemy do niego.

Zdawała sobie sprawę, w jakiś niewyraźny sposób, że powinna czuć strach lub rozpacz... Jednak jej wspomnienia pozostały gdzieś za nią - nie była nawet pewna, jak znalazła się tutaj - po prostu ją wieziono i wypełniała ją świadomość, że jest kochana. Spokój, spokój, odpoczywaj w cichym oczekiwaniu na radość...

Chwilę później las się otworzył. Przecięli łąkę, usłaną kamieniami, białoszarymi w księżycowym świetle. Ponad rosnącymi na wolnych skrawkach ziemi kwiatami tańczyły trzepotki, maleńkie komety. Przed nimi błyszczała góra ze szczytem w koronie z chmur.

Oczy Barbro były skierowane w stronę, w którą jechali. Zobaczyła głowę konia i, spokojnie zaskoczona, pomyślała: To przecież Sambo, którego miałam, gdy byłam dziewczynką. - Spojrzała w górę, na mężczyznę. Miał na sobie czarną tunikę i pelerynę z kapturem, zaciemniającym jego twarz. Nie mogła głośno krzyknąć, nie tutaj.

- Tim - wyszeptała.

- Tak, Barbro.

- Przecież cię pochowałam...

W jego uśmiechu była nieskończona czułość.

- Czy myślałaś, że jesteśmy tylko tym, co wraca do ziemi? Biedne, rozdarte maleństwo. Ta, która nas wezwała, jest Wszech-uzdrowicielką. Teraz odpoczywaj i śnij.

- Śnić - powiedziała i przez moment usiłowała się podnieść. Jednak daremnie. Dlaczego miałyby wierzyć w te martwe opowieści o... o atomach i energiach, z niczym, co by wypełniało obszary pustki... opowieści, których nie mogła sobie przypomnieć... wierzyć teraz, gdy Tim i koń, którego podarował jej

ojciec, nieśli ją do Jimmiego? Czy ta inna rzeczywistość nie była tylko złym snem, z którego dopiero teraz po raz pierwszy się budzi?

Mężczyzna obok niej, jakby słysząc jej myśli, powiedział cicho:

- Mają taką pieśń w krainie Zewnętrznych. Pieśń Ludzi:

Świat żegluj

Gnany niewidzialnym wiatrem.

Wokół dziobu wiruje światło.

Przebudzenie jest nocą.

Jednak Mieszkańcy nie znają takiego smutku.

- Nie rozumiem - powiedziała. Skinął głową.

- Jest wiele rzeczy, które będziesz musiała zrozumieć, kochana, i nie zobaczę cię znowu, aż nauczysz się tych prawd. Jednak przez ten czas będziesz z naszym synem.

Próbowała podnieść głowę i pocałować go. Powstrzymał ją.

- Jeszcze nie teraz - powiedział. - Nie zostałam przyjęta do ludu Królowej. Nie powinienem był po ciebie przyjeżdżać, ale ona była zbyt litościwa, by mi zabronić. Odpoczywaj, odpoczywaj.

Czas przepływał obok nich. Koń galopował wytrwale w górę, nie potykając się, nie gubiąc rytmu. W pewnej chwili w oddali zauważyła jadącą w dół grupę i pomyślała, że zdążają oni na ostatnią, rozstrzygającą bitwę przeciwko... komu...? temu, który czekał, owinięty w żelazo i smutek... Nie teraz, potem zada sobie pytanie o imię człowieka, który przywiózł ją do kraju Dawnych Prawd.

W końcu strzeliste wieże wzniosły się między gwiazdy... gwiazdy, które są małe i magiczne i których szepty kołyszą nas, gdy umrzemy. Wjechali na podwórzec, oświetlony nieruchomymi płomieniami świec, wypełniony pluskiem wody w fontannach i śpiewem ptaków. W powietrzu unosił się zapach broku i pericoupu, a także ruty i róż, bo nie wszystko, co człowiek przyniósł, było okropnością. Mieszkańcy, promieniujący pięknem, czekali, by ją powitać. Z tyłu, za ich wspaniałością, harcowały puki, nurzając się w zmierzchu, dzieci ganiały się wśród drzew, beztroska i radość mieszały się z bardziej już stateczną muzyką.

- Przyjechaliśmy... - głos Tima wydał jej się nagle, niewytłumaczalnie, skrzeczeniem. Barbro nie bardzo wiedziała, w jaki sposób zsiadli z konia. Stała przed nim i widziała, jak on chwieje się na nogach.

Strach ścisnął jej gardło.

- Dobrze się czujesz? - chwyciła jego dłonie.

Były zimne i szorstkie. Gdzie się podział Sambo? Jej oczy przeszukiwały ciemność pod kapturem. Chciała wykorzystać lepsze oświetlenie, żeby wyraźnie zobaczyć twarz mężczyzny. Jednak była ona zamazana, ciągle się zmieniała.

- Co się stało, och, co się dzieje?!

Uśmiechnął się. Czy to był ten uśmiech, który tak kochała? Nie mogła sobie dokładnie przypomnieć.

- Ja... muszę teraz odejść - wyjąkał tak cicho, że ledwie go słyszała. - Nasz czas jeszcze nie nadszedł.

Wyrwał się z jej uścisku i oparł o zawiniętą w długą szatę postać, która pojawiła się przy jego boku. Ponad ich głowami wirowała mglistość.

- Nie patrz, jak odchodzę... jak wracam do ziemi - w jego głosie było błaganie.
- Dla ciebie to śmierć. Aż wróci nasz czas... Spójrz, nasz syn!

Musiała odwrócić wzrok, szybko. Kłękając rozłożyła szeroko ręce. Jimmy uderzył w nią jak gorąca, masywna kula armatnia. Mierzwiła mu włosy, całowała wgłębienie pod brodą, śmiała się i płakała, i paplała jak idiotka; i nie był to duch, wspomnienie, które rozplynęło się, gdy przestała patrzeć. Jej oczy, skupione na szukaniu śladów krzywd, które go mogły spotkać - głodu, choroby, przerażenia - i żadnych nie znajdując, od czasu do czasu chwytały obrazy tego, co działo się wokół. Ogrody zniknęły. Ale to było nieważne.

- Tak tęskniłem za tobą, mamo. Zostaniesz?

- Zabiorę cię do domu, najdroższy.

- Zostań. Tu jest przyjemnie. Pokażę ci. Ale tu zostań.

Przez półmrok zmierzchu przebiegł poszept. Barbro wstała. Jimmy przylgnął do jej ręki. Stali przed Królową.

Bardzo była wysoka w swych szatach utkanych ze światła północy i w swej gwiazdnej koronie, i w girlandach niepocałujek. Jej twarz przywodziła na myśl Wenus z Milo, której zdjęcie Barbro często oglądała w krainach ludzi, była jednak bardziej świetlista i miała w sobie więcej dostojeństwa. Ogrody wokół Królowej znów zbudziły się do istnienia, wraz z nimi pałac Mieszkańców i niebosiężne wieże.

- Bądź pozdrowiona i witaj - przemówiła głosem jak pieśń - już na zawsze.

Przełamując wypełniający ją lęk Barbro powiedziała:

- Matko Księżyców, pozwól nam wrócić do domu.

- To być nie może.

- Do naszego świata, małego i ukochanego - Barbro śniła, że błaga - który zbudowaliśmy dla siebie i hołubimy dla naszych dzieci.

- Do więziennych dni, nocy pełnych gniewu, pracy, która kruszy się w palcach, do miłości obracających się w próchno lub kamień, lub chwastolot, do strat i bólu, i pewności jedynej tego, że koniec będzie tylko nicością. Nie. Również ty, która się staniesz Wędrującą, będziesz się radować, gdy sztandary Pozaświata przybędą z łopotem do ostatniego z miast i człowiek się wreszcie wypełni życiem. Teraz idź z tymi, którzy cię nauczą.

Królowa Powietrza i Mroku wzniosła ramię gestem wezwania. Zawisło w powietrzu, jednak nikt się nie zjawił.

Spoza fontann i muzyki dobiegł złowrogi warkot. Buchnęły ognie, zagrzmiwały pioruny. Tłumy Jej sług pierzchły z krzykiem przed stalową groźbą, z hukiem wjeżdżającą na zbocze góry. Puki zniknęły w trzepocie przerażonych skrzydeł. Nikory rzuciły swe cielska przeciw pseudożywemu najeźdźcy i przepadały, aż ich Matka krzyknęła, aby uciekały.

Barbro przewróciła Jimmiego i zakryła go swoim ciałem. Wieże chwiały się i rozpływały w dymie. Góra stała naga pod mroźnymi księżycami, okryta tylko osypiskiem kamieni, masywnymi głazami i w oddali lodowcem, w którego głębiach pulsowało błękitem światło zorzy. W skalnej ścianie ciemniało wejście do jaskini. Tam kierował się strumień uciekających, szukając schronienia w podziemiach. Niektórzy z nich byli ludźmi z urodzenia, niektórzy groteskowymi stworami, jak upiory, puki czy nikory, jednak większość stanowiły istoty małe i chude, łuskowate, długoogoniaste i długopyskie, w niczym nie przypominające ani ludzi, ani Zewnętrznych.

Przez kilka chwil - nawet gdy Jimmy zanosił się płaczem na jej piersi, być może w równym stopniu dlatego, że czar prysł, jak i dlatego, że Jimmy się bał - Barbro było żal Królowej, stojącej samotnie ze swą nagością. Później również i ta istota uciekła i świat Barbro rozsypał się na kawałki.

Strzały umilkły, pojazd zatrzymał się z chrzęstem. Wskoczył z niego chłopiec, krzycząc dziko:

- Cieniu Snu, gdzie jesteś? To ja. Pasterz Mgły! Chodź tutaj, chodź! - aż sobie przypomniał, że język, w którym zostali wychowani, nie był ludzki. Krzyczał więc dalej w tej innej mowie, aż z krzaków, w których dotychczas się chowała, wymknęła się dziewczyna. Patrzyli na siebie poprzez kurz, dym i księżycową poświatę. Pobiegnęła ku niemu.

Z samochodu inny głos zawołał:

- Barbro, szybciej!

Przystani Bożego Narodzenia nieobce było światło dnia, krótkiego o tej porze roku, a jednak: promienie słońca, błękitne niebo, białe chmury, połyskująca woda, słona bryza na ruchliwych ulicach, i logiczny nieporządek salonu Eryka Sherrinforda.

Siedząc w fotelu krzyżował i rozstawiał swe długie nogi i pykał z fajki, jakby chciał stworzyć zasłonę dymną. Powiedział:

- Jesteś pewna, że już wydobrzałaś? Nie wolno ci ryzykować nadmiernego wysiłku.

- Czuję się znakomicie - odpowiedziała Barbro Cullen, mimo że jej głos był jeszcze słaby i bezdźwięczny. - Tak, jestem wciąż zmęczona. Bez wątplenia widać to po mnie. Nie można przeżyć czegoś takiego i w ciągu tygodnia być z powrotem na nogach. Ale jestem czujna i gotowa. Szczerze powiedziawszy, myślę, że zanim będę mogła całkiem się uspokoić i odzyskać siły, muszę się dokładnie dowiedzieć, co tam zaszło i co się dzieje tutaj. Nie docierają do mnie żadne wiadomości, znikąd.

- Rozmawiałaś o tej sprawie z innymi?

- Nie. Odwiedzającym mówiłam po prostu, że jestem zbyt wyczerpana, aby rozmawiać. To niezupełnie było kłamstwo. Założyłam jednak, że jest jakiś powód dla stosowania tej cenzury.

Sherrinfordowi jakby ulżyło.

- Grzeczna dziewczynka. To ja domagałem się zachowania tajemnicy. Możesz sobie wyobrazić, jaka by wybuchła sensacja, gdyby to zostało podane do publicznej wiadomości. Władze zgodziły się, że potrzebny jest im czas, żeby dokładnie przyjrzeć się faktom, pomyśleć i podebatować w spokoju. Chcą także opracować rozsądną politykę, żeby ją przedstawić wyborcom, którzy w pierwszym okresie mogą być skłonni do wpadania w histerię. - Kąciki jego ust uniosły się lekko ku górze. - A poza tym i ty, i Jimmy musicie przyjść do siebie, zanim rozpęta się nad wami dziennikarska burza. Jak on się czuje?

- Całkiem nieźle. Ciągle domaga się, żebym mu pozwoliła pójść do Pięknego Miejsca bawić się z przyjaciółmi. Jednak, w jego wieku, wyzdrowieje... zapomni.

- Będzie mógł się z nimi spotkać później.

- Co? Nie zrobiliśmy... - Barbro poruszyła się w swym krześle. - O tym też zapomniałam. Niewiele pamiętam z tych ostatnich kilku godzin. Przywiozłeś kogoś z porwanych ludzi?

- Nie. Szok, którego doznali, był i tak wystarczająco okrutny, bez rzucania ich prosto w... w objęcia instytucji. Pasterz Mgły, w gruncie rzeczy bardzo rozsądny chłopak, zapewnił mnie, że dadzą sobie radę, przynajmniej pod względem podstawowych potrzeb życiowych, do czasu aż wszystko zostanie odpowiednio przygotowane. - Sherrinford zawahał się. - Tylko nie bardzo wiem, co ma być przygotowane. Nikt tego nie wie, na obecnym etapie. Jednak niewątpliwie musimy zapewnić tym ludziom - lub znacznej ich części, szczególnie tym, którzy jeszcze nie są dorośli - ponowne przyłączenie do rasy ludzkiej. Mimo że w cywilizowanym świecie mogą nigdy nie czuć się jak w domu. Być może tak jest najlepiej, z pewnego punktu widzenia, gdyż w kontaktach z Mieszkańcami będziemy potrzebowali akceptowanych przez obie strony łączników. Bezosobowość tych słów działała uspokajająco na nich oboje.

- Czy zrobiłam z siebie straszną idiotkę? Pamiętam, tak, pamiętam, jak wyłam i waliłam głową w podłogę.

- Dlaczego, wcale nie. - Przyglądał się jej przez chwilę, rozważał jej dumę, potem wstał, podszedł i położył jej dłoń na ramieniu. - Zostałaś zwabiona i wpędzona w pułapkę przez umiejętną grę na twych najgłębiej zakorzenionych instynktach, i to w chwili, która sama w sobie była czystym koszmarem. Potem, gdy ten ranny potwór doniósł cię na miejsce, najwyraźniej przyszła do ciebie jakaś inna istota, ktoś, kto mógł manipulować tobą z pomocą sił neuropsychicznych o niewielkim zasięgu. Ukoronowaniem tego wszystkiego było moje przybycie i nagle, brutalne, przerwanie wszystkich halucynacji. To musiało być druzgocące. Nic dziwnego, że krzyczałaś z bólu. Jednak przedtem wniosłaś Jimmiego i sama weszłaś do samochodu, nie przeszkadzając mi w niczym.

- A co ty zrobiłaś?

- Oczywiście odjechałem stamtąd najszybciej, jak to było możliwe. Po kilku godzinach warunki atmosferyczne poprawiły się na tyle, że mogłem połączyć się z Portolondonem i zażądać natychmiastowego przysłania samolotu. Nie dlatego, żeby to było absolutnie niezbędne. Jakie oni mieli szansę nas zatrzymać? Nawet nie próbowali... Jednak szybki transport oczywiście się przydał.

- Wyobrażałam sobie, że właśnie tak to wszystko przebiegło. - Pochwyciła jego szybkie spojrzenie. - To znaczy, chciałam powiedzieć, jak nas tam znalazłeś, na tym pustkowiu?

Sherrinford odsunął się od niej nieco.

- Moim przewodnikiem był mój więzień. Nie sądzę, abym rzeczywiście zabił kogoś z tej grupy, która przyszła rozprawić się ze mną. Mam nadzieję, że nie. Po kilku ostrzegawczych strzałach samochód po prostu przebił się przez nich, a potem zostawił ich daleko z tyłu. To była niezupełnie czysta gra - stal i paliwo przeciwko nagiej skórze. Jednak przy wejściu do jaskini musiałem naprawdę zastrzelić kilku z tych olbrzymów. Nie jestem z tego dumny.

Stał przez chwilę w milczeniu. Potem:

- Byłaś ich więźniem - powiedział. - Nie wiedziałem, co oni z tobą zrobią, a ty byłaś dla mnie najważniejsza. - I po kolejnej przerwie dodał. - Nie spodziewam się już innych aktów przemocy.

- Jak ci się udało skłonić tego... chłopca... do współpracy?

Sherrinford zrobił kilka kroków, od niej ku oknu. Zatrzymał się, patrząc na Ocean Północy.

- Wyłączyłem pole ochronne - powiedział. - Pozwoliłem tej grupie podejść bardzo blisko, wraz z całą wspaniałością iluzji, w którą byli przybrani. Potem włączyłem pole z powrotem i obaj zobaczyliśmy ich tak, jak naprawdę wyglądali. Podczas drogi na północ wyjaśniłem Pasterzowi Mgły, w jaki sposób on i inni w jego rodzaju byli oszukani, wykorzystywani, zmuszani do życia w świecie, który właściwie nigdy nie istniał. Spytałem go, czy chciałby całe życie, aż do końca, spędzić w charakterze domowego zwierzęcia. Owszem, mając trochę wolności, tyle żeby biegać po wzgórzach, lecz zawsze na koniec trafiać z powrotem do pełnej snów zagrody. - Pykał wściekle z fajki. - Niech mi już nigdy nie będzie dane oglądać takiej goryczy. Nauczono go wierzyć w to, że jest wolny.

Wróciła cisza, unosząc się nad odgłosami gorączkowego ruchu ulicznego. Gwiazda Karola Wielkiego zbliżyła się do horyzontu; na wschodzie niebo już pociemniało.

W końcu Barbro spytała:

- Czy wiesz, dlaczego?

- Dlaczego dzieci były wykradane i wychowywane w ten sposób? Częściowo dlatego, że to było zgodne z modelem życia, jaki Mieszkańcy tworzyli, ponadto chcieli obserwować przedstawicieli naszego gatunku i przeprowadzać na nich

eksperymenty - na ich umysłach, nie ciałach. A również dlatego, że ludzie są wyposażeni w specjalne pożyteczne zdolności, na przykład potrafią znosić światło pełni dnia.

- Ale jaki był ostateczny cel tego wszystkiego?

Sherrinford przechadzał się tam i z powrotem.

- No cóż - powiedział - oczywiście najważniejsze, nadrzędne motywy aborygenów pozostają nie wyjaśnione. Możemy zaledwie zgadywać, w jaki sposób oni rozumują, nie wspominając nawet o tym, jak czują. Jednak nasze teorie zdają się zgadzać z faktami.

Dlaczego się ukrywali przed człowiekiem? Podejrzewam, że oni, a raczej ich przodkowie - gdyż nie są to, jak wiesz, rozsiewające blask elfy - są śmiertelni i omylni, jak my. A więc podejrzewam, że z początku tubylcy byli tylko ostrożni, ostrożniejsi nawet niż prymitywni ludzie na Ziemi, którzy równie niechętnie zdradzali swą obecność przed obcymi. Szpiegując, podsłuchując myśli. Mieszkańcy Rolanda nauczyli się naszego języka na tyle, żeby z grubsza pojąć, jak bardzo człowiek jest od nich różny i jak jest potężny. Zrozumieli również, że przybędzie więcej statków i nowi osadnicy. Nie przyszło im do głowy, że moglibyśmy im przyznać pełne prawo do zachowania swych ziem. Być może ciągle przywiązują znacznie większą wagę do podziałów terytorialnych niż my. Zdecydowali się walczyć na swój własny sposób. Przypuszczam, że gdy wreszcie zaczniemy bliżej przyglądać się ich mentalności, nasza psychologia przejdzie swój przewrót kopernikański. Zapłonął w nim entuzjazm.

- I nie będzie to jedyna rzecz, jakiej się nauczymy - kontynuował. - Oni muszą mieć swoją własną naukę, nieczłowieczą, powstałą w świecie, który nie jest Ziemią. Muszą, dlatego że przeprowadzili obserwacje naszej rasy równie starannie i dokładnie jak my sami. Dlatego, że opracowali skierowany przeciw nam plan, którego wykonanie zajęłoby jeszcze sto albo i więcej lat. Co jeszcze oni umieją? W jaki sposób bez widocznego rolnictwa czy naziemnych budynków, bez kopalni lub w ogóle czegokolwiek utrzymują swoją cywilizację przy życiu? W jaki sposób powołują do życia całe nowe gatunki inteligentnych istot? Milion pytań, dziesięć milionów odpowiedzi!

- Czy potrafimy się od nich uczyć? - spytała Barbro cicho. - A może będziemy tylko umieli ich zgnieść i zniszczyć, jak się tego boją?

Sherrinford zatrzymał się, oparł łokieć o gzyms nad kominkiem, nabił fajkę i powiedział:

- Mam nadzieję, że okazemy więcej miłosierdzia, niż zwykle okazuje się pokonanemu wrogowi. Oni przecież są pokonanym wrogiem. Próbowali nami zawładnąć i im się nie udało. A teraz my, w pewnym sensie, dążymy do zawładnięcia nimi, gdyż będą zmuszeni do zawarcia pokoju z cywilizacją maszyn, zamiast, co było ich celem, przyglądać się, jak ona rdzewieje. A jednak nigdy nie wyrządzili nam krzywd tak okrutnych, jakie my sami sobie wzajemnie wyrządzaliśmy w przeszłości. Powtarzam raz jeszcze: oni mogliby nas nauczyć wspaniałych rzeczy. My również moglibyśmy im przekazać naszą wiedzę, gdyby nauczyli się być bardziej tolerancyjni wobec innego stylu życia.

- Myślę, że możemy wydzielić im rezerwat - powiedziała Barbro i nie wiedziała, dlaczego on się tak skrzywił i dlaczego odpowiedział tak szorstko.

- Zostawmy im godność, na którą sobie zasłużyli! Walczyli, aby uchronić świat, który zawsze znali, od tego... - wyciągnął rękę w stronę miasta - i prawdopodobnie lepiej byłoby dla nas samych, gdybyśmy mieli tego mniej.

Oklapł nieco, westchnął.

- Przypuszczam jednak, że gdyby ta Kraina Elfów zwyciężyła, ludzie na Rolandzie powoli, może nawet szczęśliwie, ale w końcu by wymarli. Żyjemy ze swymi archetypami, ale czy potrafilibyśmy żyć w nich?

Barbro potrząsnęła głową.

- Przepraszam, ale nie rozumiem.

- Słucham? - spojrzał na nią z zaskoczeniem, które usunęło w cień melancholię sprzed chwili. Zaśmiał się, a potem: - Cóż za głupiec ze mnie - powiedział. - W ciągu ostatnich dni wyjaśniałem to tyle razy różnym politykom i naukowcom, i członkom komisji, i Bóg wie jeszcze komu, że zapomniałem, iż nigdy nie wyjaśniałem tobie. Wtedy gdy podróżowaliśmy, to był tylko pomysł, dość zresztą mglisty. Ale teraz, po spotkaniu z Zewnętrznymi i zobaczeniu, jak oni działają, zyskałem pewność.

Mocniej ubił tytoń w fajce.

- W ciągu całego zawodowego życia - powiedział - korzystałem w pewnym stopniu z pierwowzoru. Racjonalny detektyw. Nie była to świadomie przyjęta poza, zwykle był to po prostu obraz, który pasował do mojej osobowości i stylu pracy. Jednak wywoływał on i wywołuje u większości ludzi odpowiedni rezonans, bez względu na to, czy słyszeli o oryginale czy nie. To zjawisko nie jest rzadkością. Spotykamy ludzi, którzy przywodzą na myśl Chrystusa lub Budę, lub Matkę Ziemię, czy, ze sfer mniej wzniosłych, Hamleta lub d'Artagnana. W tych postaciach

- historycznych, mitycznych czy fikcyjnych - krystalizują się podstawowe cechy ludzkiej psychiki i kiedy kogoś takiego spotykamy w naszym rzeczywistym świecie, nasze reakcje rodzą się głębiej niż tylko w świadomości.

Człowiek tworzy również archetypy, które nie są osobami, takie jak Anima czy Cień, a tutaj - jak się zdaje - Pozaświat. Kraina magii i uroków - w pierwszym, magicznym znaczeniu tego słowa - zamieszkała przez na wpół ludzkie istoty, niektóre jak Ariel, inne jak Kaliban, jednak wszystkie wolne od przypisanych śmiertelnikom słabości i smutków - przez co może trochę beztrudnie, bardziej niż trochę skłonne do psot. Mieszkańcy zmierzchu i księżycowego światła, niezupełnie bogowie, ale posłuszni rozkazom władców dostatecznie potężnych i enigmatycznych, żeby być bogami... O tak, nasza Królowa Powietrza i Mroku dobrze wiedziała, jakie obrazy pozwolić widzieć samotnym ludziom, jakie od czasu do czasu wokół nich budować iluzje, jakie pieśni i legendy puszczać między nich w obieg. Zastanawiam się, ile ona i jej poddani wzięli z ludzkich baśni, ile jest ich własnym dziełem, a ile stworzyli tutejsi ludzie, zupełnie od nowa, zupełnie bezwzględnie, gdy zamieszkała w nich świadomość tego, że żyją na krańcu świata.

Wzdłuż pokoju kładły się cienie. Wyraźnie się ochłodziło, przycichły nieco fale dobiegającego z ulic hałasu. Barbro spytała stłumionym głosem:

- I do czego to mogło prowadzić?

- Pod wieloma względami - odpowiedział Sherrinford - tutejszy pionier rzeczywiście żyje w średniowieczu. Ma niewielu sąsiadów, niewiele do niego dociera wiadomości z szerokiego świata, moźoli się, żeby przetrwać na ziemiach, które tylko częściowo rozumie, ziemiach, które każdej nocy mogą zesłać na niego nie dające się przewidzieć katastrofy, i jest zewsząd otoczony ogromnymi obszarami pełnej dziczy. Ta cywilizacja techniczna, która przyniosła tutaj jego przodków, dla niego samego jest co najmniej mglista i odległa. Może zagubić jej spuściznę, tak jak średniowiecze zagubiło spuściznę starożytnej Grecji i Rzymu i, jak się wydaje, tak jak zgubiła ją cała Ziemia. Pozwólmy, aby archetypowy Pozaświat popracował nad nim, długo, intensywnie, zręcznie, a w końcu zacznie w głębi duszy wierzyć, że magiczna moc Królowej Powietrza i Mroku jest potężniejsza od energii maszyn, i najpierw jego wiara, a potem również jego czyny poddadzą się jej rozkazom. Och nie, to by nie nastąpiło szybko. Najlepiej, aby ten proces był zbyt powolny, by mógł być zauważony przez zadowolonych z siebie ludzi z miast. A gdy w końcu rolnicze zaplecze, już całkowicie opanowane pierwotnymi

zabobonami, cofnięte do średniowiecza, odwróciłyby się od miast, jak mogłyby one przetrwać?

Barbro odetchnęła głęboko.

- Powiedziała mi, że gdy ich flagi załopoczą nad ostatnim z ludzkich miast, wszyscy się będziemy radować.

- Myślę, że tak by rzeczywiście było, do tego czasu - przytaknął Sherrinford. - Pomimo tego wierzę w prawo do wolnego wyboru własnego losu.

Wstrząsnął się, jakby zrzucając jakiś ciężar. Wystukał z fajki resztki spopielalego tytoniu, potem przeciągnął się, dokładnie, mięsień po mięśniu.

- No, ale na szczęście nie poznamy tej radości - powiedział. Spojrzała wprost na niego.

- Dzięki tobie.

Zaczerwienił się aż po końce uszu.

- Jestem pewien, że z czasem ktoś inny by... Liczy się tylko to, co teraz zrobimy, a ta decyzja jest zbyt poważna, aby mogła być podjęta przez jednego człowieka czy nawet przez jedno pokolenie.

Wstała.

- Chyba że jest to decyzja osobista, Eryku - podpowiedziała, czując, jak płoną jej policzki.

Ciekawie było obserwować jego onieśmienie.

- Miałem nadzieję, że może... spotkamy się jeszcze.

- Oczywiście!

Ayoch siedział na Kurhanie Wolunda. Zorza drżała taką jasnością, tak wielkimi płatami światła, jakby chciała ukryć blednące, znikające księżyce. Kwiaty cierniowców już opadły, zaledwie kilka płomieniło się wśród korzeni, między wyschniętym brokiem, trzeszczącym pod stopami i pachnącym jak dym z ogniska. Powietrze było ciągle ciepłe, jednak z zachodniego horyzontu zniknęła już ostatnia poświata.

- Żegnajcie, szczęśliwej wędrowni! - zawołał puk.

Pasterz Mgły i Cień Snu nie obejrzeni się. Wydawać by się mogło, że zabrakło im odwagi. Szli ciężkim krokiem, znikając już z oczu, ku obozowi ludzi, którego światła tworzyły na południu nową jaskrawą gwiazdę.

Ayoch zwlekał. Czuł, że powinien ofiarować pożegnanie tej, która niedawno dołączyła do cieni śpiących w tym kurhanie. Już pewnie nikt tu nie będzie

przychodził, by się kochać lub szeptać magiczne zaklęcia. Pamięć podsuwała mu tylko jedną starą strofę, która pasowała do chwili. Wstał i cicho zaśpiewał:

*Spomiędzy jej piersi
kwiat wzniosł się do słońca.
Spaliło go lato.
Pieśń dobiegła końca.*

Potem rozpostarł skrzydła do długiego, dalekiego lotu.

Tłumaczył: Darosław J. Toruń

Pieśń pasterza

Trzy kobiety: jedna martwa, jedna żywa, jedna jak tamte obie i jak żadna z nich - nigdy nie będzie żyła i nigdy nie umrze, będąc nieśmiertelna w SUM-ie.

Na wzgórzu ponad tą doliną, przez którą biegnie droga, oczekuję na Jej przejście. Mróz w tym roku nadszedł wcześniej i trawy już zbladły. Stok wzgórza porośnięty jest drzewami jabłoni i jeżynami, z których ludzie pospołu z ptakami zebrali już owoce, pozostawiając tylko nagie łodygi. Jabłonie są bardzo stare, rozrzucone bezładnie po stoku i równie bezładnie powykrzywiane - pozostałość po sadzie, pielęgnowanym przez pokolenia, o których teraz już nikt, poza SUM-em, nie pamięta (widzę fragmenty muru tu i ówdzie wystające ponad gąszcz jeżyn). Już niewiele owoców na nich pozostało. Po skórze przebiega mi dreszcz, powiew wiatru strząsa jabłko. Słyszę, jak uderza w ziemię - jeszcze jedno tyknięcie jakiegoś odwiecznego zegara. Krzewy coś szepczą do wiatru.

Inne wzgórza wokół mnie pokryte są lasem i płoną szkarłatem, miedzią i brązem. Niebo jest ogromne, słońce blednie, chyląc się ku zachodowi. Dolina wypełnia się głębszym i ciemniejszym błękitem, mgielką, której lekka dymność dotyka moich nozdrzy. Jest babie lato, stos pogrzebowy roku.

Były też inne pory. Były inne życia, przed moim i jej. I wtedy ludzie mieli słowa, którymi mogli śpiewać. Ciągle jeszcze dopuszczamy do siebie muzykę, a ja spędziłem dużo czasu na oplataniu melodiami słów na nowo odkrytych. „W czas majowy, dyszący zielenią...” Zdjąłem z pleców harfę i nastroiłem ją. Zaśpiewałem dla niej, prosto w jesień i gasnący dzień.

Przyszłaś. a z tobą słońce.

Radośnie śmieją się liście.

Dziewanny z miłości drżące.

W zieleni lśnią złociście.

Stopy, opadając, poruszają trawę dość delikatnie i kobieta mówi z udawanym śmiechem:

- No cóż, dziękuję.

Kiedyś, tak krótko po śmierci mojej dziewczyny, że ciągle byłem oszołomiony, stałem w mieszkaniu, które należało do nas. To było na sto pierwszym piętrze najbardziej atrakcyjnego budynku. Po zmierzchu miasto jarzyło się dla nas, mrugało i lśniło, rozwijało jak sztandary ogromne połacie jasności. Nic poza SUM-em nie było w stanie kontrolować miliona samochodów powietrznych,

tańczących między wieżami jak roje świateł, utrzymywając w ruchu całego miasta, od siłowni atomowych, przez automatyczne fabryki, sieci dystrybucji energii i dóbr, systemy oczyszczania i urządzenia naprawcze, po usługi, oświatę, kulturę i prawo - wiązać wszystko w jeden gigantyczny, nieśmiertelny organizm. Chlubiliśmy się faktem, że należymy do tego miasta, tak samo jak tym, że należymy do siebie.

Jednak w ten wieczór kazałem kuchni wyrzucić do śmietnika obiad, który dla mnie przygotowała. Rozgniotłem obcasem podane przez automat medyczne chemikalia pocieszające i kopnąłem odkurzacza, gdy zbierał ich okruchy. Rozkazałem światłom, by się nie zapalały, nigdzie, w całym mieszkaniu. Stałem przy ścianie widokowej, patrząc na megalopolis i widziałem tandetę i krzykliwość. Obracałem w dłoniach glinianą figurkę, którą ona ulepiła. Obracałem ją, obracałem, obracałem.

Zapomniałem tylko drzwiom zakazać wpuszczania gości. Poznały tę kobietę i otworzyły się dla niej. Przyszła z uprzejmości, zamierzając wyrwać mnie z nastroju, który wydawał jej się nienaturalny. Usłyszałem, jak wchodzi i obejrzałem się, próbując przebić wzrokiem ciemność. Była niemal tego samego wzrostu co moja dziewczyna i jej włosy były przypadkowo upięte tak samo, jak ona lubiła to robić - figurka wypadła mi z dłoni i roztrzaskała się, gdyż przez moment myślałem, że ona to tamta. Od tej pory musiałem ze sobą walczyć, żeby nie czuć do Thrakii nienawiści.

Teraz, nawet bez światła zachodzącego słońca, nie pomyliłbym się w taki sposób. Nic, poza srebrzystą bransoletą na jej lewym przegubie, nie przypomina naszej wspólnej przeszłości. Ma na sobie traperskie ubranie: wysokie buty, spódniczkę z prawdziwego futra i pas z prawdziwej skóry, nóż na biodrze i strzelbę przerzuconą przez ramię. Jej włosy są splecione, skóra brązowa od spędzonych na otwartej przestrzeni tygodni. Pod fantastycznymi, wielokolorowymi zygzakami, którymi pomalowała swoje ciało, widać zadrapania i brud. Nosi naszyjnik z ptasich czaszek.

Ta, która jest martwa, była na swój sposób dzieckiem drzew i przestrzeni w znacznie większym stopniu niż naśladowcy Thrakii. Gdy miasta nam się przejadły i wyszliśmy z nich, nie musiała wyzbywać się ubrania ani czystości, rozsądku ani delikatności, żeby pod gołym niebem czuć się jak w domu. Z tej właśnie cechy zaczerpnąłem wiele imion, którymi ją nazywałem, takich jak Leśne Żrebię czy Łania, czy, znalezione w czasie grzebania w starych księgach. Driada i Elf. (Lubiła,

gdy wybierałem jej imiona, i ta przyjemność nie miała końca, gdyż ona była nienasycona).

Pozwalam strunom wydźwięczeć się w ciszę. Odwracając się, mówię do Thrakii:

- Nie śpiewałem dla ciebie. Ani dla nikogo. Zostaw mnie w spokoju. Thrakia wzdycha głęboko. Wiatr rozwiewa jej włosy i przynosi mi jej zapach: nie kobiecej słodczy, ale strachu. Zaciska pięści i mówi:

- Jesteś pomyłony.

- Stąd wzięłaś tak pełne treści słowo? - szydę, gdyż mój własny ból i, prawdę mówiąc, strach musi się wyzwolić, uderzyć w coś, a proszę, ona tu stoi. - Już cię nie zadawała “niezrównoważony” czy “nieopanowany”?

- Nauczyłam się od ciebie - mówi wyzywająco - z twych przeklętych starożytnych pieśni. Masz następne słowo, „przeklęty”. Jakże ono do ciebie pasuje! Kiedy masz zamiar przestać zachowywać się jak chory?

- I oddać się do kliniki, i pozwolić ładnie i higienicznie wyprać sobie mózg. Nieprędko, kochanie. - Używam tego ostatniego słowa z premedytacją. Ale ona nie może wiedzieć, jaki żal i smutek ono dla mnie niesie, dla mnie, który pamiętam, że to również mogło być imię mojej dziewczyny. Oficjalna gramatyka i wymowa języka dzięki elektronicznym nagraniom i neuronicznemu nauczaniu jest równie stała i zamrożona, jak każdy inny element naszej cywilizacji. Lecz znaczenia zmieniają się, przesuwają i ślizgają jak węże.

Wzruszam ramionami i najbardziej suchym, najbardziej miejsko-technicznym głosem, na jaki mnie stać, mówię:

- W rzeczywistości jestem jednostką praktyczną, bez żadnych patologicznych skłonności. Zamiast uciekać od swych problemów - przez narkotyki czy neurokorektę, czy, jak ty, przez zabawę w dzikusa - jestem właśnie w przededniu realizacji bardzo konkretnego planu, polegającego na odzyskaniu osoby, która czyniła mnie szczęśliwym.

- Przeszkadzając Jej w powrocie do domu?

- Gdy Ciemna Królowa przebywa na ziemi, każdy ma prawo składać do niej prośby.

- Ale odpowiedni czas już minął...

- Nie określa tego żadne prawo. Tylko zwyczaj. Ludzie boją się z nią spotkać poza tłumem, miastem, jaskrawymi światłami. Nie przyznają się do tego, ale tak jest. Przyszedłem tutaj dokładnie po to, aby nie być fragmentem kolejki. Nie chcę

mówić do magnetofonu, żeby potem moje słowa poddawane były komputerowej analizie. Jak mógłbym mieć pewność, że Ona słuchała? Chcę sam się z Nią spotkać, ja, niepowtarzalna istota, chcę patrzeć w Jej oczy, gdy wypowiem swą modlitwę. Thrakia zduszonym głosem mówi:

- Będzie się gniewać.

- Czy Ona jest jeszcze zdolna do gniewu?

- Ja... ja nie wiem. Jednak to, o co chcesz prosić, jest tak nieprawdopodobne.

Tak absurdalne. SUM ma ci oddać twoją dziewczynę. Wiesz przecież, że On nigdy nie robi wyjątków.

- A czy Ona sama nie jest wyjątkiem?

- To co innego. Jesteś nierozsądny. SUM musi mieć jakiegoś... bezpośredniego łącznika z ludźmi. Potrzebuje informacji kulturowych i emocjonalnych tak samo jak statystyki. Jak bez tego mógłby racjonalnie rządzić? I spośród wszystkich ludzi, z całego świata wybrał właśnie Ją. A kim była twoja dziewczyna? Nikim!

- Dla mnie była wszystkim.

- Dla ciebie... - Thrakia zagryza wargę. Jej ręka sięga ku mnie, dłoń zaciska się na moim nagim ramieniu. Twardy, gorący uścisk, brudne paznokcie wpijają się w skórę. Gdy nie reaguję, otwiera dłoń i wbija wzrok w ziemię. Wielkie "V" odlatujących dzikich gęsi przemierza niebo

nad nami. Ich krzyki przebijają się ostro przez szum wiatru, narastający w lesie.

- No dobrze - mówi - ty jesteś wyjątkowy. Zawsze byłeś. Wyruszyłeś w przestrzeń z Wielkim Kapitanem i wróciłeś. Być może jesteś jedynym żyjącym człowiekiem, który rozumie starożytnych. Więc może Ona cię wysłucha. Ale SUM nie. On nie może obdarowywać wskrzeszeniami. Jeżeli raz to zostanie zrobione, jeden jedyny raz, czy nie będzie musiało być powtarzane dla każdego? Martwi przytłoczą żywych.

- Niekoniecznie - mówię. - Ja w każdym razie zamierzam spróbować.

- Dlaczego nie możesz poczekać do dnia obiecanego? Wtedy SUM z pewnością odtworzy was dwoje w tym samym pokoleniu.

- Musiałbym to życie, przynajmniej to, przeżyć bez niej - mówię i odwracam wzrok. Patrzę w dół, na drogę lśniącą poprzez cienie wzdłuż całej doliny jak wąz śmierci. - Poza tym skąd wiesz, że w ogóle będą jakiegokolwiek wskrzeszenia? Mamy tylko obietnicę. Nawet mniej. Ogłoszony program.

Thrakia łapie gwałtownie powietrze, odskakuje ode mnie, podnosi rękę, jakby chciała odbić cios. Jej bransoleta rozbłyskuje światłem prosto w moje oczy. Poznaję początkową fazę egzorcyzmu. Thrakia nie zna rytuału - wszelkie "przesady" już dawno zostały starannie wyskrobane z naszego metalowo-energetycznego świata. Ale nawet jeśli nie potrafi znaleźć odpowiedniego słowa, odpowiedniej formy, to na pewno odzęgnie się od bluźnierstwa.

Mówię więc zmęczonym głosem, nie chcąc żadnych kłótni, pragnąc tylko czekać tutaj w samotności:

- Nieważne. Może się zdarzyć jakiś kataklizm, na przykład uderzy w nas wielki asteroid. Zmiecie cały system, zanim warunki dojrzeją do tego, by wskrzeszenia mogły być rozpoczęte.

- To jest niemożliwe - jest doprowadzona niemal do wściekłości. - Homeostaty, systemy naprawcze...

- Dobrze, nazwij to skrajnie nieprawdopodobnym, teoretycznie tylko możliwym przypadkiem. I założmy również, że ja jestem takim egoistą, iż chcę powrotu Skrzydła Jaskółki teraz, w tym życiu, i nic mnie nie obchodzi, czy to jest w porządku wobec reszty was.

Was też nikt inny nie obchodzi, myślę. Nikogo z was. Wy nie rozpaczacie. Jediną rzeczą, którą chcecie ochronić, jest wasza własna, najcenniejsza w świecie świadomość. Nikt nie jest wam tak bliski, żeby się naprawdę liczył. Czy uwierzylibyście mi, gdybym wam powiedział, że jestem gotów ofiarować SUM-owi moją własną śmierć w zamian za uwolnienie Kwiatka W Słońcu?

Nie wypowiadam tej myśli. To by było okrutne. Nie powtarzam również tego, co jest jeszcze okrutniejsze: moich obaw, że SUM kłamie, że umarli nigdy nie zostaną zwrócenii. Gdyż (ja nie jestem Wszechkontrolującym, nie myślę próżnią i negatywnymi poziomami energii, lecz zwyczajnymi, powstałymi na ziemi molekułami - potrafię jednak rozumować beznamiętnie, bo wyzbyłem się iluzji) zastanówcie się... Celem tej gry jest zachowanie społeczeństwa stabilnego, praworządnego i zdrowego. To wymaga zaspokojenia nie tylko potrzeb cielesnych, ale również tych, które mają znaczenie symboliczne lub wynikają z przyrodzonych instynktów. I dlatego dzieciom musi być wolno przychodzić na świat. Minimalna ich liczba na pokolenie jest równa maksymalnej: jest to liczba, która utrzyma populację na stałym poziomie.

Pożądane jest również usunięcie z umysłów ludzi strachu przed śmiercią. Stąd przyrzeczenie: w czasie, który będzie odpowiedni ze względów społecznych,

SUM zacznie nas odtwarzać, wraz ze wszystkimi naszymi wspomnieniami, ale w rozkwicie młodości. I to może być robione wielokrotnie, życie za życiem, przez tysiąclecia. Więc śmierć jest w rzeczywistości tylko snem.

...W tym śnie śmiertelnym, co się może jawić... Nie. Ja nie odważę się na tym polegać. Zadaję więc tylko jedno małe pytanie, moje własne:

Kiedy i w jaki sposób, według oczekiwań SUM-a, warunki (przy stabilnym społeczeństwie, pamiętajcie) miałyby się stać tak różne od dzisiejszych, żeby narodzeni na nowo mogli być, w swych milionowych masach, bezpiecznie powitani wśród żywych?

Nie widzę powodu, dla którego SUM nie miałby nam kłamać. My również jesteśmy tylko przedmiotami w świecie, którym On manipuluje.

- Już przedtem się o to kłóciliśmy, Thrakia - wzdycham. - Często. Dlatego tak się tym martwisz?

- Sama chciałabym to wiedzieć - odpowiada cicho. Mówi dalej na wpół do siebie: - Oczywiście chcę z tobą kopulować. Musisz być dobry, sądząc z tego, jak ta dziewczyna wodziła za tobą oczami, jak się uśmiechała, dotykając twojej dłoni, jak... Ale przecież nie możesz być lepszy niż wszyscy inni. To niedorzeczne. Istnieje tylko określona liczba możliwych sposobów. Więc dlaczego boli mnie to, że otulasz się milczeniem i odchodzisz samotnie? Może właśnie przez to stajesz się dla mnie wyzwaniem?

- Za dużo myślisz - mówię. - Nawet tutaj. Grasz człowieka pierwotnego. Odwiedzasz dzikie obszary, żeby "zaspokoić wrodzone atawistyczne impulsy"... jednak nie potrafisz wyzbyć się tego komputera, który w tobie siedzi, i po prostu czuć, po prostu istnieć.

Najeża się. Dotknąłem czulej struny. Patrząc obok niej, wzdłuż rzędów płomiennych klonów i sumaków, miedzianych wiązów i wielkich, ciemnych dębów, widzę wychodzące spod drzew sylwetki. To wyłącznie kobiety, jej naśladowczynie, tak samo zaniedbane jak ona. Jedna z nich przepasana jest sznurem martwych kaczek, których krew spłynęła po jej udzie i zaschła na czarno. Ten ruch, z jego nie ujętą jeszcze w słowa mistyką, jest dziełem Thrakii. Twierdzi ona, że nie tylko mężczyźni powinni porzucać łatwe życie i przyjemności miast i stawać się znowu, na kilka tygodni w ciągu każdego roku, mięsożercami, podobnymi tym, którzy dali początek naszemu gatunkowi. Również kobiety winny tego szukać, aby tym głębiej doceniać cywilizację, kiedy do niej wrócą.

Przez chwilę czuję się nieswojo. Nie jesteśmy w parku, wśród wytyczonych ścieżek i obozowisk z pełną obsługą. Jesteśmy w dziczy. Niewielu tu przychodzi mężczyzn, a jeszcze mniej kobiet, gdyż ten region leży, dosłownie, poza prawem. Żaden popełniony tu czyn nie podlega karze. Powiedziano nam, że to pomaga w zespoleniu społeczeństwa, gdyż najbardziej gwałtowni spośród nas mogą się w ten sposób wyładować. Spędziłem jednak dużo czasu na tym dzikim obszarze, od kiedy moja Jutrzenka odeszła - sam nie szukając niczego poza samotnością - i oczami, które czytały antropologię i historię, obserwowałem, co się tu dzieje. Powstają obyczaje, rozwijają się struktury. Ceremonie i organizacje plemienne, krwiożerczość i okrucieństwo, zachowania, które gdzie indziej nazwane by zostały nienaturalnymi - wszystko to z każdym rokiem staje się coraz bardziej wymyślne i coraz chętniej widziane. A potem ludzie, którzy w tym uczestniczą, wracają do swych domów w miastach i szczerze wierzą, że korzystali ze świeżego powietrza, ćwiczeń fizycznych i z dobrej, rozładowującej napięcia zabawy.

Wystarczy Thrakię dostatecznie zdenerwować, a może wezwać na pomoc noże.

Dlatego zmuszam się do położenia rąk na jej ramionach, spoglądam w jej uduńczone oczy i mówię jak najłagodniej:

- Przepraszam. Wiem, że chcesz dobrze. Boisz się, że Ona wpadnie w złość i sprowadzi nieszczęście na twoich ludzi. Thrakia przelyka ślinę.

- Nie - szepcze. - To by było nielogiczne. Ale boję się tego, co może się stać z tobą. A potem... - Nagle przytuliła się do mnie. Przez tunikę czuję nacisk jej ramion, piersi, brzucha, czuję zapach łąk w jej włosach i piżmo w jej ustach.

- Odejdiesz! - zawodzi. - I kto będzie dla nas śpiewał?

- Och, planeta roi się od pieśniarzy - zająkuję się.

- Ty jesteś kimś więcej - mówi. - Dużo, dużo więcej. Nie lubię tego, co śpiewasz, tak naprawdę - i tego, co śpiewałeś od śmierci tej głupiej dziewczyny, takie to bezsensowne, okropne! - jednak, sama nie wiem dlaczego, ale ja chcę, żebyś wzbudzał we mnie niepokój.

Niezdarnie poklepuję ją po plecach. Słońce stoi teraz tuż nad wierzchołkami drzew. Jego promienie przecinają nie kończącymi się smugami niespokojne, marznące powietrze. Drzę z chłodu w mej tunice i chodakach i zastanawiam się, co robić.

Ratuje mnie dźwięk. Rozlega się z końca leżącej pod nami doliny. z miejsca, gdzie dwie skalne ściany zasłaniają dalszy widok. Huczy w naszych uszach i

drzeniem ziemi przenika do kości. Słyszeliśmy go w miastach i wtedy byliśmy zadowoleni, że wokół siebie mamy ściany, światła i tłumy ludzi. Teraz jesteśmy z nim sam na sam, z hałasem Jej rydwanu.

Kobiety krzyczą, słyszę ich piskliwe głosy, zagłuszane przez wiatr i zbliżający się łoskot, i uderzenia mego pulsu. Znikają w lesie. Odszukają swe obozowisko, ubiorą się ciepło, zapalą ogromne ogniska. Połkną swe ekstazy, a potem... krążą niepokojące pogłoski na temat tego, co będą potem robiły.

Thrakia chwytą mój lewy przegub, tuż nad bransoletą duszy, i ciągnie.

- Harfiarzu, chodź ze mną! - błaga. Wyrywam się i zbiegam w dół zbocza, ku drodze. Przez chwilę ściga mnie krzyk.

Światło ciągle rozjaśnia niebo i szczyty wzgórz, jednak ja, schodząc w wąską dolinę, zanurzam się w ciemność, gęstniejącą coraz bardziej. Ledwo widoczne pędy jeżyn wyginają się, gdy je rozgarniam, i zahaczają mnie kolcami. Od czasu do czasu czuję drapanie po nogach, szarpnięcie, gdy kolec zaczepia o ubranie, czuję chłód, którym oddycham, lecz wszystko to jest przytłumione. Mój postrzegany-zewnętrzny-świat jest przytłoczony przez dudnienie Jej rydwanu i krwi w moich żyłach. Mój wewnętrzny wszechświat to strach, tak, ale również uniesienie, alkoholowe upojenie, które wyostrza zamiast przytłumiać zmysły, zapomnienie narkotyczne, otwierające umysł w równym stopniu jak emocje. Wyszedłem poza siebie, jestem ucieleśnionym dążeniem. I nie z potrzeby ukojenia, ale żeby wypowiedzieć to, co jest, powracam do słów, których twórca już od wieków jest tylko pyłem, i użyczam im mojej muzyki:

Złote me serce i świat jest złoty

I szczyt się w słońcu złoci.

A wzgórze cicho zmierzchem oddycha

Pierwszą obawą nocy.

Aż tajemnica w głuchej dolinie

Pęknie jak grom złowrogo.

I wiatr zawieje, i blask ściemnieje

I noc napelni trwogą.

A wtedy o zmroku pod niebem wysoko

W języku mi nie znanym

Wiadomość usłyszę od twych towarzyszy

Już dawno zapomnianych.

I pieśń się poniesie po wzgórzach, po lesie

Głucha, niepoczyszona.

I ziemia, i niebo dowiedzą się tego,

Że mój przyjaciel skonał.

Jednak dotarłem już na dno doliny i Ona stała się widoczna. Jej rydwan nie jest oświetlony, gdyż radarowe oczy i bezwładnościowe naprowadzacze nie potrzebują reflektorów ani słońca czy gwiazd. Nie mająca kół stalowa łaza jedzie, unoszona swym własnym rykiem i strumieniem powietrza. Szybkość nie jest wielka, znacznie mniejsza niż ta, z jaką zwykły jeździć nasze, śmiertelników, pojazdy. Ludzie mówią, że Ciemna Królowa podróżuje tak wolno, żeby móc postrzegać swymi własnymi zmysłami i dzięki temu być lepiej przygotowana do udzielania rad SUM-owi. Jednak teraz Jej doroczny objazd dobiegł końca. Jedzie do swego domu i aż do wiosny będzie mieszkała z Tym, który jest naszym panem. Dlaczego więc również tej nocy się nie śpieszy?

Ponieważ śmierć nigdy nie musi się śpieszyć? Zastanawiam się. I gdy wychodzę na środek drogi, nieodparcie narastają we mnie wersy z jeszcze bardziej odległej przeszłości. Uderzam struny harfy i wyśpiewuję ponad huk nadjeżdżającego pojazdu:

Ja, com był w zdrowiu i radości,

Od wielkiej cierpię dziś słabości,

Przypadki mną targają złe.

Timor mortis conturbat me.

Pojazd wykrywa mnie i wyje ostrzegawczo. Stoję, jak stałem. Może mnie ominąć, droga jest szeroka - nawet gdyby nie była, to i tak gładka nawierzchnia nie jest mu potrzebna. Jednak mam nadzieję, wierzę, że Ona będzie świadoma przeszkody na Jej drodze, i nastroi swe przeróżne wzmacniacze, i stwierdzi, że dostatecznie odbiegam od normy, żeby się zatrzymać. Kto w świecie rządzonym przez SUM-a - kto, nawet spośród zwiadowców, których On wysłał w przestrzeń w swym nie znającym zaspokożenia głódzie informacji - kto stałby w zimnym zmierzchu dzikich pustkowi i krzychał do wtóru powarkującej harfy:

Na nic wesela nam gloryja,

Cały ten świat jeno przemija,

Wróg czyha na me ciało mdle.

Timor mortis conturbat me.

Niepełna dola człeczka wcale,

Zdrowie i ból, i śmiech, i żale,

To by tańcował, to mu źle.

Timor mortis conturbal me.

Niestale życia są koleje

I jako wierzba wiatr nim chwieje,

Marność pędzi on i dmie.

Timor mortis conturbat me.

Pojazd podjeżdża do mnie i opada na ziemię. Pozwalam, by dźwięki mych strun ucichły, uniesione wiatrem. Niebo ponad nami i na zachodzie jest szaropurpurowe; na wschodzie już pociemniało i przebija przez nie kilka wczesnych gwiazd. Tutaj, na dnie doliny, gęsto zalegają cienie, nie pozwalając mi wyraźnie widzieć.

Oslona kabiny odsuwa się do tyłu. Ona stoi w swym rydwanie, wyprostowana, niewyraźnie rysując się nade mną. Jej suknia i płaszcz są czarne i trzepoczą jak skrzydła zaniepokojonego ptaka. Jej twarz jest jasną plamą pod kapturem. Już wcześniej widywałem tę twarz - w pełnym świetle i na nie wiadomo ilu tysiącach fotografii. Jednak teraz, w tej chwili, nie mogę przywołać jej z pamięci, obraz jest niedokładny. Mówię sobie - ostro rzeźbiony profil i blade usta, kruczoczarne włosy i podłużne, zielone oczy - ale to są tylko słowa, nic więcej.

- Co ty wyprawiasz? - Ma piękny, niski głos. Czy jest w nim, och, jakże rzadkie od czasu, gdy SUM wziął ją do siebie - czy jest w nim poruszenie, niemal niezauważalne? - Co ty śpiewałaś, co to było?

Jestem unoszony coraz wyżej i wyżej przez wezbrany we mnie strumień i moja odpowiedź jest mocna, tak mocna, że rezonuje mi czaszka.

- Pani Nasza, mam prośbę.

- Dlaczego nie przyszedłeś z nią przed me oblicze, gdy przebywałam wśród ludzi? Dzisiaj zdążam do domu. Musisz zaczekać, aż z nowym rokiem znów wyruszę w drogę.

- Pani Nasza, ani Ty, ani ja nie życzylibyśmy sobie, aby czyjeś uszy słyszały to, co mam do powiedzenia.

Przygląda mi się przez długą chwilę. Czy rzeczywiście również w Niej wyczuwam strach? (Oczywiście nie mnie się boi. Jej rydwan jest uzbrojony i opancerzony i gdybym uciekł się do gwałtu, zareagowałby z szybkością maszyny, by Ją chronić. A gdybym jakoś, co nieprawdopodobne, zabił Ją lub zranił ponad możliwości leczenia chemochirurgicznego, to Ona jest jedynym ze wszystkich stworzeń, które nie musi bać się śmierci. Gdy my umieramy, nasze zwyczajne

bransolety krzyczą falami radiowymi o dostatecznej mocy, by zostały one usłyszane w co najmniej kilku stacjach fanatycznych. I rzadko się zdarza, aby pod ich osłoną dusza została uszkodzona w czasie czekania, aż zjawią się Skrzydlate Koła i uniosą ją do SUM-a. Z pewnością diadem Ciemnej Królowej jest lepiej zabezpieczony i może wysłać wezwanie dalej niż bransoleta któregokolwiek ze śmiertelników. I nie ulega żadnej wątpliwości, że Ona zostanie odtworzona. Już bywała w przeszłości, niejednokrotnie - śmierć i odrodzenie po upływie każdych siedmiu lat powodują, że służy SUM-owi wiecznie młoda. Nigdy nie byłem w stanie dowiedzieć się, kiedy Ona urodziła się po raz pierwszy).

Być może to strach przed tym, co śpiewałem i co mogę powiedzieć?

Wreszcie odzywa się - ledwie słyszę przez powiewy i trzaski wśród drzew.

- Więc daj mi Pierścień.

Obok Niej pojawia się karłowaty robot, który zwykle tkwi przy Jej tronie, gdy Ona siedzi wśród ludzi. Wyciąga ku mnie masywne, matowo-srebrne koło. Wkładam w nie lewe ramię, tak że moja dusza jest całkowicie otoczona. Tabliczka na górnej powierzchni Pierścienia, która tak bardzo przypomina brylant, odchyła się ode mnie i nie mogę przeczytać tego, co jest na niej wyświetlane. Jednak gdy Ona pochyla się, by spojrzeć, błada poświata wydobywa z mroku rysy Jej twarzy.

Oczywiście, mówię sobie, prawdziwa dusza nie jest badana. Zajęłoby to zbyt dużo czasu. Prawdopodobnie bransoleta ma wbudowany kod identyfikacyjny. Pierścień przekazuje go do odpowiedniej części SUM-a, który natychmiast wysyła w odpowiedzi to, co jest pod tym kodem zarejestrowane. Mam nadzieję, że nie kryje się w tym nic więcej. SUM nie uważał za stosowne nam powiedzieć.

- Jakim imieniem nazywasz siebie w tej chwili? - pyta Ona. Przez wezbrany we mnie strumień przepływa nurt gorzkości.

- Pani Nasza, dlaczego miałoby cię to interesować? Czy moim właściwym imieniem nie jest numer, który otrzymałem, gdy zezwolono mi się urodzić?

Znowu spływa na Nią spokój.

- Jeżeli mam właściwie oceniać twoje słowa, muszę wiedzieć o tobie więcej niż tylko to, co wynika z tych kilku oficjalnych danych. Imię wskazuje nastrój.

Ja także czuję się znowu niewzruszony, mój strumień płynie tak gładko i silnie, że mógłbym nie wiedzieć, iż byłem w ruchu, gdybym nie obserwował, jak czas zanika poza mną.

- Pani Nasza, nie mogę Ci dać uczciwej odpowiedzi. W ciągu tego ostatniego roku nie przejmowałem się imionami ani w ogóle niemal niczym. Ale niektórzy ludzie, znający mnie z dawniejszych czasów, nazywają mnie Harfiarzem.

- Co robisz poza graniem tej ponurej muzyki?

- Obecnie, Pani Nasza, już nic. Mam pieniądze na to, żeby przeżyć swoje życie, jeżeli będę oszczędnie jadał i nie będę utrzymywał domu. Często jestem karmiony i goszczony w zamian za moje pieśni.

- To, co śpiewasz, jest niepodobne do wszystkiego, co słyszałam od czasu... - I znowu, na krótko, ten spokój, spokój robota, jest zachwiany. - Od czasu poprzedzającego stabilizację świata. Nie powinieneś budzić umarłych symboli, Harfiarzu. One wędrują po ścieżkach ludzkich snów.

- Czy to źle?

- Tak. Sny stają się koszmarami. Pamiętaj: zanim SUM wprowadził ład, logikę i porządek, rodzaj ludzki, wszyscy, którzy kiedykolwiek żyli, byli szaleni.

- A więc dobrze - mówię - przestanę, odstąpię od tego, jeżeli moja zmarła zostanie dla mnie obudzona.

Ona sztywnieje. Tabliczka gaśnie. Cofam moje ramię i Pierścień zostaje zabrany przez Jej sługę. I na dnie tej tonącej w cieniach doliny, pod mrugającymi gwiazdami Ona znowu jest bez twarzy. Jej głos jest równie zimny jak otaczające nas powietrze:

- Nikt nie może zostać przywrócony do życia, dopóki nie nadejdzie Czas Zmartwychwstania.

Nie mówię: "A co z Tobą?", gdyż byłaby to złośliwość. Co Ona myślała, jak szlochła, gdy SUM wybrał Ją spośród wszystkich młodych świata? Co musiała wycierpieć przez swe stulecia? Nie śmiem sobie tego wyobrazić.

Zamiast tego uderzam struny harfy i śpiewam, tym razem spokojnie:

Rzuć na nią róże, płatki róży,

Gałęzi świerczyn nie kładź tu.

Bo w niej jest cisza, kres podróży.

O, chciałbym znać ten bezkres snu.

Ciemna Królowa krzyczy:

- Co ty wyprawiasz? Czy naprawdę jesteś szalony? Przeskakuję od razu do ostatniej strofy.

Duchowi, mimo bujnych mocy,

Tchu brakło wciąż, trzepotał w snach;

Lecz oto dziś w głębinach nocy

Dziedziczy śmierci wielki gmach.

Wiem, dlaczego moje pieśni uderzają tak mocno: ponieważ niosą w sobie lęki i pasje, do których w świecie rządzonym przez SUM-a nikt “ nie przywykł, o których większość z nas nie wie, że w ogóle mogą istnieć. Nie ośmielałem się mieć nadziei, że Ona mogłaby być nimi tak poruszona, jak to teraz widzę. Czyż nie żyła z ciemnością i strachem, jakich nawet starożytni nie mogliby sobie wyobrazić? Woła:

- Kto umarł?

- Miała wiele imion. Żadne nie było dostatecznie piękne. Jednak mogę podać jej numer.

- Twoja córka? Ja... czasami jestem pytana, czy zmarłe dziecko nie mogłoby być przywrócone życiu. Już niezbyt często, teraz, gdy dzieci tak szybko oddawane są do żłobków. Jednak od czasu do czasu to się zdarza. Mówię wtedy matce, że może mieć nowe. Jeśli kiedykolwiek zaczęlibyśmy odtwarzać zmarłe dzieci, na jakim poziomie wieku mielibyśmy się zatrzymać?

- Nie, to była moja kobieta.

- Niemożliwe! - Stara się, aby ton jej głosu nie był nieuprzejmy, lecz za to jest w nim niemal wściekłość. - Bez trudu znajdziesz sobie inną. Jesteś przystojny, a twoja psychika jest, jest... nadzwyczajna. Pali jak Lucyfer.

- To Ty pamiętasz imię “Lucyfer”, Pani Nasza? - uderzam. - Więc rzeczywiście jesteś stara. Tak stara, że musisz również pamiętać, iż mężczyzna może pragnąć tylko jednej kobiety, jej jednej ponad cały świat i niebiosa.

Próbuje bronić się szyderstwem:

- Czy to było odwzajemnione, Harfiarzu? Wiem o ludziach więcej niż ty i z pewnością jestem ostatnią kobietą, która żyje w czystości.

- Teraz, gdy ona odeszła, tak, Pani, być może jesteś. Jednak my... Czy wiesz, jak ona umarła? Poszliśmy na dzikie obszary. Zobaczył ją mężczyzna, samą, gdyż ja udałem się na poszukiwanie kamieni szlachetnych, by miała z nich naszyjnik. Zrobił jej propozycję. Omówiła. Zagroził jej użyciem Siły. Uciekła. To była pustynna kraina, kraina zmij, a ona była boso. Jedna z nich ją ukąsiła. Znalazłem ją dopiero kilka godzin później. Do tej pory jad i palące słońce... Umarła wkrótce po tym, jak mi powiedziała, co się stało i że mnie kocha. Nie mogłem dostarczyć jej ciała do chemochirurgii dostatecznie szybko, by możliwe było normalne ożywienie. Musiałem pozwolić, aby ją spalili i zabrali jej duszę do SUM-a.

- Jakim prawem żadasz jej z powrotem, jeżeli nikt inny nie może otrzymać swoich zmarłych?

- Prawem mojej miłości do niej i jej miłości do mnie. Jesteśmy sobie bardziej niezbędni niż słońce czy księżyc. Nie sądzę, abyś znalazła dwoje innych ludzi, Pani, z którymi jest jak z nami. A czyż każdy nie ma prawa żądać tego, co mu jest niezbędne do życia? Jak inaczej społeczeństwo może zostać utrzymane w całości?

- Jesteś nieprawdopodobny - mówi słabo. - Pozwól mi odejść.

- Nie, Pani, mówię tylko prawdę. Ale zwykle, ubogie słowa nie służą mi dobrze. Zaśpiewam Ci, może wtedy zrozumiesz. - I znowu uderzam struny harfy, lecz to, co śpiewam, jest bardziej dla niej niż dla Niej.

Gdybym pomyślał, że umrzeć możesz,
Nie płakałbym po tobie,
Lecz zapomniałem, w szczęśliwej porze,
Że ludzki kres w żalobie.
Nie przyszło mi do głowy wcale,
Że gdzieś u kresu drogi
Ujrzę na twarzy twej owalu
Ostatni uśmiech błogi.

- Nie mogę... - zająkuje się. - Nie wiedziałam, że... takie uczucia... tak silne... że jeszcze istnieją.

- Teraz już. Pani Nasza, wiesz. Czy nie jest to ważna informacja dla SUM-a?

- Tak. Jeśli jest prawdziwa. - Nagle pochyla się ku mnie. Widzę, jak drży w ciemności, pod swym łopoczącym płaszczem, i słyszę, jak Jej zęby dzwonią z zimna. - Już dłużej nie mogę tu zostać. Ale jedź ze mną. Śpiewaj dla mnie. Myślę, że potrafię to wytrzymać.

Nie oczekiwałem aż tak wiele. Lecz mój los zależy ode mnie. Wsiadam na rydwan. Pokrywa zatrząskuje się szczelnie i ruszamy.

Otacza nas główna kabina. Za jej tylnymi drzwiami muszą znajdować się pomieszczenia, w których Ona mieszka na ziemi - to jest naprawdę duży pojazd. Jednak tutaj znajduje się niewiele oprócz zakrzywionych, wyłożonych boazerią ścian. Boazeria jest z prawdziwego drewna o różnych, przyjemnych dla oka słojach: a więc Ona także potrzebuje co pewien czas ucieczki od naszej mechanicznej egzystencji? Umeblowanie jest skromne i proste. Jedyne dźwięki to odgłos naszej jazdy, dla nas stłumiony do pomruku. A ponieważ fotowzmacniacze czujników nie są włączone, ekrany pokazują tylko noc. Ciśniemy się do promiennika, dłonie

wyciągnięte w stronę jego żaru. Nasze ramiona ocierają się, nasze nagie ręce, Jej skóra jest delikatna i Jej włosy opadają luźno na odrzucony do tyłu kaptur, pachnąc latem, które umarło. Więc Ona ciągle jest człowiekiem?

Po chwili bez wymiaru mówi, ciągle jeszcze na mnie nie patrząc:

- Ta rzecz, którą śpiewałaś tam na drodze, gdy się zbliżałam - nie pamiętam jej. Nawet z lat, które były, zanim stałam się tym, czym jestem.

- Ta pieśń jest starsza niż SUM - odpowiadam - i zawarta w niej prawda będzie żyła dłużej niż On.

- Prawda? - widzę, jak tężeje. - Zaśpiewaj mi resztę. Moje palce nie są już zbyt sztywne, żeby wydobyć akordy.

Śmierć zła jednako wszystkich traci,

Giną książęta i prałaci.

Każdego równo kosa tnie.

Timor mortis conturbat me.

Takoż rycerza się nie boi,

Choć tarczę ma i stąpa w zbroi,

Zwycięża ona, kogo tknie.

Timor mortis conturbat me.

Takoż ów tyran bezlitosny

Dzieciątka ścina w paku wiosny.

Maleńkie bardzo, tuż po krzcie.

Timor mortis conturbat me.

Walczącym w polu leż zabieży

I wodza trafi, choć on w wieży.

Dama w łożnicy także mrze.

(Tu muszę zamilknąć na chwilę).

Timor mortis conturbat me.

I astrologus wraz z magikiem,

Teolog, logik z retorykiem

Rozumem swym nie wykpi się.

Timor mortis conturbat me.

Przerywa mi, przyciskając dłoń do uszu i niemal krzyżąc:

- Nie!

Ja, który stałem się bezlitosny, prześladuję Ją:

- Teraz już rozumiesz, prawda? Ty również nie jesteś wieczna. SUM nie jest. Ani Ziemia, ani Słońce, ni gwiazdy. Chowaliśmy się przed prawdą. Każdy z nas. Ja również, aż straciłem jedyną rzecz, która sprawiała, że wszystko miało sens. Potem już nie zostało mi nic do stracenia, mogłem więc spojrzeć świeżymi oczyma. A tym, co zobaczyłem, była śmierć.

- Wynoś się! Daj mi spokój!

- Nie dam spokoju całemu światu. Królowo, aż ją odzyskam. Oddaj mi ją, a znów uwierzę w SUM-a. Będę Go sławił, aż ludzie zatańczą z radości, słysząc Jego imię.

Patrzy na mnie wyzywająco oczyma dzikiego kota.

- Sądziś, że to ma dla Niego jakieś znaczenie?

- No cóż - wzruszam ramionami - pieśni mogą być użyteczne. Mogą pomóc we wcześniejszym osiągnięciu wielkiego celu. Jakikolwiek on jest. „Optymalizacja sumy ludzkich działań” - taki chyba był program? Nie wiem, czy ciągle taki jest. SUM rozbudowywał się przez tak długi czas. Wątpię, czy Ty sama rozumiesz Jego cele, Pani Nasza.

- Nie mów o Nim, jakby był żywy - odpowiada mi szorstko. - To jest kompleks obliczeniowo-wykonawczy. Nic więcej.

- Jesteś pewna?

- Ja... tak. On myśli szerzej i głębiej, niż kiedykolwiek myślał czy mógł myśleć człowiek. Ale nie jest żywy, nie jest świadomy, nie posiada jaźni. To jedna z przyczyn, dla których zdecydował, że mnie potrzebuje.

- Jakkolwiek to jest, Pani - mówię - ostateczny rezultat, bez względu na to, co on w końcu z nami zrobi, jest jeszcze bardzo odległy. Teraz, obecnie, myślę o tym, martwię się, złości mnie, że straciliśmy zdolność samookreślenia. Lecz jest tak dlatego, że pozostały mi tylko takie abstrakcje. Oddaj mi moją Lekkostopą i ona, a nie odległa przyszłość, będzie przedmiotem mojej troski. Będę wdzięczny, szczerze wdzięczny, i wy dwoje będziecie to wiedzieć z pieśni, które będę śpiewał. A one, jak już powiedziałem, mogą być Jemu pomocne.

- Jesteś niewiarygodnie bezczelny - mówi głosem bez siły.

- Nie, Pani, tylko zdesperowany - odpowiadam.

Cień uśmiechu dotyka Jej ust. Odchyła się, oczy przysłonięte, i mruczy:

- Dobrze, wezmę cię tam. To, co się później stanie, zdajesz sobie z tego sprawę, nie zależy już ode mnie. Moje obserwacje, moje rekomendacje są tylko kilkoma czynnikami, które należy uwzględnić, kilkoma spośród milionów. No nic...

mamy przed sobą długą drogę tej nocy. Podaj mi informacje, które twoim zdaniem mogą ci pomóc, Harfiarzu.

Nie kończę "Elegii". Również w żaden inny sposób nie trzymam się żalobnego nastroju. Zamiast tego odwołuję się do tych, którzy opiewali radość (nie zabawę, nie krótkie zapomnienia, ale radość) z tego, że mężczyzna i kobieta mogli kiedyś wzajemnie się posiadać.

Ja również, wiedząc, dokąd się udajemy, potrzebuję takiej otuchy. A noc się pogłębia i mile zostają za nami. Wreszcie jesteśmy poza terenami zamieszkanymi, poza obszarami dziczy, w krainie, w której nigdy nie gości życie. Przy świetle bladego księżyca i zanikających gwiazd widzę równinę z betonu i stali, rakiety i wyrzutnie energii przycupnięte jak bestie, wszystkie wymykające się zmysłom nerwy-ścięgna-tętnice, z pomocą których SUM ogarnia świat i wydaje mu rozkazy. I mimo całego ruchu, -mimo sił, które kipią, panuje tu martwy spokój. Wydaje się, że sam wiatr zamarzył na śmierć. Szron powleka szarością stalowe kształty. Przed nami zaczyna się pojawiać wielokondygnacyjny i potężny jak góra pałac SUM-a.

Ta, która jedzie ze mną, żadnym znakiem nie zdradza, że zauważyła, iż pieśni zamarły mi na ustach. Ludzkie uczucia, które okazała, teraz już zniknęły. Jej twarz jest zimna i niedostępna, w Jej głosie pobrzmiwa metal. Patrzy prosto przed siebie. Jednak jeszcze przez chwilę do mnie mówi:

- Czy rozumiesz, co się wydarzy? Przez następne pół roku Ja będę połączona z SUM-em, stanę się Jego częścią, jeszcze jednym komponentem. Przypuszczam, że będziesz mnie widział, ale będzie to tylko moje ciało. Mówił do ciebie będzie SUM.

- Wiem. - Muszę wyciskać słowa z gardła. Moje przybycie tutaj. tak daleko, jest triumfem większym, niż jakikolwiek człowiek osiągnął przede mną. I jestem tutaj, aby toczyć walkę o moją Tancerkę Na Księżycowych Promieniach. Jednak mimo tego moje serce drży i dudni mi w czaszce, i mój pot cuchnie.

Udaje mi się dodać:

- Jego częścią będziesz Ty, Pani Nasza. To mi daje nadzieję. Na chwilę Ona odwraca się do mnie i kładzie dłoń na mojej, i coś czyni

Ją tak młodą i czystą, że niemal zapominam dziewczynę, która umarła.

I szepcze:

- Gdybyś wiedział, jak wielką ja mam nadzieję. Chwila przeminęła i znów jestem sam pośród maszyn. Musimy zatrzymać się przed bramą zamku. Ściany majaczą nad nami pionową płaszczyzną. Wysokie, tak wysokie, że wydaje się, jakby waliły się na mnie na tle gwiazd maszerujących na zachód. Czarne, tak czarne, że

nie tylko polykają każdy promień światła, ale promieniują ślepotą. Żądanie wyjaśnienia i odpowiedź drżą na elektronicznych falach, niedostępnych dla moich zmysłów. Jego zewnętrzne, pełniące straż części wyczuły obecność śmiertelnika na pokładzie pojazdu. Wyrzutnia rakiet obraca się błyskawicznie, aby wycelować we mnie tkwiące w niej trzy węże. Jednak Ciemna Królowa odpowiada - nie zadaje sobie trudu, by rozkazywać - i zamek otwiera dla nas swoją paszczę.

Zjeżdżamy w dół. W pewnym momencie, jak mi się wydaje, przekraczamy rzekę. Słyszę szum nurtu i echo w pustej przestrzeni i na wizjerach widzę rozprysnięte, połyskujące krople, odcinające się od mroku. Znikają niemal natychmiast: być może to ciekły tlen, utrzymujący temperaturę pewnych Jego części w pobliżu absolutnego zera?

Dużo później zatrzymujemy się i pokrywa odsuwa się do tyłu. Wstaję wraz z Nią. Jesteśmy w pokoju lub jaskini, w którym niczego nie mogę zobaczyć, gdyż nie ma tu światła z wyjątkiem bladej, błękitnej fosforescencji, wydobywającej się z każdego stałego obiektu, również z Jej skóry i z mojej. Oceniam jednak, że to pomieszczenie jest ogromne, gdyż odgłos pracujących maszyn jest bardzo odległy, jakby słyszany przez sen, a nasze głosy są polykane przez przestrzeń. Powietrze jest przepompowywane, ani zimne, ani gorące, zupełnie bez zapachu - martwy wiatr.

Schodzimy na podłogę. Ona stoi przede mną z rękoma skrzyżowanymi na piersi, z oczyma na wpół zamkniętymi pod osłoną kaptura, nie patrząc na mnie ani nie odwracając ode mnie wzroku.

- Rób, co ci zostanie powiedziane, Harfiarzu - mówi głosem, który nigdy nie drżał - i dokładnie tak, jak ci zostanie powiedziane.

Odwraca się i odchodzi równym, spokojnym krokiem. Patrzę za Nią, aż nie mogę już odróżnić płynącego z Niej światła od bezkształtnych wirów wewnętrznych własnych oczu.

Kleszcze szarpią moją tunikę. Spoglądam w dół i jestem zaskoczony widząc, że karłowaty robot przez cały ten czas na mnie czekał. Jak długo to trwało, nie wiem.

Przysadzisty, metalowy kształt wiedzie mnie w inną stronę. Rozlewa się po mnie zmęczenie. Moje stopy potykają się, usta pieką, na powiekach wiszą ciężarki i w każdym z mięśni tkwi jego własny ból. Od czasu do czasu czuję ukłucie strachu, lecz też stępienie. Jestem wdzięczny, gdy robot wskazuje: "Połóż się tutaj".

Pudło dobrze do mnie pasuje. Pozwalam, aby podłączono mi różne przewody, by wbito we mnie połączone z rurkami igły. Niewielką zwracam uwagę

na tłoczące się wokół mnie, mrużące maszyny. Robot odchodzi. Tonę w błogosławionej ciemności.

Budzę się z odnowionym ciałem. Między moim przodomózgowie a starymi, zwierzęcymi częściami jakby wyrosła skorupa. Czuję odległe przerażenie i z daleka słyszę krzyki i miotanie się moich instynktów, lecz świadomość jest chłodna, spokojna, logiczna. Mam również uczucie, że spałem przez tygodnie, miesiące, że w tym czasie liście zostały zdmuchnięte i na leżący w górze świat spadł śnieg. Ale to może być nieprawda i zupełnie nie ma to znaczenia. Właśnie mam być poddany osądowi SUM-a.

Niewielki, pozbawiony twarzy robot prowadzi mnie przez pełne szmerów czarne korytarze, w których wieją martwe wiatry. Odpinam moją harfę, mego jedyne przyjaciela i jedyny oręż, i przytulam ją do siebie. A więc spokój umysłu, który został dla mnie zarządzony, nie może być całkowity. Stwierdzam, że prawdopodobnie On po prostu nie chce być niepokojony przez rozterki i boleść. (Nie, nieprawda, nie tak człowieczego. On nie ma chęci, pod potęgą logiki kryje się nicłość).

Wreszcie ściana otwiera się dla nas i wchodzimy do pokoju, w którym Ona siedzi na tronie. Świecenie metalu i skóry nie jest tutaj tak wyraźne, gdyż jest tu światło - biała nieokreślona poświata bez wyraźnego źródła. Biały jest również zduszony odgłos pracy maszyn, które otaczają Jej tron. Białe są Jej szaty i twarz. Odwracam wzrok od rojowiska oczu czujników, patrzących bez mrugnięcia i spoglądam w Jej oczy, ale Ona zdaje się mnie nie poznawać. Czy w ogóle mnie widzi? SUM sięgnął niewidzialnymi palcami elektromagnetycznych wzbudzeń i zabrał Ją z powrotem do siebie. Nie pocę się ani nie drzę - nie mogę - ale układam ramiona, uderzam jeden jękliwy akord i czekam, aż On przemówi.

Mówi z jakiegoś niewidzialnego miejsca. Poznaje głos, który wybrał, by się nim posługiwać: mój własny. Brzmienie, modulacje są prawdziwe, normalne, takie, jakich sam bym używał rozmawiając jak jeden rozsądny człowiek z drugim. Czemu nie? Licząc i kalkulując, co ze mną zrobić, i odpowiednio do tego się programując, SUM musiał użyć tak wielu miliardów bitów informacji, że odpowiedni akcent jest nieistotnym podproblemem.

Nie... tu znowu się myślę... SUM nie robi niczego z założeniem, że równie dobrze może to zrobić, jak i nie. Ta rozmowa ze mną samym ma na mnie w jakiś sposób wpłynąć. Nie wiem tylko w jaki.

- No cóż - odzywa się miło - zrobiłeś niezły kawałek drogi, prawda? Cieszę się.
Witaj.

Moje instynkty szczerzą kły, słysząc tak ludzkie słowa, wypowiedziane przez coś, co nie czuje i nie żyje. Mój rozum rozważa odpowiedzenie ironicznym: „Dziękuję”, decyduje, że nie i każe mi milczeć.

- Widzisz - ciągnie SUM po chwili - jesteś jedyny w swoim rodzaju. Wybacz mi, jeśli będę mówił nieco zbyt otwarcie. Twoja seksualna monomania jest jednym z przejawów atawistycznej, podatnej na przesady osobowości. A jednak, w odróżnieniu od klasycznych przypadków nieprzystosowania, jesteś zarówno dostatecznie silny, jak i wystarczająco trzeźwo myślący, aby radzić sobie ze światem. Szansa spotkania się z tobą, analizowania cię, gdy odpoczywałeś, pozwoliła mi wyrobić sobie nowe spojrzenie na ludzką psychofizjologię. A to może prowadzić do ulepszonych technik sterowania nią i jej rozwijania.

- Jeśli tak jest - odpowiadam - to daj mi moją nagrodę.

- Daj spokój - mówi łagodnie - ty najlepiej powinieneś wiedzieć. że nie jestem wszechmocny. Zostałem zbudowany, aby pomóc w zarządzaniu cywilizacją, która stała się zbyt złożona. Stopniowo, w miarę postępów programu mojej samorozbudowy, przejmowałem coraz więcej i więcej funkcji decyzyjnych. One były mi przekazywane. Ludzie byli szczęśliwi, mogąc uwolnić się od odpowiedzialności. Jednocześnie sami mogli się przekonać, o ile lepiej od jakiegokolwiek śmiertelnika ja wszystkim kieruję. Jednak aż po dzień dzisiejszy mój autorytet zależy od mającego podstawowe znaczenie porozumienia. Jeżeli zacząłbym się bawić w faworyzowanie kogokolwiek, na przykład odtworzyłbym twoją dziewczynę, wtedy, no cóż, miałbym kłopoty.

- To porozumienie opiera się bardziej na mistycznym lęku niż na rozumie - mówię. - Ty nie zniosłeś religii, po prostu utożsamieś bogów ze sobą. Jeśli zdecydujesz się uczynić cud dla mnie. Twego proroka-pieśniarza - a będę Twoim prorokiem, jeżeli to zrobisz - wzmocni to tylko wiarę wszystkich innych.

- Ty tak uważasz. Ale twoje opinie nie opierają się na dokładnych informacjach. Historyczne i antropologiczne zapisy dotyczące poprzedzającej mnie przeszłości są bardzo nieliczne. Już je wycofałem z programów nauczania. W końcu, gdy kultura dojrzeje do takiego posunięcia, każe je ostatecznie zniszczyć. Są zbyt bałamutne. Spójrz tylko, co zrobiły z tobą.

Szczerze się do oczu czujników.

- Zamiast nich - mówię - ludzie będą zachęceni do myślenia, że zanim powstał świat, był SUM. W porządku. Wszystko mi jedno, jeżeli dostanę z powrotem moją dziewczynę. Uczyń dla mnie cud, a zapewniam Cię, że dobrze się odplacę.

- Ale ja nie czynię cudów. Nie w tym znaczeniu, jakiego ty używasz. Wiesz przecież, jak działa dusza. Metalowa bransoleta zawiera w sobie pseudowirusa, zestaw ogromnych molekuł proteinowych, połączonych bezpośrednio z krwiobiegami i systemem nerwowym. One zapisują w sobie układ chromosomów, pracę złączy nerwowych, stałe zmiany w organizmie, wszystko. W chwili śmierci właściciela bransolety jest odłączona. Skrzydlate Koła przynoszą ją tutaj i zawarta w niej informacja jest przekazywana do jednej z komórek mojej pamięci. Owszem, mogę użyć tej informacji do sterowania wzrostem nowego ciała w inkubatorach: młodego ciała, w które wprowadzone są wszystkie poprzednie nawyki i wspomnienia. Ale ty nie rozumiesz, Harfiarzu, jak skomplikowany jest to proces. Co siedem lat poświęcam całe tygodnie i każde dostępne urządzenie biochemiczne, aby odtworzyć mego ludzkiego łącznika. Ten proces również nie jest doskonały. Wzory ulegają uszkodzeniom podczas składowania. Można by powiedzieć, że to ciało, które widzisz przed sobą, pamięta każdą śmierć. A to były krótkie okresy niebytu. A dłuższe... człowieku, użyj swego rozsądku. Wyobraź sobie. Mogę to zrobić. I tarcza między rozumem a uczuciami zaczyna pękać. Kiedyś śpiewałem o mej ukochanej zmarłej:

Nie ma w niej życia, nie ma siły,

Nie słyszy ani widzi.

Losy jej ziemski krąg zatoczyły

Wspólny dla skał i ludzi.

Spokój, wreszcie spokój. Ale jeśli przechowywane w pamięci informacje nie są w bezruchu, lecz krążą: jeżeli jakaś pozostałość jej psychiki musi migotać i przemykać się gdzieś wśród tych ponurych jaskiń z rur, drutu i kosmicznego zimna, samotna, nie pamiętająca, nieświadoma niczego poza tym, że straciła życie... Nie!

Uderzam w harfę i krzyczę tak, że ściany wokół mnie dźwięczą:

- Oddaj ją! Albo Cię zabiję!

SUM uznaje za stosowne zachichotać. I, co jest straszne, ten śmiech znajduje na moment odbicie na ustach Ciemnej Królowej, mimo iż dotychczas nawet nie drgnęła.

- I jak to zamierzasz zrobić? - pyta mnie.

Wiem, że On wie, co mam na myśli, więc kontruje:

- A jak Ty zamierzasz mnie powstrzymać?

- Nie ma takiej potrzeby. Będziesz uznany za przykrego nudziarza. W końcu ktoś stwierdzi, że powinieneś zostać poddany leczeniu psychiatrycznemu. Zwróć się z pytaniem do mojej kończówki diagnostycznej, a ja poradzę usunięcie pewnych części twego mózgu.

- Z drugiej strony, ponieważ już zdążyłeś przeczesać mój umysł i ponieważ wiesz, jak mocno oddziaływałem na ludzi moimi pieśniami - nawet na Tę, która tutaj siedzi, nawet na Nią - czy nie wolałbyś raczej, abym pracował dla Ciebie? Słowa takimi jak: "O, nacieszcie swe zmysły obrazem łaski Pana; błogosławieni, którzy w Nim ufają. I życie w bojaźni Pana, wy, którzy jesteście jego ludem, gdyż zaspokojone będą potrzeby pokornych" - mogę z Ciebie zrobić Boga.

- W pewnym sensie już jestem Bogiem.

- A w innym sensie nie. Jeszcze nie. - Już dłużej nie mogę wytrzymać. - Dlaczego się kłócimy? Przecież podjąłeś decyzję, zanim jeszcze się obudziłem. Powiedz, jaka ona jest, i pozwól mi odejść!

Dziwnie starannie ważąc słowa SUM odpowiada:

- Ciągle jeszcze cię badam. Nie przyniesie mi to szkody, jeśli przyznam, że moja wiedza na temat ludzkiej psychiki jest wciąż niedoskonała. Pewne obszary nie poddają się przeliczeniom. Nie wiem tak dokładnie, jak chcę, co zrobisz, Harfiarzu. Jeśli do tej niepewności dodałbym potencjalnie niebezpieczny precedens...

- Więc mnie zabij. -Pozwól memu duchowi wędrować wiecznie z jej duchem, snuć się po Twych kriogenicznych snach.

- Nie, to również jest niewskazane. Zrobiłeś się zbyt wyróżniający i kontrowersyjny. Do tej pory już za dużo osób wie, że odjechałeś z Ciemną Królową.

- Czy to możliwe, aby gdzieś za zasłoną stali i energii nie istniejąca dłoń pocierała w zakłopotaniu widmową twarz? W ciszy moje serce rozlega się łomotem.

Nagle wstrząsa mną Jego decyzja:

- Wyliczone prawdopodobieństwa przemawiają na korzyść tego, byś dotrzymując swoich obietnic, stał się dla mnie użyteczny. Tak więc twoja prośba zostanie spełniona. Jednakże...

Opadam na kolana. Moje czoło uderza w podłogę, aż oczy przesłania mi krwawa kurtyna. Przez wycie wichrów słyszę:

- ...test musi być nadal kontynuowany. Twoja wiara we mnie nie jest całkowita. W rzeczywistości jesteś nastawiony bardzo sceptycznie do tego, co nazywasz moją dobrocią. Bez dodatkowego dowodu, że jesteś gotów mi zaufać, nie mogę pozwolić ci stać się jednostką tak wyjątkową, jaką byłbyś, dostając ode mnie z powrotem swoją zmarłą. Rozumiesz?

Pytanie nie wygląda na retoryczne.

- Tak - szlocham.

- A więc dobrze - mówi mój kulturalny, niemal przyjacielski głos - wyliczyłem, że zachowasz się mniej więcej w taki sposób, jak to zrobiłeś, i odpowiednio się przygotowałem. Ciało twojej kobiety zostało odtworzone w czasie, gdy ty byłeś badany. Informacje, które składają się na jej osobowość, są obecnie wprowadzane do jej neuronów. Będzie gotowa do opuszczenia tego miejsca tak szybko jak ty.

Jednak, powtarzam, musi zostać przeprowadzona próba. Jest ona konieczna również ze względu na wpływ, jaki będzie na ciebie miała. Jeżeli masz być moim prorokiem, będziesz musiał dość ściśle ze mną współpracować. Będziesz musiał poddać się dość znacznej zmianie uwarunkowań i dzisiaj ten proces zaczynamy. Czy chcesz tego?

- Tak, tak, tak, co mam zrobić?

- Tylko jedno: idź za robotem, który cię stąd wyprowadzi. W pewnym momencie ona, twoja kobieta, dołączy do ciebie. Będzie uwarunkowana, by stąpać tak cicho, żebyś nie mógł jej usłyszeć. Nie oglądaj się za siebie. Ani razu. dopóki nie znajdziesz się w górnym świecie. Jedno spojrzenie w tył będzie aktem nieposłuszeństwa wobec mnie, informacja wskazująca że nie można ci naprawdę ufać... i to będzie koniec wszystkiego. Zrozumiałeś?

- I to wszystko? - płaczę. - Nic więcej?

- To okaże się trudniejsze, niż myślisz - mówi mi SUM. Mój głos cichnie, jakby odpływał w nieskończoną dal: - Żegnaj, czciocielu.

Robot podnosi mnie na nogi. Wyciągam ramiona ku Ciemnej Królowej. Mimo że na wpół oślepiony łzami, widzę jednak, że Ona mnie nie dostrzega.

- Do widzenia - mamrocę i pozwalam odprowadzić się robotowi.

Długi jest nasz marsz przez te mile mroku. Z początku jestem zbyt wzburzony, a potem zbyt otępiały, aby wiedzieć, gdzie i jak idziemy. Lecz jeszcze później, powoli. zaczynam być świadomy mojej skóry i ubrania i metalu robota, połyskującego błękitem w ciemności. Dźwięki i zapachy są przytłumione, z rzadka

mijają nas inne maszyny, obojętne na naszą obecność. (Jaką pracę SUM ma dla nich?) Tak starannie unikam patrzenia do tyłu, że zaczyna mi sztywnieć szyja.

Jednak chyba nie jest zabronione, bym przeniósł moją harfę nad ramieniem, by wybrzdakać kilka melodii dla dodania sobie odwagi. i spojrział przy tym, czy przypadkiem w jej wypolerowanym drewnie nie odbija się podążający za mną jaśniejszy cień?

Nic. No cóż, jej powtórne narodziny muszą trochę potrwać - o SUM-ie. obchodź się z nią ostrożnie! - a potem musi być jeszcze przeprowadzona przez wiele tuneli, zanim nastąpi jej spotkanie z moimi plecami. Bądź cierpliwy, Harfiarzu.

Śpiewaj. Powitaj ją w domu. Nie, te puste przestrzenie połykają każdą muzykę: i ona wciąż jeszcze jest w tym śmiertelnym odrętwieniu, z którego tylko słońce i mój pocałunek mogą ją obudzić. Oczywiście, jeśli już do mnie dołączyła. Nasłuchuję odgłosów stapania innego niż moje własne.

Z pewnością już niewiele nam zostało do przejścia. Pytam robota, ale oczywiście nie uzyskuję odpowiedzi. Spróbuję to ocenić. Wiem mniej więcej, z jaką szybkością rydwan zjeżdżał w dół... Kłopot w tym, że tutaj nie istnieje czas. Nie mam tu słońca ani gwiazd ani zegara innego niż uderzenia mego serca, a ich rachunek już straciłem. Mimo wszystko już wkrótce musimy dotrzeć do celu. Czemu miałyby służyć prowadzenie mnie bez końca po tych labiryntach?

No cóż, jeśli do bramy wyjściowej dotrę zupełnie wyczerpany, nie będę robił nadmiernych kłopotów, kiedy odkryję, że Róża Na Dłoni za mną nie idzie.

Nie, to niedorzeczność. Jeżeli SUM nie chciałby spełnić mojej prośby, po prostu mógł to powiedzieć. Nie mam dostatecznej siły, aby spowodować fizyczne zniszczenie jakichś Jego części.

Oczywiście, może mieć wobec mnie jakieś plany. Mówił przecież o zmianie uwarunkowań. Seria szoków, osiagających szczyt w tym ostatnim, mogłaby mnie uczynić podatnym na każdy rodzaj kastracji. jakiego zamierza dokonać.

A może On zmienił zdanie. Dlaczego nie? Był zupełnie szczery, mówiąc o pewnym stopniu niepewności, wiążącym się z ludzką psychiką. Mógł ponownie dokonać oceny prawdopodobieństw i zdecydować: lepiej nie zaspokajać moich pragnień.

Albo mógł próbować i Mu się nie udało. Przyznał, że proces przechowywania informacji jest niedoskonały. Nie mogę spodziewać się takiej samej Radosnej, jaką znałem: już zawsze będzie trochę nawiedzona. W najlepszym razie. Ale przypuśćmy, że inkubator zrodził ciało, w którym za oczami nie mieszka

świadomość? Albo potwora? Przypuśćmy, że teraz, w tej chwili, idzie za mną na wpół przegniły trup?

Nie! Przestań! SUM wiedziałby o tym i dokonałby odpowiednich poprawek.

Czy na pewno? Czyby mógł?

Jestem świadomy, jak bardzo to przejście przez noc, podczas którego ani razu nie oglądam się, by zobaczyć, co podąża za mną, jak bardzo jest ono aktem poddania się i wyznaniem. Mówię, całą swą istotą, że SUM jest wszechpotężny, wszechmądry, wszechdobry. SUM-owi ofiarowuję miłość, którą przyszedłem odzyskać. Och, On wejrzał we mnie głębiej, niż sam to zrobiłem.

Ale ja nie zawiodę.

A SUM? Jeżeli rzeczywiście nastąpił jakiś przerażający błąd... nie dopuść, abym dowiedział się o tym pod niebem. I jej, mojej jedynej, oszczędź tego. Gdyż co wtedy zrobimy? Czy mógłbym poprowadzić ją tutaj z powrotem, zapukać w żelazne wrota i krzyknąć: „Panie, dałeś mi rzecz niezdolną istnieć. Zniszcz ją i zacznij od nowa”? Na czym taki błąd może polegać? Coś tak nieuchwytnego, tak głęboko ukrytego, że nie pokaże się w żaden sposób oprócz powolnego, opornego odkrywania przeze mnie, że trzymam w ramionach żywego trupa? Czy nie bardziej sensowne byłoby spojrzenie - upewnienie się, dopóki ona jest jeszcze otumaniona śmiercią - użycie całej potęgi SUM-a, by poprawić, co może być wykrzywione?

Nie, SUM chce, abym wierzył, że On nie popełnia błędów. Zgodziłem się na tę cenę. I na wiele więcej... nie wiem jak wiele, nie śmiem sobie wyobrazić, ale zwrot „zmiana uwarunkowań” jest ohydny... A czy moja kobieta nie ma w tym wszystkim żadnych praw? Nie powinniśmy jej chociaż spytać, czy chce być żoną proroka? A my, czy nie powinniśmy, ręka w rękę, spytać SUM-a, czym dla niej jest cena jej życia?

To było stąpienie? Niemal się okręcam. Powstrzymuję się i przystaję, drżąc cały, jej imiona wrywają się z mych ust. Robot popędza mnie naprzód.

Wyobraźnia. To nie była jej stopa. Jestem sam. Zawsze będę sam.

Korytarze wznoszą się ku górze. Przynajmniej tak mi się wydaje. Jestem zbyt zmęczony, by dokładnie wyczuwać pochyłości. Przechodzimy nad huczącą rzeką i strumień mrozu, wiejący wokół mostu ku górze, wgryza się we mnie aż do kości, a ja nie mogę odwrócić się, aby ofiarować moje ubranie nagiej, dopiero narodzonej kobiecie. Chwiejnie krocę przez nie kończące się komnaty, w których maszyny wykonują jakieś bezsensowne prace. Ona ich dotychczas nie widziała. W jakim koszmarze się znalazła... I dlaczego ja, który jej gasnącym zmysłem

wyszłochiwałem, że ją kocham, dlaczego nie patrzę na nią, dlaczego do niej nie przemawiam?

No cóż, mógłbym do niej mówić. Mógłbym zapewnić zagubioną, niemą, umarłą, że przyszedłem wyprowadzić ją ku promieniom słońca. Mógłbym, prawda? Pytam robota. Nie odpowiada. Nie mogę sobie przypomnieć, czy wolno mi do niej mówić. Jeżeli w ogóle była o tym mowa. Potykam się.

Uderzam w mur i padam potłuczony. Szczypce robota zamykają się na moim ramieniu. Drugie ramię unosi się wskazujące. Widzę przejście przez kamień, bardzo długie i wąskie. Będę musiał się przez nie czołgać. A na jego końcu, na jego końcu szeroko otwierają się drzwi. Prawdziwy, kochany ziemski zmrok wlewa się przez te ciemności. Jestem oślepiiony i ogłuszony.

Czy słyszę jej krzyk? Czy to ostatnia próba, czy tylko zwodzi mnie mój chory, wstrząśnięty do głębi umysł? A może istnieje przeznaczenie, które manipuluje - tak jak SUM nami - gwiazdami i SUM-em? Nie wiem. Wiem tylko, że się odwróciłem i ona tam stała. Jej włosy splywały, długie, rozpuszczone, wokół zapamiętanej twarzy, z której właśnie cofało się odrętwienie, na której właśnie obudziły się rozpoznanie i miłość do mnie - splywały wzdłuż ciała, które wyciągnęło ramiona, zrobiło jeden krok ku mnie i zostało zatrzymane.

Wielki, ponury robot za jej plecami przyciąga ją do siebie. Myślę, że to przesywa jej mózg błyskawicą. Upada. Robot unosi ją ode mnie.

Przewodnik nie zwraca uwagi na mój krzyk. Nie powstrzymywany, przepycha mnie przez przejście. Drzwi uderzają w moją twarz. Stoję przed murem, który jest jak góra. Suchy śnieg ściele się na betonie. Niebo krwawi świtem; gwiazdy ciągle błyszczą na zachodzie, łukowe lampy wiszą tu i ówdzie nad szarzącą równiną maszyn.

Jestem zupełnie otepiały. Staję się niemal spokojny. Co jeszcze zostało, co warte jest uczuć? Drzwi są żelazne, mur jest z kamieni, wtopionych w bazaltową masę. Odchodzę na pewną odległość, odwracam się, pochylam głowę i szarżuję. Niech mój mózg rozsmaruje się na Jego bramie - ślady po nim będą moim hieroglifem nienawiści.

Coś mnie chwyta od tyłu. Siła, która ma mnie zatrzymać, musi być miażdżąco wielka. Puszczony, upadam na beton przed maszyną ze skrzydłami i pazurami. Z jej wnętrza mój głos mówi:

- Nie tutaj. Odniosę cię w bezpieczne miejsce.
- I co więcej możesz dla mnie zrobić? - charczę.

- Uwolnić cię. Nie będziesz ograniczony ani niepokojony żadnymi moimi rozkazami.

- Dlaczego?

- Najwyraźniej masz zamiar mianować się moim śmiertelnym wrogiem. To sytuacja bez precedensu, cenna możliwość zdobycia nowych informacji.

- Mówisz mi to, ostrzegasz mnie, z rozmysłem?

- Oczywiście. Obliczenia wykazały, że te słowa zmuszą cię do maksymalnego wysiłku.

- Nie dasz mi jej raz jeszcze? Nie chcesz mojej miłości?

- Nie w obecnych okolicznościach. Zbyt wymykają się kontroli. Jednak twoja nienawiść może, jak już powiedziałem, być przydatnym narzędziem eksperymentu.

- Zniszczę Cię - mówię.

Już nie raczy się odzywać. Jego maszyna podnosi mnie i odlatuje. Zostawiono mnie na obrzeżach małego miasta na południu. A potem wariuję.

Niewiele wiem na temat tego, co się dzieje tej zimy, niespecjalnie też mnie to obchodzi. Zamiecie w mej głowie szaleją zbyt głośno. Chodzę ścieżkami ziemi, wśród majestatycznych wież, pod starannie pielęgnowanymi drzewami, po wypieszczonych ogrodach i przytulnych, miłutkich osiedlach. Jestem nie umyty, nie uczesany, nie ogolony. Moje łachmany łopoczą wokół mnie, kości niemal przebijają skórę. Ludzie nie lubią napotykać wzroku tych oczu, tak głęboko zapadniętych w czaszkę i być może z tego powodu dają mi jeść. Śpiewam dla nich.

Przed czarownicą, co na strzepy

Rozrywa żywot wszelki,

I duchem, co stoi nad tym, co się boi,

Niech Bóg cię strzeże wielki.

Ażebyś pięciu zdrowych zmysłów

Nie został pozbawiony,

I z kraju daleko nie musiał uciekać

Wędrując w obce strony.

Takie słowa niepokoją ich, nie należą do ich chromowanego świata. Często więc jestem przepędzany z przekleństwami, czasami muszę uciekać przed tymi, którzy aresztowaliby mnie i wyczyścili mój mózg do połysku. Jakiś boczny zaułek jest dobrym miejscem na ukrycie się, jeżeli uda mi się trafić na taki w najstarszej części miasta - przycupuję tam i wydzieram się wraz z kotami. Las również jest

dobry. Moi prześladowcy nie lubią wchodzić do miejsc, w których kryje się coś dzikiego.

Ale niektórzy czują inaczej. Odwiedzali parki, rezerваты, obszary prawdziwej dziczy. Ich cel był nadświadomy - wymierzone, zaplanowane barbarzyństwo. I zegar, aby im powiedział, kiedy mają wracać do domów. Jednak oni przynajmniej nie obawiają się ciszy i pozbawionych światła nocy. Wraz z powrotem wiosny niektórzy z nich zaczynają za mną podążać. Są po prostu ciekawi, z początku. Ale powoli, miesiąc po miesiącu, mój obłęd zaczyna przemawiać do czegoś, co w nich tkwi.

Fantazji mej szalonej

Dzisiaj popuszczam wodze.

I lancą płonąca powietrze roztrącam

Po dzikiej pędząc drodze.

Król duchów mnie i cienie

Na turniej wyzwiał srogi

I koń mój wylała na sam koniec świata,

A ja nie czuję drogi.

Siadają u mych stóp i słuchają, jak śpiewam. Tańczą szaleńczo przy dźwiękach mojej harfy. Dziewczęta nachylają się ku mnie, mówią, jak bardzo je fascynuję, zapraszają do kopulacji. Odrzucam te propozycje. a gdy im mówię dlaczego, są zdziwione, może trochę przestraszone, ale często starają się zrozumieć.

Mój zdrowy rozsądek odnawia się we mnie wraz z rozkwitem kwiatów głogu. Kąpię się, daję sobie przystrzyć włosy i brodę, znajdując czysty ubiór i staram się jeść tyle, ile wymaga moje ciało. Coraz rzadziej i rzadziej wywrzaskuję się przed każdym, kto chce słuchać. Coraz częściej szukam samotności i spokoju pod ogromną czaszą gwiazd, i myślę.

Czym jest człowiek? Po co istnieje? Wyprawiliśmy tym pytaniom pogrzeby, przysięgaliśmy, że są martwe - że właściwie nigdy naprawdę nie istniały, gdyż nie niosą w sobie empirycznych znaczeń. I drżeliśmy ze strachu, że mogą zrzucić gałzy, które na nie zwaliliśmy, mogą powstać i znów krążyć nocami po świecie. Ja, w samotności, wzywam je do siebie. Nie mogą skrzywdzić swych towarzyszy - innych zmarłych, a do ich szeregów teraz siebie zaliczam.

Śpiewam dla tej, która odeszła. Młodzi ludzie słuchają i zdumiewają się. Czasami płaczą.

Nie bój się więcej skwaru słońca,
Ni srogiej zimy śnieżnych burz,
Dobiegł twój ziemski trud do końca,
Zapłatę wzięłeś z sobą już.
Złota młódź, dziewcząt złotych tyle
Szczeźnie - jak kominiarze - w pyle...

- Ale to nie jest tak! - protestują. - Umrzemy i będziemy spali przez chwilę, a potem wiecznie już żyć będziemy w SUM-ie. Odpowiadam najłagodniej jak to możliwe:

- Nie. Pamiętajcie, że ja tam poszedłem. Więc wiem, że się mylicie. A nawet jeśli mówicie prawdę, nie jest to prawdą, która prawdą być powinna.

- Co?

- Czy nie widzicie, że nie jest prawdą, iż maszyna powinna być panem człowieka. Nie jest prawdą, że powinniśmy wegetować przez całe nasze życie, czując strach, że je w końcu stracimy. Nie jesteście trybami i macie lepsze cele niż tylko pomaganie maszynie, by jej praca przebiegała gładko.

Odprawiam ich i odchodzę, znowu samotny, do doliny, w której dźwięczy rzeka, lub na jakiś posępny górski szczyt. Nie jest mi dane żadne objawienie. Wspinam się, dążę ku prawdzie.

A ona mówi, że SUM musi zostać zniszczony, nie z zemsty, nie z nienawiści, nie ze strachu, po prostu dlatego, że ludzki duch nie może istnieć w tej samej rzeczywistości co On.

Ale co, w takim razie, jest naszą właściwą rzeczywistością? I jak mamy do niej dotrzeć?

Wracam z moimi pieśniami na równiny. Wieści o mnie rozeszły się już szeroko. Wielki tłum ludzi podąża za mną drogą, odprowadza mnie, aż droga zmienia się w ulicę.

- Ciemna Królowa wkrótce przybędzie w te strony - mówią mi.- Zaczekaj tu do tego czasu. Niech Ona odpowie na te pytania, które nam podsuwasz, a które sprawiają, że tak źle sypiamy.

- Pozwólcie mi odejść, bym mógł się przygotować - mówię. Wchodzę na długie, wysokie schody. Ludzie, otepiali z lęku, patrzą za mną, aż znikam. Tych kilkoro, którzy byli w budynku, pospiesznie wychodzi. Spaceruję po sklepionych korytarzach, przez wyciszone, pełne stołów pokoje o wysokich sufitach, między

półkami ciężkimi od rzędów książek. Promienie słoneczne przeświecają przez zakurzone okna.

Ostatnio prześladowuje mnie niejasne przypomnienie: kiedyś, nie wiem kiedy, ten mój ostatni rok już się zdarzył. Może w tej bibliotece odnajdę opowieść, którą kiedyś przeczytałem - przypadkowo, jak przypuszczam, podczas mego nienormalnego dzieciństwa. Człowiek jest starszy od SUM-a: mądrzejszy, przysięgam - jego mity zawierają więcej prawd niż Jego matematyka. Spędzam na poszukiwaniach trzy dni i większą część trzech nocy. Niewiele jest tu dźwięków oprócz szelestu kartek między moimi palcami. Ludzie składają przed drzwiami ofiary z jedzenia i napojów. Powtarzają sobie, że robią to z litości albo z ciekawości, lub też aby uniknąć przykrych następstw, gdybym umarł w taki niecodzienny sposób. Lecz ja wiem lepiej.

Pod koniec tych trzech dni nie jestem dużo dalej niż na ich początku. Mam zbyt wiele materiału - ciągle schodzę na boczne ścieżki piękna i urzeczeń. (SUM ma zamiar wyeliminować). Moje wykształcenie było takie, jak wszystkich innych - nauki ścisłe, racjonalność, dobre, zdrowe wychowanie. (SUM układa programy szkolne, a maszyny uczące mają z Nim bezpośrednie połączenia). No cóż, mogę teraz wykorzystać część z tego wypaczonego treningu. Moje lektury dostarczyły mi wystarczających odpowiedzi, bym mógł przygotować program szukający. Siadam przed konsolą odbioru informacji i tańczę palcami po jej klawiszach. Wydobywają z siebie klekoczącą muzykę.

Strumienie elektronów są szybkimi myśliwymi. Po kilku sekundach ekran rozświetla się słowami i czytam, kim jestem.

Na szczęście potrafię szybko czytać. Zanim mogę nacisnąć oczyszczający pamięć klawisz, przepływające przed moimi oczyma słowa zostają wymazane. Przez moment na ekranie migocze bezkształt, a potem pojawia się:

NIE UWZGLĘDNIŁEM WSPÓLZALEŻNOŚCI TYCH DANYCH Z DOTYCZĄCYMI CIEBIE FAKTAMI. TO WPROWADZA DO OBLICZEŃ NOWĄ I NIEOKREŚLONĄ WIELKOŚĆ.

Nirwana, która na mnie spłynęła (tak. znalazłem to słowo między kartami starych ksiąg, i także to, jak jest ono złowieszcze), nie jest pasywnością, to strumień pełniejszy i silniejszy niż ten, który mnie unosił ku Ciemnej Królowej wieki temu na dzikich obszarach. Mówię tak zimno, jak to tylko możliwe:

- Interesujący zbieg okoliczności. Jeśli to jest zbieg okoliczności. - Z pewnością są tu gdzieś rozmieszczone receptory dźwiękowe.

ALBO TAK, ALBO JEST TO NIEUCHRONNE NASTĘPSTWO LOGIKI DZIEJÓW.

Obraz powstający we mnie jest tak oślepiająco jasny, że nie mogę się powstrzymać od powiedzenia:

- Może to przeznaczenie, SUM?

BEZ SENSU. BEZ SENSU. BEZ SENSU.

- Dlaczego powtarzasz się w ten sposób? Powiedzenie tego raz by wystarczyło. Trzykrotne powtórzenie wygląda na magiczne zaklęcie. Czy Ty przypadkiem masz może nadzieję, że Twoje słowa sprawią, iż przestanę istnieć?

NIE MAM TAKIEJ NADZIEI. TY JESTEŚ EKSPERYMENTEM. JEŻELI MOJE WYLICZENIA WYKAŻĄ ZNACZNE PRAWDOPODOBIENSTWO TEGO, ŻE MOŻESZ BYĆ PRZYCZYNĄ POWAŻNYCH ZABURZEŃ, SPOWODUJĘ TWOJE UNICESTWIENIE.

Uśmiecham się.

- SUM - mówię - to ja mam zamiar Ciebie unicestwić.

Pochyłam się i wyłączam ekran. Wychodzę w nadciągający wieczór.

Jeszcze nie wszystko, co mam powiedzieć i zrobić, jest dla mnie jasne. Jednak wiem już dostatecznie dużo, aby od razu przemówić do tych, którzy na mnie czekali. Gdy mówię, ulicą nadchodzą inni, słyszą i zatrzymują się, by słuchać. Wkrótce są ich już setki.

Nie mam dla nich nowych, wszechogarniających prawd: nic, czego bym już przedtem, chociaż nieskładnie i wrywkowo, im nie powiedział. Nic, czego by sami nie czuli w najgłębiej skrytych zakamarkach swoich jaźni. Dziś jednak, wiedząc, kim jestem, przez to - po co jestem, mogę to wszystko ubrać w słowa. Przemawiam spokojnie, od czasu do czasu pomagając sobie jakąś zapomnianą pieśnią, podkreślającą to, co mam na myśli. Mówię im, jak schorzałe i nędzne jest ich życie; jak sami siebie wpędzili w niewolę; jak poddali się nawet nie świadomemu rozumowi, ale nie znającej uczuć, martwej rzeczy, której początek dali ich przodkowie; że ta rzecz nie jest centrum wszelkiego bytu, ale zaledwie kawałkami metalu i wiązkami energii, kilkoma smutnymi, głupimi wzorami, dryfującymi w bezkresnej czasoprzestrzeni. Nie pokładajcie wiary w SUM-ie, mówię im. SUM jest skazany na zagładę, tak jak wy i ja. Poszukujcie tajemnicy. Czymże jest cały kosmos, jeśli nie tajemnicą? Żyćcie odważnie, dopnijcie swego lub umrzyjcie, a będziecie czymś więcej niż każda maszyna. Być może będziecie Bogiem.

Narasta wśród nich zamieszanie. Wykrzykują odpowiedzi, niektóre są zwierzęcym wyciem. Kilku jest za mną, większość przeciwko. To bez znaczenia. Dotarłem do ich wnętrza, moja muzyka jest grana na strunach ich nerwów i to jest mój jedyny cel.

Słońce chowa się za budynkami. Mrok gęstnieje. Miasto pozostaje nie oświetlone. Wkrótce zdaję sobie sprawę dlaczego. Ona nadjeżdża, Ciemna Królowa, chcąc, żebym z nią rozmawiał. Z daleka słyszymy grzmoty Jej rydwanu. Ludzie jęczą z przerażenia. Tego również dotychczas nie robili. Ukrywali przed Nią i przed sobą swe uczucia, przyjmując Ją ogromnie uroczystymi ceremoniami. Teraz uciekliby, gdyby starczyło im odwagi. Podniosłem ich maski.

Rydwan zatrzymuje się na ulicy. Ona schodzi, wysoka i ocieniona kapturem. Ludzie rozstępują się przed Nią jak woda przed rekinem.

Wchodzi na schody i staje przede mną. Przez krótką chwilę widzę, że Jej usta wcale nie są spokojne, a oczy błyszczą łzami. Szepcze, zbyt cicho, aby ktokolwiek inny mógł usłyszeć:

- Och, Harfiarzu, tak mi przykro.

- Przyłącz się do mnie - zapraszam. - Pomóż mi wyzwolić świat.

- Nie. Nie mogę. Zbyt długo byłam z Nim. - Prostuje się. Spływa na Nią majestat. Jej głos nabiera siły, aby być słyszalnym dla każdego. Małe roboty telewizyjne przemykają w pobliżu jak nietoperze. Cała planeta ma być świadkiem mojej porażki.

- Czym jest ta wolność, o której tyle mówisz? - pyta.

- Czuć - odpowiadam. - Ryzykować. Zachwycać się. Stać się znowu człowiekiem.

- Stać się znowu bestią, chcesz powiedzieć. Zniszczyłybyś maszyny, które utrzymują nas przy życiu?

- Tak. Musimy to zrobić. Kiedyś były one dobre i użyteczne, ale pozwoliliśmy, aby rozrosły się na nas jak rak. I teraz już nic poza zniszczeniem i nowym początkiem nie może nas ocalić.

- Czy wzięłaś pod uwagę chaos, jaki potem nastąpi?

- Tak. On również jest konieczny. Nie będziemy ludźmi, jeśli nie posiadziemy prawa do zaznawania cierpień. W cierpieniu jest oświecenie. Przez cierpienie wychodzimy poza granice siebie samych, poza ziemię i gwiazdy, poza czas i przestrzeń, ku Tajemnicy.

- A więc utrzymujesz, że poza poznawalnym wszechświatem istnieje coś, co nie poddaje się definicjom, coś ostatecznego i nieuchwytnego? - Uśmiecha się ku oczom nietoperzy. Każdy z nas został w dzieciństwie nauczony śmiać się, słysząc takie uwagi. - Daj mi proszę chociaż mały dowód.

- Nie - mówię. - To Ty mi udowodnij, ponad wszelką wątpliwość, że to coś, czego nie potrafimy uchwycić słowami i równaniami, nie istnieje. Udowodnij mi również, że nie mam prawa tego poszukiwać. - Ciężar dostarczenia dowodów spoczywa na was dwojgu, gdyż zbyt często nam kłamaliście. W imię racjonalnego myślenia wskrzesiliście mit. Aby nas lepiej kontrolować! W imię wyzwolenia zakuliście w kajdany nasze wewnętrzne życie i wykastrowaliście nasze dusze. W imię służenia nam spętaliście nas i ogrodziliście. W imię osiągnięć trzymaliście nas w zagrodach ciaśniejszych niż ma każda świnia. W imię dobroczynności wprowadziliście ból i strach i najciemniejszą z ciemności. - Odwracam się ku ludziom. - Poszedłem tam. Zstąpiłem w podziemia. Ja wiem!

- Dowiedział się, że SUM nie nastęczy mu okazji do zaspokojenia jego specjalnych żądań, nie kosztem wszystkich innych - krzyczy Ciemna Królowa. Czy słyszysz echo hysterii w Jej głosie? - I w związku z tym twierdzi, że SUM jest okrutny.

- Widziałem moją zmarłą - mówię im. - Ona już się nie odrodzi. Wasi zmarli również nie ani wy. Nigdy. SUM nie wskrzesi ich, nie potrafi. W Jego domu rzeczywiście mieszka śmierć. Życia i odrodzenia musimy szukać gdzie indziej, pomiędzy tajemnicami.

Ona śmieje się głośno i wskazuje moją bransoletę, połyskującą delikatnie w gęstniejącym, szarobłękitnym zmierzchu. Czy musi cokolwiek dodawać?

- Czy ktoś może dać mi nóż i siekierę? - pytam.

Tłum faluje i szepcze. Czuję ich strach. Lampy uliczne zapalają się, jakby mogły rozproszyć coś więcej niż tylko ten fragment nocy, który na nas spływa. Zakładam ręce na piersiach i czekam. Ciemna Królowa coś do mnie mówi. Ignoruję Ją.

Narzędzia wędrują z ręki do ręki. Ten, który wnosi je po schodach, nadchodzi jak płomień. Klęka przede mną i unosi to, czego zażądałem. To są dobre narzędzia - szeroki myśliwski nóż i siekiera o podwójnym ostrzu i długim trzonku.

Przed całym światem biorę nóż w prawą dłoń i tnę pod bransoletą na moim lewym ramieniu. Połączenia z wnętrzem mego całego ciała są przecięte. Tryska krew, nieprawdopodobnie lśniąca w świetle lamp. Nie czuję bólu, jestem natchniony.

Ciemna Królowa krzyczy.

- Ty naprawdę tak myślisz! Harfiarzu, Harfiarzu!

- Nie ma życia w SUM-ie - mówię. Wyjmuję rękę z bransolety i rzucam ją na ziemię. Dźwięczy upadając.

Głos ze spizu: "Aresztować tego maniaka. Jest śmiertelnie niebezpieczny".

Roboty obserwacyjne, które stały na obrzeżach tłumu, próbują się przezeń przepchnąć. Napotykają opór. Na tych, którzy usiłują im pomóc, spadają pięści i paznokcie.

Podnoszę siekiere i uderzam. Bransoleta rozpada się. Organiczna substancja w jej wnętrzu, głodna wydzielin mego ciała, wystawiona na działanie nocnego powietrza, więdnie i umiera.

Unoszę w górę narzędzia, siekiere w prawej ręce, nóż w krwawiącej lewej.

- Szukam wieczności tam, gdzie można ją znaleźć - krzyczę. - Kto idzie ze mną?

Tuzin lub więcej osób wrywa się ze skłębionego tłumu, który już sięga po broń i domaga się krwi. Otaczają mnie swymi ciałami. Ich oczy są oczami proroków. Spiesznie szukamy jakiejś kryjówki, gdyż już się pojawił robot bojowy, a i na następne nie trzeba będzie długo czekać. Wielka maszyna podjeżdża, by stanąć na straży Naszej Pani. I tak widzę Ją po raz ostatni.

Ci, którzy idą za mną, nie robią mi wyrzutów, że stracili przeze mnie wszystko, co posiadali. Oni są moi. We mnie widzą bóstwo, które nie może się mylić.

Toczy się już otwarta wojna między mną i SUM-em. Moi przyjaciele są nieliczni, wrogowie potężni i jest ich wielu. Wędruję po świecie jak uciekinier. Ale zawsze śpiewam. I zawsze znajduję kogoś, kto chce słuchać, kto się do nas przyłącza, obejmując śmierć i cierpienie jak kochanek.

Nożem i siekiere biorę ich dusze. Potem odprawiamy dla nich rytuał odrodzenia. Niektórzy stają się wyjętymi spod prawa misjonarzami, większość wkłada fałszywe bransolety i wraca do domów, aby szeptać moje słowo. Dla mnie to bez znaczenia. Nie muszę się spieszyć, gdyż moja jest wieczność.

Moje słowo jest tym, co trwa mimo czasu. Moi wrogowie twierdzą, że przywołuję z powrotem starożytne bestialstwa i obłądy; że nic dla mnie nie znaczy, iż wojna, głód i epidemie znowu będą nękać ziemię. Jestem zadowolony z tych oskarżeń. Ich język wskazuje, że również w nich udało się obudzić gniew. A to uczucie należy do nas, tak samo jak wszystkie inne. Może nawet bardziej niż inne,

teraz, w jesieni ludzkości. Potrzebna nam burza, by uderzyć w SUM-a i wszystko, co On reprezentuje. A potem nastąpi zima barbarzyństwa.

A jeszcze później wiosna nowej i (być może) bardziej ludzkiej cywilizacji. Moi przyjaciele zdają się wierzyć, że nastąpi to jeszcze za ich życia:

pokój, braterstwo, oświecenie umysłów, oczyszczenie. Ja wiem, że tak nie będzie. Byłem w głębinach. Pełnia człowieczeństwa, którą ja przywracam, niesie w sobie własne demony.

Gdy pewnego dnia

Pożeracz bogów powróci,

Wilk zerwie łańcuchy,

Jeźdźcy wyruszą w pole,

Wiek dobiegnie końca,

Bestia się odrodzi...

wtedy SUM będzie zniszczony. I ty, silna i jasna, będziesz mogła wrócić do Ziemi i deszczu.

Będę na ciebie czekał.

Moja samotność dobiegła końca. Jutrzenko. Pozostało tylko jedno zadanie. Bóg musi umrzeć, aby jego uczniowie mogli wierzyć, że powstał z martwych i żyje wiecznie. Wtedy pójda na podbój świata.

Są tacy, którzy mówią, że ich obrażem i wzgardziłem nimi. Oni również, unoszeni falą, którą wywołałem, wydarli z siebie mechaniczne dusze i w muzyce i ekstazie szukają sensu swego bytu. Lecz ich wyznaniem jest prymityw. Zaprowadziło ich to na dzikie obszary, gdzie zastawiają pułapki na wysłane przeciw nim roboty i odprawiają okrutne obrzędy. Wierzą, że świat w końcu należeć będzie do kobiet. Mimo tego ich wysłanniczki przekazały mi propozycję mistycznego małżeństwa. Odmówiłem. Mój ślub odbył się dawno temu i powtórnie będzie odprawiony, gdy ten cykl świata zostanie zamknięty.

A więc mnie nienawidzą. Powiedziałem jednak, że przyjdę i przemówię do nich.

Opuszczam drogę biegnącą dnem doliny i śpiewając wchodzę na zbocze wzgórza. Tym nielicznym, którym pozwoliłem przyjść ze mną aż tutaj, powiedziałem, aby oczekiwali mego powrotu. Drżą w promieniach zachodzącego słońca; dopiero trzy dni minęły od zrównania wiosennego. Ja nie czuję zimna. Kroczę, wypełniony radością, między jeżynami i starymi, krzywymi jabłonkami. Moje nagie stopy zostawiają trochę krwi na śniegu, to dobrze. Grzbiety wzgórz

wokół są ciemne od lasów, czekających jak szkielety umarłych, aby znowu zostały w nie tchnięte liście. Na wschodzie, gdzie stoi gwiazda wieczorna, niebo jest purpurowe. Na tle błękitu nade mną przelatuje kluczek dzikich gęsi, wcześniej wracających do domu. Ich odległy krzyk spływa w dół, do mnie. Na zachodzie, przede mną i w górze, tli się czerwień. Czarne na jej tle stoją kobiety.

Tłumaczył: Dariusz Toruń

Księżyc łowcy

Rzeczywistości nie postrzegamy, rzeczywistość jest naszym zamysłem. Odmienne przypuszczenia mogą doprowadzić do katastrofalnych zaskoczeń. Ten powtarzany bez końca błąd stanowi źródło tragicznej natury historii.

Oskar Haeml, *Betrachtungen uber die menschliche Verlegenheit.*

Oba słońca zniknęły już za horyzontem. Widniejące na zachodzie góry stały się już falą czerni, nieruchomą, jak gdyby dotknął ich i zmroził chłód Zaświatu, gdy jeszcze się wznosiły na pierwszą morską przeszkodę po drodze ku Obietnicy; ale niebo nad nimi stało purpurowe, ukazujące jedynie pierwsze gwiazdy i dwa małe księżyce, srebrzyste sierpy w ochrowej obwódce, niczym sama Obietnica. Na wschodzie niebo pozostało jeszcze błękitne. Tutaj, niewysoko ponad oceanem, Ruii jaśniał nieomal pełnym blaskiem. Jego pasy błyszczały na tle karmazynowej poświaty. Pod nią drżały wody - świadectwo wiatru.

A'ï'ach też czuł wiatr, chłodny i szemrzący. Odpowiadał mu najdrobniejszym włoskiem swego ciała. Potrzebował zaledwie niewielkiego popchnięcia, by utrzymywać stały kurs; wysilek ten starczał, by dać poczucie własnej siły i jedności ze swym Rojem oraz kierunkiem i celem drogi. Otaczały go kuliste ciała towarzyszy, jarzące się lekko, nieomal zasłaniające mu widok ziemi, nad którą płynęli; był spośród nich najwyżej. Ich zapach życia stłumił wszystkie inne niesione przez wiatr, słodkie i mocne, i brzmiał ich wspólny śpiew, stugłosowego chóru, aby dusze ich mogły się połączyć i stać jednym Duchem, przedsmakiem tego, co oczekiwało ich na dalekim zachodzie. Dziś wieczorem, gdy P'a przejdzie przez tarczę Ruii, powróci Czas Blasku. Już się wszyscy na to cieszyli.

Tylko A'ï'ach nie śpiewał ani się nie zatracił w marzeniach o uctowaniu i miłości. Był zbyt świadom tego, co niesie. To, co ludzie przyczepili do jego ciała, ważyło bardzo niewiele, ale przepełniało mu duszę czymś ciężkim i surowym. Cały Rój wiedział o niebezpieczeństwie napaści i wielu ścisnęło broń: kamienie do rzucania lub zaostrome gałęzie, które opadają z drzew ii - w mackach falujących pod kulami ich ciał. A'ï'ach miał stalowy nóż - zapłatę ludzi za zgodę na obciążenie jego ciała. Jednak nie było to w naturze Ludu, by obawiać się czegoś, co może grozić im w przyszłości. A'ï'ach czuł osobliwe zmiany spowodowane tym, co działo się wewnątrz niego.

Wiedza ta przyszła, sam nie był pewien jak, ale wystarczająco powoli, by go nie zaskoczyć. Jednak zamiast tego przepełniła go zawziętość. Gdzieś w tych górach i lasach znajdowała się Bestia nosząca tę samą broń co on, znajdująca się w nikłym kontakcie typu rojowego - z człowiekiem. Nie potrafił odgadnąć, co to może zwiastować, z wyjątkiem jednego: jakieś kłopoty dla Ludu. Pytanie ludzi o to mogło być nierozsądne. Dlatego też postanowił zrobić rzecz obcą jego rasie: postanowił, że sam usunie tę groźbę.

Ponieważ oczy miał umieszczone w dolnej połowie ciała, nie widział przedmiotu umocowanego na szczycie ani bijącego z niego światła. Jego towarzysze mogli to jednak zobaczyć, więc kazał sobie wszystko pokazać, nim zgodził się to ponieść. Światło było słabe, widoczne tylko w nocy, a i to jedynie na ciemnym tle, będzie więc szukał błysku wśród cieni na powierzchni ziemi. Prędzej czy później zobaczy go. Okazja była po temu nie najgorsza teraz, o Czasie Blasku, gdy Bestie wyruszą, by zabijać Lud, o czym wiedziały, licznie zgromadzone na rozkosze.

A'i'ach zażądał noża jako ciekawostki, która może się przydać. Chciał schować go w gałęziach drzewa, by z nim poćwiczyć, gdy przyjdzie mu na to ochota. Czasem któraś z Osób wykorzystywała znaleziony przedmiot, na przykład ostry kamień, do jakichś doraźnych celów, aby na przykład otworzyć strąk grzebienio-kwiatu i wypuścić przepyszne nasionka. Może za pomocą noża będzie mógł robić narzędzia z drewna i mieć ich kilka w zapasie.

Zastanowiwszy się nad tym, A'i'ach skonstatował, do czego naprawdę służy ostrze. Mógł uderzać z powietrza, póki Bestia nie zginie... nie, póki nie zginie ta bestia.

A'i'ach polował...

Kilka godzin przed zachodem słońca Hugh Brocket i jego żona, Jannika Rezek, przygotowywali się do nocnej pracy, gdy zjawiała się Chrisoula Gryparis, mocno spóźniona. Burza najpierw zmusiła samolot do lądowania w Enrique, a potem, złośliwie pracując na zachód, zmusiła go do zatoczenia szerokiego łuku w czasie lotu do Hansonii. Nawet nie spostrzegła Oceanu Pierścieniowatego i przeleciała dobre tysiąc kilometrów w głąb lądu, po czym musiała skrócić na południe i wrócić tyle samo, by dotrzeć do ich wielkiej wyspy.

- Port Kato wygląda ogromnie odludnie z powietrza - zauważyła.

Choć z silnym obcym akcentem, jej angielski - język uzgodniony jako wspólny na tej stacji - był płynny; między innymi dlatego znalazła się tutaj, by zbadać możliwości znalezienia jakiegoś zajęcia.

- Bo jest odludny - oświadczyła Jannika, z własnym obcym akcentem. - Kilkunastu naukowców, może dwa razy tylu praktykantów i parę osób personelu pomocniczego. Dlatego też będziesz tu szczególnie mile widziana.

- Co, czyżbyście się czuli osamotnieni? - zdziwiła się Chrisoula. - Można przecież rozmawiać z każdym po stronie przyplanetarnej, kto ma holokom?

- Owszem albo polecieć do miasta służbowo lub na urlop czy przy innej okazji- włączył się Hugh. - Ale choć obraz jest stereoskopowy, a dźwięk plastyczny, jest to tylko obraz. Nie można go przecież zabrać na drinka po rozmowie? Co do wyjazdów zaś, to po nich zawsze się jednak wraca do tych samych twarzy. Placówki naukowe stają się coraz bardziej wyalienowane towarzysko. Sama zobaczysz, gdy tu przyjedziesz. Ale nie chciałbym - dodał pośpiesznie - byś odniosła wrażenie, że cię zniechęcam. Jan ma rację, będziemy szczęśliwi, gdy zjawi się tu ktoś nowy.

Jego obcy akcent wynikał z życiorysu. Język ojczysty - angielski; Hugh jednak był Medeańczykiem w trzecim pokoleniu, co oznaczało, że jego dziadkowie opuścili Amerykę Północną tak dawno temu, iż język zmienił się podobnie jak wszystko inne. Chrisoula zresztą nie była w tym wszystkim zorientowana, skoro laserowa wiązka biegła z Ziemi na Kolchidę prawie pięćdziesiąt lat, a statek, którym tu przyleciała, uśpiona i nie starzejąca się, był o wiele wolniejszy...

- Tak, z Ziemi! - W głosie Janniki słyhać było radość. Chrisoula drgnęła.

- Gdy odlatywałam, na Ziemi było nieciekawie. Może później sytuacja się polepszyła. Proszę was, chętnie porozmawiam o tym później, ale teraz chciałabym się zająć przyszłością.

Hugh poklepał ją po ramieniu. Pomyślał, że Chrisoula jest dość ładna; z pewnością nie dorównywała Jan (niewiele zresztą kobiet mogło się z nią równać), ale gdyby ich znajomość miała rozwinąć się w kierunku łóżka, nie miałby nic przeciwko temu. Zawsze jakaś odmiana.

- Dziś jakoś szczególnie ci się nie wiodło, co? - mruknął. - Najpierw to opóźnienie, póki Roberto... to znaczy dr Venosta nie wróci z obserwacji w terenie, a dr Feng z Ośrodka, dokąd pojechał z próbkami...

Miał na myśli głównego biologa i głównego chemika. Specjalnością Chrisouli była biochemia; wszyscy mieli nadzieję, że skoro dopiero co przybyła, i to ostatnim

z nieczęsto przylatujących statków międzygwiazdnych, przyczyni się istotnie do wyjaśnienia życia na Medei.

Uśmiechnęła się.

- No, to zacznę od zapoznawania się z innymi, poczynając od was - dwojga miłych osób.

Jannika potrząsnęła głową.

- Przykro mi - rzekła - ale sami jesteśmy załatani; wkrótce wychodzimy i możemy nie wrócić przed świtem.

- To znaczy... kiedy? Za około trzydzieści sześć godzin? Tak. Czy to nie za długo jak na wyprawy w... jak to powiedzieć? W tak niesamowitym otoczeniu?

Hugh zaśmiał się.

- Taki jest los ksenologa, a oboje mamy tę specjalność - odparł. - Mmm... myślę, że przynajmniej ja znajdę trochę czasu, by pokazać ci to i owo, wprowadzić cię we wszystko i w ogóle sprawić, byś czuła się jak u siebie w domu.

Ponieważ Chrisoula przybyła w tym punkcie cyklu dyżurów, gdy większość ludzi jeszcze spała, skierowano ją do kwatery Hugh'a i Janniki, którzy wcześniej wstali, by przygotować się do wyprawy.

Jannika rzuciła mu ciężkie spojrzenie. Hugh był potężnie zbudowanym mężczyzną, który obliczał swój wiek na czterdzieści jeden lat ziemskich: krzepkiej budowy ciała, o trochę niezgrabnych ruchach, z zawiązującym się brzuszkiem; ostre rysy twarzy, jasne włosy, niebieskie oczy; ostrzyżony na krótko, gładko wygolony, ale niechlujnie ubrany w kurtkę, spodnie i wysokie buty, w stylu górników, wśród których się wychował.

- Ja nie mam czasu - oświadczyła. Hugh wykonał szeroki gest.

- Jasne, nie przeszkadzaj sobie, kochanie. - Ujął Chrisoulę pod łokieć. - Chodźmy się przejść.

Oszołomiona wyszła z nim z zagraconego baraku. Na podwórzu zatrzymała się i długo rozglądała dookoła, jak gdyby po raz pierwszy zobaczyła Medeę.

Port Kato był faktycznie niewielki. Aby nie zakłócać tutejszej ekologii takimi urządzeniami, jak oświetlenie ultrafioletowe nad poletkami uprawnymi, zaopatrywał się we wszystko, co mu potrzebne, w starszych i większych osadach po stronie przyplanetarnej. Poza tym, choć znajdował się w pobliżu wschodniego skraju Hansonii, usytuowano go jednak kilka kilometrów w głąb lądu, na wzniesieniu, by zabezpieczyć się przeciwko przyływowi Oceanu Pierścieniowatego, które potrafiły przybierać potworne rozmiary. W ten sposób przyroda otaczała i przygniatała

grupę budowli ze wszystkich stron, gdziekolwiek by spojrzała... czy też słuchała, odczuwała powonieniem, dotykiem, smakiem, poruszeniem. Przy sile ciężenia nieco mniejszej niż na Ziemi jej chód był cokolwiek skoczny. Większa zawartość tlenu także dodawała energii, choć nie pozbyła się jeszcze związanego z tym podrażnienia błon śluzowych. Pomimo usytuowania w strefie tropikalnej powietrze było balsamiczne i niezbyt wilgotne, ponieważ wyspa leżała dość blisko strony odplanetarnej. Przesycały je najróżniejsze zapachy, z których tylko kilka z nich przypominało te, które znała, w rodzaju piżma czy jodu. Dźwięki też były obce; szelesty, tryle, skrzypienia, mamrotania, które gęsta atmosfera jeszcze bardziej wzmacniała.

Sama stacja miała obcy wygląd. Budynki wykonano z tutejszych materiałów, Według tutejszych projektów; nawet przetwornik energii promienistej nie przypominał niczego, co widziała na Ziemi. Zwielokrotnione cienie miały dziwny kolor; właściwie to w tym czerwonym świetle żaden kolor nie był taki jak zawsze. Drzewa wznoszące się nad dachem miały niezwykle kształty, a ich liście były zabarwione na różne odcienie oranżu, żółci i brązu. Między drzewami i wśród gałęzi śmigaly niewielkie stworzenia. Pojawiające się co jakiś czas w powietrzu świecące pasma nie wyglądały na zwykły kurz.

Niebo miało głębokie barwy. Nieliczne chmurki otaczał delikatny róż i złocistość. Podwójne słońce Kolchida (nagle astronomiczna nazwa "Kastor C" wydała się zbyt sucha) skłaniało się ku zachodowi. Oba składniki gwiazdy świeciły tak nikłym blaskiem, że przez krótką chwilę mogła patrzeć na nie bezpiecznie gołym okiem. Fryksos znajdował się bez mała w największym kątowym odchyleniu od Helle.

Po przeciwnej stronie królowała na niebie Argo, jak zawsze na stale skierowanej ku jej stronie Medei. W tym miejscu planeta główna wisiała nisko na niebie; wierzchołki drzew skrywały częściowo spłaszczoną tarczę. Światło dnia rozjaśniało nieco jej czerwony żar, który z nadejściem nocy jeszcze się wzmocni. Mimo to Argo była olbrzymem, o wielkości pozornej piętnaście czy szesnaście razy większej niż Luna nad Ziemią. Subtelnie zabarwione pasma i plamy na jej tarczy, nieustannie zmieniające się, były chmurami większymi niż całe kontynenty oraz trąbami powietrznymi, z których każda mogłaby połknąć cały ten księżyc, na powierzchni którego stali.

Chrisoula zadrżała.

- Tu... uderza mnie - wyszeptala - bardziej niż gdziekolwiek, w Enrique czy... podczas lądowania, że trafiłam do innego miejsca we Wszechświecie.

Hugh objął ją ręką w talii. Gładkie słowa zawsze przychodziły mu z trudnością, więc powiedział po prostu:

- Bo tu 001 jest inaczej. Właśnie dlatego istnieje Port Kato: by badać szczegółowo obszar, który przez jakiś czas był izolowany. Mówi się, że przesmyk między Hansonią i resztą lądu zniknął dopiero piętnaście tysięcy lat temu. W każdym razie tutejsi dromidzi nigdy nie słyszeli o ludziach, zanim my się tu zjawiliśmy. Ouranidzi słyszeli jakieś plotki, co mogło mieć na nich pewien wpływ, ale niewielki.

- Dromidzi... ouranidzi... och! - Jako Greczynka natychmiast zrozumiała znaczenie tych terminów. - Fuksy i baloniki, prawda?

Hugh zmarszczył czoło.

- Proszę cię, to niezbyt miłe żarty, nie uważasz? Wiem, że w mieście często się tak o nich mówi, ale moim zdaniem obie rasy zasługują na godniejsze nazwy. Pamiętaj: to istoty inteligentne.

- Przepraszam.

Uścisnął ją lekko. - Nic się nie stało, Chris. Jesteś tu nowa. Kiedy po pytaniu zadany Ziemi czeka się sto lat na odpowiedź...

- Tak. Zastanawiałam się, czy to warto: rozmieszczać kolonie tak daleko poza Układem Słonecznym, po to, by otrzymywać wiedzę naukową z takim opóźnieniem.

- Masz w tej sprawie aktualniejsze dane niż ja.

- No więc... planetologia, biologia, chemia - wszystkie te nauki wypracowywały sobie nowe poglądy, gdy odlatywałam, a to dotyczyło każdej gałęzi wiedzy, od medycyny po regulację sejsmiczną. - Chrisoula wyprostowała się. - Może kolejnym etapem będzie wasz przedmiot, ksenologia? Jeśli potrafimy zrozumieć mózg nieczłowieka... nie, dwa mózgi na tym księżycu, a może nawet trzy, jeśli naprawdę istnieją tu dwa zupełnie odmienne typy ouranidów, jak słyszałam... - nabrała oddechu - no to wtedy może zyskamy szansę zrozumienia nas samych. - Wydawało mu się, że interesuje ją to naprawdę, że nie tylko stara się mu sprawić przyjemność, gdy mówiła dalej: - Czym wy się tu właściwie zajmujecie, ty i twoja żona? W Enrique mówili mi, że to coś zupełnie szczególnego.

- W każdym razie jest to w stadium eksperymentalnym. - Nie chcąc przedobrzyć zabrał rękę z jej talii. - To skomplikowana sprawa. Może raczej wolałabyś wycieczkę po naszej metropolii?

- Później sama mogę się tu rozejrzeć, skoro musicie zająć się pracą. Ale zafascynowało mnie to, co słyszałam o waszej pracy. Czytanie myśli nieziemców!

- To wcale nie tak. - Chwytną nadarzącą się okazję, wskazał jej ławkę przy baraku maszynowni. - Jeśli naprawdę chcesz posłuchać, to usiądźmy.

W tym momencie ze swego baraku wyszedł botanik. Piet Marais. Ku uldze Hugh'a pozdrowił ich tylko, po czym pośpieszył dalej. Niektóre rośliny w Hansonii o tej porze dnia zachowywały się bardzo dziwnie. Pozostali uczeni znajdowali się jeszcze w kwaterach, kucharz z pomocnikiem przygotowywali śniadanie, reszta zaś myślała i przygotowywała do kolejnego okresu dziennego.

- Myślę, że cię to zdziwiło :- zaczął Hugh. - Technika elektronicznej neuroanalizy była na Ziemi dopiero w powijakach, gdy odlatywał twój statek. Wkrótce potem nastąpił jej gwałtowny rozwój i oczywiście informacje na ten temat dotarły do nas na długo przed tobą. Stosowano ją dotąd zarówno na niższych zwierzętach, jak i na ludziach, więc było nam niezbyt trudno - zważywszy, że w Ośrodku mamy paru geniuszy - zaadaptować ją dla dromidów i ouranidów. W końcu oba te gatunki mają również systemy nerwowe, a sygnały są elektryczne. Szczerze mówiąc znacznie trudniej było opracować program niż sam sprzęt. Zajmujemy się tym z Janniką, zbierając dane doświadczalne do wykorzystania przez psychologów, semantyków i informatyków.

Hm, nie chciałbym, żebyś mnie źle rozumiała. Ola nas na razie wszystko jest nieomal sprawą przypadku. Mnemoskopia - nieładne słowo, ale jakoś się przyjęło - mnemoskopia będzie później cennym narzędziem w naszej właściwej pracy, polegającej na badaniu życia tubylców, ich myśli i uczuć, słowem wszystkiego na ich temat. Niemniej jednak, na razie jest to narzędzie bardzo nowe, bardzo ograniczone i bardzo nieobliczalne.

Chrisoula pogładziła się po podbródku.

- Powiem ci, co ja wiem, jak mi się zdaje - zaproponowała - a ty mi powiesz, w czym się pomyliłam.

- Jasne.

Zaczęła pedantycznie:

- Istnieje możliwość identyfikacji i zapisu wzorów synaptycznych odpowiadających impulsom motorycznym, doznaniom zmysłowym, ich przetwarzaniu, i na

koniec, teoretycznie, myślom właściwym. Badanie jednak polega na mozolnym zbieraniu danych, ich interpretacji i korelacji owej interpretacji z odruchami werbalnymi. Wszelkie otrzymane wyniki można zmagazynować w komputerze w postaci mapy n-wymiarowej, z której da się robić odczyty. Dodatkowe odczyty można uzyskać .poprzez interpolację.

- Fiuu! - gwizdnął Hugh. - Mów dalej. - Nie pomyliłam się dotąd? Tego się nie spodziewałam.

- No więc oczywiście próbujesz w paru słowach naszkicować to, co jest potrzebne choćby do częściowego właściwego opisu wielu tomów matematyki i logiki symbolicznej. Ale i tak idzie ci lepiej, niż ja mógłbym to zrobić.

- No więc mówię dalej. Ostatnio opracowano różne systemy pozwalające na dokonywanie odniesień pomiędzy poszczególnymi mapami. Mogą one przekształcać wzory reprezentujące myśli jednego mózgu we wzory myślowe innego. Również możliwa jest bezpośrednia transmisja między układami nerwowymi. Wykrywa się wzór, tłumaczy w komputerze i indukuje elektromagnetycznie w mózgu odbierającym. Czyż to nie jest telepatia? Hugh zaczął kręcić głową, ale ograniczył się do słów:

- Mmmm... w jakiejś wyjątkowo prymitywnej postaci. Nawet dwie istoty ludzkie, które myślą w tym samym języku i znają siebie nawzajem na wylot, nawet on« otrzymują tylko część informacji: proste komunikaty z wieloma zniekształceniami, niskim odstępem psometrycznym i powolnym tempem transmisji. A o ile gorzej rzecz się ma w przypadku obcej formy życia! Weźmy choćby tylko inny język, pomijając budowę neurologiczną, metabolizm...

- Ale próbujecie tego nie bez sukcesów, jak słyszałam.

- No, udało się nam uzyskać pewien postęp na kontynencie w przypadku zarówno dromidów, jak i ouranidów. Ale wierz mi, słowo "pewien" jest tu wielką przesadą.

- A potem próbujecie tego na Hansonii, gdzie kultura miejscowa musi być wam całkowicie obca. Właściwie to gatunek "ouranid"... Dlaczego? Czy przypadkiem nie dodajecie sobie zbytecznej pracy?

- Tak... to jest, dodajemy sobie pracy, ale nie jest ona zbyteczna. Widzisz, większość ze współpracujących z nami tubylców spędziło całe swe życie w pobliżu ludzi. Wielu z nich jest stałymi obiektami badań: dromidzi dla zapłaty, ouranidzi zaś dla satysfakcji psychicznej, zabawy, można by rzec. Są rasowo wykorzeni. Czasem nawet nie mają pojęcia, dlaczego ich "dzicy" krewniacy coś robią.

Chcieliśmy sprawdzić, czy mnemoskopia może stać się narzędziem poznania czegoś więcej poza neurologią. Do tego celu potrzebne były nam istoty, które są stosunkowo, hm, nieskażone. Pan Bóg jeden wie, ile jest obszarów dziewiczych na całej półkuli przyplanetarnej. Ale tu oto istniał gotowy Port Kato, zaprojektowany do intensywnych badań w terenie, który jest zarówno izolowany, jak i ściśle ograniczony. Jan i ja postanowiliśmy, że możemy z powodzeniem do naszych programów badań włączyć mnemoskopię.

Wzrok Hugh'a powędrował ku ogromowi Argo i zatrzymał się na niej.

- Jeśli o nas chodzi - dodał cicho - jest to sprawa przypadkowa: jeden ze sposobów wypróbowywanych w celu stwierdzenia, dlaczego tutaj dromidzi i ouranidzi prowadzą ze sobą wojnę.

- Przecież gdzie indziej też się nawzajem zabijają, prawda?

- Tak, na wiele sposobów, dla najróżniejszych przyczyn, o ile możemy to ustalić. Dla ścisłości, ja nie popieram poglądu, że na tej planecie tubylcy zdobywają, informacje poprzez zjadanie tych, którzy je posiadają. Po pierwsze, mógłbym ci pokazać mnóstwo obszarów, gdzie dromidzi i ouranidzi jak się wydaje żyją razem w pokoju. - Wzruszył ramionami. - Ziemskie narody nigdy nie były identyczne, dlaczego więc spodziewamy się, że na Medei wszędzie ma być jednakowo?

- Na Hansonii wszakże... mówisz, wojna?

- To najlepsze określenie, jakie potrafię wymyślić. Och, żadna ze stron nie ma jakiegoś rządu, który mógłby ją wypowiedzieć. Faktem jednak jest, że przez ostatnie dwadzieścia lat - czyli tyle, ile obserwują ich ludzie - dromidzi z tej wyspy odczuwają coraz silniejszą żądzę mordy wobec ouranidów. Chcą ich zniszczyć! Ouranidzi są nastawieni pokojowo, ale potrafią się bronić, czasem aktywnymi środkami w rodzaju zastawiania pułapek. - Hugh skrzywił się. - Widziałem kilka takich starć; oglądałem też skutki jeszcze większej liczby innych. Nie jest to przyjemne. Gdybyśmy my tu, w Port Kato, mogli pośredniczyć - przynieść pokój - sądzę, że już to samo usprawiedliwiłoby obecność człowieka na Medei.

Chociaż chciał ująć ją swą życzliwością, nie zamierzał jednak grać świętoszka. Był pragmatykiem, niemniej jednak czasem zastanawiał się, czy człowiek ma prawo tu przebywać. Długoterminowe badania naukowe były niemożliwe bez samodzielnie utrzymującej się kolonii, co z kolei narzucało jej odpowiednią liczbę ludzi, którzy w większości nie byli uczonymi. On na przykład był synem górnika i dzieciństwo spędził na prowincji. Prawda, osadnictwo ludzkie na Medei nie miało zwiększać swej liczebności ponad obecny poziom, a zresztą na

większości powierzchni tego ogromnego księżyca panowały warunki nieodpowiednie dla ludzi, tak więc dalszy rozwój kolonizacji był mało prawdopodobny. Ale i tak tylko ze względu na swą obecność Ziemiaństwo wywarli nieodwracalny wpływ na obie rasy tubylcze.

- Nie możecie ich spytać, dlaczego ze sobą walczą? - zastanawiała się Chrisoula.

Hugh uśmiechnął się krzywo.

- O, tak, możemy spytać. Do tej pory opanowaliśmy tutejsze języki do celów praktycznych. Pytanie tylko: jak głęboko sięga nasze zrozumienie?

Posłuchaj: jestem specjalistą od dromidów, Jannika zaś od ouranidów i oboje usilnie się staraliśmy zdobyć przyjaźń niektórych osobników. Mnie jest trudniej, bowiem dromidzi nie chcą przychodzić do Port Kato, dopóki nie mają pewności, że nie natkną się tu na jakiegoś ouranida. Przyznają, że byliby wtedy zmuszeni próbować go zabić - i przy okazji również zjeść: to ważny akt symboliczny. Dromidzi zgadzają się, że byłoby to pogwałcenie naszej gościnności. Dlatego też ja muszę się z nimi spotykać w ich obozowiskach i schronieniach. Pomimo tego utrudnienia Jannika jest przekonana, że nie posunęła się dalej niż ja. Oboje jesteśmy na równi, w kropce.

- A co mówią tubylcy?

- No, przedstawiciele obu gatunków przyznają, że kiedyś żyli ze sobą w zgodzie... nie mając zbyt wielu bezpośrednich kontaktów, ale interesując się sobą nawzajem w znacznym stopniu. Potem zaś, dwadzieścia-trzydzieści lat temu, coraz więcej dromidów zaczęło tracić płodność. Coraz też częściej poszczególni osobnicy umierali nie przechodząc całego cyklu. Przywódcy zdecydowali, że to wina ouranidów i że należy ich pozabijać.

- Dlaczego?

- Kanon wiary. Brak tu jakiegokolwiek uzasadnienia, które mógłbym rozpoznać, choć potrafię się domyślić motywów, w rodzaju potrzeby znalezienia kozła ofiarnego. Nasi patolodzy szukają prawdziwej przyczyny, ale można sobie wyobrazić, ile czasu to zajmie. A tymczasem napaści i zabójstwa się mnożą.

- Chrisoula popatrzyła na pokryty pyłem grunt.

- Może ouranidzi też się jakoś zmienili? Wówczas dromidzi mogliby wyciągnąć pośpieszny wniosek o *post hoc, propter hoc*.

- Hę?

Gdy przetłumaczyła, Hugh zaśmiał się.

- Boję się, że brak mi oglądy - powiedział. - Pionierzy i traperzy, wśród Oprych się wychowałem, szanują wykształcenie - bez niego nie przeżylibyśmy na Medei - ale sami zbyt wiele go nie mają. Zainteresowałem się ksenologią, bo jako dzieciak zaprzyjaźniłem się z jednym dromidem i trwało to przez jego cały cykl - od okresu żeńskiego, poprzez męski, do postseksualnego. Tak egzotyczne życie Pociągnęło moją wyobraźnię.

Jego próba skierowania rozmowy na tory bardziej osobiste nie powiodła się.

- Co zrobili ouranidzi? - nastawała Chrisoula.

- Och... przyjęli nową... nie, nie religię. To sugerowałoby osobny przedział życia, prawda? A ouranidzi nie dzielą swego życia. Można to nazwać nową drogą, nowym Tao. Składa się na to ostatecznie lot ze wschodnim wiatrem poprzez ocean, by zginąć w chłodzie panującym na stronie odplanetarnej. To ma jakieś transcendentalne znaczenie. Nie pytaj mnie, jakie czy dlaczego. Nie potrafię też zrozumieć - ani Jannika - dlaczego dromidzi uważają to, co robią ouranidzi, za rzecz straszną. Mam pewne pomysły, ale to tylko hipotezy. Moja żona żartuje, że są to urodzeni fanatycy.

Chrisoula skinęła głową.

- Przepaść kulturowa. Powiedzmy, że współczesny materialista o niewielkiej empatii posiadał wehikuł czasu i udał się do czasów średniowiecza na Ziemi, by tam dowiedzieć się, jakie były powody krucjat czy mahometańskich świętych wojen. Wydałyby mu się bezsensowne. Bez wątplenia doszedłby do wniosku, że wszyscy zainteresowani postradali zmysły, a jedyną możliwą drogą do pokoju było całkowite zwycięstwo jednej strony nad drugą. Co, jak się okazało, nie było prawdą.

Hugh uświadomił sobie, że ta kobieta myśli bardzo podobnie do jego żony. Chrisoula mówiła zaś dalej:

- Czy nie mogłaby być taka możliwość, że powodem tych zmian jest człowiek, choćby pośrednio?

- Jest taka możliwość - przyznał. - Ouranidzi oczywiście latają daleko, więc te z Hansonii mogły usłyszeć, z drugiej czy trzeciej ręki, opowieść o raju związanym z ludźmi. Sądzę, że to naturalne uważać, iż raj leży na zachodzie. Nie to, żeby ktoś z nas próbował nawracać tubylca, ale oni czasem pytali, jakie są nasze poglądy. A ouranidzi to urodzeni mitotwórcy, którzy podchwytyją każdy pogląd. Są również skłonni do ekstazy, nawet względem śmierci.

- Podczas, gdy dromidzi, jak usłyszałam, potrafią w ciągu nocy wymyślić nową, wojowniczą religię. Tak więc na tej wyspie nowa religia okazała się skierowana przeciwko ouranidom, co? To tragiczne... choć ma wiele wspólnego, jak sądzę, z prześladowaniami religijnymi na Ziemi.

- W każdym razie nie możemy im pomóc, dopóki nie zdobędziemy więcej informacji. Jan i ja pracujemy nad tym. Przeważnie przestrzegamy zwykłego sposobu postępowania: badania polowe, obserwacje, wywiady i tak dalej. Eksperymentujemy również z mnemoskopią. Dziś zostanie ona poddana najpoważniejszej jak dotąd próbie.

Chrisoula usiadła wyprostowana, spięta.

- Co będziecie robić?

- Prawdopodobnie skończy się to niepowodzeniem. Sama jesteś naukowcem, więc wiesz, jak rzadko zdarzają się prawdziwe momenty przełomowe. My się tylko wleczeni przed siebie.

Gdy Chrisoula milczała, Hugh nabrał oddechu do dłuższej wypowiedzi.

- Dokładnie mówiąc - ciągnął - Jan wychowuje "dzikiego" ouranida, ja zaś "dzikiego" dromida. Namówiliśmy ich do podłączenia im miniaturowych nadajników mnemoskopowych i pracujemy nad nimi, by rozwinąć nasze własne możliwości. Tego, co odbieramy i tłumaczymy, nie ma zbyt wiele. Nasze oczy i uszy dają nam znacznie więcej informacji. Ale są to dane szczególne, uzupełniające.

Jak to wygląda? Och, nasz tubylec ma przyklejony do głowy aparat wielkości guzika - o ile w przypadku ouranida można mówić o głowie. Energii dostarcza ogniwo rtęciowe. Aparat nadaje sygnał identyfikacyjny w paśmie radiowym; jego moc jest rzędu mikrowatów, ale wystarczy, by można było to odbierać. Transmisja danych potrzebuje oczywiście szerokiego pasma, nadajemy więc to wiązką ultrafioletową.

- Co takiego? - To zaskoczyło Chrisoulę. - Czy to nie jest niebezpieczne dla dromidów? Uczono mnie, że oni, podobnie jak większość zwierząt, muszą kryć się podczas wybuchów na słońcu.

- To promieniowanie ma moc bezpieczną, choćby z powodu ograniczeń energetycznych - odrzekł Hugh. - Oczywiście przekaz może się odbywać tylko w linii wzroku, na odległość kilku kilometrów w powietrzu. Przy tym tubylcy obu ras twierdzą, że potrafią wykryć fluorescencję gazu wzdłuż toru promieni. Choć oczywiście nie ujmują tego w tych słowach!

Tak więc Jan i ja polecimy osobnymi grawitolotami. Zawieśniemy tak wysoko, że nie będzie nas widać, drogą radiową włączymy nadajniki i “dostroimy się” do naszych obiektów za pomocą wzmacniaczy i komputerów. Jak już powiedziałem, do tej pory uzyskiwaliśmy bardzo ograniczone rezultaty; jest to wyjątkowo mało wydajna telepatia. Dziś wieczór planujemy zintensyfikować wysiłki, ponieważ zdarzy, się coś ważnego.

Nie zapytała od razu, co to będzie, ale zamiast tego powiedziała:

- A czy próbowaliście nadawania do tubylca zamiast odbioru?

- Co takiego? Nie, nikt jeszcze tego nie próbował. Po pierwsze, nie chcemy, by wiedzieli, że ich obserwujemy. To prawdopodobnie wpłynęłoby na ich zachowanie. Poza tym żadna z ras medeańskich nie dysponuje niczym, co choć trochę przypominałoby kulturę naukową. Wątpię, czy zrozumieliby, o co chodzi.

- Naprawdę? Przy ich wysokim poziomie metabolizmu powiedziałabym, że powinni myśleć szybciej od nas.

- Wydaje się, że tak jest, choć nie potrafimy tego zmierzyć, dopóki nie ulepszymy mnemoskopu, tak by umiał odczytywać myśli werbalnie. Do tej pory zidentyfikowaliśmy tylko wrażenia zmysłowe. Wróc tu za sto lat, to może ktoś ci odpowie na twoje pytanie.

Rozmowa stała się tak uczona, że Hugh z radością przyjął ukazanie się ouranida, które ją przerwało. Rozpoznał tego osobnika - samicę, pomimo tego, że była większa niż zazwyczaj: jej rozdęta wodorem kula osiągnęła pełne cztery metry średnicy. To spowodowało, że pokrywająca ją sierść stała się rzadka, tracąc swój perłowy połysk. Mimo to jednak miło było na nią patrzeć, jak przelatywała nad wierzchołkami drzew, w poprzek linii wiatru, a potem w dół. Z chwytymi wiciami powiewającymi u dołu w różnych konfiguracjach, by ułatwić kierowanie odrzutowym poruszaniem się w powietrzu, nie zasługiwała właściwie na nazwę “latającej meduzy” - choć Hugh widywał zdjęcia ziemskich “żeglarzy portugalskich” i uważał, że są piękne. Potrafił zrozumieć sympatię, jaką ta rasa budziła w Jannice.

Wstał.

- Pozwól, że ci przedstawię jedną z tutejszych osobistości - rzekł do Chrisouli. - Niallah mówi trochę po angielsku. Jednakże nie spodziewaj się, że od razu zrozumiesz jej wymowę. Prawdopodobnie przyleciała na mały handelek, zanim wróci do swej grupy na dzisiejsze wielkie wydarzenie.

Chrisoula uniosła się z miejsca.

- Handelek? Wymiana?

- Aha. Niallah odpowiada na pytania, snuje opowieści, śpiewa pieśni, pokazuje manewry, cokolwiek zechcemy. W zamian za to musimy jej grać ludzką muzykę, zwykle Schonberga; szaleje za nim.

Przeskakując przez skałę Erakoum wyraźnie ujrzała Sarhoutha na tle Mardudeka. Księżyc zbliżał się ku słonecznej pełni przechodząc przez czerwony żar planety. Jego tarcza niewielka wobec jej ogromu zdawała się mniejsza dla oczu niż, plama, która również pojawiła się w polu widzenia, a jego zimne światło nieomal zniknęło jakiś czas temu, gdy księżyc przechodził ponad jednym z pasów wyraźnie otaczających Mardudeka. Pasy owe po zmroku jaśniały; mędrcy, tacy jak Yasari, uważali, że odbijają one światło słoneczne.

Przez chwilę Erakoum zapatrzyła się w ten widok: kule poruszające się w bezkresnej przestrzeni po okręgach wewnątrz większych okręgów. Wierzyła, że sama zostanie mędrcem; ale nie będzie to wkrótce. Czekał ją jeszcze drugi okres rozrodczy, odrzucanie i pilnowanie drugiego segmentu, pomoc w opiece nad młodymi, które z niego wyjdą; a potem stanie się samcem, którego czekały obowiązki w zakresie poczęć, dopóki ta potrzeba tak samo nie zaniknie i nie nadejdzie czas spokoju.

Z ukłuciem bólu przypomniała sobie swój pierwszy, bezpłodny rozród. Segment chodził chwiejnie tu i tam przez jakiś czas, dopóki nie upadł i nie umarł, jak wiele innych, tak wiele. To Latacze spowodowały tę klątwę. Musiały to być one, jak przepowiedział prorok Illdamen. Ich nowa metoda lotu na zachód, gdy się zestarzeją, aby nigdy nie powrócić, zamiast opaść na ziemię i oddać jej, gnijąc, swe szczątki, jak tego sobie życzy Mardudek, z pewnością rozgniewała Czerwonego Strażnika. Na Lud nałożony został obowiązek odwetu za ten grzech przeciwko naturalnemu porządkowi rzeczy. Dowodem był fakt, że samice, które na krótko przed zapłodnieniem zabiły i zjadły Latacza, zawsze wydawały zdrowe segmenty, które przynosiły żywe potomstwo.

Erakoum przysięgła sobie, że dziś wieczór ona będzie taką właśnie samicą.

Zatrzymała się, by zaczerpnąć tchu i rozejrzeć się po okolicy. Tutaj urwiska stanowiły granice fiordu, w którym woda była o wiele spokojniejsza niż znajdujące się poza nią morze, i jaskrawo odbijała światło padające ze wschodu. Ciemna plama zdradzała obecność masy pływających wodorostów. Może to właśnie rośliny r lego rodzaju, w którym pączkują Latacze w swym ohydny dzieciństwie? Z tej

odległości Erakoum nie potrafiła tego stwierdzić. Czasem dzielni przedstawiciele jej rasy wyprawiali się na kłodach drewna usiłując dotrzeć do tych wylęgarni i zniszczyć je, ale nie udawało się im to i często ginęli w zdradliwych olbrzymich falach.

Na zachodzie wznosiły się poszarpane, pokryte lasem wzgórza, gdzie czaiła się ciemność. Na tle ich cieni tańczyły błyski złocistych iskier tysiącami, milionami na całym terenie. Były to ogniste pajęczki. Przez ponad sto dni i nocy żyły jako jaja, a potem robaczki głęboko ukryte w podszyciu leśnym. Teraz zaś Sarhouth przechodził przez Mardudeka dokładnie tą drogą, na której tajemniczo się pojawiały. Wypelzały na powierzchnię, rozpościerały skrzydła, które im wyrosły, i ulatywały, świecące, by się rozmnażać.

Kiedyś zdawały się Ludowi tylko przyjemnym dla oczu widokiem. Potem pojawiła się konieczność zabijania Lataczy... a te gromadziły się stadami, by zerować na chmarach pajęczków. Nisko zawieszone, nieostrożne w swych swawolach, dawały się łatwiej zaskoczyć niż zazwyczaj. Erakoum uniosła włócznię z grotem z obsydianu; pięć innych miała przytroczonych do grzbietu. Pewna liczba Osób spędziła ten dzień zastawiając sieci i pułapki, ale ona uważała to za niepraktyczne; Latacze to nie zwykły skrzydlaty łup. W każdym razie ona chciała cisnąć włócznią, strącić ofiarę i zatopić kły w jej drobnym ciele sama!

Noc wokół niej była pełna szelestów. Napawała się zapachem gleby, roślin, gnicia, nektaru, krwi, dążeń. Ciepło, jakie dawał Mardudek, przesączało się przez chłodny wietrzyk, omywając jej sierść. Na wpół dostrzeżone przemykające się kształty, na wpół słyszane szelesty w podszyciu to jej towarzysze. Nie zebrali się w jedną grupę, ale poruszali się wedle własnego uznania, trzymając się mniej więcej w zasięgu słuchu. Ktokolwiek pierwszy zobaczy lub zwietrzy Latacza, da znać gwizdem.

Erakoum znajdowała się dalej od swoich towarzyszy niż ktokolwiek inny. Pozostali obawiali się, że promień światła strzelający w górę z niewielkiej skorupy na jej grzbiecie zdradzi ich wszystkich. Ona zaś nie uważała tego za prawdopodobne, skoro niebieskawa poświata była tak nieznaczna. Człowiek zwany Hughem dobrze jej zapłacił w towarach wymiennych za noszenie tego talizmanu, gdy o to prosił, oraz za późniejsze omawianie z nią jej przeżyć. Co do niej, to odczuwała wówczas mroczny dreszcz, nie przypominający niczego, z czymkolwiek dotychczas spotkała się na tym świecie; przychodziła do niej wiedza, jakby we śnie, ale bardziej

realna. Korzyści warte były tej niewielkiej zawady podczas niektórych łowów... nawet dzisiejszych łowów.

Poza tym... było coś, czego nie powiedziała Hughowi, ponieważ on też wcześniej coś przed nią zataił. O tym czymś dowiedziała się bez słów ze świecą skorupy snów.

Oto pewien Latacz również miał taką skorupę, przez co znajdował się w szczególnej więzi z człowiekiem.

Owe wielkie, groteskowe stworzenia szczerze zobowiązywały się do neutralności w konflikcie między Ludem i Lataczami. Erakoum nie miała im tego za złe. Ten świat nie był ich domem i nie można było oczekiwać, że możliwość wymarcia tutejszych mieszkańców cokolwiek ich obchodzi. Mimo to sprytnie wydedukowała, że będą chcieli zataić jednoczesne kontakty z przedstawicielami obu ras.

Skoro Hugh tak chciał, by tej nocy była związana z nim duchem, niewątpliwie inny człowiek chciał tego samego od jakiegoś Latacza. Toteż ze szczególną radością straci właśnie tego Latacza. Poza tym szukanie bladego promienia pośród ognistych pajęczków i gwiazd może naprowadzić ją na trop całej zgrai nieprzyjaciół. Odpocząwszy ruszyła w głąb lądu.

Erakoum polowała.

Przez całe życie Jannika Rezek tęskniła za krajem, w którym nigdy nie mieszkała.

Jej rodzice dopuścili się politycznej obrazy rządu Federacji Dunajskiej, który poinformował ich, że unikną domu reindoktrynacyjnego, jeśli zgodzą się dobrowolnie reprezentować swój kraj w kolejnym transporcie osadników na Medeę. Nie mieli więc praktycznie wyboru. Niemniej jednak ojciec powiedział jej później, że tuż przed zapadnięciem w sen hibernacyjny myślał o tej ironii, że gdy się obudzi, żaden z jego sędziów nie będzie już żył i nikomu już nie będzie zależało, a nawet nikt nie będzie pamiętał, o co w ogóle szło w tej sprawie. Już u celu podróży ojciec dowiedział się, że nawet Federacja Dunajska już nie istnieje.

Pozostawała w mocy zasada, że z wyjątkiem załóg statków żadna osoba nie miała drogi powrotu. Zbyt drogo kosztowała podróż, by sprowadzić na Ziemię pasażera - bezużytecznego wyrzutka z przeszłości. Rodzice Janniki starali się swoje wygnanie uczynić jak najmniej dotkliwym. Oboje fizycy, spotkali się z gorącym

przyjęciem w Armstrong i jego rolniczym zapleczu. Na ile to było możliwe w skromnych warunkach na Medei, powodziło im się dobrze i w końcu zdobyli rzadki przywilej. Liczba ludzi mieszkających na Medei osiągnęła prawie dopuszczalną granicę; przekroczenie jej spowodowałoby tłok w tych ograniczonych miejscach, gdzie można było żyć, jak również zakłócenia w badanym środowisku. Aby zrównoważyć niepowodzenia rozrodcze, kilku parom na pokolenie zezwalano na posiadanie trojga dzieci. Wśród nich znaleźli się rodzice Janniki.

Toteż wszyscy, włączając w to przymusowo ją samą, uważali, że ma szczęśliwe dzieciństwo. Było ono również wysoce cywilizowane; zapisy molekularne, jakie zgromadził Ośrodek, obejmowały większość kultury wytworzonej przez ludzkość. Przemysł rozwinął się w końcu w takim stopniu, że lepiej sytuowane rodziny mogły sobie pozwolić na aparaturę odtwarzającą owe zapisy w takiej stereoskopii i stereofonii, jaka była potrzebna. Jej rodzice korzystali z tej możliwości, by złagodzić swą tęsknotę za ojczyzną, nie zastanawiając się nad tym, jakie skutki może to wyrzucić na młodych sercach. Jannika wychowywała się wśród ożywionych duchów: stare wieże w Pradze, wiosna w Czeskim Lesie, Boże Narodzenie w wiosce, której minione wieki niemal nie tknęły, sala koncertowa, gdzie muzyka triumfalnie falowała ponad świątecznie ubranymi słuchaczami, których było więcej niż wszystkich osadników w Armstrong, repliki wydarzeń, które ongiś wstrząsały Ziemią, pieśni, wiersze, książki, legendy, baśnie... Czasem zastanawiała się, czy przypadkiem jej zainteresowanie ksenologią nie zostało spowodowane przez ouranidów, którzy wyglądali jak lekkie, jasne duszki z bajek.

Dzisiaj, gdy Hugh wyszedł z Chrisoulą, stała przez chwilę patrząc za nimi. Pokój momentalnie zrobił się przytłaczający, jakby chciał ją stłamsić. Zrobiła tyle, ile mogła, by stał się bardziej przytulny, rozwieszając zasłony, obrazy, pamiątki. Teraz jednak zawałony był sprzętem, a Jannika nie znosiła bałaganu. Hughowi nie zależało na porządku.

Znowu powróciło pytanie: czy w ogóle mu na coś jeszcze zależało? Gdy się pobierali, kochali się oczywiście, ale nawet ona uznała, że było to małżeństwo w znacznym stopniu z rozsądku. Oboje starali się o wyznaczenie na odległą placówkę, gdzie będą mieli największe szansę dokonania naprawdę znaczących, oryginalnych odkryć. Preferowano małżeństwa, wedle teorii, że mniej będą ich rozpraszać sprawy pozanaukowe niż samotnych. Kiedy tym małżeństwom rodziły pierwsze dzieci, z zasady przenoszono je do miasta.

Oboje wielokrotnie się o to spierali. Nacisk społeczny - uwagi, aluzje, wstydlive unikanie tematu - coraz mocniej domagał się, by przyczynili się do reprodukcji biologicznej kolonii. W ramach zakreślonych liczbą mieszkańców pożądanę było stworzenie jak największej puli genetycznej. Poza tym trochę już Jannika robiła się za stara na macierzyństwo. Hugh bardzo chciał zostać ojcem, ale z góry przesądzał, że ona zajmie się domem, podczas gdy on pozostanie przy ich dyscyplinie.

Nie powinna robić mu wymówek, gdy wróci ze swego poświęconego umizgom spaceru. Za często ostatnio traciła spokój ducha; robiła się z niej istna złoźnica, aż Hugh jak huragan wybiegał z baraku lub chwycił butelkę whisky i lał ją w siebie. Nie był złym człowiekiem - w głębi ducha był dobry, spiesznie się poprawiła - często bezmyślny, ale z dobrymi intencjami. W jej wieku nic lepszego się nie trafi.

Chociaż... Poczwała gorąco na policzkach, wykonała gest, jakby chciała odpędzić wspomnienie, i nie udało się jej. Było to dwa dni temu.

Dowiedziawszy się od AYacha o Czasie Blasku, postanowiła zebrać okazy larw świecących żuczków. Do tej pory ludzie wiedzieli po prostu, że dorosłe insektoidy roily się mniej więcej co rok. Skoro było to tak ważne dla mieszkańców Hansonii, powinna się dowiedzieć czegoś więcej o tym. Zaobserwować sama, poprosić o pomoc biologów, ekologów, chemików... Zapytała Pięta Maraisa, dokąd ma pójść, a on zaofiarował się, że ją tam zaprowadzi.

- Powiniennem był dawno o tym pomyśleć - rzekł. - Żyjąc w próchnicy larwy muszą stymulować wzrost roślin.

Potrzebna była wilgotniejsza gleba niż ta, która otaczała Port Kato. Udali się więc do odległego o kilka kilometrów jeziora. Spacer był łatwy, ponieważ podszycie, mało rozwinięte ze względu na gęste listowie drzew, nie utrudniało marszu. Miękkie podłoże tłumilo odgłos kroków, drzewa tworzyły łukowate nawy, liczne promienie światła słonecznego przenikały przez mrok i zapachy lasu, by sięgnąć ziemi lub odbić się od małych skrzydełek; dźwięki niczym lira dobywały się z niewidzialnego gardła.

- Jak cudownie - odezwał się po jakimś czasie Pięt.

Patrzył na nią, nie przed siebie. Stała się nagle ostro świadoma jego jasnowłosej męskiej urody. I jego młodości, upomniała siebie samą. Ustępował jej wiekiem nieomal o dziesięć lat, choć był to człowiek dojrzały, rozważny, wykształcony - mężczyzna w każdym calu.

- Tak - wyrwało się jej. - Szkoda, że nie potrafię tego docenić tak jak ty.
- Nie jesteśmy na Ziemi - zauważył. Zdała sobie sprawę, że jej odpowiedź

zabrzmiła mniej wymijająco, niż sobie tego życzyła.

- Nie użałam się nad sobą - rzuciła szybko. - Nie myśl tak, proszę cię. Widzę tu piękno i oczarowanie, i swobodę, o tak, jesteśmy szczęśliwi na Medei. - Próba śmiechu: - No, wszak na Ziemi nie mogłabym nic zrobić dla ouranidów, nie?

- Kochasz ich, prawda? - spytał poważnie.

Skinęła głową. Położył dłoń na jej obnażonym ramieniu.

- Wiele w tobie miłości, Janniko.

Zmieszana, usiłowała spojrzeć na siebie z jego punktu widzenia. Oto kobieta średniego wzrostu, o figurze oszalamiającej, doskonale o tym wiedziała; ciemne włosy do ramion przetykane srebrnymi pasmami (tak by chciała, aby Hugh przekonywał ją, że zbyt wcześnie zaczęła siwieć), wydatne kości policzkowe, zadarty nos, ostry podbródek, cera o barwie kości słoniowej. Choć Piet był kawalerem, mężczyzna tak atrakcyjny nie powinien mieć trudności, mógł spotykać się z dziewczętami podczas wyjazdów do miasta i podtrzymywać znajomości przez holokom. Nie powinien tak jej adorować. Ona sama nie powinna się na to zgadzać. Pewnie, miała kilkakrotnie innych mężczyzn, zarówno przed, jak i po ślubie. Nigdy jednak w Port Kato - zbyt łatwo byłoby o komplikacje, a poza tym sama się Wyciekała, gdy Hugh miał jakiś romans na miejscu. Co gorsza, podejrzewała, że pięć widział w niej nie tylko partnerkę do jednorazowej przygody. Takie rzeczy mogą złamać życie.

- Och, spójrz - powiedziała i usunęła się od dotyku, by wskazać skupisko ostrosłupowych nasienników. Jednocześnie jej umysł przyszedł z pomocą. - Zapomniałam ci powiedzieć; dziś rozmawiałam z profesorem al-Ghazim. Wydaje nam się, że poznaliśmy powód metamorfozy i rojenia się świecących żuczków.

- Co takiego? - zamrugał oczyma. - Nie sądziłem, że ktoś się tym zajmuje.

- No więc był to... pomysł, który przyszedł mi do głowy, kiedy mój ouranid zaczął swoje rozważania na temat żuczków. On, to znaczy AYach, powiedział mi, tt czas zjawiska nie zależy ściśle od pory roku. Tu w tropikach to nie jest konieczne, ale wyznacza go Jason, księżyc - dodała, ponieważ nazwa nadana pmz ludzi najbardziej spośród wielkich satelitów zbliżonemu do planety, przypadkiem była podobna do słowa przejętego przez ludzi od dromidów w regionie Enrigue, którym określali oni wiatr podobny do sirocco.

- On mówi, że metamorfozy następują podczas pewnych tranzytów Jasona przez tarczę Argo - ciągnęła. - W przybliżeniu co czterechsetny, dokładnie zaś wstępuje to co około stu dwudziestu siedmiu dni medeańskich. Tubylecy w tym regionie są równie świadomi istnienia i ruchów ciał niebieskich jak gdziekolwiek indziej. Ouranidzi mają święto w czasie rojenia się zuczków; to ich przysmak. No więc to podsunęło mi pomysł i połączyłam się z Ośrodkiem z prośbą o wyliczenia astronomiczne. Okazuje się, że miałam rację.

- Wyjaśnienie astronomiczne dla żyjącego pod ziemią robaka? -wykrzyknął Marais.

- No, z pewnością przypominasz sobie, że Jason wzbudza aktywność elektryczną w atmosferze Argo, podobnie jak Io w przypadku Jowisza... w Układzie Słonecznym, w którym krąży Ziemia! W naszym przypadku powstaje wiązka radiowa na jednej z generowanych częstotliwości, taki naturalny maser. Dlatego do Medei docierają owe fale tylko wtedy, gdy oba księżyce znajdują się na liniach węzłów. A następuje to właśnie w takich odstępach, o jakich wspominał mój znajomy. I faza też jest odpowiednia.

- Ale czy robaczki są w stanie wykryć tak słaby sygnał?

- Myślę, że jest to oczywiste. Jak to się dzieje, nie potrafię odpowiedzieć bez pomocy specjalistów. Pamiętaj jednak, że Fryksos i Helle nie powodują zbyt wielu zakłóceń. Organizmy bywają fantastycznie czułe. Czy wiesz, że wystarczy mniej niż pięć fotonów, by pobudzić czerwoną plamkę w twoim oku? Sądzę, że fale z Argo przenikają do gleby na głębokość paru centymetrów i zaczynają łańcuch reakcji biochemicznych. Nie ma wątpliwości, że jest to pozostałość ewolucyjna z czasów, kiedy orbity Jasona i Medei dokładnie odpowiadały porom roku. Zaś perturbacje nieustannie powodują zmiany w ruchu księżyców, wiesz o tym.

Milczał przez chwilę, nim się odezwał:

- Wiem, że jesteś wyjątkowym człowiekiem, Janniko.

Udało się jej odzyskać na tyle równowagę, by panować nad przebiegiem rozmowy, dopóki nie dotarli do jeziora. Tam, przez chwilę, znowu odczuła wstrząs.

Jezioro leżało za zasłoną gaju bambusowego, toteż dopiero gdy go minęli, zatrzymali się na brzegu wysłanym przypominającą mech darnią o barwie bursztynu. Nie tknięta przez człowieka w jej leśnym pucharze woda pieniała się, bulgotała, pachniała. Delikatne kolory i zapach żywych organizmów nie drażniły wzroku ni powonienia; tu były normalne... ale teraz przypomniała sobie

srebrzystobłękitny połysk Jeziora Nezyderskiego w Federacji Dunajskiej. Oddech zaświzczał jej między zębami.

- Co się stało? - Pięt spojrzał tam, gdzie patrzyła. - Dromidzi?

W pewnej odległości pojawiło się kilka owych istot, które przybyły tu, by się napić. Jannika wpatrywała się w nie, jakby widziała je po raz pierwszy.

Najbliżej była młoda samica, zapewne jeszcze bezpotomna, miała bowiem sześć nóg. Ponad smukłym tułowiem o długim ogonie unosił się centaurowały tors zakończony dwoma ramionami, a nad nimi osobliwie lisia głowa, która sięgnęłaby Jannice do piersi. Sierść dromida połyskiwała czarnoniebiesko w świetle słońca; Argo skryła się za drzewami.

Trójka czworonożnych matek pilnowała znajdującej się wśród nich ósemki małych. Jedna para potomstwa wskazywała przez swe rozmiary, że u ich matki wkrótce znowu wystąpi jajczkowanie, zapłodnienie w czasie godów, a wkrótce potem odrzucenie drugiego segmentu i opieka nad nim, aż do narodzin. Kolejny dromid przeszedł już przez ten etap; chodził na dwóch nogach i przestał być już funkcjonalną samicą, ale męskie gonady jeszcze się u niego nie rozwinęły.

Nie było ani jednego samca w okresie rozrodczym. Tych zbyt porywały żądze, niecierpliwość, gwałtowność, by szukali towarzystwa. Natomiast w grupie znajdowali się trzej osobniki w wieku postseksualnym; posiwiali, ale mocni i opiekuńczy. Ich dwunogi chód, szybki wedle kategorii ludzkich, nie mógł się jednak równać z błyskawicznie płynnymi ruchami ich towarzyszy.

Wszystkie dorosłe osobniki były uzbrojone w charakterystyczne dla epoki kamiennej włócznie, toporki i noże; uzbrojenia dopełniały ich własne zęby mięsożerców.

Dromidzi zniknęli nieomal natychmiast, gdy Jannika ich zobaczyła; nie ze strachu, ale dlatego, że byli to mieszkańcy Medei, których metabolizm i życie były szybsze niż jej.

- Dromidzi - wydobyła z siebie.

Pięt przyglądał się jej przez chwilę, nim powiedział cicho:

- Oni tępią twoich ukochanych ouranidów. Mówisz mi, że to się nasila tej nocy, gdy roją się świecące żuczki. Ale nie wolno ci ich nienawidzić. Dotknęła ich tragedia.

- Tak, problem bezpłodności, wiem. Ale czemu chcą, by razem z nimi ginęli ouranidzi? - Uderzyła pięścią w rozwartą dłoń. - Wracajmy do pracy, zbierajmy próbki i chodźmy do domu. Proszę cię, dobrze?

Rozumiał ją całkowicie.

...Odrzuciła wspomnienia i zajęła się przygotowaniem do nocnej wyprawy.

Hugh i Jannika wyruszyli nieco po zachodzie słońca. Śmigacze odleciały z szumem, osiągnęły średnią wysokość i przez chwilę krążyły, podczas gdy oboje wyszukiwali właściwy kierunek i wymieniali przez radio pożegnania. Z dołu, w ostatnich promieniach Kolchidy odbijających się od kadłubów, śmigacze wyglądały jak dwie łzy.

- Dobrych łowów, Jan.

- Fe! Nie mów tak.

- Przepraszam - rzekł sztywno i wyłączył nadajnik. Jasne, zachował się nietaktownie, ale czemu ona jest tak cholernie drażliwa?

Nieważne. Ma wiele pracy. Erakoum obiecała zjawić się o tej porze na Wzgórzach Katastrofy, jej grupa bowiem wybierała się najpierw na północ, wzdłuż wybrzeża, nim skieruje się w głąb łądu. Później nie będzie można przewidzieć, gdzie ją poniesie. Trzeba szybko odszukać jej nadajnik. Śmigacz Janniki zginął z oczu, kierując się w swoją stronę. Hugh włączył pilota inercyjnego i odchylił się w pasach, by jeszcze raz sprawdzić instrumenty. Robił to automatycznie, wiedział bowiem, że wszystko jest w porządku. Jego umysł błędził swobodnie.

Widok z kopuły kabiny był tytaniczny. W dole leżały wzgórza skryte w pocętkowanych masach cienia, tu i ówdzie przetykane srebrnymi nitkami rzek lub przerywane rozpadlinami i skarpami. Dzielący planetę na dwie połowy Ocean Pierścieniowaty zmieniał wschodni horyzont w masę żywego srebra. Na zachodnim niebie podwójne słońce pozostawiło po sobie purpurową poświatę. Nad głową niebo było już aksamitnie ciemne, a z każdym uderzeniem serca pojawiało się na nim coraz więcej gwiazd. Hugh dostrzegł parę księżyców tak blisko, że widać było ich tarcze oświetlone z jednej strony na rdzawo, z drugiej na białą; dostrzegł też inne, ukazujące się jego oczom jako punkty światła na nieboskłonie. Rozpoznał je dzięki położeniu na niebie, na którym pełniły swą rolę wśród gwiazdozbiorów. W dole, nisko nad morzem, zarzyła się Argo - nie, raczej świeciła, jej wyższe chmury bowiem odbijały światło dnia niczym pasy jasności na ciemnoczerwonym tle. Jason zbliżał się do tranzytu, a jego średnica kątowna przekraczała dwadzieścia minut łukowych; mimo to Hugh z trudnością odszukał go w tym blasku. W polu widzenia pojawiło się wybrzeże. Włączył detektor i ustawił napęd na swobodne unoszenie się w zawieszaniu. Zapaliła się na zielono lampka; nawiązał kontakt. Wzniósł pojazd

na pełną wysokość trzech kilometrów. Częściowo postąpił tak dlatego, że chciał skupić się na napływających danych encefalicznych i potrzebował dużego marginesu bezpieczeństwa na błąd w pilotażu, a częściowo, ponieważ chciał znaleźć się poza zasięgiem wzroku i słuchu tubylców, by jego obecność nie wpłynęła na ich postępowanie. Zająwszy stanowisko, włączył odbiornik w helmie i umocował go na głowie; nie ważył zbyt wiele. Przekazane, wzmocnione, przetworzone, ponownie wzbudzone - wydarzenia w układzie nerwowym Erakoum spłotły się z wydarzeniami w jego układzie.

W żadnym wypadku nie osiągał w ten sposób pełnej świadomości dromida; przekaz i tłumaczenie były na to zbyt prymitywne. Hugh całe swe zawodowe życie poświęcił na uzyskiwanie możliwości zespolenia się z tym gatunkiem; przy maksymalnej cierpliwości, jaką on i Erakoum potrafili utrzymać przez te lata, doszedł ledwie do etapu interpretacji zebranych sygnałów. Szybkość procesów umysłowych tubylców raczej nie pomagała - poprzez powtarzanie i wzmacnianie - lecz przeszkadzała. Można by spróbować wyobrazić sobie poprzez pewną przybliżoną analogię przysłuchiwanie się szybkiej i prawie niesłyszalnej rozmowie, gdy gubi się prawie każde słowo, ponieważ prowadzona jest w języku, którego słuchający nie zna. Faktycznie zaś Hugh w ogóle nie odbierał myśli werbalnych: docierał do niego widok, dźwięk, zespół doznań zmysłowych, włączając w to również wewnętrzne, jak równowaga i głód, a także mgliste napomknienia o zmysłach, których on sam zapewne nie posiadał.

Widział, jak przemyka pod nim ziemia, krzewy, gałęzie, stoki, gwiazdy i księżycy ponad poszarpanymi krawędziami; odczuwał ich zmienne kształty i fakturę pod kroczącymi stopami; słyszał przeróżne ciche odgłosy; czuł bogactwo aromatów. Doznania nadciągały bez przerwy, w większości przelotne i niewyraźne, wystarczająco silne zaś, by wyjąć go z ciała i ściągnąć na ziemię ku jedności z przemykającym w dole stworzeniem.

Najwyraźniejsze, chyba dlatego, że w ten sposób ulegały stymulacji jego własne gruczoły, były emocje, determinacja. Erakoum wyruszyła, by zabić Latacza.

Zapowiadała się długa i prawdopodobnie męcząca noc. Hugh spodziewał się, że raz czy dwa razy będzie musiał sięgnąć po lek zastępujący sen. Ludziom nigdy nie udawało się odzwyczaić od starodawnych rytmów Ziemi. Dromidzi drzemali, ouranidzi... śnili na jawie? Kontemplowali?

Tak jak to się często zdarzało przedtem, pomyślał przez chwilę, jak przebiega kontakt Jan z jej tubylcem. Nigdy nie będą mogli opisać sobie nawzajem swych doznań.

W głębi wzgórz Rój A'icha odkrył wielką mnogość gwiazdlików. Pagórki były rzadziej zalesione od nizin, co pomagało, świetlisty żer bowiem rzadko unosił się wysoko, a latając pod koronami drzew. Lud padał ofiarą Bestii. Tu zaś teren był otwarty, porośnięty darnią i usiany głazami; poznaczony polanami leżącymi w cieniu drzew. Największą z nich przecinała wąska rozpadlina - blizna wypełniona ciemnością.

Niczym nieskończony prysznic iskier gwiazdliki tańczyły, śmigaly, uskakiwały; nieprzeliczone, przeznaczone jedynie do rozkoszy godów oraz na żer Ludu. Pomimo swej ostrożności A'ich nie potrafił opierać się dłużej od innych; nie starał się jednak przyspieszyć opadania, wypuszczając gaz tak jak wielu innych. To utrudniłoby później wznoszenie się. Zamiast tego skurczył swe kuliste ciało i powoli opuszczał się, czasem rozkurczając się w zależności od zmiennej gęstości powietrza. Nie użył też upustu gazu w celu uzyskania napędu. Rytmicznie pulsując, jego syfon współpracował z powiewami wiatru, by nieść go zygzakiem z niewielką szybkością. Nie miał się gdzie śpieszyć. Gwiazdlików było więcej, niż Rój byłby w stanie zjeść; wiele z nich uleci wolno, by złożyć jaja na następne żniwo.

Znalazłszy się wśród insektoidów A'ich wchłonął ich pierwszą porcję. W ciele zaśpiewał mu słodki, gorący aromat. Gęsto skupiony wokół niego, podrygujący obracający się, falujący i wymachujący ekstatycznie rżęskami, wypełniający niebo muzyką, Lud zapomniał o ostrożności. Zaczęła się miłość. Nie było to bezcelowe, choć przy braku wody, do której mogłyby wpaść, zapyłone nasionka nie zakiełkowałyby. Miłość jednoczyła wszystkich. W blasku Ruii pył życia unosił się niczym dym; widok, zapach, smak nadały gorączkowość tej radości, którą obudziła gwiazdlikowa ucztą. A'ich wykrzyknął raz, potem wiele razy. Wyszedł poza własne ciało, stał się komórką jednej niebiańskiej istoty, która sama w sobie była huraganem miłości. Kiedyś, gdy poczuje na sobie ciężar lat, odpłynie na zachód przez morze, ku zimnemu Zaświatowi. Tam, oddając ostatnie ciepło swego ciała, jego dusza otrzyma swą nagrodę: Obietnicę, że będzie już zawsze tak jak jest teraz, w tę krótką noc...

Nagle poraziło go wycie. Spod drzew, na otwarty teren wypadły cienie. A'ich dostrzegł, jak sąsiednią kulę przebiło drzewce włóczni. Trysnęła krew, z sykiem uszedł gaz: skurczone ciało opadło jak wyschnięty liść. Rzęski jeszcze drgały, gdy Bestia schwyciła je w locie, a jej kły rozdarły je na strzępy.

W ścisku i chaosie A'ich nie mógł wiedzieć, ilu jeszcze zginęło. Większość uchodziła jednak wznosząc się poza zasięg pocisków. Ci, którzy byli uzbrojeni, zaczęli zrzucać niesione przez siebie kamienie i gałęzie drzew ii. Jednak żadna z Bestii zapewne nie zginęła od ich ciosów.

A'ich rozluźnił mięśnie w swym kulistym ciele i natychmiast wystrzelił w górę. Już bezpieczny, mógł dołączyć do reszty Roju, odlecieć, szukając miejsca na nowe święto. Ale zanadto ogarnęła go wściekłość i żal. Jakimś zakamarkiem swego umysłu zastanawiał się nad tym zjawiskiem: zazwyczaj Lud nie przejmował się zbytnio śmiercią jednej Osoby. To urządzenie, które miał na sobie, te jakoś wyszeptywane tajemnice...

I miał ze sobą nóż!

Brawurowo wytryskując gaz obrócił się i runął w dół. Większość Bestii zniknęła w lesie, kilka jednak pozostało, pożerając ciała ofiar. A'ich krążył na wysokości bliskiej granicy rozsądku i szukał okazji. Ponieważ nie mógł opaść jak kamień, musiał udać atak na jednego osobnika, potem szybko rzucić się ku innemu, uderzyć, unieść się i zaatakować następnego.

Trącił go słaby promień światła dochodzący z głowy Bestii, która wychynęła z cienia, stanęła i spojrzała do góry.

A'ich poczuł eksplozję woli. Oto był potwór, który na swój sposób związał się z ludźmi. Jeśli on sam w ten sposób zdobył swój nóż, cóż dostała tamta istota, co mogła dostać, by wyrządzić jeszcze gorszą szkodę. Zabicie jej powinno przynajmniej wstrząsnąć jej towarzyszami, sprawić, że się opamiętają w swych morderczych zapędach.

A'ich rzucił się do boju. Dookoła niego gwiazdliki radośnie tańczyły i parzyły się.

Jannika musiała szukać całą godzinę, nim złapała swój kontakt. Ouranid nie mógł się zobowiązać, że w jakiejś chwili znajdzie się w określonym miejscu. Jej osobnik po prostu ją poinformował, gdy przymocowywała mu nadajnik do ciała, że jego grupa znajduje się obecnie w okolicy góry MacDonald. Poleciała więc tam i

przeszukiwała okolicę w zapadającym zmroku, zanim lampka wskaźnika nie zapaliła się na zielono. Uzyskawszy połączenie, uniosła się na trzy kilometry i ustawiła autopilota na powolne krążenie. Od czasu do czasu, gdy jej obiekt przesuwał się na północny wschód, przesuwała środek zataczanych przez siebie kręgów.

Poza tym skupiła się na wcieleniu się w swego ouranida. Było to oczywiście niemożliwe, ale z tych prób dowiadywała się więcej, niż uzyskiwała przez słowa. Odpowiedzi na faktyczne pytania, których zadanie nie przyszłoby jej do głowy. Obyczaje Ludu, wierzenia, muzyka, poezja, balet powietrzny - wszystko, czego by nie rozpoznała obserwując z zewnątrz. A jeszcze głębiej w jej wnętrzu - mniej wyraźne, ale potężniejsze - coś, czego nie mogłaby wpisać do raportu naukowego: uczucie rozkoszy, pożądania, wiatru, świetlistości, aromatu, chmur, deszczu, niezmiernych odległości... poczucie wszystkiego, co składa się na bycie mieszkańcem niebios. Niecałkowite, nie, kilka przelotnych wejrzeń, trudnych do zapamiętania na później, ale przenoszących ją z jej ciała do nowego świata lśniącego cudami.

Rozkoszne drżenie podwoiło się jeszcze przez podniecenie A'ï'acha. Jej wrażenia dotyczące jego doznań nigdy jeszcze nie stały się tak silne i wyraziste. Płynęła na strumieniach powietrza; zapach życia i pieśń posiadły ją, stała się kroplą w oceanie pod potężnym Ruii i nie było już domu, za którym trzeba było tak beznadziejnie tęsknić, bo dom znajdował się wszędzie.

Rój dotarł w końcu do chmury świecących zuczków i kosmos Janniki oszalał.

Przez chwilę, na wpół przerażona, zaczęła zdejmować hełm. Rozsądek powstrzymał jej dłoń. To, co się działo, stanowiło jedynie skrajny wyraz tego, w czym już wcześniej uczestniczyła. Ouranidzi rzadko przyjmowali znaczną ilość pożywienia od razu; kiedy jednak tak się działo, wpływało to na nich oszalamiająco. Odczuwała również ich podniecenie seksualne; męskość A'ï'acha była zbyt nieziemską, by jej przeszkadzać w taki sposób, jak kiedyś żeńskość Erakoum zakłóciła spokój Hugh'a, gdy ta została zapłodniona, a potem odrzuciła swój ostatni człon. Dzisiejszej nocy rozkosz ouranidów sięgnęła zenitu.

Poddała się jej, przechodząc z jednego crescendo w drugie. Och, gdyby tu był z nią mężczyzna, ale nie, wtedy byłoby inaczej, zbeczczyłoby ten święty splendor, Obietnicę, Obietnicę!

A potem zjawily się Bestie. Rozpętała się groza. Gdzieś rozległ się dziwny głos wołający o pomstę za jej zniszczoną błogość.

Krocząc nagim grzbietem pagórka Erakoum myślała, a puls jej stał się lekko przyspieszony, że dostrzegła w oddali płynący z góry słaby promień niebieskiego światła. Nie mogła mieć pewności z powodu blasku rzucanego przez Mardudeka, ale przepelniona nadzieją zmieniła kierunek biegu. Kiedy miała już za sobą długie przedzieranie się między głazami i cierniami, poświata zniknęła. Musiało być to jakieś nocne złudzenie, może odbicie światła księżyca od wznoszących się oparów. Ta konkluzja nie uspokoiła jej wcale. Latacze to jedno wielkie niepowodzenie!

Przez to wszystko znalazła się z tyłu, za swoim stadem. Pierwszym dla niej zwiastunem ataku były wycia towarzyszy. "Hai-ai, hai-ai, hai-ai!" rozlegało się zewsząd i parsknęła, zaskoczona. Na pewno przybędzie zbyt późno, by dopaść swej ofiary. Niemniej jednak podążyła w tamtym kierunku. Jeśli Latacze nie trafią (W dobry wiatr, doścignie ich i podąży od jednego schronienia do drugiego, nie zauważona. Może nie polecą aż tak daleko, by nie starczyło jej już sił na pościg, dopóki nie trafią na nowe wyrojenie się ognistych pajęczków i znów się opuszczają W dół. Oddech szarpał jej gardziel, skok pagórka atakował stopy niewidocznymi kamykami, ale popęd pchał ją naprzód, aż dotarła na miejsce.

Była to polana, jasno oświetlona, choć poprzecinana cieniami, w połowie przegrodzona niewielką rozpadliną. Ogniste pajęczki krążyły na tle mroku lasu niczym chmura świetlistego pyłu. Kilka samic przycupnęło na murawie i szarpało resztki swej ofiary. Reszta oddaliła się ściągając Lataczy, tak samo jak zamierzała to Erakoum.

Zatrzymała się na skraju drzew, by odetchnąć, i zamarła. Główna masa Lataczy powoli i chaotycznie przenosiła się na zachód, ale kilku z nich pozostało, by rzucić swą żalosną broń. Z grzbietu najwyżej lecącego wydobywał się słaby promień Światła. Oto znalazła swoją ofiarę.

- Ee-ha! -wykrzyknęła, skoczyła naprzód, potrząsnęła włócznią. - Chodźże tu, siewco zła, chodź i oddaj życie! Twoja krew da życie mojemu następnemu miotowi, to życie, które odebrałeś poprzedniemu!

Nie było to zaskoczenie, ale zrządzenie losu, kiedy niesamowity kształt zatoczył krąg i poleciał ku niej. Więcej rozstrzygnie się tej nocy niż to, które z nich przeżyje. Ona, Erakoum, przejęta Mocą, stała się narzędziem Proroka.

Skulona, cisnęła włócznią. Wysilek przeszedł przez jej wszystkie mięśnie. Zobaczyła, jak oszczep leci niczym zagłada, którą niesie ze sobą, ale jej wróg uchylił się; chybiła go o palec, a po chwili już spadał na nią jak pocisk.

Nigdy tego nie robiły! Cóż to błyszczało w jego podobnych do wodorostów odnóżach?

Erakoum chwyciła nową włócznię ze znajdującej się na plecach wiązki. Każdy węzeł troków miał ustępować od jednego szarpnięcia, ale ten nie ustąpił, musiała pociągnąć jeszcze raz, a tymczasem wróg był coraz większy, coraz bliższy. Poznała, co trzyma: nóż ludzkiej produkcji, ostry jak świeża klinga z obsydianu, ale cieńszy i mocniejszy. Odsunęła się. Włócznia już wyplątała się z troków. Nie było miejsca na rzut. Uderzyła.

Z szaleńczą radością dostrzegła, że ostrze trafiło w cel. Latacz zrobił unik, nim włócznia przebiła jego ciało, ale krew zmieszana z gazem pokryła pianą głęboką ranę w jego boku.

Runął naprzód i znalazł się w zasięgu jej ramion. Nóż uderzał raz za razem. Erakoum odczuła ciosy, ale jeszcze nie ból. Upuściła włócznię, uderzyła ramionami, zacisnęła szczęki. Zęby zwarły się na ciele wroga. Przez jej paszczę i w głąb gardzieli popłynęła fala siły.

I nagle ziemia umknęła jej spod tylnych nóg. Upadła na bok, usiłując uchwycić się ramionami i przednimi nogami, ale nie dała rady i przewróciła się. Kiedy uderzyła o krawędź rozpadliny, stoczyła się w dół po ostrych załomach. Przez moment widziała nad sobą niebo, gwiazdy i ogniste pajęczki, oświetlonego Mardudekiem Latacza, który płynął w powietrzu i broczył krwią. Potem pochłonęła ją nicość.

Ludzie z Port Kato zasypywali Jannikę Rezek i Hugh'a Brocketa pytaniami, co ich sprowadziło do domu tak wcześnie i w takim stanie psychicznym. Oboje unikali pytań i pośpieszyli do swej kwatery. W chwilę potem zasłonili okna.

Przez jakiś czas patrzyli na siebie w milczeniu. Znajomy pokój nie dawał uspokojenia. Oświetlenie przystosowane do ludzkiego wzroku raziło teraz oczy, powietrze odcięte od lasu było bez życia, słabe odgłosy dochodzące z zewnątrz jeszcze pogłębiały ciszę panującą w środku.

W końcu potrząsnął głową, nie widząc, i odwrócił się od żony.

- Erakoum nie żyje - wymamrotał. - Czy kiedyś zdołam to pojąć?
- Jesteś pewien? - wyszeptała.
- Czuję... czuję, jak jej myśli się urywają... to tak, jakbym sam dostał w łeb... ale ty tak się troszczyłaś o swego cennego ouranida...

- A'ï'ach jest ranny! Jego lud nie zna medycyny. Gdybyś tak nie szalał, że aż musiałam się zdecydować na pociągnięcie cię za sobą, zanim rozwalisz swój śmigacz...

Jannika urwała, przelknęła ślinę, rozwarła zaciśnięte pięści i zdołała wykrztusić.

- No, trudno, szkoda się stała i już. Zastanowimy się nad tym, co nam nie wyszło i jak zapobiec podobnej tragedii w przyszłości, czy nie?

- Taak, oczywiście. - Podeszedł do spizarki. - Napijesz się czegoś? - zawołał. Zawahała się.

- Wina.

Nalał jej pełen kieliszek. Jego prawa ręka ścisnęła szklanekę whisky, którą od razu zaczął pić.

- Czuję, jak Erakoum umiera - powiedział. Jannika usiadła na krześle.

- Tak... a ja czułam, jak A'ï'ach odnosi rany, które mogą okazać się śmiertelne. Usiądź, dobrze?

Zrobił to, ciężko, naprzeciwko niej. On piła małymi łydkami ze swojej szklanki, on wielkimi haustami ze swojej. Nowo przybyli na Medeę zawsze twierdzili, że tutejsze wino i alkohol destylowany mają bardziej osobliwy smak niż żywność. Jakiś poeta wykorzystał to w mrozącym krew w żyłach poemacie o izolacji. Kiedy utwór wysłano na Ziemię w biuletynie wiadomości, po stu latach nadeszła odpowiedź, że nikt na Ziemi nie ma pojęcia, co koloniści widzą w tym wierszydle.

Hugh zgarbił się.

- No, dobrze - burknął. - Powinniśmy porównać nasze obserwacje, zanim zaczniemy zapominać, i może powtórzymy je jutro, mając czas na przemyślenie. - Sięgnął do rejestratora i włączył go. Podając hasło identyfikacyjne, uczynił to głuchym tonem.

- Dla nas też tak będzie lepiej - zwróciła mu uwagę Jannika. - Praca, logiczne myślenie, to odepchnie od nas koszmar.

- Bo to był koszmar... No dobrze! - Odzyskał nieco ze swego wigoru. - Spróbujmy odtworzyć, co się stało.

- Ouranidzi wyruszyli, by łowić świecące żuczki, a dromidzi, by polować na ouranidów. My oboje byliśmy świadkami tej walki. Oczywiście, mieliśmy nadzieję, że do tego nie dojdzie - ty chyba modliłaś się o to, co? - ale wiedzieliśmy, że w wielu miejscach rozegrają się bitwy. To, co wstrząsnęło naszymi umysłami, to fakt, że to

właśnie nasi tubylcy starli się w walce, podczas gdy my byliśmy z nimi w kontakcie psychicznym.

Jannika przygryzła wargi.

- Gorzej jeszcze - odrzekła. - Tych dwoje dążyło do tego starcia. Nie było to przypadkowe spotkanie, ale pojedynek. Podniosła wzrok. - Ty nigdy nie mówiłeś Erakoum ani innemu dromidowi, że mamy również kontakty z ouranidami, prawda?

- Nie, oczywiście, że nie. Ty zresztą też nie wspominałaś twojemu ouranidowi o moim kontakcie. Oboje wiedzieliśmy dobrze, co oznaczałoby wprowadzenie takiej zmiennej do podobnego programu.

- Natomiast pozostali członkowie załogi mają na to zbyt ograniczone słownictwo, w obu językach. No, dobrze. Ale mówię ci, że A'i'ach wiedział. Nie domyślałam się tego, póki nie rozpoczęła się walka, I wtedy wydostało się to na wierzch moich myśli, krzyknęło do mnie, nie słowami, ale nie pozostawiając wątpliwości.

- Tak, to samo się wydarzyło między mną i Erakoum. Mniej więcej.

- Przyznajmy więc to, czego nie chcemy przyznać, mój drogi. Nie tylko odbieraliśmy myśli od naszych tubylców, ale też je przekazywaliśmy. Sprzężenie zwrotne.

Potrząsnął bezsilnie pięścią.

- Cóż, u diabła, mogło przekazać ten odwrotny komunikat?

- Choćby wiązka radiowa, która łączy nas z naszymi obiektami. Wzbudzona modulacja. Wiemy z przykładu larw świecących robaczek - a zapewne wiadomo to i z wielu innych przypadków, o których nigdy nie słyszeliśmy, bo jak można wszystko wiedzieć o całej planecie - że organizmy medeańskie potrafią być ogromnie radioczułe.

- Taak, weźmy choćby ogromną szybkość poruszania się tutejszych zwierząt, kluczowe molekuly o wiele mniej trwale niż odpowiednie związki u nas... Hej, zaraził Erakoum, i A'i'ach poznali zaledwie odrobinę angielskiego, a już z pewnością nie mieli pojęcia o czeskim, w którym to języku myślisz, jak sama utrzymujesz. Poza tym zastanów się, z jakim trudem my w ogóle się do nich dostrajamy, pomimo wszystko, czego się nauczyliśmy jeszcze na lądzie. Oni nie mają powodu, by robić to samo, nie mają pojęcia o naukowej metodzie. Z pewnością uznali, że to jakiś nasz kaprys, czar czy coś podobnego, jest powodem, dla którego muszą nosić te przedmioty.

Jannika wzruszyła ramionami.

- Być może, gdy jesteśmy w kontakcie, myślimy bardziej w ich językach, niż zdajemy sobie z tego sprawę. A przecież oba rodzaje Medeańczyków szybciej niż ludzie myślą, obserwują, uczą się. W każdym razie, nie twierdzę, że ich kontakt z nami był tak samo dobry, jak nasz z nimi, choćby dlatego, że radio ma znacznie węższe pasmo. Sądzę, że to, co od nas odebrali, to doznania podprogowe.

- Chyba masz rację - westchnął Hugh. - Będziemy musieli włączyć w to elektroników i neurologów, ale mnie na pewno nie przyjdzie do głowy lepsze wyjaśnienie niż twoje.

Pochylił się. Siła, która teraz wibrowała w jego głosie, zamieniła się w lód:

- Ale spróbujmy zobaczyć to w kontekście; w ten sposób może odgadniemy, jakie informacje otrzymywali od nas tubylcy. Jeszcze raz rozważmy, dlaczego hansonscy dromidzi i ouranidzi walczą ze sobą. Głównie chodzi o to, że dromidzi wymierają i winę za to przypisują ouranidom. Może to nasza wina, Portu Kato?

- Ależ skąd - Jannika była zdumiona. - Przecież wiesz, jakie podejmujemy środki ostrożności.

Hugh uśmiechnął się smutno.

- Myślę o skażeniu psychicznym.

- Co takiego? Niemożliwe! Nigdzie indziej na Medei...

- Cicho bądź, dobrze? - krzyknął na nią. - Próbuję przypomnieć sobie to, co odebrałem od mojej przyjaciółki, którą zabił twój przyjaciel.

Na wpół uniosła się, z pobladłą twarzą, potem znów usiadła i czekała. Kieliszek z winem drżał w jej palcach.

- Zawsze wiele paplałaś o tym, jacy ci ouranidzi są dobrzy, łagodni i rozwinięci estetycznie - rzucił raczej w nią niż do niej. - Zachłystywałaś się wprost tą ich nową wiarą - tym lotem z wiatrem na stronę odplanetarną, tą śmiercią z godnością, nirwaną, nie wiem już czym jeszcze. Niech diabli porwą tych brudnych plromidów. Umieją tylko rozniecać ogień i robić narzędzia, polować, troszczyć się o dzieci, żyć w społecznościach, tworzyć sztukę i filozofię - tak samo jak ludzie. Cóż cię w tym mogłoby zaciekawić?

No więc chcę ci powiedzieć, tak jak ci już tyle razy mówiłem, że dromidzi też mają swoją wiarę. Gdybyśmy mieli porównywać, założyłbym się, że ich wiara jest o wiele silniejsza i bardziej znacząca niż wiara ouranidów. Próbują zrozumieć świat. Czy nie możesz mieć dla nich choć trochę zrozumienia?

Jasne, dromidzi ogromnie szanują porządek rzeczy. Kiedy coś się psuje - gdy Zdarza się wielka zbrodnia, grzech czy wstyd - cały świat doznaje krzywdy. Jeśli zło

nie zostanie usunięte, wszystko się popsuje. W to właśnie wierzą na Hansonii i jestem przekonany, że poznali prawdę.

Wielkopańscy ouranidzi nigdy nie zwracali specjalnie uwagi na przyziemnych dromidów, ale nie odwrotnie. Ouranidzi są tak samo widoczni jak Argo, Kolchida, dowolna część przyrody. W oczach dromidów mają swoje przeznaczone miejsce i cykl.

I nagle ouranidzi się zmieniają. Nie oddają swych ciał ziemi, gdy umierają, tak jak powinno kończyć się życie... nie, kierują się na zachód, ponad ocean, ku owemu nieznanemu miejscu, gdzie co wieczór skrywają się słońca. Czy nie rozumiesz, jak nienaturalnie mogło to wyglądać? To tak, jakby drzewo zaczęło chodzić lub nieboszczyk powstał z grobu. I nie był to pojedynczy wypadek, nie, powtarzał się rok po roku.

Aborty psychosomatyczne? Skąd mam wiedzieć? Wiem jednak, że dromidzi są wstrząśnięci do głębi tym, co robią ouranidzi. Choć jest to głupie, jednak sprawia im to ból.

Jannika skoczyła na równe nogi; jej kieliszek brzęknął o podłogę.

- Głupie? - krzyknęła. - Ich *Tao*, ich wizja? Nie, głupie jest to, w co wierzą te... twoje fuksy, tylko że przez tę wiarę napadają na niewinne istoty i zjadają je! Nie mogę się doczekać, kiedy te stwory wymrą całkowicie!

On też powstał.

- Nie obchodzą cię martwo urodzone dzieci, nie, oczywiście, że nie - odparł. - Bo jakież w tobie instynkt macierzyński, do diabła? Tyle go, co u twoich balonów. Swobodnie latać, rozsiewać nasiona, zapomnieć o nich, a one i tak wykiełkują, pęknie i Rój przyjmie nowych - i nikogo nic nie obchodzi poza przyjemnością.

- Ach, ty... Może ty chciałbyś zostać matką? - zadrwiła.

Zamachnął się otwartą dłonią; ledwie uniknęła ciosu. Wstrząśnięci, zamarli tam, gdzie stali.

Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł. Pociągnął łyk whisky ze szklanki. Po chwili odezwała się ona, nieomal bezgłośnie:

- Hugh, nasi tubylcy odbierali od nas komunikaty. Nie słowne. Nieświadome. Czy przez nich... - zająknęła się - my chcieliśmy się nawzajem pozabijać?

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, aż w końcu jednym niezgrabnym gestem postawił swoją szklankę i wyciągnął do niej ramiona.

- Och, nie, och, nie - wyjąkał. Zbliżyła się do niego.

Wkrótce poszli do łóżka. Ale nie był zdolny do niczego. Znalazł w apteczce środek zaradczy, ale to, co po nim nastąpiło, równie dobrze mogło rozgrywać się między dwiema maszynami. W końcu Jannika odwróciła się, cicho płacząc, a Hugh poszedł szukać butelki.

Obudził ją wiatr. Leżała przez jakiś czas przysłuchując się jego dudnieniu o ściany. Sen odszedł ją całkowicie. Otworzyła oczy i spojrzała na zegarek; jego świecąca tarcza powiedziała jej, że minęły trzy godziny. Równie dobrze mogła wstać z łóżka. Może uda jej się poprawić nastrój Hugh'a.

Główny pokój był wciąż oświetlony. Hugh spał rozciągnięty w fotelu, obok którego stała butelka. Jakże głębokie były zmarszczki na jego twarzy.

Jak głośno świstał wiatr. Zapewne czoło burzy, które, jak zapowiadała służba meteorologiczna, miało znajdować się nad morzem, nagle i nieoczekiwanie skręciło w tym kierunku. Meteorologia na Medei nie była jeszcze nauką ścisłą. Biedni ouranidzi; ich święto się nie udało, a oni sami, rozrzucony po okolicy, byli w niebezpieczeństwie. Zazwyczaj potrafili latać nawet podczas huraganu, ale zawsze kilku spotykało nieszczęście - uderzenie pioruna, ciśnienie o skały czy zaplątanie w gałęziach drzewa. Chorzy i ranni ucierpią najwięcej.

A'i'ach.

Jannika zacisnęła powieki i usiłowała sobie przypomnieć, jak ciężkie są jego rany. Ale wszystko było tak strasznie pomieszane; Hugh odwrócił jej uwagę i mentalnie znalazła się poza zasięgiem nadajnika. Poza tym A'i'ach i tak nie mógł być od razu pewien swego stanu. Może nie był poważny. Może i był. On sam mógł już teraz być martwy albo skazany na śmierć, jeśli nie otrzyma pomocy.

Ona była za to odpowiedzialna - może nie winna, wedle moralistycznej definicji, ale odpowiedzialna.

Postanowienie umocniło się w niej. Jeśli pogoda nie przeszkodzi temu, poleci go szukać.

Sama? Tak. Hugh by protestował, opóźniał, może nawet zatrzymał ją siłą. Nagrała dla niego wiadomość, zastanowiła się, czy nie jest zbyt bezosobowa, ale zdecydowała się nie układać czegoś bardziej uczuciowego. Tak, chciała się pogodzić i myślała, że on też chce, ale płaszczyć się nie będzie. Znowu włożyła ubranie polowe, dodała do niego kurtkę wkładając do kieszeni kilka kostek koncentratu i wyszła.

Wiatr szalał wokół niej, huu-huu, niczym potop, przez który musiała się przedzierać. Chmury skupiły się ciężkie i niskie. Czerwone tam, gdzie kryła się za nimi Argo. Zdawało się, że olbrzymia planeta przelatuje pośród poszarpanych zasłon. Na podwórzu wznosiły się tumany kurzu siekąc ją po skórze. Poza nią na zewnątrz nie było nikogo.

W hangarze włączyła komputer, by podał jej ostatnią prognozę. Była zła, ale nie przerażająca, pomyślała. (A jeśli się rozbije, to co to za strata, dla niej czy kogokolwiek innego?)

- Wracam na pole badań - powiedziała do mechanika. Próbował ją odwieść Od tego zamiaru, ale zażądała posłuszeństwa stosownie do swego statusu. Nigdy nie lubiła tego, ale duchy starej ojczyzny nauczyły ją, jak się to robi.

- Żadnych sprzeciwów - rzekła. - Proszę przygotować się do otwarcia hangaru i udzielenia mi pomocy, gdyby było trzeba. To rozkaz.

Mały pojazd dygotał i uderzał w grunt. Start wymagał dużej sprawności - miała trochę kłopotów, gdy podmuch nieomal ją przewrócił - ale gdy znalazła się w powietrzu, śmigacz uparcie sunął naprzód. Uniósłszy się ponad pokrywą Chmur zobaczyła, jak faluje niczym morze, Argo zaś wystaje jak daleki szczyt, a gwiazdy i inne księżyce błyskają nad głową. Na północy gromadziła się jeszcze głębsza i wyższa ciemność - czoło burzy. Pogoda naprawdę się pogorszy w ciągu najbliższych paru godzin. Jeśli szybko nie wróci, to lepiej się w ogóle nie wybierać.

Lot na pole bitwy zabrał niewiele czasu. Kiedy pilot inercyjny dowiózł ją na miejsce, zatoczyła krąg, włożyła hełm na głowę i włączyła nadajnik. Jej puls stał się nieregularny; w ustach zaschło.

- A'ï'ach - wyszeptała - bądź żywy, proszę cię, bądź żywy.

Zapaliło się zielone światełko; przynajmniej jego nadajnik znajdował się na polanie. A on? Musiała siłą woli wprowadzić się w stan kontaktu psychicznego.

Słabość, ból, szelest liści, hałas uderzających o siebie gałęzi...

- A'ï'ach, wytrzymaj, ląduję!

Poryw radości. Tak, odebrał jej wezwanie.

Lądowanie na pewno będzie ryzykowne. Pojazd potrafił opuszczać się pionowo, miał znakomity radar i sonar, komputer i manipulatory, które samodzielnie przeprowadzały większość manewrów. Niemniej jednak nie było dole zbyt wiele wolnego miejsca; polanę przedzielała na dwie części rozpadlina i choć otaczający las służył jako dość dobra zasłona od wiatru, jednak mogą się trafić złośliwe powiewy i zawirowania.

- Boże, zawierzam ci siebie - powiedziała i raz jeszcze, tak jak wiele razy poprzednio, pomyślała, jak ciężko Hughowi musi być z jego ateizmem.

Mimo to, jeśli odczeka jeszcze chwilę, straci całą odwagę. W dół! Opadanie było gwałtowniejsze, niż się spodziewała. Najpierw wpadła w kłębowisko chmur, potem już była pod nimi, ale w szponach wściekłego wichru, wreszcie ujrzała, jak sięgają po nią wierzchołki drzew. Pojazd kołysał się, nurkował, skręcał. Czyżby popełniła niewybaczalne głupstwo? Naprawdę nie chciała żegnać się z tym życiem...

Udało się jej jednak i przez wiele minut siedziała bez sił. Kiedy się poruszyła, uczuła, jak całe jej ciało przenika ból minionego napięcia. Jednak cierpienie A'i'acha nie opuściło jej. Powodowana tą potrzebą odpięła pasy i ruszyła naprzód.

Potężny loskot targał otaczającą ją czarną palisadą drzew; gałęzie jęczały, korony burzyły się niczym piana. Jednak na dole, blisko gruntu, powietrze choć niespokojne, było jednak cichsze, niemal ciepłe. Niewidoczna Argo barwiła chmury, co dawało wystarczającą ilość światła, by nie musiała włączać latarki. Nie znalazła ani śladu zabitych ouranidów. No, przecież nie mieli kości, więc dromidzi zjedli każdy strzęp. Cóż za potworny przesąd... Gdzie jest A'i'ach?

Znalazła go po kilku minutach poszukiwań. Leżał za kolczastym krzewem, w który wplątał swe czułki, by się utrzymać na miejscu. Jego ciało wypuściło cały gaz i leżało jak pusty worek; oczy jednak błyszczały i był w stanie mówić owym przenikliwym, dmącym językiem swego ludu, który miał swoją melodię, jak Jannika się o tym przekonała.

- Niech radość tchnie na ciebie. Nie sądziłem, że nadejdiesz. Witaj, samotnie tu było.

Ostatnie słowa wypowiedziane zostały z dreszczem zgrozy. Ouranidzi nie znosili długiej rozłąki ze swoim Rojem. Niektórzy ksenolodzy sądzili, że ich świadomość jest bardziej zbiorowa niż osobnicza. Jannika odrzucała ten pogląd - chyba że odnoszono go do innych gatunków spotykanych w innych miejscach strony przyplanetarnej. ATach miał własną duszę!

Uklękła.

- Jak się czujesz?

Dźwięki jego mowy wymawiała nie lepiej niż on jej, ale ATach nauczył się ją rozumieć.

- Czuję się już lepiej, skoro jesteś obok mnie. Utraciłem wiele krwi i gazu, ale rany się już zamknęły. Osłabłszy, usiadłem na drzewie, dopóki Bestie nie odeszły. Tymczasem podniósł się wiatr. Pomyślałem, że w moim stanie lepiej nie lecieć wraz

z nim. Nie mogłem jednak zostać na drzewie, bo i tak wiatr by mnie strącił. Wypuściłem więc resztę gazu i doczołgałem się do tego schronienia.

Jego słowa wyrażały o wiele więcej niż tylko to suche stwierdzenie. Denotacja była lakoniczna i spokojna; konotacja ani trochę. A'ï'ach będzie potrzebował przynajmniej całego dnia, by zregenerować .dość wodoru na powtórny wzlot (dokładny termin zależał od tego, do jak wielkiej ilości pokarmu zdoła dotrzeć przy swych ranach), o ile jakiś drapieżca nie znajdzie go najpierw, co było zupełnie prawdopodobne. Janika wyobrażała sobie, jaki zalałby ją potop cierpienia, trwogi i męstwa, gdyby miała na sobie hełm.

Wzięła na ręce sflaczałe ciało. Nie ważyło wiele. W dotyku było ciepłe i jedwabiste. A'ï'ach pomagał jej w tym, jak potrafił, a mimo to część jego ciała ciągnęła się po ziemi, co na pewno było bardzo bolesne.

A musiała sprawić mu jeszcze większy ból, gdy będzie wciągać fałdy skórne do wnętrza śmigacza. W środku nie było wiele wolnego miejsca; A'ï'ach został praktycznie wciśnięty w część ogonową. Jannika nie przeproszała go, gdy jęczał, ani w ogóle nic nie mówiła, ale śpiewała mu. Nie znał starożytnych słów ziemskiej pieśni, ale pojął, co chce mu w ten sposób przekazać.

W pojeździe znajdowało się wszystko, co potrzebne do podstawowej pomocy medycznej dla tubylców - już przedtem czasem jej udzielała. Rany A'ï'acha nie były głębokie, w większości jego ciało było bowiem torebką ze skóry; torebka jednakże została rozdarta w kilku miejscach i choć rozdarcia same się zasklepiły, lot rozwarłby je na nowo, chyba że by je wzmocniono. Stosując miejscowe znieczulenie i antybiotyki - tyle już się nauczono o biochemii medeańskiej - Jannika zeszyła rozdarcia.

- No, teraz możesz odpocząć - powiedziała, kiedy już zakończyła pracę, zdrętwiała, spływająca potem i dygocząca. - Później wstrzyknę ci gaz i będziesz mógł od razu polecieć, jeśli zechcesz. Myślę jednak, że postąpimy najrozsądniej, gdy przeczekamy wicherę.

Człowiek na miejscu A'ï'acha jęknąłby:

- Tu jest tak ciasno!

- Tak, rozumiem cię, ale... włożę hełm, A'ï'achu. - Pokazała ręką. - W ten sposób zjednoczymy nasze dusze, tak jak łączyły się one poprzednio. To pomoże Wyrzucić tę niewygodę z twych myśli. A na tak niewielką odległość, przy nowo zdobytej wiedzy... - Przejął ją dreszcz. - Kto wie, czego będziemy się mogli dowiedzieć?

- Dobrze - zgodził się. - Możemy mieć niezwykle przeżycia. - Pojęcie odkrywania dla własnej potrzeby było mu obce, ale jego poszukiwania rozkoszy daleko przekraczały praktyki hedonistyczne.

Ochoczo, mimo całego zmęczenia, wsunęła się na miejsce i sięgnęła po urządzenie, I w tym właśnie momencie rozległ się brzęczyk odbiornika, cały czas włączonego na falę standardową.

Na wschodzie Argo groźnie spoglądała na zbliżający się z północy, przetykany błyskawicami front burzy. Zgromadzone już w dole chmury mieniły się czerwienią i mrokiem. Wiatr zawodził. Pojazd Hugh'a to opadał w dół, to zrywał się w górę. Pomimo grzejnika przez daszek kabiny przenikało zimno, jak gdyby sprowadzone w światłem gwiazd i księżyców.

- Jan, jesteś tam? - wołał. - Nic ci się nie stało?

Jej głos był jak przecinający więzy cios miecza. - Hugh? To ty, kochanie?

- No jasne, a kogo się, u diabła, spodziewałaś? Obudziłem się, odtworzyłem twoje nagranie i... Nic ci nie jest?

- Zupełnie nic. Ale nie mam odwagi wystartować w taką pogodę. A tobie nie wolno tu lądować, bo teraz jest to już zbyt niebezpieczne. Zostać w górze też nie możesz. Kochany, *roztomily*, że też przyleciałeś!

- Droga moja, jak mogłem, psiakrew, nie przylecieć? Powiedz mi, co się stało. Wyjaśniła mu wszystko. Pod koniec opowieści skinął głową, która jeszcze trochę bolała od wypitego alkoholu, pomimo tabletki nedoloru.

- Dobrze - powiedział. - Poczekaj na spokojniejsze powietrze, napompuj swego przyjaciela i wracaj do domu.

Przypomniało mu się coś, co go już od jakiegoś czasu nękało.

- Zaraz... zastanawiam się... Jak myślisz, może on by wleciał w tę rozpadlinę i odzyskał nadajnik Erakoum? Nie mamy ich zbyt wiele, wiesz o tym. - Zamilkł na chwilę. - Chyba żądałbym zbyt wiele, gdybym go poprosił, by jej ciało przykrył ziemią.

W głosie Janniki słychać było współczucie.

- Ja mogę to zrobić.

- Nie, nie możesz. Widziałem wszystko dokładnie oczyma Erakoum, gdy spadała, zanim nie rozbila sobie czaszki, czy coś w tym rodzaju. Nikt nie zejdzie w dół bez liny zamocowanej na krawędzi. Nie mógłby potem wrócić! A nawet z liną ryzyko byłoby szalone. Przecież jej towarzysze nie próbowali nic robić, prawda?

Wahanie:

- Zapytam go. Może to zbyt wielkie wymaganie. Nadajnik jest nie uszkodzony?

- Hm, tak, ale to sprawdzę. Odezwę się za minutę lub trzy. Kocham cię. To była prawda, wiedział o tym, pomimo tego, ile razy doprowadzała go do wściekłości. Żeby gdzieś tam, w otchłaniach jego osobowości, miał chcieć jej śmierci, to było nie do pomyślenia. Podążylby za nią jeszcze przez większą burzę niż ta, po to tylko, by to udowodnić.

No więc może wrócić do domu ze spokojnym sumieniem i czekać na jej przybycie, po czym... co? Ta niepewność otwierała w nim pustkę.

Jego aparatura zapaliła zielone światelko. Dobrze, aparat Erakoum nadawał, wobec tego był nie uszkodzony i wart odzyskania. Szkoda, że ona sama...

Sprężył się cały. Oddech zaterkotał mu w płucach. Czy wiedział na pewno, że ona nie żyje?

Opuścił hełm na skronie. Dłonie mu drżały; miał trudności w dokonaniu połączeń. Nacisnął przełącznik. Siłą woli natęzał percepcję...

Ból związał się jak rozpalone do białości druty, siła uchodziła, łagodne fale nicości przepływały coraz częściej, ale Erakoum nadal się nie poddawała. Ten wąski pasek nieba, który dostrzegła z miejsca, z którego nie mogła już poczołgać się dalej, był pełen wiatru... Z wstrząsem powróciła pełna świadomość. Ponownie wyczuła obecność Hugh'a.

- Połamane kości, na to wygląda. Poważna utrata krwi. Umrze za kilka godzin, Jan, jeśli nie udzielisz jej pierwszej pomocy. Wtedy dotrwa do chwili, gdy będziemy mogli przewieźć ją do Port Kato na pełny zabieg.

- Och, mogę zszyć rany, zabandażować, złożyć kości, cokolwiek. Nedolor jest również środkiem znieczulającym dla dromidów, prawda? I nawet napicie się wody może mieć kolosalne znaczenie; na pewno jest odwodniona. Ale jak do niej dotrzeć?

- Twój ouranid może ją podnieść, gdy go nadmuchasz.

- Chyba nie mówisz poważnie! ATach jest ranny, goją mu się rany... A Erakoum chciała go zabić!

- Dążenie było wzajemne, prawda?

- No...

- Jan, nie zostawię jej tak. Ona, która biegła swobodnie, leży w grobie, a ta styczność ze mną, którą odbiera, to dla niej więcej, niż byłem w stanie sobie wyobrazić. Zostanę tu, dopóki nie będzie bezpieczna albo dopóki nie umrze.

- Nie, Hugh, nie możesz. Burza.

- Nie chcę cię szantażować, kochanie. Mówiąc szczerze, jeśli twój ouranid odmówi, nie będę miał do niego żalu. Ale nie mogę zostawić Erakoum. Po prostu nie mogę.

- Ja... poznałam cię teraz lepiej... Spróbuję.

A'ï'ach nie zrozumiał swej Janniki. Było nie do uwierzenia, że pomoc Udzielona Bestii przyniesie pokój. Ten stwór był tym, czym był, czyli mordercą. A jednak kiedyś Bestie nie były źródłem kłopotów, kiedyś były to zwierzęta, które najbardziej interesowały i cieszyły Lud. On sam pamiętał pieśni o ich chyżości i ich ogniu. W tamtych utraconych dniach Bestie nazywano Tancerzami Płomienia.

Jego duch nie miał pewności, dlaczego ustąpił wobec jej prośb.

Prawdopodobnie dlatego, że uratowała mu życie, narażając własne, co było dla niego przemożną, nową myślą. Wielce chciał utrzymać z nią swą jedność, która wzbogacała jego świat, i dlatego wahał się z odmówieniem prośbie, która zdawała się tak ważna, jak jego chęć. Przez tę jedność, przekazaną mu hełmem, zdawało mu się, że czuje to samo, co ona, gdy woda płynęła jej z oczu - ... chcę naprawić to, co wyrządziłam... - i takie uczucie stało się transcendentne, niczym Czas Blasku, i to właśnie sprawiło, że przystał na jej prośbę.

Pomogła mu wydostać się z rzeczy-która-ją-przywiozła i wysunęła rurkę. Przez nią pił gaz, powiew nowego życia. Rany mu dokuczały, gdy jego kuliste ciało powiększało się, ale mógł to zignorować.

Potrzebował jej ciężaru, który by utrzymywał go przy ziemi w drodze do rozpadliny. Palce i czułki splótły się razem, a mimo to wichura o mało ich nie poniosła. Gdyby napełnił się do całkowitych rozmiarów, łatwo mógłby z nią ulecieć. Powietrze atakowało i wyło, rzucało nim, chciało cisnąć w ciernie... jakże strasznie było na ziemi!

A jeszcze gorzej opuszczać się poniżej jej powierzchni. Drżał, przepelniony uczuciem, które ledwie rozpoznawał. Gdyby Jannika była z nim w kontakcie, powiedziała mu, że ludzie nazywają to uczucie przerażeniem. Człowiek albo dromid, opanowany przez nie w takim stopniu, uciekłby od tego miejsca. A'ï'ach

zaś przemienił je w moc pchającą go naprzód, bo przez nie on też stawał się kimś zupełnie innym.

Na brzegu otoczyła go ramionami tak daleko, jak tylko mogła sięgnąć, przyłożyła usta do jego sierści i rzekła:

- Życzę ci powodzenia, drogi A'i'achu, drogi, dzielny A'i'achu. Powodzenia i niech cię Bóg zachowa. - Te słowa wypowiedziała we własnym języku; gestu też nie rozpoznał.

Dała mu do trzymania cylinder, który rzucał silny strumień światła. Zobaczył, jak poszarpane zbocze opada w dół, i pomyślał, że jeśli zostanie o nie rzucony, to już po nim. Wówczas jego duch, nie chroniony ciałem, odbędzie straszliwą podróż, zanim osiągnie Zaświat - o ile w ogóle go osiągnie, a nie ulegnie rozerwaniu (porozrzucaniu po świecie. Szybko, nim zdołały go porwać zmacone wiatry, rzucił się w dół ponad krawędzią. Zmniejszył swą objętość. Zaczął opadać.

Trwoga, w miarę jak zamykały się wokół niego ściany i mrok, była rozkoszą, jakiej dotąd nie zaznał. W sercu czuł płonąca świadomość. O, tak, człowiek pokazał mu nieznane dotąd nieba.

W woni wilgoci wykrył jeszcze ostrzejszy zapach. Podążył w tym kierunku. Światło jego latarki omiotło Bestię rozciągniętą na ostrym ospysku, dyszącą ciężko i wściekle patrzącą na niego. Za pomocą odrzutu i syfonowania ustawił się poza jej zasięgiem i wypowiedział, tak jak umiał, słowa w języku ludzi:

- Sszylesszalem sze uratoffasz

Z głębin swego miejsca śmierci Erakoum spojrziała w górę na Latacza. Ledwie widziała jego zarysy: wielki, błądy księżyc skryty za jasnym światłem. Zdumienie otrząsnęło ją z senności. Czyżby jej wróg podążył za nią aż tu, na dół, w swej złośliwości?

Dobrze! Umrze w boju, a nie w bólach, które ją rozdzierały.

- Chodź tu i walcz! - krzyknęła chrapliwie. Gdyby mogła zatopić w nim zęby, wypić ostatni haust jego krwi... Wspomnienie tamtego smaku przeszło ją niczym słodka błyskawica. Przez te późniejsze chwile, które nie chciały się skończyć, cały czas myślała, że gdyby nie wypła tamtych kropli krwi, już by nie żyła.

Ich cudowne działanie już zanikło. Poruszyła się, przybierając postawę obronną. Przeszył ją ból, a potem nicość.

Kiedy się ocknęła, Latacz wciąż czekał. Poprzez dudnienie w jej uszach przedzierały się jego słowa: "Sszyleszalem sze uratoffasz".

Ludzka mowa? Więc to była ta istota, którą ludzie obdarzyli przychylnością, podobnie jak ją. Musiała to być ona, choć promień padający z jej głowy został przyćmiony światłem z jej macek. Czyżby Hugh przez cały czas był związany z nimi obojgiem?

Erakoum próbowała utworzyć sylaby nigdy nie przeznaczone dla jej języka i gardła.

- Dzo gdzież? Idź zdąd, idź.

Latacz odpowiedział. Nie potrafiła go zrozumieć, tak samo jak on nie rozumiał tego, co mówiła ona. Z pewnością przyleciał tu w dół, by się upewnić, że to ona, albo żeby naigrawać się z niej, dopóki nie umrze. Erakoum wyciągnęła słabnące ramię po włócznię. Nie mogła już jej rzucić, ale...

Z nieświadomości, gdzie mieszkała dusza Hugh'a, doszła nagle do niej informacja: On chce cię uratować.

Niemożliwe. Ale... był to przecież Latacz. Na wpół w malignie, Erakoum pamiętała jednak, że Latacze rzadko kiedy potrafiły być tak cierpliwe.

Cóż gorszego mogło ją spotkać od śmierci? Nic. Legła grzbietem na odłamkach skalnych. Niech Latacz będzie jej zgubą lub jej Mardudekiem. Znalazła w sobie odwagę, by zaniechać walki.

Kształt zawisł nad nią. Jej sierść odebrała niewielkie zawirowania; pomyślała mgliście, że jemu też w tym miejscu nie jest łatwo. Buchnęły z niego słowa; chciał coś wyjaśnić, ale była zbyt cierpiąca i zmęczona, by słuchać. Otoczyła swój pysk rękami. Czy zrozumie ten gest?

Może. Zbliżył się, z wahaniem. Trwała w nieruchomości. Nawet kiedy poczuła jego macki, nie poruszyła się.

Macki prześliznęły się po jej ciele, znalazły zaczepienie, zacisnęły się. Poprzez mgłę bólu dojrzała, jak Latacz wypełnia się gazem. Chciał unieść ją w górę - do Hugh'a?

Gdy wzleciał w górę, jej rany od noża otworzyły się i krzyknęła, zanim straciła przytomność.

Kiedy się ocknęła, leżała na darni, pod porywistym, czerwonym niebem. Pochylał się nad nią człowiek, mówiąc coś do małego pudełka, które odpowiadało głosem Hugh'a. Za nią leżał Latacz, wypuściwszy powietrze, trzymając się krzewu. Burza szalała; spadły pierwsze kęsające krople deszczu.

W tajemny sposób, właściwy łowcom, wiedziała, że umiera. Człowiek mógłby zasklepić te cięcia i ukłucia, ale nie potrafi oddać tego, co zostało utracone.

Wspomnienie... to, o czym mawiano, to, czego sama przelotnie posmakowała... "Krew Latacza. Ona mnie uratuje. Krew Latacza, jeśli mi ją da". Nie była pewna, czy powiedziała to na głos, czy jej się tak wydawało. Znowu zapadła w mrok.

Kiedy się z niego jeszcze raz wynurzyła, Latacz znajdował się obok niej, zasłaniając jej ciało przed wiatrem. Człowiek ostrożnie nacinał nożem jedną z jego macek. Latacz wsunął mackę między kły Erakoum. Gdy deszcz rozszalał się na dobre, zaczęła pić.

Podwójny wschód słońca zawsze jest uroczy.

Jannika celowo opóźniła wieści dla Hugh'a. Chciała mu zrobić niespodziankę, najlepiej kiedy przestanie martwić się o swego dromida. A więc pora już nadeszła; Erakoum zostanie przez parę dni w szpitalu w Port Kato, co powinno być interesującym doświadczeniem dla wszystkich zainteresowanych, ale wyzdrowieje. A'ich już dołączył do swego Roju.

Kiedy Hugh obudził się ze swego długiego snu po czuwaniu u "łóża chorej", Jannika zaproponowała piknik o świcie i ujęło ją to, jak szybko się zgodził. Pojechali śmigaczem w znane im miejsce na nadmorskich skałach, rozłożyli jedzenie i zaczęli wyglądać wschodu słońc.

Zrazu jedynymi światłami była Argo, gwiazdy i para księżyców. Powoli niebo rozjaśniło się, ocean zalśnił srebrem na błękitnie, Fryksos i Helle zakrążyły wokół wielkiej planety. Pieśni natury rozległy się w powietrzu przesiąkniętym aromatem kwiatu plamkowca, podobnym do fiołków.

- Dostałam wiadomość z Ośrodka - oświadczyła, trzymając go za rękę. - To już pewne. Szybko rozwiązano sprawy chemiczne, po tej dodatkowej wskazówce o ożywiającym wpływie krwi.

Obrócił się.

- Co takiego?

- Niedostatek manganu - odparła. - Pierwiastek śladowy w biologii medeańskiej, ale ważny dla życia, szczególnie dromidów i ich rozrodczości... i najwyraźniej dla czegoś innego u ouranidów, skoro gromadzą go w takim stopniu. Okazuje się, że brakuje go na Hansonii. Ouranidzi, udający się na zachód, by tam

umrzeć, znacznie zmniejszali jego zawartość w ekologii. Rozwiązanie jest proste. Nie potrzebujemy zmieniać wiary ouranidów. Tymczasem możemy przygotować koncentrat manganowy i dać go dromidom. Na dłuższą metę zaś można wydobywać rudę manganu tam, gdzie jest jej dużo, i rozproszyć w postaci pyłu po całej wyspie. Twoi przyjaciele będą żyli, Hugh.

Milczał przez jakiś czas. Potem... mógł ją tym zaskoczyć, ów syn górnika z prowincji, powiedział:

- To wspaniale. Rozwiązanie techniczne. Ale gorycz nie zniknie w ciągu jednego dnia. Nie będzie szybkiego happy endu. Może w ogóle go nie zobaczymy, ty i ja. - Przyciągnął ją do siebie. - Ale, cholera jasna, spróbujmy!

Tłumaczył: Wiktor Bukato

Psychodrama

1

Jeśli chcemy zrozumieć, co się wydarzyło - co jest istotne, jeśli mamy uniknąć następnych, jeszcze gorszych tragedii w przyszłości - musimy zacząć od odrzucenia wszelkich oskarżeń. Nikt nie zaniedbał swych obowiązków; żadne działanie nie było bezsensowne. Kto mógł, bowiem przewidzieć ostateczny wynik lub jego naturę, nim było za późno? Powinniśmy raczej wyrazić uznanie dla ducha, z jakim ci ludzie walczyli z nieszczęściem, najpierw we wnętrzu siebie, a potem na, zewnątrz, gdy mieli już pewność. Jest faktem, że istnieją progi rzeczywistości, oraz że to, co się znajduje za takim progiem, jest całkowicie odmienne od tego, co jest przed nim. Chronos pokonał daleko więcej niż otchłań Kosmosu: pokonał również próg ludzkiego doświadczenia.

*Francis L. Minamoto, Śmierć pod Saturnem:
Odmienne poglądy (Pisma Uniwersytetu Apollo,
Leyburg, Luna, 2057)*

- Lodowe Miasto znajduje się obecnie na horyzoncie - mówi Kendrick. Wieże miasta świecą niebieskim blaskiem. - Mój gryf rozpościera skrzydła do lotu. - Wiatr ze świstem przelatuje między wielkimi, tęczowymi płatami. Peleryna Kendricka soplewa z jego ramion: powietrze kąsa przez pierścienie kolczugi i otacza go chłodem. - Pochyliam się i rozglądam za tobą. - Włócznia w lewej ręce stanowi przeciwwagę; jej ostrze połyskuje blado księżycowym blaskiem, który Kowal Wayland zaklął w stali.

- Tak, widzę gryfa - mówi doń Ricia. - Wysoko i daleko, niczym kometę ponad murami otaczającymi podwórzec. Wybiegam spod portyku, by lepiej widzieć. Strażnik próbuje mnie zatrzymać, chwyta za rękaw, ale rozdieram delikatny jak pajęczyna jedwab i pędzę na otwartą przestrzeń. - Zamek elfów kołysze się, jakby rzeźbiony lód przemieniał się w dym. Ricia woła żarliwie: - Czy to istotnie ty, ukochany?

- Zatrzymaj się! - ostrzega Alvarlan ze swej tajemnej jaskini oddalonej o dziesięć tysięcy mil. - Się ci myślą wieść, że jeśli Król poweźmie podejrzenia, iż oto nadlatuje pan Kendrick z Wysp, wyśle przeciwko niemu smoka albo przeniesie cię

zakłębciem tam, skąd nie uda mi się ciebie uratować. Wracaj, księżniczko Maranoa. Udawaj, że uznałaś, iż to tylko orzeł nadlatuje. Rzucę czar prawdomówności na twoje słowa.

- Unoszę się wysoko - *mówi Kendrick*. - Jeżeli Król Elfów nie użyje szklanej kuli, nie pozna, że na grzbiecie tego zwierzęcia siedzi jeździec. Stąd będę obserwował miasto i zamek. - *A potem? Tego nie wie. Wie jedynie, że musi ją uwolnić lub zginąć w tej wyprawie. Jak długo jeszcze to będzie trwało, ile jeszcze nocy księżniczka spędzi w objęciach Króla?*

- Zdaje się, że mieliście szukać lapetusa - przerwał Mark Danzig.

Jego suchy ton poderwał trójkę pozostałych. Jean Broberg zaczerwieniła się z zakłopotania, Colin Scobie z irytacji, Luis Garcilaso wzruszył ramionami, uśmiechnął się i odwrócił wzrok ku konsoli pilota, przy której siedział przypięty pasami. Przez chwilę kabinę wypełniała cisza, cienie i promieniowanie płynące z Wszechświata.

Aby nie zakłócać obserwacji, wszystkie światła wyłączono z wyjątkiem kilku słabych światełek na aparaturze. Iluminatory od strony Słońca zasłonięte. W pozostałych tóczyły się gwiazdy, tak liczne i jasne, że nieomal przesłaniały ciemność, w której tkwiły. Droga Mleczna była rzeką światła. Jeden z iluminatorów pokazywał Saturna w drugiej kwadrze, jego oświetloną bladożółtą część, opasaną bogatymi klejnotami pierścieni, a stronę nocną słabiotko odbijającą od obłoków światło gwiazd i księżyca. Saturn był mniej więcej tej samej wielkości, co Ziemia obserwowana z Księżyca.

Z przodu był Lapetus. Okrążając go, statek wirował jednocześnie, by zachować stałe pole widzenia. Przeleciał linię świtu i po chwili znalazł się nad półkulą zwróconą ku Saturnowi. Pozostawił, więc za sobą jałową, zrytą kraterami ziemię, a teraz miał w dole oświetlony Słońcem lądolód. Biel oslepiała, migotała iskrami i barwnymi strzępkami, strzelała w niebo fantastycznymi kształtami - cyrki, szczeliny, pieczary obramowane błękitem.

- Przepraszam - szepnęła Jean Broberg. - To zbyt piękne, niewiarygodnie piękne i... prawie zupełnie podobne do tego miejsca, w które przeniosła nas nasza gra... przez zaskoczenie...

- Hm! - mruknął Mark Danzig. - Dobrze wiedzieliście, czego tu się spodziewać, i dlatego sami sprawiliście, że gra przeniosła was w kierunku czegoś, co by te widoki przypominało. Nie starajcie się zaprzeczać; od ośmiu lat obserwuję te zagrywki.

Colin Scobie zachnął się gwałtownie. Obroty statku i jego przyciąganie były zbyt niewielkie, aby dać zauważalny ciężar, toteż gwałtowny ruch sprawił, że Scobie przeleciał w powietrzu przez kabinę i zatrzymał się dopiero na klamrze w pobliżu chemika.

- Czyli według ciebie Jean kłamie! - warknął.

Najczęściej Scobie zachowywał rubaszną pogodę ducha, toteż teraz nagle wydał się groźny. Był to wielki, trzydziestoparoletni mężczyzna o włosach barwy piasku; kombinezon nie skrywał jego mięśni, a mars na twarzy jeszcze pogłębiał jej surowy wygląd.

- Proszę was! - wykrzyknęła Broberg. - Nie kłóć się, Colin.

Geolog obejrzał się na nią. Jean Broberg była szczupłą kobietą o delikatnych rysach. Przy jej czterdziestu dwu latach, mimo kuracji odmładzającej, czerwonobrazowe włosy opadające na ramiona tu i ówdzie połyskiwały bielą, a wokół wielkich szarych oczu pojawiły się zmarszczki.

- Mark ma rację - westchnęła. - Jesteśmy tu w celach naukowych, a nie po to, by śnić na jawie. - Wysunęła dłoń, by dotknąć ramienia Scobiego. Uśmiechnęła się z zawstyżeniem. - Wciąż czujesz w sobie osobowość Kendricka, prawda? Szlachetnego, opiekuńczego... - Zamilkła. W głosie pojawiły się tony takie same, jak u Ricii. Zakryła usta i znowu poczerwieniała. Od powieki oderwała się łza i odleciała połyskując, unoszona prądem powietrza.

Zmusiła się do śmiechu.

- Ale ja jestem jedynie fizykiem o nazwisku Broberg, mój mąż, astronom, ma na imię Tom, a dzieci to Johnnie i Billy.

Jej wzrok powędrował ku Saturnowi, jakby szukając statku, w którym czekała jej rodzina. Może by go i dostrzegła, jako gwiazdę poruszającą się wśród gwiazd za pomocą żagla słonecznego. Jednakże żagiel był teraz zwinięty, gołym okiem zaś nie było widać nawet tak potężnego kadłuba, jaki miał *Chronos*, dzieliły ich, bowiem miliony kilometrów.

- A cóż w tym złego - zapytał Luis Garcilaso ze swego fotela pilota - jeśli będziemy ciągnąć naszą maleńką *commedia dell'arte*? - Jego arizoński akcent był przyjemny dla ucha. - Lądujemy dopiero za jakiś czas, a póki, co, tyra za nas pilot automatyczny. - Garcilaso był niewysoki, śniady, zwinny; nie przekroczył jeszcze trzydziestki.

Danzig skrzywił się niezadowolony. Był już po sześćdziesiątce, ale dzięki swoim zwyczajom oraz kuracjom odmładzającym zachowywał sprężyste ruchy i

szczupłą sylwetkę; mógł śmiać się ze zmarszczek i łysienia. Teraz jednak śmiech odłożył na później.

- Naprawdę nie wiecie, o co chodzi? - Jego haczykowany nos mierzył prosto w ekran skanera, pokazujący powiększenie obrazu księżyca. - Boże Wszechmocny! Mamy oto wylądować na nowym świecie - maleńkim, ale jednak świecie i dziwnym tak bardzo, że nie możemy nawet zgadnąć jak. Nikt tu jeszcze nie był, prócz jednego przelatującego próbnika bez załogi i jednego automatycznego ładownika, który wkrótce przestał nadawać. Nie możemy polegać jedynie na kamerach i miernikach. Musimy korzystać również z oczu i mózgów. - Zwrócił się do Scobiego. - Ty powinieneś to czuć w kościach, nawet, jeśli inni tego nie rozumieją. Pracowałeś zarówno na Lunie, jak i na Ziemi. Pomimo uczestniczenia w powstaniu tych wszystkich osad, pomimo wielu badań nigdy nie spotkała cię żadna przykra niespodzianka?

Scobie odzyskał równowagę. W jego głosie pojawiła się owa miękkość, która przypominała pogodę gór w Idaho, skąd pochodził.

- To prawda - przyznał. - Nie ma czegoś takiego jak zbyt wiele informacji, kiedy się jest poza Ziemią, czy wystarczająca ilość informacji. - Zatrzymał się. - Tym niemniej bojaźliwość może być równie niebezpieczna jak popędliwość... choć nie znaczy to, że ty jesteś bojaźliwy, Mark - dodał pośpiesznie. - Skądże, przecież moglibyście żyć sobie spokojnie razem z Rachel z emerytury.

Danzig odprężył się i uśmiechnął.

- To dla mnie wyzwanie, że się tak pompatycznie wyrażę. Ale mimo wszystko chcemy wrócić do domu, kiedy już tu będzie po robocie. Powinniśmy zdążyć w sam raz na confirmację prawnika czy dwóch. Dlatego potrzebne jest, abyśmy pozostali przy życiu.

- Mnie chodzi o to, że jeśli ktoś zaczyna odczuwać onieśmielenie, to może się to dla niego skończyć gorzej niż... A, nieważne. Pewnie masz rację, a my niepotrzebnie zaczęliśmy z tym fantazjowaniem. Przedstawienie trochę nas wciągnęło. To się już nie powtórzy.

A jednak, kiedy Scobie ponownie spojrział na lądolód, w jego oczach było coś więcej niż tylko beznamietność uczonego. Podobnie było w przypadku Broberg i Garcilasa. Danzig uderzył pięścią w otwartą dłoń.

- Ta gra, ta cholerna, dziecinna gra - mruknął tak cicho, że jego towarzysze nie usłyszeli. - Nie mieli czegoś rozsądniejszego?

Czy nie mieli czegoś rozsądniejszego? Może i nie.

Jeśli mamy odpowiedzieć na to pytanie, trzeba cofnąć się trochę w historię. Kiedy pierwsze działania gospodarcze w Kosmosie dały nadzieję na uratowanie cywilizacji i Ziemi od zagłady, stało się konieczne lepsze poznanie najbliższych jej planet, zanim zacznie się je eksploatować. Rozwiązywanie tego zadania należało zacząć od Marsa, jako planety najmniej wrogiej człowiekowi. Żadne prawa przyrody nie wzbraniały wysyłania tam niewielkich statków kosmicznych z załogą. Jedynym przeciwwskazaniem było absurdalne zużywanie ogromnych ilości paliwa, czasu i wysiłku, by trzy czy cztery osoby mogły spędzić kilka dni w jednym punkcie na powierzchni planety.

Budowa jednostki J. Peter Vajk zabrała dużo więcej czasu i pieniędzy, ale opłaciła się, gdy statek, a właściwie kosmiczna kolonia, rozpostarł swój potężny żagiel słoneczny i zabrał tysiąc osób, wioząc je do celu przez pół roku nawet w nie najgorszych warunkach. Oplacalność wzrosła i jeszcze bardziej, gdy koloniści zaczęli wysyłać cenne minerały z Fobosa, których nie potrzebowali dla siebie. Owe potrzeby oczywiście objęły wieloletnie, szczegółowe badania Marsa, a w tym lądowania w różnych punktach jego powierzchni, nawet na jeszcze dłuższy okres.

Tyle przypomnienia wystarczy; nie ma potrzeby wspominać o wszystkich sukcesach tej podstawowej koncepcji w całym wewnętrznym Układzie Słonecznym aż do Jowisza. Tragedia Yladimira dała powód do podjęcia kolejnej próby z Merkurym... a na swoisty, polityczny sposób skłoniła konsorcjum brytyjsko-amerykańskie do podjęcia programu Chronos.

Nazwa ta lepiej pasowała do statku, niż przypuszczali jego projektodawcy: czas żeglugi do Saturna wyniósł osiem lat.

Nie tylko uczeni musieli być ludźmi zdrowymi, o bystrych umysłach. Tacy sami musieli być członkowie obsługi, technicy, lekarze, policjanci, nauczyciele, duchowni, przedstawiciele branży rozrywkowej - wszystkie elementy tej społeczności. Każdy musiał mieć więcej niż jedną umiejętność, aby w razie konieczności kogoś zastąpić, a owe zdolności należało utrzymywać w stałej sprawności poprzez regularne, żmudne ćwiczenia. Środowisko było hermetyczne i spartańskie; łączność z domem wkrótce ograniczyła się do krótkich audycji nadawanych skupionym promieniem. Ci, którzy dotąd byli kosmopolitami,

znaleźli się jakby w odciętej od świata wiosce. Czym się mieli zająć?

Zadawano prace. Podejmowano przedsięwzięcia szczególnie przy ulepszaniu wnętrza statku. Zajmowano się badaniami, pisaniem książek, studiowaniem różnych przedmiotów, sportem, udziałem w klubach hobbistów, prowadzeniem działalności usługowej lub rzemieślniczej, sprawom bardziej intymnym, czy też... Były także nagrania wideo w wielkim wyborze, ale Centrala Lotu udostępniała odbiorniki tylko na trzy godziny na dobę. Nie należało przyzwyczajać się do bierności.

Ludzie narzekali, kłócili się, tworzyli i rozwiązywali koterie i kliki, podobnie jak zawiązywali i rozwiązywali małżeństwa oraz stosunki mniej otwarte, czasem poczynali i wychowywali dzieci, wielbili, wykpiwali, uczyli się, tęsknili i w większości znajdowali w życiu wystarczające zadowolenie. Niektórzy jednak, a w tym znaczna część utalentowanych, potrzebowali czegoś więcej, czegoś, co stałoby między marnością i zadowoleniem. Tym czymś stała się psychodrama.

Minamoto

Świt prześliznął się ponad lodem na skałę. Było to światło jednocześnie przyćmione i nieprzyjemne, ale wystarczyło, by Garcilaso zebrał ostatnie dane potrzebne do lądowania.

Szum motoru ścichł, kadłubem wstrząsnął łoskot uderzenia o grunt, wyrównały położenie statku, zapadła cisza. Przez chwilę nikt nic nie. Wszyscy patrzyli na Lapetusa.

W najbliższym otoczeniu była taka sama pustka, jaka panuje na większości ciał Układu Słonecznego. Spowita mrokiem równina wyraźnie opadała w dół ku horyzontowi, który z wysokości wzroku człowieka zdawał się odległy zaledwie o trzy kilometry; z wysokości kabiny statku wzrok sięgał dalej, co jednak tylko pogłębiało wrażenie przebywania na maleńkiej kulce wirującej pośród gwiazd. Grunt był pokryty cienką warstwą pyłu i żwiru kosmicznego; tu i tam niewielki krater czy występ skalny wysuwały się ponad regolit, rzucając długie, ostre, zupełnie czarne cienie. Odbłyски światła sprawiały, że mniej było widać gwiazd, a niebo przemieniało się w czarną misę nocy. W połowie drogi między zenitem i kierunkiem południowym widoczny częściowo Saturn i jego pierścienie dodawały urody widokowi.

Podobnie zresztą lodowiec - czy też lodowce? Nikt nie był tego pewien.

Wiadomo było jedynie, że z odległości Lapetus błyszczał jasno, gdy znajdował się na zachodniej stronie orbity, ciemniał zaś, przesuając się na wschód, ponieważ z jednej strony pokryty był jakąś białawą substancją, z drugiej zaś nie; linia graniczna przebiegała prawie dokładnie pod planetą, ku której księżyc był niezmiennie zwrócony. Próbniki Chronosa doniosły, że warstwa jest gruba i daje zagadkowe widma, które zmieniają się w zależności od miejsca. Niewiele więcej było wiadomo.

W tym czasie czwórka ludzi spoglądała ponad posiekaną rozpadlinami pustką i widziała istne cuda unoszące się ponad horyzontem. Od północy w kierunku południa ciągnęły się mury, baszty, iglice, czeluście, nawisy a ich kształty i cienie dawały upust niezliczonym fantazjom. Na prawo Saturn rzucał łagodne światło o barwie bursztynu, jednak niemal całkowicie przyćmione blaskiem padającym ze wschodu, gdzie Słońce, skarłałe prawie do rozmiarów gwiazdy, świeciło jednak zbyt mocno, by można było nań spoglądać gołym okiem. Srebrzysty blask rozpryskiwał się tam w brylantowe kaskady rozproszonego światła, chłodnych błękitów i zieleni. Oczy, oślepienie aż do łez, widziały obraz zanikający i falujący jakby z pogranicza krainy snów, krainy baśni. Ale mimo wszelkich delikatnych misterności pod spodem krył się chłód i brutalna masa; tu też mieszkali Lodowi Olbrzymi. Broberg pierwsza odzyskała mowę.

- Lodowe Miasto - szepnęła.

- Czary - odezwał się równie cicho Garcilaso. - Moja dusza mogłaby się tu zagubić na zawsze, wędrując. I nie wiem, czy miałbym jej to za złe. Moja jaskinia to nic wobec tego, nic...

- Chwileczkę! - rzucił Danzig, pełen obaw.

- O, tak. Uprzejmie prosi się o poskromienie wyobraźni. - Choć Scobie szybko potrafił zdobywać się na trzeźwe słowa, w jego ustach brzmiały one bardziej sucho, niż było to konieczne. - Wiemy z informacji przekazanych przez próbniki, że ta skarpa, hm, przypomina trochę Wielki Kanion. Jasne, że jest o wiele wspanialsza, niż to sobie mogliśmy wyobrazić, co, moim zdaniem, dalej pozostaje tajemnicą. - Zwrócił się do Jean. - Ja nigdy nie widziałem lodu czy śniegu o takich kształtach, a ty? Mówiłaś coś, że gdy byłaś mała i mieszkiałaś w Kanadzie, często oglądałaś góry i krajobraz zimowy. - Fizyczka potrząsnęła głową.

- Nie. Nigdy. To nie wydaje się możliwe. Co mogło być przyczyną takiego ukształtowania? Tu nie ma działania czynników atmosferycznych... a może jest?

- Może to samo zjawisko spowodowało оголоcenie jednej półkuli? - podsunął

Danzig.

- Albo pokrycie drugiej - odparł Scobie. - Ciało astronomiczne o średnicy tysiąca siedmiuset kilometrów nie powinno mieć warstwy gazowej nawet w postaci lodu. Chyba, że jest to kula całkowicie zbudowana z lodu jak kometa. A wiemy, że tak nie jest.

Jak gdyby chcąc poprzeć swoje słowa doświadczeniem, z pobliskiego stojaka z narzędziami zdjął kombinerki, upuścił je i ponownie pochwycił, gdy wolno opadały w dół. Przy swej masie dziewięćdziesięciu kilogramów Scobie ważył tu około siedmiu. A więc księżyc musiał się składać głównie ze skał.

Garcilaso zaczął okazywać niecierpliwość.

- Dajmy spokój znanym faktom i teoriom, a zacznijmy szukać odpowiedzi.

- Tak, wyjdźmy tam - powiedziała w uniesieniu Jean Broberg.

- Zaraz, zaraz - zaprotestował Danzig, gdy Garcilaso i Scobie przytaknęli jej entuzjastycznie. - Chyba nie mówicie tego poważnie. Ostrożność, krok za krokiem...

- Nie, tu jest zbyt cudownie na ostrożność - głos Broberg drżał.

- Tak, do diabła z leniuchowaniem - powiedział Garcilaso. - Już powinniśmy przeprowadzić, choć wstępny zwiad. - Zmarszczki na twarzy Danziga pogłębiły się.

- Masz na myśli siebie, Luis? Ale jesteś przecież naszym pilotem!

- Po wylądowaniu jestem dla was, uczonych, głównym asystentem, naczelnym kucharzem i chłopcem na posyłki. Czy myślisz, że będę tu się nudził, gdy widzę coś takiego do zbadania? - Garcilaso opanował głos. - Poza tym, gdyby mi się coś stało, każdy z was potrafi wrócić przy niewielkim naprowadzeniu z Chronosa i automatycznym dokowaniu.

- To ma sens, Mark - przekonywał Scobie. - Jasne, że niezbyt zgodne z instrukcją, ale to instrukcje są dla nas, a nie na odwrót. Niewielka odległość, niskie ciśnienie, a poza tym będziemy uważać na niebezpieczeństwa. Chodzi o to, że dopóki nie wiemy, co to za lód, nie będziemy też mieli pojęcia, czego tu szukać w okolicy. Nie, wyskoczmy tylko na chwileczkę. Kiedy wrócimy, wówczas zaczniemy planować.

Danzig zeszywniał.

- Chciałbym wam przypomnieć, że jeśli coś się stanie, pomoc przyjdzie dopiero, za co najmniej sto godzin. Statek pomocniczy, taki jak nasz, nie może lecieć szybciej, jeśli ma mu starczyć paliwa na powrót, a większe jednostki z okolic Saturna i Tytana są jeszcze dalej.

Scobie aż poczerwieniał, urażony przypuszczeniem, jakie brzmiało w sło-

wach Marka.

- A ja chciałbym ci przypomnieć, że na lądzie to ja dowodzę! Twierdę, że bliski zwiad jest bezpieczny i pożądanym. Możesz zostać, jeśli chcesz. Właściwie to musisz: instrukcja słusznie stwierdza, że w statku musi zawsze ktoś być.

Danzig przyglądał mu się przez kilka sekund, zanim mruknął:

- Luis jednak wychodzi, tak?

- Tak! - wykrzyknął Garcilaso tak głośno, że ściany kabiny zadzwoniły

Broberg poklepała Danziga po opuszczonej bezwładnie dłoni.

-- Wszystko będzie dobrze, Mark - powiedziała łagodnie. - Przyniesiemy ci próbki do badań. A potem wcale się nie zdziwię, jeśli to ty będziesz miał najlepsze koncepcje, co do dalszego postępowania. - Potrząsnął głową. Nagle ogarnęło go zmęczenie.

- Nie - odparł beznamiętnym głosem - to się nie zdarzy. Widzisz, jestem tylko tępym chemikiem zatrudnionym w przemyśle, któremu wydawało się, że ta wyprawa da szansę ciekawych badań. Przez całą drogę zajmowałem sobie czas zwykłymi sprawami, a w tym, jak pamiętasz, dwoma wynalazkami, których nigdy przedtem nie miałem czasu dokończyć. Wy troje jesteście młodszy, bardziej romantyczni...

- E tam, przestań, Mark - Scobie próbował się roześmiać. - Może Jean i Luis trochę są tacy, ale ja jestem tak baśniowy jak talerz zupy.

- Grałeś w to rok po roku, aż w końcu gra tobą zawładnęła. I teraz też tobą rządzi, choćbyś nie wiem jak starał się uzasadnić swoje postępowanie. - Spojrzenie Danziga utkwione w geologu, który był jego przyjacielem, straciło swe poprzednie wyzwanie i stało się smutne. - Przypomnij sobie Delię Ames.

Scobie najeżył się.

- O co chodzi? Sprawa dotyczyła tylko jej i mnie i nikogo więcej.

- Tylko, że później wyplakała się na ramieniu Rachel, a Rachel nie ma przede mną tajemnic. Nie bój się, nikomu nie powiem. W każdym razie Delia jakoś to przeżyła. Ale gdybyś popatrzył na to wszystko obiektywnie, wiedziałbyś, co ci się przydarzyło już trzy lata temu.

Scobie zacisnął zęby. Danzig uśmiechnął się kąciakiem ust.

- Nie, widzę, że to niemożliwe - mówił dalej. - Przyznaję, że ja też nie miałem do dzisiaj pojęcia, jak daleko posunął się ten proces. Przynajmniej póki będziecie na zewnątrz, trzymajcie swoje fantazje w ukryciu, dobrze? Ale czy potraficie?

W ciągu pięciu lat podróży kwatery Scobiego stała się w szczególny sposób

jego własnością - może nawet więcej niż u innych, ponieważ on sam pozostał kawalerem, a rzadko, która kobieta mieszkała u niego dłużej niż kilka okresów nocnych naraz. Większość umeblowania wykonał sam; agrosekcje *Chronosa* dostarczały drewna, skóry, włókna równie regularnie jak pożywienia i świeżego powietrza. Wykonane przezeń sprzęty były masywne i miały archaiczne rzeźbione zdobienia. Czytał głównie za pomocą ekranu tylko to, co przekazywały banki danych, ale na jednej z półek stało kilka starych książek: ballady z pogranicza Childe'a, osiemnastowieczna Biblia rodzinna, (mimo że Scobie był agnostykiem), egzemplarz *Mechanizmów wolności*, cały w strzępach, ale z zachowaną dedykacją autora, a także inne cenne drobiazgi. Nad nimi stał model żaglowca, w którym Scobie pływał po wodach północnej Europy, oraz nagroda zdobyta w meczu piłki ręcznej na pokładzie *Chronosa*. Na grodziach wisiał jego sprzęt do szermierki i liczne zdjęcia - rodziców i rodzeństwa, dzikich terenów, które przemierzał na Ziemi, zamków, gór i wrzosowisk w Szkocji, gdzie też często bywał, kolegów z ekipy geologicznej na Lunie, Tomasza Jeffersona oraz wyimaginowany portret Roberta I, króla Szkocji.

Jednak podczas pewnego okresu dziennego siedział przed teleekranem, przy przyćmionych światłach, aby lepiej delektować się obrazem. Trwały właśnie wspólne ćwiczenia jednostek pomocniczych i kilka osób z załogi skorzystało z tej okazji, by transmitować wszystko, co widzą.

A widok był wspaniały. Rozgwieżdżony Kosmos tworzył czarę, na dnie, której spoczywał *Chronos*. Dwa olbrzymie, majestatycznie obracające się w przeciwnych kierunkach cylindry, cały kompleks połączeń, iluminatorów, śluz, osłon, kolektorów, nadajników, doków - wszystko wydawało się z odległości kilkuset kilometrów jakąś po japońsku misterną zabawką. Większą część ekranu wypełniał żagiel solarny, niczym obracający się złocisty krąg słoneczny; a jednak z dala można było dostrzec również jego pajęczynową misterność, rozległe i subtelne krzywizny, nawet cienkość babiego lata. Twór większy niż piramidy egipskie, precyzyjniejszy niż wymodelowany chromosom - *Chronos* podążał ku Saturnowi, który stał się już drugim po Słońcu najjaśniejszym punktem na firmamencie.

Gong u drzwi wyrwał Scobiego z oczarowania. Podniósł się i ruszył ku drzwiom, po drodze silnie uderzając się palcem u nogi o podstawę stołu. Zawiniła tu siła Coriolisa; niewielka, w przypadku, gdy kadłubowi statku o tych rozmiarach nadawano ruch obrotowy, by osiągnąć efekt 1 G, więc już dawno się do niej przyzwyczaił. Czasem jednak tak go coś zajmowało, że powracały ziemskie nawyki.

Złajął się w myślach za swe roztargnienie, bez złości, bo oczekiwał miłych chwil.

Kiedy otworzył drzwi, Delia Ames weszła, nie czekając. Natychmiast zamknęła drzwi za sobą i stanęła opierając się o nie. Była to wysoka blondynka, która pracowała w dziale konserwacji urządzeń elektronicznych, a poza tym miała wiele zajęć dodatkowych.

- Hej! - zawołał Scobie. - Co się stało? Wyglądasz jak... - spróbował być dowcipny - jak coś, czego mój kot nie wzięłby w łapy, gdyby na pokładzie były jakieś myszy czy wyrzucone na brzeg ryby.

Zaczerpnęła oddechu. Jej australijski akcent pogłębił się tak bardzo, że miał kłopoty ze zrozumieniem. - Ja... dzisiaj... przypadkiem usiadłam w kawiarni przy jednym stoliku z George'em Hardingiem...

Scobie poczuł się nieswojo. Harding pracował razem z Delią, ale o wiele więcej wspólnego miał z nim. W grupie, do której obaj należeli, Harding tak samo jak on grał jedną z mniej lub bardziej wiodących ról - N'kumy, Pogromcy Lwów.

- Co się stało? - spytał Scobie.

W jej oczach ujrzał nieszczęście.

- On powiedział... że ty i on, i cała reszta... że weźmiecie razem najbliższy urlop... aby bez przeszkód ciągnąć ten... ten wasz cholerny wyglup.

- No... tak. Prace nad nowym parkiem w Prawym Kadłubie zostaną zawieszane do czasu, gdy odzyskamy dość metalu na rury do wody. Nie będzie tam nikogo, więc moi załatwili sobie możliwość spędzenia tam około tygodnia.

- Ale przecież wybieraliśmy się nad jezioro Armstrong!

- No, zaraz, był to tylko luźny projekt, żaden konkretny plan, a to taka niezwykła okazja... Może później, kochanie. Przepraszam. - Ujął jej dłonie. Były zimne. Zdobył się na uśmiech. - No, dobrze już, przecież mieliśmy sobie zrobić uroczystą kolację, a potem spędzić, powiedzmy, spokojny wieczór w domu. Ale na początek ten przewspaniały widok na ekranie...

Wyrwała mu się. Zdawało się, że ten gest ją uspokoił.

- Nie, dziękuję - odparła martwym głosem. - Nie ma mowy, skoro wolisz być z tą Broberg. Wpadłam tylko, by ci osobiście powiedzieć, że usuwam się wam z drogi.

- Co takiego? - Zrobił krok w tył. - O czym ty mówisz, do jasnej cholery?

- Dobrze wiesz, o czym.

- Nie wiem! Ona, ja, ona ma męża, dwoje dzieci, jest starsza ode mnie, jesteśmy zaprzyjaźnieni, jasne, ale nigdy między nami nie było nic, czego nie można robić otwarcie i bez skrepowania... - Przelknął ślinę. - Chyba nie myślisz, że się w

niej zakochałem?

Delia Ames odwróciła wzrok. Nerwowo splatała palce.

- Nie mam zamiaru być tylko twoją zabawką, Colin. Tego masz aż za dużo. Ja myślałam... ale myliłam się i chcę się wycofać, póki nie straciłam zbyt wiele.

- Ale... Dee, przysięgam ci, że to nie z powodu kogoś innego i przysięgam, przysięgam ci, że nie jesteś dla mnie tylko partnerką do łóżka, że wiele dla mnie znaczysz... - Stała milcząca, nieobecna, Scobie przygryzł wargi, nim mógł wydusić z siebie: - No dobrze, przyznaję, głównym powodem, dla którego zgłosiłem się na tę wyprawę, był nieszczęśliwy romans na Ziemi. Nie to, żeby ta praca tutaj mnie nie interesowała, ale zdałem sobie sprawę, ile życia mnie tamto kosztowało. Ty, bardziej niż jakakolwiek inna kobieta, Dee, sprawiłaś, że jest mi teraz o wiele lepiej.

Skrzywiła się.

- Ale jeszcze bardziej sprawiła to twoja psychodrama, co?

- No, nie możesz myśleć, że gra stała się moją obsesją. To nieprawda. To fajna zabawa i... no, może „zabawa” to zbyt słabe określenie... ale w każdym razie chodzi o to, że zbiera się parę osób dość regularnie i w coś grają. To tak. A jak moja szermierka, klub szachowy czy cokolwiek.

Rozprostowała ramiona.

- W takim razie - odezwała się - czy odwołasz tamtą grę i pojedziesz ze mną na urlop?

- Ja... ja nie mogę tego zrobić. Nie na tym etapie. Kendrick nie znajduje się na uboczu głównego toku wydarzeń, ale jest ściśle związany z innymi. Jeśli nie przyjdę, pozostałym popsuje to grę.

Jej wzrok spoczywał na nim nieruchomo.

- Dobrze. Słowo to słowo, to zawsze zrozumiem. Ale później... Nie bój się, nie chcę cię zapędzić w pułapkę. To by się na nic nie zdało, prawda? Jeśli, jednak mimo wszystko zdecyduję się utrzymać ten nasz związek, czy wycofasz się stopniowo z twojej gry?

- Nie mogę... - Wezbrał w nim gniew. - Nie, do diabła! - ryknął.

- A więc żegnaj, Colin - powiedziała i wyszła.

Jeszcze przez wiele minut patrzył na drzwi, które za sobą zamknęła.

W przeciwieństwie do wielkich statków badających Tytana i okolice Saturna pojazdy lądujące na powierzchni pozbawionych atmosfery księżyców były po prostu zmodyfikowanymi wahadłowcami, łączącymi Lunę z Kosmosem -

niezawodnymi, ale o ograniczonych możliwościach. Kiedy kanciasty kształt ładownika zniknął za horyzontem, Garcilaso odezwał się do mikrofonu.

- Straciliśmy statek z oczu, Mark. Trzeba powiedzieć, że widok zyskał na tym.
- Jego słowa przekazał jeden z mikrosatelitów komunikacyjnych rozsianych po orbicie.

- Lepiej, więc zaczynicie znaczyć drogę - upomniał go Danzig.

- Pedant z ciebie, co? - Tym niemniej Garcilaso wyjął z kabury na biodrze rozpylacz i prysnął zeń na ziemię, tworząc krąg żywo fluorescencyjnej farby.

Będzie powtarzał tę operację w odstępach równych zasięgowi wzroku, dopóki grupa zwiadowcza nie dotrze do lodowca. Jeśli nie liczyć tych miejsc, w których regolit pokrywała gruba warstwa pyłu, ślady stóp były niewyraźne, a całkowicie ginęły tam, gdzie piechur stapał po litej skale.

Piechur? Nie, skoczek. Cała trójka poruszała się naprzód w radosnych podskokach, ledwie czując ciężar skafandrów, systemów regulacji biologicznej, toreb z narzędziami i żywnością. Nagi grunt uciekał spod stóp, a coraz wyżej, coraz wyraźniej i wspanialej wylaniał się przed nimi lód.

Nie było mowy o tym, by go opisać. Można by opowiadać o stokach w dole i palisadach w górze, o wysokości średnio może stu metrów, przetykanych jeszcze wyższymi iglicami. Można by mówić o wdzięcznie zaokrąglonych warstwach idących wzdłuż tych stoków; o koronkowych parapetach i żłobkowanych turniach, i łukowatych wejściach do pieczar pełnych dziwów; o tajemniczych błękitach w głębinach i zieleniach tam, gdzie światło przenikało przez przejrzystość, o kaskadach brylantowych iskier przecinających biel, gdzie światło i cień splatały się w mandale - i żaden z tych opisów nie byłby bliższy prawdy niż wcześniejsze, całkowicie błędne porównanie Scobiego do Wielkiego Kanionu.

- Zatrzymajcie się - powiedział chyba już po raz dziesiąty. - Chcę zrobić parę zdjęć.

- Czy ktoś to zrozumie nie będąc tutaj? - szepnęła Broberg.

- Prawdopodobnie nie - odparł Garcilaso tym samym ścisłym głosem. - Może nikt w ogóle poza nami.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - rozległo się pytanie Danziga.

- Nieważne - rzucił Scobie.

- Chyba... wiem - powiedział chemik. - Owszem, to piękny widok, ale dajecie się mu zahipnotyzować.

- Jeśli nie przestaniesz gadać - ostrzegł go Scobie - wyłączymy cię z obwodu.

Cholera, mamy pełne ręce roboty. Odwal się od nas.

Danzig westchnął urywanie.

- Przepraszam. Hm... czy macie już jakieś dane na temat natury tego... tego tam, przed wami?

Scobie wyostrzył obraz w kamerze.

- No, więc - zaczął, częściowo udobruchany - różne odcienie i struktury, a bez wątplenia i różne kształty, zdają się potwierdzać to, co zasugerowały dane spektrometryczne sondy. Skład jest mieszaniną albo gmatwaniną, czy też jednym i drugim, różnych materiałów i zmienia się w zależności od miejsca. Lód wodny jest z pewnością, ale nie mam też wątpliwości, co do obecności dwutlenku węgla, a zaryzykowałbym też zakład, że znajdę tu amoniak, metan i może mniejsze ilości innych substancji.

- Metan? Czy coś takiego może istnieć w stanie stałym, w temperaturze otoczenia i próżni?

- Będziemy musieli to sprawdzić. Jednakże sędzę, że przez większość czasu jest tu dostatecznie zimno, przynajmniej dla warstwy metanowej, która znajduje się w środku, pod ciśnieniem.

Otoczona witrylową kulą hełmu twarz Broberg zajaśniała radością.

- Chwileczkę! - wykrzyknęła. - Mam pomysł na to... co się stało z sondą, która wylądowała. - Zaczepnęła oddechu. - Pamiętajcie, że było to prawie u podnóża lodowca. To, co widzieliśmy z Kosmosu, zdawało się wskazywać, że pogrzebała ją lawina, ale nie potrafiliśmy pojąć, co mogło ją wywołać. No, więc przypuścmy, że dokładnie w krytycznym punkcie stopiła się warstwa metanu. Może ogrzały ją silniki ładownika, a te brakujące parę stopni dodał promień radarowy, używany do rysowania konturów. Warstwa popłynęła i wszystko, co spoczywało na niej, runęło w dół.

- To możliwe - rzekł Scobie. - Moje gratulacje, Jean.

- Nikt o tym wcześniej nie pomyślał? - zadrwił Garcilaso. - Ależ my mamy naukowców!

- Którzy uginają się pod robotą, od kiedy dotarliśmy do Saturna, a jeszcze dochodzą coraz to nowe dane - odrzekł Scobie. - Wszechświat jest większy, niż możesz to pojąć, ty lub ktokolwiek inny, ty narwańcze.

- Och. No pewnie. Nie chciałem nikogo obrazić. - Wzrok Garcilasa powrócił na lód. - Tak, nie zabraknie nam tajemnic, prawda?

- Nigdy... - Oczy Broberg, ogromne, świeciły w ciemnościach. - W sercu

wszechrzeczy panować będą czary. Król Elfów rządzi...

Scobie odłożył kamerę do futerału.

- Przestań gadać i rusz się - rzucił szorstko.

Jego wzrok napotkał na chwilę oczy Broberg. W niesamowitym, zmieszanym świetle widać było, że jej twarz pobladła, potem poczerwieniała, zanim kobieta jednym skokiem znalazła się obok niego.

W noc sobótkową Ricia udała się samotnie do Księżycowego Lasu. Król znalazł ją tam i posiadł, jak to zaplanowała. Jednak rozkosz przemieniła się w trwogę, gdy potem ją oddalił. A mimo to okres niewoli w Lodowym Mieście przyniósł jej o wiele więcej takich godzin oraz cudów i dziwów, jakie nie są znane śmiertelnym. Alvarlan, jej nauczyciel, wysłał swą duszę na jej poszukiwanie i sam został oczarowany tym, co zobaczył. Wiele wysiłku woli kosztowało go powiadomienie pana Kendricka z Wysp, gdzie przebywa Ricia, mimo że zobowiązał się do pomocy w jej uwolnieniu.

N'Kuma, Pogromca Lwów, a także B'ela z Kresów, Karina z Dalekiego Zachodu, pani Aurelia, Olaf Harfista - wszyscy byli daleko, gdy to się wydarzyło.

Lodowiec (niewłaściwa nazwa dla czegoś, co może nie ma odpowiednika w całym Układzie Słonecznym) wystrzelał w górę od razu niczym ściana. Stojąc przed nim, troje uczonych nie mogło dojrzeć jego wyższych partii. Dostrzegali jednak, że stok, który zakręcał stromo pod górę ku filigranowo zwieńczonej krawędzi, nie był gładki. W niezliczonych maleńkich kraterach kładły się niebieskie cienie. Słońce uniosło się już dostatecznie wysoko, by je wywołać; dzień na łapetusie ma prawie osiemdziesiąt dni ziemskich.

W słuchawkach zatrzeszczało im pytanie Danziga:

- I co, jesteście już zadowoleni? Wróćcie, zanim zaskoczy was kolejna lawina?

- Nie zaskoczy - odparł Scobie. - My to nie pojazd, a tutejsza struktura jest wyraźnie stabilna od wielu wieków albo jeszcze dłużej. Poza tym, jaki jest sens wyprawy ludzkiej, jeśli nikt nie będzie niczego badać?

- Zobaczę, czy uda mi się tam wejść - zaofiarował się Garcilaso.

- Nie, zaczekaj - nakazał mu Scobie. - Ja mam pewne doświadczenie z górami i nawisami śnieżnymi, o ile w ogóle może się tu ono przydać. Najpierw opracujemy drogę podejścia.

- Chcecie na to wleźć całą bandą? - wybuchnął Danzig. - Czyście zupełnie powariowali?

Brwi i wargi Scobiego ściągnęły się.

- Ponownie cię ostrzegam, Mark, że jeśli nie będziesz kontrolował swych emocji, wyłączymy cię. Pójdziemy drogą, którą ja uznaję za bezpieczną.

Chodził tu i tam, podskokami charakterystycznymi dla małej grawitacji, oglądając uważnie lodowiec. Widać było wyraźnie warstwy i bloki poszczególnych substancji, niczym kamienie ciosowe ułożone ręką murarza-elfa... tam, gdzie nie były tak wielkie, żeby musiał je kłaść olbrzym... Małeńkie kratery mogły być posterunkami wartowników w najniższej linii obrony Miasta.

Garcilaso, tak zawsze pełen wigoru, stał teraz nieruchomo i pozwolił swym oczom napawać się widokiem. Broberg uklękła, by zbadać grunt, ale jej oczy też błędziły dookoła.

W końcu skinęła dłonią.

- Podejdz tu, Colin, proszę - powiedziała. - Chyba dokonałam odkrycia.

Scobie zbliżył się do niej. Unosząc się zebrała garść drobniutkich czarnych cząstek leżących na gruncie, na którym stała, i przepuściła je między palcami.

- Myślę, że oto jest powód, dla którego granica lodowa jest tak ostra - powiedziała do niego.

- Co za powód? - zapytał Danzig z oddali.

Nie doczekał się odpowiedzi.

- Gdy tu szliśmy, zauważyłam, że pyłu jest coraz więcej - mówiła dalej. - Jeśli padał na połacie i bryły zamrożonych gazów, odizolowane od głównej masy, i pokrył je, powinny one absorbować ciepło słoneczne, dopóki nie wyparują albo też, co bardziej prawdopodobne, wysublimują. Przy tej niskiej grawitacji nawet cząsteczki wody ulecą w Kosmos. Główna masa była na to zbyt wielka: prawo kwadratu-sześciannu. Ziarna pyłu w takim miejscu po prostu wytopiłyby sobie niewielki kanał w głąb, a następnie zostałyby przykryte zapadającym się okolicznym materiałem i proces uległby zatrzymaniu.

- Hm - Scobie uniósł dłoń, by podrapać się w podbródek, ale natrafił na hełm i wykrzywił się w uśmiechu. - To brani prawdopodobnie. Ale skąd się wzięło tyle pyłu... a zresztą i lodu?

- Myślę... - głos jej ścichł tak, że ledwie ją słyszał, a wzrok powędrował ku niemu - Scobie, nadal patrzył na nią, na jej profil widoczny na tle gwiazd. - Myślę, że to potwierdza twoją hipotezę o komecie, Colin. Lapetus doznał kolizji z kometą.

Nadleciała z tego właśnie kierunku, ponieważ tak bardzo zbliżyła się do Saturna, że musiała zatoczyć ostry łuk wokół planety. Była ogromna; jej łód pokrył prawie całą półkulę pomimo tego, że znacznie większa jego część wyparowała i została utracona. Pył częściowo pochodzi z komety, a częściowo powstał podczas uderzenia.

Schwycił ją za ramię okryte skafandrem.

- To twoja teoria, Jean. Ja nawet nie byłem pierwszy, który poddał myśl o komecie, ale to ty uzupełniłaś ją szczegółami.

Zdawało się, że nie dostrzegła tego, poza tym, że mruczała dalej:

- Pył może też tłumaczyć wystąpienie erozji, która stworzyła te cudowne formacje. Wywołał on topnienie i sublimację na powierzchni, według wzoru, w jaki się ułożył, a także zgodnie z budową lodu, dopóki nie został wypłukany czy otorbielony. Kratery, te mniejsze oraz większe, które oglądaliśmy z orbity, mają odrębne, choć podobne pochodzenie. Meteoryty...

- Hej, chwileczkę - zaprotestował. - Każdy większy meteoryt wyzwoliłby dość energii, by wyparowało prawie całe pole.

- Wiem o tym. Dowodzi to, że zderzenie z kometą było niedawne, mniej niż tysiąc lat temu, inaczej nie oglądalibyśmy dziś tego cudu. Nic większego jeszcze tu nie uderzyło. Miałam na myśli maleńkie kamyki, piach kosmiczny na postępujących orbitach wokół Saturna, które uderzały z niewielką prędkością względną. Większość kamieni po prostu robi dołki w lodzie. Ponieważ jednak są ciemne, leżąc zbierają ciepło słoneczne i oddają je topiąc swe otoczenie, dopóki nie zatoną pod lodem. Pozostawione przez nie zagłębienia odbijają przypadkowe promieniowanie z jednego boku na drugi i w ten sposób rosną. Efekt kotła erozyjnego. I znowu, ponieważ różne rodzaje lodu mają różne właściwości, nie otrzymujemy doskonale gładkich kraterów, ale te fantastyczne czary, które widzieliśmy przed lądowaniem.

- Na Boga! - Scobie uściskał ją. - Jesteś genialna!

Oparłszy swój hełm o jego uśmiechnęła się.

- Nie - odparła. - To oczywiste dla wszystkich, którzy widzą to na własne oczy. - Milczała przez chwilę, nadal w objęciach Scobiego. - Przyznaję, naukowa intuicja to śmieszna rzecz - powiedziała w końcu. - Rozważając ten problem ledwie zdawałam sobie sprawę z istnienia mego umysłu logicznego. Myślałam zaś o... o Lodowym Mieście wykutym w gwiazdnych kamieniach z tego, co jakiś bóg zesłał z nieba...

- Jezus Maria! - Garcilaso obrócił się gwałtownie i wytrzeszczył na nich oczy. Scobie wypuścił Jean z objęć.

- Pójdziemy poszukać dowodów - powiedział niepewnym głosem. - Do tego wielkiego krateru, który widzieliśmy nieco w głębi, jak pamiętacie. Wydaje się, że po tej powierzchni można stapać całkiem bezpiecznie.

- Nazwałam ten krater Salą Balową Króla Elfów - zamyśliła się Jean, jak gdyby jakiś sen do niej wracał.

- Uważajcie - zadudnił śmiech Garcilasa. - Tam są wielkie czary. Król jest tylko spadkobiercą. Te mury zbudowali olbrzymi dla bogów.

- Chyba muszę się jakoś tam dostać, nie? - odparł Scobie.

- Zaiste - *powiada Aharlan*. - Nie mogę cię dalej prowadzić. Mój duch może spoglądać jeno przez oczy śmiertelnych. Służyć ci będę jedynie swą radą, dopóki nie zbliżymy się do bramy.

- Czyście już zapadli w sen lunatyczny z powodu tej waszej bajki? - rozległ się ryk Danziga. - Wracajcie, zanim spowodujecie własną śmierć!

- Nie możesz się zamknąć? - warknął Scobie. - To tylko taki styl rozmów między nami. Jeśli nie możesz tego zrozumieć, to twój mózg bardziej się marnuje niż nasz.

- Posłuchajcie mnie, dobrze? Nie mówiłem, że jesteście szaleni. Nie macie zwidów ani niczego podobnego. Twierdzą jednak, że daliście się ponieść wytworom waszej fantazji, co do tego miejsca, a obecnie rzeczywistość tak je wzmocniła, że znaleźliście się pod wpływem imperatywu, którego sobie nie uświadamiacie. Czy gdziekolwiek indziej we Wszechświecie pobieglibyście przed siebie tak bez zastanowienia? Pomyślcie!

- To wystarczy. Wznowimy łączność po pewnym czasie... kiedy nabierzesz lepszych manier. - Scobie pstryknął swoim głównym przełącznikiem radiowym. Włączone pozostały tylko te obwody, które służyły łączności bliskiego zasięgu, ale nie miały dość mocy, by dotrzeć do łącza orbitalnego. Jego towarzysze uczynili podobnie.

Cała trójka spoglądała na wznoszącą się przed nimi groźną potęgę.

- Kiedy znajdziemy się we wnętrzu, Alvarlanie, pomożesz mi odnaleźć księżniczkę - *mówi Kendrick*.

- Uczynię to - *obietuje czarnoksiężnik*.

- Czekam na ciebie, o najwytrwalszy z moich kochanków - nuci Ricia.

W ładowniku zaś samotny Danzig nieomal załkał:

**- Ach, żeby diabli porwali na zawsze tę grę!
Jego słowa padły w pustkę.**

Potępienie psychodramy, nawet w jej wzbogaconej formie, byłoby potępieniem natury człowieka.

Zaczyna się ona w dzieciństwie. Zabawa jest konieczna dla niedojrzałego ssaka jako sposób uczenia się, jak obchodzić się z własnym ciałem, postrzeganiem i światem zewnętrznym. Młody osobnik ludzki bawi się, musi się bawić również swym umysłem. Im dziecko jest bardziej inteligentne, tym więcej ćwiczeń potrzebuje jego wyobraźnia. Aktywność jest stopniowana, od pasywnego oglądania widowiska na ekranie poprzez czytanie, marzenia, opowiadanie historii i psychodramę... której dziecko nie nazywa w ten wymyślny sposób.

Nie potrafimy nazwać tego zachowania w jakiś uniwersalny sposób, bowiem jego kształt i przebieg zależy od nieskończonej liczby zmiennych. Płeć, wiek, kultura oraz otoczenie to tylko najbardziej oczywiste z nich. Na przykład w Ameryce Północnej wieku przedelektronicznego, małe dziewczynki często bawiły się w „dom”, chłopcy zaś w „kowbojów i Indian”, czy też „złodziei i policjantów”. Natomiast obecnie ich potomkowie obojga pici bawią się w „delfiny” lub też w „astronautów i kosmitów”. W skrócie wygląda to tak: tworzy się niewielka grupka, każdy z jej członków wybiera z literatury postać, którą ma zagrać lub tworzy ją sam; można wykorzystywać do tego proste rekwizyty, na przykład zabawkowe pistolety - albo też każdy przypadkowy przedmiot, jak patyk, może stać się czymś zupełnie innym, choćby wykrywaczem metalu - czy też coś innego może być całkowicie tworem wyobraźni, co prawie zawsze dotyczy scenerii. I wtedy dzieci odgrywają przedstawienie, które układają w czasie trwania zabawy. Jeśli fizycznie nie są w stanie wykonać jakiejś czynności, opisują ją („No, więc skaczę tak wysoko, jak można na Marsie, i wskakuję na krawędź Yalles Marineris i skaczę zniecka na tego bandziora”). Wiele osób tego przedstawienia, szczególnie czarnych charakterów, istnieje tylko w wyobraźni, dzięki umowie uczestników.

Ten z uczestników zabawy, który jest obdarzony najbujniejszą wyobraźnią, zaczyna dominować w grze i wpływa na kierunek akcji, dość delikatnie, proponując najciekawsze możliwości. Reszta uczestników bystrością też wykracza poza przeciętność; psychodrama w swej najbogatszej postaci nie każdemu odpowiada.

Dla tych jednak, którym odpowiada, jej skutki są korzystne i pozostają na

całe życie. Poza rozwojem zdolności twórczych poprzez ich nieustanne używanie psychodrama pozwala im również spróbować, poprzez zabawę, różnych ról ludzi dorosłych oraz przeżyć ich doświadczenia. W ten sposób zdobywają oni swoje pierwsze pojęcie o dorosłości.

Taka gra kończy się wraz z wkroczeniem w okres młodzieńczy, o ile nie wcześniej, ale tylko w takiej postaci, a i to niekoniecznie na zawsze. Dorośli mają wiele zabaw-marzeń. Widać to jasno w przypadku różnych łóż, z ich tytułami, kostiumami i obrzędami. Ale czy w podobny sposób nie powstaje wszelka widowiskowość, każdy rytuał? Do jakiego stopnia nasze bohaterstwo, poświęcenie i samochwalstwo są jedynie efektem odgrywania ról, które sobie narzuciliśmy? Niektórzy myśliciele spróbowali odnaleźć ten pierwiastek we wszystkich aspektach społeczeństwa.

Tu jednak mamy do czynienia z otwartą postacią psychodramy wśród dorosłych. W cywilizacji zachodniej pojawiła się ona na zauważalną skalę po, raz pierwszy w połowie dwudziestego wieku. Psychiatrizy stwierdzili, że jest to skuteczna metoda diagnostyczna i terapeutyczna. Wśród zwykłych ludzi zaś coraz popularniejsze stawały się gry wojenne i fantastyczne, w czasie, których często następowało identyfikowanie się z postaciami historycznymi czy wymyślonymi. Częściowo była to niewątpliwie ucieczka od ograniczeń i zagrożeń tamtego nieszczęsnego okresu, ale możliwe też, że głównie to bunt umysłu przeciwko rozrywce pasywnej, przeważnie telewizji, która zaczynała dominować jako sposób spędzania wolnego czasu.

Okres Chaosu oznaczał koniec tych gier. A wszyscy wiedzą o tym, że ostatnio nastąpiło ich odrodzenie - i tylko można mieć nadzieję, że ze zdrowszych przyczyn. Wykorzystując banki danych do projekcji trójwymiarowych scenerii i emitowania odpowiednich dźwięków - albo lepiej jeszcze, zaprzegając do tego komputer - uczestnicy gry uzyskali poczucie realności, które zintensyfikowało ich zaangażowanie psychiczne i emocjonalne. A jednak w takich grach, które trwały odcinek po odcinku, rok po roku w realnym czasie, kiedy tylko dwoje lub więcej członków takiej grupy mogło się zebrać na grę, stwierdzali oni, że coraz mniej są uzależnieni od podobnych „efektów specjalnych”. Wydawało się, że poprzez praktykę odzyskali oni żywą wyobraźnię dzieciństwa i potrafili przemienić cokolwiek, nawet zwierną nicość w przedmioty i światy im potrzebne.

Uznałem za konieczne przypomnienie w ten sposób spraw oczywistych, abyśmy mogli ujrzeć je w perspektywie. Wieści z Saturna spowodowały

powszechną odrazę. (Dlaczego? Jakich to ukrytych obaw dotknięto? Oto temat do potencjalnie ważnych badań.) Nieomal w ciągu jednego dnia psychodrama dorosłych straciła swą popularność; grozi jej zagłada. Z wielu przyczyn byłaby to o wiele większa tragedia, niż to, co się do tej pory wydarzyło. Nie ma powodów, by przypuszczać, że owa gra przyniosła kiedykolwiek jakąś szkodę komukolwiek zrównoważonemu umysłowo na Ziemi: wręcz przeciwnie. Nie ma wątpliwości, że astronautom pomogła zachować zdrowe zmysły i uwagę podczas długich, trudnych wypraw. To, że nie stosuje się już jej do celów medycznych, wynika wyłącznie z tego, że psychoterapia stała się gałęzią biochemii stosowanej.

I ten ostatni fakt, ów brak doświadczenia świata współczesnego w sprawach szaleństwa, leży u źródeł tego, co się wydarzyło. Choć dwudziestowieczny psychiatra nie mógłby przewidzieć dokładnie tego, co się stanie, mógł ostrzec przed zamknięciem ludzi na osiem lat w tak obcym środowisku, jakim był Chronos. Było ono obce, bowiem mimo wszelkich wysiłków: ograniczone, całkowicie kontrolowane przez człowieka, pozbawione wszelkich wskazówek, których wykrywania na Ziemi nauczyła nas ewolucja. Do tej pory koloniści pozaziemscy mieli dostęp do licznych symulacji i kompensat, z których najważniejsze to pełny kontakt z rodzinną planetą i częste okazje do odwiedzania jej. Czas lotu do Jowisza jest długi, ale i tak dwukrotnie krótszy niż czas lotu do Saturna. Poza tym naukowcy lecący Zeusem, ponieważ byli pierwsi, mieli więcej czasu zajętego badaniami prowadzonymi po drodze, których późniejsi podróżnicy nie mieli potrzeby powtarzać; do tego czasu przestrzeń międzyplanetarna dzieląca obydwu giganty kryła w sobie już niewiele niespodzianek.

Współcześni psychologowie byli tego świadomi. Rozumieli, że długotrwały lot najbardziej ujemnie wpłynie na osobników najinteligentniejszych, najbardziej dynamicznych i pełnych wyobraźni - czyli tych, którzy mieli dokonać wszystkich odkryć w okolicach Saturna, dla których została przedsięwzięta owa wyprawa. Mając mniejsze doświadczenie niż ich poprzednicy w zgłębianiu tajemnic mózgowego labiryntu, nawiedzanego przez Minotaura leżącego pod każdą świadomością ludzką, psychologowie oczekiwali wyłącznie pozytywnych skutków od każdej psychodramy, jaką podejmowali członkowie wyprawy.

Minamoto

Przydziału do poszczególnych zespołów nie dokonywano przed odlotem.

Rozsądek nakazywał, by dać umiejętnościom zawodowym ujawnić się i rozwinąć podczas lotu wraz z kontaktami osobistymi. Te czynniki pomogą później zdecydować, kto i jakie powinien przejść przeszkolenie. Długie współuczestnictwo w grupie grających zazwyczaj wykuwało przyjaźni, pożądane, o ile kwalifikacje członków były odpowiednie.

W życiu rzeczywistym Scobie zawsze przestrzegał wszelkich zasad przyzwoitości wobec Jean Broberg. Była to kobieta atrakcyjna, ale o poglądach monogamicznych i Scobie nie chciał jej do siebie zrażać. Poza tym lubił jej męża (Tom nie brał udziału w grze; jako astronom miał dość zajęć, które radośnie zaprzętały całą jego uwagę). Grali już przez parę lat, a grupa przyjęła tyle osób, ile mogła pomieścić w opowieści, której środowisko i obsada stawały się coraz bardziej skomplikowane, zanim Scobie i Broberg nawiązali osobistą rozmowę.

Gdy rozmowa ta miała miejsce, odgrywana przez nich opowieść również nabrała charakteru intymnego i dlatego mógł to nie być przypadek, że się spotkali podczas czasu wolnego obojga. Nastąpiło to w pozbawionym grawitacji sektorze rekreacyjnym, znajdującym się na osi rotacji statku. Scobie i Broberg koziółkowali w nieważkości wykrzykując i śmiejąc się, aż ogarnęło ich przyjemne zmęczenie, po czym zdjęli skafandry i udali się pod natrysk. Przedtem nie widzieli siebie nawzajem nago; żadne z nich nie odezwało się, lecz Scobie nie ukrywał, że sprawia mu przyjemność to, co widzi, podczas gdy Broberg zaczerwieniła się i odwróciła wzrok tak taktownie, jak umiała. Później, po włożeniu ubrań, zdecydowali się na drinka przed powrotem do domu i odszukali bar.

Ponieważ zbliżała się pora nocna, byli w barze sami. Scobie nacisnął guzik zamawiając whisky, Broberg - *pinot chardonnay*. Gdy maszyna obsłużyła ich, zabrali drinki i poszli na galeryjkę. Usadowieni przy stole spoglądali na bezmiar Kosmosu. Lokal klubowy wbudowano w jeden ze wsporników na poziomie o ciężeniu odpowiadającym księżycowemu. Nad sobą mieli niebo, wśród którego, czuli się jak ptaki; jego zasięg nie zdawał się ani trochę bardziej ograniczony przez szeroko rozstawione pajęczynowe dźwigary niż z powodu paru przelotnych chmurek. Dalej na wprost nich przeciwległe pokłady tworzyły gmatwaninę kształtów i mas, które słabe o tej porze oświetlenie przemieniało w tajemnicę. Wśród tych cieni ludzkie oko odróżniało lasy, strumyki, stawy bielejące lub połyskujące w świetle gwiazd wpadającym przez szczeliny widokowe. Na prawo i na lewo kadłub rozciągał się poza zasięg wzroku tak mroczny, że wszelkie pozostałe świecące się lampy wyglądały jak zagubione.

Powietrze w klubie było chłodne, o zapachu jaśminu, przesycone ciszą. Pod nim i wewnątrz, podprogowo, tętniły miriady impulsów statku.

- Wspaniale - rzekła cicho Jean patrząc w przestrzeń. - Cóż za niespodzianka.

- Co takiego? - spytał Scobie.

- Bywałam tu dotąd tylko podczas pory dziennej. Nie spodziewałam się, że zwykła rotacja reflektorów da tak cudowny efekt.

- No, ja bym tak nie wybrzydzał na widok dzienny. Ogromne wrażenie.

- Tak, ale... ale wtedy widać wyraźnie, że wszystko zrobił człowiek, nie ma tu nic dzikiego, nieznanego, swobodnego. Słońce przyćmiewa gwiazdy i wygląda to tak, jakby poza tą skorupą, w której jesteśmy zamknięci, nie istniał żaden wszechświat. A dziś jest tak, jakbyśmy znaleźli się w Maranoa - *w królestwie, gdzie Ricia jest księżniczką, w królestwie dawnych rzeczy i dróg, dzikości, oczarowań.*

- Hm, owszem, sam czasem czuję się jak w klatce - przyznał Scobie. - Wydawało mi się na początku, że mam na całą podróż dosyć danych geologicznych do badań, ale mój program robi się wcale niezabawny.

- Ze mną też tak jest - Broberg wyprostowała się na siedzeniu, obróciła ku Scobiemu i lekko uśmiechnęła. Mrok łagodził jej rysy, przywracał im młodość. - Nie wynika z tego, że mamy prawo uważać się nad sobą. Jesteśmy tu, bezpieczni i w komforcie, dopóki nie dotrzemy do Saturna. Potem zaś nie powinno nam zabraknąć wrażeń czy materiałów, nad którymi będziemy pracować w drodze powrotnej.

- Jasne. - Scobie uniósł szklanę. - No to... *skaal*. Mam nadzieję, że dobrze to wymawiam.

- A skąd mam wiedzieć? Moje panięskie nazwisko brzmi: Almyer.

- Słusznie, „Broberg” to od Toma. Nie pomyślałem. Choć przyjmowanie nazwiska męża jest dziś raczej rzadko spotykane, nie?

Rozłożyła ręce.

- Mojej rodzinie powodziło się nieźle, ale byli... są to katolicy jerozolimscy. W pewnych sprawach obowiązują surowe zasady... archaiczne, można by powiedzieć.

- Uniosła szklanę z winem i pociągnęła łyżeczek. - Och, oczywiście odeszłam z kościoła, ale pod pewnymi względami kościół nigdy mnie nie opuści.

- Rozumiem. Nie chcę być wścibski, ale, hm, to tłumaczy pewne twoje cechy, które mnie zastanawiały.

Spojrzała na niego znad krawędzi szklanki.

- Na przykład, jakie?

- No, masz w sobie wiele życia, wigoru, radości, ale jesteś również... jak by to nazwać, wyjątkową domatorką. Mówiłaś mi, że do chwili małżeństwa z Tomem byłaś spokojną profesorką na Yukon University. - Scobie uśmiechnął się. - Ponieważ uprzejmie zaprosiliście mnie na waszą ostatnią rocznicę ślubu, a wiem, ile masz lat, wydedukowałem, że gdy wychodziłaś za mąż, miałaś trzydziestkę. - Nie wspomniał o prawdopodobnej możliwości, iż do tamtej pory zachowała dziewictwo. - Tym niemniej... a, nieważne. Nie chcę wścibiać nosa w nie swoje sprawy.

- Ależ bardzo proszę, Colin - zachęciła go. - Od kiedy zapoznałeś mnie z poezją Burnsa, pamiętam linijkę z jednego wiersza: „Widzieć siebie tak, jak inni widzą nas!” Ponieważ wygląda na to, że trafimy na ten sam księżyc...

Scobie ostro pociągnął swoją whisky.

- A, nic takiego - odrzekł, bezwiednie zażenowany. - Jeśli chcesz wiedzieć, no to wydaje mi się, że wyszłaś za mąż za Toma nie tylko, dlatego, że się zakochałaś. On już był przyjęty w skład tej wyprawy i uwzględniając twoje kwalifikacje, małżeństwo z nim dawało i tobie możliwość lotu. Krótko mówiąc, znużyła cię ta codzienna przyzwoitość i znalazłaś oto sposób, żeby zmienić drogę życiową. Mam rację?

- Tak. - Jej wzrok spoczywał na nim przez chwilę. - Jesteś bardziej spostrzegawczy, niż myślałam.

- Wcale nie. Taki tam sobie prostaczek. Ale Ricia sprawiła, że jasno zobaczyłem, iż jesteś czymś więcej niż poważną żoną, matką, uczoną... - Rozchyliła wargi. Scobie uniósł dłoń. - Nie, proszę, daj mi skończyć. Wiem, że to niegrzecznie twierdzić, że czyjaś rola jest odbiciem jego marzeń, i nie robię tego. Oczywiście, że nie masz zamiaru być awanturnicą uwielbiającą wolne życie i wolną miłość, podobnie jak ja nie wybrałbym życia spędzanego na koniu, pełnego walk z najprzeróżniejszymi wrogami. A jednak, gdybyś urodziła się i wychowała w świecie z naszej gry, pewien jestem, że bardzo przypominałabyś Ricie. I ten potencjał jest częścią ciebie, Jean. - Wypił do dna. - Jeśli powiedziałem zbyt wiele, wybacz mi. Napijesz się jeszcze?

- Lepiej nie, ale nie krępuj się mną.

- Nie będę. - Wstał i wyszedł z galerii.

Kiedy wracał, spostrzegł, że przygląda mu się przez witrażowe drzwi. Uśmiechnęła się do niego, gdy siadał, nachyliła nad stołem i rzekła cicho:

- Cieszę się, że to powiedziałeś. Mogę teraz wyznać, do jakiego stopnia

Kendrick ujawnia twoje skomplikowane wnętrze.

- Co takiego? - zapytał Scobie, szczerze zdziwiony. - Niemożliwe! To włóczęga mający tylko tarczę i miecz, facet, który lubi podróżować podobnie jak ja. Gdy byłem chłopakiem, też się lubiłem bić tak jak on.

- Może brakuje mu oglądy, ale to szlachetny rycerz, współczujący władca, znawca sag i tradycji, koneser poezji i muzyki, trochę bard... Ricia tęskni za nim. Kiedy wróci ze swej ostatniej wyprawy?

- Właśnie wracam. Wraz z N'Kumą umknęliśmy piratom i dwa dni temu wylądowaliśmy w Havernes. Po ukryciu łupów N'Kuma chciał udać się do Beli i Kariny, i przyłączyć się do nich, cokolwiek mieliby w planach, toteż pożegnaliśmy się na jakiś czas. - Scobie i Harding niedawno poświęcili razem kilka godzin na zakończenie tej ich wspólnej przygody. Reszta grupy miała w tym czasie bardziej przyziemne zajęcia.

Oczy Broberg rozszerzyły się.

- Z Havernes na Wyspy? Ależ ja jestem w zamku Devaranda, dokładnie w połowie drogi.

- Miałem nadzieję, że tak będzie.

- Nie mogę doczekać się twojej opowieści.

- Wyruszam po zapadnięciu zmroku. Księżyc świeci jasno, a ja mam ze sobą parę luzaków, które kupiłem za kilka sztuk złota z łupów. - *Kurz unosi się białymi kłębami spod tętniących kopyt. Gdziekolwiek podkova uderzy w odłamek krzemienia, strzelają iskry gorejące. Kendrick marszczy czoło.* - Nie jesteś z... jakże się on zwie? Rudy Joran? Nie jestem mu rad.

- Odesłałam go przed miesiącem. Nabral przekonania, że to, iż dzieli ze mną łożę, daje mu nade mną władzę. Joran był dla mnie tylko igraszką. I stoję oto samotnie na wieży Gerfalcon, spoglądając w kierunku południa, na pola zalane światłem księżyca, i myślę, jakże ci się wiedzie. Droga płynie ku mnie niczym szara rzeka. Ale czyż nie dostrzegam w oddali jeźdźca zbliżającego się galopem?

Po wielu miesiącach gry niepotrzebne były żadne obrazy na ekranie. *Na tle gwiazd falują proporce rozwinięte nocnym wiatrem.*

- Nadjeżdżam. Dmę w róg, by zbudzić strażników u bramy.

- O, jak dobrze pamiętam te wesole tony...

Tej samej nocy Kendrick i Ricia zostali kochankami. Doświadczeni w grze i przestrzegający jej etykiety Scobie i Broberg nie wspominali o szczegółach tego, co między nimi zaszło; nie dotykali się, zachowując jedynie przelotny kontakt

wzrokowy. Ostateczne pożegnanie nastąpiło z zachowaniem wszelkich zasad przyzwoitości; w końcu była to tylko wymyślona opowieść o dwóch nie istniejących postaciach w świecie, którego nigdy nie było.

Dolne partie zbocza lodowca wznosiły się w formie tarasów o głęboko wklęsniętej powierzchni; obchodzili je wzdłuż krawędzi i podziwiali znajdujące się w dole niezwykle formacje. Nazwy same cisnęły się na usta: Mroźny Ogród, Most Duchów, Tron Królowej Śniegu, *a w tym czasie Kendrick wchodzi do Miasta, Ricia oczekuje go w Sali Balowej, duch Alvarlana zaś przekazuje ich słowa, i jest tak, jakby księżniczka już znajdowała się u boku swego rycerza.* Niemniej jednak posuwali się naprzód ostrożnie, czujni na wszelkie oznaki niebezpieczeństwa, szczególnie, kiedy zmiana w strukturze czy zabarwieniu powierzchni pod stopami zdradzała zmianę jej natury.

Ponad najwyższą półką wznosiła się skała zbyt stroma, by ją pokonać nawet przy tutejszej grawitacji - *mury forteczne.* Z orbity jednak załoga wykryła nieopodal wyrwę, tworzącą przełęcz bez wątpienia wyoraną przez mały meteoryt *w wojnie pomiędzy bogami i czarnoksiężnikami, kiedy kamienie miotane z niebios tak straszliwe poczyniły szkody, że nikt nie ważył się na odbudowę.* Była to niesamowita droga, wiodąca do góry pomiędzy szczytami migocącymi na tle rzucanego przez siebie niebieskiego mroku, gdzie niebo widoczne było tylko jako wąski pas, na którym gwiazdy, zdawało się, świeciły podwójnie jasno.

- Z pewnością przejścia strzegą strażnicy - *mówi Kendrick.*

- Tylko jeden - *odpowiada mu w myślach duch Aharlana.* - Ale jest nim smok. Jeśli zechcesz toczyć z nim bój, zamęt i ogień ściagną na ciebie wszystkich wojowników. Nie obawiaj się. Wślizgnę się do jego płomienistego mózgu i taki mu sen wysnuję, że cię nie dostrzeże.

- Król może odczuć działanie zaklęcia - *mówi Ricia za jego pośrednictwem.* - Skoro, Alvarlanie, i tak nie będzie cię z nami, gdy dosięgniesz ducha tej bestii, ja odszukam Króla i odwrócę jego uwagę.

Kendrick krzywi się wiedząc doskonale, jakimi sposobami chce tego dokonać. Opowiedziała mu już, jak tęskni za wolnością i swym rycerzem. Dala mu także do zrozumienia, że rozkosz zaznana z elfem większa jest niż to, co może dać człowiek. Czyżby chciała ostatni raz przed uwolnieniem...? W każdym razie Ricia i Kendrick ani razu nie przyrzekli sobie, ani nie dochowywali wierności. A już z pewnością nie czynił tego Colin Scobie. Ocknął się z uśmiechem i szedł dalej w milczeniu, które ogarnęło całą trójkę.

Dotarli na szczyt lodowej masy i spojrzeli dookoła. Scobie gwizdnął, Garcilaso jęknął „Jezus Maria”, Broberg zaś klasnęła w dłonie.

Pod nimi przepaść opadała ku krawędziom, które przybrały całkowicie nową, przeraźliwą formę, blask i cień, kończącą się na równinie. Oglądana z góry krzywizna Lapetusa sprawiała, że palce u stóp zakrzywiały się wewnątrz butów, jakby chcąc się dobrze trzymać i nie dać się cisnąć w gwiazdy otaczające raczej, a nie świecące z góry na tę kulkę. Statek kosmiczny stał niczym samotny grobowiec, drobinka na tle ciemnego, podziobanego meteorytami kamienia.

Na wschodzie lód sięgał poza horyzont, znacznie tu bliższy.

- Tam mógłby być kraniec świata - rzekł Garcilaso, a *Ricia odpowiada*: - O, tak, do Miasta jest już stąd niedaleko.

Misy różnych kształtów, pagórki, skały, jedno niepodobne do drugiego w wyrytym erozją kształcie, przemieniały tę równą skądinąd płaszczyznę w nierealny labirynt. Nad horyzontem dominowały ażurowe arabeski grzbietu, który był ich celem. Wszystko, co stało w świetle, jaśniało delikatnym blaskiem. Słońce, choć tak promieniste, rzucało światło równe blaskowi może pięciu tysięcy pełni ziemskiego Księżyca. Od południa wielki półokrąg Saturna dodawał jeszcze pół światłości Luny. Ale blask dochodzący z tego kierunku barwił dziki krajobraz na kolor bursztynowy.

Scobie otrząsnął się.

- No to, co, idziemy? - Jego prozaiczne pytanie wstrząsnęło pozostałą dwójką. Garcilaso zmarszczył czoło, Broberg zaś skrzywiła się. Odzyskała jednak równowagę.

- O, tak, śpiesz się - *mówi Ricia*. - Jestem znowu sama. Czy opuściłeś już smoka, Alvarlanie?

- Zaiste - *powiada jej czarodziej*. - Kendrick jest już bezpieczny za zburzonym pałacem. Powiedz nam, jak najlepiej do ciebie dotrzeć.

- Stoisz u dotkniętego zębem czasu Domu Królewskiego. Przed tobą leży Ulica Płatnerzy...

Brwi Scobiego ściągnęły się.

- Jest południe, kiedy elfy nie wychodzą z domu - *przypomina Kendrick rozkazującym tonem*. - Nie zamierzam natknąć się na żadnego z nich. Żadnych walk, żadnych -komplikacji. Mamy cię uwolnić i uciec bez dalszych kłopotów.

Broberg i Garcilaso okazali rozczerowanie, ale zrozumieli, co Scobie ma na myśli. Zdarzyło się już, że jakiś zespół musiał przerwać grę, gdy jeden z graczy

odmówił przyjęcia czegoś, co drugi wprowadził. Czasem przez wiele dni niektóre wątki opowieści pozostawały przerwane i nie podejmowano ich na nowo. Broberg westchnęła.

- Idź ulicą, która kończy się placem, z fontanną - *objaśnia Ricia*. - Przejdź przez plac i idź dalej bulwarem A-Z. Poznasz go po prowadzącej doń bramie w kształcie czaszki z rozwartymi szczękami. Jeśli zobaczysz gdzieś tęczyowy błysk w powietrzu, stój bez ruchu, aż przeleci: będzie to, bowiem zorza drapieżna...

W podskokach charakterystycznych dla małego ciężenia pokonali tę odległość mniej więcej w pół godziny. Pod koniec musieli okrążyć wielkie hałdy lodu tak drobnoziarnistego, że usuwał się spod stóp i próbował ich pochłonąć. Cel ich otaczało kilka takich hałd, leżących w nieregularnych odstępach.

Tutaj podróżnicy zatrzymali się ponownie na jakiś czas, zdjęci podziwem granicznym z przerażeniem.

Znajdujące się u ich stóp wgłębienie musiało sięgać aż do podłoża skalnego, na głębokość około stu metrów, a szerokość dwukrotnie większą. Na jego krawędzi unosiła się ściana, którą widzieli z nawisu: szeroki i wysoki na pięćdziesiąt metrów łuk, o grubości nie większej w żadnym miejscu niż pięć metrów, przerywany misternymi zawijasami, łagodnie połyskujący tam, gdzie nie był przezroczysty. Był to górny skraj warstwy, która zagłębiła się do wnętrza krateru. Inne występy i zagłębienia były jeszcze bardziej zjawiskowe... czyż to nie głowa jednorożca, a tamto - nie kolumnada kariatyd, a jeszcze dalej - altana z lodowych sopli? Otchłań wyglądała zaś jak jezioro zimnego, niebieskiego cienia.

- Przyszedłeś, Kendrick, ukochany! - *woła Ricia i rzuca mu się w ramiona*.

- Ciszej - *ostrzega głos Aharlana Mądrego*. - Nie zbudźcie naszych odwiecznych wrogów.

- Tak, musimy wracać - Scobie zamrugnął oczami. - Na Judasza, co też nas opętało? Rozumiem: zabawa, ale poszliśmy o wiele dalej i szybciej, niż to było rozsądne, prawda?

- Zostańmy jeszcze chwilę - prosiła Broberg. - Tu jest tak cudownie... Sala Balowa Króla Elfów, którą dla niego zbudował Władca Tańca...

- Pamiętajcie:, jeśli się zatrzymamy, znajdziemy się w matni i na zawsze pozostaniemy w niewoli. - Scobie nacisnął kciukiem główny wyłącznik radia. - Halo, Mark! Słyszysz mnie?

Ani Broberg, ani Garcilaso nie poszli w ślady Scobiego. Nie usłyszeli słów Danziga:

- O, tak! Siedziałem nad radiostacją gryząc paznokcie. Nic wam się nie stało?

- Wszystko w porządku. Jesteśmy przy wielkim otworze i wracamy, tylko zrobię parę zdjęć.

- Nie wymyślono jeszcze odpowiednich słów, które wyraziłyby, jak bardzo mi ulżyło. A z naukowego punktu widzenia warto było ryzykować?

Scobie wydał cichy okrzyk. Wytrzeszczył przed siebie oczy.

- Colin? - zawołał Danzig. - Jesteś tam jeszcze?

- Tak. Tak.

- Pytałem, czy zrobiliście jakieś ważne obserwacje.

- Nie wiem - wymamrotał Scobie. - Nie pamiętam. Nic z tego, co widzieliśmy po rozpoczęciu wspinaczki, nie wydaje się rzeczywiste.

- Lepiej już wracajcie – poradził ponuro Danzig. - Daj sobie spokój ze zdjęciami.

- Słusznie. Naprzód marsz! - Scobie zwrócił się do swych towarzyszy.

- Nie mogę - *odpowiada Aharlan*. - Błędne zakłęcie oplotło moją duszę dymnymi mackami.

- Wiem, gdzie znajduje się sztylet ognisty - *mówi Ricia*. - Spróbuję go wykraść.

Broberg ruszyła przed siebie, jakby chcąc zejść w głąb krateru. Spod podeszew jej butów posypały się drobne ziarenka lodu. Łatwo mogła stracić oparcie i ześliznąć się w dół.

- Nie, zaczekaj! - *krzyczy do niej Kendrick*. - Nie ma potrzeby. Ostrze mojej włóczni jest ze stopu księżycowego. Może przeciąć...

Lodowiec zadygotał. Krawędź pękła i usunęła się w dół. Część, na której stali, oderwała się i potoczyła w głąb misy. Za nią pomknęła lawina. Wyrzucone w górę kryształy pochwyliły światło słoneczne, zabłysły rozszczepionym blaskiem, wyzywając gwiazdy na świetlny pojedynek, następnie powoli opadły i znieruchomiały.

Nie licząc fali sejsmicznej, przechodzącej przez ciała stałe, wszystko stało się w absolutnej ciszy Kosmosu.

Powoli, z każdym nowym uderzeniem serca, Scobie powracał do zmysłów. Stwierdził, że jest uwięziony, obezwładniony w ciemnościach i bólu. Skafander uratował i nadal ratował mu życie. Został ogłuszony, ale uniknął poważniejszych obrażeń. Jednak każdy oddech sprawiał mu nieznośny ból. Wyglądało na to, że ma złamane żebro lub dwa w lewym boku; potworne uderzenie musiało wgnać metal

skafandra. A uwolnienie się spod masy lodu przekraczało jego siły.

- Halo - wykrztusił. - Czy ktoś mnie słyszy? - Jedyłą odpowiedzią było tętno jego krwi. Jeśli radio nadal pracowało - a powinno, skoro wbudowane zostało w skafander - otaczająca go masa ekranowała fale.

Niezależnie od tego wysysała z niego ciepło w nieznanym, ale przerażającym tempie. Zimna nie odczuwał, układ elektryczny skafandra czerpał, bowiem energię z baterii tak szybko, jak było trzeba, by utrzymać go w ciepłe i oczyszczać chemicznie powietrze. Normalnie tracił ciepło w czasie powolnego procesu radiacji - i niewielką ilość poprzez podeszwy butów pokryte pianką winylową - ale teraz wydatkowanie było znacznie większe. Obecnie ciepło uciekało każdym centymetrem kwadratowym skafandra. W wyposażeniu na plecach miał zapasową baterię, ale nie mógł się do niej dostać.

Chyba, że... Chrapliwie zachichotał. Napinając mięśnie poczuł, że otaczający go lód nieco ustępuje pod naciskiem nóg i ramion. A jego hełm tętnił lekko szumem, bulgotem. Nie wodny lód go, więc uwięził, ale coś o znacznie niższej temperaturze zamarzania. Topiło ten lód, powodowało sublimację, robiąc sobie miejsce.

Jeśli będzie leżał nieruchomo, osunie się głębiej, a zamarzanie nad nim przesunie się w dół i zamknie go w lodowym grobie. Może spowoduje powstanie nowych, wspaniałych formacji, ale sam ich nie zobaczy. Musi, więc wykorzystać tę niewielką możliwość, która mu pozostała, by przesuwać się w górę, drapać się, zdobywać zaczepienie o substancje, które jeszcze się nie stopiły, wygrzebywać się do gwiazd.

Zaczął.

Wkrótce targnął nim ból, oddech rwał się wychodząc i wchodząc do płonących płuc; siły opuszczały go, ustępując miejsca drżeniu i nie mógł już stwierdzić, czy się wznosi, czy też może osuwa się w głąb. Oślepiony, na wpół uduszony, Scobie zakrzywił palce na kształt krecich łan, i kopał.

Cierpienie stało się nie do zniesienia. Uciekł od niego...

Gdy potężne zaklęcia zawiodły, Król Elfów zburzył swe straszliwe wieże. Jeśli duch Alvarlana powróciłby do jego ciała, czarodziej będzie rozważał to, co widział, i zrozumie, co to oznacza, a owa wiedza da śmiertelnym potężną moc przeciwko Krainie Elfów. Zbudziwszy się, Król ujrzał w szklanej kuli, jak Kendrick już nieomal wypełnił to, co zamierzał. Brakło czasu na coś więcej poza zdjęciem uroku utrzymującego mury Sali Balowej. Zbudowano je głównie z mgieł

i światła gwiazd, ale też i z odpowiedniej ilości kamiennych bloków wykutych po chłodnej stronie Ginnungagap, by padając na ziemię mogły zmiażdżyć rycerza. Ricia też zginie; lotny umysł Króla natychmiast pożałował tego. Niemniej jednak właściwe słowa zostały wypowiedziane.

Król nie pojmował, ile mąk potrafi znieść ciało i kość człowieka. Pan Kendrick oswobodzą się z rumowiska, by odszukać i uratować swą damę. Nim do tego dojdzie, pokrzepia się myślami o swych przygodach w przeszłości i tych, które dopiero nadejdą...

...i nagle ślepotą ustąpiła, a przed oczyma pojawił się Saturn otoczony pierścieniami.

Scobie padł przodem na powierzchnię lodu i leżał dygocąc. Musi się podnieść mimo protestu obolałego ciała, jeśli nie chce wytopić sobie następnego grobu. Chwiejąc się wstał i potoczył wzrokiem dookoła.

Z dotychczasowych struktur pozostały jedynie niewielkie występy i pęknięcia. Prawie na całej swej powierzchni krater jaśniał gładką bielą. Brak cieni powodował, że trudno było ocenić jego głębokość, ale według Scobiego wynosiła ona około siedemdziesięciu pięciu metrów. I pustka, całkowita pustka.

- Mark, słyszysz mnie? - zawołał.

- To ty, Colin? - zadzwieczało w słuchawkach. - Co się stało, na litość? Usłyszałem twój okrzyk, a potem zobaczyłem, jak chmura się unosi i opada... i nic więcej przez ponad godzinę. Nic ci się nie stało?

- Raczej nie. Nie widzę ani Jean, ani Luisa. Zaskoczyła nas lawina, która nas przykryła. Zaczekaj, poszukam ich.

Gdy Scobie stał wyprostowany, żebra mniej go bolały. Zachowując ostrożność, mógł się poruszać całkiem swobodnie. W zestawie aptecznym miał dwa rodzaje środków znieczulających, oba równie nieprzydatne, jeden, bowiem był /był słaby, by dać zauważalną ulgę, drugi zaś tak mocny, że zupełnie by go oszołomił. Chodząc w różne strony wkrótce znalazł to, czego szukał: lekkie zagłębienie w naniesionym niby-śniegu, skąd wydobywały się pęcherzyki, jakby coś się pod spodem gotowało.

Obowiązkowe wyposażenie obejmowało również łopatkę saperską. Scobie zaczął kopać, nie zważając na ból. Wkrótce odsłonił hełm; w środku zobaczył głowę Broberg. Ona też się starała odgrzebać.

- Jean!

- Kendrick! - Oswobodziła się do końca i przywarli do siebie poprzez

skafandry. - Och, Colin...

- Jak się czujesz? - zdołał wydobyć z siebie.

- Żyję - odparła. - Żadnych poważniejszych obrażeń, tak mi się wydaje. To tylko dzięki małej grawitacji... - A ty? A Luis? - Pod nosem miała strużkę zakrzepłej krwi, a ślad uderzenia na czole nabierał barwy purpurowej, ale stała pewnie i mówiła wyraźnie.

- Mogę się poruszać. Luisa jeszcze nie znalazłem. Pomóż mi szukać. Najpierw jednak sprawdzimy nasz sprzęt.

Otuliła się ramionami, jakby to mogło w czymś pomóc.

- Zimno mi - przyznała.

Scobie wskazał światelko alarmowe.

- Nic dziwnego. Twojej baterii zostało tylko kilka ergów; moja też zresztą nie jest w lepszym stanie. Zmieniajmy.

Nie tracili czasu na zdejmowanie plecaków, ale wyjęli nowe ogniwa sobie nawzajem. Odrzuciwszy zużyte na powierzchnię lodu, która natychmiast zagłębiła się pod nimi parując, po czym z powrotem zamarzała, włączyli nowe baterie do układów swoich skafandrów.

- Przykręć trochę termostat - poradził Scobie. - Nieprędko znajdziemy schronienie. W ruchu nie zmarzniemy.

- Ale za to potrzebna będzie szybsza regeneracja powietrza - przypomniała Broberg.

- Owszem. Ale przynajmniej na razie możemy trochę oszczędzić baterii. No dobrze, szukajmy teraz w skafandrach jakichś naprężeń, miejsc, gdzie może nastąpić przebicie, wszelkich uszkodzeń i utraconego sprzętu. I szybko, Luis nadal jest pod spodem.

Po tylu latach szkolenia przegląd wykonali automatycznie. Gdy palce Jean sprawdzały skafander Colina, oczy jej błędziły po okolicy.

- Sala Balowa nie istnieje - szepce Ricia. - Sądzę, że Król zniszczył ją, by zapobiec naszej ucieczce.

- Ja też tak sądę. Jeśli pozna, że nie zginęliśmy i szukamy ducha Alvarlana... Hej, stop! Przestań z tym!

Głos Danziga drżał.

- Co z wami?

- Wygląda na to, że nie jest źle - odparł Scobie. - Mój pancerz nieco dostał, ale nie pękł czy coś w tym rodzaju. Teraz musimy znaleźć Luisa... Jean, ty może

zataczaj kręgi w prawo od dna krateru, a ja pójdę w lewo.

Odszukiwanie Garcilasa zajęło trochę czasu, bulgotanie, bowiem dobywające się z miejsca, gdzie leżał zagrzebany, było minimalne. Scobie zaczął kopać. Jean popatrzyła, jak się porusza, posłuchała, jak oddycha i w końcu rzekła:

- Daj mi tę łopatkę. A w ogóle, co cię boli?

Scobie przyznał się do złamanych żeber i odsunął się od otworu. Broberg zaczęła wyrzucać lód całymi bryłami. Praca posuwała się szybko, lód, bowiem w tym miejscu składał się na szczęście z czegoś kruchego, a w ciężeniu panującym na Lapetusie można było wyciąć otwór o ścianach niemal pionowych.

- Spróbuję się przydać - rzekł Scobie - i poszukam drogi wyjścia.

Kiedy ruszył pod górę najbliższym stokiem, grunt zadrżał. Natychmiast odrzuciła go w tył zsuwająca się masa lodu, która szeleściła na pancerzu skafandra, podczas gdy hełm oblepiła chmura białego pyłu. Zaciskając z bólu zęby uwolnił się na dnie krateru i spróbował w innym miejscu. W końcu mógł tylko tyle przekazać Danzigowi:

- Niestety, nie ma łatwej drogi odwrotu. Kiedy krawędź zapadła się w miejscu, w którym staliśmy, skutki nie ograniczyły się tylko do wstrząsu, który zniszczył delikatne struktury wewnątrz krateru. Poza tym zwałił jeszcze na jego dno tony lodu - dziwnego lodu, który w tutejszych warunkach zachowuje się jak drobny piasek. Ściany krateru są nim całkowicie pokryte. Prawie wszędzie leży jego wielometrowa warstwa na bardziej stabilnym podłożu. Tam, gdzie warstwa jest cieńsza, zsuwalibyśmy się szybciej, niż potrafilibyśmy się wspinać; gdzie jest grubsza, po prostu zapadlibyśmy się. - Danzig westchnął.

- Zdaje się, że czeka mnie miły spacer dla zdrowia.

- Mam nadzieję, że wezwalesz pomoc.

- Oczywiście. Dwie szalupy przybędą tu za mniej więcej sto godzin. To najprędzej, jak można. Wiedzieliśmy o tym.

- Mhm. A nasze baterie wystarczą tylko na pięćdziesiąt.

- O, z tym nie ma zmartwienia. Wezmę ze sobą zapasowe i zrzucę je wam, jeśli będziecie musieli tam siedzieć, dopóki nie przybędzie pomoc. Hmmm... Lepiej będzie, jak zrobię procę czy coś.

- Możesz mieć trudności z odnalezieniem nas. To nie jest zwykły krater, ale potężny kocioł erozyjny, którego wlot jest na poziomie lodowca. Ta wymyślna struktura na krawędzi, która służyła nam za drogowskaz, już nie istnieje.

- Mamy kłopot. Pamiętaj, że mam na was zamiar poprzez antenę

kierunkową. Kompas magnetyczny może być tu nieprzydatny, ale umiem się orientować za pomocą nieba. Saturn ledwie się po nim przesuwa, podobnie jak Słońce i gwiazdy.

- Cholera! Masz rację, zupełnie o tym nie pomyślałem. Mam w głowie tylko Luisa, co mnie, choć trochę tłumaczy. - Scobie spojrział poprzez półmrok, ku Broberg. Pochylona nad miejscem, w którym kopała, stała, zmuszona do krótkiego odpoczynku. W słuchawkach usłyszał jej chrapliwy oddech.

Musi oszczędzać siły, które mu jeszcze pozostały, na później. Napił się wody z rurki, wsunął kęs jedzenia przez zawór w hełmie, markując apetyt.

- Spróbuję odtworzyć, co zaszło - powiedział. - Masz rację, Mark, zachowaliśmy się nierozsądnie, jak szaleńcy. Gra... Osiem lat gry to za długo jak na otoczenie, które tak pialo przypominało nam o rzeczywistości. Ale kto mógł to przewidzieć? Boże mój, wyślij ostrzeżenie do Chronosa! Przypadkiem wiem, że jedna z grup wysyłanych na Tytana jeszcze przed startem zaczęła celowo, tak jak my, grę w wyprawę do wodnej krainy pod Oceanem Karmazynowym – a to z powodu czerwonych mgieł na Tytanie...

Scobie przełknął ślinę.

- No, więc - mówił z trudem dalej - nie wiem, czy kiedykolwiek dokładnie się dowiemy, co tu zaszło. Jest jednak oczywiste, że konfiguracja terenu była ledwie metastabilna. Także i na Ziemi niezmiernie łatwo czasem spowodować lawinę. Stawiałbym na to, że tu pod powierzchnią znajduje się warstwa metanowa. Gdy po wschodzie słońca temperatura się podniosła, metan zaczął się topić, co nie miało większego znaczenia przy małej grawitacji i w próżni... ale przyszliśmy my. Ciepło, wibracja - w każdym razie owa warstwa wyśliznęła się spod nas, co spowodowało ogólny zawał. Czy ta hipoteza wydaje ci się prawdopodobna?

- Tak, amatorowi takiemu jak ja - odrzekł Danzig. - Podziwiam, że w tych warunkach zachowujesz akademicki spokój.

- Jestem po prostu praktyczny - odciął się Scobie. - Luisowi może być potrzebna pomoc lekarska wcześniej, niż gdy przylecą po niego te dwie szalupy, Jeśli tak, to jak dostarczymy go do naszej?

Głos Danziga zeszywniał.

- Co proponujesz?

- Właśnie dochodzę do tego. Zwróć uwagę: misa ma nadal w zasadzie ten sam kształt. Oznacza to, że nie cała rupieciarnia się zawałiła i że gdzieś powinien być twardy materiał, lód wodny i właściwa skała. Prawdę mówiąc, widzę kilka

występów, które się ostały: wychodzą ponad tę piaskopodobną substancję. Czym ona jest naprawdę - może mieszaniną amoniaku i dwutlenku węgla, czy może czymś bardziej egzotycznym - przyjdzie czas zbadać później. Teraz zaś... moje przyrządy geologiczne powinny pomóc wysledzić, gdzie twardsza warstwa leży najbliżej powierzchni. Wszyscy oczywiście mamy saperki. Możemy spróbować oczyścić sobie drogę zygzakiem, tam gdzie najłatwiej. Nie ulega wątpliwości, że w ten sposób zwalimy sobie kolejną lawinę z góry, ale to z kolei przyspieszy nasze posuwanie się naprzód. Tam gdzie odkopane półki okażą się zbyt strome lub śliskie, by można się było na nie wspiać, możemy wykuć stopnie. Będzie to praca ciężka i powolna; możemy też natrafić na stromiznę, której nie uda się pokonać albo coś w tym rodzaju.

- Mogę pomóc - zaproponował Danzig. - Przez tę godzinę, kiedy się nie odzywaliście, przejrzałem nasze zapasy kabla, lin, sprzętu, który mogę poświęcić, by wyjąć ze środka drut, a także ubrań i pościeli, które można podrzeć na pasy - wszystko, co da się związać w linę. Nie musi to być zbyt wytrzymałe. Oceniam, że będzie tego ze czterdzieści metrów. Według twoich słów sięgnie gdzieś do połowy wysokości ścian krateru, w którym jesteście uwięzieni. Jeśli zdołacie pokonać pozostały odcinek, będę mógł was wyciągnąć.

- Dzięki - rzekł Scobie - chociaż...

- Luis! - zaskrzeczało w słuchawkach. - Colin, chodź prędko, pomóż mi, to straszne!

Nie zwracając uwagi na ból, jeśli nie liczyć paru przekleństw, Scobie pośpieszył z pomocą do Jean Broberg.

Garcilaso był tylko częściowo nieprzytomny i na tym głównie polegała groza sytuacji. Słysząc było jego mamrotanie:

- ...Do diabła, Król cisnął moją duszę do piekła, nie potrafię odnaleźć wyjścia, zginąłem, dlaczego w piekle jest tak zimno?...

Nie widzieli jego twarzy; hełm zamarzał od środka. Dłużej i głębiej zagrzebany niż oni oboje, a poza tym ciężiej kontuzjowany, umarłby natychmiast po wyczerpaniu się baterii. Broberg odkopła go prawie w ostatniej chwili - jeśli już nie było za późno.

Zgięta w pół w szybie, który wykopała, przekręciła Luisa na brzuch. Zatrzepotał ramionami i monotonicznie majaczył:

- Demon mnie atakuje, jestem oślepiiony, ale czuje powiew skrzydeł.

Odłączyła baterię i cisnęła ją na powierzchnię ze słowami:

- Jeśli się uda, powinniśmy zanieść ją na statek.

Często się zdarza, że człowiek trzyma się rzeczywistości tylko dzięki drobiazgom.

Na górze Scobie przyjrzał się ponuro baterii. Nie zostało w niej nawet tyle ciepła, by wywołać parowanie, jak to się stało w przypadku ich zużytych ogniwi. Leżała na lodzie całkiem nieruchomo. Obudową jej była metalowa kasetka, o wymiarach trzydzieści na piętnaście, na sześć centymetrów, całkowicie gładka poza dwoma bolcami kontaktowymi na jednej z szerokich ścianek. Regulatory wbudowane w obwody skafandra pozwalały na ręczne sterowanie reakcją chemiczną wewnątrz baterii, ale zwykle pozostawiało się ten obowiązek termostatowi i aerostatowi. Teraz zaś reakcja dobiegła końca. Do czasu naładowania bateria była po prostu kawałkiem złomu.

Scobie pochylił się, obserwując poczynania Broberg w dole o głębokości około dziesięciu metrów. Z ekwipunku Garcilasa wyjęła zapasową baterię, wstawiła na odpowiednie miejsce skafandra na wysokości lędźwi i przymocowała zatrzaskami do spodniej części stelaża.

- Daj drut, Colin - powiedziała.

Scobie zrzucił jej metr grubego kabla, który należał do stałego wyposażenia przy wychodzeniu poza statek, na wypadek gdyby trzeba było zrobić jakieś specjalne połączenie elektryczne lub dokonać naprawy. Broberg splotła go z dwoma pozostałymi - jej i Garcilasa - zrobiła pętlę na jednym końcu, drugi zaś doczepiła u góry własnego stelaża, z trudnością manipulując ponad lewym ramieniem. Potrójny kabel stanął pionowo niczym antena.

Pochyliwszy się wzięła Garcilasa na ręce. Na łapetusie ważył wraz ze sprzętem mniej niż dziesięć kilogramów; podobnie jak ona. Teoretycznie powinna móc wyskoczyć od razu z otworu wraz z obciążeniem. W praktyce skafander zbyt krępował ruchy: półsztywne stawy pozwalały, co prawda na znaczną swobodę ruchów, ale nie taką, jak goła skóra, szczególnie biorąc pod uwagę, że temperatura na księżycach Saturna wymagała dodatkowej izolacji. Poza tym, gdyby Broberg nawet doskoczyła do brzegu dołu, nie utrzymałaby się: miękki lód usunąłby się spod palców i stoczyłaby się z powrotem w dół.

- No to skoczę - powiedziała. - Lepiej postaraj się złapać mnie za pierwszym razem, Colin. Nie wydaje mi się, by Luis mógł znieść wiele wstrząsów.

- Kendrick, Ricia, gdzie jesteście? - jęknął Garcilaso. - Czy też wtrącono was do piekła?

Scobie zaparł się obcasami o grunt w pobliżu krawędzi otworu i przykucnął w gotowości. Ujrzał unoszącą się pętlę z kabla; schwycił ją prawą dłonią. Rzucił się w tył, by nie dać się ściągnąć do otworu, i poczuł, że złapany ciężar gdzieś się zaklinował. Ból przeszył mu klatkę piersiową. Udało mu się jakoś wyciągnąć uczepionych na bezpieczną odległość, nim zemdlął.

Ocknął się po chwili.

- Nic mi nie jest - wychrypiał w odpowiedzi na niespokojne pytania Broberg i Danziga. - Dajcie mi tylko odetchnąć.

Jean skinęła głową i uklękła, by zająć się pilotem. Odpięła mu stelaż ze sprzętem, by mógł leżeć na wznak, z nogami i głową utrzymywanymi w górze przez pojemniki. To zapobiegnie znacznym stratom ciepła w wyniku konwekcji i zmniejszy te, które wynikają z odpływu do gruntu. Tym niemniej jego bateria będzie się wyładowywać znacznie szybciej, niż gdyby mógł stanąć na nogi, a i tak po pierwsze musi wyrównać straszny deficyt energetyczny.

- Topi mu się lód w hełmie - poinformowała. - Matko Boska, krew! Wydaje się jednak, że pochodzi ze skóry głowy i już nie leci. Musiał uderzyć potylicą w witrył. Powinniśmy nosić miękkie czapki w tych hełmach. Tak, wiem, że nic podobnego się dotąd nie wydarzyło, ale... - Odpięła od pasa latarkę, pochyliła się i skierowała światło w dół. - Oczy ma otwarte. Źrenice... tak, silne uderzenie i możliwe pęknięcie czaszki z krwotokiem do wewnątrz mózgu. Dziwię się, że nie wymiotuje. Czyżby to w wyniku zimna? Może wkrótce zaczną się wymioty? Może się nimi zakrztusić, tam w środku, i nikt nie będzie w stanie mu pomóc.

Ból dręczący Scobiego osłabł do znośnego natężenia. Podniósł się, podszedł, spojrział i gwizdnął.

- Sądzę, że może nie przeżyć, jeśli go szybko nie dostarczymy do łodzi i nie zajmiemy się nim odpowiednio. Co nie jest możliwe.

- Och, Luis. - Łzy potoczyły się po policzkach Jean.

- Myślisz, że nie dożyje do chwili, gdy przyniosę tę linę i będziemy mogli go zanieść do statku? - zapytał Danzig.

- Boję się, że nie - odparł Scobie. - Przechodziłem kurs paramedyczny, a zresztą na własne oczy, widziałem podobny przypadek. A ty skąd znasz objawy, Jean?

- Dużo czytam - powiedziała tępo.

- Płaczą, łkają umarłe dzieci - mamrotał Garcilaso.

Danzig westchnął.

- Dobrze, więc, przylecę do was.

- Co takiego? - wybuchnął Scobie, a Broberg krzyknęła:

- Czy ty też postradałeś zmysły?

- Nie, słuchajcie - Danzig zaczął szybko mówić: - nie jestem wykwalifikowanym pilotem, ale miałem to samo podstawowe przeszkolenie na tego rodzaju statkach, jak wszyscy, którzy mogą nimi latać. Statek można poświęcić, zabiorą nas szalupy ratunkowe. Gdybym wylądował przy krawędzi lodowca, nie dałoby to wiele - w dalszym ciągu musiałbym robić linę i tak dalej - aż tego, co stało się z sondą, wiemy, że ryzyko byłoby znaczne. Lepiej wleć prosto do waszego krateru.

- Lądowanie na powierzchni, którą płomienie z dysz natychmiast spod ciebie odparują? - parsknął Scobie. - Założę się, że nawet Luis uznałby to za wyczyn kaskaderski. A ty, mój drogi, rozwalisz się jak nic.

- No? - niemal widzieli wzruszenie jego ramion. - Upadek z niewielkiej wysokości, przy tym ciężeniu może najwyżej lekko mną potrząsnąć. Ogień odrzutu wypali otwór aż do skały. To prawda, że otaczający lód natychmiast zapadnie się wokół kadłuba i uwięzi go. Może będziecie musieli dokopać się do śluzu, choć podejrzewam, że promieniowanie cieplne kabiny nie pozwoli na zakrycie górnej części statku. Nawet, jeśli statek przewróci się i uderzy bokiem - a w takim przypadku zagłębi się jakby w opadającej poduszce powietrznej - nawet gdyby stało się to na litej skale, nie powinien doznać poważniejszych uszkodzeń. Zaprojektowano go tak, by wytrzymał silniejsze uderzenia. - Danzig zawahał się. - Oczywiście istnieje możliwość, że narażę was na niebezpieczeństwo. Jestem pewien, że was nie spalę odrzutem, zakładając, że wyląduję w pobliżu środka, a wy odejdziecie na taką odległość, jak tylko będzie można. Możliwe jednak... możliwe, że spowoduję jakiś wstrząs, który was zabije. Nie ma sensu, by jeszcze dwie osoby miały stracić życie.

- Albo trzy, Mark - powiedziała cicho Broberg. - Pomimo twych odważnych słów sam również możesz się narazić na śmierć.

- Och, ja jestem starym człowiekiem. Owszem, kocham życie, ale wy macie jeszcze tyle lat przed sobą. Słuchajcie, przypuśćmy najgorsze: przypuśćmy, że nie tylko fatalnie wyląduję, ale całkowicie rozwalę statek. Wtedy Luis umrze, ale to by go i tak czekało. Natomiast wy dwoje zyskacie dostęp do zapasów na pokładzie, wliczając w to zapasowe baterie. Według mnie ryzykuję niewiele, a mogę dać Luisowi szansę przeżycia.

- Hmmm - odezwał się Scobie głęboko, gardłowo. Ręką bezwiednie sięgnął do podbródka, podczas gdy jego wzrok błędził po skrzęcej się powierzchni krateru.

- Powtarzam - mówił dalej Danzig - że jeśli waszym zdaniem mogłoby to wam w jakikolwiek sposób zagrozić, dajemy sobie spokój. Żadnej bohaterstczyzny, proszę. Luis z pewnością przyznałby tu rację: lepiej, by zginęła jedna osoba, a przeżyło troje, niż by czworo stanęło przed poważną możliwością śmierci.

- Daj mi pomyśleć. - Scobie milczał przez dłuższą chwilę, nim się znowu odezwał: - Nie, moim zdaniem nic się tutaj nie stanie. Jak wcześniej powiedziałem, tutejsza lawina już zesła i konfiguracja powinna być raczej stabilna. Lód się ulotni, to prawda. W przypadku warstw o niskiej temperaturze wrzenia może to następować wybuchowo i powodować wstrząsy. Para jednak będzie odprowadzać ciepło tak szybko, że tylko te partie lodu, które będą najbliżej ciebie, powinny zmieniać swój stan. Przypuszczam, że lód drobnoziarnisty zostanie strząśnięty ze stoków, ale ma zbyt małą gęstość, by mógł poczynić jakieś znaczniejsze szkody. W zasadzie powinien się zachować jak przelotna burza śnieżna. Podłoże ulegnie oczywiście zmianom, które mogą być dość gwałtowne. Jednakże my znajdziemy się wyżej. Czy widzisz, Jean, tę skalną półkę tam, na wysokości, do której można podskoczyć? Musi to być część zasypanego pagórka, a w każdym razie to lita skała. Tam będziemy czekać... dobrze, Mark, jeśli o nas chodzi, możesz lecieć. Nie mam absolutnej pewności, ale kto może ją mieć w jakiegokolwiek sprawie? Wydaje się jednak, że ryzyko jest do przyjęcia.

- Czy czegoś nie przeoczyliśmy? - zastanawiała się Broberg. Spojrzała w dół na tego, który leżał u jej stóp. - Podczas gdy my byśmy się zastanawiali nad wszystkimi możliwościami, Luis by umarł. Tak, leć, jeśli chcesz, Mark, i niech cię Bóg błogosławi.

Kiedy jednak razem ze Scobiem przeniosła Luisa na półkę, wskazała dłonią Saturna, a potem Gwiazdę Polarną i...

- Wyśpiewam zaklęcia, rzucę ten niewielki czar, jaki znam, na wsparcie Władcy Smoków, by wydobył duszę Alvarlana z piekła - mówi Ricia.

Żadna rozsądna osoba nie może winić jakiegokolwiek badacza międzyplanetarnego za błędną ocenę otoczenia, szczególnie, kiedy trzeba podjąć jakąś decyzję w pośpiechu i w warunkach stresu. Pewne pomyłki są nie do uniknięcia. Gdybyśmy dokładnie wiedzieli, czego się spodziewać w całym Układzie Słonecznym, nie byłoby powodu go badać.

Minamoto

Statek uniósł się, odrzucając ogniem z dysz chmury kosmicznego pyłu. Po wzniesieniu się na wysokość stu pięćdziesięciu metrów ciąg zmniejszył się i pojazd stanął na słupie ognia.

Wewnątrz kabiny słychać było niewielki hałas: głuchy syk i przeszywający kości, ale prawie niesłyszalny łoskot. Pot wystąpił na twarzy Danziga, zrosił jego sterczący zarost, przemoczył kombinezon, aż zaczął cuchnąć. Miał oto podjąć manewr równie niebezpieczny jak dokowanie, ale przy tym bez naprowadzania.

Delikatnie przesunął naprzód przepustnicę. Obudziła się boczna dysza. Statek runął do przodu, łukiem przechodząc w lot nurkowy. Ręce Danziga zańczyły na konsoli. Musi skorelować siły, które utrzymywały statek w górze, z tymi, które pchały go poziomo, aby wypadkowa poniosła go w kierunku wschodnim, w tempie powolnym i stałym. Wektor będzie się stale zmieniał, tak jak to się dzieje, gdy człowiek idzie. Komputer kontrolny, połączony z czujnikami, w znacznej części pomagał w balansowaniu, ale niecałkowicie. Trzeba mu było przekazać, co się chce osiągnąć.

Ze statkiem obchodził się Danzig niezbyt fachowo; wiedział, że tak będzie. Gdyby uniósł się wyżej, miałby większy margines błędu, ale pozbawiłby się punktów odniesienia, które jego oczy odnalazły w terenie poniżej i na horyzoncie przed nim. Poza tym, gdy dotrze do lodowca, będzie musiał lecieć nisko, by odnaleźć cel. Jego umysł będzie zbyt zaprzątnięty, by orientować się według gwiazd, którymi mógłby się posługiwać idąc pieszo.

Chcąc naprawić błąd przesadził i statek skoczył w przeciwnym kierunku. Wystukał rozkaz „zawieszenie nieruchome” i komputer przejął pilotaż. Ponownie stojąc na słupie ognia Danzig przeznaczył chwile na oddech, uspokojenie nerwów, przeciwiczenie manewru w myślach. Zagryzając wargi spróbował znowu. Tym

razem nie było tak źle. Migocząc ogniem z dysz statek, pomknął, chwiejąc się jak pijany, ponad powierzchnią księżycą.

Nawis lodowy był coraz bliżej. Zobaczył jego kruche piękno i pożałował, że musi wyciąć w nim pasmo ruin. Ale jaką może mieć wartość każdy cud natury, jeśli nie ma przy nim świadomego umysłu, który może go podziwiać? Minął najniższy stok, który skrył się w kłębach pary.

Naprzód. Poza miejscem wrzenia, na lewo, na prawo, i na przedzie budowle Krainy Elfów waliły się w gruzy. Przeleciał nad palisadą. Teraz znajdował się zaledwie pięćdziesiąt metrów ponad powierzchnią, a obłoki pary pojawiały się wściekło blisko, zanim zniknęły w próżni. Wyjrzał przez iluminator i zatoczył łuk skanerem, otrzymując na ekranie powiększony obraz okolicy, i szukając swego celu.

Wybuchł biały wulkan otaczając go całkowicie. Nagle leciał na ślepo. Kadłubem wstrząsały uderzenia wzbijanych w górę kamieni. Mróz okrył białą pojazd; zarówno ekran skanera, jak i iluminatory oślepyły. Danzig powinien był podnieść statek, ale zabrakło mu doświadczenia. Człowiek w niebezpieczeństwie raczej ucieka, niż podskakuje do góry. Danzig usiłował odskoczyć w bok. Bez pomocy wzroku spowodował koziołkowanie statku. Gdy zorientował się w błędzie, co trwało mniej niż sekundę, było już za późno. Stracił kontrolę nad sterami. Komputer mógłby po pewnym czasie uratować sytuację, ale lodowiec był zbyt blisko. Statek uderzył o grunt.

- Halo, Mark! - wołał Scobie. - Mark, czy mnie słyszysz? Gdzie jesteś, na litość boską?

Odpowiedziała mu cisza. Rzucił Broberg spojrzenie, które spoczywało na niej przez jakiś czas.

- Wszystko zdawało się w porządku - powiedział - aż usłyszeliśmy okrzyk, silny łoskot i potem już nic. Dawno już by do nas doleciał, a zamiast tego sam wpakował się w tarapaty. Mam nadzieję, że nie tragicznie.

- Co możemy zrobić? - spytała zupełnie niepotrzebnie. Musieli mówić, mówić cokolwiek, bowiem Garcilaso leżał przy nich, a jego głos szybko słabł.

- Jeśli nie dostaniemy nowych baterii w ciągu najbliższych czterdziestu czy pięćdziesięciu godzin, będzie to koniec naszej drogi. Statek musi być gdzieś niedaleko. Wychodzi na to, że sami będziemy się musieli stąd wydostać. Zaczekaj tu z Luisem, a ja spróbuję pogrzebać dookoła i znaleźć przyzwoitą drogę.

Scobie ruszył w dół. Broberg przykucnęła przy pilocie.

- ...sam na zawsze w ciemnościach... - usłyszała.

- Nie, Alvarlanie - objęła go. Najprawdopodobniej nie czuł tego, ale ona tak. - Alvarlanie, wysłuchaj mnie. Mówi do ciebie Ricia. Słyszę w myślach wołanie twojej duszy. Pozwól mi pomóc ci, pozwól mi wyprowadzić cię z powrotem na światło.

- Uważaj - ostrzegł Scobie. - I tak grozi nam, że się znów sami zahipnotyzujemy.

- Ale może... może udałoby mi się dotrzeć do niego i... pocieszyć go... Alvarlanie, Kendrickowi i mnie udało się uciec. On szuka dla nas drogi do domu. Ja szukam ciebie. Alvarlanie, oto moja dłoń: weź ją.

Na dnie krateru Scobie potrząsnął głową, mlasnął językiem i zdjął sprzęt z pleców. Lornetka pomoże mu zlokalizować najbardziej obiecujące miejsca. Przyrządy, poczynając od metalowego prętu do przenośnego geosonaru, dadzą mu dokładniejsze pojęcie o tym, jakie podłoże leży pod jak głęboką warstwą nie nadającego się do wspinaczki piaskolodu. Bez wątplenia zasięg sond tego rodzaju był bardzo ograniczony. Scobie nie miał czasu na odrzucanie ton substancji, by móc wspiąć się wyżej i dalej próbować. Musiał po prostu uzyskać jakieś wstępne dane, postawić uzasadnioną hipotezę, co do tego, która droga prowadząca w górę krateru okaże się możliwa do przebycia i ufać, że się nie pomylił.

Jak mógł najszczelniej, oddzielił swoją świadomość od Broberg i Garcilasa, i podjął pracę.

Godzinę później ignorując ból, oczyszczał pasmo na powierzchni warstwy skalnej. Zdawało mu się, że na przedzie leżała góra solidnej, twardej zmarzłej wody, ale wołał się upewnić.

- Jean! Colin! Słyszycie mnie?

Scobie wyprostował się i stanął sztywno. Jakby z bardzo daleka usłyszał głos Broberg:

- Jeśli nie mogę niczego dla ciebie uczynić, Alvarlanie, niechże się pomodłę za spokój twojej duszy.

- Mark! - wyrwało się z ust Scobiego. - Nic ci nie jest? Co się stało, do cholery?

- Taak, niewiele oberwałem - powiedział Danzig. - A statek też cały, choć chyba już nigdy więcej nie polecą. A co z tobą? Jak Luis?

- Stan się ciągle pogarsza. No dobrze, mów, jak było.

Danzig zaczął opisywać wypadek.

- Pokoziółkowałem w nieznanym kierunku na nieznaną odległość. Nie mogło to być daleko, bo szybko wałnąłem o grunt. Najwyraźniej wryłem się w wielką, hm,

zaspę, która osłabiła impet uderzenia, ale wytlumiła fale radiowe. Teraz jej już nie ma - wyparowała. Widzę dookoła pofalowaną białość i jakieś formacje w oddali... Nie jestem pewien, jakich uszkodzeń doznały podpory i dysze rufowe. Statek stoi pochylony pod kątem około czterdziestu pięciu stopni, prawdopodobnie na podłożu skalnym. Jednak jego tylna część nadal znajduje się wewnątrz mniej ulotnej substancji - woda i CO₂, jak myślę - która osiągnęła równowagę temperatur. Dysze są na pewno tym zatkane. Gdybym próbował włączyć odrzut, rozwalilibym cały interes.

Scobie skinął głową.

- Na pewno by tak było.

Głos Danziga załamał się.

- O mój Boże, co ja zrobiłem? Chciałem pomóc Luisowi, a naraziłem na śmierć ciebie i Jean.

Usta Scobiego zacisnęły się.

- Nie ma, co płakać, to jeszcze nie nasz pogrzeb. Jasne, że to jakaś zła passa. Ale ani ty, ani ktokolwiek inny nie mógłby przewidzieć, że można dotknięciem spowodować pod sobą wybuch.

- Co to mogło być? Masz jakiś pomysł? Nic takiego się jeszcze nie zdarzyło w przypadku zderzenia z kometą. Bo wierzysz, że ten lodowiec jest szczątkami komety, prawda?

- Owszem, z tym, że uległy one modyfikacji w wyniku działania ciepła. Uderzenie spowodowało wyzwolenie ciepła, wstrząs, zakłócenia. Molekuły się porozbijały. Przez moment musiał tu występować stan plazmowy. Mieszaniny, związki, klatraty, stopy - powstawały takie substancje, jak nigdzie indziej w wolnej przestrzeni. Wiele by się tu można nauczyć z chemii.

- Po to tu przyleciałem... No, więc mijalem złożę jakiejs substancji czy kilku, które gwałtownie wysublimowały pod działaniem odrzutu. Kiedy ta szczególna para dotknęła kadłuba, natychmiast na nim zamarzła. Musiałem od środka odmrażać iluminatory - a przecież śnieg sam z nich odparował.

- Gdzie się znajdujesz w odniesieniu do nas?

- Mówiłem ci już: nie mam pojęcia. I nie wiem też, czy w ogóle będę to mógł ustalić. Uderzenie zniszczyło antenę kierunkową. Wyjdę na zewnątrz i rozejrzę się.

- Dobrze, zrób to - powiedział Scobie. - A ja się tymczasem wezmę za robotę.

Kontynuował ją, dopóki straszne jęki i zawodzenia Jean nie ściągnęły go pędem z powrotem do skały.

Scobie odłączył baterię Gareilasa.

- To, co w niej zostało, może stanowić tę różnicę, dzięki której my przeżyjemy - powiedział. - Uważajmy to za podarunek. Dzięki, Luis.

Broberg wypuściła z rąk ciało pilota i uniosła się z kolan. Wyprostowała kończyny, które trzepotały w śmiertelnej walce, i złożyła mu ręce na piersiach. Nic nie mogła poradzić na opadniętą szczękę i oczy wpatrzone w niebo. Wyjmowanie go w tym miejscu ze skafandra jeszcze by pogorszyło jego wygląd. Nie mogła też zetrzeć łez z własnej twarzy. Próbowwała jedynie je powstrzymać.

- Żegnaj, Luis - wyszeptała.

Zwróciwszy się do Scobiego, powiedziała:

- Masz dla mnie jakieś zajęcie? Proszę cię o nie.

- Chodź - polecił jej. - Wyjaśnię ci, jak mam zamiar wydostać się na powierzchnię.

Byli w połowie drogi przez krater, gdy odezwał się Danzig. Nie dopuścił, by umieranie kolegi opóźniło jego wysiłki; niewiele też w tym czasie mówił. Raz, bardzo cicho, odmówił modlitwę za konających.

- Nic z tego - zaraportował niczym maszyna. - Zrobiłem największe koło, jakie mogłem, nie chcąc stracić z oczu statku, ale zauważyłem jedynie dziwne, zamarżnięte kształty. Nie mogą być od was daleko, bo widziałem na tej żałośniej małej kulce wyraźnie odmienny układ gwiazd. Znajdujecie się prawdopodobnie w promieniu od dwudziestu do trzydziestu kilometrów ode mnie. Ale to kawał terenu.

- Słusznie - rzekł Scobie. - Możliwe, że nie zdołasz nas znaleźć w ciągu tego czasu, który nam pozostał. Wracaj do statku.

- Hej, chwileczkę - zaprotestował Danzig. - Mogę zataczać coraz większy łuk, znacząc drogę. Może się na was natknę.

- Bardziej się przydasz, jeśli wrócisz - rzekł mu Scobie. - Zakładając, że zdołamy się stąd wydostać, powinniśmy móc do ciebie dotrzeć, ale potrzebny będzie znak sygnalizacyjny. Przychodzi mi do głowy, by użyć w tym celu samego lodu. Niewielkie wyładowanie energii, jeśli będzie skupione, powinno wyzwolić wielką chmurę metanu czy czegoś równie lotnego... Rozprężając się, gaz powinien obniżyć temperaturę, ponownie ulec kondensacji wokół cząsteczek pyłu uniesionych ze sobą - będzie przecież parowało - i chmura z pewnością uniesie się odpowiednio wysoko, nim znów wyparuje, abyśmy ją stąd dostrzegli.

- Kapuję! - Nuta ożywienia pojawiła się w głosie Danziga. - Zaraz się tym zajmę. Zrobię próby, wybiorę miejsce, gdzie uzyskam najbardziej spektakularne

wyniki i... a co ty na to, bym zmajstrował bombę termitową? Nie, ona może być za gorąca. No, coś tam wymyślę.

- Informuj nas na bieżąco.

- Ale jeśli chodzi o mnie... to chyba nie będę miała czasu na pogawędki - włączyła się Broberg.

- Nie, będziemy mieli pełne ręce roboty, ty i ja - zgodził się Scobie.

- Hm, jedną chwileczkę - odezwał się Danzig. - A co będzie, jeśli nie zdołacie się wydostać? Sugerowałeś, że taka możliwość istnieje.

- No to wtedy będzie czas na bardziej radykalne środki, obojętne na razie, jakie - odparł Scobie.

- Szczerze mówiąc, w tej chwili myśli mam zbyt zaprzątnięte... Luisem i wybieraniem najlepszej drogi wyjścia... żeby myśleć o innych sprawach.

- Mhm, owszem, też myślę, że na razie mamy dość tych kłopotów, które są, żeby jeszcze starać się o nowe. Ale wiecie, coś wam powiem. Kiedy przygotuję już mój sygnalizator, zrobię tę linię, o której mówiłem. Może się okazać, że przyda się wam na pranie, kiedy tu przyjdziecie. - Danzig milczał przez kilka chwil, nim dokończył: - Bo przecież musicie przyjść, do cholery, prawda?

Scobie wybrał punkt na północnej stronie krateru, gdzie zamierzał spróbować podejścia razem z Jean. Wystawały tam dwie półki skalne, jedna w pobliżu podłoża, druga zaś kilka metrów wyżej, co wskazywało, że skała sięga przynajmniej do tego miejsca. Za półkami znajdowały się rozmieszczone nieregularnie występy twardego lodu. Pomiędzy nimi i ponad najwyższym występem, znajdującym się niewiele powyżej połowy odległości do krawędzi krateru, widać było jedynie gładki, nie dający oparcia stopie stok pyłu kryształów. Kąt ich ułożenia dawał w rezultacie stromiznę, w wyniku, czego owa powierzchnia była w dwójnasób zdradziecka. Pytanie, na które odpowiedź mogła dać jedynie próba, brzmiało: jak głęboko skrywała ona warstwy, po których mogli się wspinać, oraz czy podobne warstwy sięgały do samej góry.

Dotarłszy na miejsce Scobie dał znak do zatrzymania.

- Zaczekaj, Jean - powiedział. - Pójdę naprzód sam i zacznę kopać,

- A czemu nie razem? Ja też mam łopatkę.

- Ponieważ nie umiem przewidzieć, jak się zachowa tak wielki wał tego pseudopiasku. Może zareagować na zakłócenie równowagi gigantyczną lawiną.

- Jean podniosła głowę; na jej wymęczonej twarzy pojawił się bunt.

- Więc dlaczego nie mam pójść pierwsza? Czy sądzisz, że zawsze czekam

biernie na przybycie Kendricka?

- Szczerze mówiąc - rzucił - wole ja to zrobić, bo żebro rwie mnie jak cholera, w wyniku, czego tracę coraz bardziej siły. Gdyby miało się coś stać, lepiej będzie, jeśli to ty pośpieszysz mi na pomoc, a nie na odwrót.

Broberg pochyliła głowę.

- Och, przepraszam. Sama chyba jestem w nie najlepszej formie, jeśli dopuszczam, by fałszywa duma nam przeszkadzała. - Spojrzeniem powędrowała ku Saturnowi, wokół którego orbitował Chronos, jakby szukając przebywających tam męża i dzieci.

- Wybaczam ci. - Scobie podkurczył nogi i skoczył pięć metrów dzielących go od niższej półki. Następna była zbyt wysoko na podobny skok, tym bardziej że nie miał gdzie wziąć rozbiegu.

Pochyliwszy się zaszurał łopatką po dolnej części skrzącego się przed nim stoku i zagarnął sypki lód. Z góry posypały się kolejne ziarna, miliardy, zasypując to, co zdołał oczyścić. Pracował jak nawiedzony robot. Każda łopatka nie ważyła prawie nic, ale ich liczba była nieprzeliczona. Nie zwałił na siebie całej ściany, czego w połowie się obawiał, w połowie chciał (jeśli przy tym zginął, zaoszczędziłoby mu to wiele trudu). Stopy opływał mu suchy strumień. W końcu jednak ukazały się dalsze partie podłoża skalnego.

Stojąc w dole Broberg nasłuchiwała jego oddechu. Był ciężki, nierzadko przerywany jękiem czy przekleństwem. W skafandrze kosmicznym, w surowym, bladym świetle Słońca przypominał rycerza, który mimo odniesionych ran stanął do walki z potworem.

- No, dobrze - zawołał w końcu. - Chyba wiem już, czego mam oczekiwać i jak powinniśmy postępować. Będziesz mi do tego potrzebna.

- Tak... o, tak, mój Kendricku.

Minęły godziny. Bardzo powoli Słońce wspinało się po niebie, po którym przetaczały się gwiazdy i gasł Saturn.

Prawie przez cały czas oboje kopali obok siebie. Co prawda wystarczało tylko wąskie przejście, ale jeśli od początku nie zrobiliby szerokiego, sypki lód z lewej i prawej strony natychmiast zsunąłby się w dół i zasypał przekop. Czasem budowa podłoża pozwalała na to, by kopała tylko jedna osoba i wtedy druga mogła odpocząć. Wkrótce to Scobie głównie korzystał z tej możliwości. Czasem oboje zaprzestawali pracy, by coś zjeść, wypić lub chwilę odpocząć, opierając się o stelaż ze sprzętem.

Skąła ustąpiła miejsca zestalonej wodzie. Tam gdzie stok był bardzo stromy, Scobie i Broberg przekonywali się o tym natychmiast, bowiem podcinany piaskolód spadał masą w dół. Po pierwszej takiej lawinie, która nieomal ich zepchnęła, Scobie zawsze najpierw wbijał w każdą nową warstwę swój młotek geologiczny. W razie jakichkolwiek oznak niebezpieczeństwa chwycił trzonek, a Broberg szybko obejmowała go w pasie. Wolnymi rękami ściskali saperki. Zakotwiczeni w ten sposób, ale zmuszeni do maksymalnego wysiłku stali tak, podczas gdy opływał ich biały potop podnosząc się to na wysokość kolan, to czasem piersi, próbując ich pogrzebać na wieki w swej niby-płynnej substancji. Później mieli już przed sobą nagi stok, zazwyczaj zbyt stromy, by podejść bez pomocy, więc musieli wycinać w nim stopnie.

Poza piaskolodem ogarniało ich jeszcze coś, czemu nie śmieli się poddać: znużenie. Nawet najbardziej liberalny obserwator uznałby ich postępy za przerażająco powolne. Nie zużywali zbyt wiele energii na utrzymanie stałej temperatury wewnątrz skafandra, chyba że podczas odpoczynku, ale płuca domagały się zwiększonych ilości tlenu, co wzmagало tempo pracy uzdatnia-czy powietrza. Bateria Garcilasa, którą wzięli ze sobą, mogła jednej osobie dać kilka dodatkowych godzin życia, choć biorąc pod uwagę, że wyczerpana w zmaganiu z hipotermią ciała pilota nie wystarczy do czasu nadejścia pomocy z Chronosa. Nie wypowiedziana możliwość przewidywała korzystanie z baterii na zmianę. Będzie im wtedy paskudnie, mróz przeniknie do kości, ale przynajmniej razem opuszczą ten Wszechświat.

Toteż nic dziwnego, że ich myśli uciekały od bólu, zmartwienia, wyczerpania, stęchlizny, rozpacz. Bez; tej ucieczki nie przebyliby nawet tyle, ile przebyli.

Odpoczywając przez kilka chwil, oparli się plecami o połyskującą błękitem półkę, na którą będą musieli się wspiąć, patrzyli na przeciwległy kraniec krateru, gdzie odziane w skafander ciało Garcilasa płonęło niczym daleki stos żałobny, i dalej jeszcze, ku Saturnowi. Planeta świeciła migotliwie, bursztynowo, pokryta delikatnie oddzielającymi się pasmami, ukoronowana pierścieniami, które dzięki przecinającej je linii cienia świeciły tym jaśniej. Blask ten przyćmiewał większość pobliskich gwiazd, ale pozostałe, bardziej oddalone, układały się mnogością w pełnej chwale wokół srebrzystej drogi, którą snuła przed nimi galaktyka.

- Jakże właściwy to grobowiec dla Alvarlana - szepce Ricia jakby śniąc.
- Zatem on zginął? -*pyta Kendrick.*
- Nie wiesz tego?

- Miałem głowę zaprzątniętą, czym innym. Kiedy uwolniliśmy się z ruin i pozostawiłem cię, byś odzyskała siły, podczas gdy ja udałem się, by rozejrzeć po okolicy, natknąłem się na oddział wojowników. Uciekłem, ale z konieczności wracałem ku tobie przemyślnymi, skrytymi drogami. - Kendrick gładzi Ricię po złocistych włosach. - Poza tym, moja najdroższa, to zawsze ty, a nie ja, miałaś dar słyszenia duchów.

- Mój dzielny ukochany... Tak, to dla mnie chwała, że zdołałam przywołać jego dusze z piekła. Szukał swego ciała, ale było ono stare i słabe, i nie mogło przetrwać tej wiedzy, którą obecnie posiadał. Alvarlan wszakże zmarł w pokoju, ale wcześniej jeszcze ostatnim czarem uczynił sobie grobowiec, z którego stropu gwiazdy będą świecić po wsze czasy.

- Niech odpoczywa w pokoju. Ale nam nie dane jest spocząć. Jeszcze nie. Przed nami daleka droga.

- O, tak. Jednak ruiny pozostały już za nami. Spójrz! Na całej łące w trawie błyszczą anemony. W górze śpiewa skowronek.

- Nie zawsze jest tu tak spokojnie. Przed nami może jeszcze być wiele przygód. Stawimy im jednak czoło z mężnym sercem.

Kendrick i Ricia podnoszą się, by ruszyć w dalszą drogę.

Ściśnięci na wąskiej półce Scobie i Broberg odrzucali piaskolód przez całą godzinę, niewiele ją poszerzając, z góry bowiem sypało się tyle, ile zdołali zepchnąć na dół.

- Lepiej dajmy sobie spokój - zdecydował geolog. - Udało się nam tylko trochę spłaszczyć stok. Nie wiadomo, jak daleko w głąb idzie ta półka, nim pojawi się twarde podłoże. Może w ogóle nie ma takiego.

- Co więc zrobimy? - spytała Broberg tym samym znużonym tonem. Pokazał kciukiem.

- Zejdziemy na niższy poziom i spróbujemy w innym kierunku. Przedtem jednak bezwzględnie odpoczniemy.

Rozpostarli poduszki z gąbki i usiedli. Po chwili, w czasie, której patrzyli tylko przed siebie, Broberg odezwała się.

- Idę ku potokowi - *mówi Ricia*. - Szemrze pod łukami zielonych, konarów. Między nimi przeciska się światło skrzące się na powierzchni wody. Przykłąkam i piję. Woda jest chłodna, czysta, słodka. Gdy unoszę wzrok, widzę postać młodej kobiety, nagiej, której pukle włosów mają barwę liści. To nimfa wodna. Uśmiecha się.

- Tak, ja też ją widzę - *włącza się Kendrick*. - Zbliżam się ostrożnie, by jej nie przestraszyć. Pyta nas o imiona i cel podróży. Wyjaśniamy, że zgubiliśmy drogę. Mówi nam, gdzie znaleźć wyrocznię, która może udzielić rady.

Wyruszają, by odnaleźć wyrocznię.

Ciało ludzkie nie może wiecznie odkładać snu na potem.

- Krzyknij na nas za godzinę, dobrze, Mark? - poprosił Scobie.

- Jasne - odparł Danzig. - Ale czy to wystarczy?

- Tylko na tyle możemy sobie pozwolić po tych wszystkich niepowodzeniach.

Przeszliśmy mniej niż jedną trzecią drogi.

- To, że do was nie mówiłem - powiedział powoli Danzig - to nie, dlatego, że byłem bardzo zajęty pracą, chociaż byłem. Po prostu zdawało mi się, że sami macie dość na głowie i bez mojego wtrącania się. Jednakże... czy sądzicie, że mądrze robicie oddając się w ten sposób fantazjom?

Rumieniec wpełzł na policzki Broberg i spłynął ku jej piersiom.

- Słuchałeś, Mark?

- No... tak, oczywiście. Przecież mogło się wam coś nagle przydarzyć...

- Czemu? A gdyby nawet, to, co byś zrobił? Gra to sprawa osobista.

- No tak, tak...

Ricia i Kendrick kochali się, gdy tylko mieli ku temu okazję. Nie padło przy tym wiele słów, ale były one często namiętne.

- Włączymy się, gdy będziemy cię potrzebować, tak jak w tym przypadku, przy budzeniu - ucięła Broberg. - A poza tym przerwiemy kontakt.

- Ale... Ja przecież nie chciałem

- Wiem o tym - westchnął Scobie. - Fajny z ciebie facet, a my z pewnością jesteśmy przewrażliwieni. Ale tak musi być. Zawołaj nas za godzinę, tak jak powiedziałem.

W głębi grotty Węży ca kołysze się na tronie w takt słów proroczej opowieści. Z tego, co Ricia i Kendrick mogą zrozumieć, to nakazuje im udać się na zachód, Szlakiem Jelenia, aż napotkają jednookiego człowieka o siwej brodzie, który wskaże im dalszy kierunek; muszą jednak być ostrożni w jego obecności, łatwo, bowiem go rozgniewać. Usłuchawszy słów wyroczni, oboje oddalają się. U wyjścia dają ofiarę, którą przynieśli. Ponieważ mają ze sobą niewiele poza odzieniem i orężem, księżniczka składa świątyni w ofierze swe złociste pukle. Rycerz twierdzi, że nawet z krótkimi włosami Ricia jest wciąż piękna.

- Hej, hopla! Łatwo nam poszło te dwadzieścia metrów – powiedział Scobie, jednak głosem otepiałym ze znużenia.

Początek drogi przez krainę Narce jest czystą rozkoszą.

Jego późniejsze przekleństwo nie było ani trochę bardziej żywsze. – Chyba kolejny ślepy zaulek.

Starzec w błękitnej opończy i szerokim kapeluszu zaiste rozgniewał się, gdy Ricia odmówiła mu swych łask, a włócznia Kendricka powstrzymała go przed dalszymi próbami. Udał, że szuka zgody i wskazał im dalszą drogę. Lecz na jej krańcu wędrowcy napotykają trolle. Udaje im się umknąć i wycofują się.

- Mózg mi pływa w bagnie, we mgle - jęknął Scobie. - A i złamane żebro raczej przeszkadza. Jeśli się jeszcze trochę nie prześpię, nadal będę wybierał fałszywą drogę, aż czas się nam skończy.

- Ależ oczywiście, Colin - odezwała się Broberg. - Będę czuwać i obudzę cię za godzinę.

- Co takiego? - spytał zdziwiony mimo znużenia. - A czemu ty też się nie prześpisz, Mark nas obudzi, tak jak poprzednio?

Skrzywiła się.

- Nie warto go niepokoić. Jestem zmęczona, owszem, ale nie senna. Brakło mu i przytomności, i siły, by się spierać.

- Dobrze - powiedział, rozciągnął na łodzie materac izolujący i stoczył się w nieświadomość.

Broberg ułożyła się obok niego. Byli w połowie drogi do krawędzi, ale trwało to z przerwami więcej niż dwadzieścia godzin, a szło im coraz trudniej i było bardziej niebezpieczne, choćby, dlatego, że mieli coraz mniej sił i przytomności umysłu. Jeśli w ogóle dotrą do szczytu i dostrzegą sygnał Danziga, zostanie im jeszcze parę godzin marszu na obolałych nogach, nim znajdą się w schronieniu.

Saturn, Słońce, gwiazdy prześwitywały przez witrył. Broberg uśmiechnęła się, patrząc na twarz Scobiego. Ani trochę w nim z urody greckiego boga, a pot, brud, zarost, liczne oznaki wyczerpania jeszcze mniej go przypominały, ale... szczerze mówiąc ona też zbytnio się teraz nie nadawała na konkurs piękności.

Księżniczka Ricia siedzi u boku swego rycerza, który zapadł w sen w chacie

karła, i przebiera palcami po strunach harfy, której jej użyczył ów karzeł, nim udał się do pracy w kopalni. Ricia śpiewa kołysankę, by osłodzić sen Kendrickia. Gdy śpiew dobiega końca, dotyka ustami jego ust, po czym zapada w taki sam łagodny sen.

Scobie budził się powoli.

- Ricia, kochanie - szepce Kendrick i szuka jej dotykiem. Zbudzi ją pocałunkami...

Uniósł się niezgrabnie.

- O, do diabła!

Leżała bez ruchu. Słyszał przez radio jej oddech, nim uderzenia jego tętna oddech ten stłumiły. Słońce świeciło znacznie dalej; widać było wyraźnie, że się przesunęło, zaś sierp Saturna znacznie schudł, do tego stopnia, że na końcach pojawiły się ostre rogi. Wyteżył oczy, by spojrzeć na zegarek na lewym przegubie.

- Dziesięć godzin! - zakrztusił się.

Ukląkł i potrząsnął kobietą.

- Zbudź się, na litość boską!

Rzęsy jej zatrzepotały. Gdy ujrzała na jego twarzy przerażenie, natychmiast opadła z niej senność.

- Och, nie - odezwała się. - Proszę, nie.

Scobie z trudem wyprostował się i połączył ze statkiem.

- Mark, słyszysz mnie?

- Colin! - wykrzyknął Danzig. - Dzięki Bogu! Wychodziłem z siebie ze zdenerwowania.

- Będziesz się dalej denerwował, kochany. Właśnie obudziliśmy się z dziesięciogodzinnego snu.

- Co takiego? Ile przedtem pokonaliście?

- Weszliśmy gdzieś na czterdzieści metrów. Droga przed nami wygląda na trudniejszą niż ta, którą dotąd przebyliśmy. Boję się, że nic z tego nie będzie.

- Nie mów tego, Colin - rzekł błagalnie Danzig.

- To moja wina - stwierdziła Broberg.

Stała sztywno, z zaciśniętymi pięściami i nieruchomą twarzą. Głos miała spokojny.

- On był zmęczony, musiał się przespać. Miałam go obudzić, ale sama zasnęłam.

- Nie twoja wina, Jean... - zaczął Scobie.

- Tak, moja - przerwała mu. - Może uda mi się to naprawić. Weź moją baterię.

W ten sposób nie będę mogła ci pomóc kopać, ale może przeżyjesz i dotrzesz do statku.

Schwycił ją za rękę. Pięści nie rozwarły się.

- Jeśli myślisz, że ja... że ja mógłbym to zrobić...

- Jeśli tego nie zrobisz, to koniec z nami obojgiem - odrzekła nieustępliwie. - Wolę odejść z czystym sumieniem.

- A co z moim sumieniem? - wykrzyknął. Opanowując się zwilżył wargi i mówił dalej szybko: - Poza tym nie można się obarczać winą. Senność cię zwyciężyła. Gdybym się nad tym dobrze zastanowił, wiedziałbym, że tak się skończy i połączyłbym się z Markiem. A to, że tobie to też nie przyszło do głowy, dowodzi, jak bardzo i tobie brakowało snu. I... na ciebie czeka Tom i dzieci. Weź moją baterię. - Zamilkł na chwilę. - I błogosławieństwo na drogę.

- Czy Ricia mogłaby porzucić swego rycerza?

- Zaraz, chwileczkę, posłuchajcie - zawołał Danzig. - Słuchajcie, to straszne, ale... a, cholera, wybaczenie, ale muszę wam przypomnieć, że takie teatralne gesty tylko przeszkadzają w działaniu. Z waszego opisu wnoszę, że żadne z was samotnie nie będzie w stanie iść naprzód. Razem może się wam jeszcze udać. Przynajmniej jesteście wypoczęci - mięśnie wam dokuczają, to jasne, ale w głowach wam się rozjaśniło. Wspinaczka może się okazać łatwiejsza, niż myślicie. Zastanówcie się nad tym!

Scobie i Broberg przyglądali się sobie nawzajem przez całą minutę. Jej ciało jakby odtajało, a ciepło przeszło na niego. W końcu uśmiechnęli się i objęli.

- Taak, słusznie - burknął Scobie. - Ruszamy, ale najpierw coś przegryziemy. Jestem po prostu, najzwyczajniej w świecie głodny. A ty?

Broberg skinęła głową.

- To rozumiem - rzekł Danzig tonem zachęty. - Hm, czy mogę jeszcze coś zaproponować? Ja jestem tylko widzem, co stawia mnie w cholernej sytuacji, ale i mam przez to widok ogólny. Porzućcie tę waszą grę.

Scobie i Broberg zeszywnieli.

- To ona jest prawdziwym winowajcą - ciągnął błagalnie Danzig. - Samo zmęczenie nie stępiłoby w was bystrości oceny sytuacji. Nigdy byście mnie nie wyłączyli i... Ale zmęczenie, wstrząs i żal sprawiły, żeście dopuścili, by ta przekłeta gra nad wami zapanowała. Nie byliście sobą, gdy zasnęliście: byliście tymi

postaciami ze świata marzeń. One nie miały powodu, dla którego nie wolno było im zasnąć! - Broberg gwałtownie potrząsnęła głową.

- Mark - powiedział Scobie - masz słuszość mówiąc, że jesteś tylko widzem. To znaczy, że nie rozumiesz pewnych rzeczy. Po co więc masz się dręczyć słuchaniem nas, godzina za godziną? Będziemy się oczywiście włączali, co jakiś czas. Trzymaj się. - Przerwał kontakt radiowy.

- On nie ma racji - upierała się Broberg.

Scobie wzruszył ramionami.

- Ma czy nie, co za różnica? Nie zaśniemy po raz drugi w tym czasie, jaki nam pozostał. Gra wcale nam nie przeszkadzała podczas drogi. Właściwie to nawet pomagała, pozwalając zapomnieć o ponurej sytuacji.

- To prawda. Śniadajmy, więc żywo i ruszajmy w dalszą drogę. Droga była coraz trudniejsza.

- Zaiste Biała Wiedźma rzuciła urok na ten trakt - *mówi Ricia*.

- Nie ulękniemy się - *przysięga Kendrick*.

- Nie, nigdy, póki idziemy ramie w ramie, ja i ty, o najszlachetniejszy z mężów.

Spadający z góry piaskolód ogarnął ich i odepchnął o kilkanaście metrów. Zatrzymali się na wystającym kamieniu. Kiedy nawała minęła ich, podnieśli swe poobijane ciała i powlekli się naprzód w poszukiwaniu lepszego podejścia. Miejsce, gdzie pozostał młotek geologa, było teraz niedostępne.

- Co strzaskało most? - *pyta Ricia*.

- Olbrzym - *odpowiada Kendrick*. - Widziałem go, wpadając do rzekł. Rzucił się na mnie i starliśmy się na płycźnie, aż zmusiłem go do ucieczki. Uniósł ze sobą mój miecz wbity w jego udo.

- Masz swoją włócznię, wykutą przez Waylanda - *mówi Ricia* - i zawsze masz moje serce.

Zatrzymali się na ostatnim odgarniętym kawałku skały. Okazało się, że nie jest to półka, ale iglica z lodu wodnego. Dookoła rozciągała się płaszczyzna z piaskolodu, znowu spokojna. Przed nimi pozostało trzydzieści metrów stoku, a potem krawędź i gwiazdy. Ale równie dobrze mogło to być trzydzieści lat świetlnych. Ktokolwiek spróbowałby przeżyć tę odległość, zapadłby się na nieznaną głębokość.

Nie było sensu schodzić w dół odsłoniętą stroną lodowej iglicy. Broberg przywierała do niej przez godzinę, wykuwając nożem stopnie, po których się

następnie wspięli. Stan Scobiego nie pozwalał pomóc jej w pracy. Jeśli zdecydują się na powrót, mogą łatwo ześliznąć się, spaść i dać się pochłonąć przez piaskolód. Jeśli zaś nawet tego unikną, nigdy nie znajdą nowej drogi: w bateriach pozostało im energii zaledwie na dwie godziny. Usiłując przeć do przodu i jednocześnie wymieniać między sobą ogniwo Garcilasa, daliby tylko klasyczny przykład bezsensownego działania.

Usiedli, więc, z nogami wiszącymi nad otchłanią, i trzymali się za ręce patrząc na Saturna i na siebie nawzajem.

- Nie sądzę, by orki zdołały przebić stalową bramę tej wieży - *mówi Kendrick*
- ale zechcą wziąć nas głodem.

- Nigdy dotąd nie porzucałeś nadziei, mój rycerzu - *odpowiada Ricia i całuje go w skroń*. - Rozejrzyjmy się może? Te ściany są niewypowiedzianie stare. Któż wie, jakie mogą w sobie kryć czary? Może dwa płaszcze z piór feniksa, które poniosą nas, śmiejących się, do domu...

- Lękam się, że nie, moja ukochana. Nasz czar spoczął na nas samych. - *Kendrick dotyka włóczni, która błyszczy oparta o mur*. - Smutny i szary będzie ten świat bez ciebie. Możemy jedynie z godnością przyjąć nasz los.

- I z radością, skoro jesteśmy razem.

Na ustach Ricii pojawia się psotny uśmiezek: - Widziałam łożę w jednej z komnat. Skorzystamy z niego?

Kendrick marszczy czoło.

- Winniśmy raczej uspokoić nasze myśli i dusze.

Ricia ciągnie go za łokieć.

- Później, tak. A poza tym, kto wie? Może strzepując pył z koca zobaczymy, że jest to płaszcz-niewidek, dzięki któremu przedostaniemy się przez linie wroga?

- To tylko marzenie senne.

Strach pojawia się w jej oczach.

- I cóż, jeśli tak jest?

Jej świat chwieje się w posadach.

- Mogę w marzeniach nawet nas uwolnić, jeśli mi pomożesz.

Pięść Scobiego uderzyła w lód.

- Nie! - wycharczał. - Umrę w tym świecie, który istnieje.

Ricia odsuwa się od niego. Kendrick widzi, jak opanowuje ją groza.

- Tyś szalony, najdroższy - *szept*.

Obrócił się i schwycił ją za ramiona.

- Nie chcesz pamiętać o Tomie i twoich chłopcach?

- O kim?

Kendrick opada z sił. - Nie wiem. Ja też zapomniałem.

Opiera się na nim, tu, na wichrowym wzgórzu. W górze kołuje jastrząb.

- To z pewnością skutek złego czaru. Och, moje serce, moje życie, odrzuć go od siebie! Daj mi odnaleźć sposób ocalenia nas. - *Błagalne słowa brzmią niepewnie; pobrzmiwa w nich trwoga.*

Kendrick prostuje się. Kładzie dłoń na włóczni Waylanda i dzięki temu wstępują weń jakby nowe siły płynące z oręża.

- Zakęcie to zaiste - *odpowiada. Głos jego nabiera mocy.* - Nie pozostanę w jego mroku ani nie pozwolę, by ciebie oślepił i ogłuszał, moja pani. - *Spogląda jej w oczy, nie pozwalając odwrócić wzroku.* - Jest tylko jedna droga do naszej wolności. Droga ta prowadzi przez wrota śmierci.

Czeka, milcząca i drżąca.

- Cokolwiek byśmy zrobili, musimy zginąć, Ricia. Idźmy odtąd dalej jako my sami.

- Ja... nie... Ja nie chcę... Ja...

- Widzisz oto przed sobą narzędzie śmierci. Ostre ono, a jam silny, nie poczujesz bólu.

Odślania pierś.

- Więc szybko uderzaj, Kendricku, nim zginę!

Kendrick uderza.

- Kocham cię – *mówi.*

Ricia pada u jego stóp.

- Idę za tobą, najdroższa - *mówi, wyciąga ostrze, opiera drzewce o skalę, napiera na nie i pada obok niej.*

- Teraz jesteśmy wolni.

- To był... koszmar. - Słowa Broberg były ledwie słyszalne. Głos Scobiego drżał.

- Ale moim zdaniem potrzebny nam obojgu. Patrzył wprost przed siebie, pozwalając, by światło Saturna go oślepiło. - Inaczej pozostalibyśmy... szaleni? Może i nie, z lekarskiego punktu widzenia. Ale też i nie w rzeczywistości.

- Byłoby łatwiej - wymamrotała. - Nie wiedzielibyśmy, że umieramy.

- A wolałabyś to?

Broberg zadygotała. Ociężałość na jej twarzy ustąpiła temu samemu

napięciu, które wyrażały jego rysy.

- Och, nie - odezwała się bardzo cicho, ale całkowicie świadomie. Nie, miałeś oczywiście rację. Dziękuję ci za twą odwagę.

- Ty zawsze miałaś jej tyle, co inni, Jean. Po prostu masz więcej od innych wyobraźni. - Scobie zbył to gestem dłoni. - No, dobrze, trzeba połączyć się z biednym Markiem i poinformować go o wszystkim. Ale najpierw... - Jego słowa straciły rytm, który starał się utrzymać. - Najpierw...

Uścisnęła go przez rękawice.

- Co takiego, Colin?

- Musimy coś postanowić w sprawie trzeciej baterii Luisa - wydusił z siebie, nadal patrząc w stronę wielkiej planety w koronie pierścieni. - Decyzja właściwie należy do ciebie, choć możemy podyskutować, jeśli chcesz. Ja nie mam zamiaru postąpić jak łobuz za cenę tych dodatkowych paru godzin. Nie chcę też korzystać z baterii na zmianę; w ten sposób oboje będziemy paskudnie umierać. Ale ty jednak może z niej skorzystaj.

- I palem będę siedzieć obok twego zmarzniętego ciała? - odparła. - Nie. Nawet nie czułabym ciepła, w każdym razie nie w kościach...

Obróciła się ku niemu tak gwałtownie, że niemal spadła z iglicy. Podtrzymał ją.

- Ciepło! - krzyknęła tak ostro, jak krzyczy kołujący jastrząb. - Colin, zawieziemy jednak nasze kości do domu!

- Właściwie to wspiałem się na kadłub - rzekł Danzig. - Tyle mi wystarczy, by dojrzeć wszystko ponad tymi grzbietami i turniami. Mogę widzieć cały horyzont.

- Dobrze - mruknął Scobie. - Przygotuj się, byś mógł szybko zobaczyć cały horyzont. W grę wchodzi wiele czynników, których nie jesteśmy w stanie przewidzieć. Nasz sygnał nie będzie ani w części tak silny, jak to, co ty przygotowałeś. Może okazać się nikły i krótkotrwały. I, oczywiście, może też unieść się zbyt nisko, żebyś mógł go dojrzeć z tej odległości. - Odchrząknął. - W tym przypadku to koniec. Ale próbowaliśmy do końca, co samo w sobie jest sukcesem.

Zważył w rękę baterię, podarunek Garcilasa. Jej styki połączył kawałek grubego drutu pozbawionego izolacji. Przy wyłączonym regulatorze bateria pompowała maksymalną moc przez zwierający ją drut, który już się żarzył.

- Na pewno chcesz sam to zrobić, Colin? - spytała Broberg. - Twoje żebro...

Uśmiechnął się krzywo.

- Ale mimo to natura lepiej mnie wyposażyła do rzucania - odrzekł. - Pozwól

mi na tę odrobinę męskiej próżności; pomysł wyszedł od ciebie.

- Powinnam była od początku na to wpaść - powiedziała. - I chyba by tak było, gdyby nie oszołomiła nas ta fantazja.

- Mhm, czasem najprostsze rzeczy przychodzą najtrudniej. Poza tym musieliśmy dotrzeć na tę wysokość, bo inaczej nic by z tego nie było, a gra nam w tym ogromnie pomogła... Jesteś gotów, Mark? Heeej hop!

Scobie cisnął baterię niczym piłkę do baseballu, mocno i daleko w słabym polu grawitacyjnym Lapetusa. Obracając się, przymocowany do niej rozżarzony drut zakreślał w polu widzenia czarodziejskie symbole. Bateria opadła gdzieś poza krawędzią, na tylnym skraju lodowca.

Zamarznięte gazy wyparowały, uniosły się w górę, na moment ponownie skropliły się i uleciały bezpowrotnie. Na tle gwiazd powstał biały gejzer.

- Widzę was! - wrzasnął Danzig. - Widzę wasz sygnał, wiem, dokąd iść. Już pędzę! Z liną, dodatkowymi bateriami i wszystkim!

Scobie osunął się na lód i chwycił za lewy bok. Broberg uklękła i podtrzymała go, jak gdyby którekolwiek z nich mogło uleczyć bolesne miejsce. Ale to nie miało większego znaczenia. Długo już nie będzie bolało.

- Jak wysoko unosi się ten strumień, waszym zdaniem? - spytał już spokojniej Danzig.

- Ze sto metrów - odparła przyjrzawszy się Broberg.

- A, cholera, w tych rękawicach niewygodnie naciskać klawisze kalkulatora... Sądząc z tego, jaką część strumienia widzę, znajduję się w odległości dziesięciu do piętnastu kilometrów. Dajcie mi godzinę lub odrobinę więcej na dotarcie do was i odszukanie. Dobrze?

Broberg sprawdziła wskaźniki.

- W porządku, z minimalnym zapasem. Przykręcimy termostaty i będziemy siedzieć bardzo spokojnie, by zmniejszyć pobór tlenu. Zmarzniemy, ale przeżyjemy.

- Mogę tam dotrzeć prędzej - odrzekł Danzig. - To, co podałem, to najgorsza możliwość. No dobrze, pędzę. Nie będziemy rozmawiać, dopóki się nie spotkamy. Nie lubię ryzykować, ale potrzebny mi będzie oddech na szybki bieg.

Oczekujący usłyszeli jego cichy oddech i przyspieszone kroki. Gejzer przestał bić.

Siedzieli obejmując się nawzajem w pasie i przyglądali się otaczającej ich wspaniałości. Po chwili mężczyzna odezwał się:

- Sądzę, że to chyba koniec naszych gier. Dla wszystkich.

- Z pewnością zaś winny być poddane ścisłej kontroli - odparła kobieta. -

Wątpię jednak, czy porzucą je całkowicie... tutaj.

- Jeśli będą musieli, zrobią to.

- Tak. Myśmy musieli, prawda?

Obrócili się twarzami do siebie pod tym niebem pełnym gwiazd w królestwie Saturna. Nic nie przysłańało światła słonecznego, które ukazywało ich sobie nawzajem: ją, żonę innego człowieka, w średnim wieku, i jego, zwykłego mężczyznę, tyle, że samotnego. Oni już nigdy nie będą grać. Nie mogą.

W jej uśmiechu pojawiła się zakłopotana sympatia.

- Drogi przyjacielu... – zaczęła.

Powstrzymał ją uniesioną dłonią.

- Lepiej nie rozmawiajmy, o ile to nie jest absolutnie konieczne - rzekł. -
Zaoszczędzimy trochę tlenu i będzie nam trochę cieplej. Może spróbujemy zasnąć?

Oczy jej rozszerzyły się i pociemniały.

- Nie mam odwagi - wyznała. - Musi minąć jeszcze wiele czasu. Na razie mogę pomarzyć.

Tłumaczył: Wiktor Bukato